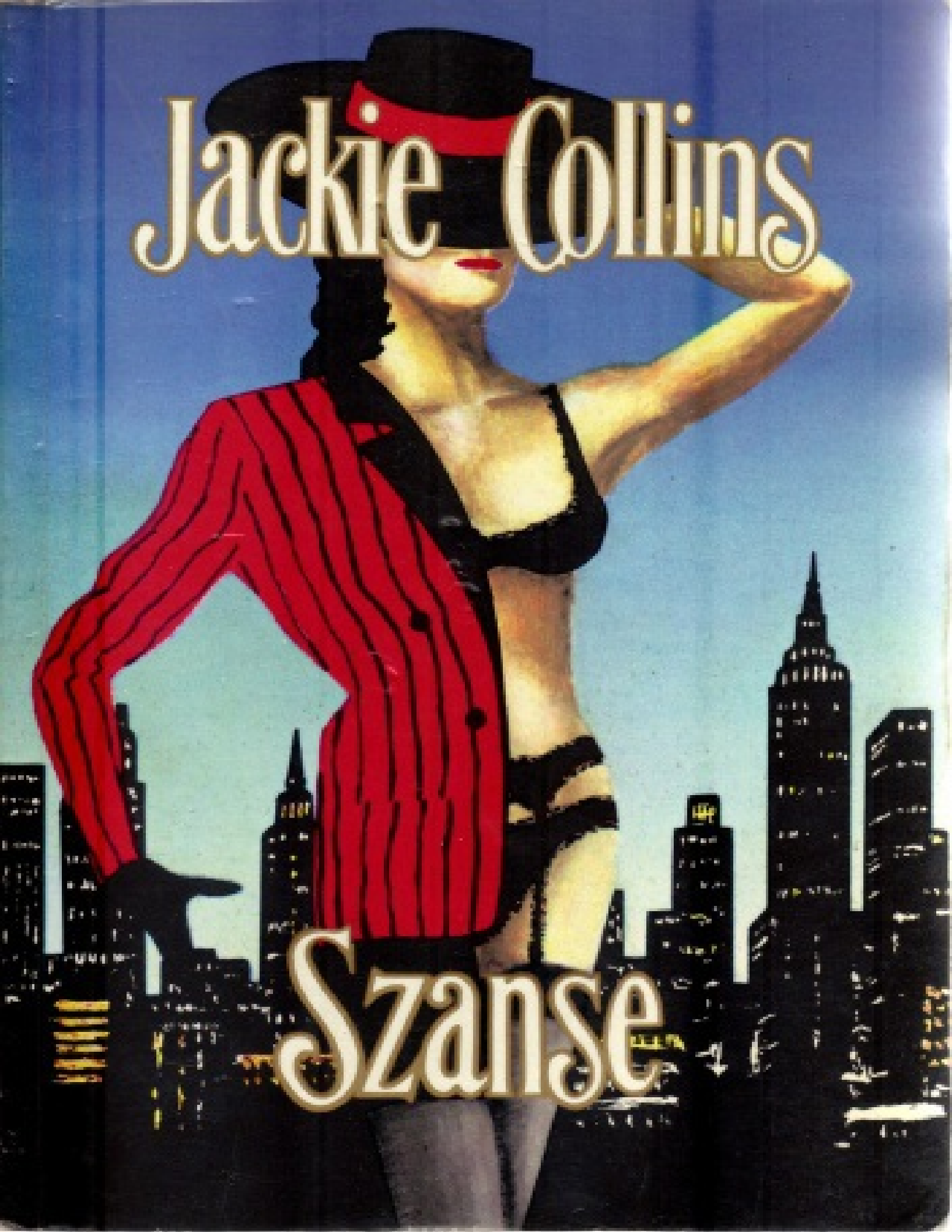


Jackie Collins

Szanse





Collins Jackie

Sz a n s e 0 1

S z a n s e

"Szanse" to trzymająca w napięciu opowieść o losach Gina Santangelo, Carrie Berkely, a także wielu ich znajomych i przyjaciół. Miejsce akcji to Nowy Jork i jego ulice, burdele, nielegalne bary w czasie prohibicji, mafia, półświatek, nędza Harlemu, sutenerzy, prostytutki, brudne pieniądze, a w tym piękna dziewczyna deprawowana przez świat wielkiego biznesu. Brutalne sceny, żywy dosadny język, osobliwy humor, to walory tego światowego bestselleru.

C Z Ę Ś Ć P I E R W S Z A

Środa, 13 lipca, 1977

Nowy Jork

Costa Zennocotii wpatrywał się w dziewczynę siedzącą naprzeciwko niego. Oddzielało ich ozdobnie rzeźbione biurko. Dziewczyna mówiła szybko, żywo gestykulując i strojąc miny, aby podkreślić znaczenie słów. Boże! Nienawidził siebie za to, co myślał, ale była to najbardziej zmysłowa kobieta, na jakiej kiedykolwiek zatrzymał wzrok...

Costa? - zapytała ostro dziewczyna. — Czy ty mnie słuchasz? Oczywiście, Lucky — odpowiedział szybko. Zmieszał się nieco, gdyż dziewczyna była właściwie jeszcze nieopierzonym kurczakiem. Ile miała lat, dwadzieścia siedem, może osiem? A jednak była bystra i doświadczona. Prawdopodobnie wiedziała, o czym myślał.

Lucky Santangelo. Córka jego najlepszego przyjaciela Gina.

Dziwka. Dziecko. Kobieta wyzwolona. Kusicielka. Costa znał ją, znał też wszystkie te sprawy.

No, więc widzisz - zaczęła grzebać w dużej torbie ze sklepu Gucciego i wyciągnęła paczkę papierosów. - W żadnym wypadku nie jest to odpowiedni moment, żeby mój ojciec wracał do kraju. Nie ma mowy. Musisz go powstrzymać.

Wzruszył ramionami. Czasami potrafiła być tak głupia. Jak mogła się spodziewać, że ktokolwiek powstrzyma Gina od zrobienia dokładnie tego, co chciał? Jako córka powinna to wiedzieć najlepiej. Poza tym Gino i Lucky byli ulepieni z tej samej gliny. Byli do siebie tak podobni, jak tylko to możliwe. Nawet fizycznie przypominała ojca. Taka sama agresywnie zmysłowa twarz o oliwkowej skórze, z głęboko osadzonymi, żarzącymi się węgielkami oczu

i szerokimi, ponętymi ustami. Tylko nosy mieli różne: nos Gina był męski i dość okazały, jej mniejszy, bardziej kobiecy. Oboje mieli kruczoczarne, kręcone włosy. Ramiona Lucky tonęły w kaskadzie loków, a Gino przy swoich ponad siedemdziesięciu latach miał

jeszcze całkiem bujną czuprynę.

Costa zmarkotniał i przesunął ręką po swoim łysym poletku to było więcej niż poletko, pustynia, jałowa równina czaszki, której żadne zabiegi niebyły w stanie ukryć. Cóż, miał sześćdziesiąt osiem lat. Czego można spodziewać się w tym wieku?

Porozmawiasz z nim? nalegała. — Co? - naciskała dalej. No, porozmawiasz?

Costa pomyślał, że najlepiej w ogóle nie wspominać, że dokładnie w tym momencie samolot, którym leciał Gino, kołował nad miastem.

Wkrótce wyląduje. Niedługo Gino znów tu będzie. Lucky po prostu musi przyjąć do wiadomości, że jej ojciec znowu przejmie nad wszystkim kontrolę.

Boże! Piwo już się warzyło i to Costa miał być tym, kto je wypije.

Trzy piętra wyżej Steven Berkely pracował gorliwie w ciszy biura swojego przyjaciela, Jerrego Meyersona. Umówili się, że gdyby Steven chciał popracować w całkowitym spokoju, będzie mógł skorzystać z pokoiów biura po godzinach pracy. Było to wspaniałe rozwiązanie. Żadnych telefonów. Nikt go nie nachodził. Jego biuro zawsze przypominało dom wariatów, niezależnie od pory dnia i nocy. Nawet w jego własnym mieszkaniu telefon nigdy nie przestawał dzwonić.

Przeciągnął się, spojrzął na zegarek i widząc, że było już prawie wpół do dziesiątej, zaklął pod nosem. Wydawało mu się, że cały czas przeciekł mu przez palce. Nagle pomyślał o Aileen i zastanowił się, czy powinien do niej zadzwonić. Ostatnio nie przyszedł na umówioną randkę w teatrze. Jednak Aileen nic nie mogło wyprowadzić z równowagi, wszystko przyjmowała ze spokojem, czy to była nieudana randka w teatrze, czy też propozycja małżeństwa i to właśnie mu się w niej podobało. Oświadczył się jej trzy tygodnie wcześniej, a ona propozycję przyjęła. Dla Stevena nie było to niespodzianką, z. Aileen nie było żadnych niespodzianek. Zresztą kto miał

na nie ochotę po Zizi, jego byłej żonie?

Steven miał trzydzieści osiem lat i pragnął spokojnego życia. Dwudziesto trzyletnia Aileen mogła mu je ofiarować.

Steven Berkely był prokuratorem i powodziło mu się całkiem dobrze. Kiedy po raz pierwszy czarne zaczęło być piękne, on już był, gdzie trzeba z wyższym wykształceniem, po czterech latach prawa i masą entuzjazmu. Przy swojej wiedzy, błyskotliwości i inteligencji stosunkowo łatwo dochodził do zamierzonego celu. Fizycznie też niezwykle dobrze się prezentował. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, sylwetka sportowca, zielone, szczere oczy, czarne, kręcone włosy i skóra koloru mlecznej czekolady. Miał rozbijającą cechę: naprawdę nie wiedział, jak jest przystojny. Zbijalo to ludzi z tropu. Spodziewali się zarozumialstwa, a spotykali się z uprzejmością. Spodziewali się arogancji, a znajdowali człowieka, którego obchodziły myśli i uczucia innych.

Systematycznie pogrupował wszystkie papiery, a uporządkowane pliki włożył do starej skórzanej teczki. Rozejrzał się po pokoju, wyłączył lampę na

biurku i ruszył do drzwi. Pracował rzetelnie nad pewnym specjalnym dochodzeniem i teraz sprawa zbliżała się do rozwiązania. Czuł się zmęczony, ale było to przyjemne zmęczenie, które zrodziło się z ciężkiej pracy jego ulubionej rozrywki. Jeżeli chodzi tylko o przyjemność, to praca dawała mu jej więcej niż seks. Nie to, żeby nie lubił seksu. Uważał, że z odpowiednią kobietą jest wspaniały.

Jednak seks z Zizi przybierał formy obsesji. „Chodź, chodź, chodź!” Mała, nienasycona Zizi chciała to robić ciągle, a kiedy nie było go w pobliżu... cóż, znajdowała sposoby na wypełnienie czasu. Powinien był posłuchać matki i nigdy się z nią nie żenić. Ale kto słucha matki, gdy własny interes stoi w ogniu.

Z Aileen sprawy miały się inaczej. Była miłą, staroświecką dziewczyną, którą jego matka zaakceptowała całym sercem.

Ożeń się z nią - doradzała. I właśnie to miał zamiar zrobić.

Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju i ruszył w kierunku windy.

Dario Santangelo mocno zagryzał wargi, żeby powstrzymać się od krzyku. Nad nim chudy, ciemnowłosy chłopak solidnie pracował

łędźwiami. Ból. Przyjemność. Ostry ból. Rozkosz, prawie nie do wytrzymania. Niezupełnie... Jeszcze nie... Nie mógł już dłużej wytrzymać. Krzyknął, a orgazm wstrząsnął jego ciałem.

Ciemnoskóry chłopak natychmiast wysunął jeszcze sztywnego członka. Dario odwrócił się i odetchnął. Chłopak wstał i popatrzył na niego z góry.

Dario uświadomił sobie, że nawet nie wie, jak chłopak ma na imię. Jeszcze jeden bezimienny, ciemnowłosy młodziak. No i co z tego? I tak nie spotykał się z nimi więcej niż raz. Pieprzył to. I ich pieprzył. O to przecież chodziło, czyż nie? Nie mógł powstrzymać się od chichotania.

Kiedy wstał z łóżka i ruszył do łazienki, chłopak stał bez słowa i obserwował go. Niech patrzy, niech się gapi, jego i tak już więcej nie weźmie.

Zamknął drzwi łazienki i puścił ciepłą wodę do bidetu. Zawsze lubił myć się natychmiast. Kiedy się to odbywało, było wspaniale, ale później... wołał o wszystkim zapomnieć, odciąć się od tego, aż następny ciemnowłosy chłopak pojawi się na horyzoncie. Ukucnął nad bidetem i namydlił się. Odkręcił zimną wodę i pozwolił lodowatemu, orzeźwiającaemu strumieniowi obmyć jądra. Cały dzień było okropnie gorąco, wszystko było wilgotne i lepkie. Miał nadzieję, że chłopak nie będzie chciał zostać. Może powinien mu dać jakieś pieniądze, żeby sobie poszedł. Dwadzieścia dolarów zwykle wystarczało.

Włożył aksamitny szlafrok i spojrział w lustro. Miał dwadzieścia sześć lat, ale nikt by tego nie odgadł. Wyglądał na dziewiętnaście.

Szczupły, wysoki, o aryjskich, błękitnych oczach i prostych, jasnych włosach. Wyglądał dokładnie jak jego matka. Nie było żadnego fizycznego podobieństwa między nim a ojcem lub tą dziwką Lucky, jego siostrą.

Otworzył drzwi łazienki i wszedł do pokoju. Chłopak założył już brudne dżinsy i koszulkę i stał tyłem .wyglądając przez okno.

Dario podszedł do kredensu i z małej kupki banknotów wyciągnął dwie dziesięciodolarówki. W mieszkaniu nigdy nie trzymał dużo pieniędzy — nie chciał kusić swoich przypadkowych kochanków.

Chrząknął, aby chłopak zorientował się, że wszedł do pokoju. Odwróć się, bierz forszę i spływaj - w myślach wydał polecenie.

Chłopak powoli odwrócił się. Wybrzuszone dżinsy świadczyły, że wciąż miał wzwód.

Dario wyciągnął rękę z banknotami.

Opłata za przejazd - powiedział uprzejmie.

Pierdol się - odparł arogancko chłopak i groźnie potrząsnął pękiem kluczy.

Dario poczuł nagły dreszcz strachu. Nie cierpiał żadnych kłopotów ani przemocy. Jednak na to się zanosilo, co zresztą przeczuwał od samego początku, gdy chłopak sam podszedł do niego na ulicy. Zwykle to Dario wykonywał pierwszy krok, gdyż pomimo swoich jasnych włosów i niebieskich oczu nie wyglądał na pedała. Wyglądał całkiem normalnie. Uważnie dobierał najbardziej męskie ubrania,

chodzil dużymi, męskimi krokami. Zawsze był nadzwyczaj ostrożny. Mając takiego ojca, nie mógł sobie na nic innego pozwolić.

Powoli zaczął cofać się do drzwi. W biurku w dużym pokoju trzymał swoje ubezpieczenie — mały, fikuśny pistolet, kaliber 25. W sam raz, aby napędzić strachu przypadkowemu znajomkowi.

Chłopak zaśmiał się.

— Dokąd? — Jego głos miał dziwną nosową barwę. Dario był prawie przy drzwiach.

— Zapomnij o pukawce — powiedział chłopak. — Zaopiekowałem się nią. A te klucze, to są twoje klucze, brachu. Rozumiesz? Twoje klucze. Rozumiesz, co to znaczy, nie? Znaczy to, że jesteśmy zatrzaśnięci w tym mieszkaniu lepiej niż dupa prezydenta Cartera. Mogę się założyć, brachu, że on ma bardzo ciasną dupę.

Chłopak wolno sięgnął do paska dżinsów i wyciągnął nóż, wyglądający jak sama śmierć. Dwadzieścia pięć centymetrów połyskującej stali.

Chciałeś mieć coś dużego w dupie — przedrzeźniał go — no to będziesz miał. Dostaniesz coś tak porządnego, że długo tego nie zapomnisz.

Dario stał bez ruchu koło drzwi. Myśli przebiegały mu jedna za drugą. Kim był ten chłopak? Czego od niego chciał? Co miał mu dać, żeby się odczepił? I wreszcie, czy to Lucky go nasłała? Czy ta dziwka chciała pozbyć się go raz na zawsze?

Jak na kobietę po sześćdziesiątce, Carrie Berkely wyglądała rewelacyjnie. Dwa sety tenisa dziennie utrzymywały ją w formie. Ryla szczupła i wysportowana. Czarne, gładko zaczesane do tyłu włosy, upięte dwiema diamentowymi spinkami, podkreślały rysy twarzy: wysokie kości policzkowe, skośne oczy, wydatne usta. Carrie nigdy nie była ładną kobietą. Kiedy była młoda jej wygląd wyrażał wybujały erotyzm. Teraz jednak, z włosami zaczesanymi do tyłu, skromnym makijażem, w eleganckim ubraniu, była elegancką kobietą. Szanowaną, zamożną, opanowaną. Była czarną damą, która w świecie białych wspięła się na szczyt kariery.

Prowadziła ciemnozielonego cadillaca Seville. Jechała wolno tuż przy krawężniku, szukając miejsca do zaparkowania. Cienka linia jej zaciśniętych ust wyrażała złość; i dokładnie tak się czuła była zła. Minęło wiele lat i cały czas jej sekret był bezpieczny. Aż jakiś nieznany głos w słuchawce sprawił, że nagle znalazła się w Nowym Jorku. Wracała do Harlemu, do przeszłości, o której myślała, że już dawno jest poza nią.

Szantaż — o to właśnie chodziło. Zwykły, pospolity szantaż.

Zatrzymała się na światłach i zamknęła oczy. Przez chwilę pomyślała o swoim synu Stevenie. Taka kariera, laki szanowany. Boże, gdyby kiedykolwiek dowiedział się prawdy... Myśl ta była nie do zniesienia.

Samochód za nią zatrąbił i ostro ruszyła spod świateł. Poklepała torebkę, która leżąc na siedzeniu obok dodawała jej pewności. To była ładna torebka, prezent gwiazdkowy od Stevena. Miał bardzo dobry gust. Jedyne głupstwo, jakie popełnił w życiu, to była ta dziwka, którą poślubił Zizi. Teraz już jej nie było w jego życiu i miała nigdy nie wrócić Pieniądze... Jakże słodka jest ich siła.

Carrie westchnęła i wsunęła rękę do torebki. Pod ręką poczuła chłód spoczywającego tam pistoletu. Dodało jej to odwagi. Błysk metalu, który miał być ostatecznym argumentem.

Miała nadzieję, że nie będzie go potrzebować. Wiedziała jednak, że będzie. Jeszcze raz westchnęła.

Gino Santangelo był zmęczony. To był długi lot, a ostatnie dziesięć minut wlokło się niemiłosiernie. Zapiął pas, zgasił cygaro i wszystko, czego teraz pragnął, to pewnie postawić nogi na dobrej, starej, amerykańskiej ziemi. Długo go nie było. Teraz wracał do domu i był z tego zadowolony.

Jedna ze stewardes z promiennym uśmiechem przemknęła obok jego fotela.

— Wszystko w porządku, panie Santangelo? — zapytała.

Co dziesięć minut było to samo: „Wszystko w porządku?“, „Czy przynieść panu coś do picia, panie Santangelo?“, „Poduszkę?“, „Może koc, panie Santangelo?“, „Gazetę?“, „Może coś do jedzenia, panie Santangelo?“. Sam prezydent nie byłby traktowany z taką troskliwością.

— Tak, dziękuję — odpowiedział Gino. Dziewczyna była ładna, ale dziwka, znał się na tym.

— No cóż — zachichotała. — Wkrótce będziemy na miejscu.

Tak, wkrótce będą na miejscu. W Nowym Jorku, jego mieście, na jego terenie, w jego domu. W Izraelu było nawet przyjemnie, taka przerwa na odpoczynek. Jednak te siedem lat wolałby spędzić we Włoszech.

Spojrzał na zegarek, złote cacko, które dziesięć lat temu dostał od pewnej jasnowłosej gwiazdy filmowej. Westchnął. Wkrótce będzie w domu... Wkrótce będzie musiał zająć się Lucky i Dariem. Niewątpliwie potrzebowali kilku ojcowskim rad.

— Czy przynieść coś panu, panie Santangelo? — zapytała inna stewardesa przechodząc obok. Pokręcił przecząco głową. Wkrótce...

wkrótce...

Lucky wyszła z biura Costy i zatrzymała się w korytarzu koło toalety. Przyjrzała się w lustrze swojej twarzy i nie była zadowolona z tego, co zobaczyła. Była to twarz /męczona i mizerna, o podkrążonych oczach, wymagająca wypoczynku i słońca. Z tym jednak Lucky musiała poczekać, aż sprawy jakoś się

ułożą.

Starannie poprawiła makijaż: róż, błyszczak. cienie do oczu. Rękoma ułożyła bujną plątaninę czarnych loków.

Miała na sobie dzinsy wpuszczone w wysokie buty i bladonicbieską koszulę. Większość guzików była swobodnie odpięta, tak że jej piersi praktycznie niczym nie były osłonięte. Z torebki wyciągnęła kilka złotych łańcuszków i zawiesiła je na szyi. Do tego dodała dwie grube bransolety i parę dużych, okrągłych koleczyków.

Teraz mogła pokazać się w mieście. Dom i puste mieszkanie to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała.

Wyszła z toalety i niecierpliwie nacisnęła przycisk windy. Na żywej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia. Obcasami dwustudolarowych butów wystukiwała nerwowy rytm. Costa starzał się. No i w stosunku do kogo był lojalny? Na pewno nie w stosunku do niej — chociaż pewnie twierdziłby odwrotnie. Była głupia, że nie zauważyła tego wcześniej.

Zerknęła na swego pancernego cariera. Było wpół do dziesiątej. Dwie godziny zmarnowane ze starym grzybem.

— Kurwa! — przekleństwo wymknęło jej się z ust, aż rozejrzała się dokoła, żeby zobaczyć, czy ktoś słyszał. Ale oczywiście było zbyt późno, aby ktokolwiek kręcił się jeszcze po budynku. Potężny biurowiec stał opustoszały.

W końcu winda przyjechała. Myśli Lucky przebiegały jak błyskawice. Co się stanie jeśli jej drogi tatuś naprawdę był już w drodze? Czy będzie chciał jej wysłuchać? Może... Bądź co bądź, nazywała się Santangelo i tylko ona z dwojga dzieci Gina do czegoś doszła. Przez siedem lat osiągnęła tak wiele, chociaż nie było to łatwe. Costa dużo jej pomógł. Ale teraz, kiedy wracał Gino. czy będzie nadal po jej stronie?

Lucky zafrasowała się jeszcze bardziej. Cholera. Gino, jej ojciec. Jedyne mężczyzna, który doradził jej co robić i jak żyć. Ale nie była już małą dziewczynką i Gino miał właśnie dowiedzieć się. że nie jest już szefem. Nic ma mowy. Nie miała zamiaru oddać teraz wszystkiego. Siła ostateczny afrodyzjak. Ona teraz rządziła i nie planowała tutaj żadnych zmian. Gino będzie musiał to zaakceptować.

Gdy Lucky weszła do windy, Steven Berkeley nawet nie uniósł wzroku znad gazety. W takich sytuacjach starał się unikać kontaktu wzrokowego, gdyż zwykle prowadził on do zdawkowych rozmów typu: „Ależ dzisiaj gorąco” albo „Ładną mamy pogodę”. Rozmowy w windzie to całkowite marnowanie czasu. Lucky też nie zwróciła na niego uwagi. Myślała o kłopotach, które ją czekały.

Steven nadal czytał gazetę, a Lucky była zajęta własnymi myślami, kiedy nagle winda gwałtownie zatrzymała się między piętrami; tak gwałtownie, że żołądki podeszły im do gardła. Zgasły ws/ysikie światła, zatapiając ich w głębokich ciemnościach.

Dario i ciemnowłosego chłopak ruszyli w tym samym momencie. Ale Dario był szybszy. Wyśliznął się

z sypialni i zatrzasnął drzwi tuż przed nosem napastnika. Na szczęście klucz był w zamku przekręcił go lxx wahania. Teraz on trzymał chłopaka zamkniętego w sypialni, a chłopak jego w mieszkaniu. Dario przeklął ten niezawodny system bezpieczeństwa. Zawsze myślał, że będzie go strzegł przed czymś wtargnięciem. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ktoś może go zamknąć w jego własnym mieszkaniu. Cholera, obaj byli w pułapce.

Co miał robić, zadzwonić na policję? Zrobiłby z siebie pośmiewisko. Wyważyliby drzwi, a co wtedy? Tylko wstyd i poniżenie, gdyż musiałby przyznać, że w sypialni zamknięta jest jego zwariowana nałożnica z nożem — co gorsze, męska nałożnica. Dowiedzieliby się.

że jest pedałem —

0 Boże, a gdyby doszło to do ojca...

Nie, Dario nie miał zamiaru dzwonić po policję.

Lucky oczywiście wiedziałaby, co robić w takiej sytuacji. Zawsze wiedziała, co robić. Ale jak miał zwrócić się do niej o pomoc, jeśli to ona mogła nasać chłopaka? W cholere z Lucky. Ochłonął, uspokoił się, nabrał pewności i odwagi. Pieprzy! Lucky.

Wściekłe kopnięcie w drzwi sypialni pobudziło Daria do natychmiastowego działania. Ze zgrozą stwierdził, że w biurku naprawdę nie ma pistoletu. Chłopak więc nie tylko miał nóż, ale i j e g o pistolet; w każdej chwili mógł odstrzelić zamek i wydostać się.

Dreszcz strachu przeszedł mu po ciele. Dokładnie w tej chwili zgasło światło i wszystko pokryły ciemności. Dario był w pułapce, zamknięty z jakimś maniakiem w śmiertelnej ciemności.

Carrie Berkeley była pewna, że się zgubiła. Ulice Harlemu kiedyś tak znajome — wydawały się odległe i nieprzyjazne. Zamknięta w klimatyzowanym cadillacu, oglądała przykry widok na zewnątrz. Z odkręconych hydrantów lała się woda na przepoeone chodniki, ospali ludzie grupami stali ociężale pod murami albo kucali na progach rozpadających się domów.

Cadillac nie był dobrym pomysłem. Powinna była wziąć taksówkę. Wszyscy jednak wiedzieli, że taksówkarze nie chcą już zapuszczać się na ulice

Harlemu — a szczególnie nie w środku fali upałów, kiedy wszyscy tu byli rozpaleni, źli i niespokojni.

Zauważyła supermarket i wjechała na przyległy parking. Postanowiła zostawić samochód i pójść pieszo. Nie było to niebezpieczne, teraz gdy na ulicy było pełno ludzi. A poza tym, miała przecież najlepszą przepustkę — czarną twarz. Zdecydowała pójść dalej pieszo, chociaż wiedziała, że nie powinna zbyt rzucić się w oczy. W sklepie mogła zapytać o drogę.

Zaparkowała samochód i weszła do supermarketu. Mimo że była czarna, ludzie zaczęli jej się przypatrywać. Zbyt późno spostrzegła, że nie pasuje do tego środowiska: miała drogie ubranie, używała drogich perfum. Diamentowe spinki we włosach, diamentowe kolczyki, pierścionek z diamentem — wszystko to powinna była zdjąć.

Tuż za nią szło dwoje młodych ludzi. Przyspieszyła kroku. Przy kasie siedziała dziewczyna zajęta dłubaniem w zębach.

— Czy może mi pani powiedzieć... — zaczęła Carrie. I nigdy tego zdania nie skończyła. Nagle cały sklep zatopił się w ciemnościach.

Huśtanie w powietrzu nigdy nie przeszkadzało Ginowi. Nawet to lubił. Zamykał wtedy oczy i mógł wyobrazić sobie, że płynie motorówką po wzburzonym morzu albo prowadzi półciężarówkę po skalistym gruncie. Nie mógł zrozumieć ludzi, którzy boją się latania.

Spojrzał na kobietę, samotnie siedzącą w przeciwległym rzędzie. Kurczowo trzymała małą, płaską butelkę, z której pociągała duże łyki, zapewne jakiegoś alkoholu.

Uśmiechnął się pokrzepiająco.

— To tylko taka letnia burza, nie ma się czym martwić. Wylądujemy, nim się pani zorientuje.

Kobieta była w średnim wieku, dobrze ubrana. Pewnie całkiem nieźle wyglądała, gdy była młodsza. Gino był dumny, że jest takim ekspertem od kobiecego wyglądu — no cóż, miał już najlepsze, *creme de la creme*: gwiazdy filmowe, dziewczyny z rewii, damy z towarzystwa. Tak, wiedział to i owo o kobietach.

— Ja... nie mogę znieść tego kołysania — wyznała, gdy odjęła butelkę od ust. — Po prostu nie cierpię tego.

Proszę się tu do mnie przysunąć, potrzynam panią za rękę, jeżeli to pomoże — zaproponował.

Kobieta aż podskoczyła na samą myśl o męskiej dłoni, która może dać jej poczucie bezpieczeństwa. Odpięła pas i na moment zawahała się.

— Jest pan pewien? — zapytała lekko drżącym głosem. Nie czekając na odpowiedź, usiadła obok niego, zapięła pas i wpiła długie, twarde paznokcie w jego dłoń.

Nie przeszkadzało mu to. Do diabła — jeśli tak czuła się lepiej.

— Pan pewnie myśli, że jestem strasznie głupia — powiedziała. — Ale jak tylko trzymam się kogoś, to już jestem dużo spokojniejsza.

— Tak, rozumiem panią. — Wyjrzał przez okno na rozciągające się poniżej morze światła. New York City. Co za wspaniałe widoki.

— A to co! — wykrzyknął nagle.

— Co się stało? — zapytała kobieta z przestraszeniem.

— Nic — odpowiedział Gino nonszalancko. Nie chciał jej już bardziej denerwować. A na pewno

zdenerwowałaby się, gdyby zobaczyła to co on!

Nowy Jork zniknął na jego oczach. Dopiero co widział bajeczne morze świateł i nagle wszystko zniknęło. Ocean ciemności. Jezusie!

Słyszał już o różnych powrotach do domu, ale ten był po prostu absurdalny.

Gino 1921

— Przestań! — Dlaczego?

— Wiesz dlaczego.

— Powiedz mi jeszcze raz.

— Gino, nie. Mówię serio — nie.

— Ale ty to lubisz...

— Nie, nie lubię. Oh, Gino!

Za każdym razem ta sama historia. Nie, Gino. Nie rób tego, Gino. Nie dotykaj mnie tam, Gino. Ale koniec zawsze był szczęśliwy. Jak tylko znajdował magiczny punkt, przestawały protestować, rozwierały uda i nawet nie zauważały, kiedy w miejsce palca pojawiał się duży, sztywny włoski kutas.

Gino Byk — takie miał przezwisko. I prawdą było, że przeleciał więcej dup niż jakikolwiek inny chłopak w okolicy. Nieźle jak na piętnastolatka.

Gino Santangelo to chłopiec, którego dało się lubić. Mieszkał teraz z dwunastą przyrodnią rodziną i myślał, jak by tu się wyrwać.

Przybył do Nowego Jorku, gdy miał trzy lata, w 1909 roku. Jego rodzice, młoda włoska para, słyszeli o fortunach, jakie można zrobić w Ameryce, i postanowili spróbować szczęścia. Matka, Mira, była ładną dziewiętnastolatką. Ojciec, Paolo, miał zaledwie lat dwadzieścia jeden, ale ze swoim czystym i niewinnym zapałem był gotowy na wszystko, czym Ameryka mogła zaskoczyć.

O robotę było ciężko. Mira dostała pracę w fabryce odzieżowej. Paolo zajmował się wszystkim, co tylko podeszło pod rękę i nie zawsze było to legalne.

Gino nie sprawiał kłopotów opiekunkom, które zajmowały się nim podczas pracy rodziców. Co wieczór matka odbierała go o wpół do szóstej. Była to chwila, której wyczekiwał cały dzień.

Raz, kiedy miał już pięć lat, matka nie przyszła. Kiedy i ojciec nie przyszedł, opiekunka rozżłościła się.

— Gdzie twoja mama, co? — krzyczała nad jego głową.

Tuk jakby on wiedział. Powstrzymywał łzy i czekał cierpliwie. W kotku

o siódmej pojawił się ojciec. Zmartwiony, z nagle postarzałą, ściągniętą twarzą.

Do tego czasu opiekunka dostała już szału.

Zapłaci mi pan dodatkowo, słyszy pan? O piątej trzydziści dziecka ma tu już nie być. Nie później.

W tym miejscu nastąpiła ostra i krótka wymiana zdań między ojcem

i opiekunką. Wymieniono obelgi, potem pieniądze. Już w wieku pięciu lat Gino zaobserwował, że jego ojciec nie należał do wygranych tego świata.

Gdzie jest mama? - spytał Gino.

Nie wiem burknął Paolo Wsadził syna na barana i ruszył w kierunku jednego pokoju, który nazywali domem. Tam go nakarmił i położył spać.

Ciemność nocy nie była pokrzepiająca. Gino rozpaczliwie tęsknił za matką, ale wiedział, że nie wolno mu płakać. Jeżeli nie będzie płakał, matka wróci przed porankiem. Jeżeli będzie...

Mira nigdy nie wróciła. Kierownik fabryki, w której pracowała, również zniknął. Był to starszy człowiek, mający trzy córki na utrzymaniu. Kiedy Gino podrośł nieco, odszukał je wszystkie i systematycznie, jedną po drugiej wyruchał. To była jedyna forma sprawiedliwości, jaka przyszła mu do głowy. Była to jednak pusta zemsta.

Zdrada Miry drastycznie zmieniła życie pozostałych członków rodziny. Paolo stał się zgorzkniały i brutalny, co najbardziej odczuwał

Gino. Zanim skończył siedem lat, pięć razy był w szpitalu lecz. był twardym chłopcem, który znał swoje miejsce na ziemi. Szybko nauczył się chować przed ojcem, jak tylko wyczuwał, że zbliżało się bicie. Ponieważ nie było innego dziecka, na którym Paolo mógłby wyładować złość, zaczął bić swoje liczne przyjaciółki. Te praktyki doprowadziły go do więzienia, a Gino zobaczył swój pierwszy dom zastępczy. Życie z ojcem było rajem w porównaniu z nowym doświadczeniem.

Paolo wkrótce stwierdził, że przestępstwo popłaca, i chętnie angażował się na wszelkie skoki. Więzienie stało się jego drugim domem, a Gino spędzał coraz więcej czasu w domach zastępczych.

Kiedy Paolo był na wolności, najbardziej interesowały go kobiety. Mówił na nie „suki”.

Wszystko, czego chcą. to seks - wyznał synowi. I tylko do tego się nadają.

Gino, czasami uwięziony w tym samym pokoju, przyglądał się, jak ojciec napiera! na nie jak byk. Budziło to w nim wstręt, a jednocześnie podniecało. Kiedy miał jedenaście lat, sam spróbował ze starą, zużytą dziwką. Stara chciwie porwała dwadzieścia centów i cały czas mamrotała różne przekleństwa.

W końcu Gino wyszedł. Obserwowany przez całe grono podziwiających kolegów, wzruszył ramionami.

Nawet to jest niezłe- przyznał. Lepsze od walenia konia.

Przyjdź jeszcze kiedyś, mały zaskrzeczała dziwka. Nawet jego jedenastoletnia męskość była dla niej nagrodą.

Gdy miał piętnaście lat, ulica już niczym nie mogła go zaskoczyć; był bystrym, sprytnym chłopakiem, który wiedział, kiedy i jak trzymać język za zębami. Podziwiany przez młodszych, poszukiwany przez starszych kiedy potrzebowali go do jakiejś mniejszej roboty, idol dziewcząt.

Dorośli byli w stosunku do niego nieufni: piętnastoletni chłopak z błyszczącymi, nieugiętymi oczyma mężczyzny. Mimo że zawsze się uśmiechał, było w nim coś niemal groźnego.

Nie był bardzo wysoki melr sześćdziesiąt siedem i to go martwiło. Gorliwie pracował nad swym ciałem. Biegał, giął w baseball, robił

przysiady, pompki i różne ćwiczenia rozciągające.

Miał czarne, kręcone włosy, jeszcze jedna li/yi/na cecha, która mu się nie podobała. Aby temu zaradzić, smarował włosy tłuszczem.

Miał ciemną i gładką cerę, bez szpetnego trądziku, który był plagą jego kolegów niewątpliwie dawało mu to pewną przewagę.

Obiektywnie oceniając, nic był pizyslojny; za duży nos. zbyt mięsiste wargi, ale miał cudowny uśmiech i wspaniałe zęby.

Połączenie tych cech zdało egzamin. Gino Santangelo miał styl.

Gino, nie!

Daj spokój, Susie. Daj mi go tylko tu położyć, koło ciebie. Nie wsadzę, przysięgam, że nie!

— Ale, Gino...

Tutaj. Przecież powiedziałem. I co, źle ci?

Mmm, chyba nie... Ale nie ruszaj, obiecaj, że nie będziesz ruszał. Jasne, że nie. Chcę tylko być blisko ciebie, to wszystko. Delikatnie wsunął w nią swego kulasa. Co robisz? — pisnęła.

— Tylko się poprawiam odpowiedział, wsuwając rękę między jej nogi, szukając magicznego punktu.

Susie lekko westchnęła. Znalazł go. Dobrze ci? spytał troskliwie. O tak, Gino, tak.

Wszystko grało. Żadnych kłopotów. Trzymając palce na celu, dopiero teraz zaczął rznąć ją porządnie.

Nie sprzeciwiała się. Potrafił dawać rozkosz. Już od dwunastego roku życia jego czwarta przyrodnia matka uczyła go, jak znajdywać ów magiczny punkt. Za te lekcje był wdzięczny do końca życia. Ta umiejętność dawała mu przewagę nad innymi chłopcami, którzy myśleli, że pieprzenie polega wyłącznie na szybkim pchaniu. Gino wiedział, że równie ważne jest, aby dziewczynie się podobało,

żeby pragnęła, a nawet błagała o to. Nigdy nie ujawnił kolegom swojego sekretu, a oni zawsze zazdrościli mu liczby sukcesów.

Podniecona Susie zaczęła alarmująco wić się na łóżku i ciężko chwytać powietrze. Przyspieszył ruchy.

Jak on uwielbiał być w środku cipy. Jak pragnął spotkać dziewczynę, która powiedziałaaby nie. Oooh, Gino!

Doszedł do orgazmu, wyszedł z niej i wciągnął majtki.

Nie powinniśmy byli tego robić - powiedziała Susie poważnie. Ale jej policzki promieniowały rozkoszą, a małe sutki żywo sterczały.

Dlaczego nie? Było przecież dobrze. Chichotem przyznała mu rację.

Gino szybko ubrał się i był już gotowy do wyjścia z porzuconego garażu. Było tam zimno i ponuro.

Muszę spotkać się z chłopakami usprawiedliwiał się.

— Zobaczymy się wkrótce? Tak, zawsze gdzieś tu jestem.

Susie odeszła w jedną stronę, Gino wsadził ręce głęboko w kieszenie i radośnie, dużymi krokami ruszył w drugą.

Chłopcy czekali na niego; grupa obdartych niedorajdów, kręcących się przed ruinami starej apteki. Jego najlepszym przyjacielem był

Catto, szczupły, ale silny chłopak, który pracował z ojcem na wysypisku śmieci i dlatego /ausze trochę od niego śmierdziało.

Nie moja wina Catto beztrzesko wrusza! ramionami. W domu nie mieli łazienki, a żeby dostać się do łaźni publicznych na 109-ej Ulicy, zwykle trzeba było czekać dwie godziny. Ambicją Catto było znaleźć dziewczynę z łazienką.

Drugim przyjacielem był Pinky Banana Kassari — wysoki chłopak, znany z tego, że publicznie pokazywał swojego dużego penisa, który rzeczywiście przypominał różowego banana — stąd przydomek. - Przeprowadziłeś jakieś dupy? — zapytał Pinky.

Nie, zerwałem z tym — odpowiedział Gino z szerokim uśmiechem. Zastrany kłamca... — wymamrotał Catto. Wszyscy wiedzieli, że dzień, kiedy Gino zawiedzie, będzie dniem niezwykłym.

Więc co dzisiaj robimy? — zapytał Gino. Chłopcy zaczęli mamrotać między sobą, przedstawili różne propozycje, aż w końcu zwrócili się do szefa, mówiąc jak zwykle: Ty zdecyduj.

Mówię wam, zabawimy się — zapewnił Gino. Był to sobotni wieczór, zaliczył już jedną dziewczynę i po prostu czuł się dobrze.

Nieważne było, że miał dziesięć centów przy duszy, dziury w butach, że przyrodni rodzice nienawidzili jego widoku. Chciał się zabawić, przecież miał prawo.

Wyruszyli do miasta jak banda szczurów, Gino na czele. Szedł z przesadną nonszalancją, wspinając się na palce, kołysał ciałem z boku na bok. Było ich ośmiu. Idąc zaczepiali i cmokali na napotkane dziewczęta:

— Hej, słodziutka, chcesz spróbować mojego nektaru?

— O la la, śliczna panienko, mogliby mnie zamknąć za to, co myślę!

Gino pierwszy zauważył samochód: duży, lśniący, biało-brązowy, zaparkowany trochę od niechcienia, i nie mógł uwierzyć w takie szczęście — z kluczykami w środku. W mgnieniu oka wszyscy jakoś wtłoczyli się do środka, Gino oczywiście przy kierownicy, i chwilę później ruszyli jak strzała. Przez ostatni miesiąc po ukończeniu szkoły pracował jako mechanik i zt obył dużą wiedzę o samochodach.

Natychmiast zorientował się, że prowadzenie samochodu było dla niego czymś zupełnie naturalnym. Po uporaniu się z biegami jechali już bez przeszkód prosto na Coney Island.

Promenada była opustoszała, od morza wiał lodowaty wiatr. Ale to im nie przeszkadzało. Z dziką radością biegali po plaży. Krzycząc i śmiejąc się rzucali w siebie kulkami z piasku.

Uzbrojony patrol policyjny nie miał problemów z zatrzymaniem chłopców. Cierpliwie czekali na nich przy skradzionym samochodzie.

Wtedy Gino po raz pierwszy wpadł w konflikt z policją. Sam chętnie przyznał się, że był kierowcą, i oskarżenie skupiło się głównie na nim. Dostał rok w Nowojorskim Domu Opieki dla Chłopców, który mieścił się w dzielnicy Bronx. Był to trudny do zniesienia zakład dla sierot i przestępców, którzy popełnili pierwsze wykroczenie.

Gino nigdy przedtem nie był zamknięty. Natychmiast poczuł się zagrożony i osaczony. Przełożeni zakładu, nazywani Braćmi, okazali się bandą twardych facetów. Dyscyplina była je-vnym porządkiem dnia, a zabawy z młodymi chłopcami porządkiem nocy. Dla Gina było to obrzydliwe. Mali chłopcy nie mieli szans bronić się.

Przydzielono mu pracę w warsztacie krawieckim. Nienawidził jej. Warsztat prowadził za pomocą metalowego pręta Brat Filip. Każdy chłopiec, złapany na maruderstwie, był bity metrowym prętem. Gdy przyszła kolej na Gina, Brat Filip złożył też inną propozycję. Gino napluł mu w twarz i od tamtego dnia był bity przynajmniej raz na trzy dni.

Po sześciu miesiącach pojawił się nowy, niespełna trzynastoletni, chudy sierota. Nazywał się Costa i często miał do czynienia z Bratem Filipem, który nie dawał małemu spokoju ani na chwilę. Chłopak protestował, ale nie wychodziło mu to na dobre. Pozostali chłopcy tępo patrzyli, jak Brat Filip siłą wynosił Costę na zaplecze i tam robił z nim takie rzeczy, że mały krzyczał jak w agonii.

Gino, jak i inni, nic nie mógł zrobić. Minęło sześć tygodni. Costa kurczył się w oczach. Do zakładu

przyszedł już chudy i niedożywiony, ale teraz wyglądał jak patyk. Gino starał się nie mieszać. Aby przeżyć, należało pilnować własnego nosa.

Następnym razem, kiedy Costa został zabrany na zaplecze, Gino poczuł, że coś się w nim obudziło. Chłopak skomlał i protestował, ale Brat Filip złapał go za rękę, wciągnął do pomieszczenia i z trzaskiem zamknął drzwi. Płacz i krzyki rozpoczęły się niemal natychmiast.

Gino zdecydował się. Chwycił ze stołu nożyczki i wszedł za nimi.

Otworzył drzwi i zobaczył chłopca pólężącego na stole, ze spuszczoneymi aż do kostek spodniami i majtkami. Brat Filip stał za nim z odpiętym roz-porkiem, przygotowany na następne pchnięcie w odbyt małego Costy. Sukinsyn nawet się nie odwrócił, tak był pochłonięty swoją przyjemnością. Wszedł w chłopca penetrując i kalecząc jego wątłe ciało. Costa krzyczał z przeraźliwego bólu.

Gino nie myśląc wiele, rzucił się na Brata Filipa. Nożyczki rozdarły kurtkę i ugodziły znieawidzonego oprawcę w ramię.

— Złaż z niego, ty śmierdzący sukinsynu, zostaw go! — krzyczał na całe gardło.

Brat Filip, zaskoczony tuż przed osiągnięciem orgazmu, próbował się bronić, co nie odniosło żadnego skutku. Gino nie panował nad gniewem. Nagle wydawało mu się, że zaatakował własnego ojca. W ślepych otumanieniu winił go za wszystko: za to, że matka odeszła od nich, za bicie, za parszywe zastępcze domy, za nędzne jednopokojowe mieszkania, które były jedynymi domami, jakie znał.

Krzyczał i kłuł nożyczkami jednocześnie. Nie przestał, dopóki ten cholerny skurwysyn nie zwałił się na podłogę. Ocknął się wtedy i wrócił do rzeczywistości. Znów widział jasno, a to, co zobaczył, nie wyglądało dobrze.

Carrie 1913—1926

Było to długie, gorące lato w Filadelfii. Lureen Jones usiadła na łóżku, które dzieliła z sześciolatnim bratem Leroyem. Po jej ładnej czarnej twarzy spływały łzy. Miała trzynaście lat i była w ósmym miesiącu ciąży. Nikt o tym nie wiedział. Nie miała też nikogo, do kogo mogłaby zwrócić się o pomoc. Nie miała ojca, nie miała pieniędzy, a jej matka Ella, chuda, zniszczona kobieta, sprzedawała się za narkotyki.

Leroy westchnął przez sen i Lureen położyła się do łóżka. Nie mogła usnąć. Przyszli „przyjaciele” matki i z dołu dolatywała głośna muzyka. Po chwili rozległy się inne dźwięki: jęki i sapania, stłumione krzyki, aż w końcu wyraźne odgłosy bicia.

Włożyła w uszy watę i mocno zacisnęła powieki. Po dłuższym czasie usnęła.

Śniły się jej jakieś koszmary... coś ją dusiło... chciała coś powiedzieć... słyszała własny krzyk.

Nagle otworzyła oczy. Krzyk rzeczywiście się rozlegał. Wskoczyła z łóżka i poczuła dym, którego całe kłęby wtargnęły, gdy otworzyła drzwi sypialni.

Zaczęła się dusić, ale zmusiła się do wyjścia z pokoju. Cały dom stał w ogniu. Płomienie sięgały już szczytu schodów. Z dołu dochodziły przerażające krzyki.

Może to dziwne, ale nie wpadła w panikę. Chociaż łzy strumieniami płynęły jej po twarzy, wiedziała dokładnie, co ma robić.

Wróciła do sypialni, zamknęła drzwi, otworzyła okno i krzyknęła do gromadzących się na ulicy ludzi, żeby złapali Leroya. Wyciągnęła go z łóżka i po prostu wyrzuciła przez okno.

Płomienie z hukiem wtargnęły do pokoju i były tuż za nią, aż w końcu sama wyskoczyła. Upadła na chodnik. Rozległ się wyraźny, ostry trzask łamanych kości. Leżała w kałuży krwi.

Ratujcie moje dziecko... Bo że. proszę, ratujcie dziecko -- resztkami głosu błagała lekarza pogotowia.

Zmarła, nim dowieźli ją do szpitala.

Lekarz, który ją przywiózł, przekazał pełniącemu dyżur młodemu stażystce, że Lureen była w ciąży, i ten zaczął nasłuchiwać tętna dziecka. Dziecko żyło. choć puls był ledwie słyszalny. Młody człowiek wręcz zmusił kompetentnego lekarza, żeby zrobił zmarłej dziewczynie cesarskie cięcie. Mała Carrie przysła na świat w niecałą godzinę później.

Szansę na przeżycie miała znikome. Była bardzo drobna, z trudem oddychała. Lekarz, który pomógł jej przyjść na świat. wątpił, żeby żyła dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

Ale Carrie nazwana tak przez pielęgniarki jakoś się trzymała. Przeżyła upadek matki dzięki amortyzacji wód płodowych, które zadziałały jak poduszka antywstrząsowa. Przeżyła również przedwczesne przyjście na świat.

Z każdym tygodniem wprawiała wszystkich w zdumienie. Tygodnie przeszły w miesiące, Carrie nabrała nieco ciała i stała się normalnym, silnym dzieckiem. Była zupełnie zdrowa, tak że wkrótce mogła już opuścić troskliwie opiekujący się nią szpital. Był tylko jeden problem — nikt jej nie chciał.

Jedynymi krewnymi, jakich miała na świecie, byli: babcia Ella wyciągnięta z ognia w zamroczeniu alkoholowym, oraz Leroy, sześciolatek wujek.

Ella nie uśmiechało się, aby przyjąć jeszcze jedną gębę do wyżywienia. W szpitalu długo i głośno krzyczała, że nie ma z nią nic wspólnego. Pielęgniarki były przerażone, że dziecko, które same wyżywiły i kochały, ma być oddane takiej kobiecie. Szczególnie bolało to jedną z nich, Sonny. Była dobrą matką z trójką własnych dzieci i zaproponowała, że weźmie Carry do siebie.

Ella zgodziła się natychmiast. Tak więc Sonny zabrała dziecko do domu i wychowała jak własną córkę, nigdy nie wspominając o tragicznym początku jej życia. Stanowiły biedną rodzinę, gdzie jednak uczucie miłości rekompensowało niedostatki finansowe. Carrie wkrótce stała się pełnoprawnym członkiem rodziny.

Gdy miała trzynaście lat. Lila znów się pojawiła w jej życiu, kładąc kres szczęśliwej młodości.

Kim była ta obca, pomarszczona, rozdygotana kobieta z zapadłymi oczyma i przerzedzonymi włosami? Od czasu pożaru Ella nie miała łatwego życia. Komu była potrzebna dziwka z trzęsącym się ciałem i zdeformowaną twarzą? Przez krótki okres jakoś dawała sobie radę.

lecz wkrótce musiała zacząć kraść, aby zdobyć pieniądze na narkotyki. Leroy zdawał się być ostatnią deską ratunku. Był młody i silny, więc Ella zabrała go ze szkoły i wysłała do pracy. W wieku dwunastu lat utrzymywał siebie i matkę. Całymi dniami pracował jak wół, gdy Ella, zmarnowana i nętaszerowana narkotykami, obijała się z kąta w kąt w wynajmowanym jednopokojowym mieszkaniu. Jak tylko skończył osiemnaście lat, natychmiast uciekł. Ella została sama. Słaba, leciwa kobieta o kiepskim zdrowiu, bez pieniędzy/iy na życie.

To właśnie wtedy pierwszy raz pomyślała o wnuczce — jak ona miała na imię? Carey... Carrie — tak, Carrie. Jeżeli Leroy mógł dla niej pracować, dlaczego nie mogłaby córka Lureen? Przecież była krewną.

Ella postanowiła ją odszukać.

Do Nowego Jorku przybyły pod koniec lata 1926 roku — trzynastoletnia dziewczynka z babcią. Ella myślała, że tu będzie można zarobić więcej pieniędzy. Zresztą chciała mieszkać w dużym mieście, gdzie się dużo działo.

Lecz wszystko, co się wydarzyło, to to, że mieszkały w małym, obskurnym pokoju, a Carrie szorowała podłogę w kuchni pewnej restauracji. Dziewczyna wyglądała na starszą, niż była; wysoka, o dużych piersiach, gładkich, czarnych włosach i czystym spojrzeniu.

Ella, którą męczył teraz dokuczliwy kaszel, uważała, że dziecko miało duże możliwości — dużo większe niż mycie podłóg. Ale musiała jeszcze cierpliwie poczekać. Dziewczynka była trudna, czasami nawet buntownicza. Można by przypuszczać, że powinna się cieszyć, że babcia ją odnalazła. Ale gdzie tam. Dantejskie sceny rozgrywały się przy próbie odebrania jej od rodziny, która ją wychowała. Trzeba było wezwać policję i dopiero wtedy Ella dowiodła swoich praw. Carrie musiała z nią pójść. Dobry Boże, wszak była babcią dziewczynki, jej jedyną prawdziwą krewną, i żadne argumenty nie mogły zmienić tego faktu.

— Ile masz lat? — zapytał gruby kucharz.

Carrie, która myła klęcząc brudną podłogę kuchni, nerwowo podniosła wzrok.

— Mogę się założyć, że nie masz szesnastu — szydził z niej. Codziennie rozmowa wyglądała tak samo. Za każdym razem mówiła mu, że ma szesnaście lat, a on nigdy nie wierzył.

No więc? — oblizwał wąskie usta. — Co z tym zrobimy? Hm? - mruknęła.

— Co z tym zrobimy? Mówię ci, jak szef się dowie, że jesteś nieletnia, to cię wypieprzy na zбитy pysk, szybciej niż dziwka ściąga gacie.

Carrie dalej szorowała podh gę. Myślała, że jak go zignoruje, to da jej spokój.

— Czarna, mówię do ciebie. Pochylił się nad nią. — Słuchaj no, ja nie muszę nikomu nic mówić. Jeśli będziesz dla mnie miła, to nic nie powiem.

Zanim zdążyła się ruszyć, pulchna łapa wylądowała pod jej spódnicą. Odskokczyła i jednocześnie wywróciła wiadro z mydlinami.

Niech się pan nie waży mnie dotykać! Wycofał się, a jego tłusta twarz poczerwieniała.

W tej chwili wszedł szef kuchni, chudy, wymizerowany człowiek, który nienawidził kolorowych. Jego zimne oczy zatrzymały się na kałuży mydlin.

Posprzątaj to powiedział do Carry, patrząc na ścianę za jej plecami, jakby ona sama nie istniała. Potem wynoś się stąd w cholerę.

— Głupiaś - rzekł gruby kucharz dłubiąc w uchu. Nic bym ci przecież nie zrobił.

Carrie powoli starła rozlaną wodę. Nie bardzo rozumiała, czym stało się jej życie. Chciało jej się płakać, ale nie miała już lez. Odkąd zabrała ją kobieta, która nazywała się jej babcią, płakała już tak wiele razy, że wypłakała Izy na kilka lat naprzód. Życie w Nowym Jorku zamiast szkoły szorowanie podłóg od rana do wieczora.

Zepsuli cię powtarzała babcia Ella. — Ale teraz koniec tego, moja droga, słyszysz? Twoja mama zawsze pracowała, sprzątała dom, opiekowała się bratem. Kochała każdą chwilę pracy.

Carrie każdej chwili nienawidziła. Nienawidziła babci, Nowego Jorku i pracy. Pragnęła jedynie wrócić do Filadelfii, do domu i do ludzi, których uważała za swoją rodzinę.

Teraz wylali ją z roboty i babcia Ella będzie wściekła. Nie będzie też mogła schować centa lub dwóch, które czasami znajdowała na podłodze. Uważała, że jest to niesprawiedliwość.

Po sprzątnięciu wyszła z restauracji. Zdezorientowana stanęła na chodniku i zastanawiała się, co robić. Może powinna poszukać innej pracy, zanim babcia zorientuje się, że ją wylali?

Nadchodziła zima. Było już chłodno, a Carrie nie miała płaszcza. Trzęsąc się z zimna przechodziła z głodnym wzrokiem obok małych sklepików, skąd dochodziły odgłosy smażenia hot-dogów. Spojrzenia, które rzucała przez szybę, to wszystko, na co ją było stać; zresztą i tak Murzynów tam nie wpuszczano.

W Nowym Jorku Carrie poznała, co to znaczy być Murzynką. Tu po raz pierwszy usłyszała słowo „czarnuch” i nauczyła się po prostu nie słyszeć, gdy ktoś robił uwagi o kolorze jej skóry. W Filadelfii biali byli w mniejszości. Mieszkała w dzielnicy kolorowych, chodziła do swojej szkoły. Z jakiego powodu biali uważali się tu za lepszych?

Mężczyźni przyglądali się jej, gdy w pośpiechu przemierzała ulicę. Za jakiś czas będą ją oglądać dokładniej. Sweter miała ciasno opięty na piersiach, nie lubiła, jak podskakiwały przy każdym kroku.

Mama Sonny obiecała jej biustonosz, ale kiedy wspomniała o tym Elli, babcia spojrzała na nią ostro i powiedziała:

Nie wstydz się, kochanie. Pokaż im swoje cycki. Jak im zaczniesz stawać, to zawsze będziesz mieć robotę.

Ale przecież to nie była prawda. Gdyby ten gruby kucharz trzymał łapy przy sobie, nie wyrzuciliby jej z pracy.

Przeszła obok włoskiej restauracji, która wyglądała przytulnie i zachęcająco. Stała przed wejściem i dygotała z zimna. Wiatr smagał

jej ciało, aż dostała gęsiej skórki. Otuliła się swetrem i zastanawiała, co robić. Jakiś włóczęga przeszedł obok niej chwiejnym krokiem i poczuła odór alkoholu, co przypomniało jej o babci Elli. Carrie wiedziała, że musi się ruszyć. Zresztą, co najgorszego mogło ją spotkać, gdy wejdzie do środka? Przecież nie mogli jej zjeść, najwyżej zwymyślać. A w Nowym Jorku można do tego się przyzwyczaić. .

Zebrawszy się na odwagę, powoli przekroczyła prog, czego zaraz pożałowała. Wydawało jej się, że stoi tam z godzinę i że wszyscy patrzą na nią. Po kilku sekundach zjawił się wysoki mężczyzna. Przygotowała się, że zaraz ją wyrzuci.

No co? - zapytał. - Chcesz stolik? Nie wierzyła własnym uszom. Stolik! Dla niej? Kolorowa dziewczyna w restauracji dla białych! Czy ten człowiek był normalny?

Szukam pracy wydusiła z siebie. Mycie podłóg, zmywanie... cokolwiek.

Aha! powiedział głośno mężczyzna. Szukasz roboty/ Chodźmy więc do kuchni. Wątpię, żebyśmy coś mieli dla ciebie, ale zobaczymy.

Lubisz gorące spaghetti?

Carrie nie miała pojęcia, co to jest gorące spaghetti, ale wszystko, co gorące, wydawało jej się wspaniałą potrawą. Pokiwała głową, że tak.

Nie mogła uwierzyć we własne szczęście, że spotkała tak miłego człowieka. Objął ją ramieniem i przeszli przez całą restaurację do kuchni. Tam poznała jego żonę Luisę i dowiedziała się, że mężczyzna ma na imię Vincenzo. Tak się ją zajmowali, jakby nie zauważali, jaką ma skórę.

Ona jest taka młoda -- powiedziała Luisa. — To jeszcze dziecko.

— Mam szesnaście lat — skłamała Carrie, ale po spojrzeniach, które wymienili, wiedziała, że jej nie wierzą. Ona sama chciała mówić prawdę, ale nastraszyła ją babcia Ella.

— Jeśli przyznasz się, ile masz lat mówiła - zamkną cię w takim domu dla złych dziewczynek, które nie chcą chodzić do szkoły. To było takie nieuczciwe. Babcia sama zabrała ją ze szkoły i zniszczyła życie.

Vincenzo i Luisa nie mieli dla niej pracy w restauracji. Kuchnia była mała i mieli już trzech pomocników. Vincenzo popytał się jednak wkoło i przyniósł dobre wieści. Pan Bernard Dimes, ich stały klient, potrzebował sprzątaczkę w swoim domu i jeśli tylko chciała, mogła dostać tę pracę, Gdyby tylko chciała... pewnie, że chciała! .

Vincenzo zabrał ją na salę i przedstawił panu Dimesowi, który obejrzał dziewczynę spokojnymi, brązowymi oczyma.

Możesz zacząć od poniedziałku? - zapytał.

Pokiwała głową, zbyt onieśmielona, żeby się odezwać.

Z restauracji wyszła zupełnie oszołomiona, wręcz nieprzytomna ze szczęścia. Ale co miała powiedzieć babci? Prawdę, że będzie pracować w prywatnym domu i zarabiać więcej pieniędzy? Czy kłamstwo, że ciągle zmywa podłogi?

Chociaż było to wbrew jej naturze, kłamstwo wydawało się rozsądniejsze. W ten sposób oddając tę samą sumę mogłaby zaoszczędzić więcej dla siebie.

Pracowała tak już od miesiąca. Codziennie wychodziła z obskurnego pokoju, który dzieliła z babcią, i jechała do centrum, do wspaniałego domu pana Dimesa przy Park Avenue. Jej bezpośrednim zwierzchnikiem był dozorca. Pana Dimesa Carrie widziała tylko dwa razy i za każdym razem uśmiechnął się i zapytał o zdrowie.

Wydawało jej się, że zna go dobrze. Codziennie ścieliła jego łóżko, zmieniała jedwabną pościel, czyściła łazienkę, pastowała buty, prała i prasowała, ścierała kurze w gabinecie, gdzie czasami zatrzymywała się dłużej przy zdjęciach w srebrnych ramkach. Zdjęcia pochodziły z różnych uroczystości.

Pan Dimes był producentem teatralnym. Nie miał żony, czasami tylko podczas różnych spotkań towarzyszyło mu kilka starannie ubranych blondynek. Nigdy jednak nie zostawały na noc tego Carrie była pewna. Był dla niej najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Odkryła, że miał trzydzieści trzy lata i był bardzo bogaty.

Któregoś dnia dozorca zaproponował Carrie, że mogłaby zamieszkać w tym samym domu przy Park Avenue.

— Jest jeden mały pokój na dole. Pewnie byłoby ci tam wygodniej, niż dojeżdżać codziennie.

— Dziękuję bardzo — ucieszyła się ze wspaniałej propozycji.

— No, to załatwione — odparł dozorca. — Możesz przynieść swoje rzeczy w poniedziałek.

Carrie nie mogła pozbierać myśli. Teraz się uda! Babcia Ella jej nie znajdzie. Nic nie wiedziała o nowej pracy i nigdy nie zbierze dość energii, żeby ją odszukać.

Będzie mieszkała w domu przy Park Avenue — brzmiało to zupełnie jak sen. Własny pokój! I jeszcze

pięć dolarów tygodniowo! W

krótkim czasie zaoszczędzi na podróż do Filadelfii, wróci do prawdziwej rodziny.

Był piątek, więc musiała tylko przeżyć przez weekend. Planując w myślach ucieczkę pospieszyła do domu. Babcia, jak zwykle w piątek wieczór, czekała na pieniądze. Porwała je natychmiast i wyszła z domu.

Carrie położyła się na łóżku. Była zbyt zmęczona, żeby zwlec się na dół do restauracji po kawałek kurczaka lub trochę kaszy. Gdzieś z ulicy dochodziła głośnie muzyka jazzowa. Pragnęła jedynie zamknąć oczy i jak najszybciej usnąć. Im szybciej uśnie, tym szybciej będzie sobota, potem niedziela, a potem...

Dwie godziny później zbudziło ją szarpanie. Twarda ręka tarła ją za ramię.

Wolno oprzytomniała i przetarła oczy.

O co chodzi, babciu? Co się stało? Ale to nie była jej babcia, a bardzo wysoki, czarny chłopak z dużymi oczyma i szopą włosów na głowie.

— Kto to? — pisnęła.

— Tylko się nie bój — odparł chłopak szczerząc zęby w uśmiechu. Jestem Leroy, szukam matki.

-- Jak tu wszedłeś? — Po chwili sama zauważyła, że wystarczyło kopnąć parę razy w drzwi. Zmurszałe deski nie stanowiły żadnej przeszkody

-- Domyślam się, że jesteś dzieckiem Lureen. Ktoś mi powiedział, że mama była tak dobra i wzięła cię do siebie.

Carrie usiadła na łóżku. Słyszała o Leroyu. Babcia często o nim mówiła: „Ten zasrany, głupi szczur uciekł od własnej matki. Jak kiedyś jeszcze spotkam tego gnoja, rozwalę mu łeb!”

— Nie ma jej. Najlepiej przyjdź jutro. Leroy usiadł wygodnie na łóżku.

— Dziewczyno, ja się stąd nie ruszę! Jestem cholernie zmęczony. Macie tu coś do jedzenia?

— Cholera, jak zwykle u kochanej mamusi. Jego duże oczy dokładnie ją zlustrowały. - Pewnie tyrasz dla niej tak jak ja kiedyś.

Zatrzymał wzrok na jej piersiach, które skąpo zakrywała koszulka. Jesteś ładną laleczką. Głowę dam, że mama robi na tobie niezłą iorsę.

Carrie podciągnęła koc do góry.

_ Pracuję jako sprzątaczką — odpowiedziała spokojnie, marząc w duchu, żeby sobie już poszedł.

— Sprzątaczką, co? U jakiegoś grubego białego, co?

— W restauracji.

— W restauracji... gówno! -- Zaczął obgryzać paznokcie i przyglądać się jej spod przymrużonych powiek.

Nagle Carrie poczuła się niepewnie. Jakby nagle w jej głowie włączył się system alarmowy: Niebezpieczeństwo, Niebezpieczeństwo, Niebezpieczeństwo.

Ruszyła w tym samym czasie co on. Ale Leroy był większy i silniejszy natychmiast przycisnął jej rękę do łóżka.

— Nie próbuj mi wmawiać, że nie sprzedajesz dupy! szydził z niej. Jedną ręką przytrzymał ją za nadgarstki, drugą obmacywał całe ciało.

— Zostaw mnie! — krzyczała bez tchu.

— A to niby dlaczego? — zaśmiał się. Ja nie muszę płacie, dostaję za darmo. Jestem twoim wujkiem, mała.

Jednym gwałtownym szarpnięciem zerwał z mej koszulkę. I rohowała podnieść się, żeby go z siebie zrzucić, ale przycisnął ją ciężarem ciała, siłą rozsunął uda i wszedł w nią.

Ból był ogromny. Ale nie był to ból, z powodu którego krzyczałaby. Była to raczej frustracja, wściekłość i totalna niemoc.

----- Hej, hej, hej! śmiał się robiąc to jednocześnie. Nie kłamałaś, byłaś dziewicą. Cholera, możemy razem zrobić niezłą fortunę! Ta twoja ciasna dziupla może przynieść nam sporo forsy. Skończył i puścił ją.

Leżała bez ruchu, zbyt przerażona, żeby zrobić cokolwiek. Między nogami czuła palącą lepkość. Więc to było to, o co chodziło. Tego chcieli mężczyźni. To był seks.

Leroy kręcił się wesoło po pokoju. Zapinał spodnie i mówił coś do siebie pod nosem, przeszukując jednocześnie półki.

— Macie jakieś pieniądze? — zapytał.

Pomyślała szybko o kilku dolarach, które udało jej się zaoszczędzić. Były ukryte w pończosze pod materacem.

— Nie, ani centa — wymamrotała pragnąc, żeby babcia Ella już wróciła i zobaczyła, co jej zrobił Leroy.

— Cholera! — krzyknął. Nie ma pieniędzy, nie ma wódki. Do dupy! Coś mi się wydaje, że oprócz

małego dmuchania nie ma tu nic do roboty. — I nagle znowu siedział na Carrie okrakiem, przyciskając ją chudymi nogami i nacierając na nią swoim interesem.

Opanowały ją fale ciemności; czuła, że zapada się uciekając od bólu...

— No, co ty, mała, powinnaś być zadowolona usłyszała jego głos. — To dla mnie żadna przyjemność, jak ty nie jesteś zadowolona.

Kiedy doszła do siebie, usłyszała jakieś głosy, słowa, które nie miały sensu. Czuła się zdruzgotana, zużyta, a co najgorsze, całkowicie bezradna. To był głos babci. Dzięki Bogu, już wróciła! Próbowała usiąść, ale siły zupełnie ją opuściły.

— Wyświadczyłeś nam wszystkim dużą przysługę — skrzeczała babcia Ella. — Uruchomiłeś jej małą, ciasną cipkę, możemy teraz sporo zarobić. Wiesz Leroy, chciałam poczekać, aż będzie miała czternaście lat, ale teraz... no cóż, myślę, że mamy najlepszą lalę w interesie!

Gino 1921—1923

Brat Filip przez trzy tygodnie walczył o życie. Gino nic o tym nie wiedział. Myślał, że go zabił. A tak naprawdę to było mu wszystko jedno. Zdarzenie z nożyczkami zrobiło z niego bohatera.

Gazety zainteresowały się tą historią. Gino siedział jeszcze wtedy w okręgowym więzieniu w Bronx i czekał na zeznania w sądzie.

SKANDAL WŚRÓD NIELETNICH - krzyczały nagłówki — DZIECI OBROŃCAMI DZIECI. Ofiary Brata Filipa nie musiały już niczego taić, teraz, kiedy był on bezpiecznie daleko.

Zdjęcie Costy również pojawiło się w gazetach — mały chłopiec o szeroko otwartych oczach. Jego historia trafiła do serc całego narodu, a Franklin Zennocotti, bogaty prawnik z San Francisco, postanowił adoptować chłopca i dać mu szansę na nowe życie, jak tylko skończą się przesłuchania.

Gino miał szczęście. Opinia publiczna była po jego stronie. Sąd zdecydował zawiesić dalszą karę i wypuścić go na sześciomiesięczny okres próbny.

Przed budynkiem sądu spotka! Coste. Nigdy wcześniej nie zamienili ze sobą dwóch zdań. Costa wyciągnął drobną dłoń.

- Dziękuję. Gino, dziękuję ci za życie. Mam nadzieję, że któregoś dnia będę mógł się odwdzięczyć.

Gino był zażenowany. Wycofał rękę z uścisku i zaśmiał się zakłopotany.

- Nie ma o czym mówić. mały. Drobiazg.

Patrzył, jak Costa odchodzi z nowym ojcem. Poczł zazdrość. Dlaczego jemu nikt nie zaproponował nowego życia. Też był w gazetach.

Dlaczego nikt nie chciał go adoptować.

No tak. On przecież miał ojca. Tylko ze sukinsyn siedział teraz w pudle. Spojrzał na świstek papieru z ostatnim adresem Paola. Chociaż siedział w pierdłu, ponownie się ożenił. Gino miał zamieszkać z jego nową żoną, kobietą, którą widział przez dwie minuty w sądzie, ciemną blondynką z parą dużych cycków.

Gdy tylko pomyślał o jej piersiach, natychmiast dostał erekcji. Był zamknięty dokładnie dziewięć miesięcy i już go swędziło w gaciach.

Masturbacja nigdy specjalnie mu się nie podobała, szczególnie w zakładzie, gdzie każdy chłopak robił to samo. Chciał prawdziwej dupy. I to natychmiast.

Podniósł walizkę, w której miał wszystkie swoje rzeczy. Chciał zostawić ją w domu i wyruszyć na poszukiwanie jakiejś rasowej cipy.

Idąc czuł, jak członek nieprzyjemnie ociera mu się o spodnie, ale szeroki uśmiech nie zniknął mu z twarzy. Był wolny. Znowu na ulicy.

To było wspaniałe uczucie.

Mężczyzna sapał, wzdychał, stękał, aż w końcu doszedł do orgazmu. Wstał, zaczął się ubierać, uważając, aby nie patrzeć na kobietę leżącą na łóżku.

Kobieta nazywała się Vera i była tą blondynką z piersiami, którą poślubił ojciec Gina.

Złączyła nogi, obciągnęła spódnicę i w milczeniu obserwowała, jak mężczyzna kończył się ubierać, położył na stole pieniądze i wyszedł. Była zmęczona. Bogu dzięki, że do pieprzenia nie trzeba wiele energii. Wystarczy rozłożyć nogi, a reszta sama jakoś pójdzie.

To był ciężki tydzień. Musiała odwiedzić Paola w więzieniu Sing Sing, potem pójść do sądu i zeznać, że jego syn mógł z nią zamieszkać.

Gówna prawda! Poszła tylko dlatego, że Paolo tak chciał.

Nie musi z nami mieszkać tłumaczył jej. Ale musisz powiedzieć, że może. bo znowu pójdzie do jakiegoś domu zastępczego. Kiedy przyjdzie, dasz mu dwadzieścia dolarów i powiesz, żeby spadał.

Vera skrzywiła się. Na pewno, dwadzieścia dolarów! Da mu nie więcej niż pieć.

Wstała i zgarnęła pieniądze ze stołu. Głosem zupełnie bez wyrazu odpowiedziała na stukanie do drzwi.

To był jeden z jej stałych klientów, więc wszelkie słowa były zbędne.

Z powrotem położyła się na łóżku, zadarła spódnicę i rozwarła uda. Gdy mężczyzna odpinał spodnie, z trudem ukrywała ziewanie.

Gino beztrąsko podskakiwał, idąc ulicą. Tak się cieszył z wolności, że nawet nie zauważał

dokuczliwego upału. A było naprawdę gorąco — powyżej trzydziestu stopni, bezwietrznie. Myślał o swoich kolegach. Czy jeszcze ich tu zastanie? A Susie i inne dziewczyny, które mu dawały? Która z nich będzie miała szczęście dziś wieczorem?

Jeszcze raz spojrzął na kartkę z adresem. Był prawie na miejscu. Na ulicy z hydrantu lała się woda. a dokoła meno biegła grupka nagich dzieci. Jakiś starzec dłubiąc w nosie usiadł na schodach domu. który był podzielony na oddzielne mieszkania. Numer sześć był na pierwszym piętrze. Zapukał raz, potem drugi. Kiedy nie było odpowiedzi, nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły.

Jego nowa przyrodnia matka właśnie pieprzyła się z jakimś facetem. Nie była zbytnio zakłopotana niespodziewaną wizytą.

— Jestem zajęta powiedziała doskonale monotonnym głosem. Gino sam to zauważył. Wrzucił walizkę do pokoju.

— Przyjdę później wykrztusił.

Szybko zamknął za sobą drzwi. O co tu, do cholery, chodziło? Zrozumiał po chwili. To jasne, była dziwką. Jaką kobietę poślubiłby jego ojciec?

Wsiadł w zatłoczone i śmierdzące potem metro i pojechał na Coney Island. Na plaży było jeszcze gorzej. Przeciskał się między leżącymi ciałami, szukając znajomych twarzy. Stara paczka zawsze się tu zbierała, gdy w mieście było za gorąco. Nie znalazłszy nikogo znajomego, rozebrał się do spodenek, wszedł do morza i dopłynął do drewnianego mola, gdzie również panował niemiłosierny tłok.

Dwie siostry przyglądały mu się i po chwili zaczęły chichotać.

— Często tu przychodzicie? — zapytał. - Wyświechtane frazesy zawsze najlepiej działały.

Po godzinie byli już trójką dobrych znajomych. Razem pływali, nurkowali, ścigali się do brzegu. Gino musiał bardzo uważać, żeby nie zauważyły, co działo się w jego majtkach. Jakoś udawało mu się to ukryć, choć z trudem.

Jednak kiedy zaczęło się robić ciemno i rodziny z wrzeszczącymi dziećmi opuszczały plażę jedna po drugiej, Gino wiedział, że dłużej nie wytrzyma.

Siostry też już zaczęły zbierać się do domu.

— Jeszcze tylko raz -- nalegał. — Pościgamy się do mola. Młodsza siostra była przeciwna, ale starsza uważała, że to dobry pomysł.

Miała około osiemnastu lat, kręcone, rude włosy i wystające zęby.

Popłynęli do mola, przepychając się i rozbryzgując wodę. Gino pozwolił jej wysunąć się naprzód, a kiedy już dopłynęła i miała wyjść z wody, złapał ją od tyłu.

Co robisz? — zachnęła się przestraszona.

Gino dokładnie wiedział, co robi. Jego ręce szybko i efektywnie pracowały na jej piersiach, doprowadzając dziewczynę do stanu, kiedy nie chciała, żeby przestał.

Utrzymywał się na wodzie machając nogami jak tłokami, podczas gdy dziewczyna bezwiednie trzymała się krawędzi mola i zaczynała wydawać pierwsze pomruki zadowolenia.

Już ą miał. Przybliżył się i pocałował słone usta, nie zapominając

o piersiach.

— Nie powinniśmy... słabo protestowała, gdy zaczął zdejmować z niej kostium.

— Myślę, że powinniśmy. Zanurkował i wyplątał jedną z jej nóg z wełnianego kostiumu.

Woda jeszcze bardziej go podniecała. Zresztą wszystko go podniecało po dziewięciu długich miesiącach.

Wsadził głowę pod wodę, żeby całować piersi dziewczyny, a rękoma rozszerzył jej nogi, szukając magicznego punktu, (iino!

westchnęła.

Wynurzył się, żeby zaczerpnąć powietrza, wyplątał się ze spodenek

i wcisnął między jej nogi. Opór wody trochę mu przeszkadzał, ale Gino był tak podniecony, że nic nie mogło go powstrzymać.

Dziewczyna nogami mocno przyciągnęła go do siebie. Złączyli się w uścisku i tak zanurzyli się w wodę. Gino wiedział, że albo natychmiast dojdzie do orgazmu, albo się utopią. Wybór należał do niego. Wybrał orgazm i po chwili, oboje wypłynęli na powierzchnię, ledwo łapiąc oddech.

— Prawie mnie utopiłeś! — powiedziała z pretensją.

— No, ale było, co?! — śmiał się.

— Nigdy tego wcześniej nie robiłam — powiedziała, jakby była niezadowolona. Niezdarnie próbowała włożyć kostium.

— Na pewno robiłaś — odpowiedział i zorientował się, że w tym zapale zgubił spodenki. Zanurkował, ale nie mógł ich znaleźć.

Robiło się zimno i Ruda Kędzierzawa chciała wracać do domu.

— Nie mogę znaleźć spodenek — powiedział Gino. Ruda Kędzierzawa zaczęła chichotać.

— Podpłyniemy do miejsca, gdzie będę mógł stanąć, i przyniesiesz mi spodnie — zaproponował.

— A co powiem siostrze?

-- Że rekin zjadł mi majtki. Zresztą cokolwiek, wszystko mi jedno.

Popłynęli z powrotem i gdy byli blisko brzegu, on został w wodzie, a Ruda Kędzierzawa poszła w kierunku plaży. Patrzył, jak podeszła do siostry, okryła się ręcznikiem i obydwie po prostu odeszły, nawet nie oglądając się za siebie. Nie wierzył własnym oczom. Chciały go tak zostawić. Zmarzniętego i z gołą dupą. Chryste!

Szybko rozejrzał się po plaży, wziął głęboki oddech i biegiem rzucił się po ubranie.

— Kto tam? — wybełkotała Vera.

Na wszelki wypadek zapukał jeszcze raz.

— To ja, Gino Santangelo. Można wejść?

Vera wstała z łóżka. Zdrzemnęła się po kilku kieliszkach i zapomniała o synu Paola.

— No dobra, wejdź.

Wszedł do pokoju i oboje zaczęli przyglądać się sobie.

Gino zobaczył zmęczoną, około trzydziestoletnią, blondynkę z drapieżnym makijażem i dużymi cyckami.

Ona zobaczyła młodego, silnego chłopaka o czarnych, kręconych włosach, oliwkowej skórze i głęboko osadzonych oczach, które były dużo starsze od niego samego. Zupełnie nie był podobny do ojca.

— Jesteś mokry - powiedziała bez, żadnego wyrazu.

— Pływałem.

— W ubraniu?

— Nie, ale nie miałem ręcznika. Lustrowali się nieprzyjaznymi spojrzeniami.

— Nie możesz tu zostać — powiedziała w końcu. Powiedzieliśmy, że będziesz mógł tylko dlatego, żeby znowu cię nie zamknęli.

— Ale myślałem...

— Nie obchodzi mnie, co myślałeś. To moje mieszkanie, nie twojego starego.

— No tak — powiedział Gino zjadliwie. — Musisz dbać o interes.

— No i co — odparła Vera. — Nieźle na tym wychodzę. I nie wstydzę się.

Gino chwycił walizkę i ruszył do drzwi.

— Gdzie będziesz spał? — zapytała niespodziewanie.

— Nie wiem — odburknął.

— No to... — zawahała się. — Dzisiaj mam jeszcze tylko jednego gościa. Będziesz musiał spłynąć, jak przyjdzie się zabawiać. Później możesz tu przenocować na kanapie. Ale tylko dzisiaj.

Gino pokiwał głową. Był mokry, zmęczony i zupełnie nie w nastroju do wałęsania się po ulicach. Nawet ta jedna noc u Very była zbawieniem.

_ Został pół roku. Dostał poprzednią robotę mechanika samochodowego, która wypełniała mu dni, a wieczorami włóczył się ze starą paczką, czasami dokonując małych przestępstw, które jednak nikomu nie wyrządzały krzywdy. Opiekował się też Verą. Wyrzucał co agresywniejszych klientów, a w niedziele zabierał ją do miasta. W niedziele Vera nie pracowała.

Od czasu do czasu odwiedzała Paola w Sing Sing. Raz pojechali tam razem.

Paolo nie bawił się w sentymenty.

— Masz flaszkę? — przywitał ostro syna.

Widzieli się pierwszy raz od roku i tak brzmiało powitanie.

— Nie — odburknął Gino i aż spiął się cały, gdy przypomniało mu się, ile wycierpiał za sprawą ręki tego moczomordy w więziennych łańcach.

— Daj spokój, Pauly powiedziała Vera. Wiesz, że nie można tu przynosić wódki. Przeszukują nas, przysięgam na Boga. Wiesz, że jakbym mogła, to bym przyniosła.

— Dziwka - wycedził przez zęby i odwrócił się plecami do obojga. Jest dzisiaj w złym nastroju - powiedziała szeptem Vera.

Nie zwracaj na to uwagi. Jak przyjdiesz następnym razem, na pewno będzie inny.

Ale nigdy więcej tam nie poszedł. Miał to w dupie. Był już zbyt duży, żeby bać się bicia. Jeżeli Paolo jeszcze raz podniesie na niego rękę... Tak, jedna wizyta w Sing Sing w zupełności wystarczyła.

Co tydzień Gino meldował się na policji, gdzie odbywał treściwe, pięciominutowe rozmowy, za każdym razem czekał na niego list z Kalifornii. Wyglądało na to, że Costa Zennocolti postanowił relacjonować mu wszystkie szczegóły życia, i listy przychodziły regularnie, chociaż Gino nigdy nie odpisywał.

Dziwny chłopak... Skąd przyszło mu do głowy, że Gino interesuje się jego życiem? Zresztą, co to za

życie. Szkoła, przytulny dom, przyrodnia siostra, która, jak wynikało z listów, musiała być strasznie upierdliwa. Costa żył w zupełnie nierealnym świecie.

Kiedy Gino zakończył okres próbny, napisał do Costy pseudoliteracki list, podając w nim numer skrytki pocztowej. Jeżeli mały tak lubił

pisać... Jakże Gino miał prawo, żeby psuć mu przyjemność?

W przeddzień wyjścia Paola na wolność Gino zabrał Verę do kina. Była nerwowa i rozdrażniona. Przytuliła się do jego ramienia i tak brnęli przez padający śnieg.

— Słuchaj powiedziała. Kiedy Paolo wróci, to już nie będzie mogło być tak jak teraz. Wiesz, o czym mówię.

Pokiwał głową.

— Moglibyśmy spróbować mówiła dalej. Ale wiesz, jaki jest twój stary.

Tak, wiedział. Paolo był skończonym skurwysynem.

Wyzywał się na kobietach. Traktował je jak śmieci. Vera nie była aniołem, ale Gino lubił ją, była dla niego dobra. Oboje wiedzieli, że Gino nie będzie mógł być w mieszkaniu i przyglądać się, jak Paolo dobiera się do niej. Wyprowadzę się jutro rano.

Będzie mi ciebie brakowało — powiedziała Vera i w oczach stanęły jej łzy. Dotknęła jego ramienia. — Jeśli kiedyś będę mogła ci jakoś pomóc...

Podziękował jej bez słowa. Vera okazała mu więcej miłości i uczucia niż ojciec przez całe życie.

Następnego ranka spakował się i wyszedł, nim Vera zdążyła się obudzić. Z walizką poszedł do pracy i tam popytał o wolny pokój.

Zeko, nowy mechanik, powiedział, że jest jeden pokój w domu, gdzie mieszka. Zeko miał około dziesięć lat, ciemną cerę i wiecznie przetłuszczone włosy. Nikt go za bardzo nie lubił, ale liczył się pokój. Po pracy poszli razem do obskurnego domu przy 109-ej Ulicy.

— Wiesz, wygląda to mniej więcej jak kurnik — przyznał Zeko. — Nie ma ogrzewania, ciepłej wody, łazienki, śracz w korytarzu.

— A w ogóle jest coś w tym pokoju?

— Ja długo tu siedzieć nie będę. Zeko nie zważał na słowa Gina. — Mam taką małą robotę daleko stąd powiedział mrugając okiem. —

Jestem im porzebny, więc byt mam raczej zapewniony, rozumiesz?

— Siedziałeś kiedy? - zapytał Gino.

Ja? zarechotał Zeko. Jestem za sprytny, żeby mnie złapali. — Wytarł nos w rękaw kurtki. Słuchaj, zostawimy twoje rzeczy i pójdziemy na piwo, a potem na dziwki.

— Mam randkę - odpowiedział Gino.

— A ona ma jakąś koleżankę? - ciekawie zapytał Zeko. Nigdy nie pytałem.

— No to zapytaj.

— Dobra... może następnym razem.

Pokój był jeszcze gorszy, niż się spodziewał, ale go wziął. Miejsce, gdzie mieszkał, nie było najważniejsze.

Gino nie miał żadnej randki, po prostu nie miał ochoty spędzić tego wieczora z Zeko. W pracy mówili na niego Śliski Zeko.

W pięć minut poczuł się jak w domu. Pokój składał się z łóżka, wydeptanego chodnika i odrapanej szafki w rogu. To wszystko. Ale przynajmniej pokój był jego.

Knajpa Grubego Lary'ego przy 110-ej ulicy była niezłą spelunką. Gino spotykał się tam z kolegami na wygłupy.

— Co się stało ze Śliskim Zekiem? — zapytał Pinky Banana, gdy tylko dotarli do meliny.

Gino wzruszył ramionami.

— Ja tylko z nim mieszkam. Nie trzymam go za rękę.

— Spotkasz się ze swoim starym? — dopytywał się Catto.

— Jeszcze nie. Poczekam kilka dni.

— Poczekaj kilka dni, a znowu go przymkną — Pinky zaśmiał się z własnego dowcipu i pierdnął głośno kilka razy dla lepszego efektu.

— O Boże! — skrzywił się Gino. — Najpierw ten się przypieprza, a teraz ty!

Pinky Banana parsknął śmiechem i nagle spostrzegł małą, zgrabną blondynkę, jedzącą lody przy barze. Przez chwilę kontemlował swe odkrycie, a Gino jakby czytał w jego myślach.

— Tę zostaw. Ja mam na nią ochotę - powiedział szybko.

Pinky i Catto spojrzeli po sobie. Jeszcze jedno zwycięstwo Gina. Jak on to robił?

Dziewczyna skończyła deser i wstała z wysokiego stołka barowego. Była

ładna i wiedziała o tym. Z wysoko uniesioną głową przeszła obok Gina i jego kolegów.

— To trochę niebezpieczne przychodzić tu samemu — powiedział Gino niby od niechcienia.

Udawała, że nie słyszy.

— Hej, ty — zareagował ostro. Nie traktuj mnie jak kupki gówna na ulicy.

Dziewczyna zarumieniła się i przyspieszyła kroku. Pinky miał wielką uciechę.

Gino klasnął w dłonie i dał za wygraną.

Nie jestem w nastroju, żeby uganiać się za taką zarozumiałą smarkulą. Dwie minuty później usłyszeli jej krzyk. Z zewnątrz dochodził

wysoki, przerażający pisk.

Gino natychmiast ruszył swoim kołyszącym się krokiem, Catto i Pinky za nim.

Śliski Zeko przyciska! Pannę Śliczną do muru. Piszcziała jak wystraszony królik, a jego ręce macały ją po całym ciele. Biała bluzka dziewczyny była rozdarta na piersiach.

Co ty robisz, Zeko? zapytał spokojnie Gino.

— Nic twój interes, gnoju — odburknął tamten. - Tak? Wyobraź sobie, że to jest mój interes.

Zeko znów przywarł do przestraszonej dziewczyny.

— Ja nie jestem zachłanny. Jak skończę, to wszyscy będziecie mogli po kolei.

— Zostaw ją, ty obleśny chamie.

— Odpierdol się, Gino.

Nim ktokolwiek spostrzegł, co się dzieje, już się bili. Tarmosili się i szarpali na ziemi, kopali i drapali.

Gino był młodszy i niższy, ale silniejszy od Zeka. Rozciął mu wargę i połała się krew.

— Ty zasrany gnoju — warknął Zeko. Sięgnął do cholewy buta i wyciągnął nóż.

Obaj byli z powrotem na nogach, okrążając się wolno i ostrożnie. Pinky i Catto zlali się z tłumem żądnym krwi. Niektórzy krzykiem dopingowali Gina, inni Zeka.

Gino nic nie słyszał. Na przemian obserwował nóż i każdy krok przeciwnika.

Zeko gwałtownie skoczył do przodu, robiąc ogromny zamach nożem. Ostrze dosięgnęło Gina, rozcinając mu policzek. Krwi było więcej niż bólu.

— Ty kutasie - wrzasnął Gino. Opanowała go wściekłość, ta sama niepohamowana wściekłość, z jaką rzucił się na Brata Filipa. Zeko już nie był Zekiem był jego parszywym ojcem, Paolem. W tym momencie siły Gina były nieograniczone. Złapał Zeka za rękę z nożem i zaczął wykręcać, i wykręcać... nawet nic słyszał przerażającego trasku kości i jęku Zeka. Pinky i Catto musieli go odciągnąć od wyjącego z bólu przeciwnika.

— Chyba mu złamałeś rękę oznajmił Catto, nie bardzo zresztą zmartwiony z tego powodu.

Gino powoli dochodził do siebie. Potrząsnął głową, nie wiedząc dokładnie gdzie jest i co się wokół dzieje. Popatrzył na zwijającego się Zeka.

— Następnym razem będzie to twoja głowa - ostrzegł go. Rozejrzał się za blondynką, która była powodem całego zajścia. Dawno jej już nie było. Zniknęła jak przystało na prawdziwą danię.

— Lepiej pojedźmy do szpitala, niech coś zrobią z twoją twarzą — zaproponował Pinky.

Gino dotknął krwawiącej rany. Tylko lego mu brakowało. Będzie miał paskudną bliznę.

— Idziemy — powiedział stanowczo.

W szpitalu założyli mu dziesięć szwów. Zadali mu leż. mnóstwo pytań, ale Gino milczał.

Gdy wychodzili, Zeko właśnie był pizymowany Obaj wymienili pełne nienawiści spojrzenia, ale nie odezwali się ani słowem. Prawo ulicy nakazywało trzymać gębę na kłódkę. Żaden z nich nie złamałby lej zasady.

Dwa dni później Gino pracował w warsztacie. Leżał na ziemi i naprawiał packarda, kiedy zjawił się ktoś obcy. Najpierw pojawiły się jego buty dwukolorowe, zamszowe i bardzo modne.

— Ty jesteś Gino Santangelo? — zapytał głos znad butów.

— A kto mnie szuka? — Gino wyczołgał się spod samochodu.

— Nieważne. To ty?

Serce Gina zaczęło łomotać. Stał nad nim Eddie Bestia, prawa ręka samego Salvatore Charliego Lucanii.

Przełknął ślinę, próbując ukryć zdenerwowanie. Wstał, brudne od oleju ręce wytarł w równie poplamione spodnie.

— Tak, to ja jestem Gino Santangelo wykrztusił.

Eddie Bestia od razu przeszedł do rzeczy. Potężnym ciosem grzmotnął Gina w żołądek, tak że ten zgiął się w pół.

— To od Zeka — powiedział spokojnie Eddie. — - Sam chciał przesłać ci pozdrowienia z okazji

pobytu w szpitalu ze złamaną ręką i żałuje, że nie mógł tego zrobić osobiście.

Gino wyprostował się. Jakiś instynkt podpowiadał mu, żeby nie próbował oddawać. Stał więc tylko i wpatrywał się w Eddiego.

— Miał pecha, zresztą sam się prosił — powiedział w końcu. Eddie zaśmiał się.

— Słyszeliśmy, że się nieźle stawiałeś. No i pewnie to była prawda. Idziemy. Pan Lucania chce się z tobą widzieć.

Oczy Pinky'ego zrobiły się okrągłe jak małe talerzyki.

— Zaraz wracam — rzucił do niego Gino zupełnie normalnym głosem. — Dokończ to z szefem. Powiedz mu cokolwiek, na przykład, że zrobiło mi się niedobrze.

— Co zresztą może okazać się prawdą — dorzucił złowieszczo Eddie.

Gino nie był zdenerwowany. Nie czuł, żeby coś mu zagrażało. Wręcz przeciwnie, przeczuwał, że jest o krok od dużej szansy.

Charlie Lucania przywitał go na tylnym siedzeniu czarnego cadilla-ca-limuzyny zaparkowanego tuż obok warsztatu. Przyjrzał mu się dokładnie, po czym nagle powiedział:

— Dużo o tobie słyszałem. Trochę dobrego, trochę złego. Gino milczał.

— Czasami nieco rozrabiasz w porządku. Ja też czasami rozrabiam. Tylko trzeba wiedzieć, kiedy można. Rozumiesz, o czym mówię?

Gino pokiwał głową.

— Chciałbym mieć koło siebie dobrych ludzi. Brać ich od małego, wychować, tak żeby później byli lojalni. Rozumiesz?

Gino znowu tylko pokiwał głową. — Ile masz lat?

— Siedemnaście skłamał. Brakowało mu miesiąca.

Dobrze. Może być, skoro jesteś laki kogut. Lucania nachylił się do niego. Wybrałem Zeka do pewnej roboty, ty go wyłączyłeś. Daruję ci to. Ty zrobisz dla mnie tę robotę. Wieczorem w następną środę. O ósmej. Eddie da ci szczegóły.

Lucania na powrót opadł na oparcie. To było wszystko, co miał do powiedzenia.

Gino chrząknął.

— Cieszę się, że dostałem taką szansę, ale... nie chciałbym znowu siedzieć w pudle.

Lucania spojrział na niego leniwie.

— Dobrze prowadzisz?

— Bardzo dobrze.

— No, to nie znajdziesz się w pudle. Eddie Bestia otworzył drzwi.

— No dobra, gnojek — powiedział z uśmiechem. — Wsiadaj. Gino zorientował się, że nie ma wyboru.

Carrie 1927—1928

Mężczyzna wpatrywał się w Carrie. Ona też patrzyła na niego dużymi, przestraszonymi oczyma. Był to ogromny Murzyn, około metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Jednak nie wzrost ani jego masywność ją przerażały, ale wielkość jego członka.

„Zabawiała” go już wcześniej dwukrotnie. Za każdym razem prawie rozerwał ją na pół. Carrie żaliła się Leroyowi, płacząc i krwawiąc po tych

spotkaniach, a ten śmiał się tylko z niej, że jest beksą. Nie była beksą, była niewolnicą.

— Nie czuję się dobrze — powiedziała mrugając powiekami, żeby powstrzymać łzy.

- Zaraz będzie ci lepiej — odparł Murzyn zdejmując spodnie. — Kobiety zaraz czują się lepiej, jak widzą, co dla nich mam.

O dobry Boże! Czym zasłużyła sobie na życie, do którego była teraz zmuszana? Od czasu tego fatalnego wieczora, kiedy Leroy ją zgwałcił, Carrie cały czas była zamknięta jak w więzieniu. Am chwili wolności, ani promienia dziennego światła - tylko nieskończony potok mężczyzn. Leroy przychodził po pieniądze, a babcia Ella, jeśli pamiętała, przynosiła jedzenie, świeżą pościel i ręczniki. Jednak trzeba przyznać, że nieczęsto pamiętała.

Leroy wynajął sąsiedni pokój i właśnie tam ją zamknęli. Stała się człowiekiem-maszyną do obsługi mężczyzn, którzy przychodzili i wychodzili jeden po drugim.

Najpierw próbowała buntować się, ale Leroy bił ją aż do chwili, gdy przekonała się, że nie ma innego wyjścia.

Mężczyzna zdjął spodnie i długie wełniane majtki. Spod załośnie zwisającej koszuli wystawał ogromny narząd.

— Pan... pan mnie nim rani — wykrztusiła z siebie. — Czy nie można jakoś inaczej?

Mężczyzna pomyślał przez moment. Po chwili na debilnej twarzy pojawił się uśmiech.

— Mogę wsadzić go między twoje cycki, a potem weźmiesz w usta-

zapropował.

Wszystko było lepsze od bólu, którego doświadczyła wcześniej. Tępo pokiwała głową, że się zgadza, i rozpięła bluzkę. Była niemiłosiernie chuda. Ślady od uderzeń Leroya wciąż były widoczne. Nogi i ręce przypominały cienkie patyki. Tylko piersi pozostały duże i jędrne. Mężczyzna chwycił je brutalnie i zaczął trzeć członkiem pomiędzy nimi.

Carrie zamknęła oczy żalując, że nie może zatkać uszu. Nie miała ochoty wysłuchiwać jego stękania. Próbowwała pomyśleć o przeszłości, o dobrych rzeczach, które spotkały ją w życiu: o mamie Sonny i Filadelfii, pracy u pana Dimesa w domu przy Park Avenue.

Mężczyzna zaczął wpychać członka w jej usta. Poczowała obrzydliwy smak moczu i potu. Na jakiegokolwiek protesty było już za późno, nie mogła nic powiedzieć. Członek wsuwał się i wysuwał, trąc ojej zęby, tak że aż prosiło się, żeby go ugryźć.

Nigdy wcześniej tego nie robiła. Czy chciał go wepchnąć jej do gardła i udusić?

Gdy zaczęła się krztusić, mężczyzna wyciągnął nieco z jej ust swój olbrzymi narząd. Złapał ją z kolei za piersi jak za arbuzy, które trzeba sprawdzić, czy są dojrzałe. Stękał przy tym głośno i monotonnie mamrotał pod nosem coś, co przypominało modlitwę.

Za chwilę wytrysnął; strugi słonej, gęstej cieczy zaczęły spływać jej do gardła.

Myślała, że zwymiotuje. Przełknęła jednak i mężczyzna wyciągnął członka. To był już koniec.

Udało jej się uniknąć okaleczenia. Powinna się cieszyć. Powinna to uczcić, zwłaszcza że były to jej czternaste urodziny.

Babcia Ella zmarła osiem miesięcy później. Przez trzy dni Leroy nie zadał sobie trudu, żeby powiedzieć o tym Carrie. Kiedy w końcu przyszedł do niej, dziewczyna była wycieńczona z głodu.

— Ubieraj się — powiedział, rzucając jej brudną sukienkę.

- Jestem głodna — błagała. — Nie możecie mnie trzymać zamkniętej bez jedzenia. W końcu umrę i...

— Zamknij się — odparł ostro Leroy. — Możesz tu sobie jęczeć. Mama kopnęła w kalendarz.

Carrie zrobiła wielkie oczy. Babcia Lila umarła?

Babcia Lila umarła? przedrzeźniał ją. Umarła, umarła, a ja tu dłużej siedzieć nie będę. Jadę do Kalifornii. Zmrużył oczy. — Słońce, plaża, panienki, to wszystko będzie miał Leroy!

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

— To znaczy, że jestem wolna?

Leroy aż się zakrztusił ze śmiechu.

— Dziewczyno, muszę cię sprzedać, żeby mieć na bilet do Kalifornii. Carrie cofnęła się pod ścianę.

— Nie możesz tego zrobić.

— Nie? No, to zobaczysz. I nie próbuj się stawiać, bo zanim wyjadę, mogę po prostu poderżnąć ci gardło.

Leroy nie żartował. Ubrał ją, dał jej trochę tłustego, smażonego kurczaka i trzymając mocno za ramię, zaprowadził do domu obok. Tam wielka, gruba baba zaczęła ją żgać i szczypać, jakby sprawdzała kawałek pieczonej wołowiny.

— Lissy, to jest okazja, nie będziesz żałować — przekonywał Leroy, po czym ściągnął z Carrie sukienkę. — Zobacz te cycki, nogi i tę soczystą dziurkę.

Carrie aż odrzuciło od jego dotyku.

— Skąd mam wiedzieć, że będzie grzeczna? — zapytała podejrzliwie Lissy.

— Na pewno będzie — zapewnił Leroy. — Nigdy nie miała innego zajęcia, a to po prostu uwielbia. Wystarczy dać jej jeść i można trzymać w zamknięciu. Nie będziesz mieć żadnych kłopotów.

— Czy ja wiem... Lissy miała wątpliwości.

— Nie ma się co wahać. Jest młoda, zrobisz na niej majątek. Ile chcesz?

— Myślałem, że umówiliśmy się na sto. Zwróci ci się za parę tygodni, potem to już tylko zysk.

Lissy zmrużyła oczy w fachowym spojrzeniu człowieka interesów.

— Pięćdziesiąt, Leroy. To wszystko, co mogę dać.

Cholera! - zdenerwował się Leroy. — Wycofujesz się z umowy? Ja nie muszę jej kupować. Dobra, siedemdziesiąt pięć.-

Pięćdziesiąt.

— Sześćdziesiąt — powiedział niemal błagalnie. Lissy zmiękła.

Pięćdziesiąt pięć i bez dalszych targów. Uścisnęli sobie ręce. Leroy wziął pieniądze i wyszedł bez słowa pożegnania. Lissy popatrzyła na Carrie.

-- Jesteś za chuda stwierdziła. Trzeba cię będzie podtuczyć. Chodź, pokażę ci twój pokój. Przydałaby się leż kąpiel.

Zycie u Lissy było pewną poprawą. Posiłki regularne, klienci lepsi, a pokój, w którym ją trzymali, był wręcz luksusowy w porównaniu z poprzednimi warunkami.

Były też inne dziewczęta. Na początku Carrie nie wolno było nawet ich widywać, ale po kilku miesiącach, kiedy przyniosła dochód dużo przewyższający zainwestowane pieniądze, Lissy pozwoliła jej na trochę wolności.

Chciała wtedy uciec, ale Leroy miał rację — nie miała dokąd. Była prostytutką i nic nie mogło zmienić tego smutnego faktu. Nie mogła wrócić do Filadelfii ani do pracy u pana Dimesa. Sprzedawanie się było całym jej życiem. Jedna z dziewcząt poradziła jej, że skoro już i tak to robi, to dlaczego nie miałyby sama na tym zarobić.

Wkrótce Carrie podeszła do Lissy.

— Chcę dostawać część pieniędzy, które zarabiam — powiedziała stanowczo.

Lissy roześmiała się.

— Dziwię się, że dopiero teraz o to prosisz.

Zanim skończyła piętnaście lat, Carrie udało się odłożyć całkiem przyzwoitą sumę. Jej duże piersi, długie, czarne włosy i wschodnie oczy sprawiały, że miała powodzenie.

Lissy rozumiała, iż nie jest w stanie zatrzymać Carrie, kiedy ta oznajmiła, że odchodzi. Nie była z tego zadowolona, ale nic nie mogła zrobić.

Carrie zdecydowała pójść do Florence Williams, jednej z największych pań i larlemu. Mieszkała przy 141-ej ulicy, wraz z trzema specjalnymi panienkami. Spojrzała na Carrie i chętnie dała jej pokój. Umowa mówiła, że Carrie będzie dostawać dwadzieścia dolarów od klienta, z czego pięć będzie oddawać za utrzymanie.

Pokój był jak marzenie. Wygodne łóżko z białą pościelą, przy nim telefon dobrany pod kolor. W rogu była umywalka, a obok niej stos czystych ręczników. Czystości doglądała pokojówka, która przychodziła po każdym kliencie.

Carrie miała pokojówkę! Nadal nie podobało jej się to, co robiła, ale było to już znośniejsze.

Dziewczęta u Florence były koleżeńskie. Dwie z nich były nawet białe. Carrie wkrótce spostrzegła, że połowa klientów to biali. Była wręcz zdumiona. Nigdy nie przypuszczała, że biali mężczyźni, którzy najprawdopodobniej mają żony, dobre posady i wszelkie wygody, muszą za to płacić.

Pozostałe dziewczęta uśmieły się, gdy usłyszały o jej odkryciu.

— Kochanie, biali są dużo bardziej sprośni od wszystkich napalonych czarnuchów — powiedziała Cecilia, wysoka dziewczyna o bardzo wyniosłym wyglądzie, tak że nikt by nie powiedział, że się sprzedaje.

— Czarnuchy chcą się wykazać, chcą pokazać, jak to oni potrafią. A biali... oni to lubią tak, żeby było inaczej; na przykład, żeby ich wiązać albo bić, wtedy ich najbardziej podnieca. Nie ma jednak jak dobry, porządny czarny.

Cecilia miała kremową skórę, rude włosy i bardzo długie nogi. Mówiła wolno z południowym akcentem. Pozostałe białe były blondynkami z dużym biustem.

Była też Billie. Czarna, którą Carrie podejrzewała, że ma tyle lat co ona, chociaż obie twierdziły, że mają osiemnaście.

Carrie uważała, że Billie jest naprawdę ładna, i bardzo ją lubiła. Dziewczyna przyjechała z Baltimore do matki i zaczęła pracować jako pokojówka. Nienawidziła tego zajęcia i w końcu wylądowała w domu Florence Williams.

— Wolę już to, niż sprzątać po jakiejś grubej, leniwej białej suce — mówiła, wyraźnie akcentując każde słowo. Miała śliczny głos, niezwykle gładki i melodyjny, który, według Carrie, nadawałby się szczególnie do śpiewania z jakąś grupą jazzową w Victrolu.

— Powinnaś śpiewać — powiedziała Carrie.

— Tak — zgodziła się Billie. — Jest wiele rzeczy, które powinnam robić. Któregoś dnia jeszcze się wybiję i wszystkich zaskoczę.

— Na pewno — przyznała Carrie. — Ja też.

Tylko nie bardzo wiedziała jak. Billie miała swoje marzenia, a ona nic. Ale przynajmniej sprzedając się miała zapewniony byt. Nie miała ochoty wyruszyć znowu w nieznaną ani spotykać nowych ludzi. Po jednym spojrzeniu wiedzieliby, kim jest.

Czasami budziła się w środku nocy i przeklinała babcię Ellę i Leroya. Kiedy indziej znowu budziła się i zmuszała, żeby o nich nie myśleć.

Dnie zlewały się z nocami, a noce niczym nie różniły się od dni. Carrie nie zauważała żadnej różnicy; cały czas żyła jak w letargu. Nawet pieniądze, które zdołała uciulać, nie miały dla niej znaczenia. Każdy klient był taki sam; czy to był biały, czarny, stary czy młody. Było jej wszystko jedno.

Któregoś dnia Florence Williams wezwała ją na rozmowę.

— Powinnaś zmienić swój wygląd, mała. Mężczyźni przychodzą tu oczekując najlepszej obsługi. Z tego, co słyszę, nie zawsze to od ciebie dostają.

Pewnej nocy, kiedy Carrie zabawiała gościa, nagle zrobiło się ogromne zamieszanie. Doleciały ją zdenerwowane, podniesione głosy —

to Billie miała klienta. Słysząc też było łagodny głos Florence, która próbowała załagodzić całą sprawę.

Później Carrie dowiedziała się, że Billie nie chciała spełnić zachcianki klienta. Był to ogromny Murzyn o imieniu Big Blue Ranier, człowiek o dużych znajomościach. Był z nim Bub Hewlett, praktycznie szef całego Harlemu.

Florence była wściekła.

— Ci faceci mają wejścia w policji! krzyczała. Trzeba nauczyć się, komu można powiedzieć nie, a komu nie można.

Billie nie czuła się winna.

Następnego ranka, gdy dziewczęta zasiadały w kuchni do śniadania, policja zrobiła nalot. Gliny wtargnęły do budynku, wszystkich aresztowali, wsadzili do wozu patrolowego i wywieźli do aresztu.

Po kilku godzinach Florence Williams i dwie białe dziewczyny zostały zwolnione, ale Billie i Carrie nie. Spisano je, oskarżono o prostytutkę i po okropnej nocy w areszcie postawiono przed sądem Jeffersona.

— No, to już po nas Billie zwróciła się do przerażonej Carrie, gdy tylko zobaczyła, kto jest sędzią.
— Widzisz tę sukę? To Jean Norris, najpodlejsza szmata, jaką znam.

Billie przeszła gładko, jak powiedziałyby Carrie. Jej matka przyszła do sądu i przysięgnęła na *Biblię*, że córka ma osiemnaście lat.

Sędzina spojrzała na kartkę papieru, powiedziała, że to raport o stanie zdrowia, stwierdziła, że Billie jest chora, i odesłała ją do szpitala miejskiego w Brooklynie.

Potem przyszła kolej na Carrie. Sędzina rzuciła jej pełne pogardy spojrzenie i zaczęła zadawać pytania, na które Carrie odmówiła odpowiedzi. Jediną rzeczą, do której się chętnie przyznała, było to, że ma osiemnaście lat.

— Jeśli wolisz milczeć, młoda panno, to już twoja sprawa — powiedziała zirytowana sędzina Norris. — Mogłam być dla ciebie łaskawa, ale biorąc pod uwagę twój stosunek, nie widzę podstaw. Trzy miesiące więzienia na Welfare Island. Sprawę uważam za zamkniętą.

Sędzina Norris okazała się równie wszawa jak jej opinia.

Środa, 13 lipca, 1977 Nowy Jork

— Cholera! — wykrzyknęła Lucky. — Co, u diabła, się stało?

Po gwałtownym szarpnięciu Steven znalazł się pod drugą ścianą mrocznej windy.

-- Nie wiem. Pewnie wysiadł generator.

— Kim pan jest? — zapytała podejrzliwie. — Jeśli wcisnął pan stop po to, żeby na przykład mnie tu zaliczyć, to muszę ostrzec, że źle pan wybrał. Mam

czarny pas karate i jeżeli spróbuje pan jakichś numerów, to poczuje pan to na własnych jądrach. Jestem...

— Przepraszam, ale to pani stoi koło przycisków. Może zamiast tych przemówień, naciśnię pani alarm, panno...

-- Pani.

— O, przepraszam, proszę mi wybaczyć. Czy byłaby pani tak uprzejma i nacisnęła alarm?

— Nie widzę tego cholernego guzika.

— Nie ma pani zapalek albo zapalniczki?

— A pan nie ma?

— Nie palę.

— No tak, powinnam była się domyślić.

Otworzyła torebkę i po omacku próbowała znaleźć zapalniczkę dunhill.

— Cholera! wykrzyknęła, gdyż przypomniało jej się, że zostawiła ją na biurku Costy. - Nie mam jej.

-- Czego?

Zapalniczki. Na pewno nic ma pan zapalek? Na pewno.

Przecież wszyscy noszą zapalniczki.

- Pani nie.

— Prawda.

Gwałtownie tupnęła w podłogę.

— Jasna cholera, jak ja nienawidzę ciemności.

Steven wyciągnął przed siebie ręce i wolno zaczął posuwać się wzdłuż ściany windy. W pewnej chwili dotknął Lucky, a ta odpowiedziała natychmiastowym kopnięciem, trafiając go w nogę. Au! Dlaczego to pani zrobiła?

— Ostrzegałam, że jak zaczną się jakieś numery, to będzie pan miał kłopoty.

— Pani jest naprawdę szalona. — Przestało już mu się to podobać. Próbuję tylko znaleźć alarm.

— Dobrze, że pan próbuje. — Wycofała się w róg i ukucnęła. - Proszę się pospieszyć. Nienawidzę ciemności.

— Już to słyszałem odpowiedział chłodno. Noga bolała go jak po uderzeniu toporem rzeźniczym. Na pewno zrobił mu się już fioletowy siniec. Znalazł w końcu przyciski i zaczął wciskać na chybił trafił

jeden po drugim. Bez rezultatu.

— Znalazł pan? — zapytała zniecierpliwiona.

— Chyba nie działa.

- Cudownie! To po jaką cholere robią te KUREWSKIE ALARMY!

- Nie ma potrzeby krzyczeć.

— Proszę mi nie mówić, co mam robić. Zaległa cisza; oboje myśleli o wyjściu z sytuacji.

Lucky pomyślała, że już gorzej być chyba nie mogło zamknięta z jakimś przymulonym artystą, który nawet nie pali. Jakiś kompletny debil.

„Co za niewyparzona gęba — pomyślał Steven. — Mówi takim językiem, jakby mieszkała w koszarach”.

— No więc? — powiedziała Lucky, siląc się na spokój. — Co będziemy robić.?

To było właściwe pytanie. Co mieli robić?

— Siedzieć spokojnie - odparł Steven.

— Siedzieć spokojnie! - wrzasnęła. - Czy pan sobie, kurwa, żartuje?

— Może pani mówić normalnie?

— Przepraszam odparła z sarkazmem. Już nigdy nie powiem „żartuje”.

Na górze w swoim luksusowym biurze Costa Zennocotti szukał po omacku świeczek. Znalazł je, zapalił zapalniczką Lucky i postawił na biurku. Podszedł do okna i wyrżał. W dole rozciągało się całe miasto, oświetlone tylko przez księżyc. Zupełnie jak wtedy w 1965 roku ale wtedy wszyscy mówili, że to coś wyjątkowego i że nigdy się nie powtórzy. No i się powtórzyło.

Zaklął pod nosem, gdy pomyślał o czterdziestu ośmiu piętrach, które przyjdzie mu przemierzyć na nogach. Może jednak nie, może tym razem to tylko chwilowy brak prądu.

Westchnął i wrócił do tej samej szafki, z której wyciągnął świeczki. Jego sekretarka, która zawsze myśli o najgorszym, wygoszparowała specjalnie półkę na takie okoliczności. Oprócz świeczek były tam koc, przenośny telewizor na baterie i sześć puszek napoju pomarańczowego. Mądra dziewczyna. Jutro dostanie podwyżkę.

Costa wyciągnął telewizor i jeden napój. Rozluźnił krawat i wygodnie usiadł w fotelu.

Obraz na ekranie pojawił się natychmiast po włączeniu odbiornika. Aniołki Charlie'ego ruszały do akcji. Costa wstał, żeby zmienić program, kiedy przyszło mu do głowy, że Lucky mogła utknąć w

windzie. Ale nie, wyszła dobre dziesięć minut przed wyłączeniem prądu.

Usiadł z powrotem, przełączył na wiadomości i usłyszał o najgorszym.

— Co ty tam, kurwa, robisz? — wrzasnął ciemnowłosy chłopak, zamknięty w sypialni Daria. — Nie pomoże ci wykręcanie żadnych pieprzonych korków. Kurwa, słyszysz mnie?

Zaczął znowu kopać w drzwi. Dario był wdzięczny stolarzowi, który uparł się, żeby wymienić marne wewnętrzne drzwi na solidne dębowe.

— O co chodzi? — krzyknął Dario, mając nadzieję, że głos nie zdradzi strachu. — Myślałem, że dobrze się razem bawiliśmy.

— Ty kutasie! — wrzeszczał chłopak. — Ty zasrany pedale! Dario naprawdę nie wiedział, o co chodzi.

— A co ci to przeszkadza, że jestem zasranym pedałem?

— Przestań pierdolić głupoty! — jego głos zaczął wpadać w histerię. — Nie jestem pedałem. Lubie to robić z dużymi, jędrnymi babami.

Mimo że nagle zgasło światło i był uwięziony z jakimś pomyleńcem, Dario poczuł się jakoś pewniej. Dębowe drzwi trzymały się mocno. Zanim ściągnie pomoc, będą bezpiecznie oddzielać go od tego maniaka.

— Nasłał cię ktoś? zapytał najchłodniejszym głosem, na jaki potrafił się zdobyć.

— Nie pierdol brzmiała odpowiedź. — I włącz to zasrane światło, bo to ci nic nie pomoże.

Dario zastanowił się, do kogo mógł zadzwonić. Nie miał dużego wyboru; miał mało przyjaciół.

— Włącz to światło, kutafonie wrzeszczał chłopak — bo rozpieprzę te drzwi, a potem twój łeb!

Gdy zgasło światło, Carrie zamarła bez ruchu. Nie zdążyła dokończyć pytania. Z bezradnie otwartymi ustami stała koło kasy jednego z supermarketów Harlemu.

— Co się dzieje? — pisnęła kasjerka. Głos jej stopił się z wrzaskiem ludzi, którzy zaraz zorientowali się, że jak nie ma światła, to ani kamery, ani żadne alarmy nie działają.

— Do roboty! — krzyknęła jakaś podekscytowana kobieta. Trzeba się dobrze obsłużyć, siostry!

Zanim oczy Carrie przyzwyczyły się do mroku, dwóch młodych chłopaków, którzy stali za nią, gdy weszła, znalazło się teraz po jej obu stronach, szturchając ją i popychając.

— Hej, paniusiu, co taka śliczna lala tutaj robi?

— No, ślicznotko... tylko spokojnie, spokojnie. Co tam masz między nogami, śmietankę do kawy?

Popychając ją między sobą, po trochu ją okradali. Zerwali diamentowe kolczyki, tak że uszy Carrie zaczęły krwawić. Z palca ściągnęli diamentowy pierścionek, z włosów diamentowe spinki. Cały czas gardłowymi głosami prowadzili rytmiczny dialog, który brzmiał jak początek płyty Teddy'ego Pendergrassa.

Carrie była sztywna ze strachu. Przypomniła jej się cała okrutna przeszłość. To było tak dawno... a jednak prawie wczoraj.

— Zostawcie mnie!- zaczęła krzyczeć. — Zostawcie mnie! Popchnęli ją jeszcze raz, wyrwali torebkę i uciekli.

Gino nic nie powiedział kobiecie siedzącej obok niego, a ta nadal wpijała długie paznokcie w jego dłoń. Widział na własne oczy, jak zgasły wszystkie światła Nowego Jorku, ale specjalnie się tym nie przejął.

Nie zdziwił się leż, gdy samolot, który był już nad pasem do lądowania, nagle zaczął wzbijać się w powietrze i zmienił kurs.

Pomiędzy pasażerami rozgorzała dyskusja. Gino nie był jedynym, który zauważył ciemność na zewnątrz.

Kobieta obok niego usiadła sztywno.

— Co się dzieje? — zapytała. — O Boże! Słyszę, że znowu lecimy w górę!

— Proszę nie wpadać w panikę uspokajał. — Wydaje mi się, że w Nowym Jorku jest jakiś problem.

Jej głos podniósł się o oktawę.

— Problem? — Puściła na chwilę jego rękę, żeby sięgnąć po butelkę. Potem natychmiast uczepliła się jego ramienia. Jej twarz stała się popielata.

— Źle się czuję — jęknęła.

— To proszę już odłożyć butelkę

Spojrzała na niego złowrogo. No tak. jak każda kobieta pomyślał. Nie potrafi znieść ani słowa krytyki.

— Jak się nazywasz?

— Steven Barkely.

— Ja jestem Lucky.

— A nie kłamiesz?

— Mam na imię Lucky. L-U-C-K-Y — zrozumiałeś?

Chciał, żeby w końcu się zamknęła. Usnąłby wtedy i obudził dopiero rano, kiedy przyszlaby pomoc.

— Gorąco — narzekała Lucky. — Jak długo tu siedzimy? Steven wyęzając wzrok spojrział na zegarek.

— Ze dwie godziny.

— Boże! Dwie godziny. Jak dobrze pójdzie, to będziemy tu siedzieć do rana.

— Prawdopodobnie.

— To wszystko, co masz do powiedzenia — prawdopodobnie? Przecież musi być jakieś wyjście.

— No, to je pokaż.

— Cholera, ale z ciebie pożytek! Zapadło milczenie.

Lucky nie mogła znieść tej ciszy. Jakby nie dość było, że wisiała, nie wiadomo ile pięter nad ziemią w mrocznej skrzyni windy, to jeszcze z takim idiotą.

— O Boże, nie wytrzymam tego — wstała i zaczęła walić pięściami w ściany. — Na pomoc! — krzyczała. — Na pomoc! Halo, jest tam ktoś? Jesteśmy uwięzieni w windzie! Na pomoc!

— To ci nic nie da — rzekł lakonicznie Steven. — Nikogo tu już nie ma.

— Skąd wiesz?

— Późno już. Wszyscy wyszli.

— Gówno prawda! Gadasz bzdury. Przecież ty tu jesteś, nie? Ja jestem. Budynek może być pełen ludzi.

— Nie wydaje mi się.

— Tobie nic się nie wydaje.

Gorąco zaczęło być dokuczliwe. Steven zdjął już marynarkę i poluzował krawat, ale pot nadal lał się z niego strumieniami. Zastanawiał

się, czy Aileen martwi się o niego. Ale dlaczego miałyby się martwić? Przecież nie byli umówieni.

— Czeka ktoś na ciebie? zapytał

— Co?

— Jesteś dzisiaj z kimś umówiona? Czy ktoś będzie się denerwował, że cię nie ma?

To było dobre pytanie, (oz... Jakby tu odpowiedzieć... Nie była umówiona. Miała tylko wstąpić do kilku barów, ale nikogo nie obchodziło, czy przyjdzie, czy nie.

— Dlaczego myślisz, że nie mam męża? Tak mi się wydaje, gdy cię słucham. Tak? A jak mówi ktoś, kto jest po ślubie?

- Inaczej niż ty.

— Bardzo to niejasne. A ty jesteś żonaty?

— Rozwiedziony.

— A co, nie wytrzymała?

Przełknął jakoś obrazę, choć Lucky zaczęła go już denerwować.

— Tak? — wyśmiewała się z niego.

— Spróbuję się przespać — powiedział stanowczo. — Tobie radzę to samo.

— Spać? W tym śmierdzącym pudle? Mówisz serio?

— Zupełnie serio.

Postanowiła go rozruszać, zrobić cokolwiek, żeby jakoś minął czas.

— Mam lepszy pomysł.

— Jaki?

— Może się trochę pobzykamy?

Pytanie zawisnęło w powietrzu. Steven nie odpowiedział.

— No i jak? — zapytała wprost.

— Myślałem — zaczął mówić wolno — że twoim głównym celem życiowym jest trzymać się jak najdalej ode mnie.

— No tak, ale wtedy jeszcze cię nie znałam. Teraz jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Nie wierzę ci.

— No to uwierz. Mam dwadzieścia siedem lat, niezłą figurę i nie najgorsze ciało. No, dalej, Steven, będzie wspaniale. Obiecuję.

Jesteś dziwką?

Dziwką? O Boże! - roześmiała się. Zachowujesz się, jakbyś była.

Rozumiem. Kobieta, która ma ochotę pokochać się, jest dziwką. Co ty jesteś taki staroświecki. Taki staromodny jegomość, który zadaje się tylko z odpowiednimi paniami.

— Chyba ktoś powinien ci pomóc.

- No tak! W dodatku moralista. - Zrobiła przerwę, uśmiechając się do siebie. — No więc, nie chcesz?

— Zdecydowanie nie.

— Jesteś pedałem?

— Nie.

— No, to jesteś dziwny. Większość facetów, gdyby im dać za darmo, posikałaby się ze szczęścia.

— Nie jestem większością facetów. Poza tym powinnaś chyba wiedzieć, że jestem czarny.

Zaśmiała się ironicznie.

— A co to za różnica?

— No bo — zaczął nerwowym głosem nie chciałem, żebyś doznała szoku, kiedy zapali się światło. Co nic znaczy, że przystaję na twoją propozycję — dodał szybko.

— Czy dlatego powiedziałaś, że jesteś czarny, bo miałaś nadzieję, że to mnie zniechęci? - rzuciła tonem wymówki.

— Nie. Powiedziałem ci, żebyś się odczepiła. Seks z obcą kobietą mnie nie bawi.

— Żałuj. Nie wiesz, co tracisz.

— Wiem. A poza tym, nie sypiam z białymi kobietami. Parsknęła szyderczo.

— O Boże! Wierzysz w te swoje zasady? A jeśli można spytać, dlaczego nie sypiasz z białymi?

— Ponieważ one dzielą się na dwie kategorie.

— Jakie kategorie?

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Jakbym nie chciała, tobym nie pytała.

— No dobrze. Więc one albo poszukują mitycznego, olbrzymiego czarnego penisa, albo są tak cholernie wyzwolone, że aż rzygać się chce. Wiesz, takie, co chwalą się: „Ja śpię z czarnym, niezła

jestem, co?"

Lucky zaśmiała się.

— Wiem, o czym mówisz, ale mogę cię zapewnić, że nie należę do żadnej z tych kategorii.

— O tym to już się przekonałem. Oboje milczeli przez kilka minut.

Steven zastanawiał się, dlaczego tyle jej mówił o sobie. Na pewno więcej, niż potrzeba. Będzie żałował, gdy zapali się światło i skończy ta anormalna sytuacja.

— Ja mężczyzn dzielę również na dwie kategorie — Lucky przerwała ciszę. Widzę faceta i od razu wiem, gdzie go umieścić.

— Jakie są twoje kategorie?

— Są faceci, z którymi od razu idę do łóżka, i są też tacy, których chcę najpierw poznać. Tych drugich jest bardzo mało.

Steven zaśmiał się nieco ponuro.

— Mówisz, jakbyś miała jakieś problemy. Zaraz pewnie zaczniesz mi opowiadać, jak to cię źle traktowano w dzieciństwie.

— No, mój ojciec nie był byle kim. Ale znałam jego jedną brudną sprawę, bo bez tego to w ogóle nie miałabym życia.

— Dlaczego? Kim był, policjantem?

— Nieważne. — Wstała i znowu zaczęła tupać w podłogę. Cholera! Kiedy się stąd wydostaniemy?

— Siadaj i uspokój się. Nic ci nie da, jak się będziesz tak podniecać.

— Słuchaj, nie udało mi się ciebie podniecić, to dlaczego sama nie mogę?

— Bo nie. Mamy przed sobą długą, gorącą noc. Oszczędzaj siły.

— Masz rację.

Zrezygnowana usiadła w kącie. Zdjęła buty, a następnie dzinsy.

— No, teraz dużo lepiej!

— Co jest lepiej?

— Ściągaj ubranie, ja już zdjęłam.

Chyba przedyskutowaliśmy ten problem...

Głupi, nie będziemy się kochać, lak po prostu jest dużo chłodniej. Rozwazał jej propozycję. Ale jak to będzie wyglądało, gdy ktoś ich stąd wydestanie, a on będzie prawie nagi?

— Założę się, że wiem, o czym myślisz.

— O czym?

— Myślisz: rzuci się na mnie, jak zdejmę ubranie. Wskoczy na moje dziewicze ciało i...

Uśmiechnął się mimo woli.

— Naprawdę masz świra.

— No pewnie. Zawsze miałam, pomaga mi w życiu. Ściągaj ubranie. Obiecuję, że nie tknę cię palcem.

Zastanawiał się, jak ona wygląda. Było tak ciemno, że nie widział nawet jej konturu. Wyobrażał ją sobie jako piersiastą blondynkę z wystającymi zębami i ładnym uśmiechem.

Lucky zadawała sobie podobne pytanie. Intelktualista, pewnie w okularach. Taki Alex Haley, bo na pewno nie O. J. Simpson.

— Nie brałeś tego na serio, kiedy mówiłam, żebyśmy się pokochali? — zapytała ciekawie.

Zawahał się przed odpowiedzią. Był pewien, że powiedziała to poważnie.

— Oczywiście, że nie. Zaśmiała się złośliwie.

— No więc, to było serio. Na kłopoty nie ma nic lepszego niż porządne bzykanie.

* * *

Kiedy zadzwonił telefon, Costa drzemał na leżance. Szukając po omacku aparatu, zrzucił na podłogę lampę. Przypomniawszy sobie wtedy, że jest jeszcze

w biurze. Potykając się, ciągle pół śpiąc, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

— Tak?

— Costa?

— Tak. Kto mówi?

To ja, Dario. Myślałem, że cię nigdy nie znajdę. Dzwoniłem do klubu, potem do domu, aż w końcu przypomniało mi się, że możesz być w biurze. Boże, cieszę się, że cię złapałem!

Costa skrzywił się. No tak, Dario. Dzwonił do niego tylko wtedy, gdy czegoś potrzebował.

Jakby na zamówienie, Dario potwierdził jego obawy. Costa, musisz, mi pomóc. Chcę się kogoś... pozbyć. - Nie przez telefon uciał Costa.

Ale nie tak zupełnie tłumaczył Dario. Tylko z mojego mieszkania. Zamknij się wycedził przez zęby Costa. Wyobrażał

sobie, jak ta rozmowa ciekawie brzmiałaby, gdyby telefon miał podsłuch. Co tydzień kazał specjalistom przeszukiwać całe biuro... ale nigdy nie można mieć pewności. Głos Daria zaczął drżeć.

— Costa, ja natychmiast potrzebuję pomocy. Mam w mieszkaniu wariata, który chce mnie zabić. Teraz jest zamknięty w sypialni, ale...

— No, to wyłaź stamtąd — zdecydował Costa. — Idź na noc do jakiegoś hotelu i skontaktuj się ze mną jutro. Zajmę się tym.

— Nic nie rozumiesz — Dario zaczął histeryzować. — Nie mogę stąd wyjść. On ma klucze. Jestem zamknięty.

Costa myślał szybko nad jakimś natychmiastowym rozwiązaniem.

— Może gliny... — zaczął.

— Nie ma mowy -- przerwał Dario. — Ojcu nie spodobałaby się taka popularność.

Teraz Costa zrozumiał. Jeden z kochanków Daria zaczął się stawiać.

— Znam kogoś — powiedział wolno Costa. — Siedź tam i nic nie rób.

— O Boże! Dario wpadł w panikę. — O Boże! On chyba... zaraz się wydostanie. Costa! Musisz mi pomóc! On... on... o Jezus!

Costa został z głuchą słuchawką w ręce.

Z przerażeniem w oczach, kapiącą krwią z uszu, Carrie wycofała się w róg sklepu. Zgiełk i zamieszanie były coraz większe. Długie, czarne włosy opadły jej na twarz. Poczowała, że robi jej się niedobrze. O Boże, zaraz zwymiotuję, zaraz zwymiotuję.

Usłyszała dźwięk tłukącego się szkła.

— Bierzemy telewizor! krzyczały jakieś dwie kobiety, przebiegając obok niej.

Wydostała się ze sklepu, otoczona tłumem mężczyzn, kobiet i dzieci, obładowanych taką ilością jedzenia, jaką tylko mogli unieść.

Myślała o jednym - dostać się do samochodu, wydostać się z tych parszywych ulic.

— Bierz je, pani. — Jakaś gruba kobieta rzuciła jej paczkę papierowych ręczników. — Ja już nie

mam jak wziąć, a przecież się nie zostawi.

Carrie bezmyślnie chwyciła paczkę. Gdzie jest samochód? Gdzie go zostawiła? Cholera — pomyślała -- kobieto, weź się w garść i rusz się w końcu.

Samochód zostawiła przecież na parkingu. Ale jeśli tak po prostu wsiądzie i odjedzie, to co wtedy? Przyjechała do Harlemu w pewnym celu. Chciała ochronie Stevena i to było jej zadaniem, a nie ucieczka z tego miejsca.

Nagle przypomniała sobie, że w torebce miała pistolet. A torebki oczywiście już nie miała.

Szybko ruszyła na parking. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak jej samochód gwałtownie rusza z miejsca. Dwóch młodocianych bandziorów, którzy ją wcześniej okradli, odjechali jej pięknym, zielonym cadillakiem Seville. Samochód z opuszczonymi szybami i radiem włączonym na cały regulator przejechał tuż przed jej nosem. Dopiero teraz zorientowała się, że w torebce były też kluczyki.

Chciała krzyczeć i płakać jednocześnie. Stała jednak bez ruchu na chodniku, czekając, aż opuści ją złość. Stojąc tak postanowiła, że ten, który zwabił ją z powrotem do Harlemu, lak czy inaczej zginie.

Panie Santangelo ładna stewardesa nachyliła się nad nim, szepcząc mu do ucha. — W Nowym Jorku jest całkowita awaria elektryczności. Lecimy do Filadelfii, tam będziemy mogli wylądować. Mam nadzieję, że nie będzie to dla pana kłopotliwe.

Zanim zdążył odpowiedzieć, przez głośniki rozległ się głos kapitana oznajmiający tę samą wiadomość.

— Potrzebuje pan czegoś, panie Santangelo? — zapytała troskliwie stewardesa.

— Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba..

Gino był wściekły, że nie lądują w Nowym Jorku. Siedem lat go nie było i miał taki powrót!

Kobieta, która przysiadła się do niego, zataczającym się krokiem wracała z toalety.

— Filadelfia - jęknęła. — Widzi pan, co się narobiło? Domyślał się. W Nowym Jorku panował całkowity chaos.

Gino

1923—1924

Robota, którą Gino dostał od Charlie'ego Lucanii, miała całkowicie zmienić jego życie. Został wynajęty jako kierowca do akcji przechwycenia większej ilości nielegalnego alkoholu*. Miała to być zemsta na tych którzy

*** Akcja rozgrywa się w czasach prohibicji.**

kiedys przechytrzyli Lucanię. W miejsce Zeka wybrali Gina, gdyż potrzebowali kogoś czystego; w razie wpadki nie będzie śladów prowadzących do Lucanii.

W ten sposób Gino znalazł się na szosie, prowadząc nowiusieńkiego packarda, który wcześniej czekał na niego we wskazanym miejscu.

Jechało z nim dwóch bandziorów, również spoza ludzi Lucanii.

Był cholernie zdenerwowany, ale kiedy Król Gorzały prosi o przysługę, to nie bardzo można go zawieść. Poza tym, była to jego wina, że Zeko wypadł z akcji, chociaż ten zasrany sukinsyn zasługiwał na więcej niż na złamaną rękę.

W pewnym sensie Gino był dumny, że właśnie jego wybrali. Znaczyło to, że jest już znany. Bardzo mu to schlebiało i z pewnością nie miał zamiaru nikogo rozczarować. Charlie Lucania znany był z tego, że zawsze szukał młodych talentów. „Na lojalności można zbudować całe imperium zwykły mówi — ludzi trzeba brać za miodu, potem dobrze traktować, to na starość nie będą ci podgryzać dupy”.

Gino sprawdził się świetnie jako kierowca. Akcja powiodła się w stu procentach. Następnego dnia Eddie Bestia pojawił się w warsztacie i wręczył mu paczkę z pięćdziesięcioma nowymi jednodolarowymi banknotami.

— Dobra robota — powiedział Eddie. — Będziemy z tobą w kontakcie. Gino był oszołomiony. Pięćdziesiąt dolarów! Za prowadzenie samochodu!

Cholera, w życiu nie miał tylu pieniędzy.

Chciał to jakoś uczcić i postanowił sprawić sobie nowe ubranie. Na wystawie u pewnego krawca widział garnitur, czarny w delikatne, białe prążki. Był to najbardziej elegancki garnitur, jaki widział w życiu. Teraz mógł sobie na niego pozwolić.

Gino rzucił pracę nie czekając nawet do końca dnia.

— Co mam powiedzieć szefowi? — krzyczał za nim Pinky Banana.

— Powiedz mu, żeby taką robotę wsadził sobie w dupę — odparł pewnie. Czyż Eddie nie

powiedział, że „będą z nim w kontakcie?” Po cóż miałby

harować jak dziki osioł, naprawiając cudze samochody za kilka nędznych dolarów tygodniowo, gdy mógł dostać pięćdziesiąt nowych papierków za parę godzin pracy?

Swobodnym krokiem oddalił się od warsztatu. Poczul, że nagle otworzyły mu się oczy. Nagle zauważył, czego chciał w życiu.

Pieniądzy. Dużo pieniędzy. A nie można ich zarobić zapieprzając od piątej do dziewiątej. W żaden sposób. Charlie Lucania nie miał

łatwego początku, ale wykorzystywał wszelkie nadarzające się okazje. No i proszę — wielki człowiek teraz, bohater. Twardy gość, to prawda, ale jeśli kogoś wychowywała ulica, to żeby przeżyć, musiał by twardy od małego.

Krawiec niechętnie zdjął garnitur z wystawy. Dopiero gdy zobaczył pieniądze, zrobił się bardziej uprzejmy. Garnitur był za duży; marynarka śmiesznie długa, a spodnie przynajmniej o trzy numery większe. Gino przez dłuższą chwilę gapił się w lustro, na twarzy rosło rozczarowanie. Nie pasuje — powiedział bez wyrazu.

— Mogę przerobić — zaproponował krawiec. Widział pieniądze i miał na nie ochotę. - Za tydzień. Proszę przyjść za tydzień i będzie gotowy

— Dziś wieczorem.

— Niemożliwe. Gino zmrużył oczy.

— Dziś wieczorem — powiedział stanowczym głosem. — Ile mam dopłacić?

Dobili targu, co udowodniło Ginowi, że mając pieniądze, można kupić wszystko.

Zadowolony z siebie, ruszył w dół ulicy. Miał pieniądze i dużo czasu

Skierował się do Grubego Lan y ego, ale tam nic specjalnego się nie działo Usiadł przy stoliku i zamówił podwójną czekoladę.

W pierwszej chwili prawie nie zauważył małej, ładnej blondynki, która co chwila przechodziła obok niego. Nagle go olśniło. To przecież mała Panna Miczna, którą tu spotkał któregoś wieczora. Palcami dotknął brzydkich czarnych szwów, które cały czas trzymały razem dwie części policzka Hej, ty! - zawołał do niej.

Przystanęła koło jego stolika. Jej śliczne, niebieskie oczy były szeroko otwarte ze zdumienia.

— Ja? — zapytała niewinnie.

— Tak ty. — Wskazał na bliźnę. — Widzisz, co mam przez ciebie" Jej oczy cały czas tkwiły nieruchomo. Była niezwykle piękna. Gino poczul

nagłą chęć wsadzenia ręki pod jej spódnicę.

— Nie powiesz dziękuję? Buńczucznie potrząsnęła jasnymi lokami.

— Bardzo ci dziękuję, że powstrzymałeś swojego kolegę, który na mnie napadł.

Miała miękki, przyjemny głos, który niezupełnie pasował do sarkazmu w jej słowach.

— Mojego kolegę! — Gino krzyknął z niedowierzaniem. — Uważasz że zrobił mi to kolega?

— Nie obchodzi mnie, kto ci to zrobił — powiedziała wpatrując się w niego. - Wygląda paskudnie, ale to wszystko, co mogę powiedzieć Gdy odwróciła się, żeby odejść, Gino zerwał się na równe nogi.

— Słuchaj no — wrzasnął wściekły na jej wyniosłe zachowanie — nie wiesz, kim jestem?!

Uśmiechnęła się słodko.

Jakimś gnojkiem, jak wszyscy twoi koledzy. Dziewczyna podeszła do wyjścia, gdzie niecierpliwie czekały na nią dwie przyjaciółki,

- Jestem Gino Santangelo - krzyczał. — G-I-N-O. Zapamiętaj to

imię. Jeszcze o mnie dużo usłyszysz.

Na pewno - odpowiedziała ironicznie i wszystkie trzy wyszły Z niedowierzaniem pokręcił głową. Taka cwana dupa. I to za nią dał sobie pociąć twarz? Powinien pozwolić Zekowi przedmuchać ją na wylot.

Zastanawiał się, jak może mieć na imię. Gdzie mieszka. Co robi. Dokończył czekoladę. Najwyższy czas, żeby się dowiedzieć.

Gino nigdy nie był w burdelu. W przeciwieństwie do swoich kolegów, nie miał takiej potrzeby; na ulicy było dużo młodych, chętnych panienek. Musiał tylko wybrać. Słyszał jednak o dziewczynach u Madam Loli. Dziwki pierwszej kategorii, które za rozwarcie nóg brały dwanaście dolców. Niezła cena. Co one miały, futerko w pochwie?

Catto i Pinky zwykle zadawali się pospolitymi kurewkami, które wyglądem odstraszyłyby nawet Drakulę. Za trzy dolary można też było nabawić się rzeżączki. Gino nigdy nie poszedłby na to. Ale prawdziwy, wytworny burdel... Cóż, pomyślał, że wszystkiego trzeba spróbować. Poza tym, miał wolne popołudnie, a zwitek banknotów aż palił w kieszeni, żeby coś z nim zrobić.

Madam Lola była szczupłą kobietą o lekko ciemniejszej skórze, nieustępliwym, przekrwionym spojrzeniu i mięsistych ustach.

Zlustrowała Gina twardym wzrokiem od głowy do stóp.

— Słucham? — zapytała krótko.

W tym momencie Gino przypomniał sobie, jak wygląda: powycierane, poplamione ubranie robocze, tłusty brud za paznokciami. Może powinien był poczekać, aż odbierze garnitur? Ale co tam, wiedział trochę o prostytutkach od Very. Jeśli tylko ma się pieniądze, wygląd jest nieważny. Sięgnął do kieszeni i mignął banknotami.

Madam Lola chciwie złapała pieniądze. Gino był uważny, żeby nie dać się wykiwać.

— Jak długo jest za dwanaście dolarów? — zażądał informacji. Zaśmiała się.

— Jak długo? Mały, i tak nie dasz rady dłużej niż dwie minuty. Robisz, co swoje, i wynocha.

Ręką dała znak, żeby poszedł za nią. Miała długie, pomalowane na czerwono paznokcie. Przeszli przez zasłonę z koralików i znaleźli się w dusznym pokoju. Stały tam welwetowe kanapy i małe stoliczki, zastawione nielegalnym alkoholem. Madam Lola dbała o klientów i swój interes.

Pokój był zupełnie pusty, co rozczerowało Gina. Wyobrażał sobie, że zostanie tu pełny asortyment dziewcząt, leżących wkoło i czekających na jego oględziny.

— Siadaj — powiedziała Madam Lola. — Przyprowadzę ci dziewczynę.

— Najpierw chcę się czegoś napić. Za młody jesteś.

Tak samo za młody jestem na pieprzenie, a jednak mnie wpuściłaś. Podwójną szkocką.

Lola wydeła mięsiste wargi.

— Mały twardzielek.

Nazywam się Gino Santangelo, zapamiętaj. Dużo jeszcze o mnie usłyszysz.

— Naprawdę? — spytała ironicznie.

Tak, naprawdę. A za dwanaście dolarów mam chyba prawo sobie wybrać. Sprowadź dziewczyny.

Z dziwką te sprawy wyglądały inaczej. Gino wybrał małą, ładną blondynkę, raczej oficjalną i interesowną w zachowaniu. Zaprowadziła go do pokoju, zdjęła cienki szlafrok i z rozłożonymi nogami wyczekująco położyła się na łóżku. Było to zupełnie coś innego niż na strychu lub w szopie. Gino zawahał się, zdjął jednak spodnie, potem spodenki i zdziwił się, że wcale tak bardzo mu się nie chce. W

rzeczywistości był cały sllaczały.

— Pierwszy raz, co? — zapytała dziwka ze współczuciem.

— Żartujesz? — odpowiedział zawadiacko.

— Nie ma się czego wstydzić.

On wstydzić? Kupa śmiechu. On, Gino Baran. A jednak pierwszy raz w życiu nie chciał mu stanąć.

Dziewczyna podniosła się. Miała bardzo małe piersi, na jednej z nich były słabo widoczne sińce. Sięgnęła po jego członka.

Odsunął się szybko.

— Nie - odparł. Chcę zrobić coś innego.

— Co? — zapytała podejrzliwie.

— Językiem.

— Hm?

— No, językiem... wyliżę cię tam.

Dziewczyna była przerażona. Była prostytutką od całych sześciu miesięcy i do tej pory niczego poza zwykłym pieprzeniem od niej nie wymagano.

— Kładź się i rozłóż nogi — zażądał. Dziewczyna czuła się bardzo nieswojo.

— No, nie wiem, ale to chyba kosztuje więcej — powiedziała niezdecydowanie. — Muszę zapytać Loli.

— Nie, nie — odparł Gino, który robił się coraz pewniejszy siebie — to chyba nawet jest tańsze. Nieważne, zapłaciłem całe dwanaście dolarów i coś mi się za nie należy.

— A ile właściwie masz lat? — zapytała kładąc się z powrotem i rozchylając uda.

— Wystarczająco dużo, żeby się tobą zająć. — Wziął głęboki oddech i zanurzył się w jej łono.

Wrażenie było dziwne. Językiem zagłębił się w gęsty śluz, delektując się smakiem i zapachem. Dziewczyna leżała nieruchomo z szeroko rozwartymi nogami. Instykt poprowadził mu język do magicznego punktu, a dowodem osiągnięcia celu był cichy, bezwiedny pomruk. Cały czas solidnie pracował językiem. Jeżeli miał nauczyć się czegoś nowego, to chciał nauczyć się tego dobrze.

Wkrótce nogi dziewczyny rozluźniły się, a gęsty śluz ustąpił łagodnej wilgotności. Pomruki stały się głośniejsze. Przeszkodziło im ostre pukanie do drzwi.

— Wszystko w porządku? — odezwał się głos Madam Loli.

Tak, wszystko gra - odparł Gino.

Dziewczyna wiała się na łóżku i Gino wrócił do roboty. Dwoma kciukami otworzył pochwę, co

bardzo jej się spodobało. Wsadził język głęboko w otwór i natychmiast poczuł skurcz mięśni.

Miał już teraz pewną erekcję. Podniósł się i wsunął członka do środka.

Dziewczyna nie panowała nad swoim ciałem i głośno jęczała. Oboje osiągnęli orgazm w tym samym czasie i mocno złączeni, przeturlali się po łóżku. Potem leżeli nieruchomo przez kilka minut, aż dziewczyna zaczęła zdawać sobie sprawę, co się stało. Niceo zmieszana, uwolniła się od Gina i uważając, żeby na niego nie patrzeć, założyła szlafrok.

Gino zaśmiał się, zadowolony z owocnego wysiłku. Nieźle było, co?

- Gdzie się tego nauczyłeś?- nie potrafiła ukryć ciekawości.

— Tutaj, z tobą odpowiedział. Wstał z łóżka i zaczął się ubierać. -Teraz mogę to wypróbować w normalnym życiu.

Garnitur pasował idealnie. Za dobrą robotę Gino dał krawcowi dolara napiwku.

Podziwiał siebie w lustrze. Wyglądał bardzo elegancko. Czarna koszula jednak lepiej by pasowała. Przydałyby się też nowe buty.

Namacał czarne szwy, biegnące prostą linią w dół policzka. Na kciukach poczuł zapach prostytutki i uśmiechnął się do siebie.

Proszę jeszcze przyjść kiedyś — zaproponował ochoczo krawiec. — Kiedy tylko pan sobie życzy.

— Może i przyjdę.

Trochę niepewnym krokiem wyszedł na ulicę. Czuł się jednak jak król. Nowy garnitur. Madam Lola. A w kieszeni jeszcze zostało trochę pieniędzy.

Idąc przed siebie, zaczął myśleć nad przyszłością. Nie chciał pójść w ślady swojego starego, pieprzonego, nędznego gangsterka, którego jedynym celem życia było bicie kobiet. Nie miał też zamiaru dać się znowu zamknąć. Doświadczenie z poprawczaka w zupełności mu wystarczało. Domyślał się, że w więzieniu musi być jeszcze gorzej.

Ale z drugiej strony, kto chciałby spędzić całe życie leżąc pod cudzimi samochodami? Paprać się w brudzie, oleju i smarach? Zarabiać grosze?

To nie dla Gina. On chciał pieniędzy i wszystkiego, co można za nic dostać. A w żaden sposób nic mógł tego wszystkiego dostać drogą legalną.

Paolo był głupkiem tylko tacy wpadają. Gino miał inne plany. Miał zamiar zostać wielkim człowiekiem, jak Charlie Lucania. Aby dojść tak wysoko, musiał zacząć już teraz.

Robota, którą zrobił dla Lucanii, poszła jak z płatka. Do całej akcji potrzeba było dwóch ludzi, kierowcy i samochodu. Prawie dziecinna zabawa. Sam dostał pięćdziesiąt, tamci dwaj pewnie dwa

razy tyle, więc cała sprawa musiała być warta majątek.

Gino znów poszedł do Grubego Larry'ego, gdzie Catto i Pinky prawie rzucili się na niego.

— O kurde, skąd to masz? — zapytał Catto.

— Też chcę taki. — Pinky wybałuszył oczy i pomacał materiał. — O mamó, ja też chcę!

— Nie ma powodu, dla którego nie mielibyście dostać — powiedział Gino. — Mam pomysł. Wystarczy, żebyśmy zdobyli spluwy, ukradli samochód, no i już możemy zaczynać interes.

— Spluwy... — Catto zamrugał powiekami. — Ja w to nie wchodzę.

— Ale nie będziemy strzelać — szybko odparł Gino. — Tylko do straszenia. To działa fenomenalnie.

Catto wytarł nos w rękaw koszuli.

— A tak właściwie, to o czym tym mówisz?

— O pieniądzach — odparł Gino. — Wszędzie ich pełno. Na jakie sranie mamy pracować jak woły? Dlaczego nie wyjdziemy na ulicę i nie pozbieramy trochę szmału jak wszyscy?

Plany takie mogą, oczywiście, powieść się, jeżeli ma się wystarczająco dużo pieniędzy. A to był pewien problem. Po kupnie garnituru i zabawie w burdelu z pięćdziesięciu dolarów nie zostało zbyt wiele. Żeby zrobić pieniądze, trzeba mieć pieniądze. Może gdyby przedstawił Verze swoje plany, ta pomogłaby mu... Mógłby włączyć ją do akcji i oddać pożyczkę zawiązką.

Wieczorem zdecydował pójść do niej. Zanim się wyprowadził, obiecał, że wpadnie kiedyś i powie, jak mu idzie. Miał nadzieję, że nie zastanie Paola.

Vera nie pracowała, ale nie była też trzeźwa. Bezwładnie leżała na łóżku. Jedyne światło w pokoju dochodziło z ulicznej latarni.

— Wejdz, połóż pieniądze na stole i rób, co masz robić — odpowiedziała na pukanie Gina.

— Słuchaj, to ja — odpowiedział szybko. — Wpadłem, żeby zobaczyć, jak ci leci.

— Dobrze — wybełkotała. — Zupełnie dobrze. — Zrobiła pauzę, żeby sięgnąć po butelkę, z której pociągnęła duży łyk. — Kto to, do cholery, jest ja?

— Gino.

Sięgnął do kontaktu, zapalił światło i zaraz tego pożałował. Widok nie był przyjemny. Jej brudna, satynowa sukienka była rozdarta na ramionach, tak że widać było piersi, pokryte czerwonymi, żywymi ranami od papierosów. Twarz wydawała się być dosłownie zmiażdżona, oczy opuchnięte, a skóra wszędzie popękana.

Patrzyła na niego nieprzytomnie, próbując się uśmiechać. Miała wybite kilka przednich zębów.

— Wyglądam nieszczególnie, co? powiedziała głosem, który ledwo można było zrozumieć. Łzy stanęły jej w oczach i popłynęły po posiniaczonych policzkach.

Gino nie musiał pytać, kto to zrobił. Wiedział tylko, że trzeba natychmiast zabrać ją do szpitala.

Podszedł do łóżka i wziął ją w ramiona. Poczul zapach, jak z gorzelni, który mieszał się z ostrym odorem moczu i potu.

— Słuchaj — powiedział łagodnie — zostawię cię na chwilę i pójdę sprowadzić karetkę.

— Nie możesz — wymamrotała. — Muszę tu być. Paolo powiedział, że muszę tu być i zarabiać pieniądze, dużo pieniędzy...

Jej oczy bezwiednie zatoczyły łuk, powieki zamknęły się; zemdląła.

W szpitalu zadawali dużo pytań, ale Gino nic miał zamiaru udzielać odpowiedzi. Udawał, że jest niemową. Wcześniej już zdecydował, że to Paolowi nie ujdzie płazem.

Kiedy przekonał się, że Vera jest bezpieczna w szpitalu, wrócił do jej mieszkania.

Wszedł do pokoju i czekał. Siedział na krześle i trzy godziny wpatrywał się w drzwi.

Paolo przyszedł o czwartej nad ranem. Gino zaatakował ojca, zanim ten zorientował się, o co chodzi.

— Ty... wszawy... tchórze... — krzyczał uderzając i kopiąc jednocześnie. — Dzieci... kobiety... ty... podły... sukinsynie.

Dopiero po pewnym czasie Paolo zorientował się, co się dzieje. Przy butelce whisky spędził w melinie miły wieczór i przyszedł do domu w przekonaniu, że po zaspokojeniu potrzeby seksualnej spokojnie pójdzie spać. A tu nagle ktoś na niego napadł, zupełnie nie wiadomo dlaczego. Zwykle było odwrotnie; to on bił innych.

Jęknął po otrzymaniu kolejnego ciosu w głowę i zwrócił całą butelkę szkockiej i część lazanii, którą jadł wcześniej.

— Śmierdzisz! — dyszał z obrzydzeniem Gino. — Słyszysz? Śmierdzisz. Głos wydawał się znajomy, ale Paolo nie był w stanie logicznie kojarzyć.

Następne uderzenie trafiło prosto w szczękę, tak że zwałił się na podłogę.

— Nie waż się jej tknąć — ostrzegał głos. — Następnym razem może być dużo gorzej.

Po wyjściu napastnika Paolo zwrócił resztę lazanii. A więc to przez tę sukę Verę. Ma jakiegoś faceta. Jeszcze raz go spotka, to skutecznie wybije jej go z głowy.

Gino pobiegł do swojego pokoju i zdjął zniszczony garnitur. Trząśnięty całym, ale czuł, że dużo się nauczył. To był dzień!

Usiadł na łóżku i zaczął przypominać sobie wszystko po kolei. Pieniądze. Mała blondynka. prostytutka. Vera. Paolo. I plany stworzenia gangu.

Wpatrywał się w sufit, na którym znienawidził już każde pęknięcie tynku, odłóżką farbę i ogólną tandetę wszystkiego, co go otaczało.

Nigdy nie miał nic więcej, ale chodził do kina, spacerował po Park i Fifth Avenue, widział wspaniałe domy i duże samochody z szoferami. Wiedział, że gdzieś

jest lepsze życie. Wiedział też, że tylko pieniądze mogą do czegoś go doprowadzić.

Już następnego dnia zabrał się do roboty. W okolicy było kilkanaście ulicznych gangów, które zawsze potrzebowały nowych ludzi.

Słynni Minutowcy byli najsilniejsi. Swą nazwę zawdzięczali niesamowitej szybkości działania; potrafili dokonać włamania i uciec w ciągu minuty. Gino zastanawiał się, czy nie przyłączyć się do nich, ale mieli już dobrego kierowcę nazywał się Valachi — więc nie bardzo było tam dla niego miejsce.

Były też gangi irlandzkie, żydowskie i mieszane, takie, które żyły z szantażu, inne zajmowały się panienkami, ale większość uprawiała zwykłe, pospolite napady i włamania.

Gino chciał wejść w maki grupę, którą mógłby wkrótce kierować. Znal troche człowieka, który nazywał się Aldo Vinunzio. Robił od czasu do czasu jakieś skoki z jeszcze dwoma chłopakami. Był sprytny i nie robił wokół siebie rozgłosu. Chodziła pogłoska, że miał w Chicago kuzyna, który był prawie tak ważny jak sam Capone. Gino podszedł do niego i zaproponował współpracę.

Aldo kiwnięciem głowy wyraził zgodę. Gino był już znany w okolicy. Był silny, twardy, a przede wszystkim świetnie umiał prowadzić samochód.

Podali sobie dłonie w knajpie Grubego Larry'ego i Aldo przedstawił plan najbliższej akcji. Miał to być pewien magazyn futer, który tylko czekał, żeby go zrobić.

Możemy nieźle na tym wyjść - mówił Aldo. -- Ale musimy się pospieszyć. Z pewnego źródła wiem, że nie działa im teraz alarm.

Będziesz ty, ja i jeszcze dwóch, no i być może będzie trzeba odpalić coś dozorczy. Wtedy będzie podział na pięć, co może znaczyć sporo.

— Kiedy? — zapytał Gino. Dziś wieczorem. Wchodzisz?

— Jasne.

Omówili szczegóły i Aldo wyszedł. Gino właśnie zbierał się, żeby pójść do szpitala, gdy weszła

Panna Śliczna wraz z dwiema koleżankami. Oczywiście zignorowała go całkowicie, wysoko podniosła czoło, usiadła i zatopiła wzrok w menu.

Gino podszedł do stolika i stanął obok.

Słuchaj no powiedział wrywając jej kartę. Co ty sobie myślisz? Nie umiesz się zachować?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi, niewinnymi oczyma.

Przyszedłeś przyjąć zamówienie?

Cindy! jedna z koleżanek tłumiła chichot.

Jesteś tak glu...

— Co?- przerwała mu.

— Chciałabyś pójść do kina któregoś wieczora? — zapytał nie całkiem pewny, czy dobrze siebie słyszy, ale zadowolony, że w końcu wykrztusił to z siebie.

— Z tobą? — jej ton był wystarczającą odpowiedzią.

— Nie, z królem Canutem.

— Nie chodzę z obcymi.

— No dobrze, ale ja już nie jestem obcy. Przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi, no nie?

— Nie. Skrzywił się.

— Ciort z tobą.

Niedbale odszedł w stronę wyjścia. Głupia dziewczucha. Próbuje zrobić z niego balona, a nie wie, co traci.

Odwrócił się jeszcze raz i zobaczył, jak cała trójka pokłada się ze śmiechu. Smarkule. Nie miały więcej niż piętnaście, szesnaście lal. Nie miały o niczym zielonego pojęcia.

Pomyślał przez chwilę o prostytutce, z którą był dzień wcześniej, i o rzeczach, które z nią robił. To było bardzo podniecające, a byłoby jeszcze bardziej, gdyby nie musiał płacić.

Siedemnaste urodziny Gino obchodził wraz z piątą akcją z Aldem. Łatwe pieniądze. W niecały miesiąc odłożył tysiąc pięćset dolarów.

Majątek! Założył konto w banku, wpłacając pięćdziesiąt, a resztę trzymał bezpiecznie w depozycie. Z pieniędzmi wiązał pewne plany.

Nie chciał ich przepuścić jak pierwszą pięćdziesiątkę. Żadnych garniturów i prostitutek. Uważał,

żeby nikomu nie wydać się podejrzanym, a szczególnie dzielnicowym glinom, którzy na wrywki zatrzymywali i wypytywali chłopaków u Grubego Larry'ego.

Było jednak tyle gangów i tyle włamań, że gliny nie dawały sobie rady.

Aby nikt nie mógł się przyczepić, Gino zaczął pracować przy dostawie towarów do apteki. Jednak to, co woził, niezupełnie było aspiryną. Narkotyki. Dwadzieścia pięć dolarów za transport. Ani źle, ani też za dobrze. To było ryzykowne zajęcie. Jakby go złapali...

Każda praca ma jakiś współczynnik niebezpieczeństwa. Pinky Banana naprawiał podwozie cadillaka. Leżał pod uniesionym samochodem, gdy podnośnik nagle puścił i wszystko runęło na niego. Miał złamaną nogę, trzy żebra i dużo szczęścia, że w ogóle z tego wyszedł. Za takie ryzyko nie miał nawet dwudziestu pięciu tygodniowo.

Gino odwiedził go w szpitalu i wlał trochę oleju do głowy. Gdy Pinky wyszedł, miał już inne poglądy na temat uczciwości.

Na gruncie osobistym nic specjalnego się nie działo. Panna Śliczna nadal około południa pojawiała się u Grubego Larry'ego, ale Gino nie pragnąc dalszych obelg, nie wchodził jej w drogę. Nie brakowało dziewcząt, które mógł zabrać do pokoju i ćwiczyć sztukę kochania, bo dla niego seks, był sztuką. Jeżeli dziewczyna nie była zadowolona, to i on nie był. Gino Baran był w pełnym rozkwicie.

Very nie odwiedził. Cały czas myślał, że do niej pójdzie, jednak rozmyślił się. Minał tydzień i usłyszał, że wypisała się ze szpitala. Tak naprawdę to Gino bał się. Bał się tego, że jeżeli Paolo znowu zbił Verę, to on będzie zmuszony coś zrobić. Wiedział, że tym razem mógłby się nie opanować. W tamtą noc był przygotowany, nie była to ślepa, niepohamowana furia. Ale gdyby jeszcze raz miało do tego dojść... jeśli Paolo byłby trzeźwy i zaczął się bronić...

Trzymał się więc z daleka. Czego oczy nie widzą, to pięści nie drażni.

Listy od Costy z Kalifornii nadal przychodziły regularnie. Raz w kopercie było też zdjęcie przedstawiające Costę, kiedyś małego chudzielca, który wyrósł teraz na przystojnego kawalera, z przyrodnią siostrą i psem. Gino uśmiechnął się na ten widok i cieszył się, że się lak małemu powiodło. Udało mu się uciec w świat, tak dla Gina nierealny jak przechadzka po księżycu.

Dwa miesiące po siedemnastych urodzinach Gino został aresztowany, gdy w zaparkowanym dodge'u czekał przed jednym z magazynów Bronxu. Wewnątrz na gorącym uczynku złapano Aida wraz z jego dwoma współnikami, którzy zajęci byli przygotowywaniem bel jedwabiu i atlasu do wywiezienia samochodem.

Kłós nas sychnął mruknął Aldo w wozie policyjnym, wiozącym ich na posterunek. Jestem tego pewien. Komu mówiłeś.

Gino zatrzęsł się z gniewu.

— O co ci, kurwa, chodzi? Co komu mówiłem? Nikomu, ty piździelcu. Komu ty powiedziałeś?

Spisano ich i wsadzono za kratki. Gino miał żołądek w gardle. Wiedział, że nie zniesie powtórnego zamknięcia. A tym razem nie będzie to poprawczak, ale coś naprawdę poważnego.

Carrie

1927—1928

Welfare Island. Smród i brud. Szczury wielkości kotów. Parszywe jedzenie. Przepelnione cele. Kobiety z wszelkimi paskudztwami: pchły, wszy, kleszcze, rzeżączka. Lesbijki krążące w poszukiwaniu ofiary zbyt słabej, żeby się bronić.

Carrie przeżyła ciężkie chwile. Już po dwóch tygodniach zaczęła dobierać się do niej Ruda Kokota, liderka-samozwaniec o zezowatym i złośliwym spojrzeniu.

Było to w nocy, kiedy Carrie zasypiała na wąskiej pryczy w przeludnionej celi. Nagle poczuła na sobie duży ciężar i czyjeś ręce na piersiach. Co, do cholery? - obudziła się z trudem.

Zamknij się i leż cicho — ostrzegła ją Ruda Kokota. Palcem przerucham cię lepiej niż jakikolwiek facet w twoim życiu. Złaż ze mnie syknęła stanowczo Carrie. Rudowłosa lesbijka wyraźnie była zaskoczona.

- Jaja sobie ze mnie robisz? Większość dziewczyn dałaby sobie cycki odciąć, żebym je trochę pomacała. ----- Mówiąc to, jednocześnie kciukiem

i palcem wskazującym drażniła sutki Carrie. Zobaczysz, jak ci będzie

dobrze.

Carrie wyslizgnęła się spod niej, spadając na podłogę. Ukucnęła i nieustępliwym wzrokiem popatrzyła na napastniczkę.

— Zostaw mnie, rozumiesz? Zwyczajnie mnie zostaw.

— Głupia czarnucha. Nie wiesz, co tracisz. Nigdy nie przypuszczałam, że przyjdzie taki dzień, kiedy zawiodę się na jakiejś głupiej, czarnej dziwce.

— Nie robię tego z kobietami — ucięła Carrie. A na pewno nie z grubymi krowami o tłustej skórze, cuchnącym oddechu i najprawdopodobniej tryprem — pomyślała.

— Zawsze jest kiedyś pierwszy raz przekonywała Ruda Kokota. — Jeżeli chcesz się przekonać, co jest dobre, to nie rób takich numerów. Rozumiesz, czarna?

Carrie wzruszyła ramionami.

— Weź sobie kogoś innego. Ja tego nie potrzebuję.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, wiedziała, że na tym się nie skończy. I miała rację. Następnego dnia nikt z nią nie chciał rozmawiać.

Rozniosła się wieść, że Carrie obraziła szefową, co było niewybaczalne dla większości dziewcząt. Żadna z nich nie chciała mieć kłopotów. W jedną noc Carrie przestała praktycznie istnieć. Już do tej pory więzienie było trudne do zniesienia. Teraz był to koszmar.

W nocy Carrie leżała na pryczy, nie mogąc usnąć. Przestraszona, samotna, zrezygnowana. Nie widziała sensu w życiu, jakie przyszło jej prowadzić. Po co żyła? Dlaczego Bóg zapomniał o niej?

Wielokrotnie myślała nad tym, jak jej życie mogło wyglądać. A zaraz potem uświadomiła sobie, czym jest w rzeczywistości i kim jest ona sama. Ta ruda miała rację: jest głupią, czarną kurwą, niczym więcej. Zaczęła więc zastanawiać się, jak z tym skończyć, i to już samo w sobie było jakimś celem.

Pewnego dnia w łaźni zapanowała niezwykła cisza. Wszystkie dziewczęta spoglądały na Carrie, pospiesznie kończyły toaletę i szybko wychodziły.

W powietrzu wisało coś złego. Nad Carrie cały czas wisało coś złego, więc przestała już zwracać na to uwagę. Namydlała się ostrym mydłem karbolowym pod pachami, między nogami. Utrzymywanie czystości stało się jej obsesją.

Nagle pojawiła się Ruda Kokota w towarzystwie czterech innych dziewczyn.

- Jak się masz, czarna? Były to pierwsze słowa, wypowiedziane do Carrie od czasu zdarzenia sprzed sześciu dni.

— Wiesz co? — mówiła Ruda, zdejmując więzienne ubranie. — Postanowiłam ci darować tylko dlatego, że jesteś tak głupia. Zdjęła biustonosz i chwyciła duże piersi. — Wyliż je! — zażądała.

Carrie odłożyła mydło i próbowała bokiem wycofać się spod pryszniców. -- Gdzie się tak spieszysz, słodziutka? — Dwie dziewczyny zagroziły jej drogę.

— Na podłogę z nią! — rozkazała szefowa. — Trzymajcie ją tak, żeby nogi miała rozwarte.

Nie było sensu stawiać oporu. Wszystkie cztery dopadły ją, powaliły na posadzkę i trzymały rozpostartą jak na krzyżu.

— No, czarna, z radością w sercu nauczę cię teraz kilku rzeczy. Trzymały ją tak przez godzinę. Bezradna leżała na zimnych kafelkach, gdy

dziewczyny bawiły się wpychając w nią wszystko, co podeszło pod rękę. Ruda Kokota usiadła obok i zaczęła się masturbować, co było dziełem kończącym widowisko. W końcu wszystkie wyszły bardzo ubawione. To była świetna poranna rozrywka.

Carrie nie ruszała się. Leżała, wpatrując się w kapiący nad nią prysznic, mamrocząc ledwie słyszalnym głosem słowa o śmierci. To był

koniec. Jej życie już się skończyło. Była gotowa na pożegnanie świata.

Strażniczka znalazła ją dwie godziny później. Carrie ciągle leżała w tej samej pozycji, sina z zimna, z zakrzepłą krwią na udach.

— Boże wszechmogący! Kto ci to zrobił?

Carrie nie odpowiedziała. Nie odezwała się ani słowem przez dwa tygodnie. Bezmyślnie leżała na pryczy w oddziale dla chorych. Było to jednak lepsze niż powrót do celi.

Kiedy wyzdrowiała, w milczeniu powróciła między pozostałe dziewczyny. Unikały jej wzroku i nadal nie odzywały się do niej. Miała to gdzieś. Przyjęła nową postawę. Nienawiść. Dawało jej to poczucie siły, co inne więźniarki wyczuwały i trzymały się z daleka.

Któregoś dnia podjęła pewną decyzję. Kiedy wyjdzie na wolność, zacznie cenić się i zupełnie inaczej myśleć. Zostanie najtwardszą, najewańszą, najpodlejszą i najlepiej zarabiającą czarną kurwą w całym interesie.

Była sroga zima, kiedy Carrie wyszła z więzienia. Siedziała sześć miesięcy, dwukrotnie dłużej, niż mówił wyrok, gdyż księgowość nie była mocną stroną zakładu na Weifare Island. Schudła osiem kilogramów i wyglądała jak szkielet. Z uwagi na wszy miała krótko obcięte włosy. Płynąc promem po East River w kierunku portu, trzęsła się z zimna w letniej sukience.

Miała jedynie dziesięć dolarów i nadzieję, że Florence Williams trzyma jej rzeczy, wśród których była mała kasetka z zaoszczędzonymi sześciuset dolarami.

Wzdłuż przystani stała grupa podekscytowanych alfonsów, gotowych na przegląd dziewcząt. Oglądali je mniej więcej jak kawałki wołowiny i podchodzili do tych, które w ich oczach rokowały jakieś nadzieje na zysk. Władze miasta dobrze wiedziały, co się tutaj dzieje, ale w zasadzie nie mogły nic zrobić. Poza tym, jak któraś raz była dziwką, to już dziwką zostanie. Nawet policja przymykała oko na ten proceder.

Jakie szanse miały dziewczęta? Które dostaną wygodne łóżko, ubranie, gorący posiłek i możliwość natychmiastowego zarobku?

Carrie wiedziała, o co tu chodzi. W więzieniu krążyły żarty na temat, który alfons będzie miał szczęście. Jedna drugiej przekazywały różnego rodzaju wiadomości. „Jeśli będzie tam Szmata, to dajcie mu trochę syfa ode mnie”. „Jak spotkacie takiego śmierdziela z żółtym samochodem, to poczęstujcie go jeszcze jednym nożem. Zasłużył sobie, skurwiel!”

Carrie rozejrzała się. Nie wzbudzała specjalnego zainteresowania. Wiedziała, że wygląda jak ruina. Wzięła głęboki oddech i wypięła biust. W rezultacie tego zabiegu podszedł do niej z boku pewien człowiek o śniadej cerze.

— Szukasz roboty, ciemna? wymamrotał pod nosem. Nie spodobało jej się to „ciemna”. Pokiwała głową, że nie.

- Nie rób jaj — powiedział arogancko. Ciebie nikt inny przecież nie weźmie.

Carrie zmrużyła oczy.

— Inaczej byś mówił, dupku, gdybyś zobaczył, co mam między nogami. Odwróciła się i zobaczyła alfonsa, którego szukała. Nie można go było nie

rozpoznać. Wysoki, czarny, zupełnie łysy. Ubrany był w biały garnitur. Carrie dużo słyszała o nim w więzieniu. Nazywał się Whitejack i pracował dla Mae Lee, największej czarnej damy Harlemu.

Whitejack opierał się o nowiutki samochód i palił długie, cienkie cygaro. Żadna z dziewczyn go nie zainteresowała. Było to zrozumiałe, bo wszystkie wyglądały raczej mizernie.

Carrie podeszła do niego z werwą, na jaką było ją stać.

— Przepraszam pana — powiedziała odważnie — szukam zajęcia. Zwrócił ku niej oczy i leniwym spojrzaniem zlustrował od głowy do stóp.

Potem jeszcze raz, na wypadek gdyby za pierwszym coś przeoczył.

— Lepiej poszukaj gdzie indziej, mała — wycedził wolno, nie wyrażając żadnego zainteresowania.

— Właśnie skończyłam szesnaście lat — mówiła szybko. — Słodka, czarna, gorąca i młoda: dokładnie taka, jaką lubią biali.

Pracowałam jakiś czas u Florence Williams, nie jestem amatorką.

— Seksbombą też nie.

— Może jednak dałby mi pan szansę? — powiedziała pokornie, opuszczając ręce wzdłuż ciała. — Jakby mnie ubrać i trochę podtuczyć, to byłabym zupełnie niezła. Niech mi pan da spróbować.

— Ja i Madam Mae trzymamy się pewnego standardu. Mamy klasę. Idź szukać gdzie indziej.

Patrzyła prosto na niego, a pokorny uśmiech zniknął jej z twarzy. Zaczęła wzbierać się w niej nienawiść, której nauczyła się w więzieniu.

Chciała wybuchnąć wściekłością, ale się powstrzymała. Wzruszyła ramionami i odeszła.

Whitejack zatrzymał ją, chwytając za ramię.

— Chcesz być pokojówką?

Strząsnęła jego rękę i ruszyła dalej. Pokojówką! Kupa śmiechu. To już nie dla niej.

- Ty! - zawołał i ruszył za nią.

Zatrzymała się. Whitejack dogonił ją i wyczuła, że w końcu się nią zainteresował.

— Naprawdę pracowałaś u Florence Williams?

— Może pan sprawdzić. Ja, dziewczyna, która nazywała się Billie, i jeszcze takie dwie białe...

— Hmmm --- Wypuścił wąską smugę dymu prosto w jej twarz. — Więc chcesz zobaczyć, czy spodobaś się Madam Mae?

Wiedziała, kiedy trzeba być odważną.

— Jeżeli panu się podobam, to jej na pewno też będę. Wszyscy wiedzą, że to działa w ten sposób. Uśmiechnął się.

— Taka cwana.

Również się uśmiechnęła, ale jej oczy pozostały chłodne.

— I taka młoda dodała. Wsiadaj do samochodu. Robi się, panie Whitejack. Skąd wiesz, jak się nazywam?

Tam na wyspie wszyscy wiedzą. Przecież jest pan znanym człowiekiem. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nawet umiesz się odzywać.

— I wiem, kiedy nie należy odzywać się w ogóle. Wybuchnął śmiechem.

Cholera, dostała mi się taka, która przynajmniej umie rozmawiać.

— No pewnie! - śmiała się wraz z nim.

Wykąpali ją, wydezynfekowali, odwyszawili, nakarmili, sprowadzili lekarza, żeby przebadał ją w środku i na zewnątrz, ubrali w różowy, atlasowy szlafrok i natychmiast zagonili do roboty.

Madam Mae była tak wysoka jak Whitejack. Wyglądała bardzo lubieżnie. Miała blond perukę, która ostro kontrastowała z jej czarną skórą. Ona również pracowała, choć rzadko, biorąc za usługi kosmiczne opłaty. Powoli dochodziła już do czterdziestki, a zarabiała prostytutką od dwunastego roku życia.

Znienawidziła Carrie praktycznie po pierwszym spojrzeniu, wiedziała jednak, że będzie to dobry interes.

— Chcesz ją wziąć, no to ją weźmiemy — powiedziała Whitejackowi. Carrie nie myliła się w przypuszczeniach.

Ale od jej majtek trzymaj się z daleka — ostrzegła Madam Mae. — Nie byłabym zadowolona, gdyby przyplątał się tu jakiś bachor.

Whitejack zaśmiał się trochę zmieszany. — W ogóle nie przyszło mi to do głowy.

— Już ja wiem, co ci przychodzi do głowy!

— Myślisz, cholera, że oglądam się za jakimiś tam, kiedy mam ciebie? Oglądasz się za wszystkim, co tylko oddycha, gdy cię dobrze nie przypilnuję.

Carrie postanowiła zrobić dużą karierę. Nie starała się zawrzeć żadnych korzystnych umów z Madam Mae, dopóki nie dowiedzie swojej wartości. Na razie podział pieniędzy po połowie zupełnie jej wystarczał. Odebrała swoje rzeczy od Florence Williams, uszczęśliwiona, że jej sześćset dolarów było nietknięte. Florence zaproponowała nawet, żeby wróciła do niej, ale Carrie odmówiła. Madam Mae prowadziła interes na dużo większą skalę. Jak już zdobędzie odpowiednią pozycję, będzie pracować non stop. Liczyły się tylko pieniądze, a Carrie chciała zarobić majątek.

Klientela była bardziej zróżnicowana niż u Florence. Madam Mae utrzymywała otwarty dom z dziesięcioma ciężko pracującym dziewczętami: jeszcze dwie inne czarne, Puerlorykanka, trzy białe blondynki, gruba Mek-sykanka, Chinka i malutka, ale bardzo kształtna Lucille.

Carrie musiała ciężko pracować, żeby się wybić. Ale była ambitna, chciała być najlepsza.

Już od pierwszego klienta grono jej stałych gości zaczęło się powiększać. Carrie wiedziała, jak z każdego z nich zrobić prawdziwego mężczyznę. Przychodzili do niej impotenci lub inni pokrzywdzeni przez los i opowiadali o niedoli życia. Od Carrie wychodzili odświeżeni, podniesieni na duchu

i całkowicie zaspokojeni seksualnie.

Nienawidziła ich wszystkich. Oni ją uwielbiali.

Lucille była jedyną dziewczyną, która odzywała się do Carrie. Pozostałe były podejrzliwe i zazdrosne o swych stałych klientów.

— Jestem tu od pięciu lat — wyznała Lucille. — Whitejack zobaczył mnie w takim porno-showie. Był bardzo miły i powiedział, że to bardziej mi się spodoba. I wiesz co? Miał rację.

Carrie nie zależało na zdobywaniu nowych przyjaciół, chciała skoncentrować się wyłącznie na interesie, ale Lucille w pewien sposób przypominała ją samą. Obie stanowiły margines i obie nadawały się tylko do jednego.

— Któregoś dnia wyrwę się stąd — wyznała Carrie. — Będę większa i lepsza od Madam Mae. Założę najlepszy interes w mieście.

— Ja już to kiedyś słyszałam — zaśmiała się Lucille.

— Tak, ale ja mówię serio — odpowiedziała Carrie.

Carrie mówiła poważnie. Dlaczego miałyby zawsze ulegać temu, co stawało na jej drodze? Jeśli nie mogłaby być najlepsza, równie dobrze mogłaby umrzeć.

Jej sława rosła równie szybko jak lista stałych gości.

— Co ty masz w sobie, o czym ja nie wiem? — Whitejack zapytał żartem któregoś dnia.

Uśmiechnęła się sztucznie; jej oczy pozostały zimne.

— Przecież mówiłam: słodka, czarna, gorąca i młoda. To wszystko, czego potrzebuje biały kutasik.

Whitejack rozejrzał się dokoła. Byli sami w salonie. Spokojnym ruchem wsunął rękę pod jej szlafrok i położył dłoń na piersi.

— Stałaś się gwiazdą, dziewczyno.

— Mówiłam, że jestem dobra. Nie wyciągnął ręki.

— Powiniennem cię zatrzymać dla siebie, zamelinować w jakimś pokoju. Whitejack zaczął się podniecać. Carrie ze znanstwem spojrzała na białe,

obcisłe spodnie. Widziała, jak sztywniejący penis napręża materiał. Podniecić Whitejacka, to było już jakieś osiągnięcie.

Oblizwała wargi. Wiedziała, że wygląda zachęcająco.

— Więc dlaczego mnie nic wzięłeś? Ręka zaczęła pieścić jej pierś.

— Nie biorę pierwszej lepszej dziewczyny.

— Nie jestem pierwsza lepsza. Mam praktykę.

— Teraz widzę.

Zaczął na nią napierać i przyciskać wypełnione spodnie do jej uda. W tym momencie do pokoju weszła Madam Mae z dwiema dziewczętami.

Whitejack odskoczył gwałtownie od Carrie, ale bystre oczy szefowej zauważyły, co się działo. Puściła mu zabójcze spojrzenie.

Kochanie, tu się za to płaci. Chcesz się pobawić z dziewczynką, to musisz pamiętać, że to kosztuje — mówiła ironicznie.

Whitejack odzyskał zimną krew.

— Prędzej umrę, niż kiedyś za to zapłacę.

— Trzymam cię za słowo - powiedziała nie dając za wygraną. Dziewczęta zaśmiały się, a dzwonek do drzwi przeszkodził dalszej wymianie zdań.

Do salonu weszło gęsiego trzech młodych studentów. Madame Mae zajęła się nimi z szacunkiem, podała drinki, tak żeby poczuli się swobodnie. Następnie wskazała dziewczęta.

— Proszę sobie wybrać — zaoferowała. — Na którą tylko panowie macie ochotę.

Carrie uśmiechnęła się miło do jednego z nich, wzięła go za rękę i zaprowadziła do pokoju.

Był cholernie zdenerwowany. Czerwony na twarzy, spocony i rozdygotany.

— Jak masz na imię, słodziutki? — zapytała przymilnie.

— Hen... ry — głos załamał mu się między sylabami.

— No Hen... ry, wspa... nia... le... się zabawimy, tak?

Nerwowo pokiwał głową. Miał osiemnaście lat i pierwszy raz był w burdelu.

Carrie zdjęła mu ubranie, cmokając z zachwytu nad wątłym ciałem. A kiedy zdjęła majtki, to aż wzdrygnęła się. Cienki, biały, jak mały, wijący się robaczek.

Westchnęła.

— Hen... ry, klasa facet jesteś! Naprawdę jest na co popatrzeć! Zrobimy sobie taką imprezę, o jakiej ci się nawet nie śniło. No co, słodziutki, dobrze?

Gino

1924—1926

Dziewiątego lipca 1924 roku Gino Santangelo po pięcioletnim pobycie w areszcie dzielnicowego komisariatu został postawiony przed sądem, oskarżony winnym dokonania włamania i skazany na osiemnaście miesięcy więzienia. I tak miał szczęście. Aldo Dinnunzio dostał dwa lata. Razem wysłano ich do Sing Sing.

Aldo był pewien, że ktoś ich sypnął, i już myślał o zemście.

— Komu, kurwa, powiedzieliście? — pytał pozostałych dwóch współników. — Kto wiedział o magazynie?

Obaj do niczego się nie przyznali. Aldo nie dawał jednak za wygraną i nagabywał ich co chwila. W końcu wydało się, że jeden z nich pochwalił się planowanym skokiem siostrze.

Taka informacja wystarczyła. Aldo nareszcie miał kogoś, na kogo mógł zgonić winę.

— Suka! — gderał bez przerwy. Musiała powiedzieć glinom! Kiedy wyjdę, dziwka pożałuje, że w ogóle żyje.

Gino próbował go uspokoić, ale Aldo nie chciał o niczym słyszeć.

— Jak tyko postawię nogę za bramą, ta suka może mieć duże nieprzyjemności.

Gino zauważył, że aby najlepiej znieść pobyt w więzieniu, należało trzymać się z dala od wszelkich kłopotów. W celi siedział ze starym mężczyzną, który skazany był za próbę zabójstwa. Nie zwracali na siebie uwagi, co było chyba najlepszą metodą, żeby przeżyć wspólne zamknięcie bez kłótni i awantur.

Mężczyzna z hałasem sikał do wiadra i prawie co noc onanizował się, dokładnie wtedy, kiedy Gino kładł się spać. To było obrzydliwe, ale Gino nauczył się nie zauważać. Starał się zapomnieć o kobietach, seksie i ciepłych ciałach. Spostrzegł, że cały czas ma erekcję, ale w przeciwieństwie do innych nie chciał się masturbować. Czasami śniła mu się jakaś dziewczyna. Budził się wtedy z mokrymi majtkami, zły i rozgoryczony.

Seksu brakowało mu bardziej niż czegokolwiek innego. Myślał o kobietach, z którymi będzie się kochał, gdy wyjdzie na wolność.

Najczęściej marzył o małej blondynce od Grubego Larry'ego. Od czasu gdy go wyśmiała, w ogóle z nią nie rozmawiał, ale wiedział, że jeszcze się doczeka. W myślach już widział, jak dobiera się do jej magicznego punktu... Jeszcze przyjdzie taki dzień.

Cały czas otrzymywał listy od Costy, a raz odwiedziła go Vera. Nie wyglądała zbyt dobrze. Nie wstawiła sobie dwóch przednich zębów, które wybił jej Paolo. Skórę miała brzydką i pomarszczoną

od alkoholu.

Ty mała cholero — miała do niego pretensje. — Sklerozę masz czy co?

Ani słowa przez tyle miesięcy. W końcu dowiedziałam się, gdzie jesteś no to przyjechałam.

— O rany... — powiedział zmieszany. Gdy uśmiechnęła się, jego oczy automatycznie zatrzymały się na szczybie. — Miło, że chciało ci się mnie tu odwiedzić.

— Pewnie, że chciało. A co to, nie stać przyrodniej matki na jedną wizytę? Ale wiesz, Gino, ja do tego pierdła nie chcę już przyjeżdżać Mam dosyć po tym, jak jeździłam tu do Paola. Jak wyjdiesz, to przyjdiesz do mnie, co?

— A gdzie stary?

— Skurwiel wziął pieniądze i uciekł. Tego samego dnia, co wyszłam ze szpitala. — Ze smutkiem wskazała na usta. — Pewnie mu się to nie spodobało.

— Mam trochę forsy, to sobie zrobisz te zęby — powiedział szybko. Zaśmiała się lubieżnie.

— Dzięki, ale coś ci powiem. Jak teraz nie mam tych zębów, to nawet na dobre wychodzi. Mogę robić z facetami takie rzeczy, o których wcześniej nawet me marzyli. — Przysunęła się bliżej dzielącej ich siatki. — Pokażę ci, jak wyjdiesz.

Zaśmiał się.

— Daj spokój, Vera. Zachichotała.

— Próbuję cię podnieść na duchu. Przecież ja wiem, że wy tu tylko

0 dupach myślicie! Musi być wam ciężko.

— I jak twardo!

— Stary kawalarz! Jak zwykle. — Podniosła się. — Muszę już iść. No

1 Gino, dziękuję... Wiesz, za co. Wcześniej nikt się mną nie opiekował Miło mi było.

— Skąd wiesz, że to byłem ja?

— Nie żartuj.

Odsiadka w Sing Sing to nie gra w cymbergaja. Gino został przydzielony do grupy budowlanej. Praca dawała nieźle w kość, ale towarzystwo miał interesujące. Nawiazywał ciekawe kontakty i dużo się uczył od starszych i bardziej doświadczonych.

Miesiące mijały szybko. A już po roku Gino został warunkowo zwolniony za dobre sprawowanie.

Po wyjściu czekała na niego niespodzianka. Napisał do niego przyrodni ojciec Costy, zapraszając na wakacje do Kalifornii. Wyglądało na to, że Gino nie miał wyjścia. Praktycznie prosto z więzienia wsiadł w pociąg, nawet nie zdążył rozejrzeć się za jakąś spódniczką.

Czul się trochę niepewnie. Tak właściwie to Costę Zennocottiego znał tylko z listów. Cholera. Co tym dupkom strzeliło, żeby zaprosić na wakacje kogoś takiego jak on.

Costa, wraz z przyrodnim ojcem, Franklinem Zennocottim, czekał cierpliwie na stacji w San Francisco. Trochę podrosł, przytył i choć ciągle niski jak na swoje szesnaście lat, prezentował się całkiem okazale.

— Nie wiem, czy to taki dobry pomysł — powiedział ojciec po raz dwudziesty w tym tygodniu.

— Oj, tato... Mnie dałeś szansę i popatrz: nie zmarnowałem jej — odpowiedział Costa.

Franklin uśmiechnął się. Mały miał rację. Nie zmarnował szansy. Był najbystrzejszym chłopcem w okolicy. W szkole zbierał same dobre oceny. Naprawdę przyjemnie było mieć takiego syna.

Jednak adoptowanie Costy to jedna rzecz, a odwiedziny kolegi kryminalisty — druga. Całe szczęście, że to tylko miesiąc. A Costa tak bardzo prosił, wręcz błagał: „Tato, on uratował mi życie... Nie możemy czegoś dla niego zrobić?”

Costa o nic wcześniej nie prosił. Trudno było odmówić spełnienia jedyne go życzenia.

Tak więc Gino Santangelo przyjeżdżał na wakacje. Franklin Zennocotti miał nadzieję, że nie jest to błąd, choć był pewien, że nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

Gino dumnie wysiadł z pociągu, co miało ukryć zdenerwowanie. Dotknął blizny na policzku i spojrzał na wspaniałe, bezchmurne niebo.

Zdjął kurtkę i zwiniętą wsadził pod pachę. Poczul ostry zapach własnego potu i natychmiast włożył ją z powrotem.

Costę spostrzegł natychmiast, ale mały szkrab najwyraźniej go nie zauważył. No cóż, pewnie się zmienił... Poza tym zawsze wyglądał

na starszego. Wszyscy myśleli, że ma ponad dziewiętnaście lat.

Miał więc czas, żeby przyjrzeć się chłopcu i jego ojcu. Wyglądali tak... czysto. To było jedyne słowo, jakie przyszło mu na myśl.

Ruszył w ich kierunku, aż w końcu Costa go rozpoznał.

— Gino! — wykrzyknął. Podbiegł do niego i uściśnął, co wprawiło Gina w lekkie zakłopotanie. Cholera, czyżby wcześniejsze doświadczenia przemieniły go w pedzia?

— Tak się cieszę, że cię widzę — powiedział uradowany Costa. — Chodź, przywitaj się z ojcem. —

Zaciągnął go do Franklina Zennocottiego, który uśmiechnął się jak do własnego gówna.

Gino znał to wyrażenie. Mówiło ono: już sam twój widok nie podoba mi się i nie rozumiem, dlatego muszę z tobą rozmawiać.

— Dzień dobry — powiedział wyciągając rękę. — Miło mi pana spotkać.

Jadąc ze stacji do domu, Gino usłyszał masę rzeczy, które go w ogóle nie interesowały: o zabawach na basenie, o kortach tenisowych i licho wie, o czym jeszcze. Naprawdę interesował go tylko nowiusiński cadillak, którym właśnie jechali. Jakże chciałby usiąść za kółkiem czegoś takiego.

Dom był jak z hollywoodzkiego filmu. Ogromny, z filarami, okiennicami i szybami wprawionymi jak witraże w cienkie, ołowiane ramki. Z tyłu był

basen. Matka Costy bardzo przejęła się gościem. Podsuwała mu ciasteczka, lemoniadę i upierała się, żeby zdjął kurtkę. Boże! Jakie wnętrze!

Ciągle z kurtką na grzbiecie, Gino spałaszował kilka ciastek, po czym Costa zaproponował, że pokaże mu swój pokój.

Gino kręcił się wkoło, dokonując szczegółowego przeglądu: wyjrzał przez okno, sprawdził łóżko, obejrzał olbrzymi regał.

— Jezusie! — mamrotał cały czas pod nosem. — Nieźle się tu urządziłeś, mały.

— Skąd masz tę szramę na policzku? — wypalił nagle Costa, szukając tematu do rozmowy.

Gino skrzywił się i dotknął blizny.

— Bardzo widać?

— Nie, nie tak bardzo... Costa zaczął niby od niechcienia kopać dywan. Zorientował się, że palnął głupstwo.

Gino nachmurzył się i podszedł bliżej do lustra.

— Tak mruzczał raczej bardziej do siebie. — Lekarze kiepsko to pozszywali.

— Prawie nie zauważyłem — odparł szybko Costa.

— Pieprzysz! O nic innego, tylko o to, kurwa, zapytałeś.

— Cśśś... mama i tata wyrzuciliby cię, gdyby usłyszeli, jak mówisz. Gino przymknął oczy. W co on się wpakował?

Wkrótce zorientował się, że miał zupełnie mylne pojęcie na temat Costy. Mały był wręcz wspaniały. I taki miły, że aż się rzygać chciało.

Nie był pedziem, ani nikiem takim. Nigdy jeszcze się nie całował, nie mówiąc już o innych rzeczach. Gino czuł, że to jego obowiązek, żeby coś z tym zrobić. Nie da się ukryć, że zbyt dużo pływania i grania w tenisa nikomu na dobre wyjść nie może. Małe bzykanie przerwie nudną monotonię.

— Słuchaj — zwrócił się do Costy — musi tu gdzieś być jakaś burdelchata.

Czuł, że eksploduje, jeśli zaraz nie położy się na jakiejś dziewczynie.

— Burdelchata? — Costa zaczerwienił się, nim zdążył wypowiedzieć to słowo.

— Nie bój się — zachęcał Gino. — Pójdziemy razem. Słuchaj, jeżeli zaraz nie dostanę jakiejś panienki, to mi interes na pół rozerwie.

Costa był podekscytowany i jednocześnie przerażony. Wiedział o takim jednym burdelu koło portu. Dwaj jego koledzy byli tam i wrócili z niesamowitymi, choć może trochę nieprawdopodobnymi historiami.

Costa z podniecenia nie mógł usiedzieć na miejscu. Podczas obiadu matka zaczęła mu się dokładnie przyglądać.

— Cały jesteś rozpalony, Costa. Nie masz przypadkiem gorączki?

— Nie, czuję się dobrze odpowiedział szybko, zerkając ukradkiem na Gina.

Franklin zauważył to spojrzenie.

— Może jednak zrezygnujesz z tego kina i zostaniesz w domu?

— Nie, nie — protestował Costa — Naprawdę nic mi nie jest. Franklin wytarł serwetką usta.

— Tylko nie przyjdź późno. Mogę ci odpuścić naukę w tym miesiącu, ale nie chcę, żebyś hulał gdzieś po nocach.

— Tato, przecież dopiero drugi raz wychodziny do miasta. Ojciec spojrzał z uwagą na syna.

— Gino nie przyjechał tutaj, żeby wychodzić do miasta — powiedział surowo. — Przyjechał, żeby zobaczyć, jak wygląda prawdziwe domowe życie. Mam nadzieję, że podczas pobytu u nas dużo się nauczył — rzucił Ginowi przenikliwe spojrzenie. — Czyż nie jest tak?

Czy nie uważasz, że zrozumiałeś, co to znaczy szanować i troszczyć się o innych ludzi?

— Chwileczkę odparł szybko Gino. — Ja zawsze troszczyłem się o innych.

— O tych, których okradałeś odpowiedź Franklina była błyskawiczna. Gino zarumienił się.

— To byli ludzie, których nawet nie znałem... Same ważniaki. Zresztą oni są ubezpieczeni... są przygotowani, że ktoś ich... skubnie...

Franklin szybko spojrzął na Costę.

— Widzisz, synu — tłumaczył wolno — jest takie nastawienie wśród bardziej... zdemoralizowanych członków społeczeństwa. Miałem nadzieję, że będziemy w stanie pokazać Ginowi, że można żyć inaczej. Chciałem, żeby zrozumiał, że nikt nie chce być... skubniętym, jak on to mówi, że ciężko pracujący biznesmeni nie są od nikogo gorsi.

— Gówno — mruknął Gino.

— Chciałeś coś powiedzieć? — zapytał chłodno Franklin. Gino zakaszłał.

— Coś mi wpadło do gardła — wytłumaczył. Costa odsunął się od stołu i wstał.

— Musimy już iść — powiedział szybko.

Burdel koło portu był zupełnym nieporozumieniem. Gino miał złe przeczucia, jak tylko do niego doszli.

Najgorsze przewidywania potwierdziły się, gdy zobaczył kobietę, która otworzyła drzwi. Miała pryszczatą twarz, spękane wargi i tandetną perukę. Mrugnęła do nich okiem i wciągnęła do środka.

— Dwa małe spragnione jelonki, co?

Miała na sobie spraną sukienkę z cekinami, która pewnie pamiętała jeszcze poprzedni wiek. Obwisły biust świadczył o bardzo dużym przebiegu.

— Dziesięć od każdego — powiedziała szybko. — Kto pierwszy?

— No zaraz, chwila — protestował Gino. — A gdzie dziewczyny?

— Była kiedyś druga, jeszcze dwa miesiące temu, ale odeszła, bo wyszła za mąż. Zostałam sama, szczebiotku. — Położyła mu rękę na ramieniu. — Ty pierwszy?

Strząsnął jej dłoń.

— Nie, nie ja! Zwróciła się do Costy.

— Są pieniądze?

Pospiesznie zaczął grzebać w tylnej kieszeni.

— Chwilczkę powiedział Gino - muszę porozmawiać z kolegą. Odwrócił się do niej plecami i zaczął szybko mówić do Costy.

— Słuchaj, spadamy stąd. Przecież to baba-zwierz. Kto chciałby pchać taką?

— Ja - odpowiedział Costa bez namysłu, cały purpurowy z emocji. O Boże! Gino nie mógł

powstrzymać się od śmiechu. — No dobrze, skoro tak się napaliłeś...

Costa odliczał już pieniądze. Dziwka złapała go za ramię i zawlokła do pokoju obok.

Gino czekał, chodząc w miejscu. Wyszli po kilku minutach.

— Teraz ty? — zapytała, poprawiając jeszcze spódnicę i oblizując wargi.

— Może innym razem.

Obaj wyszli na ulicę, pokładając się ze śmiechu.

— Jak ty z nią mogłeś? Przecież ona wyglądała jak świnia. Costa promieniował szczęściem.

— Było w porządku, Gino, naprawdę. Bo wiesz, nie wiem, czy wyszłoby mi z taką, wiesz... młodą i ładną. A tak wszystko się udało. Nie obchodziło mnie, co ona myśli, po prostu robiłem swoje. — Zaśmiał się. — Wiesz, chyba mi się to spodobało!

Gino klepnął go w plecy.

— To rozumiem! Jesteś moim kumplem, nie.

W pierwszą sobotę pobytu Gina w San Francisco poszli oboje z Costą popływać na nabrzeże. Kiedy wrócili, w hallu zastali dziewczynę, najładniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek widziały oczy Gina. Była drobną blondynką o cudnych, błyszczących oczach.

— Moja siostra Leonora — powiedział niedbale Costa.

Po raz pierwszy w życiu Gino przeniósł uwagę z rozporka do głowy. Była tak... delikatna jak żadna inna, wcześniej spotkana istota.

Myślał zupełnie o czymś innym niż zwykle.

— Cieszę się, że cię mogę poznać, Gino powiedziała wyciągając małą dłoń. — Costa cały czas o tobie opowiadał. Bez przerwy!

— Tak? — nic innego nic przyszło mu do głowy. Wpatrywał się w nią jak w obrazek. Jeśli o niego chodziło, był to najważniejszy moment w jego życiu.

W ciągu dwóch tygodni widział ją tylko dwa razy. Uczyła się w żeńskiej szkole poza miastem i mieszkała w internacie, a do domu przyjeżdżała tylko

na weekendy. Szanse na romans były więc nikłe, a to właśnie chodziło mu po głowie.

Nigdy nie byli razem sami. A właściwie nawet nie rozmawiali ze sobą. Jednakże musiała wiedzieć, co Gino czuje. Był tego pewien.

Widział, jak spogląda na niego przy stole: śliczne, błękitne oczy śledziły każdy jego ruch, drżały delikatne usta, drobna dłoń odgarniała z twarzy kosmyk włosów.

Nie pragnął jej ciała; uczucia, jakie żywił do niej, były zupełnie innej natury. Chciał się nią opiekować, bronić ją. Może nawiązać związek.

Jezusie! Uśmiechnął się przy ostatniej myśli. Kim on był? Dziewiętnastoletnim kryminalistą bez żadnych widoków na przyszłość. Po spłaceniu wynajętego prawnika pozostało mu dokładnie dwa tysiące siedemdziesiąt pięć dolarów. Trudno nazwać to majątkiem, ale nie było też tak źle. Gino miał ambicje. Nieważne, czy pieniądze zdobył uczciwie czy nie. Wiedział, że któregoś dnia stanie się wielkim człowiekiem, chciał, żeby tego dnia ona była z nim.

W końcu znalazł sposobność, by przedstawić jej swoje plany. Za dwa tygodnie będzie już siedział w pociągu do Nowego Jorku. Pani Zennocotti lubiła go, ale z jej mężem sprawy wyglądały inaczej. Był uprzejmy, nawet hojny nie można powiedzieć, że nie, ale jego wzrok mówił sam za siebie. Chciał pozbyć się Gina tak szybko, jak było to możliwe. Miał to wymalowane na twarzy jak tytuł gazety.

Leonora Zennocotti dobrze wiedziała, że Gino bacznie jej się przygląda, co ją jednocześnie peszyło i podniecało.

— Wydaje mi się, że jest miły — wyznała najlepszej przyjaciółce, Jennifer. — Ale w ogóle się do mnie nie odzywa. Tylko tak się gapi przez stoł. Co mam robić?

Jennifer cała sytuacja przedstawiała się niezwykle romantycznie.

— Szkoda, że ja nie mam kogoś, kto siedziałby i wpatrywał się we mnie — lamentowała. — Costa nie zauważa nawet, że istnieję.

— Oj tam, Costa! On jest od ciebie młodszy. Jak ty możesz tak wzdychać do niego?

— Tylko siedem miesięcy młodszy. I naprawdę bardzo go lubię, wiesz zresztą.

— To przyjedź do nas na weekend. Wymyślimy coś.

Jennifer pojechała z Leonorą. Tego wieczora przy obiedzie niezwykle dużo wspomnień wymieniono nad stołem. Państwo Zennocotti nie byli w ogóle świadomi młodzieńczych namiętności, fruujących po całym pokoju. Franklina bolała głowa i jeszcze przed deserem poszedł do swojego pokoju. Zaraz po nim wyszła żona.

Po raz pierwszy Gino był z Leonorą bez rodziców, krępujących go.

— Jak ci idzie? — wystękał. — Jak szkoła?

Oblizwała blade usta.

— Dobrze, dziękuję. — Zaległa krótka cisza. — A ty? Podoba ci się San

Francisco?

— Bardzo mi się podoba.

Leonora zacisnęła wargi. Jak, też Costa zmienił się od przyjazdu Gina. Była zadowolona, że się trochę rozkręcił, ale nie podobało jej się, że odpowiadał za kolegę.

Znowu cisza, tym razem przerwana przez Jennifer.

— Może popływalibyśmy? Jest tak gorąco, byłoby fajnie.

— Tak — zgodził się Gino. — Świetny pomysł.

— Ojciec nie zgodziłby się... — zaczęła Leonora.

— Ojciec nie musi wiedzieć — przerwał Costa. — Wziął tabletki od bólu głowy i jeśli będziemy cicho...

— Musimy pływać w basenie? — zapytał Gino. — Gdybyśmy poszli na nabrzeże, nie musielibyśmy być cicho.

— O tak! — Jennifer podobała się taka atrakcja. — Chodźmy!

— Nie możemy wyjść z domu — odparła oficjalnie Leonora.

— Nie chcesz się ze mną lepiej zapoznać? — zapytał Gino wpatrując się prosto w nią.

Przeszedł ją dreszcz emocji i szybko zmieniła zdanie.

— Pójdę po kostium. Jennifer, chodź, pożyczę ci jakiś. Przebierzemy się na górze i założymy ubrania na wierzch.

— Dobre dziewczuchy. — Gino pokiwał głową z uznaniem. Pół godziny później pływali w mętnej wodzie doków.

— Ale wspaniale! — piszczała Jennifer. — Costa, chodź, pościgamy się. Gino przysunął się bliżej Leonory. Zawiązała jasne włosy na czubku głowy

i płynęli razem tuż obok łodzi rybackiej.

— Nie jestem mocny w słowach — wypalił prawie natychmiast — ale muszę ci powiedzieć, co czuję.

Leonora poczuła, że serce zaczyna jej bić szybciej.

— Tak? — powiedziała przyjaźnie.

— No więc... widzisz... no bo... ja nie wiem, czym powinna być miłość, ale... jeśli to tak jak grypa,

rozumiesz? — wziął ją za rękę — to ja to na pewno złapałem.

— Wiem, co chcesz powiedzieć — odpowiedziała szeptem. — Ja chyba też to złapałam.

— Juchuuu!

Szczęście rozsadzało go całego. Takiego uczucia doznał pierwszy raz w życiu.

Pływali razem aż do utraty tchu. Potem bardzo delikatnie ujął jej twarz i pocałował w usta. Uważał, żeby nie bardzo się do niej przysuwać, ale to ona napierała na niego chcąc odwzajemnić pocałunek. Poczłł miękkie piersi i ciepłe uda. Był pewien, że musiała wyczuć, co mu się porobiło w majtkach, bo erekcji nawet zimna woda nie była w stanie zahamować.

— Kocham, kocham, kocham — mówił między pocałunkami. — Kocham, kocham, kocham cię.

— Ja też cię kocham, Gino.

Ręce automatycznie znalazły się na jej piersiach, a ona nie odepchnęła go. Gino od wyjścia z więzienia nadal nie miał kobiety, ale przecież to była Leonora. Musiał powstrzymać instynkty.

— O Boże! Nie chcę, żeby to tak było — powiedział.

— Dlaczego? Róbnmy to, na co mamy ochotę. — Całowała go namiętnie. — Nigdy jeszcze tak się nie czułam.

W tym momencie podpłynęli Costa i Jennifer.

— No, co wy! — narzekała Jennifer. — Nie potraficie się bawić. Myślałam, że się pościgamy.

Gino niechętnie odsunął się od Leonory.

— Pewnie, że tak — powiedział.

-- Dobrze — zgodziła się Leonora, oddychając wciąż nierównno.

— Najpierw wy dwoje — zaproponował Gino. — My za wami.

— My już płynęliśmy. — Jennifer była wyraźnie niezadowolona. — Co jest z wami?

— Może już wrócimy do domu? zaproponował Costa.

Czuł się trochę nieswojo, gdyż zauważył, że coś się zaczyna dziać. Gdy wrócili z Jennifer, widział, jak Gino i Leonora dopiero co się rozłączyli. Specjalnie nie radowało go to. Jego kolega brał nad nim górę, co uważał za niesprawiedliwość.

— Tak, chodźmy — zgodziła się Jennifer. — Robi mi się zimno w tej brudnej wodzie.

Wyszli na brzeg.

— Zapomnieliśmy wziąć ręczniki — jęknęła Leonora.

Dziewczęta miały tylko sukienki, które mogły założyć na mokre kostiumy; chłopcy mieli spodnie i swetry. Szli do domu trzęsąc się z zimna. Gino otoczył Leonorę opiekuńczym ramieniem i przyciągnął bliżej.

— Posłuchaj, wiem, że nie byliśmy długo razem, ale wiem, co jest dla nas dobre... my sami. Ja dla ciebie, ty dla mnie. Wiem to od chwili, gdy cię po raz pierwszy ujrzałem.

— Ja też to wiem — powiedziała cicho. — Kiedy cię zobaczyłam, poczułam taką więź jak z nikim innym, nawet z rodzicami.

— Nie jestem aniołem — mówił pod nosem. — Zrobiłem wiele rzeczy, których pewnie nie powinienem był robić. Ale nie jestem złym człowiekiem. I wiesz, nikogo nigdy nie obchodziło, co robię.

— Mnie obchodzi. Mocniej ścisnął jej ramię.

— Pobierzemy się — powiedział stanowczo. — To jedno jest pewne. Costa odwrócił się i utkwiał na nich wzrok.

— Pospieszcie się — powiedział szorstko.

— Jak? — wyszeptała Leonora. — Ojciec nigdy się nie zgodzi...

— Nie martw się. Weźmiemy ślub. Daję ci słowo honoru. Przystanęła i spojrzała na niego.

— Chciałabym, żeby to było możliwe, ale oni zaraz powiedzą, że jestem za młoda, że ty nie masz pieniędzy i...

Ujął jej twarz w dłoń.

— Przestań — powiedział ostrym głosem. — Przestań, dobrze? Pobierzemy się. Może nie tak od razu, ale jak tylko zbiorę trochę pieniędzy. Poczekamy. Nie będzie łatwo, ale uda nam się. Zgadzasz się?

Błękitne oczy zaświeciły się.

— Tak.

Pochylił się, żeby ją pocałować głodnymi ustami.

Costa znowu się odwrócił i gdy zobaczył, co robią, rzucił się biegiem, żeby ich rozłączyć.

— Jezusie! — krzyknął, używając jednego ze słów, których nauczył się od Gina. — Co się z wami dzieje?

Leonora zaśmiała się.

Jesteśmy zakochani, braciszku, zakochani! O nie, nie- gderał Costa. — To nie może tak być. Ale jest — uśmiechnęła się rozpromieniona. Mamy zamiar się pobrać.

— Ależ to wspaniale! — zaćwierkała Jennifer. Gino zorientował się, że głupio szerzy zęby.

— Będę żonaty. — Zagwizdał. — Możesz to sobie wyobrazić?

— Nie, nie mogę — uciął Costa. — Nie wiem, co ci odbiło. Chyba zupełnie zgłupiałeś.

— Pogratuluj nam — nie zmieniał tonu. — Jestem twoim najlepszym kolegą, a to twoja siostra. Powinieneś tańczyć z radości!

— Gino! — głos Costy był stanowczy. — Pomyśl trochę. Co zrobisz z moim ojcem?

Gino był sprytny.

— Na razie mu nie powiemy. Wrócę do Nowego Jorku, zarobię trochę pieniędzy i dopiero wtedy ściągnę do siebie Leonorę. Jak będę bogaty, to nie będzie się przeciwstawiał.

Costa z niedowierzaniem pokiwał głową. Nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Był przerażony, bo widział tragiczny finał. Zdawał

sobie sprawę, że jeśli ojciec zacznie tylko coś podejrzewać, to Gino znajdzie się w pierwszym pociągu do Nowego Jorku i nigdy ani on, ani siostra już go nie zobaczą.

Leonora, Gino i Jennifer tańczyli na ulicy, śmiejąc się i ociekając wodą.

— Chodźmy do domu — powiedział sucho Costa.

— Aleś ty drętwiak! — skrzywiła się Jennifer. Nie lubisz przygód?

— Tylko wtedy, gdy się szczęśliwie kończą - odparł ponuro, czując, jakby się nagle postarzał.

— Ta skończy się szczęśliwie zapewniał Gino. Ja, Gino Santangelo, wiem to. A kiedy ja coś wiem, to możesz być pewien, że mam rację.

Costa pokiwał głową.

— Mam nadzieję.

W głębi duszy przeczuwał jednak, że tym razem przyjaciel się myli.

Gino wrócił do Nowego Jorku przepelniony ambicjami. Pierwszy raz w życiu miał coś, a raczej kogoś, dla kogo mógł pracować.

Leonora będzie czekać na niego. Przyszłość była w jego rękach.

Reszta dni w San Francisco zleciała w mgnieniu oka. Zakochana para miała tylko jedną okazję na intymne spotkanie. Tego wieczoru jednak potrafiли oczyma wyrazić więcej niż niektórzy ludzie językami w czasie całego życia.

Nawet Costa zaczął się orientować, jak poważnie sprawa wygląda.

W noc przed wyjazdem Gino chyłkiem przedostał się do sypialni Leonory. Rozmawiali długo, uzgadniając plany na przyszłość, którą zamierzali spędzić razem. Potem całowali się, najpierw niemal platonicznie, pozniej trochę inaczej.

— Możesz to zrobić, jeśli chcesz — powiedziała ciepło. Wiesz, ja jeszcze nigdy... ale z tobą, Gino... nie chciałabym, żebyś miał inne kobiety... wiem, że mężczyźni mają pewne potrzeby.

Zmusił się, żeby się od niej odsunąć.

— Ja mogę zaczekać, jeśli ty możesz - powiedział zwyczajnie.

— Ale nie musimy — jej policzki pałały. — Kochamy się, a jeżeli dwoje ludzi się kocha, to wszystko, co robią, jest dobre.

Spojrzał na nią. Była taka śliczna, wdzięczna i taka delikatna. Bardzo jej teraz pragnął i czuł, że spodnie mogą lada moment rozpruć się w nieodpowiednim miejscu.

— Nie uważam, że jest to złe, ale powinniśmy zaczekać.

Kto by przypuszczał, że zbierze mu się na takie sentymenty? Z pewnością

nie on sam.

W Nowym Jorku zaczął od szukania nowego pokoju, który znalazł dwie przecznice dalej od poprzedniego miejsca. Równie parszywy, ale musi gdzieś spać zanim przystąpi do akcji. Zresztą poważnie myślał o oszczędzaniu każdego dolara i każdego centa. Cały czas miał

w banku konto z zawrotną sumą siedemdziesięciu pięciu dolarów. Ale był jeszcze depozyt, a w nim ponad dwa tysiące nowych banknotów. Wiedział, że potrzebuje dużo więcej, zanim wolno mu będzie pomyśleć o sprowadzeniu Leonory. Będzie musiał mieć jakieś mieszkanie, samochód, no i dużo pieniędzy. Franklin Zennocotti nigdy nie pozwoliłby córce zamieszkać z Ginem, gdyby len me mógł

zapewnić jej przyzwoitych warunków. , .

Pierwsze kroki skierował do Grubego Lany ego, żeby zorientować się co słyhać Był wczesny wieczór i knajpa przeżywała obłążenie.

Ale nie było nikogo znajomego, same małaletnie wypierdki, pochylone nad szklankami mlecnych koktajli.

— Gdzie jest stara paczka? zapytał. Barman ukradkiem rozejrzał się dokoła.

— Trochę tu się zmieniło, Gino. Idź z drugiej strony i zapukaj dwa razy w drzwi, które kiedyś prowadziły do magazynu.

Gino zdziwiony aż zagwizdał. Gruby Larry zajął się lepszą działalnością. Przeszedł przez stary magazyn, potem kilkanaście stopni w dół, gdzie ongiś

była piwnica, i oto ujrzał klub — ciemno oświetlony pokój, kilka okrągłych stolików, czteroosobowa kapela jazzowa, długonogie kelnerki w skąpych, zwiewnych odzieniach. Taka zmiana musiała kosztować chyba majątek.

Przy jednym ze stolików siedział Pinky Banana, ubrany w elegancki garnitur w wąskie paski. W mięsistych wargach trzymał cygaro, a w dłoni szklankę z alkoholem, którym poił małą blondynkę, siedzącą mu na kolanach.

Przecież to Panna Śliczna! Wyglądała trochę starzej z powodu szminki i trwałej, ale pozostało jej to samo wyniosłe, butne spojrzenie.

Panna Śliczna, dziewczyna, która nie opuszczała jego myśli aż do czasu pojawienia się Leonory. Teraz stała się wielką panią, choć wyglądała raczej tandetnie.

— Hej, Pinky! — Gino skierował się w jego stronę.

— Gino! — Pinky wstał natychmiast. — Stary, kiedy cię wypuścili? Jak tam było?

Gino skrzywił się.

— Co ci będę opowiadał. Tyle tylko, że nie polecam tego miejsca na wakacje.

Pinky zaśmiał się i położył mu rękę na ramieniu.

— Postawię ci drinka i opowiesz mi wszystko.

— Pinky! — powiedziała ostro Panna Śliczna, szarpiąc go za rękaw marynarki.

— O, przepraszam... to jest... Gino, pamiętasz Cindy?

— Jasne uśmiechnął się do niej szeroko. — Była zawsze dla mnie taka miła, że trudno zapomnieć.

Cindy popatrzyła na niego.

— A tak... — powiedziała ironicznie. — Ty jesteś Gino Santangelo. G-I-N-O. Czy to nie o tobie miałam dużo usłyszeć?

— Usłyszysz, mała, usłyszysz. — Zignorował ją i zwrócił się do Pinky'ego. - Ale wyglądasz! Musi ci się nieźle powodzić. Ostatnio, jak cię widziałem, leżałeś plackiem w szpitalu z paroma złamanymi gnatami. Co się stało?

Pinky poklepał się po głowie.

— Zmądrzałem. Pamiętasz, co mi mówiłeś w szpitalu? Miałeś rację. Kto, do cholery, chciałby paprać się w czyimś gównie?

Wycwaniłem się i trochę teraz tu znaczę, wiesz? Możesz mi wierzyć, że rozmawiasz z ważnym człowiekiem.

Usiedli, Pinky pstryknął na kelnerkę i zamówił drinki.

— Więc co robisz? — zapytał Gino. Pinky spuścił wzrok.

— A, takie tam... opiekuję się sprawami paru ludzi. Ważnych ludzi. Gino nic nie powiedział. Nie naciskał go bardziej, gdyż

„opiekowanie się

sprawami" mogło znaczyć dużo różnych rzeczy. Porozmawiają, jak będą sami, bez Cindy siedzącej na karku.

— Mieszkam razem z Cindy — wytłumaczył Pinky. — W takim mieszkanku przy skrzyżowaniu Setnej i Dziesiątej Ulicy.

— Widzę, że dużo się tu zmieniło. Jesteś ostatnim, którego podejrzewałem, że się tak zadekuję.

— A to dlaczego? — zaciekawiała się Cindy.

Była piękna jak zawsze, choć tu i ówdzie dało się zauważyć pewne niedociągnięcia.

Wzruszył ramionami.

— Tak mi się wydaje. Pinky nigdy nie sprawiał wrażenia... — tu zawiesił głos. Przecież nie mógł powiedzieć, że Pinky nigdy nie wyglądał na takiego, który zadowoli się jedną dziewczyną. Ostatni z wielkich ekshibicjonistów. Zmienił temat. — Nie chodzisz już do szkoły?

Oblizła ostro pomalowane usta.

— Nienawidziłam szkoły, nienawidziłam domu, więc wyniosłam się z obydwu. Mam siedemnaście lat, mogę robić, co chcę. To moje życie, nie?

Siedemnaście lat, jak Leonora. Ale jakże były różne. Cindy — bystra, szorstka i wygadana. Leonora - śliczna i delikatna, niewinna i nieskazitelna.

— Jest tu gdzieś Catto? zapytał.

— Catto! — wykrztusił Pinky z obrzydzeniem. Ten dureń! On jeszcze mleko ssie.

— Znaczy, że co?

— To pieprznięty bałwan. Nie ma o niczym zielonego pojęcia. Ciągłe zbiera ze starym te swoje śmieci. Mówi, że zarabia czyste pieniądze. On mnie już w ogóle nie interesuje.

— Chcę zatańczyć — zażądała Cindy.

— Za chwilę.

— Teraz.

Pinky uśmiechnął się zażenowany.

— No dobrze, teraz.

Gino odprowadził ich wzrokiem na mały parkiet. Jego oczy zaczęły lustrować pomieszczenie. Klub był pełny. Gruby Larry stał w rogu z człowiekiem, którego Gino rozpoznał jako Eddy'ego Bestię. Zauważył też kilku innych znanych rzezimieszków. Nie powinno być kłopotów ze znalezieniem kontaktów.

Wolno popijał szkoocką i przyglądał się Pinky'emu i Cindy. Dziewczyna robiła z siebie widowisko, kręciła dupskiem, wypinając do przodu cycki. Była ładna i potrafiła podniecić. Jakkolwiek ponętna, już nie jego to swędziło. On miał Leonorę, lepszą od wszystkich Cindy razem wziętych.

Następnego dnia Gino wpadł odwiedzić Catto, który mieszkał w rozpadającej się kamienicy czynszowej, gdzie trzy pokoje dzielił z matką, ojcem i czwórką młodszego rodzeństwa. Gino zawsze był mile widziany w tym domu.

— Pani Bonnio — ucałował zgnębiałą troskami kobietę. — Jest Catto w domu?

— Gino! Kiedy wróciłeś?

— Dopiero wczoraj. Byłem w San Francisco.

— Myślałam, że w więzieniu, urwisie! — Poklepała go czule i krzyknęła. — Catto! Catto! Chodź, zobacz, kto przyszedł! Gino, zostaniesz na obiedzie?

Catto wszedł kołyszącym krokiem, wnosząc ze sobą znajomy zapach śmietnika.

— Gmo, stary psie! Objął przyjaciela ramieniem. — Tęskniliśmy wszyscy za tobą.

Gmo odwzajemnił uścisk. Smród śmietnika nigdy mu nie przeszkadzał był przyzwyczajony od małego.

Obiad to coś jak uroczystość domowa i Gino poczuł się jak w rodzinie. Pozmej poszedł się przejść z Catted. Porozmawiali o starych dziejach aż w końcu Gino zapytał:

Co robi Pinky? Wygląda teraz na niezłego gościa. Jak to jest, że on robi kupę szmalu, a ty ciągle zbierasz to gówno? Twarz Catta spoważniała. Nie słyszałeś? Co miałem słyszeć?

— Wiesz, co robi, że wygląda na niezłego gościa?

— Jakbym wiedział, tobym nie pytał.

Zanim padła odpowiedź, sam się domyślił. I miał rację.

— Zabija ludzi — powiedział obojętnie Catto. — Za pieniądze. Dają mu pięćset za sprzątnięcie ciebie. Lepiej, żebyś uwierzył, jesteś pod kreską.

Gino milczał. To był dla niego szok. Przemoc zawsze towarzyszyła mu w życiu, ale Pinky Banana... mordercą? To nie mieściło się w głowie.

— Cholera! — Catto splunął. — Ja już się z nim nie widuję i też ci radzę to samo, jeśli masz dość rozumu w głowie.

Gino miał wystarczająco rozumu, ale kolega był kolegą. Kto mógł przewidzieć, co pokaże przyszłość i kiedy przyda się stary przyjaciel?

Starzec zakaszlał i wypluł flegmę w pogniecioną chusteczkę.

Gino nie odrywał wzroku od kartki papieru. Mozolnie przepisywał słowa, które na jego polecenie napisał mu stary człowiek: „Moja Najdroższa Leonoro, moje Najdroższe Kochanie”.

Po przyjeździe napisał do niej już cztery listy. Zawstydzony brakami w edukacji, zwrócił się do pana Pułaskiego o pomoc w ortografii i interpunkcji. Pan Pułaski mieszkał piętro wyżej, co było bardzo wygodne. Kosztowało to Gina zaledwie kilka dolarów, a zaoszczędzało wstydu, a dodatkowo jeszcze wiele uczyło.

Leonora odpisała mu dwa razy. Listy były ślicznie napisane na różowym pachnącym papierze. Cały czas nosił je przy sobie. Costa też do niego napisał błagając, żeby wziął sobie do serca, co ojciec jego powiedział mu w dniu wyjazdu. Gino pamiętał dokładnie każde słowo.

Franklin wziął go do gabinetu i zrobił wykład na temat, co powinien zrobić ze swoim życiem że przestępstwo nie popłaca itp.

Przestępstwo popłacało. Gino poznał to na własnej skórze. Odkąd wrócił do Nowego Jorku, zdołał dołożyć następne dwa tysiące do depozytu. Raz był kierowcą przy skoku na bank, drugi raz przy kradzieży futer — to wszystko. Dwie łatwe akcje, które dokładnie wcześniej sprawdził, gdyż następny kibel był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

Rosła jego sława jako najlepszego i najsprytniejszego kierowcy w mieście. Nad samochodem panował jak nad kobietą — perfekcyjnie.

Nie miał jednak ambicji zrobić fortuny pracując za kółkiem. To robota w terenie i zbyt niebezpieczne

zajęcie. Tak naprawdę Gino chciał

wejść w interes alkoholowy, za którym kryły się prawdziwe pieniądze. Jego idolami byli ludzie tacy jak Meyer Lansky, Bugsy Siegel, a przede wszystkim Lucania. Zaczynali nie lepiej od niego, a proszę teraz na nich spojrzeć.

— Skończyłeś? — Zapytał starzec.

— Tak. — Z wielkim uczuciem zakleił kopertę i sięgnął do tylnej kieszeni po pieniądze.

— W przyszłym tygodniu o tej samej godzinie?

— Oczywiście.

— Ta twoja młoda panna musi być szczęśliwa.

— Myśli pan? — zapytał zadowolony.

— Nie wszyscy młodzi piszą takie listy jak ty.

— Tak? — Uśmiechnął się. — To proste, dziadku. Kocham ją. Starzec kłapnął sztuczną szczęką.

— To wspaniałe uczucie być zakochanym. Ja z moją żoną byliśmy małżeństwem przez sześćdziesiąt dwa lata, wtedy odeszła... —

zadrżał mu głos. — Była zmęczona... tak było dla niej najlepiej... co tydzień chodzę na jej grób.

Gino sięgnął do kieszeni i wyciągnął jeszcze dwa dolary.

— Kup jej ode mnie kwiaty, dziadku.

— Dziękuję — starzec był wdzięczny. — Zawsze lubiła lilie. To były jej ulubione.

— Rozumiem.

Gino wyszedł na ulicę i ruszył swoim nonszalanckim krokiem. Jak zawsze po napisaniu do Leonory, czuł się lekko i radośnie. W

dotatku Lucania chciał się z nim widzieć, co mogło oznaczać tylko to, że sprawy zmiierzają ku lepszemu.

Tym razem spotkanie nie odbyło się na tylnym siedzeniu cadillaka, ale u Grubego Larry'ego, w części oficjalnej. Lucania wolno jadł

łyżeczką porcję lodów włoskich. Obok siedział Eddie Bestia i jeszcze dwóch mu podobnych — cała trójka z szeroko otwartymi oczyma.

— Siadaj i zamów sobie lody — Lucania był miły, ale nie do przesady. Już kolejny raz szukał

nowych nabytków wśród okolicznych chłopaków i pomyślał, że może Gino nadawałby się do jego gangu.

Oczywiście wybór bardzo schlebiał Ginowi, choć wiedział, że był tylko jednym z wielu, którzy dostaną tego dnia szansę na wejście w układy z wielkim Lucanią.

— Mam pewne plany — powiedział odważnie. Lucania uniósł brwi.

— Ambicje to dobra rzecz, ale pod warunkiem, że nie wchodzą w drogę innym.

— Nie. — Gino pokręcił głową. — Moje plany są bardzo proste. Tak, plany były bardzo proste. Chciał mieć własne, osobiste królestwo alkoholowe.

Myślał również, że zna najlepszy sposób, jak do niego dojść.

Aldo Dinunzio wyszedł z więzienia piekielnie wściekły. Gino czekał na niego.

— Ty masz kontakty, ja mam pomysły - powiedział.

— Nie gadaj teraz o interesach. Muszę dorwać tę sukę, przez którą siedziałem.

— No dobrze, ale skąd jesteś taki pewien, że to przez nią?

— Już ja tam, kurwa, wiem — wydzierał się Aldo. — Jak chcesz iść ze mną, to chodź.

Poszedł z nim, mając nadzieję, że powstrzyma go przed czymś, czego później by żałował. Zależało mu na Aldzie. Nie chciał, żeby znowu go zamknęli do pudła. Jego kuzyn, Enzo Bonnatti, stał się kimś wielkim w Chicago i to była ta znajomość, po której Gino dużo sobie obiecywał.

Aldo dowiedział się, że suka ma na imię Barbara, pracuje w banku, mieszka z rodzicami i bratem w małym domku we włoskiej dzielnicy i jest zaręczona z policjantem.

— Pieprzony glina — pieklił się Aldo. — Obetnę mu jaja!

Poszli do banku i czekali na zewnątrz aż do zamknięcia. Pracownicy zaczęły wychodzić jedna za drugą.

— Czy pani Barbara Riccaddi? A pani? A pani?

Zapytał już sześć kobiet, zanim wyszła ta, na którą czekał. Była wysoką, piegowatą brunetką w okularach i długiej spódnicy.

— Tak, to ja — odpowiedziała ostro. — I przypuszczam, że to ty jesteś Aldo Dinunzio. Słyszałam o twoich zamiarach względem mnie i pozwól, że coś ci powiem...

Tu posypał się potok przekleństw i wyzwisk, jakich Aldo w życiu jeszcze nie słyszał. Kiedy skończyła, odeszła dumnym krokiem, bez strachu, zwycięska, z wysoko uniesionym czołem.

— Słodki Jezu! — stęknął. — To ci jest fest baba!

Gino ucieszył się, gdyż teraz Aldo chętnie przystąpił do omawiania interesów.

Carrie

Problem polegał na tym, żeby trzymać Whitejacka na dystans.

Nie był to właściwie wielki problem, gdyż Carrie aż tak bardzo nie miała zamiaru go unikać. Niby dlaczego? Tylko dlatego, że był

oznakowany „Prywatna własność Madam Mae”? No i co z tego? Wielka rzecz. Madam Mae była ostatnią osobą, przed którą Carrie trzęsłaby łydkami. Stara, gruba kurwa. Lada moment będzie miała czterdzieści lat, co znaczy, że jest już bardzo stara.

Poza tym, Carrie trochę znudziło się i obrzydło oddawać połowę zarobku na jej burdel. Chciała się wyrwać, a żeby to zrobić skutecznie, potrzebowała Whitejacka.

Ten jednak podobny był do mężczyzny tylko wtedy, gdy Madam Mae nie było albo była czymś zajęta.

— Człowieku, gdzie ty masz swoje jaja? - prowokowała go któregoś dnia w salonie. — Boisz się, że Duża Mama obetnie ci je?

Whitejack uśmiechnął się szeroko, pokazując wspaniałe garnitur zębów, zepsuty tylko w jednym miejscu złotą wstawką, pamiątką po dawnej bójce z Madam Mae. Byli razem ze sobą przez dziesięć lat, od jego dwudziestych urodzin, które obchodził w burdelu, i właśnie przez nią był zabawiany.

Na wspomnienia nie było czasu. Teraz ta mała, gorąca dupa, Carrie, zaczęła mącić mu umysł. Ciągłe była chuda jak zagłodzony królik, ale w tej części Harlemu miała najlepszą parę zderzaków. I co ona takiego robiła, że faceci wracali do niej jak muchy do gówna? Co ukrywała między dwoma chudymi udami? Głos wewnętrzny podpowiadał mu, że chyba będzie musiał sam to sprawdzić.

— Moje jaja, nie twój interes — powiedział spokojnie. — Ale proszę, proszę, jak to ci się buzia rozwinęła. Pamiętam, że jeszcze sześć miesięcy temu chuda kurka na nic „be” nie mówiła.

Stała wyprostowana jak świeca.

— Nie tylko buzia mi się rozwinęła. Prawdopodobnie wkrótce się stąd wynoszę.

— Powiedziałaś Madam Mae?

— Nie, nie powiedziałam. A po co? Moich sznurków ona nie pociąga.

— Moich też nie. — Dziwka zaczynała go już denerwować. Zawsze to robiła wtedy, gdy był praktycznie bezradny.

— Ha! — śmiała się Carrie. — Wielki pan. Wielki Wódz Whitejack. Wszyscy wiemy, kto tu rządzi.

Cały się w środku gotował.

— Gównno wiecie!

— Cha, cha! Złapał ją za ramię.

— Nie odszczekuj mi się tu, słyszysz, mała?

— A to co? — drażniła się z nim. — Czyżby ktoś nadepnął na odcisk? Tracimy kontrolę, panie Kamienna Twarz?

Znajdowali się na niebezpiecznym terytorium, ale do diabła, musiał dziwkę uciszyć. Przywarł do niej ustami, przyssał się, gryząc jej wargi i głęboko wpychając język.

W odpowiedzi przycisnęła się mocno do niego, otaczając go nogami, tak żeby przez cienką sukienkę poczuł ciepło ciała.

Whitejack prawie nie panował nad sobą, a jednak jego umysł cały czas pracował nad problemem, jak ma to zrobić, żeby nie złapała go Madam Mae. Teraz jej nie było, ale w każdej chwili do salonu mogła wejść któraś z dziewcząt, a wtedy... byłoby po wszystkim. Trudno oczekiwać, aby w burdelu były jakieś sekrety lub tajemnice.

— Chcesz to zrobić? — drażniła go Carrie. — Wiem, że chcesz, czuję to. Zaczęła bawić się guzikami spodni. Pozwolił jej na to. Czekał, aż odepnie

do końca i wypuści na wolność ptaka, a wtedy tak ją przerobi jak nikt jeszcze do tej pory. Te rzeczy robił regularnie od dziesiątego roku życia i teraz Carrie miała doświadczyć wspaniałego kutasa z dwudziestoletnią praktyką. Ma dziewczyna szczęście.

— Oj, oj, oj, oj — zawodziła pieszczotliwie. — Jakiś ty... śliczny. Zrzuciła sukienkę i jej smukłe, młode ciało należało całe do Whitejacka.

Ciągle przyciskała się do niego i chociaż oboje stali, on był już w środku. Było to niezwykle doświadczenie. Psiakrew, to było naprawdę coś!

W tym momencie nic się nie liczyło. Nic, na całym zasranym świecie. Nic... nic... nic...

Po pewnym czasie gorąca lawa wypełniła łono Carrie, a Whitejack osiągnął orgazm, jakiego nie pamiętał od lat. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach.

Cholera, Carrie miała rację. Po tym zdarzeniu oboje pożegnali Madam Mae.

Carrie paliła długiego, cienkiego papierosa, zaciągając się głęboko. Dym raz za razem wypełniał płuca, a powieki bezwiednie opadały.

Marihuana. Niektórzy mówią na nią narkotyk, dla niej była podręcznym środkiem na uzyskanie odprężenia i spokoju. Na ustach błąkał

się słaby uśmiech. Oddała papierosa Whitejackowi, ten zaciągnął się i podał dalej.

Wszyscy beżładnie siedzieli na miękkich kanapach: Carrie, Whitejack, kilku muzyków i Liicille, la drobna kurewka, która uparła się, że zostanie z nimi.

A jakie mieli pożegnanie! Wręcz widowiskowe! Trudno powiedzieć, że Madam Mae zniosła odejście Whitejacka ze stoickim spokojem.

— Ty zasrany, czarny jebańcu!... ty syfilityczny skurwysynu! — wrzeszczała w furii. Sztuczne loki koloru blond trzęsły się ze złości. —

Jeśli odejdziesz ode mnie, to jesteś skończony w tym mieście. Słyszysz? Skończony!

Whitejack nie szukał kłopotów. Dlaczego nie mogli rozejść się jak przyjaciele?

— Spokojnie, paniusiu... — zaczął.

— Tylko mi tu nie paniusiuj tym swoim słodko-gównianym głosikiem. Znam cię, Whitejack. Ja ciebie znam. — Rzucala wściekle spojrzenia. — Jak dzisiaj wyjdiesz z tą smarkatą kurwą, to nie waż mi się tu wracać. Kiedy znudzi ci się jej słodka cipa, to nie próbuj tu przyłazić i błagać na kolanach

o odrobinę prawdziwej kobiety. Słyszysz, czarna małpo?

— Słyszę. Cała dzielnica słyszy.

Whitejack już nie próbował być miły. Spakował walizkę z ubraniami

i kazał Carrie być gotową za dziesięć minut.

Madam Mae stała w hallu, podpierając się pod boki, z przekrzywioną peruką na głowie.

— Kretyn — splunęła za nim, gdy schodził do samochodu z kilkunastoma garniturami, równo przewieszonymi przez ramię. Ty łysy debilu! Gdzie byś ty był beze mnie? Jeszcze tu przyjdiesz łąsić się, kopnę cię wtedy w ten głupi, śmierdzący cipami ryj!

Carrie nie tak wyobrażała sobie odejście. Potrzebowała czasu na zrobienie pewnych planów. Nie spodziewała się, że Whitejack natychmiast powie Madam Mae o wszystkim.

Whitejack zorientował się, że Carrie warta jest majątek, więc po co czekać? Wyobrażał sobie, że przez następne pięć lat popracuje tylko z nią. Carrie potrafiła sprawić, że czuł się tak dobrze, że nie pamiętał, kiedy wcześniej był równie zadowolony z kobiety. A jeśli potrafiła to zrobić dziwka... to znaczy, że musi być warta fortunę. Ależ forszę zrobią razem!

Oderwanie Whitejacka od Madam Mae to było duże osiągnięcie. Był to najlepszy alfons w całym interesie i takiego potrzebowała Carrie. Była zadowolona. Razem dorobią się majątku!

Odjechali białym, lśniącym oldsmobilem Whitejacka. Po chwili zobaczyli, że biegnie za nimi Lucille błagając, żeby ją też zabrać. W

końcu dlaczego nie? Wszyscy radowali się, szczęśliwi z nagle odzyskanej wolności.

To było dwa miesiące temu. Przez cały czas nie robili nic, tylko bawili się i rozkoszowali życiem. Bez przerwy. Całymi dniami, a szczególnie nocami.

Carrie była trochę zdezorientowana. Whitejack pokazał jej, co to jest przyjemność, uczucie, którego nigdy nie zaznała w swoim krótkim, ciężkim życiu. Spodziewała się, że natychmiast zacznie pracować, ale on miał inny pomysł. Wynajął mieszkanie dla całej trójki i powiedział:

— Zrobimy sobie małe wakacje. Trochę pobumelujemy przez tydzień lub dwa, żeby się nieco zrelaksować.

Pomysł odpoczynku był czymś zupełnie nowym dla Carrie, która poza burdelami i więzieniem na Welfare Island niewiele w życiu widziała. Whitejack postanowił poszerzyć jej horyzonty.

Lubił ubierać się raczej wytwornie. Miał do dyspozycji dwadzieścia trzy garnitury, trzydzieści koszul i piętnaście par butów. Codziennie kąpał się, dodając do wody kilka kropel damskich perfum. Następnie golił głowę, a łysinę nacierał czystą oliwą z oliwek. Kiedy już się oporządził i był gotowy do wyjścia, sprawdzał wygląd Carrie i Lucille. Chciał, żeby wyglądały szalowo. W tym celu nakupował im sukienek, jedwabnych pończoch i butów na wysokim obcasie, wszystko w jaskrawych kolorach. Zachęcał je też do ostrego makijażu. Potem cała trójka białym oldsmobilem wyjeżdżała na miasto.

Jego ulubionym miejscem była 1.13 Ulica. Znali go tam we wszystkich restauracjach, knajpach i klubach jazzowych. Każdego wieczora zdobywał sobie nowych przyjaciół. Whitejack był hojny, Whitejack stawiał.

Carrie siadywała obok niego, doświadczając nowych, nieznanych wrażeń. Poznawała świat, o którym nawet nie wiedziała, że istnieje. A kiedy Whitejack wprowadził ją w narkotyki, to już był szczyt szczęścia. Tego jej brakowało. Narkotyki potrafiły przyćmić przykrą czasami rzeczywistość, oferując w zamian śmiech i zabawę.

Cała trójka wypuszczała się co wieczór, a wracała we wczesnych godzinach rannych. Czasami Carrie i Whitejack kochali się. Były to namiętne i ekscytujące akty miłosne, które niespodziewanie zaczęły zmieniać jej stosunek do całej sprawy. Związek z Whitejackiem przestał być wyłącznie kwestią zawodową.

Nagle ten wysoki, łysy mężczyzna o przenikliwym wzroku stał się jej mężczyzną.

Carrie, rozkoszując się nowym życiem, szybko zapomniała o pracy w starym zawodzie.

Krótko mówiąc, zakochała się.

— Carrie — odezwała się Lucille trochę przymglonym przez marihuanę głosem.

— Co, kochanie? — spytała leniwie.

— Whitejack chce, żebyśmy dały tym dwóm.

— Co?

Lucille wskazała dwóch muzyków leżących na kanapie.

— Zdaje się, że wracamy do roboty.

— Ty może tak, ale ja... nie wydaje mi się, żeby Whitejack chciał tego. Ja się tym już nie zajmuję.

Lucille, trochę zakłopotana, przysunęła się bliżej.

— Powiedział mi, że mam ci powiedzieć..

— Nieporozumienie — ziewnęła i wyciągnęła się. — To musi być nieporozumienie.

W pokoju rozlegały się łagodne rytmy znakomitej płyty Bessie Smith. Carrie nie miała zamiaru ruszyć się z miejsca. Za żadne skarby.

— Masz — jeden z muzyków podał jej trawkę.

Chętnie wzięła papierosa, wciągnęła dym głęboko w płuca, przewróciła się na bok, żeby podać dalej... ale zobaczyła tylko puste miejsce po Whitejacku.

— Niezła jesteś, wiesz? — powiedział młodszy z muzyków. Już wcześniej ci się przyglądałem, ale nie byłem pewien, czy jesteś do wzięcia. Myślałem, że jesteś związana z Whitejackiem, ale powiedział mi, że możemy się razem pobawić.

Carrie zmusiła się, żeby usiąść. Kręciło jej się w głowie.

— Posłuchaj — wybełkotała — pomyliłeś się.

— Daj spokój, nie pomyliłem się, bo wiem, że dałem mu dwadzieścia dolarów.

Powoli zaczęło docierać do niej, że Lucille miała rację. Wracały do roboty. Jednak ładniej byłoby ze strony Whitejacka, gdyby sam jej to powiedział, a nie zniknął nagle jak złodziej.

Miłość. Gówno, nie miłość. Gówno, nie życie.

Muzyk zaczął ją obmacywać, następnie rozpiął górę czerwonej, jedwabnej sukienki, którą Whitejack kupił jej w tym tygodniu.

— Cudo! — krzyknął. — Takich cycusiów jeszcze nie widziałem!

To, co mówił, nie miało dla niej znaczenia. Już dawno straciła rachubę, ilu mężczyzn zapłaciło za użycie jej ciała. Ciągle myślała o Whitejacku. Przynajmniej powinien ją zapytać. Jeśli naprawdę potrzebowali pieniędzy, zrozumiałaby. Powinien pozwolić jej samej zdecydować o powrocie do

pracy!

Muzyk językiem pieścił sutki Carrie, ale nie spróbował, jak słone były łzy, które po cichu zaczęły płynąć po policzkach.

Była druga w nocy.

Od dwóch godzin Carrie miała piętnaście lat.

Gino

1926—1927

Alkoholowy interes Gina Santangelo i Aida Dinunzio dobrze się rozwijał. Zaczęli od małych rzeczy. Połączyli zasoby pieniężne i sprowadzili z Kanady kilka ciężarówek dobrej jakości whisky. Nie chcąc wciągać do interesu żadnych obcych, ciężarówki prowadzili sami, zabierając ze sobą jedynie kilku dorywczych pomocników na wypadek napadu innego gangu.

Z kupnem whisky nie było kłopotów, problem był jedynie w transporcie od granicy kanadyjskiej do centrum Nowego Jorku.

Niebezpieczeństw było wiele: awarie ciężarówek, wrywkowe kontrole policji, no i oczywiście liczne próby odbicia towaru.

Gino wszelkie ryzyko wkalkulował w straty i chociaż kilka transportów nie dojechało do celu, zawsze wychodził na swoje.

Z Aldem pracowało mu się bardzo dobrze. Ufali sobie wzajemnie. Powoli, w miarę jak było ich na to stać, otoczyli się grupą lojalnych i zaufanych ludzi.

Rok minął szybko. Gino miał teraz dwadzieścia lat, ale zachowywał się i wyglądał na znacznie więcej. Jego zawadiacki chód zyskał mu w okolicy poszanowanie. On i Aldo byli doceniani i respektowani.

Pinky Banana stał się głównym gorylem gangu. Na wyprawy brał ze sobą pistolet i rozwalał każdego, kto próbował ich zatrzymać. Praca bardzo mu się podobała, co może nie było zupełnie normalne, ale użyteczne. Mieszkał cały czas z Cindy, tą blondynką o zgrabnym tyłku. Swędzidupka — tak ją chłopcy nazywali.

Długie wyprawy do Kanady i z powrotem były dużym wysiłkiem psychicznym. Nerwy zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Gang Santangelo, bo tak byli nazywani, coraz częściej kłócił się między sobą. To był zły znak. Gino zdawał sobie sprawę, że jest to skutkiem wielu niebezpieczeństw, jakie napotykali podczas długiej drogi. Postanowił szukać innych rozwiązań. Wszyscy wiedzieli, że prawo o prohibicji było w kilku miejscach dziurawe. Najwięcej możliwości dawał przepis mówiący, że alkohol wolno spożywać w celach leczniczych. Jeżeli lekarzom wolno było przepisać alkohol jako lek, to ktoś musiał go produkować. W związku z tym rząd niektórym gorzelniom wydawał pozwolenia na produkcję.

Kuzyn Aida, Enzo Bonnatti, miał kilka takich zakładów w okolicach Chicago. Chodziły pogłoski, że jego wpływy sięgają nawet dalej.

— Może się z nim spotkamy? — zaproponował Gino. Zawsze chciał poznać Bonnattiego.

Aldo przeciwnie, wydawał się od niego stronić.

— To trudny facet — odpowiedział wymijająco.

— Trudny! — kpił Gino. — To twój kuzyn, na litość boską. Jest taki wielki jak sam Capone! Wykorzystaj więzi rodzinne!

Aldo zgodził się, choć niechętnie. Po załatwieniu kilkunastu telefonów obaj siedzieli w pociągu do Chicago.

Podróż upływała w spokoju. Aldo spał, a Gino patrząc w okno dokonywał w myślach przeglądu życia. Miał teraz niezłą pozycję. Zdołał

odłożyć przyzwoitą sumę, tak że już prawie mógł zacząć przygotowywać się na przyjęcie Leonory. Cały czas regularnie raz w tygodniu pisał do niej, oczywiście z pomocą pana Pułaskiego. Odpowiedzi przychodziły nieco rzadziej, ale kiedy już dostał list, to zawsze był on tak cudowny, że nie potrafił się gniewać, że nie pisała tak często, jakby tego sobie życzył.

Jego listy były pełne miłości i planów na przyszłość. Jej natomiast raczej dziecinne, opisujące częściej szkołę i dom niż ich wspólne życie.

Było to zrozumiałe. Nie chciała sobie robić nadziei na coś, co, przynajmniej jeśli o nią chodziło, mogło nie wydarzyć się jeszcze przez wiele lat. Jaka to będzie dla niej niespodzianka, kiedy Gino napisze, że ślub może odbyć się w każdej chwili.

Gino za niemałą kwotę kupił już nawet mieszkanie. Nie było duże, ale w dobrej dzielnicy, w okolicach Park Avenue. Na pewno spodoba się Leonorze. Umieblować będzie mogła sama. Przed jej przyjazdem chciał tylko kupić duże, wygodne, podwójne łóżko.

Aż głośno stęknął na samą myśl. Łóżko, seks, ciało kobiety.

Już od tak bardzo, bardzo dawna... Ale obiecał Leonorze, a obietnica Gina Santangelo to świętość.

Któregoś dnia przyprowadził do mieszkania Verę, która stwierdziła, że jest to cudo.

— Spodoba się twojej małej pannie. To najlepsza chata, jaką kiedykolwiek widziałam.

Jak zwykle była pijana, ale nie przeszkadzało mu to. Miała prawo pic, jeśli tylko pomagało jej to zaakceptować rzeczywistość. Gino zaproponował pieniądze, żeby wyniosła się ze swojej rudery i poszukała lepszego miejsca, ale odmówiła.

— Mam dużo stałych klientów i nie mogę ich zostawić — tłumaczyła. Wiedział, że jest to wymówka. Słyszał, że Paolo znowu siedzi, i z jakichś

powodów Vera chciała pozostać tam, gdzie będzie mógł ją znaleźć. — Nie będę się tobą zajmował, jeśli go weźmiesz do siebie.

— Oczywiście, przecież sama dam sobie radę.

No pewnie. Tak jak ostatnim razem. Gino miał nadzieję, że tym razem Paolo posiedzi dłużej.

Kiedy przyjechali do Chicago, padał śnieg. Grube płatki przyklejały się do włosów i ubrań, a po chwili zamieniały się w małe kałuże.

— Trzeba było szmat drogi przejechać, żeby znaleźć taką pogodę — narzekał Aldo.

Ale tak naprawdę chodziło mu o to, że w Nowym Jorku zostawił Barbarę Riccaddi, z którą nawiązał dość bliską znajomość. Od pierwszego spotkania ponad rok temu bez przerwy za nią ganiał. Na początku na sam jego widok posyłała mu wiązankę ostrych wyzwisk. Z czasem udobruchał ją nieco, tak że nawet zerwała z policjantem i regularnie zaczęła widywać się z Aldem. Co prawda, przy każdej nadarzającej się okazji wyzywała go od najgorszych, ale on zdawał się to uwielbiać.

— Pierwsza prawdziwa dama w moim życiu — mówił z uśmiechem, prawie nieprzytomny ze szczęścia.

Wzięli taksówkę prosto do hotelu, gdzie umówili się z Enziem. W recepcji powiedziano im, że mają jechać na piąte piętro. Tam czekali już goryle, żeby ich zrewidować. Aldo poczuł się znieważony.

— Przecież to chyba jest mój kuzyn, nie? Co wy myślicie, że kim ja jestem? Chcecie mój pistolet, to macie. — Wręczył im mały pistolet kalibru 25, jednak oni nadal upierali się, żeby go przeszukać.

Obmacując nogawki spodni, w jednej tuż nad kostką znaleźli dwudziestocentymetrowy myśliwski nóż.

— No co? — Aldo wzruszył ramionami. — Myślicie, że chcę poderżnąć gardło kuzynowi?

Dopiero po dokładnym sprawdzeniu obu chłopców wszedł Enzo — człowiek o słusznej posturze, ubrany w elegancki, ciemny garnitur.

Aldo przypominał raczej wiewiórkę: dwudziestoletni, ale mały i już posiwiały, z dużymi zębami i takim samym zapachem do jedzenia. Gino wyobrażał sobie, że Bonnatti będzie wyglądał tak samo. Pomylił się.

Dwudziestodwuletni Enzo Bonnatti był przystojny, wysoki, dobrze zbudowany, miał proste, ciemne włosy i ciemną oprawę oczu. Miał

reputację twardego faceta. Gdy mówiło się o Capone, również wspominało się i jego. Obaj mieli w Chicago dużo do powiedzenia.

Oficjalnie uścisnął dłoń kuzyna, potem Gina i kiwnął na jednego z ludzi, żeby przygotował drinki. Nie było żadnego wyboru porządne szklanice czystej szkockiej.

Enzo usiadł.

— No więc, gnojki, co was sprowadza do Chicago?

Mówił tylko Gino, Aldo siedział obok niego, nie odzywając się ani słowem.

Enzio słuchał. Tak naprawdę nie potrzebował ich: dwie małe płotki z Nowego Jorku, bez żadnych kontaktów i możliwości. Potrzebował

ludzi, na których mógłby polegać. Im większy się stawał, tym więcej napotykał kłopotów. Zacięta rywalizacja z Capone zrujnowała mu życie. Nawet nie mógł się wysrać bez uprzedniego sprawdzenia spracza przez dwóch ludzi.

Ale Aldo, bądź co bądź, był krewnym. Nie widział go przez dziesięć lat, odkąd tamten wyjechał z Chicago do Nowego Jorku. Skoro łączyły ich więzi rodzinne, to siłą rzeczy przedstawiał on pewną wartość.

A interes, o którym mówił Gino, nie wyglądał tak źle. Mógł przynieść spore pieniądze bez kiwnięcia palcem. Wystarczyłoby wykonać kilka telefonów... poinformować pewne osoby, że ci dwaj są w porządku i można z nimi wejść w układy.

— Posłuchaj, Gino, bez obrazy, ale chciałbym porozmawiać z Aldem sam na sam.

— Jasne. — Gino wstał. Rozmawiał z Enzo przez dwie godziny i wiedział już, że coś z tego wyjdzie.

Salvatore, jeden z ludzi Enzia, zabrał go do pokoju zarezerwowanego dla chłopców na tę noc.

— Jak będziesz czegoś chciał, to tylko zadzwoń — powiedział uprzejmie. — Dziewczynkę... cokolwiek... Wszystko opłacone. — On też wiedział, jakiego obrotu nabierają sprawy.

Gino położył się na jednym z wygodnych łóżek i skrzyżował ręce pod głową. Z Bonnattim daleko zajdą. Będą mieli dużo lepszą siłę przebicia. Bardzo szybko dogonią Lucanię, gang Meyera Lansky'ego, Siegla czy Costello. Wszędzie dokoła leżało mnóstwo pieniędzy, tylko trzeba było się odważyć po nie sięgnąć.

Gino zrozumiał, dlaczego Lucania bez przerwy szukał nowych chłopaków — szukał lojalności. Wszyscy jej potrzebowali. I właśnie dlatego Bonnatti im pomoże. Aldo był jego kuzynem, nie było obawy, że wbije mu nóż w plecy.

Przynajmniej było to mniej prawdopodobne, niż gdyby przyjął do współpracy kogoś obcego.

Aldo przyszedł cały w skowronkach.

— Wziął nas! — krzyknął. Miałeś rację, cwaniaku! Chce, żebyśmy zjedli z nim obiad dziś wieczorem. Taka mała impreza. Szkoda, że nie wziąłem ze sobą Barbary.

Gino uśmiechnął się.

— Wiedziałem, że się uda. Już rok temu mówiłem, że powinniśmy się z nim skontaktować.

— Wolałem najpierw stanąć na pewniejszym gruncie. Teraz nie przychodzimy żebrać. Jesteśmy już trochę urzędzeni i to mu się podoba.

Gino poklepał kolegę po ramieniu.

— Bracie, wchodzimy do ekstraklasy.

Gdy wypowiedział te słowa, nagle zorientował się, że Leonora może już przyjechać. Pieniądze będą teraz płynąć strumieniami.

Regularne transporty legalnego alkoholu z Chicago przyniosą majątek!

Atłasowy Klub był jednym z najbardziej ekskluzywnych nielegalnych barów w centralnej dzielnicy Chicago. Klienci też byli najwyższego sortu: politycy, oficjele, śmietanka towarzyska i oczywiście piękne kobiety.

Enzio posiadał znaczny udział w zyskach klubu. Znał też dobrze Peaches La Moore — główną damską atrakcję lokalu.

Gino i Aldo siedzieli przy stoliku z Peaches i jej dwiema koleżankami. Obok usiadła pięcioosobowa obstawa, bez dziewcząt.

Enzio myślał, że sprawi młodym chłopakom uciechę. Nic nie wiedział o Leonorze i Barbarze. Ani Gino, ani Aldo nie byli do wzięcia przez chicagowskie panienki.

— Podoba wam się klub, chłopaki? — Peaches zapytała tak piskliwym głosem, że nawet mleko mogło się od niego zsiąść. Była kształtną blondynką

o dużych piersiach.

— Tak, naprawdę niezłe miejsce — odpowiedział Gino.

Mówił zupełnie poważnie. Nigdy jeszcze nie był w takim lokalu jak Atłasowy Klub. Już same atłasy robiły wrażenie. Zapach drogich cygar

i perfum sprawiał, iż pomyślał, że to właśnie jest prawdziwe życie. A jakby tak pokazać się tu z Leonorą? Zakasowałyby każdą dziewczynę. Nie chodzi tak wypudrowana i wytapetowana. Jej piękno jest naturalne.

— Zaraz będę śpiewać — Peaches zaczęła się zbierać. — Wszystko tu się robi dla was!

— Poczekamy na to wszystko zażartował Enzio.

— Nie bądź grubiański wydeła wargi i wstała. — Pamiętaj, że najpierw właśnie śpiewem przyciągnęłam twój wzrok.

Enzio mrugnął okiem i spojrział lubieżnie na jej biust.

— Oczywiście, kochanie, oczywiście!

— Idziemy, dziewczyny — skinęła na przyjaciółki. — Zaraz występujemy. Do zobaczenia później, chłopcy. Przygotujcie butelkę zimnego szampana. Wiecie, jak mała Peaches potrafi być spragniona!

Enzio śmiał się patrząc, jak powabnym krokiem przemierzała klub.

— Głupiutka! — powiedział z uczuciem. — Wszystkie są głupiutkie. Bierz je, pieprz i rzuć — to moje przysłowie.

Gino przypomniał sobie, że kiedyś też tak mówił. Zanim spotkał Leonorę, oczywiście.

Mały fortepian stojący koło parkietu odezwał się rozpoczynając przedstawienie. Po chwili pojawił się Mistrz Ceremonii. Powiedział

kilka nędznych dowcipów, wyjęczał jakąś miłosną piosenkę i przedstawił grupę dziewcząt, które wbiegły na salę wysoko unosząc nogi, jakby tańczyły kankana.

— O kurde! stęknął Aldo. O Barbarze zupełnie zapomniał, widząc las długich nóg w srebrzystych pończochach i kuszące boa z piór, które denerwująco dokładnie zasłaniały dziesięć odpowiednio dobranych, podskakujących biustów.

Gino sam ze wstydem spostrzegł, że majtki zaczynają mu się wypełniać po brzegi. Nic dziwnego — przy obecnym trybie życia...

Nagle pojawiła się Peaches, ubrana w szalową suknię z cekinami, tak obcisłą, że wręcz przyklejona do ciała jak druga skóra.

Stała na przedzie estrady i piskliwym głosem zaczęła śpiewać własną wersję *Szkoda, że nie tańczę jak moja siostra Kate*.

Gino zaraz zrozumiał, dlaczego głos w ogóle nie miał tu znaczenia. Wszyscy mężczyźni siedzieli zahipnotyzowani jej ciałem.

Enzio z zadowoleniem palił cygaro Havana.

— Niezła, co? — mruknął dumny. Aldo ssał końce palców.

— Kuzyn, ty to wiesz, co wybrać. Myślę, że...

Tego zdania już nie skończył. Zdało się, że bez najmniejszej zapowiedzi nagle otworzyło się piekło. Do lokalu wtargnęła grupa gangsterów i otworzyła ogień z karabinów maszynowych. Strzelali na lewo i prawo, jakby podlewali grządki w ogródku.

Zrobiło się ogromne zamieszanie i panika. Ludzie z krzykiem biegali tam i z powrotem, a bezlitosne

serie kul trafiały w ich bezbronne ciała.

Enzio natychmiast zerwał się jak błyskawica, przewrócił stół i schował się za nim. Aldo został trafiony w ramię. Gino miał szczęście; jakiś naturalny instynkt rzucił go na podłogę równo z pierwszym wystrzałem.

— Pieprzone skurwysyny! — krzyczał Enzio. — Bierzcie spluwy! Jego ludzie strzelali już do napastników, ale dwóch z nich zginęło prawie

od razu, a pozostali trzej mieli małe szanse w konfrontacji z bronią maszynową. Gangsterzy zaczęli wycofywać się z pomieszczenia, uważając, że robota jest już wystarczająco dobrze wykonana.

Gino zaciągnął Aida w bezpieczne miejsce.

Enzio strzelał zza brzegu stołu. Rzucił Ginowi pistolet.

— Strzelaj do skurwysynów! wrzeszczał.

— Mój mąż, mój mąż, Boże, odstrzelili mu twarz! O Boże! — krzyczała głośniejsze niż inni jakaś kobieta.

Gino złapał pistolet i wycelował w jedną z wycofujących się postaci. Po raz pierwszy miał użyć broni, ale Pinky Banana powiedział mu to i owo, co się z tym robi.

— Trafieś! — krzyknął Enzio. — Dostał prosto w bebech!

Gdy gangsterzy dotarli do drzwi, przestali strzelać, odwrócili się i uciekli. Zostawili dwóch swoich ludzi: jednego trafionego przez Gina i drugiego ranego w obie nogi, który próbował wyczołgać się z klubu.

Enzio nie zawahał się. Podniósł pistolet i strzelił. Ranny, wydawszy z siebie przeraźliwy krzyk, skonał.

— Idziemy — mruknął Enzio. — Wynośmy się stąd, zanim przyjdą gliny. Gino stał i patrzył wkoło. Lokal przypominał rzeźnię; wszędzie potłuczone

szkło i ciała zabitych.

— Nic nie zrobisz powiedział ostro Enzio, jakby czytając w jego myślach. — Bierz Aida i idziemy. Wsadzimy was do pociągu.

Poskładacie go w Nowym Jorku.

Gino złapał Aida, który chociaż obficie krwawił, był dostatecznie silny, żeby rzucać wyzwiskami przez całą drogę, wisząc na ramieniu kolegi. Enzio wyprowadził ich tylnym wyjściem, gdzie czekał już samochód.

— Ruszaj! — wrzasnął na kierowcę, który natychmiast wykonał polecenie.

— Nic panu nie jest, szefie? — zapytał zdenerwowany.

— Coś kiepsko się spisali ci frajerzy przy wejściu. Cholera, jak oni przeszli Dużego Maxa i Gnata?

— Załatwili ich. Była duża strzelanina. Ja zaraz wsiadłem w samochód i podjechałem z tyłu, jak zawsze mi pan mówił, żeby robić w razie jakiejś draki. Dobrze zrobiłem, szefie?

— Dobrze — odpowiedział krótko. — Jedź na dworzec. Trzeba tych dwóch wysłać z powrotem. — Odwrócił się do Gina. — Dobra robota. Podobasz mi się, jesteś całkiem niezły.

Gino pokiwał głową. Był zbyt przerażony, żeby się odezwać. W środku wszystko mu się trzęsło i bał się, że wyrzyga całą zawartość żołądka, gdy tylko otworzy usta.

Dojechali na stację i Enzo prawie wypchnął ich z samochodu. Chciał mieć ich już z głowy; miał teraz na karku inne problemy i nie na rękę były mu tego rodzaju przeszkody.

— Idź z Aldem do toalety i tam się nim zajmij. Poczekaj, weź to. — Zdjął kurtkę i podał Ginowi. Potem mocno uściśnął mu dłoń. —

Skontaktuję się z wami. Razem zrobimy dobrą robotę. Wykazałeś się dzisiaj. To mi się podoba. Wiesz, kiedy działać i kiedy trzymać gębę na kłódkę. Naprawdę to doceniam.

Gino znowu zdobył się zaledwie na kiwnięcie głową. Popatrzył, jak samochód z rykiem silnika oddala się od stacji. Stał sam z Aldem przed dworcem, a gęsty śnieg padał ciężkimi płatkami.

— Nie czuję się dobrze — wymamrotał Aldo. — Nie możemy wrócić do pokoju?

— Enzo ma rację. Musimy zaraz stąd wyjechać. Im mniej nas tu znają, tym lepiej.

— Powinienem iść do szpitala — narzekał Aldo.

— Przestań marudzić. Gino zawlókł go do hali dworcowej. — Jakoś cię poskładam.

— A co ty, kurde, jesteś nagle taki doktorek?

— Nie pieprz. Tylko cię drasnęło. Jakbyś miał kulę w ramieniu, tobyś się tak nie ruszał.

— Cholera, ale znawca!

Poszli do toalety. Gino zdjął z Aida kurtkę, koszulę i z ulgą stwierdził, że miał rację. W ramieniu nie było dziury, tylko głęboka, krwawiąca szczerba. Zerwał ze ściany ręcznik i obwiązał nim zranioną rękę.

— To ci wystarczy, zanim dojedziemy powiedział. Aldo nie okazał wdzięczności.

Powiniennem leżeć w szpitalu powtarzał uparcie. — Gdyby była tu Barbara, dopilnowałaby tego.

— Na pewno. I usmażyłaby twoje chude jaja na śniadanie. Ubieraj się, idziemy zobaczyć, kiedy jest jakiś pociąg.

Aldo założył zakrwawioną koszulę i kurtkę Enzia, która była nieco za duża. Wsadził ręce w kieszenie, a po chwili z jednej z nich wyciągnął zwitek banknotów.

— Ale szmal! — krzyknął. Było tego dwa tysiące w używanych studolaro-wych banknotach.

— Musiał zapomnieć wyciągnąć — powiedział Gino.

— Albo to jest dla nas.

— To nie jest dla nas — odpowiedział ostro Gino. — Oddamy mu. Schowaj teraz.

Wiedział jednak, że Enzo specjalnie zostawił pieniądze. Trzeba przyznać, że dwa tysiące to uczciwa zapłata za zabicie człowieka.

Kiedy był już bezpieczny w Nowym Jorku, Gino skonkretyzował swoje plany. Życie jest krótkie, dopiero co się o tym przekonał. Tytuły gazet na wszelki wypadek jeszcze raz mu przypomniały.

PIĘTNAŚCIE OSÓB ZABITYCH W CHICAGO. MASAKRA W KLUBIE Równie dobrze sam mógłby znaleźć się w chicagowskiej kostnicy. Bez dziewczyny od ponad roku. Szczeniak, który czeka na ślub. Czeka —jakie to obrzydliwe słowo. Gino Santangelo już nie będzie czekał.

Poszedł prosto do pana Pułaskiego. Starzec był w fatalnym stanie. Ktoś go napadł i okradł na ulicy. Bandyci zabrali mu złoty zegarek —

jedyną wartościową rzecz, jaką posiadał i nędzne trzy dolary. W zamian miał dwa złamane żebra i całe ciało sinioletowe od uderzeń i kopnięć.

— Kto to zrobił? dopytywał się Gino. — Rozpoznał ich pan? — Pan Pułaski skrzywił się. Był za stary i zbyt zmęczony, żeby szukać dalszych kłopotów.

Gino nachylił się nad łóżkiem z wściekłym wyrazem oczu.

— Proszę mi powiedzieć, kto to zrobił. Starzec westchnął.

— Tacy ludzie, którzy jeszcze mało wiedzą... Chłopcy, którzy niewiele rozumieją... Chciałbym tylko odzyskać zegarek...

— Kim oni byli?

— Od Morisona... jego kolega... Jacob, chyba tak go nazywają... dwóch pozostałych nie rozpoznałem.

Głos nagle ucichł, a powieki zamknęły się. Pan Pułaski miał osiemdziesiąt trzy lata i nie podobało mu się to, w jaki sposób świat zmieniał się wokół niego. Nie było już dla nikogo szacunku... Któregoś dnia zaczęła go na ulicy dziewczynka, podłotek jeszcze, i zaproponowała pewne usługi. Miała czternaście, może piętnaście lat... Zamrugał powiekami i otworzył oczy.

— Chcesz, żebym napisał ci list?

Ale Gina już nie było. Pewnym krokiem szedł ulicą i widać było, że nie idzie na przechadzkę. Małe skurwielki. Znał ich — Terry Morrison i Jacob Cohen. Dwa góra czternastoletnie smrody z okolicy, które zawsze sprawiały dużo kłopotu. Sam wybije im z głowy tego rodzaju pomysły, da im lekcję, którą długo będą pamiętać, odzyska zegarek pana Pułaskiego i dopiero wtedy wróci i zajmie się listem.

Co za dzień! Jakby nie dość było, że Barbara Riccaddi wrzeszczała na niego cały ranek, winiąc go za rany Aida. Awanturowała się, jaki to o n ma zły wpływ na wszystkich i że gdyby nie on, to Aldo nie śniłby nawet, żeby mieszać się w jakieś machlojki. Aldo cały czas stał

za nią, śmiejąc się i robiąc miny. A ona trzaskała językiem, jakby chciała nim obu wykastrować, co się jednak nie udało.

Gino chciał najpierw odnaleźć Cohena i do niego się skierował. Mieszkał w kamienicy obok domu Catta, którego nie widział ponad pół

roku. Ten nie akceptował drogi, którą obrał Gino, więc musieli się rozstać. Ciągłe wolał szuflować gównem z kupki na kupkę, ale to już była wyłącznie jego sprawa. Gino dał mu raz szansę, żeby poszedł z nim na akcję, ale gnojek odmówił. Zabawne było to, że Catto tak samo mówił o nim, o Ginie: gnojek. Koń by się uśmieł!

— Kogo szukasz? — odpowiedziała na pukanie chuda, zmarnowana kobieta.

— Jacoba — odpowiedział.

Jej szkliste oczy drgnęły nerwowo.

— Jest w szkole.

— Jak cholera przepchnął się obok niej i wszedł do zagraconego pokoju.

Na podłodze wśród bałaganu pełzało niemowlę. Na rozerwanym sienniku kanapy spał Jacob. Gino obudził go porządnym kopniakiem.

— Co jest... — Jacob podniósł się i patrzył nieprzytomnie.

— Porozmawiamy — powiedział spokojnie Gino. — Wyjdziemy na dwór.

Jacob spojrział na matkę, ta jednak odwróciła wzrok. Wiedziała, że znowu coś zmalował. Był taki jak jej stary: garnek pełny kłopotów.

— Co jesteś taki pewien, że ja chcę z tobą rozmawiać? — awanturował się Jacob.

Nieustępliwe, czarne oczy Giną zmrużyły się złowrogo.

— Bo ja ci tak mówię, smrodzie. Wstawaj!

Po godzinie Gino był już z powrotem przy łóżku pana Pułaskiego.

— Proszę, dziadku podał mu zegarek. Żyłaste, starcze dłonie ujęły go delikatnie.

Jesteś dobrym chłopcem, Gino — powiedział cichym głosem. — Takim, który rozumie pewne sprawy.

Tak, rozumiał wiele spraw. Ale jednej nie. Relacja Jacoba Cohena różniła się nieco od tego, co usłyszał od staruszka. Jacob twierdził, że Pułaski przez kilka miesięcy pokazywał jego dwunastoletniej siostrze to, co nosi w spodniach. „Jej to nie przeszkadzało, myślała, że to jakiś wariat. Ale któregoś dnia, było to w dzień, na ulicy, przysięgam, podkradł się do niej z tyłu i obsikał spermą jej jedyną sukienkę.

Stary skurwiel musiał dostać nauczkę, nie?"

To dopiero numer! Przedstawił tę relację starcowi, a ten przyznał się do wszystkiego. Okazało się, że (iino był jedynym w dzielnicy, który nie wiedział, że pan Pułaski jest starym świntuchem.

W tych okolicznościach spranie Jacoba i jego kolegów nie wydawało się słuszne. Ale przynajmniej odzyskał zegarek.

— Bierzemy się za list? zapytał słabym głosem starzec.

— Czujesz się na siłach, dziadku? — przypomniawszy sobie o głównym celu wizyty, Gino nagle podekscytował się. — Tylko że tym razem to będzie długi list. Chcę ją tu sprowadzić. Pobierzemy się. Ten list musi być prawdziwym arcydziełem. Dasz radę?

— Pewnie, że dam obiecał solennie pan Pułaski. — To będzie najbardziej romantyczny lisi, jaki kiedykolwiek razem stworzyliśmy.

I taki też był. Czy istnieje jakieś prawo, które mówi, że stary ekshibicjonista nie może pisać romantycznych listów?

Carrie

Whitejack nie był otwartym człowiekiem. Miał zły zwyczaj nieodpowiadania na pytania. „Cholera...” - mówił, jakby to już wszystko tłumaczyło.

Carrie nie potrafiła długo złościć się na niego. Wszak był wszystkim, co miała. Był jej mężczyzną. To, że sam zdecydował o powrocie Carrie do pracy, było po prostu jego metodą załatwiania spraw.

Nikt nie mógł powiedzieć, że nie był hojny. Odkąd opuścili Madam

Mae, bez mrugnięcia okiem płacił za wszystko, za całą trójkę, łącznie z Lucille.

Teraz wyglądało na to, że potrzebują pieniędzy, a zarobić je mogły tylko Carrie i Lucille. Wróciły więc do jedynej pracy, jaką znały, spłacając niejako zaciągnięty dług. Cała sprawa wyglądała, tak jakby była zaplanowana od samego początku.

Whitejack nie zmienił swojego stosunku do Carrie. Nadal okazywał jej wiele uczucia, jeśli tylko miał na to ochotę. Czasami ta ochota przychodziła mu zaraz po wyjściu jakiegoś klienta, kiedy Carrie nie miała nastroju do dalszej zabawy. Zmuszała się, żeby jęczeć i stękać, tak jak on lubił, udawać, że wszystko jest wspaniale, podczas gdy była zmęczona, obolała w środku i na zewnątrz i marzyła jedynie o tym, żeby pójść spać.

— Kobieto, co się z tobą dzieje? — zapytał ostro pewnego dnia. — Kiedyś byłaś najgorętszą dziewczyną, jaką znałem, a teraz zrobiła się z ciebie zimna dupa.

— Po prostu jestem zużyta odpowiedziała. Robię więcej numerów niż u Madam Mae, za mniejsze pieniądze. Myślałam, że założymy dom i zabierzemy się do pracy, jak należy.

— Potrzebujemy dużo forsy, zanim założymy dom. Nie moja wina, że ta stara suka Mae zlikwidowała konto w banku, zanim zdążyłem zabrać moją część.

— Nie wiedziałam o tym — zmartwiła się Carrie.

— No widzisz, kobieto — odparł triumfująco Whitejack. — Ja ciebie nie martwię moimi kłopotami, więc dlaczego ty martwisz mnie swoimi? — Wstał z łóżka i przeciągnął się. — Może pojedziemy na miasto?

Westchnęła. Chciałaby pojechać, wydostać się na chwilę z małego, wynajmowanego mieszkania, ale czekała na klienta. Ponowne zdobycie stałej klienteli było bardzo ważne.

— Nie mogę, ale ty jedź.

— Tak, pojedę. Poszukam jakiejś dziewczyny, żeby pomogła tobie i Lucille. — Zgarnął ze stołu dwadzieścia dolarów, które zostawił

ostatni klient. — Co byś powiedziała na jakąś platynową blondynkę? Popracowałybyście w trójkę,

co? Mogłybyście razem zrobić pokaz. To przynosi forszę.

— Pokaz? — Carrie nie wiedziała, o czym mówi.

— Pokaz, kochanie, to jest takie coś, kiedy trzy dziewczyny wylizują się nawzajem, bawią się... no wiesz, takie rzeczy, które w więzieniu na pewno robiłaś tysiące razy.

Carrie zamarła.

— Ja tego nie zrobię.

— Kobieto, jesteś prostytutką. Musisz wszystko robić. — W jego głosie nie było złości, ale zwykła, naturalna życzliwość.

Obserwowała go, jak się ubiera, potem jak wychodzi. Wtuliła twarz w poduszkę i łkała, aż zabrakło jej łez.

Nie słyszała wchodzącej do pokoju Lucille i zauważyła jej obecność dopiero wtedy, gdy poczuła na plecach przyjazne dotknięcie ręki.

— Myślałaś, że to księżę z bajki? — zapytała ze współczuciem Lucille. —

To alfons, a my jesteśmy jego dziewczynami. Wszyscy jesteśmy tu od siebie zależni, nie ma więc sensu tak rozpaczać. Jeśli już naprawdę chcesz płakać, to spróbuj postawić się na moim miejscu. Carrie usiadła wpatrując się w Lucille.

— Nie rozumiesz powiedziała drżącym głosem. — Ty zawsze byłaś tym, kim teraz jesteś, ale ja do prostytutki zostałam zmuszona przez własnego wujka. Zamknął mnie w pokoju, przysyłał facetów jednego po drugim, a babcia siedziała za ścianą i zbierała pieniądze.

Miałam trzynaście lat. Teraz nie ma już dla mnie odwrotu.

Lucille zamrugła powiekami.

— Miałam sześć lat, kiedy ojciec zorientował się, że więcej nie urosnę. Sprzedał mnie do takiego porno-showu, który akurat przejeżdżał

przez miasto. Jak miałam jedenaście lat, robiłam już wszystkie numery. Whitejack znalazł mnie, kiedy miałam szesnaście lat. Można powiedzieć, że mnie wybawił. Po prostu porwał mnie z tego piekła i sprawił, że zachciało mi się znowu żyć. Praca u Madam Mae była rajem w porównaniu z tym, co wcześniej przesłam.

Carrie uważnie słuchała, powoli zapominając o własnych kłopotach.

— Ostatnie kilka miesięcy z tobą i Whitejackiem to były najszcześniejsze chwile w moim życiu — mówiła dalej Lucille. —

Traktowaliście mnie zupełnie normalnie, a nie jak jakieś dziwadło, bo niby jestem taka mała. Dla Whitejacka zrobiłabym wszystko, bo to dobry człowiek. I ty też tak powinnaś uważać, bo jest dobry dla nas obu.

Carrie kiwnięciem głowy przyznała jej rację.

— No, to czego ryczysz? — zapytała Lucille. — Dlatego, że jesteś dziwką? — Gwałtownie potrząsnęła głową. — No i co z tego? Ja też jestem dziwką i nie przeszkadza mi to. Whitejack jest alfonsiem i jemu też to nie przeszkadza. Przestań się mazgaić i wracaj do roboty.

Carrie wstała z łóżka i podeszła do lustra. Wyglądała okropnie: opuchnięte oczy, spływający z twarzy makijaż. Poczowała się jednak trochę lepiej. Lucille ma rację. Co z tego, że sprzedaje ciało — to jej zawód.

— Grzeczna dziewczynka — ucieszyła się Lucille. — Zrób ze sobą porządek. Robota czeka. A ten facet, co się z tobą umówił, na pewno nie zadowolony takim karłem jak ja. Widzisz, powiedziałam karzeł i korona z głowy mi nie spada. Tak samo możesz powiedzieć dziwka.

Carrie zdobyła się na wąły uśmiech.

— Dzięki — powiedziała stłumionym głosem. Lucille wzruszyła ramionami.

— Drobiazg.

Carrie zaczęła poprawiać makijaż. Odeszła od Madam Mae, żeby zacząć trochę kontrolować swoje życie. Czego właściwie się spodziewała? Tego, że Whitejack zacznie pracować i ożeni się z nią? Co za myśli przychodziły jej do głowy? Przez te kilka miesięcy zakochania, pierwszego zakochania w życiu, zaczęła zapominać o wcześniejszych ambicjach. Whitejack miał rację — potrzebowali pieniędzy na założenie burdelu. Skoro potrzebowali, to ona je zdobędzie.

Zrobi wszystko, co powie Whitejack. Co tylko rozkaże.

Nie mogła się doczeka, żeby mu o tym powiedzieć. Wiedziała, że ostatnio działała mu trochę na nerwy, ciągle narzekając i grymasząc.

Ale teraz, gdy pogodziła się z powrotem do pracy, wszystko się odmieni.

Klienta obsłużyła szybko i należycie, dając mu na pożegnanie całusa i obietnicę:

— Jak przyjdiesz następnym razem, będzie jeszcze lepiej.

— Na pewno przyjdę — powiedział z entuzjazmem i pospieszył do żony i trójki dzieci.

Carrie wykapała się, umyła włosy, które już dosyć ładnie odrosły, i wyciągnęła trawkę spod materaca Whitejacka, gdzie zawsze znajdował się mały zapas. Zapaliła i zaciągnęła się głęboko. Marihuana jeszcze bardziej ją uspokoiła i zrelaksowała.

Włączyła płytę Bessie Smith i na wznak położyła się na łóżku.

Wkrótce usnęła. Dopiero gdy się obudziła o dziesiątej rano, zorientowała się, że Whitejack nie wrócił na noc.

Gino

Gino poczuł wielką ulgę, gdy w końcu napisał i wysłał list do Leonory. Czekał tak długo i dopiero teraz mogły się spełnić jego marzenia.

Pan Pułaski spisał się znakomicie. List był tak romantyczny i liryczny, że Gino był nieco zażenowany składając pod nim podpis. A co będzie, jak Leonora zechce, żeby zawsze mówił do niej w taki sposób? Nie chciałby jej rozczarować.

Godzinami wyobrażał sobie delikatną i niewinną twarz narzeczonej, gdy będzie czytać list.

Jednocześnie wysłał też drugi list, do jej ojca, grzecznie i oficjalnie prosząc o rękę córki. Sprawa była więc załatwiona otwarcie i zgodnie z wszelkimi konwenansami. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Gino wkrótce pojedzie do San Francisco i będzie żonaty w przeciągu kilku tygodni.

W tym czasie trzeba było zająć się interesami. Bonnatti dotrzymał słowa i szybko nawiązał ponowny kontakt. Transport legalnego alkoholu czekał już na odbiór w pewnym zakładzie na przedmieściach Trenton, w stanie New Jersey. Bonnatti sam zadzwonił do Gina.

— Jak się dobrze spiszecie, to możecie liczyć na regularne dostawy. Weźcie własną ciężarówkę i skontaktujcie się z kierownikiem zakładu. On wie, o co chodzi, i jest odpowiedzialny za ten etap akcji. Nie dawajcie mu żadnych pieniędzy. Jak już sprzedacie, trzymajcie moją część. Sam się po nią zgłoszę pod koniec miesiąca.

— Jesteś bardzo ufny — zażartował Gino.

— Ano jestem — powiedział poważnie. — Tak mi się wydaje, że masz bardzo cenne jąderka, z którymi niechętnie byś się rozstał.

Gino zaśmiał się.

— Jak przyjdiesz po forszę, to dostaniesz też dwa patyki, które zostawiłeś w kurtce. No i kurtkę też. Jest wyprana i wyprasowana.

— To była zapłata.

— Za co?

— Nie pieprz. Gino. Wiesz, za co.

— Słuchaj, Enzo... nie żebym ja tego nie doceniał, ale chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Nie chcę dla ciebie pracować. Z tobą tak, ale nie dla ciebie. Rozumiesz, o czym mówię.

Zapanowała królka chwila milczenia, wypełniona jedynie złowieszczymi trzaskami w słuchawce.

A Akio? On też nie chce wziąć pieniędzy? odezwał się Enzo. On nic będzie miał wszystkiego, co

sobie ubzdura. Poznał mnie z tobą i jesteśmy współpracownikami, ale chcę, żeby wszystko było jasne: ja nie jestem jednym z twoich ludzi, ty mnie nie zatrudniasz, rozumiemy się? Tym razem zaśmiał się Enzo.

— Słyszałem, że jesteś narwaniec. No dobrze, dobrze, w porządku. Możesz mi oddać forszę, jeśli przez to będziesz szczęśliwszy.

W okolicach 11 O-ej ulicy Gino i Aldo nabyli magazyn, gdzie trzymali skrzynki oczekujące na transport alkoholu, dwie ciężarówki i starego, zużytego forda. Ciężarówki miały napis DINUNZIO — PRZEPROWADZKI I DOSTAWY i od czasu do czasu będą wykorzystywane do tych celów. Ale oczywiście to tylko podkładka; w rzeczywistości będą służyły do czegoś zupełnie innego.

Staruszek ford wyglądał tak, jakby nie mógł przejechać z jednego końca miasta w drugi, ale pod maską miał taki silnik, który dawał mu przewagę nad nowym rolls-roycem. Gino sam z wielkim uczuciem go zamontował. Potrafił po mistrzowsku podrasować stary samochód.

Miał teraz dwadzieścia jeden lat i powodziło mu się całkiem nieźle. Nie mógł na nic narzekać. Oczywiście to nie był szczyt sukcesu, nie był jeszcze Lucanią, ale był na dobrej drodze. Jedna rzecz była pewna — nic nie mogło go powstrzymać.

Zdecydował, że sam poprowadzi ciężarówkę do Trenton i z powrotem. Napady na szosach zdarzały się coraz częściej, a utrata towaru znaczyłaby utratę twarzy u Bonnettiego, nie mówiąc już o jąderkach.

Pinky Banana wziął ze sobą śrutówkę, a Aldo prowadził forda. Wszyscy mieli broń na wypadek kłopotów. Nic się jednak nie wydarzyło.

Akcja powiodła się bez problemów.

Po rozładowaniu alkoholu i rozwiezieniu go do wdzięcznych odbiorców Gino, Pinky i Aldo poszli do Grubego Larry'ego uczcić powodzenie. Lokal stawał się coraz bardziej modny. Pojawiały tu się już. damy z towarzystwa wraz. z eskortami, ludzie, którzy na co dzień mieszkali w wytwornych domach przy Park Avenue.

— Klub pęka w szwach — stwierdził Pinky Banana, obgryzając paznokiec u jednej ręki, a drugą pstrykając na kelnerkę.

Mała, zmęczona, rudowłosa dziewczyna zaprowadziła ich do stolika z tyłu lokalu.

— Ten jest do niczego. Gdzie jest Larry? — zapytał agresywnie Pinky, trzymając kelnerkę za pasek fartucha, tak że nie mogła odejść.

— Przepraszam pana—powiedziała kąśliwie.— Pana Larry'ego nie ma dzisiaj.

— Pana Larry'ego! — przedrzeźniał ją Pinky. —• Znałem lego pana Larry'ego, kiedy jeszcze mówiło się do niego Gruby.

— Siadaj, Pinky — powiedział spokojnie Gino. Wypijemy po jednym i wynosimy się.

Mięsiste wargi Pinky'ego zacisnęły się.

— W porządku, Gino, nie przejmuj się. ja się tym zajmę. Nikt nie będzie mi mówił, gdzie mam posadzić własną dupę.

Kelnerka trochę się przestraszyła. Była nowa i nigdy wcześniej nie widziała Pinky'ego, ale potrafiła wyczuć, kiedy zbliżały się kłopoty.

— Jeśli mnie pan puści, to pójdę poszukać szefa - powiedziała drżącym głosem.

— Nie — uciął wojowniczo Pinky. — Nie potrzebujemy żadnego szefa. Lepiej od razu dowiedz się, kim jestem. Jestem pan Kassari i chcę usiąść przy tamtym stoliku. — Wskazał wolny stolik na środku sali, tuż przy parkiecie do tańca. — No, rusz się, pszczołko! —

Klepnął ją mocno w siedzenie.

Spojrzała na niego wściekła, zdecydowała jednak, że praca jest ważniejsza od kłótni z klientem. Całą trójkę poprowadziła przez zatłoczoną salę do stolika, którego zażądał Pinky. Leżała na nim kartka „zarezerwowane”, ale tym już zajmie się szef.

Kiedy usiedli i zamówili drinki, Gino powiedział:

— Jesteś starą cholera, wiesz. Pinky? Pinky parsknął śmiechem.

— Wiem. No i co z tego? Gino wzruszył ramionami.

— Pewnego dnia możesz mieć kłopoty.

— To co? Nie martw się, dam sobie radę.

— Myślisz?

— Ja nie myślę, ja wiem.

Gino pokiwał głową bez specjalnego przekonania. Miał złe przeczucia co do Pinky'ego. Siła zabijania zaczęła uderzać mu do głowy.

Kelnerka przyniosła drinki. Pojawił się też Gruby Larry. Nie był już tym sympatycznym grubaskiem, sprzedającym jedynie mleczne koktajle. Ciągłe był gruby, ale teraz jego ogromne ciało było wciśnięte w niewygodny, oficjalny garnitur, włosy wysmarowane brylantyną, a z twarzy strumieniami lał się pot.

Larry wznosił obie grube łapy w przesadnej rozpaczy. Pinky, przyjacielu, co ty chcesz mi zrobić?

Pinky głośno kichnął, grzbietem dłoni przejechał po nosie i mrugnął do Gina i Aida.

— No, chłopaki, teraz będzie akcja — powiedział.

— Nie wiedziałem, że dzisiaj przychodzicie — mówił z wyrzutem Larry. — Gdybym wiedział, to oczywiście zarezerwowałbym wam ten stolik. Ale teraz widzicie, klub jest cały pełny i ten stolik jest zaklepany dla pewnej bardzo ważnej damy. Przychodzi tutaj regularnie od dwóch tygodni. To jest jej stolik.

— No, to ma, kurde, pecha Pinky ziewnął.

— No, chłopcy... sapał Larry musicie się przenieść. Oczy Pinky'ego zrobiły się nagle zimne i nieustępliwe.

— Musimy się przenieść. Gruby, czy ja dobrze słyszę?

Larry natychmiast zbladł. Czy nie dość było, że nielegalną działalnością nadstawiał kark za wszystkich gości, to jeszcze musiał mieć do czynienia z miejscowymi bandziorami?

Pinky cały czas siedział z groźną miną.

Gino postanowił coś w tej sytuacji zrobić. Nie chciał, żeby doszło do burdy.

— Czy to jest ta twoja bardzo ważna dama? — wskazał wysoką kobietę, całą w lisich futrach, stojącą w wejściu z młodym mężczyzną, który wyglądał na bardzo nerwowego człowieka.

Kropla potu skapnęła z twarzy Larry'ego.

— Tak, to ona.

— To niech się przysiądzie do nas z tym swoim kolesiem. My nie mamy nic przeciwko temu, nie, chłopaki? — Mrugnął do Pinky'ego.

— Przyda nam się kontakt z wyższą sferą!

Gruby Larry pokiwał głową. Nie było to wyjście idealne, ale chyba jedyne. I co on ma powiedzieć pani Duke? „Przepraszam panią, pani Duke, ale te trzy lumpy nie chcą się ruszyć. Mam nadzieję, że zechce pani przysiąść się do nich dziś wieczorem”. Na pewno spodobałoby jej się to. Przez dwa tygodnie przychodziła co wieczór. Była prawdziwą damą, zawsze nosiła wspaniałe kreacje i piła tylko szampana. Co wieczór towarzyszył jej inny młody człowiek. Procedura wyglądała zawsze tak samo: przychodziła dziesięć minut przed przedstawieniem, a wychodziła dziesięć minut po nim. Larry jak na razie nie zorientował się, co ją interesowało w sześciu długonogich, świniogłosych dziewczynach i jednym marnym komediantcie, który opowiadał najbardziej świńskie dowcipy po tej stronie East River.

Wydawało się jednak, że uwielbiała tu przebywać. Cóż... przyjdzie się pożegnać z panią Duke! Lepsze to niż w jakąś ciemną noc dostać kulę w plecy. A to nie ominęłoby go, gdyby Pinky nie postawił w końcu na swoim.

Larry kołyszającym się krokiem ruszył w kierunku kobiety.

Ta uśmiechając się, zdziwiona uniosła brwi.

— Jakież problemy, Larry?

Bardzo mu się podobało, jak wymawiała jego imię. Od razu można było poznać mowę wyższych sfer.

— Zdarzyła się podwójna rezerwacja, pani Duke. To ta nowa głupia kelnerka nie wiedziała, że to pani stolik.

— Nie możesz ich przesadzić? — zapytała nieco ubawiona jego zmieszaniem.

— Nie ma za bardzo gdzie, pani Duke. — Z przedniej kieszeni marynarki wyciągnął chusteczkę i otarł twarz z potu. Mówił prawdę: lokal był pełen gości.

— Czy mam to rozumieć, że nie ma dla mnie żadnego miejsca? — jej głos zmienił się z rozweselonego na lodowaty.

— Nie, nie... — jąkał się Lany. — Tylko może przysiadłaby się...

— Zdaje się, że nie mam wyboru. — Przeszła obok Larry'ego i skierowała się w stronę stolika. Jej zdenerwowana eskorta podążyła tuż za nią, mruczając pod nosem.

— Clementine, czy je... jesteś pewna? Nie możemy pójść gdzie indziej? Gino, Pinky i Aldo patrzyli ze zdumieniem, jak zmierza w ich kierunku.

Wszyscy spodziewali się, że nie przyjmie propozycji.

— Ty z tą swoją gębą narzekał Aldo. O czym teraz będziemy z nią rozmawiać?

— Nie wydaje mi się, żeby miała aż taką wielką ochotę z nami rozmawiać — odparł Gino parszcząc śmiechem. — Ale na wszelki wypadek pomyśl, zanim palniesz jakieś słowo.

— Na pewno! — krzyknął Pinky. — Nie mam zamiaru zważać na to, co mówię, tylko z powodu jakiejś ważnej, zarozumiałej dupy.

— Dobry wieczór, panowie. — Pani Duke stanęła przy stoliku, patrząc na siedzącą trójkę chłodnymi, zielonymi oczyma. — Może panowie posuniecie się odrobinę. Będzie też potrzebne jeszcze jedno krzesło.

Patrzyli na nią bez słowa. Zwróciła się do swojej eskorty.

— Strasznie ci panowie są uprzejmi, prawda, Henry?

Henry dokoła kołnierzyka koszuli miał bardzo brzydki, ziejący czerwienią trądzik.

— Tak, Clementine — odpowiedział sztywno.

Pinky zerwał się nagle na równe nogi i pstryknął na kelnerkę.

— Krzesło! — wrzasnął. Zaraz też szturchnął Aida. — Posuń się — burknął.

Aldo zdusił w sobie przekleństwo. Pinky trzepnął go w zranione ramię, którego skóra i mięśnie nadal trzymały się na szesnastu szwach.

Bardzo nie życzyłby sobie, żeby teraz pękły, powodując na stole potok krwi.

Pani Clementine Duke uśmiechnęła się do Pinky'ego i wyciągnęła rękę. Jego wzrok zatrzymał się na wspaniałym diamentowym pierścionku.

— Nazywam się Clementine Duke — powiedziała czystym północno-wschodnim akcentem. — A to jest Henry Moufflin junior. —

Mocno uścisnęła dłoń Pinky'ego.

— Pan Kassari — wybełkotał w odpowiedzi.

— Pan Kassari, miło mi poznać. — Następnie przywitała się z Aldem.

— Aldo Dinunzio — wymamrotał.

— Bardzo mi miło. — Teraz spojrzała prosto na Gina, który też się w nią wpatrywał. Nic szczególnego nie wydarzyło się, ale spotkaniu ich oczu towarzyszyło z pewnością coś jeszcze.

— Gino Santangelo powiedział pewnym głosem.

— Cóż za ładne nazwisko.

Patrzyli na siebie odrobinę dłużej, niż to było konieczne.

Pani Duke przerwała len koniaki wzrokowy i zwróciła się do Henry'ego.

— Zamów szampana, kochanie. Zobaczysz, jak spodoba ci się ten klub. Jest taki... dziki.

Gino nadal uważnie jej się przyglądał. Nie wiedział dokładnie, co było w niej niezwykłego, ale było to w niej na pewno.

Nie była młoda, pewnie miała ponad trzydzieści lat, ale jak na swój wiek wyglądała całkiem nieźle. Miała zielone, szeroko rozstawione oczy, przyozdobione długimi rzęsami. Subtelne cienie nadawały im niezwykle zmysłowy wyraz. Odrobinę za długi nos nadawał

spojrzeniu pewnej arogancji. Z drugiej strony, nos był wręcz idealny, gdyż arogancja jeszcze bardziej wzmagала zmysłowość. Miała wąskie wargi i nieco opuszczone kąciki ust.

Jej proste, kruczoczarne włosy były bardzo krótko obcięte. Biała, droga satynowa sukienka kryła szczupłe i umięśnione ciało. Oczy Gina zatrzymały się na piersiach, wyraźnie widocznych pod prześwitującą tkaniną.

Zorientowała się, gdzie patrzy, i łagodnie się uśmiechnęła. Ogarnęło ją gwałtowne podniecenie. Doznała dreszczu emocji, uczucia, które narastało od pierwszego wieczora spędzonego w klubie Grubego Larry'ego, miejsca uosabiającego dla niej siłę, męskość- i prymitywizm. Wiedziała, że w końcu znajdzie się jakiś mały kąsek, który ponownie rozbudzi jej żądze.

Gino Santangelo — co za dziwne nazwisko. Wygląda na gorącego młodzieńca. Trochę niski, ale to w łóżku nigdy nie miało znaczenia.

Przyjrzała się jego kciukom; były długie i grube — znak, że między nogami ma więcej, niż potrzeba. Podobały jej się jego oczy: czarne, bezkompromisowe, stanowcze i dużo starsze od niego samego. Podziwiała gęste, czarne włosy, które wyglądały teraz dużo lepiej, niż w czasach kiedy bez większego powodzenia próbował przyglądać je tłuszczem. Twarz też ją fascynowała: wydatny nos i pełne, zmysłowe usta, które co chwilę wspaniale się uśmiechały. Nawet blizna na policzku podobała jej się; dodawała twarzy charakteru.

— Clementine! — Henry Moufflin junior od dłuższego czasu uparcie próbował stuknąć się z nią kieliszkiem szampana.

Spełniła w końcu jego namolne życzenie i delikatnie poprawiła włosy.

O Boże, już była gotowa! I to jeszcze jak gotowa.

— Gruby Larry powiedział nam, że przychodzi tu pani co wieczór — powiedział nagle Pinky, myśląc całe trzy minuty, jak zacząć rozmowę z damą takiej klasy.

— Tak — Clementine pokiwała głową. Nie podobał jej się. Za wysoki i nieproporcjonalnie zbudowany. Poza tym sprawiał wrażenie brudnego.

— To niezłe miejsce — ciągnął bez zbytniej kontroli nad tym, co mówi. — No, chyba że komuś chce się pojechać do centrum. My zwykle jeździmy. Ładujemy się w gablotę i jedziemy do centrum.

Aldo prawie się zachłysnął. Jaką gablotę?

— A pan? — zapytała Clementine, zatrzymując wzrok na Ginie. — Pan też jeździ do centrum?

Nieco zmieszany, wzruszył ramionami. Nie chciał myśleć o innych kobietach, ale ta, co tu dużo mówić, spowodowała silną erekcję. To przez te cholerne cycki, sterczące na wprost jego twarzy. Jedno było pewne: nigdy me pozwoli Leonorze nosić takiej sukienki. Na pewno nie! Nigdy.

— Tak, czasami jestem tu, czasami tam. Nowy Jork to moje miasto. Delikatnie drażniła go wzrokiem.

— Tak też myślałam.

— To jest również moje miasto — szybko dodał Pinky. — Tu jest najlepiej, kur... no, najlepiej — skończył trochę chyba nie tak, jak zamierzał, i zaczął przyglądać się Aldowi, który dusił w sobie śmiech.

— W jakiej branży pracujecie, panowie? zapytała Clementine, cały czas trzymając wzrok na Ginie.

— Ja potrafię wszystko — odpowiedział zawadiacko Pinky. — Nie podobało mu się, w jakim kierunku rozwijała się sytuacja. —

Jeszcze nie było takiej roboty, której nie mógłbym zrobić.

— Naprawdę? — Clementine rzuciła mu spojrzenie jak na psią kupkę płynącą rynsztokiem. — A pan? Czym się pan zajmuje? —

znowu patrzyła na Gina.

Miał już dosyć tego jej patrzenia. Wiedział, czego ona chce, i musiał jakoś dać jej do zrozumienia, że tego nie dostanie. Postanowił załatwić sprawę od razu.

— Zajmuję się transportem morskim — powiedział. — Właśnie za parę tygodni jadę do San Francisco, żeby zająć się towarem dla ojca mojej narzeczonej. Tam też wezmę ślub. — Jeżeli to jej nie zniechęci, to chyba już nic innego.

Pinky bardzo się zdziwił.

— Jaki transport? Nigdy...

Gino mocno kopnął go pod stołem.

— Hmm... — Clementine wyglądała na głęboko zamyśloną. — Mój mąż interesuje się transportem morskim. Może powinniście się spotkać.

Gino nie wierzył własnym uszom.

Henry Moufflin junior też nie. Umówił się z Clementine, gdyż była najbardziej ponętą i zmysłową kobietą na świecie. Nie przypuszczał, że wyląduje w jakimś tandetnym klubie, gdzie jego dama będzie przewracać oczyma do jakiegoś kurdupłowatego, smarkatego ciemnego typka. Jej zachowanie było niewybaczalne.

— Clementine, kochanie — powiedział szybko — może jednak stąd wyjdziemy? Znam jedną wspa...a...aniałą kawiarnię...

— Oj, zamknij się, Henry.

Pryszcze zaświeciły jak czerwone lampki.

— Chwileczkę... Clementine szukała czegoś w torebce. — O, jest. — Wyciągnęła małą, ładnie

zaprojektowaną wizytówkę i wręcza ją Ginowi. — Tu jest mój adres. Jeżeli byłby pan zainteresowany współpracą z mężem, proszę wpaść, to porozmawiamy. Przyjmuję gości w prawie każde przedpołudnie od jedenastej do dwunastej. — Uśmiechnęła się. — Proszę się skontaktować ze mną po powrocie z San Francisco albo nawet przed wyjazdem.

Pinky siedział z rozdziawionymi ustami. To dziwka, myślał. A co z nim, Ginem, się dzieje. Niby nie chce, ale kupuje wszystko, co ona mu podsunie. Nigdy nie potrafił oprzeć się kobiecie.

Gino wziął wizytówkę i schował do kieszeni. Gdyby to było przed spotkaniem Leonory, nie przegapiłby takiej okazji. Byłaby to niezła gratka... taka arystokratyczna dupa, która schodzi w niższe sfery szukając na noc kochanka.

Clementine wstała.

Wpadnie pan do mnie, prawda? — Ich spojrzenia znowu się spotkały. Oblizwała wąskie wargi i uśmiechnęła się życzliwie do Pinky'ego i Aida. — Bardzo dziękuję, że pozwoliliście nam panowie się przysiąść. Niezwykle miło było mi was poznać powiedziała.

Henry Moufflin junior zerwał się gwałtownie, potrącając stolik i prawie przewracając kieliszki.

— Uważaj, studencik warknął pod nosem Pinky.

— Prze...e...praszam wyjąkał Henry. — Clementine, muszę zapłacić.

— Daj pan spokój powiedział szybko Gino. — Powiedzmy, że ja postawiłem tego szampana.

Pani Clementine Duke odeszła bez słowa podziękowania, którego Gino nie spodziewał się.

Przy wyjściu zatrzymał ją Gruby Larry.

— Pani Duke, pani wychodzi przed przedstawieniem? Pani zawsze oglądała przedstawienie. Jeżeli te szczeniaki obraziły panią...

— Wręcz przeciwnie, Larry. Miałam znakomite towarzystwo. Twoi przyjaciele byli niezwykle uroczy.

— Tak? — Larry'emu opadła szczeka.

— Zapewniam cię.

— O kurna! — jęknął Pinky, stojąc i patrząc na odchodzącą panią Duke. — To było coś, naprawdę coś. Gorąca dupa, nie ma co!

Widzieliście, jakie łózkowe spojrzenia rzucała?

— Ale chyba nie tobie — śmiał się Aldo. — Gino Baran znowu górą! Pinky aż zawył. Za żadne skarby nie mógł zrozumieć, dlaczego kobiety

wolały Gina od niego. Cindy zapewniała go tysiące razy, że nawet nie ma co porównywać.

— Pieprzony Baran — powiedział z obrzydzeniem Pinky: — Przecież on już zapomniał, jak cipa wygląda, bo nie miał żadnej od wieków! Pierdzielony Baran!

Teraz rozzłościł się Gino.

— Zamknij gębę, gówniarzu — ostrzegł go.

— Bo co? — drwił Pinky.

— Przestańcie, głupki — wtrącił się Aldo. — Skończcie z tym pieprzeniem i oglądajcie występ. Ostatecznie nie co wieczór Barbara daje mi wychodne.

Costa Zennocotti siedział w gabinecie ojca w San Francisco i wyglądał przez okno, podczas gdy przyrodni rodziciel monotonnym głosem ciągnął swoją mowę. Był to wykład, który potrwa jeszcze przynajmniej dziesięć minut, więc Costa po prostu się wyłączył.

Słyszał tylko mocniej akcentowane wyrazy: „Szacunek”, „Miłość”, „Ambicja”, „Lojalność”. Były to słowa, którymi Franklin zwykł

faszerować syna. Jemu to nie przeszkadzało. Rozumiał ojca i wiedział, że wszystko, co mówi, jest wynikiem prawdziwej miłości i troski.

Franklin Zennocotti nie miał tak naprawdę powodów, aby martwić się

o Costę. Chłopiec był niezwykle ambitny, rodziców kochał i szanował, a lojalność była dla niego świętością. I właśnie przez tę lojalność siedział teraz w gabinecie ojca, przez lojalność w stosunku do Gina.

Costa poprosił i otrzymał pozwolenie na wycieczkę do Nowego Jorku. Nie było to łatwe, ale w końcu przekonał ojca i za dwie godziny będzie już siedział w pociągu. Teraz słuchał ostatniego wykładu na temat, jak zachowywać się w dużym mieście. Nie było jednak obawy, że Costa będzie musiał sam sobie dać tam radę, gdyż zostało już ustalone, że dwa tygodnie spędzi z siostrą Franklina i jej mężem. Potem miał wrócić do San Francisco, pójść na studia, skończyć prawo i w końcu zacząć pracować jako w pełni wykwalifikowany prawnik w firmie ojca.

Wyglądało na to, że przyszłość ma już dokładnie zaplanowaną, ale nie narzekał. Zawsze chciał tego samego, czego chcieli rodzice. Czuł, że winien jest im posłuszeństwo, a także chciał przynieść rodzinie chlubę w takim stopniu, jak tylko było to możliwe. Szczególnie po tym, co zrobiła Leonora. Matka przez długi czas nie mogła dojść do siebie. Była to hańba dla wszystkich.

Mała Leonora okazała się być bardzo przebiegłą panienką, podsycającą płonne nadzieje Gina. Wraz z koleżankami śmiała się z jego listów, chodziła z każdym chłopakiem, który tylko na nią mrugnął, wagarowała, w nocy po kryjomu wymykała się z domu. Mimo niewinnego spojrzenia, dużych, błękitnych oczu i delikatnych rysów twarzy, siedział w niej diabeł.

— Dlaczego nie powiesz Ginowi, żeby przestał pisać do ciebie? — zapytał Costa któregoś dnia.

— A po co? — odpowiedziała.

— No... — Costa zawahał się. — To chyba nie jest uczciwe. On przecież cały czas myśli, że jesteś jego dziewczyną.

Śliczne oczy otworzyły się szeroko.

— A może jestem. Co ty możesz wiedzieć.

Wiedział bardzo dużo. Wiedział, że w mieście siostra ma opinię „łatwej”

i że kilku chłopaków twierdzi, że z nią spało. Nietrudno było się domyślić, że jak Gino dowie się o tym, to wpadnie w szał. Costa nie był

dumny z tego, co

zrobił, ale któregoś dnia zakradł się do pokoju Leonory i przeczytał kilka listów od Gina. Nic pozostawiały ani cienia wątpliwości co do jego uczuć i zamiarów.

Costa nie wiedział, co ma robić. Z jednej strony czuł, że to nie jego sprawa, z drugiej, lojalność wobec przyjaciela nakazywała poinformować go o wszystkim jak najszybciej.

W końcu sytuacja rozwiązała się prawie sama. Słodka, niewinna Leonora zaszła w ciążę. Państwo Zennocolli doznali ciężkiego szoku, gdy ich droga córka przyniosła do domu tę wiadomość. Kiedy wróciły im zmysły, zażądali, aby jak najszybciej odbył się ślub. (ale szczęście, że przyszły ojciec okazał się synem szanowanej rodziny z San Francisco. Wszystko zostało szybko zaplanowane i po dwóch tygodniach Leonora kroczyła główną nawą kościoła, cała spowita w biel.

Przed wyjazdem w podróż poślubną zobaczyła się jeszcze z Costą. Lepiej powiedz swojemu koledze Ginowi, żeby już nie wypisywał

tych swoich mdłych liścików.

Dzień potem przyszły aż dwa: jeden adresowany do niej, drugi do ojca. Rozpoznawszy charakter pisma, Costa schował oba do kieszeni.

Gdy przeczytał je po kryjomu, zorientował się, że jest tylko jedno wyjście z sytuacji. Będzie musiał sam o wszystkim powiedzieć Ginowi. Było to zadanie nie do pozazdroszczenia, ale list mógłby być jeszcze gorszy w skutkach. Stąd wzięła się wyprawa do Nowego Jorku.

Oczywiście nie powiedział rodzicom, dlaczego chce pojechać. Podejrzewał, że gdyby znali prawdziwy cel podróży, nie zgodziliby się.

Costa mówił więc o muzeach, parkach i galeriach sztuki. „Chciałbym tylko na trochę wyjechać, zanim zacznę studia” — tłumaczył im i jakimś cudem zgodzili się. Byli dobrymi rodzicami.

Franklin odliczył sto dolarów i położył na biurku przed Costą.

— Możesz być pewien, że się nie będziesz nudził — powiedział ciepłym głosem. Moja siostra i jej mąż to porządni ludzie, zaopiekują się tobą. Mam nadzieję, że okażesz im należyty szacunek.

— Tak jest. — Słowo „szacunek” sprowadziło Costę na ziemię. — Możesz być pewien, tato.

Gino odwiedzał Verę raz w tygodniu o umówionej godzinie. Zirytowany, że ciągle przeszkadza jej w pracy, powiedział, żeby w środowe wieczory nie przyjmowała klientów. Posłuchała, gdyż bardzo lubiła jego wizyty. Zwykle szli do kina albo do jakiejś knajpki na hamburgera i koktajl. Tworzyli dość dziwną parę: tania, starzejąca się prostytutka bez przednich zębów i silny, młody mężczyzna, z trudem panujący nad ukrytą energią.

— Mam wystarczająco dużo forsy, żebyś mogła z tym zerwać raz na zawsze — powtarzał jej podczas każdego spotkania.

— Nie trzeba — odpowiadała. — Co by takie stare pudło robiło z wolnym czasem? Poza tym... — uśmiechnęła się, pokazując dziąsła —

nawet trochę lubię to, co robię.

Gino nieco się obawiał, jak Leonora przyjmie Verę. Był jednak zdecydowany, że je pozna, i miał nadzieję, że się zaprzyjaźnią. Wszystko Leonorze wytłumaczy, tak że powinny się polubić. Po prostu będzie musiała pogodzić się z tym, że życie to nie tylko miła rodzinna sielanka w San Francisco.

Za każdym razem, kiedy myślał o niej, przechodził go dreszcz wzrastającego podniecenia. Już niedługo będzie żonaty. Nie mógł się doczekać. Będzie żonaty!

Gino Santangelo.

Leonora Santangelo.

Państwo Santangelo.

— Co z tobą, Gino? — zapytała Vera. — Czemu nie jesz lodów?

— Posłuchaj. — Przerwał nagle rozmyślenia i klasnął w dłonie. — Leonora Santangelo, co o tym sądzisz? Dobrze brzmi według ciebie?

— Brzmi wspaniale - odparła kiwając głową.

Carrie

Whitejacka nie było przez tydzień.

Carrie najpierw martwiła się, później się rozłościła.

— Kochana, on nie potrzebuje opieki — zapewniała Lucille — i my tutaj też nie. Na pewno niedługo wróci.

— Skąd ta pewność? — zapytała zirytowana Carrie.

— Kochana, ja już tam wiem. Przecież Whitejack nie rozstanie się ze swoimi dwudziestoma trzema garniturami.

Lucille miała rację. Któregoś ranka wpadł do mieszkania, wypoczęty i pełen wdzięku.

— Gdzie byłeś?! — wrzasnęła Carrie. Whitejack podniósł rękę w autorytatywnym geście.

— Spokojnie, kobieto. Załatwiałem dużą, platynową blondynkę. Mówiłem ci przecież.

— Myślałam, żeś polazł z powrotem do Madam Mae Zaśmiał się.

— Do tej suki? Żartujesz, kobieto?

— Mogłeś powiedzieć, że cię tak długo nie będzie. Martwiłam się... Ujął w dłonie jej piersi, zsunął szlafrok i zaczął pieścić sutki.

— Nie wiedziałem, że muszę się meldować.

— Och, Whitejack! — Znowu poczuła się bezpiecznie. Bardzo chciała go czymś zadowolić. — Razem z Lucille zgarnęłyśmy trzysta dolarów w tym tygodniu.

Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno przywarła do niego.

— Wszystko dla ciebie, najśłodszy. Odsunął ją delikatnie.

— Ubierz się i spakuj. Przeprowadzamy się jeszcze dzisiaj.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Znalazłem większe mieszkanie i w lepszej dzielnicy. Carrie szeroko otworzyła oczy.

— Jak to zrobiłeś? Myślałam, że nie mamy pieniędzy.

— Takie rzeczy zostaw Whitejackowi. Zdobyłem cały nowy wystrój.

Gruby mężczyzna z cygarem uśmiechał się jowialnie do swych przyjaciół. Było ich około trzydziestu.

Grupa zamożnych biznesmenów w średnim wieku, odpoczywających po wspaniałym obiedzie z dobrym winem.

Była to uroczystość tylko dla mężczyzn, zorganizowana z okazji przejścia na emeryturę jednego z nich. Nazywał się Arthur Stuyvesant i kończył pracę w firmie inwestycyjnej.

Obiad zorganizował jego gruby przyjaciel, który unosząc rękę z cygarem dał znak do rozpoczęcia prawdziwej zabawy.

— Panowie — zakomunikował, z trudem panując nad wzruszeniem. — Na dzisiejszy wieczór przygotowałem dla was małą niespodziankę. Wydaje mi się, że będzie to coś niepowtarzalnego, widowisko uświetniające nasze spotkanie.

Kiwnął głową do Murzyna, schowanego za kotarą w końcu sali konferencyjnej.

— Zaczynamy zabawę.

Whitejack uszczypnął Carrie w siedzenie.

— Ruszaj, kobieto — polecił.

— Nie chcę tego robić — zaczęła. Whitejack zmarszczył brwi.

— Już chyba o tym mówiliśmy. Ruszaj! Jak ci się nie będzie podobało, to więcej nie będziesz tego robić.

Carrie niechętnie wyszła zza kotary.

Po sali przeszedł szmer uznania, parę osób zaśmiało się niepewnie. Z ukrytego gramofonu rozległa się muzyka, leniwy nowoorleański ragtime. Carrie zaczęła tańczyć. Miała na sobie krótką, czerwoną sukienkę, jedwabne pończochy, buty na wysokim obcasie zrobione z pasków i koronkowe podwiązki. Pod sukienką nie miała nic.

Whitejack przyglądał jej się, jak zwinnie prześlizguje się między stolikami. Nie była zła. Teraz klepnął w siedzenie wysoką i korpulentną blondynkę, która stała obok niego.

— Dolly, pokaż małej, jak się to robi.

Uśmiechnęła się, pokazując końskie zęby osadzone w szerokich ustach.

— Tak jest, Whitejack.

Sprężystym krokiem wyszła zza kotary. Falujące przy każdym ruchu piersi i wielki tyłek wepchnięte były w ciasną, pomarańczową sukienkę.

Whitejack zadowolony pokiwał głową i uśmiechnął się. Dolly okazała się dobrym interesem. To ona przekonała go, że na takich pokazach można dużo zarobić.

— Na jaką cholere takiego cwaniaka jak ty ma się męczyć z różnymi facetami i całym tym gównem? — zapytała, gdy po raz pierwszy spotkali się w jednym z klubów jazzowych. — Daj mi odpowiednie dziewczyny, a ja już zrobię z nimi grubą forszę.

Zamieszkał z nią przez tydzień, aby przedyskutować sprawy. Bardzo się ucieszyła, gdy Whitejack powiedział jej o Carrie i Lucille.

— Czarna i karlica! — krzyknęła podniecona. — Zrobimy kupę szmalu.

Whitejack nie tracił czasu. Zabrał Carrie i Lucille, dwadzieścia trzy garnitury oraz pozostałe ubiory i przeprowadził się do Dolly, która miała mieszkanie wystarczająco duże dla całej czwórki.

Carrie nie była zadowolona.

— Myślałam, że założymy dom narzekała.

— Może założymy, może nie odpowiedział. Najpierw wypróbujemy metodę Dolly.

— Sypiasz z tą suką?

— Jasne, że nie. — Dotknął jej włosów. — To byłoby bardzo głupia rzecz, mając przy sobie tak smacznego kurczaczka jak ty.

Dziwki. Szesnasto- czy sześćdziesięcioletnie, wszystkie takie same.

Whitejack popchnął Lucille, która kołyszącym się krokiem wyszła z tego samego miejsca, aby dołączyć do Carrie i Dolly.

Sala pełna mężczyzn wydała z siebie okrzyk zadowolenia. Zaczęli się już rozkręcać. Same białe dupki. Nie było wśród nich żadnego czarnego. Czarni wiedzieli, jak się bawić. Żaden nie przyszedłby na taki gówniany występ, żeby się podniecać.

Whitejack obserwował Dolly. Sposób, w jaki się poruszała po sali, zdradzał prawdziwy profesjonalizm. Wypinając zawartość sukienki, doprowadzała widownię do białej gorączki.

Carrie i Lucille nie były tak dobre, ale nie miało to znaczenia. Jak tylko zdejmą ciuchy, nikt nie zauważy ich nieszczęsnego wyrazu twarzy.

Whitejack ziewnął. Będzie musiał dogadać z Dolly pewne sprawy. Nie była zadowolona, że wycofał się z obietnicy dzielenia z nią wygodnej sypialni.

— Dlaczego nie możesz? — popatrzyła na niego groźnie. — Ta mała dostała nagle wyłączność praw?

— To tylko na dzień lub na dwa, Wielka Damo — tłumaczył. — Zobaczysz, cholera, że nim się zorientujesz, wrócę do ciebie z tym, czego tak się dopominasz.

— Lepiej, żebyś nie zapomniał — powiedziała krótko.

Cóż, będzie musiał odstawić małą Carrie od swego czerwonego kutasa. To był prawdziwy problem. Jak raz jakaś kobieta w nim zasmakowała, to potem nie chciała już go puścić.

Dziewczęta zaczęły się rozbierać. Whitejack znowu ziewnął. Nie rozumiał, jak można zapłacić pięćset dolarów za obejrzenie trzech par cycków, dup i mocno zużytych cipek.

Cholera. Trudno było wytłumaczyć, czym jest dla niektórych dobra zabawa.

Gino

Ponieważ robota w Trenlon poszła bez żadnych problemów, Bonnatti natychmiast zapewnił Ginowi i Aldowi więcej kontaktów.

— Musimy rozszerzyć działalność powiedział Gino do Aida i Pinky'ego. — Musimy mieć więcej chłopaków.

Pinky podniósł głowę.

— Znam kupę chłopaków, mogę ich sprowadzić.

— Same gnojki — parsknął Gino. — Lojalność mają w dupie.

— Skąd ty możesz wiedzieć? — zapytał niezadowolony Pinky.

— Ja się zajmę werbowaniem nowych — powiedział Gino. — Może znajdę kogoś w San Francisco, kto chciałby wrócić na wschód.

— Czy ty w ogóle kiedyś pojedziesz do San Francisco? — drwił Pinky.

Gino nerwowo potarł bliznę na policzku.

— Tak, wkrótce — odpowiedział krótko.

Lada dzień spodziewał się odpowiedzi od Leonory lub jej ojca. Czekał siedząc jak na szpilkach.

— Mówisz tak od tygodni — wyśmiewał się z niego Pinky. — Jesteś pewien, że ktoś nie robi cię w balona?

— Słuchaj, smrodzie, Gina Santangelo nikt nie robi w balona — powiedział rozjuszony, patrząc mu prosto w oczy.

Szkliste oczy Aida patrzyły raz na jednego, raz na drugiego. Z dnia na dzień rosło między nimi napięcie i w każdej chwili mogło dojść do tragedii. Pinky wyciągnął palec z nosa, oglądając, co na nim zostało.

— Więc co to tak długo trwa?

— Nic nie trwa długo, kretynie. Pinky zaśmiał się jak wariat.

— Ona robi cię w balona, to ty jesteś kretynem.

— Jak długo będziesz w San Francisco? — wtrącił się Aldo.

— Nie wiem. Tydzień, może dwa.

— A co z Enziem? Wie o tym?

— W cholerę z Enziem! Gino wybuchnął gniewem. — Nie muszę chyba informować Bonnattiego o każdym sikaniu.

— Masz jego pieniądze. Co będzie, jak przyjedzie po nie, a ciebie nie będzie? — spytał zaniepokojony Aldo.

Gino popatrzył na obu kolegów. Co za młoty. Aldo sra ze strachu przed własnym kuzynem. Pinky — wielki, głupi wół.

— Słuchajcie, muszę iść — powiedział na zakończenie. — Widzimy się jutro.

Wyszedł z garażu, który był miejscem spotkania, i różnym krokiem ruszył w dół ulicy. Myślał o Leonorze. Dlaczego tak długo nie odpisywała? Spodziewał się szybkiej, wręcz natychmiastowej odpowiedzi, a tu nic. Oczekiwanie dobijało go.

— Cześć, Gino.

Spojrzał w górę i zwolnił kroku.

— Cześć, Cindy.

Nie wyglądała tak wesoło jak zwykle. Ani też zuchwale. Była raczej posępna i markotna.

Gino chciał pójść dalej, ale położyła mu rękę na ramieniu i zatrzymała.

— Jak ci leci? — zapytała. Zakołysał się na stopach.

— Nieźle. A tobie?

Co się stało, że nie atakowała go zwykłymi docinkami?

— Nie najgorzej. Wszystko w porządku.

Jak tylko wypowiedziała te słowa, dwie duże łzy zebrały się w jej oczach i spłynęły po pomalowanych na różowo policzkach.

— Oj, Gino — wpadła w lament — jestem tak nieszczęśliwa! Rozejrzał się wkoło. Ludzie zaczęli im się przyglądać.

— Boże, Cindy, co się z tobą dzieje? Cindy łkała.

— To przez Pinky'ego — powiedziała przez łzy. — Chcę od niego odejść, ale nie mogę. Nie mam pieniędzy. Nie mogę pojechać do domu. Nienawidzę go i nie wiem, co robić. Gino, proszę, pomóż mi.

Gino, proszę, pomóż mi. Takie słowa usłyszał od baby, która cały czas odszczekiwała się i przynosiła same kłopoty, od momentu gdy ją zobaczył. Mała Cindy, która drażniła się ze wszystkimi, ta, która była przyczyną onanizowania się setek chłopaków. Dotknął blizny i przypomniało mu się, skąd ją ma. Przez nią, a ona ani razu nie powiedziała zwykłego dziękuję za to, co zrobił.

— Słuchaj, uspokój się — powiedział szybko.

— Nie wiesz — mówiła ponurym głosem — w jakiej jestem sytuacji.

— Cindy, przestań. Ścisnęła mu ramię.

— Gdybyś tylko dał mi trochę pieniędzy, mogłabym wsiąść w pociąg i gdzieś wyjechać. Bo widzisz — zrobiła dramatyczną pauzę —

powiedział mi, że jak go zostawię, to mnie zabije.

Gino zaśmiał się głośno.

— Pieprzy. Zaczęła mocniej łkać.

— To prawda. Nawet pokazał mi pistolet. Powiedział, że jeśli on mnie nie może mieć, to nikt nie będzie mnie miał.

Prawdziwy teatr na 110 ulicy o trzeciej po południu. Gino wzruszył ramionami. Nic nie mógł zrobić. Chyba tylko dać jej pieniądze na wyjazd.

Oblizwał wargi i spojrzał na płaczącą dziewczynę. Wydawało się, że mówi prawdę. Oczywiście, mógł to być jeden z kawałów Pinky'ego; zawsze lubił praktyczne dowcipy. Cindy Swędzidupka też byłaby chętna do takiej zabawy.

— No dobrze, Cindy, pomyślę o tym. Przestała płakać.

— Och, Gino, naprawdę? Pokiwał głową.

Cindy głośno kichnęła i zaczęła szukać w torebce chusteczki.

— Wiem, że byłam głupia, że się w ogóle z nim związałam. Wydawał się wtedy taki miły... I traktował mnie naprawdę dobrze... Wiesz, prezenty i te sprawy. Spojrzała mu w oczy. — Ale w rzeczywistości zawsze tylko ciebie lubiałam.

Parsknął śmiechem.

— Daj spokój, Cindy. Nie musisz mi pochlebiać. Otworzyła szeroko oczy.

— Ale to prawda, przysięgam.

— Na pewno. Słuchaj, muszę już iść.

Pokiwała głową, następnie przyciągnęła go blisko siebie.

— Chcę ci coś pokazać wyszeptała.

— Co?

— Nie uwierzysz mówiła cały czas szeptem. — Chyba mam bliznę na całe życie.

Delikatnie odchyliła bluzkę, pokazując górną część piersi. Gino zajrzał do środka. Było na co popatrzeć.

— Widzisz wypaloną ranę?

— Jaką ranę?

Przyjrzał się bliżej. Obok sutka lewej piersi był nieprzyjemny, czerwony ślad.

— Zrobił to papierosem. Chciałam, żebyś wiedział, do czego jest zdolny. Cholerny, podły sukinsyn. Taki sam jak parszywy Paolo.

— Ile potrzebujesz?

— Nie wiem, kilka setek. Wystarczy, żeby dojechać do Kalifornii? Mogłabym tam dostać jakąś pracę.

Gino kiwnął głową.

— Jutro wieczorem będziemy u Grubego Larry'ego. Jakbyś dał mi je jutro, mogłabym wyjechać następnego dnia.

— Załatwione.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

Wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w policzek.

— Dziękuję, Gino. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Pociąg Costy przyjechał do Nowego Jorku w poniedziałek we wczesnych godzinach porannych. Doktor Sydney Lanza z żoną czekali na chłopca na dworcu Grand Central. Najpierw zlustrowali go podejrzliwym wzrokiem, potem wymienili spojrzenia, zdziwieni, że niespodziewanie jest tak przystojny i grzeczny. Cała rodzina dostała szału, gdy Franklin Zennocotti zdecydował się adoptować chłopca o tak wątpliwej przeszłości. Jednakże wyglądał on na dobrze wychowanego młodzieńca, więc zaakceptowali go natychmiast.

Ich dom w Beekman Place nie był luksusowy, był bardziej mieszczański niż rezydencja Zennocottich. Jednak tu i tam dało się zauważyć, że bieda w nim nie panuje: stół ze srebrnymi okuciami, na ścianach wartościowe obrazy, politurowane, mahoniowe meble.

Doktor Lanza przyjmował pacjentów w jednym z frontowych pokoi, a pokój przyległy spełniał funkcję poczekalni.

— Doktor nie ma ani chwili wolnego czasu powiedziała pani Lanza, pokazując chłopcu jego pokój. Pracuje bardzo ciężko i lubi swoje zajęcie. Leczenie to boska praca, a łaskawy Wszechmogący uważnie dobiera swoich uczniów.

Franklin Zennocotti zapomniał wspomnieć, że państwo Lanza byli ludźmi bardzo pobożnymi.

Costa pokiwał głową.

— Postaram się nikomu nie przeszkadzać.

— Jestem pewna, że przyzwyczaisz się do naszych reguł. Bardzo bym cię prosiła, żebyś zawsze ścielił swoje łóżko i punktualnie przychodził na posiłki. Doktor bardzo nie lubi, jak się ktoś spóźnia.

— Oczywiście — odpowiedział szybko Costa. — Chyba że gdzieś wyjdę, chciałbym dokładnie zobaczyć miasto, zwiedzić galerie sztuki, muzea... i kilka innych rzeczy.

Pani Lanza zacisnęła wąskie usta.

— Życzyłabym sobie, żebyś mówił mi o swych planach dzień wcześniej. Twoje wyjścia i przyjścia nie mogą zburzyć domowego porządku.

— Ależ nie, nie, pani Lanza, ja tu naprawdę nie będę nikomu przeszkadzał.

Stanowczym ruchem skrzyżowała ramiona na płaskim biuście.

— Jesteśmy o tym przekonani, młodzieńcze.

Costa uśmiechnął się bez przekonania. Czternaście dni z panią Lanza nie zapowiadało się zachęcająco.

— Pomyślałem, że może gdzieś wyjdę po południu — zaryzykował.

— Jeśli pozwolisz, nie dzisiaj, Costa — odpowiedziała zdecydowanym tonem. — Posiłki są już zaplanowane, a dom ucierpiał już wystarczająco przez twój przyjazd.

— Oczywiście, pani Lanza, rozumiem.

Ale tak naprawdę nie rozumiał. Chciał już się wydostać z tego cholernego domu w Beekman Place i odnaleźć Gina.

— Nie ma jeszcze odpowiedzi? — zapytał pan Pułaski. Gino potrząsnął głową.

Starzec zamknął oczy i przycisnął palce do skroni.

— Poczta długo idzie, bardzo długo. Nie martw się.

— Kto mówi, że się martwię? — uciął Gino, zrywając się nagle z krzesła. Zaczął krążyć po małym pokoju. -- Myślę tylko, że może mój list gdzieś zaginął albo co. Rozumiesz, dziadku, tak tylko myślę. Może powinienem wsiąść w pociąg i pojechać?

Starzec otworzył! oczy, wyjrzał przez okno i zaczął przyglądać się zatłoczonej ulicy. Wstał z łóżka przed dwoma dniami, ale bał się wyjść z pokoju. Tyle tam ludzi... tylko czyhają na jego pieniądze, złoty zegarek, a może i życie...

Co o tym sądzisz, dziadku? zapytał Gino, stojąc przed nim i kołysząc się na piętach. Myślisz, że powinienem tak zrobić? Pan Pułaski zmarszczył brwi.

— Co zrobić?

— Pojechać do San Francisco — odparł zirytowany Gino. Staruszek przestawał już kontaktować. Pobicie pozbawiło go wigoru i energii.

— Może powinieneś poczekać jeszcze tydzień lub dwa — odpowiedział pan Pułaski, ponownie chwytając temat rozmowy. — Ale z drugiej strony... — przerwał, zapominając nagle, co ma powiedzieć.

— Tak? — zapytał zaciekawiony Gino. Zaciśnął prawą pięść i nerwowo uderzał nią w lewą dłoń.

— Myślę... — Starzec poczuł gwałtowny ból i jego oczy się zaszklily. — Myś... — Ból przeszył wątłe, stare ciało. Zakaszał i nawet nie zorientował się, że z ust zaczęła wydobywać się i wyciekać na brodę krew. Wpatrywał się nieprzytomnie w Gina i na krótko pomyślał o zmarłej żonie. Chciał głośno wymówić jej imię, ale uczył ostry ból w klatce piersiowej. Zsunął się bezwładnie na krzesło. Imienia żony już nie dokończył.

Gino patrzył przerażony.

— Panie Pułaski! Dziadku! Co się stało? — Chwycił go za ramię. — Dziadku, obudź się! Obudź się!

Pochylił się i spojrzał mu w twarz. Oczy i usta były otwarte. Była to twarz śmierci.

— Nie, nie! — bełkotał Gino. — Boże, nie...

Ukląkł przy starcu, tuląc jego głowę. Płakał pierwszy raz od wielu lat. Pan Pułaski nie żył. Miły staruszek. Nigdy nikogo nie skrzywdził.

Co z tego, że parę razy pokazał to i owo na ulicy? Co z tego?

Gino otarł oczy grzbietem dłoni i wstał. Rozejrzył się po pokoju.

Leonora nigdy nie pozna twórcy miłosnych listów, które przez rok dostawała co tydzień. A bardziej przykre jest to, że pan Pułaski nigdy nie zobaczy Leonory.

— Cholera, dziadku - mówił pod nosem Gino — nie mogłeś zaczekać?

Śniadanie w domu w Beekman Place było o siódmej: gorąca szkocka owsianka, gęste, słodkie kakao i grube kromki chleba.

Costa jadł niewiele, z czego pani Lanza nie była zadowolona.

— Porządne, zdrowe śniadanie daje człowiekowi energię, aby właściwie rozpocząć dzień pracy — upomniała go. — Nasz dobry doktor zawsze to powtarza swoim pacjentom, prawda, kochanie?

O ósmej Costa był już za progiem. Nareszcie wolny. Idąc ulicą głęboko wdychał powietrze, które było tu ostrzejsze, bardziej zadymione.

Nowy Jork miał inny zapach niż San Francisco. Wiedział, że kiedyś to miasto było jego domem, ale dla spokoju ducha postarał się zapomnieć o związanej z tym miejscem przeszłości. Uważał, że jego życie zaczęło się tego samego dnia, gdy Franklin Zennocotti zabrał

go do San Francisco. Nie chciał myśleć o tym, co było wcześniej. Wiedział tylko, że nowe życie zawdzięczał Ginowi Santangelo. Bez niego na pewno zginąłby w zakładzie dla sierot.

Zakład. Teraz wydawał się tylko śmiechem...

Gino spał niespokojnie, zwinięty w kłębek pod kołdrą. Zwykle sypiał dobrze, ale czasami sny gnębiły go całą noc i tak też było tym razem.

Minęło trochę czasu, zanim dotarło do niego pukanie do drzwi. Obudził się wreszcie i z trudem spojrzął na zegarek, co specjalnie go nie rozradowało. Ósma trzydzieści.

— Kto tam? — wrzasnął nieprzyjaźnie.

Costa wyczuł złość w głosie Gina i zastanawiał się, czy nie powinien przyjść później. Ale w końcu przyjechał aż z Nowego Jorku, żeby powiedzieć koledze coś ważnego. Nie należało odwlekać momentu prawdy.

— To ja, Costa Zennocotti — krzyknął przez zamknięte drzwi.

— Costa? Co ty, u diabła, tu robisz?

Gino otworzył drzwi, klepnął przyjaciela po ramieniu i wciągnął do małego, nie posprzątanego pokoju.

— Jakby to był ktoś inny, to obiłbym mu mordę za pobudkę o tej porze. Ale dobrze cię znowu

widzieć. Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś, że przyjeżdżasz?

Costa tysiące razy myślał, jak najlepiej wyznać koledze, co się stało. Teraz miał zamęt w głowie i wiedział, że trzeba wszystko powiedzieć wprost.

— Chodzi o Leonorę wypalił szybko. — Nie chciałem pisać ci tego w liście.

- Czego? — Gino pobladł.

— Wyszła za mąż — powiedział cicho Costa. — Wyszła za innego.

Środa, 13 lipca, 1977

Nowy Jork i Filadelfia

— Mam usta jak po całonocnym ssaniu palca — gderała Lucky. — Jak długo tu siedzimy?

Steven podniósł zegarek pod same oczy i wyężając wzrok spojrział na świecący cyferblat.

- Pięć godzin, dziesięć minut i czterdzieści dziewięć sekund.

— Wydaje się, że pięć miesięcy. Jeszcze nigdy w życiu nie siedziałam w tak niewygodnej pozycji. Zupełnie straciłam rachubę czasu.

Cały czas ci powtarzam: rozluźnij się i uspokój. Nic więcej nie możesz

zrobić.

Pamiętam - powiedziała chłodno, że oglądałam takie filmy, w których ludzie uwięzieni w windzie po prostu siedzieli beczynnje. Tak?

— odparł równie chłodno Steven. No i co zrobili? Boże, skąd mam wiedzieć?

— Przecież to ty zaczęłaś opowiadać.

— Zaczęłam, bo myślałam, że tobie przyjdzie jakiś pomysł. Widzę, że się pomyliłam.

— Ale to ty widziałaś te filmy, nie ja.

— Czy z ciebie zawsze jest taki pożytek? Steven był oburzony.

— Co, do cholery, chcesz, żebym zrobił?

— Oj, niegrzeczny chłopiec! Nie powinieneś tak brzydtko mówić.

Z chęcią udusiłby ją. Zacisnąłby duże, silne dłonie na, jak sobie mgliście wyobrażał, szyi kurczęcia i ścisłałby i ścisłałby, aż wyrzygałaby wszystkie swoje przemądrzałe dowcipy.

— Pamiętam! — powiedziała żywo. — *Hotel*. Miesiąc temu był taki stary film w telewizji. Rod Jakiśtam otworzył górną klapę windy i wyszedł wspinając się po linie.

— Daj sobie spokój — warknął. — Jeżeli myślisz, że wyjdę z windy, która wisi na czterdziestym którymś piętrze, to chyba bierzesz mnie za idiotę.

— Cykoria, co? — drwiła.

— Może i cykoria. Wystarczy, że ty jej nie masz.

Costa trzasnął słuchawkę. Dario. Zawsze w kłopotach, zawsze. Ładny chłopiec: jasne włosy, szczupła, zgrabna figura, a taki seksualny od-szczepieniec.

Gdyby Gino poznał kiedyś prawdę o jedynym synu... Costa zaklął pod nosem. Musiał mieć szczególny powód, żeby w ogóle przeklinać, ale Dario gwarantował mu to za każdym razem.

Pomyślał przez chwilę, potem podniósł słuchawkę i szybko wykręcił numer. Odebrała kobieta.

— Ruth, kochanie — powiedział miłym tonem — mówi Costa Zennocotti. Jak się masz?

Ruth zaczęła długą opowieść o niewygodach, spowodowanych awarią elektryczności.

— Jest Sal? — przerwał jej.

— Tak, chwileczkę.

Sal podszedł do telefonu.

— Czym mogę panu służyć, panie Zennocotti? Costa podał mu adres Daria.

— Jedź tam natychmiast — ponaglał. — Będziesz musiał wyważyć drzwi, są jakieś problemy z kluczami. Usuń z mieszkania przeszkodę i zajmij się wszystkim, tak jak będziesz uważał za stosowne. Zadzwoń jutro w sprawie pieniędzy.

Odłożył słuchawkę. Dario ma szczęście. Sal jest ekspertem od trudnych sytuacji. Chociaż może być już za późno. Ale czy ktokolwiek będzie tęsknił za Dario?

Tylko Gino.

Być może.

— No, skurwielu! — wrzasnął triumfująco chłopak, rozwalając drzwi sypialni żeliwną figurą w stylu Art Deko, którą znalazł w łazience.

— Gdzie jesteś, skurwielu? — Twarz mu się ściągnęła, a oczy przenikały mrok dużego pokoju w poszukiwaniu Daria.

— Gdzie jesteś, piździelcu? — krzyczał. — Nie chowaj się, bo i tak nie uratujesz swojej pedalskiej dupy!

Dario ukucnął po cichu w kuchni, trzymając przed sobą nóż rzeźnicki.

— Skurwielu! — darł się chłopak. — Dorwę cię!

Carrie oszołomiona szła ulicami Harlemu. Wydawało się, że wszyscy wybiegli z domów, żeby coś ukrąść. Rozbijali szyby wystawowe i zwijali wszystko, co podeszło pod rękę. Minęło ją dwóch mężczyzn taszczących ogromną, dębową skrzynię, jakby właśnie się gdzieś przeprowadzali. Za nimi szedł chłopiec, z trudem niosąc ciężki telewizor. Tranzystorowe radia i magnetofony rozbrzmiewały zewsząd muzyką rockową.

Na Carrie nikt nie zwracał teraz uwagi. Była po prostu jeszcze jedną czarną twarzą. Miała zmierzwiłone włosy, rozmazany makijaż, a z uszu kapłała krew.

Wiedziała, jak wygląda, ale nie miało to znaczenia. Opanowała ją złość, niepokonana złość, która prowadziła ją ulicami w poszukiwaniu miejsca umówionego spotkania.

Jeszcze dwa dni temu życie wyglądało tak cudownie. Potem ten telefon. Przytłumiony głos powiedział, że dla własnego dobra ma czekać przed sklepem mięsnym na zachodniej 125 ulicy, w środę o 9.30.

— Kto mówi? zapytała ledwie dosłyszalnym szeptem, gdyż Eliot siedział w pokoju obok.

— Jeżeli nie chcesz, żeby twoja przeszłość wyszła na jaw, to lepiej tam bądź — nalegał nieznajomy.

Potem nastąpiła cisza, Carrie nie była nawet w stanie stwierdzić, czy głos należał do mężczyzny, czy kobiety.

Teraz szybko szła ulicą. Ktoś gdzieś na nią czekał. Musiała dowiedzieć się, kto.

Musiała...

Duży samolot odrzutowy gładko wylądował. Gdy tylko całkowicie się zatrzymał, w kobiecie siedzącej obok Gina zaszła całkowita odmiana. Wyszarpnęła rękę z jego dłoni, jakby miał jakąś chorobę zakaźną, i arogancko pstryknęła na stewardesę.

— Moje norki — zażądała rozkazującym tonem. Dziewczyna dygnęła.

— Już przynoszę, proszę pani. — Następnie pochyliła się nad Ginem. — Czy ma pan czym dojechać do Nowego Jorku, panie Santangelo?

— Nie — odpowiedział Gino. — Jakoś nie przewidywałem lądowania w Filadelfii.

Dziewczyna zachichotała.

— No tak. Aż trudno w to uwierzyć. Gino odpiął pas.

— Czy może mi pani zorganizować jakiś samochód?

— Oczywiście. Chociaż jeśli w Nowym Jorku musiałby pan nocować w hotelu, to lepiej, żeby został pan na noc w Filadelfii. Cały Nowy Jork jest bez prądu i nikt nie wie, jak długo to potrwa.

Pomyślał przez chwilę. W hotelu „Pierre” miał zarezerwowany apartament, ale stewardesa miała rację. Jeżeli miasto nie ma elektryczności, byłoby głupotą tam jechać.

— Czy może pani polecić jakiś hotel? Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Oczywiście, panie Santangelo. Ja chyba też tu zostanę.

Lucky zapadła w lekki sen. Steven odetchnął z ulgą. Bez jej ciągłego narzekania zawieszenie w czarnej skrzyni jak w matczynym łonie nie było takie złe, pozwalało się odprężyć. Niektórzy ludzie skłonni byli nawet płacić za tego rodzaju terapię.

Lucky bełkotała przez sen.

Właściwie nie powinien mieć do niej pretensji, że jest arogancka i wulgarna. Prawdopodobnie była po prostu przestraszona.

Akurat! Nie wierzył, żeby kobieta z tak niewyparzonym językiem mogła czegokolwiek się bać.

— Co się stało? — krzyknęła, budząc się gwałtownie i przecierając oczy. — Jezus, Maria, chyba nie tkwimy tu jeszcze?

— I to jeszcze jak.

— Zaczyna mnie to naprawdę wkurzać.

Ona zaczyna się wkurzać. Jakby to była jego wina.

— Muszę zrobić siku — powiedziała stanowczo. — Teraz.

— Przykro mi — odpowiedział z sarkazmem — ale projektanci tej windy, niestety, zapomnieli o wygodach w rodzaju ubikacji.

— Jakiś ty, kurwa, dowcipny.

Przestał się odzywać. Niech sobie gdera sama do siebie. Gorąco stawało się nie do wytrzymania. Klimatyzacja przestała działać wraz z odcięciem prądu. Teraz, po kilku godzinach, w windzie było gorąco jak w piecu. Rozebrał się już do spodenek, ale i tak ciało pokrywała gruba warstwa potu. Jak gdyby siedział w saunie.

Przypomniała mu się sauna, do której poszli z Zizi w czasie miodowego miesiąca. Sto pięćdziesiąt pięć centymetrów żywiołowej, zepsutej kobiety. Matka z pewnością co do niej nie myliła się.

— O, psia krew — pisknęła Lucky. — Nie zmoczyłam majtek, odkąd skończyłam dwa lata.

— Boże!

— Nie denerwuj się. Zaraz przyjdzie kolej na ciebie.

Dario słyszał jak chłopak przeszukuje mieszkanie, wykrzykując obelgi i rozbijając meble.

Serce biło mu głośno. Co takiego złego zrobił? Był pedałem. No to co? Przecież to nie przestępstwo. Zawsze dobrze traktował

kochanków. Zawsze płacił im, gdy tylko się zorientował, że oczekiwali pieniędzy.

Boże! Jego życie było jednym wielkim łgarstwem tylko dlatego, że był synem pieprzonego Gina Santangelo. Wzdrygnął się i mocno zacisnął powieki. W każdej chwili chłopak może go znaleźć i będzie po wszystkim.

Carrie nie mogła znaleźć sklepu mięsnego na zachodniej 125 ulicy. Chodziła w tę i z powrotem wraz z falą tłumu, pozwalając się popychać i obijać. Gdyby tylko wiedziała, kogo szuka.

— To jest Gwiazdka, prawdziwa Gwiazda! — zaskrzeczała sucha kobiecina, przebiegając obok.

Carrie musiała wejść do rynsztoka, żeby nie wpaść na dwóch chłopców, próbujących zerwać kratę z wystawy jubilera. Obok dzieci wybiły szyby sklepu

gospodarstwa domowego. Tłum wtargnął przez okna i zaczął wynosić wszystko, co podchodziło pod rękę.

— Spalimy sklep! — zapiszczała pewna nastolatka do swego chłopaka. Ludzie podchwycili pomysł.

— Spalić, spalić, spalić!

Carrie przyspieszyła kroku. Przez pięćdziesiąt lat nic się tu nie zmieniło. Harlem ciągle był pełen szczurów o ludzkich twarzach.

Wreszcie zobaczyła sklep, którego szukała. Z pewnością musiała już wcześniej obok niego przechodzić. Pomieszczenie wypełniał dziki tłum, napychający swoje torby stekami, kurczakami i wszystkim, co tylko dało się wynieść.

Rozejrzała się wkoło. Nikt na zewnątrz nie czekał. Jeszcze raz zastanowiła się: „Kogo ja właściwie szukam?”

Pozostawało tylko jedno: czekać i zobaczyć, kto się pojawi.

— Jill, ile masz lat? — zapytał Gino.

— Dwadzieścia dwa — odpowiedziała ładna stewardesa, stojąc nago obok łóżka.

— Dwadzieścia dwa, co?

— Dwadzieścia dwa i mam bardzo duże doświadczenie. — Zachichotała.

— Nie wątpię.

Byli w hotelu dokładnie od pięciu minut, a ona stała już rozebrana i gotowa do dzieła, jakby była to najzwyklejsza rzecz na świecie. Dla niej pewnie była. A gdzie się podział cały romantyzm?

Gino był zmęczony. Miał pełny żołądek, w którym odzywał się wrzód, i pragnął jedynie pójść spać.

Cała ta sprawa była jej pomysłem.

— Pójdę na górę i sprawdzę pana pokój — nalegała po obiedzie. Jak tylko weszli do apartamentu, dziewczyna natychmiast jak strzała rzuciła się do sypialni, z której wyszła już nago. Ciało miała niezłe. Widział lepsze i gorsze też. Może była trochę za chuda jak na jego gust.

— Dlaczego ładna, młoda dziewczyna jak ty chce iść do łóżka z takim staruchem jak ja, co? — zapytał, aby zyskać na czasie.

— Panie Santangelo, co za pytanie! Pan przecież jest sławny! Zastanawiał się, czy bardzo obraziłaby się, gdyby powiedział, że jej nie chce.

— Proszę się rozprężyć powiedziała zawodowym tonem stewardesy. — A teraz zdejmemy panu spodnie.

— Mam sześćdziesiąt dziewięć lat odparł, mając nadzieję, że to ją zniechęci. Ujął sobie jednak dwa lata, gdyż niechętnie przyznawał się, że ma ponad siedemdziesiątkę.

— Moja ulubiona liczba! krzyknęła i zaczęła majstrować przy guziku, potem odpięła rozporek i po prostu ściągnęła mu spodnie.

Miał połowiczny wzwód. Od kilku tygodni nie dotknął żadnej kobiety. W wieku siedemdziesięciu jeden lat jakoś nie było to najważniejsze. Oczywiście, że mógł go postawić, kiedy tylko chciał, ale żeby tak naprawdę się podniecić, potrzebował kogoś wyjątkowego.

— Ojej! — pisnęła. — Duży!

Spojrzał w dół. Z kogo ona się nabijała? Przecież to nawet nie połowa jego możliwości.

— Mam wziąć w usta? — zapytała niemal urzędowo.

A właściwie dlaczego ma oddawać usługi tej dziwce? Wciągnął z powrotem spodnie.

— Dlaczego pan to robi? — zapytała zaniepokojona.

— Bo chcę.

— Ależ, co pan! Przecież pan wie, że to nieprawda. Proszę mi dać tylko pięć minut i gwarantuję, że będzie pan w siódmym niebie.

— Mam córkę starszą od ciebie o pięć lat.

— No to co?

— No, to nie chcę tego robić. Zrozumiałaś?

Nie bardzo wiedziała, czy ma być urażona, czy zła. W końcu oburzona poszła do łazienki i po minucie wyszła całkowicie ubrana w uniform stewardesy.

— Panie Santangelo — powiedziała do niego chłodno lubi się pan drażnić z babkami, co? — Z tymi słowami pomaszerowała do drzwi i wyszła.

Gino sięgnął po cygaro. Wszystkim przecież nie mógł dogadzać.

Gino

1928

Gino bardzo źle zniósł wiadomość o ślubie Leonory. Nic mógł w to uwierzyć. Nie chciał uwierzyć. Costa wielokrotnie musiał

powtarzać, co się stało, aż w końcu stopniowo zaczęło do niego docierać.

Kiedy już się zorientował, że to jednak prawda, zaczął krzyczeć i miotać się jak szalony. Costa nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. Przyjaciel zamienił się w dzikiego zwierza, szalejącego po pokoju, przeklinającego i walącego pięściami w ściany. W końcu zaczął tak strasznie szlochać, że Costa poczuł się zażenowany.

Zastanawiał się, czy nie powinien wyjść. Gino zdawał się zapomnieć o jego istnieniu, ale Costa odniósł wrażenie, że lepiej będzie, jak zostanie. Czuł się, jakby powiedział, że Leonora umarła.

I dokładnie tak to odebrał Gino. Leonora zdradziła go, jego Leonora. Lepiej byłoby, gdyby wpadła pod tramwaj albo utonęła, albo zmarła na jakąś śmiertelną chorobę. To mógłby zrozumieć. Ale ślub? Tego nie był w stanie pojąć.

Dopiero po godzinie trochę oprzytomniał i zaczął zbierać się do kupy. Czuł się pusty i jałowy, jakby otrzymał śmiertelny cios w żołądek.

Costa siedział cicho w kącie i przyglądał się przyjacielowi ze współczuciem. Teraz Gino czuł się zażenowany.

— Słuchaj, mały — odezwał się z trudem — przyjechałeś taki szmat drogi, żeby mi to powiedzieć?

Costa przytaknął i wyciągnął z kieszeni dwa listy.

— Pozwoliłem sobie je otworzyć i zatrzymać. Przyszły po ślubie. Pomyślałem, że w tych okolicznościach nie chciałbyś, żeby doszły do adresatów. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem.

— Tak, dobrze zrobiłeś. Gino włożył listy do szuflady i stanął plecami do Costy. Domyślałem się, że je przeczytałeś — powiedział

cicho.

Nie.

Gino westchnął.

Wiesz, wszystko mi jedno. Ale już lepiej, żebyś to ty je przeczytał... Jego głos stał się teraz bardziej stanowczy.

Jezusie! Czuję się jak skończony kretyn! - Odwrócił się. Czarne oczy znowu przepełniała złość. — Kim jest, kurwa, ten, za którego wyszła? Pewnie ojciec znalazł jej jakiegoś bogatego kutasa?

Dokładnie skłamał Costa. — Jego rodzina ma dużo pieniędzy. Mama i tata są zadowoleni z tego związku.

— A Leonora?

— Ona robi, co jej się mówi.

— Jak się nazywa ten sukinsyn? Ja już się, kurwa, postaram, żeby on tych zawodów nie ukończył. Rozumiesz, o czym mówię?

Costa wiedział zbyt dobrze.

— Myślę, że ona go kocha — powiedział szybko.

O! — Naraz Ginowi zabrakło tchu. — Jesteś pewien? Costa nerwowo pokiwał głową.

— No tak... pewnie go kocha. — Głos znowu miał wzburzony. — Dlaczego nie napisała i nie powiedziała mi? Dlaczego ty nie napisałeś?

Costa wzruszył ramionami.

— Nie wiedziałem, że coś takiego się święci.

Gino z posępną miną pomyślał o ostatnim liście, jaki dostał. Jak dawno przyszedł? Mniej więcej siedem, osiem tygodni temu. List był

normalny. Nie było w nim nic osobistego, ale zdążył się do tego przyzwycząić. Jej listy zawsze były szkolno-dziewczęce i płytkie. Tak, płytkie. Nie martwił się tym, gdyż wiedział, że gdyby nie pan Pułaski, to jego listy wyglądałyby tak samo.

Zdaje się powiedział wolno że nie mogą już nic zrobić. Costa bezradnie rozłożył ręce.

— Przykro mi...

— Wiedziała, że jedziesz do mnie? Przekazała jakąś wiadomość? Costa potrząsnął przecząco głową. Nie byłoby wskazane przekazywać to,

co powiedziała.

— Nie wiem, co mam teraz robić — powiedział Gino stłumionym głosem. — Chyba potrzeba trochę czasu, zanim wszystko do mnie dotrze. Bo widzisz, całe życie układałem sobie z myślą o Leonorze. Musisz zrozumieć, że wszystko, co robiłem, robiłem dla niej. Każdą zasraną rzecz.

Costa pokiwał głową ze zrozumieniem. Gino nerwowo chodził po pokoju.

— Jak dotąd, moje życie nie było czymś, czym można się chwalić, ale też nie miałem specjalnych warunków, aby je budować. —

Podciągnął koszulę, odsłaniając tors usiany wieloma bliznami i śladami.

— Każdy z nich ma swoją historię, wiesz? — Wskazał obszar pomarszczonej i wyblakłej skóry. — Miałem sześć lat, kiedy ojciec kopnięciem połamał mi żebra. Ta blizna to od innego pobicia, a tu następna. Gdybym nie był małym, twardym skurwielkiem, tobym tego nie przeżył. Stary bił mnie dla rozrywki, a kiedy byłem już za duży, zaczął bić kobiety.

Zaśmiał się gorzko.

— Często byłem w domu, gdy to robił. Najpierw pieprzył je, potem bił niemiłosiernie. Powiem ci coś, Costa — wtedy właśnie postanowiłem, że moje życie będzie wyglądać inaczej.

Westchnął.

— Nie wiem, czy potrafisz to zrozumieć, ale Leonora miała być moim życiem. Wiedziałem to, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy. —

Zrobił pauzę i zawstydził się. — Jezusie! Musisz wysłuchiwać tych wszystkich gówien. Po co ja ci to w ogóle mówię?

Costa wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia.

— Bo jestem twoim przyjacielem — powiedział cicho. — Poza tym, zawsze pomaga, jeśli można się wygadać.

— Chodźmy gdzieś stąd w cholerę — zdecydował Gino. — Oczy robią mi się kwadratowe od łożenia po tym pokoju.

— Dokąd pójdziemy?

— Nie wiem. Może zagramy w bilard, może pójdziemy na jakiś film. Na razie po prostu stąd wyjdźmy. — Założył koszulę. Idę dzisiaj na pogrzeb. Może też pójdiesz?

— Kto umarł?

— Mój przyjaciel. Pewien staruszek, który wyświadczył mi wiele przysług.

— Przykro mi...

— Cóż, tak to w życiu jest.

Gino przez chwilę patrzył w dal nieprzytomnym wzrokiem, myśląc o panu Pułaskim i Leonorze. Dla niego oboje już nie żyli.

— Teraz jesteś tutaj, za chwilę już tam. — Wzruszył ramionami. — Ale mało kto się tym przejmuje... No dobra, mały, idziemy.

Gino jakoś dotrwał do końca dnia. Skupiając uwagę na innych rzeczach, udało mu się nie myśleć o Leonorze.

Gra w bilard dobrze mu zrobiła. Udało mu się osiągnąć maksymalną koncentrację i jak zwykle wygrał.

Gorzej było z jedzeniem. Zafundował sobie pączka i kawę. Kawa smakowała jak solanka, a pączek osiadł mu na żołądku jak ołowiana opona.

Rozmawiając z Costą dowiedział się o jego planach na przyszłość. Same nudy. Chłopak interesował się wyłącznie nauką.

Potem był pogrzeb pana Pułaskiego. Smutna uroczystość, na której był tylko on, Costa i marna wiązanka kwiatów, kupiona na ulicznym straganie.

Na koniec poszli obejrzeć stary film *Złodziej z Bagdadu*, który Gino widział wcześniej cztery razy, ale lubił Douglasa Fairbanksa. Costa wyszedł w połowie.

— Muszę wracać, Gino. Pani Lanza zabije mnie — powiedział. Gino został sam. Obejrzał do końca film, po czym zwrócił w toalecie wcześniej zjedzonego pączka.

Leonora. Nic nie poradzi, nie może o niej zapomnieć.

Cały czas rozmyślał. Był już zmierzch, kiedy poszedł do parku, usiadł na ławce i patrzył prosto przed siebie. Nie wiedział, ile godzin tak przesiedział. Jak mogła mu to zrobić? Jak mogła- zadać mu takie cierpienie? Czy nie posiadała żadnych uczuć?

Leonora. Dziewczyna o jasnych włosach, łagodnych, błękitnych oczach i dojrzałym, kobiecym ciele.

Leonora. Dziwka bez serca, niewierna suka.

Może znowu płakał, może nie, nie był tego pewien. Był natomiast pewien, że długo nie da się wciągnąć w podobną historię. Kobietom nie można wierzyć, nawet takim jak Leonora. W przyszłości nie będzie żadnych obietnic. Żadnej miłości.

Poczuł, że coś szturchnęło go w nogę.

— Co pan tu robi? Proszę lepiej stąd pójść, bo mogę aresztować pana za włóczęgostwo — powiedział gburowaty głos z irlandzkim akcentem.

Gino gwałtownie podniósł głowę i spojrzał na policjanta.

— Włóczęgostwo? Żarty jakies?

— Nie, to nie żarty — policjant groźnie obracał w rękach pałkę. Gino wstał. Pieprzone gliny. Banda skorumpowanych sukinsynów.

Gang

Santangelo też musiał niektórym z nich regularnie płacić.

Mimo wszystko wyszedł z parku. Komu potrzebne są kłopoty?

Pinky Banana był pijany. Przykleił się do Cindy i tańczył z nią na małym parkiecie. Do ucha śpiewał jej słowa granej piosenki.

— Pinky! próbowała go odepchnąć.

— Cicho, suko! odparł, przyciągając ją jeszcze mocniej i ściskając jej tyłek obiema rękoma.

Poskręcana, tańczyła z nim w niewygodnej pozycji i zerknęła na wejście, mając nadzieję, że ujrzy Gina.

— Idziemy do domu — wybełkotał Pinky. — Dostaniesz to, o co zawsze tak błagasz.

— O nic nie błagam — odpowiedziała ostro.

— Nie? — szydził. — A ciuchy, świecidełka, futra?

— No, jak na razie nie dostałam żadnych świecidełek ani futer — odparła z przekąsem.

— Uważaj, co mówisz, lala, uważaj. — Zachwiał się i prawie upadł. Cindy parsknęła ze wstrętem.

— Idę usiąść. — Przepchnęła się do stolika, zajętego przez tak zwanych przyjaciół Pinky'ego. Nienawidziła każdego z nich.

Pinky ruszył za nią. Jego nienawidziła najbardziej. Łzy wypełniły pomalowane oczy. Była w pułapce, którą sama na siebie zastawiła.

Jedyną osobą, mogącą ją z niej wyciągnąć, był Gino Santangelo. Lecz ten nawet nie pofatygował się przyjść.

Pinky położył spoconą dłoń na jej kolanie. Cindy szybko skrzyżowała nogi, aby mokra ręka nie mogła powędrować dalej. Znała jego możliwości. Bez najmniejszej żenady mógłby wsadzić rękę między jej nogi na oczach wszystkich swoich kolegów. Była własnością.

Jego własnością.

— Patrzcie, kto przyszedł! — wrzasnął na całe gardło Pinky. — Gino we własnej osobie.

Gino zdawkowo kiwnął głową do siedzących przy stoliku. Specjalnie nie przepadał za gnojkami, z którymi trzymał Pinky.

— Jakież nowe wieści? — Pinky głośno beknął. — Kiedy mamy następną akcję?

Gino aż poczerwieniał. Język Pinky'ego stawał się zbyt długi. Cindy rzuciła mu krótkie, wdzięczne spojrzenie, wyrażające ciche podziękowanie za przyjście.

— Nie wiem, kiedy ty pojedziesz na akcję — powiedział — ale jeśli będziesz tak trzaskał dziobem, to możesz być pewien, że najpierw znajdziesz się w pudle.

Pinky zaśmiał się i spojrzał na kumpli.

— Widzicie, to mój szef. Ma pokój jak pół sracza, jednak lubi trochę poszpanować. Ale jakby mu podsunąć pod 'nos spluwę, to nawet nie wiedziałby, co się z tym robi.

Gino uśmiechnął się słabo. To już wystarczy. Pinky skończył karierę. Gino wstał.

— Gdzie idziesz? — szydził Pinky. Do domu, zwalić konia nad jakimś listem?

Oczy Gina były zimne i nieustępliwe, ale mówił łagodnym tonem:

— Wiesz co? Kiedyś zachłystniesz się tą swoją wielką mordą.

Oczy Cindy wędrowały od jednego do drugiego. Po chwili zsunęła się z krzesła i wstała.

— Idę tylko do toalety, kochanie. Pinky zlekceważył jej odejście.

— Tak? — Wpatrywał się w Gina.

— Tak — padła odpowiedź.

Zatrzymali na sobie wzrok i przez chwilę panowała między nimi cisza pełna nienawiści. Chwilę później Pinky zaśmiał się niezręcznie.

— Żartuję tylko, bracie. W oczach Gina było coś, co zawsze zmuszało go do ustąpienia.

— Tak też mi się wydawało. - Gino uśmiechnął się.

— Zostań. Napijemy się - nalegał Pinky.

— Nie. Przyszedłem, bo szukam Aida.

— Nie widziałem go.

Gino rozejrzał się. Same śmiecie, a Pinky był jednym z nich.

— No, to na razie powiedział.

— Do jutra. Pinky był teraz bardzo miły.

— Tak. Gino skinął głową. - Do jutra.

Wyszedł z klubu, a na zewnątrz niecierpliwie czekała Cindy. Przyniosłem ci pieniądze powiedział.

Jestem tak przerażona... — Uczępiła się kurczowo jego ramienia. Jutro już możesz wsiąść w pociąg i wyjechać.

Jutro może być za późno — powiedziała drżącym głosem. — Znowu groził, że mnie zabije. On to mówi serio.

— Dlaczego miałby chcieć cię zabić?

— Bo myśli, że się puszczam.

— Aha. A puszczasz się?

— No co ty, Gino! — Zarzuciła mu ramiona na szyję. — Proszę, błagam cię, weź mnie ze sobą. — Przytuliła się mocno do niego, a szloch targał jej ciałem.

Gino poczuł ciepło ud i piersi. Reakcja była natychmiastowa. Potrzebował i pożądał kobiety. Leonora już go nie powstrzymywała.

Między nogami czuł żądzę tak silną, że niemal graniczącą z bólem.

Cindy poczuła, co się dzieje w jego spodniach, i przytuliła się jeszcze mocniej.

— Zabierz mnie do siebie — wyszeptwała. — Zaopiekuj się mną, a ja się odwdzięczę. Jutro wsiądę w pociąg do Kalifornii, ale dziś w nocy potrzebuję cię.

Zdecydował się.

— Idziemy, zanim zaczniesz cię szukać.

— Nie będziesz żałował — powiedziała ledwie dosłyszalnym głosem.

Była ciepła, delikatna, słodka i upajająca. Była wszystkim, czego potrzebował.

Mruczała jak kociak, a jej wilgotna szparka przykryta była zgrabnym trójkątem jasnych włosów.

Piersi miała wręcz idealne, ze sterczącymi sutkami o mlecznym smaku. Ostre zęby drażniły jego interes, gdy włożył go jej w usta.

Nie sprzeciwiała się niczemu, co chciał robić, a chciał robić wszystko.

Był już z wieloma kobietami, ale ta wydawała mu się najśodsza ze wszystkich. Kiedy doszedł do orgazmu, czuł, że trwa pełne dwie minuty przynajmniej tak mu się wydawało. Seria długich i obfitych wytrysków całkowicie wypełniła Cindy.

Ledwo łapała oddech i aż jęczała z rozkoszy. A kiedy włożył głowę między jej nogi i zaczął wysysać

własne soki, nie mogła się powstrzymać od głośnych krzyków.

Ułożyła się w takiej pozycji, aby gorącym językiem mogła dosięgnąć jego kutasa. Gino ukucnął nad nią, wsuwając i wysuwając w jej ustach sztywnego penisa. Znowu wytrysk, a Cindy bez najmniejszego sprzeciwu połknęła co do kropelki jak jakiś wspaniały nektar.

Leżał przez chwilę nieruchomo i myślał, jak długo to już trwa. Po chwili twarz zagłębił w jej piersiach, a rękę włożył między nogi. Cindy leżała spokojnie, delektując się każdą chwilą, aż w końcu i nią owładnęły długie i żywiołowe spazmy.

Gino nie był w pełni zadowolony. Potrzebował więcej. Cindy nie miała nic przeciw. Odwrócił ją i wszedł od tyłu. Wsiadł na nią, tak że wyglądali jak dwa psy na ulicy. Oboje byli prawie w amoku, kiedy osiągnęli trzeci orgazm krótki, gwałtowny i dziki. Dopiero wtedy Gino rozluźnił się. Zszedł z niej i położył się na plecach. Wielomiesięczne napięcie zdawało się całkowicie odpływać.

Z głębokim smutkiem pomyślał o Leonorze, po czym dotknął włosów Cindy.

Jesteś naprawdę niezła powiedział. Wydała z siebie krótki, szatański śmiech. Przecież ci powiedziałam. Co mi powiedziałaś? Że nie będziesz żałować.

Carrie

1928

Opium było dużo lepsze od marihuany. Na jego skrzydłach można lecieć wyżej i wyżej, aż w końcu spocząć na malej chmurce ponad wszystkim i wszystkimi.

Carrie jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa. Jak w przypadku marihuany, w opium wprowadził ją Whitejack.

To twoja nagroda, mała - powiedział podczas pewnego nocnego przyjęcia w centrum Chinatown.

Z początku była przestraszona. Zobaczyła dziwną fajkę i jakieś okrągłe naczynie postawione na ogniu, nad którym nachylało się kilka osób.

— Nie jestem pewna, czy chcę wyszeptała.

— No, dalej, kobieto. Miałaś ciężki wieczór. To ci pozwoli zapamiętać same przyjemności. Zaufaj mi...

Zaufała. Wzięła fajkę i pociągnęła raz... potem drugi... Wszystko pokryło się mgiełką i wyszlachetniało. W głowie pozostały tylko dobre myśli i szczęśliwe chwile.

A gdzie podziało się marzenie o przejęciu kontroli?

Miłość.

Z alfonssem.

Kim on teraz dla niej jest? Wciąż jej mężczyzną. Zajmował się interesem, karmił ją narkotykami. Zaczynała już się do nich przyzwyczajać i to ją niepokoiło. Narkotyki siały się jej miłością. Kiedy była porządnie naćpana, nic nie miało znaczenia.

Czasami tylko budziła się nagle nad ranem, siadała wyprostowana na łóżku i myślała o samobójstwie. Myśli (akie nachodziły ją przez ostatnich kilka lat. Whitejack wiedział o tych porankach i dawał jej coraz więcej prochów. Narkotyki pozwalały jej łatwo zapomnieć o wszelkich przykrościach. Carrie unosiła się wysoko i płynęła... Tyle uśmiechniętych twarzy... Tyle ludzi chętnych zaopiekować się nią...

No i oczywiście Whitejack. Jej mężczyzna. Wysoki, silny, zdecydowany. Dla niego gotowa była zrobić wszystko. I wszystko robiła.

Któregoś dnia nagle obudziła ją Lucille.

— Carrie, posłuchaj, ja kocham ciebie i Whitejacka, ale ten człowiek rujnuje cię. Musisz pójść do szpitala, musisz zacząć się leczyć.

Carrie na wpół jeszcze spała.

Leczyć? O czym ty mówisz?

O twoim życiu.

Carrie zaczęła chichotać, ale śmiech szybko zamienił się w łzy. Lucille mocno przytuliła szlochającą przyjaciółkę.

Wyciągnę cię z tego — zdecydowała. — Ubieraj się szybko. Whitejack i Doiły jeszcze śpią. Kochanie, uwierz mi, musisz się stąd wyrwać.

Tak'- Whitejack stanął w drzwiach. Ona nigdzie nie pójdzie. Jak odejdzie ode mnie, to ja już dopilnuję, żeby gliny się nią zainteresowały.

Powiem im, co wiem, i wyślą ją z powrotem na wyspę.

Czegoś mi brakuje - powiedziała przymilnym głosem Carrie. Nie czuję się zbyt dobrze.

Whitejack spojrzał na Lucille.

Wyjdź warknął. Ruszyła szybko do drzwi i przemknęła jak przestraszony szczur.

O co tu chodzi? zapytał spokojnie. Coś zdenerwowało moją małą dziewczynkę?

Carrie zmarszczyła brwi. Coś się działo, ale nie pamiętała dokładnie co. Szpital... Lucille chciała iść do szpitala. Tak, Lucille na pewno jest chora...

Mam coś dla ciebie powiedział łagodnym tonem. Coś naprawdę dobrego. Daj mi swoją małą rączkę, a zaraz znajdziesz się w siódmym niebie.

Westchnęła. Obietnica brzmiała zachęcająco. Wyciągnęła rękę. Whitejack chwycił ją i na ramieniu ciasno zawiązał jedwabną chustę, tak że wyraźnie zaczęły wystawać żyły. Z kieszeni szlafroka wyciągnął małą strzykawkę.

Heroina. Nie będzie już musiał latać z Carrie do Chinatown za każdym razem, gdy będzie miała ochotę na opium, ani przepłacać za czarodziejski, biały proszek, kokainę. Heroina była dla niej idealnym narkotykiem. Mógł ją dawkować i w ten sposób mieć kontrolę nad Carrie.

A poza tym, wyświadczał jej przecież przysługę. Przenosił ją w zaczarowany świat fantazji, gdzie wszyscy świetnie się bawili.

Carrie uśmiechnęła się do Whitejacka i rozpostarła ramiona. Była naga, co normalnie podnieciłoby go, ale przed chwilą wrócili z hucznej imprezy. Tam oglądał ją, jak tańczy, rozbiera się, kocha się z Lucille, potem z mężczyzną z widowni, następnie z Doiły, a na koniec w akcji była cała czwórka.

Jeżeli teraz dobrałby się do niej i dał to, co ona nazywa porządnym kochaniem, Carrie potraktowałaby jego wysiłki jako kontynuację widowiska.

Dolly weszła do pokoju i stanęła obserwując, co się dzieje.

— Czarny, idziesz do łóżka? zapytała rozkazującym tonem. Whitejack spoglądał raz na jedną, raz na drugą. Wybór był oczywisty.

Lubił silne kobiety, a Dolly całkowicie spełniała jego oczekiwania.

Carrie półprzytomnym wzrokiem patrzyła, jak odchodzą. Była zmęczona, ale nie chciała zostać sama. Wolno zeszła z łóżka i podeszła do okna. Było otwarte, więc bez przeszkód przedostała się na stalową drabinkę przeciwpożarową. Od zimnego wiatru dostała gęsiej skórki, co nie miało dla niej najmniejszego znaczenia. Chwiała się na nogach i cud, że nie spadła. Śmiejąc się na głos ostrożnie zeszła z wysokości trzeciego piętra i znalazła się na bocznej uliczce. Bosą stopą nadepnęła na szkło. Krew trysnęła silnym strumieniem, co jeszcze bardziej ją rozśmieszyło.

Między dwiema puszkami na śmieci leżał pijak, który kurczowo trzymał się cennej butelki. Patrzył, jak naga dziewczyna zataczając się przeszła obok niego, i stwierdził, że w końcu alkohol należycie zadziałał.

Carrie wyszła na główną ulicę i zaczęła tańczyć, kręcąc biodrami jak podczas striptizu.

Dwaj chłopcy, objijający się w bramie, stanęli jak wryci.

— Ja pierdykam! — krzyknął jeden. — Widzisz to co ja?

— Chyba tak.

Spojrzeli szybko po sobie, potem zlustrowali ulicę. Była pusta.

— Wygląda, że daje za darmo. Bierzemy ją. Wyszli z bramy i podeszli do Carrie z dwóch stron.

— Cześć, przyjaciele. — Zachichotała.

Wciągnęli ją z powrotem w boczną ulicę i przewrócili na chodnik. Starszy odpiął spodnie i zabrał się do roboty. Carrie westchnęła.

— Jaki... śliczny — szczebiotała. — Śliczny...

Młodszy z chłopców był nieco przestraszony. Przyzwyczajony był, że dziewczyna najpierw szarpie się i drapie, a dopiero potem mówi tak. Starszy stęknął i skończył.

— Teraz ty, Terry.

— Jake, ale ja nie chcę.

— Daj spokój, masz za darmo, a ona jest napalona.

Terry niechętnie odpiął spodnie. Nie stanął mu, ale starał się, żeby kolega tego nie zauważył. Położył

się na Carrie i udawał, że wszystko jest w porządku.

— Już? — zapytał po minucie Jake.

— Jeszcze trochę.

Terry udał, że kończy, wydał z siebie odpowiedni odgłos i wstał.

Obaj spojrzeli na (anie, a la uśmiechnęła się, leżąc w mroku uliczki. To wariatka powiedział Jake. Spływamy.

Puścili się biegiem. Po chwili przyczłapał stary pijak, żeby zobaczyć, skąd ten cały hałas. Zamiatając nogami podszedł do śmietnika, obok którego leżała Carrie.

Cześć — wybełkotała, unosząc ramiona, jakby chciała go objąć. — Chcesz się zabawić z małą Carrie?

Pijak nie wierzył własnemu szczęściu. Ostrożnie odstawił butelkę i wygrzebał się z brudnych spodni. Gdy pochylił się nad nią, Carrie przywitała go z radością.

— Witaj, przyjacielu. Czy mówiłam ci już, że je... sleś uroczy?

Najpierw doszedł ją hałas wczesnego poranka: dziecięce krzyki, brzęk butelek z mlekiem, szczekanie psów.

Dopiero potem poczuła, że leży w niewygodnej pozycji. Cała trzęsła się z zimna, bolała ją skaleczona stopa.

Otworzyła oczy i dłuższy czas myślała, że to musi być sen. Był ranek, a ona zupełnie nago leżała na ulicy. Podniosła się przerażona.

Gdzie jest Whitejack? Gdzie Dolly? Lucille? Jak się tu znalazła? Co się stało?

Usiadła, skuliła się pod ścianą. Kolana przyciągnęła do piersi, aby ukryć nagość. Bolała ją głowa, gardło miała suche jak pieprz, a do oczu napływały łzy.

Co tu robi? Mrugała szybko, aby powstrzymać łzy. Myśl, Carrie. Myśl.

Z trudem przypomniała sobie wieczorną imprezę. Wszystko widziała jak we mgle. Whitejack dał jej działkę i zaczęła swój numer.

Była zupełnie oszołomiona. Wstała, przywierając plecami do ściany. Dopiero wtedy zorientowała się, że stoi na ulicy pod własnym oknem.

Doszedł ją jakiś dźwięk, odgłos wydany przez człowieka. Był to stary pijak, który przeciągnął się, śpiąc na wznak obok sąsiedniej puszki na śmieci. Wyglądał ohydnie. Carrie wzdrygnęła się.

— Aaaah słęknął pijak i znowu usnął. Butelka, którą jeszcze przed chwilą trzymał, wysliznęła mu się z ręki i z trzaskiem rozbiła o chodnik.

Carrie zrobiła krok. Skaleczona stopa natychmiast zabolęła, jak tylko przeniosła na nią ciężar ciała. Zniosła jednak i to. Pokuśtykała szybko do drabinki przeciwpożarowej i weszła na górę. Okno na szczęście było otwarte.

Z ulgą weszła do pokoju i dopiero tu wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Była naprawdę przerażona. Działo się z nią coś tak dziwnego, że nie poznawała samej siebie. Narkotyki zabijały jej umysł i świadomość. Zabijały ją samą.

Nie zadając sobie trudu, żeby się czymś okryć, Carrie wpadła do pokoju Dolly.

Oboje jeszcze spali: duża, biała blondynka i wysoki, czarny mężczyzna. Jej mężczyzna, który każdą noc spędzał teraz z Dolly.

— Wstawać! — krzyknęła. — Słyszycie mnie? Wstawać!

— Cholera, kobieto, co jest? — bełkotał Whitejack, otwierając powoli oczy.

— Co tu się, u diabła, dzieje? — gderąca zaspana Dolly, przewracając się w łóżku jak biały wieloryb wyrzucony na plażę.

— Spałam na ulicy! — krzyczała piskliwym tonem Carrie. — Na zaszraną ulicy!

— Kobieto, o czym ty mówisz? — mamrotał Whitejack. — Zmysły ci odebrało?

— Wyrzuć ją stąd — marudziła Dolly. Do pokoju wbiegła Lucille.

— Co się stało? — zapytała.

— Tego nie wie nikt — parsknął Whitejack. Ona zupełnie ześwirowała. — Jestem zupełnie normalna! — wrzeszczała Carrie.

Pchasz we mnie

prochy dzień i noc, aż w końcu nie wiem, gdzie jestem. Znalazłam się nago na ulicy. Byłam naga, słyszysz? Naga, naga, naga! —

krzyczała, aż jej głos zlał się w jeden wielki lament.

Whitejack wyszedł z łóżka, wziął ją w ramiona i mocno przytulił. - To był sen — powiedział spokojnie. — Nic złego się nie stało. Tylko sen, nic więcej.

— Tak? — odpowiedziała, tracąc nagle pewność siebie.

— Na pewno — uspokajał ją. — Chodź ze mną, dostaniesz coś dobrego i zapomnisz o wszystkich

złych snach. — Wyprowadził ją z pokoju.

Dolly przekręciła się na łóżku i na powrót zapadła w sen. Lucille potrząsnęła głową. Już nieraz w życiu widziała, skąd się bierze nieszczęście, i dobrze wiedziała, że Carrie zmierza wprost ku ogromnej tragedii. Nikt nie mógł nic zrobić, żeby ją powstrzymać.

Gino

Pierwsza obudziła się Cindy. Podniosła głowę, oparła się na łokciu i przyglądała się śpiącemu Ginowi. Leżał na brzuchu, tak że widziała tylko jego profil. Śpiąc wyglądał całkiem młodo. Zresztą przecież był młody, tylko gdy wpatrywał się w kogoś swymi czarnymi, nieustępliwymi oczyma, wydawał

się nieco starszy. Cindy już dawno temu zdecydowała, że pójdzie z nim do łóżka. No i proszę — dopięła swego.

Cała aż trzęsa się z podniecenia. Jakim wspaniałym kochankiem okazał się Gino. Oczywiście po Pinkym każdy wydawałby się fantastyczny, ale jej doświadczenia seksualne nie ograniczały się tylko do niego. Było jeszcze trzech innych. Wszyscy tacy sami. Już dotyk Gina był dla niej czymś zupełnie nowym. Wydawało się, że zna jej ciało tak dobrze jak własne. Perfekcyjnie potrafił operować członkiem i językiem...

Znowu przeszedł ją dreszcz emocji. Zastanawiała się, czy go obudzić, ale spał tak słodko... Zbrodnią byłoby przerwać ten błogi stan.

Nie spodziewała się, że tak łatwo uda jej się dostać do jego łóżka. Wszyscy wiedzieli, że ma się ożenić z jakąś dziewczyną z San Francisco i że jest jej bardzo wierny. Był. Aż do ostatniej nocy...

Wpatrywała się w śpiącą twarz, myśląc, co Gino z nią zrobi, gdy się obudzi. Czy da jej pieniądze i wsadzi w pociąg do Kalifornii? Miała nadzieję, że nie. Nie chciała wyjeżdżać. Ale czy mogła się spodziewać, że będzie chciał ją zatrzymać?

Delikatnie dotknęła palcem swej ślicznej, małej piersi i podrażniła sutek, tak że stwardniał i sterczał sztywno. To samo zrobiła z drugim.

Już od samego myślenia o leżącym obok Ginie była wilgotna i gotowa. Delikatnie nachyliła się nad nim i musnęła piersiami odsłoniętą szyję. Poruszył się, ale nie obudził.

Dalej ocierała piersi o jego ciało. W końcu Gino odwrócił się na plecy. Chociaż cały czas miał zamknięte oczy, jego narząd zrobił się duży i sztywny. Usiadła na nim okrakiem i Gino znalazł się w środku. Cindy zaczęła pracować biodrami. Policzki rozpalily jej się do czerwoności, a oddech stał się krótki i przerywany. W końcu eksplozja przyjemności przeszła jej ciało.

Gino nadal nie otwierał oczu, choć utrzymywał pełny wzwód.

Zeszła z niego i zaczęła się śmiać.

— Gino, niemożliwe, żebyś cały czas spał! Leżał nieruchomo.

Pochyliła się nad nim i ustami doprowadziła do przyzwoitego orgazmu. Dopiero wtedy otworzył oczy.

— Dzień dobry — powiedział, przesuwając ręką po jej włosach.

— Myślałam, że już nigdy się nie obudzisz — powiedziała radośnie.

— Cały czas nie spałem. Uśmiechnęła się szeroko.

— No, powiedzmy, że częściowo nie spałeś. A podobała ci się ta część?

No!

Gino wyskoczył z łóżka i podszedł do drzwi.

— Dokąd idziesz?

— Do kibla, jest w końcu korytarza. Nie odchodź.

Nie miała zamiaru. Wstała z łóżka i przejrzała się w pękniętym lustrze, wmontowanym w starą komodę.

W ubikacji Gino ocenił zaistniałą sytuację. Musiał przyznać, że czuł się wspaniale, choć wcześniej przewidywał, że będą musiały upłynąć tygodnie, miesiące lub nawet lata, zanim dojdzie do siebie. Rzygać mu się chciało na myśl o Leonorze. Teraz już nie musi być wiernym lalusem i na pewno nigdy nie będzie.

Postanowił zacząć żyć po ludzku. Miał odłożoną kupę forsy i przyzwoite mieszkanie. Nie będzie już oszczędzał, bo niby po co? Kiedy wrócił do pokoju, Cindy siedziała w łóżku.

— Głodna jestem powiedziała kapryśnym tonem. Masz coś, co może zjeść dziewczyna?

Gino ubrał się w jednym końcu pokoju, Cindy w drugim. Żadne z nich słowem nie wspomniało o najbliższej przyszłości.

Cindy nerwowo zagryzała wargi. Nie chciała, żeby Gino wysiał ją do Kalifornii. Chciała zostać.

Po chwili znowu się kochali. Gina nic nie mogło powstrzymać, nacierał jak oszalały baran. Nic dziwnego, że miał takie przezwisko. Ale i potem nie nawiązała się poważna rozmowa. Jedynie żartobliwie przekomarzali się.

Naraz Gino spojrział na zegarek.

— Jezusie! krzyknął. Muszę lecieć. Oboje zaczęli się ubierać.

Cindy założyła jedwabne pończochy i zapięła tanie, różowe podwiązki. Spojrzała na Gina, który zakładał spodnie.

Zauważył jej spojrzenie i aż zamrugał. Jak ona pokaże się tak na ulicy? Cindy wślizgiwała się w krótką sukienkę z różowego atłasu, którą nosiła poprzedniego wieczora.

— A to co? - zapytał. Chcesz, w tym iść? Bezradnie rozłożyła ręce.

Nie mogłam przecież zabrać żadnych ubrań. Gdyby Pinky zaczął podejrzewać, że mam zamiar... — Głos zaczął jej drżeć. Och, Gino. co ja mam robić? Jej słowa zbiły się w jedną kluskę. Oboje przestali się ubierać, aby zastanowić się nad wyjściem z sytuacji.

Myślałem, że chcesz wyjechać, wynieść się stąd jak najszybciej. Spuściła wzrok.

— To było przed ostatnią nocą. Gino aż się przygarbił.

— Tak?

No tak — powiedziała cicho. Teraz już nie chcę nigdzie jechać. Chce tu zostać z tobą.

— Ale posłuchaj... zaczął.

— Nie, to ty posłuchaj przerwała mu. Wiem, o co chodzi. Wkrótce się żenisz Ale ja chciałabym zostać tylko ze dwa tygodnie. To nic wielkiego. Tak dla zabawy. Potem odejdę. Wsiądę w pociąg i odjadę bez oglądania się. Co ty na to, Gino?

Nie wiedział, co powiedzieć. Pomysł nie był laki głupi. Dwa tygodnie z jędrnym ciałem Cindy nie byłyby znowu takim wielkim cierpieniem. Żałował tylko, że miał ja kiedyś Pinky.

O Jezus... no, nie wiem. Kołysał się na stopach w tę i z powrotem. — Twoja dziewczyna nigdy się nie dowie szybko mówiła dalej. To mogłaby być nasza tajemnica. Przecież masz mieszkanie w centrum. Skąd wiesz?

Takie wiadomości się rozchodzą. No tak. Nie robił z tego specjalnej tajemnicy.

Jeśli przeprowadzilibyśmy się tam mówiła podekscytowana Cindy nikt nie dowiedziałby się o nas. To zupełnie inna dzielnica. Nawet Pinky by nie wiedział.

Miała trochę racji. Gino skinął głową. Właściwie... dlaczego by nie... dwa tygodnie... Co ma do stracenia?

Posłuchaj, mała, zostań tu, a ja idę załatwić pewien interes. Jak wrócę, lo pojedziemy taksówką i pokażę ci to mieszkanie.

Och, Gino! Zarzuciła mu ramiona na szyję. Wspaniale! - Poczekał. Wywinął się z jej objęć. Ale tylko dwa tygodnie, tak? Szeroko otworzyła duże, niebieskie oczy.

Oczywiście. Wyniosę się, kiedy tylko mi powiesz. No, bo chciałbym, żebyśmy się dobrze rozumieli. Przecież się rozumiemy, prawda?

Przysunęła się bliżej, aby pieścić jego ucho. Bardzo dobrze się rozumiemy Sięgnęła do jego rozporka i zaczęła odpinać guziki.

No. no! Klepnął ją w dłoń, śmiejąc się. Mówiłem, że mam interes do załatwienia.

Spojrzał w lustro, żywo potrząsnął czupryną czarnych loków i wsmarował w nie garść tłuszczu.

Na razie, mała powiedziała beztrąsko i wyszedł.

Cindy podbiegła do okna i patrzyła, jak Gino oddala się ulicą.

Gino Santangelo, nie tak trudno było cię zdobyć. Dwa tygodnie. Akurat! Chciałeś powiedzieć: tak długo, jak mała Cindy życzy sobie zostać.

Aldo żuł kawałek czosnku, co dla otoczenia było jednym z mniej przyjemnych jego zwyczajów.

Nic możemy mu tak po prostu powiedzieć, że go wyrzucamy nalegał. Znasz Pinky'ego, wkurzy się jak cholera. Gino siedział na masce starego forda.

Mam go w dupie. Splunął. Mało mnie obchodzi, co zrobi. Aldo zafrasowany, ze zmarszczonym czołem chodził w tę i z powrotem po garażu.

Jest z nami od samego początku...

Gówno prawda. Wzięliśmy go na goryla, dopiero jak jeździliśmy do Kanady. A my razem byliśmy już dużo wcześniej.

Tak, wiem. Wydaje mi się jednak, że on myśli, że jest współnikiem. Jezus! Gino parsknął z obrzydzeniem. Chcesz, żeby został? To chcesz powiedzieć? Nie. tylko...

... boję się kłopotów - dokończył za niego Gino. Akio wzruszył ramionami.

Powiesz Pinky'emu, że nie jest z nami, i będzie draka. Słuchaj, on nic jest żadnym współnikiem. Ani moim, ani twoim. Płacimy mu.

Wynajmujemy go. A teraz go zwalniamy. Rozumiesz? Chyba masz rację.

Możesz być pewien, że mam. Pinky stał się śliski. Zadaje się z gówniarstwem i ma długi język. Nie mam ochoty znaleźć się przez niego w pudle.

Aldo zgodził się.

Powiesz mu?

Spokojnie.

Pinky przyszedł po godzinie. Wyglądał, jakby chwilę wcześniej wyszedł z łóżka jakiejś dziwki, co zresztą było prawdą. Miał na sobie garnitur z poprzedniego wieczora i śmierdział tanimi perfumami. Mimo że na umówione spotkanie spóźnił się godzinę, wszedł do garażu bez słowa powitania.

To jaką robotę mamy tym razem? burknął. Powiedźcie tylko, gdzie i kiedy, i idę do domu wyspać się. Całą noc spędziłem z taką napaloną cipą. Jestem wykończony.

Aldo drżał cały w nerwach. Gino był spokojny.

Nie bierz tego zbyt osobiście - mówił wolno - ale właśnie rozmawialiśmy, że dłużej razem już nie pociągniemy. Pinky zmrużył

przekrwione oczy.

Czego nie pociągniemy? Gino zatoczył ręką łuk, pokazując cały garaż. Tego wszystkiego. O czym ty, kurwa, mówisz? Wylatujesz powiedział w końcu. Pinky nie wierzył własnym uszom. Taki, kurwa, jesteś! wrzasnął. Tak. Taki. kurwa, jestem. Nagle patrzyli na siebie, stojąc twarzą w twarz, Gino palcem dźgał go w żołądek.

Zauważyłem, że się zmieniłeś mówił. Nie chcę, żeby moja wolność zależała od twojej rozgadanej jadaczki.

Aha, rozumiem! - krzyczał Pinky, odtrącając palec Gina. Robisz forsiasty interes z Bonnattim i dlatego chcesz mnie spławić. Oczy Gina były zimne i nieustępliwe.

Możesz to rozumieć, jak chcesz.

- Ty rozdeptany kutasie! Możesz mnie spławić, ale będziesz jeszcze tego, kurwa, żałował. Nawet nie zauważysz, jak coś cię dupnie.

Gang Santangelo — kupa śmiechu. Beze mnie będziecie zerem. Wydoją wam towar jak mleko z cycków.

Gino odwrócił się. Spływaj.

Tylko mi tu, kurwa, nie mów spływaj. Pinky był dziesięć centymetrów wyższy i dwanaście kilogramów cięższy, ale gdy zamachnął się na Gina, oberwał lepiej, niż mógł się spodziewać. Gino miał szybkie nogi. Odwrócił się gwałtownie i zablokował cios już w połowie drogi. Skontrował prawą ręką, która wylądowała dokładnie na nosie Pinky'ego. Rozległ się dźwięk rozgniatanego pomidora i połała się krew. Pinky złapał się za twarz.

Ty kulasie! wrzasnął. - Złamałeś mi nos! Krew przeciekała mu przez palce i lała się na posadzkę garażu.

To za Cindy — charczał Gino. — Chciała przesłać ci pozdrowienia. Pinky nie słuchał. Szybko ruszył do drzwi.

Pożałujesz bełkotał, próbując chusteczką zatamować krwotok. -Sam tego dopilnuję.

Już trzęsę majtkami.

I dobrze robisz, skurwysynu, bardzo dobrze krzyczał Pinky, po czym wyszedł.

Widzisz! powiedział triumfująco Gino. Mówiłem, że przyjmie to spokojnie.

Akio był wyraźnie wstrząśnięty.

Musiałeś go uderzyć? Gino popatrzył na niego długo i nieustępliwie.

Ty też chcesz się pożegnać? zapytał. Aldo wzruszył ramionami.

No dobrze, aż tak bardzo tym się nie przejmuję. — Nieco zmieszany zaczął szurać nogami po posadzce. A o co chodziło z Cindy?

Rzuciła go, tylko że on chyba jeszcze o tym nie wie.

Gdzie teraz jest?

Pewnie w Kalifornii powiedział obojętnie. Słuchaj, musimy zadzwonić do Enzia.

Tak - zgodził się Akio. Leonora napisała? spytał.

Nie. Gino objął kolegę ramieniem. Wiesz co? Im dłużej nie odpisuje, tym więcej się zastanawiam. Małżeństwo... bzdura. Przecież ja ją ledwo znam.

Aldo patrzył w osłupieniu.

Chyba nie mówisz serio! Gino starał się pokazać zakłopotanie.

Rozumiem, że się dziwisz... Widzisz... pisałem do niej przez rok. ale jakbym ją teraz zobaczył... Trudno to wytłumaczyć. Tak mi się wydaje, że wyidealizowałem sobie to wszystko. No, bo co, sprowadzę ją tu i będzie po prostu jeszcze jedną dziewczyną, co ma pryszczki, miesiączkę i te wszystkie pierdoły.

— To znaczy, że się nie żenisz?

— Nie, tego nie mówię. Tylko się nad tym trochę zastanawiam. Aldo nadal żuł czosnek.

— Rozumiem cię. Czasami chciałbym ożenić się z Barbarą, a czasami srać mi się chce ze strachu na samą myśl.

— No właśnie — zgodził się Gino — to jest właśnie, tak jak mówisz. Kątem oka spojrział na kolegę. Udało się. Posiał ziarenko, które łatwo powinno zakiełkować i przynieść pion. Za tydzień lub dwa powie: „Pieprzę to. Rozmyśliłem się”. I nikt nie będzie miał żadnych wątpliwości.

Pani Lanza nalegała, że zabierze Costę na wycieczkę po mieście. Jednak zmęczenie ścięło ją z nóg w połowie drogi do ZOO w Central Parku.

— O Boże, Boże — mówiła ciężko, siadając na ławce. — To już dla mnie zbyt wiele, Costa.

Zacząła dłuższą mowę, jak to ona chciała pokazać mu miasto, ale ma za słabe serce i musi wrócić do domu. Costa pomrukami dawał jej znać, że wszystko rozumie.

Wyprowadził ją z parku, złapał taksówkę i podziękował niebiosom za odzyskaną wolność.

Pognał do metra i natychmiast pojechał do Gina. Wbiegł na trzecie piętro i kilka razy uderzył pięścią w drzwi.

Otworzyła mała blondynka.

— Kim jesteś? — zapytała.

Patrzył na nią jak na obrazek. Była nieprzeciętnie piękna.

— Nazywam się Costa -- wystękał w końcu. — Jestem przyjacielem Gina. A ty?

Oblizwała pełne, umalowane usta.

— Jestem Cindy, bardzo bliska przyjaciółka Gina. Spojrzała na niego z wyższością i zamrugła niebieskimi oczami, kilka odcieni ciemniejszymi niż oczy Leonory, po czym zlustrowała go od stóp do głowy.

— Coś nie wyglądasz na przyjaciela Gina. Taki małolat? Costa zaczerwienił się.

— Nie jestem żaden małolat.

— Może kłamiesz.

Costa siłą woli przywrócił twarzy normalny wygląd.

— Jest Gino? — zapytał stanowczo. — Przyszedłem go odwiedzić. Cindy wybuchnęła śmiechem.

— Przyszedłeś go odwiedzić! Odwiedza się dziewczyny, głupi, a nie facetów!

Costa zaniemówił. Kotłowało mu się w głowie. Co ona w ogóle robi w pokoju Gina? Przecież widział jego reakcję na wiadomość o Leonorze. Czy to wszystko było tylko na pokaz?

— Kiedy wróci? — zapytał kategorycznie.

— Nie wiem.

Costa zakłopotany zaszurał nogami.

— Mogę wejść i poczekać?

— O nie! — powiedziała stanowczo. — Przecież nawet nie wiem, kim jesteś.

— Costa Zennocotti, przyjaciel Gina. Miałem przyjechać wcześniej, ale nie mogłem.

— Wiesz — zamrugła oczyma — bardzo ładnie mówisz. Skąd jesteś?

— Z San Franci... ----- zaczął i nagle przerwał, gdyż usłyszał ciężkie kroki, wchodzące po dwa stopnie naraz.

Za chwilę na schodach pojawił się promieniejący szczęściem Gino.

— Costa! Gdzie byłeś? Myślałem, że przyjdiesz o dwunastej.

— Miałem przyjść, ale...

— Widzę, że poznałeś już Cindy przerwał Gino. Naraz zorientował się, że sytuacja może wyglądać co najmniej dwuznacznie.

— Jest tylko koleżanką, której pomagam — dodał trochę niezdarnie. Cała trójka weszła do małego pokoju. Costa spojrzął na rozgrzebane

łóżko. Prawie cała pościel walała się po podłodze. Potem zerknął na sukienkę Cindy.

Słuchaj, mała — powiedział Gino do Cindy. — Spakuj moje rzeczy do walizki. Idę się przejść z Costą. Potem spływamy stąd. Cindy obciągnęła sukienkę.

- Dobrze, ale muszę zdobyć coś do ubrania. Nie mogę w tym chodzić. — Tym się nie martw. Znajdziemy coś później. Położył dłoń na ramieniu Costy i wyprowadził go z pokoju. Jak już znaleźli się na ulicy, zaczął mówić Gino:

— Chcę być z tobą szczerzy. Tak, dmucham ją. Ale dopiero od wczorajszego wieczora. I musisz wiedzieć, że była to pierwsza dziewczyna, odkąd spotkałem Leonorę.— Zaśmiał się ponuro. — Gino Baran okazał się Ginem frajerem, podoba ci się? Teraz muszę nadrobić zmarnowany czas, bo już znudziło mi się być zakochanym naiwniakiem.

— Rozumiem — zaczął Costa.

— Gównu rozumiesz! - krzyknął Gino. — Ja sam siebie nawet nie rozumiem. Wiem tylko, że chcę, żebyś trzymał gębę na kłódkę.

Wygodniej mi jest mówić, że nadal jestem zaręczony.

— Oczywiście. Nic nie powiem.

— I lepiej, żebyś o tym pamiętał. Bo chyba nie chcesz, żeby stało ci się coś przykrego.

Costa poczuł się urażony.

— Możesz mi ufać. Przecież już się przekonałeś. Gino zmrużył oczy.

— Tak... chyba tak. Żartobliwie rąbnął go w żołądek. — Idziemy, mały. Dzisiaj jest przeprowadzka, pomożesz nam.

Reszta pobytu w Nowym Jorku szybko minęła. Costa codziennie spotykał się z Cindy i Ginem. Pomagał im w umeblowaniu mieszkania, chodził do kina i na zakupy do sklepów odzieżowych na Piątej Alei. A poza tym zbijał bąki. Gino od czasu do czasu jeździł do starej dzielnicy na jakieś spotkanie, ale zawsze wracał po kilku godzinach. W tym czasie Cindy zabawiała Costę, naśladując różne gwiazdy filmowe. Bardzo dobrze imitowała Dolores Costello, a od Lillian Gish trudno ją było odróżnić.

Costa co wieczór przed szóstą musiał być już w domu.

— To jest beznadziejna głupota! — tłumaczył Gino. — Powiedz tej starej purchawie, że dzisiaj przyjdiesz później.

Costa nie miał jednak odwagi.

Ostatniego wieczora Gino nie chciał słyszeć o odmowie.

— Pierdziel ich — powiedział. Co ci mogą zrobić? Nic. Wychodzimy na miasto. Bez gadania.

Costa nie przeciwstawiał się i w tę noc przeżył najciekawsze chwile z całego pobytu. Najpierw poszli do baru. Tam poznali pewną dziewczynę i cała czwórka przeniosła się do Gina. Koniec końcem, Costa wylądował na podłodze, robiąc z nowo poznaną takie rzeczy jak z dziwką w San Francisco. Boże, to było coś! Do domu w Beekman Place przywłókł się akurat na śniadanie.

Pani Lanza przywitała go w hallu z kamienną twarzą i spakowaną walizką.

— Z twoim ojcem na pewno się skontaktuję — poinformowała go, wręczyła walizkę i trzasnęła drzwiami przed nosem.

Costa wrócił prosto do Gina i został tam aż do odjazdu. Żegnając się Cindy ucałowała go i przytuliła.

— Będzie nam ciebie brakowało, mały — naśladowała sposób mówienia Gina.

Kiedy już siedział w pociągu, starał się przypomnieć wszystkie zdarzenia z wyprawy. Nie bardzo przejmował się, jaką karę wymierzy mu Franklin. Nie żałował niczego.

Martwiła go tylko jedna rzecz. Nie powiedział Ginowi, że Leonora jest w ciąży. Ale nie było to takie ważne. Jak już urodzi dziecko, to powie mu o tym dopiero po kilku miesiącach. W ten sposób nigdy nie dowie się prawdy. Costa za nic w świecie nie chciał zranić Cii na.

Cindy przeciągnęła się i zachichotała.

— Nareszcie sami! Co będziemy robić teraz, jak mały poszedł? — Leżała na dużym łóżku. Spod kremowoszarej koszuli wyciągnęła zgrabną nogę.

Gino przejechał dłonią po jej łydce.

— Zaraz coś wymyślimy.

Cindy znowu zachichotała i ześliznęła się z łóżka, tak że dół satynowej koszuli znalazł się w okolicach pasa.

Ręce Gina dotarły już do ud i za chwilę przedzierały się przez trójkąt gęstego owłosienia wzdłuż łydki. Wstrzymała oddech. Gino w miejsce rąk umieścił twarz i Cindy westchnęła podniecona.

— O! — szepnęła. Uwielbiam, kiedy to robisz. Po prostu uwielbiam. — Tak? — Zrobił przerwę na oddech. Opowiedz mi o tym.

Cindy drżała z rozkoszy.

— Uwielbiam twój język, twarz, ręce. Och... Gino... Oooch... — Nagle naprężyła się i orgazm wstrząsnął jej ciałem.

— No, co ty, dwie sekundy i już? - narzekał Gino. Przekręciła się na brzuch.

Nic me poradzę. To jest tak podniecające. Nikt tak jeszcze mi nie robił.

Nie? - odparł zadowolony.

Wiesz, Pinky nigdy tam języka nie wkładał. Mówił, że wszystkie dziewczyny są brudne i on tam twarzy nie wsadzi.

Wzwidzione prącie zmieniło się w wypompowaną parówkę.

— Cholera! — krzyknął gwałtownie.

— Co się stało! Zeskoczył z łóżka.

— Na jakie sranie mówisz o Pinkym?

— Przepraszam.

— Nie chcę wiedzieć, co Pinky robił albo nic robił.

— Przepraszam.

— Pinky! Jezus, jak ty w ogóle mogłaś pójść z nim do łóżka?

— Przepraszam.

— Możesz przestać z tym przepraszam?

— Przepraszam.

Gino wściekły poszedł do łazienki. Pieprzony Pinky Banana. A co on Gino Santangelo, robi z jedną z jego byłych pańienek?

Przejrzał się w ozdobnym lustrze, wbudowanym w ścianę, nalał wody w kubek i wypłukał usta.

Był zajęty goleniem, gdy do łazienki weszła Cindy. Stała za nim i przytuliła się.

— Teraz kolej na małego zaszcebiotała i sięgnęła ręką do jego rozporoka. Gino odsunął ją.

— Zostaw - powiedział ostro. Muszę się z kimś spotkać. Wycofała się, wiedząc dobrze, że lepiej się nie narzucać.

Skończył golenie i wszedł do sypialni, aby się ubrać. Wcześniej kupił sobie dużo nowych ubrań. Po głębszym namyśle wybrał czarny garnitur z szerokim białym paskiem, ciemnobrązową koszulę, krawat w kropki i brązowe zamszowe buty.

— Wyglądasz cudownie, kochanie - powiedziała cicho Cindy — Z kim się spotykasz?

Pytania o to, z kim się spotyka, były mu najmniej potrzebne. Może już czas, żeby przypomnieć jej o Kalifornii?

— Pewnie nie wrócę aż do późna — burknął, nie zważając na jej pytanie. — Na razie — powiedział i już go nie było.

Poczekwała, aż oddali się na bezpieczną odległość, i zaczęła krzyczeć. Sukinsyn! Już chciał ją spławić. Sukinsyn!

Tylko że mała Cindy nie miała zamiaru łatwo się poddać. Musiała pomyśleć, co by tu zrobić, żeby znowu okazać się potrzebną.

Nie powinno to być zbyt trudne. Pinky zawsze jej powtarzał, że pod powłoką pychy i dumy Gino jest całkiem miękki.

Gino doszedł do Park Avenue, zatrzymał się i wyciągnął z kieszeni małą, ozdobną wizytówkę. Clementine Duke. Do niej skieruje kroki.

Jeszcze raz sprawdził adres. Najlepsza dzielnica, okolica ulic sześćdziesiątych, między Medison i Park Avenue.

Dzień był ładny: rześki i słoneczny. Postanowił pójść piechotą.

Ręce wsadził głęboko w kieszenie nowej kurtki z wielbłądziej wełny i pomyślał o minionych tygodniach. Tak, przedstawiały się zupełnie nieźle. Dzięki Cindy nadrobił zaległości w sferze seksualnej. I to jeszcze jak! Cindy była małą, dziką kotką, gotową spróbować wszystkiego. Na początku było to bardzo ekscytujące. Teraz mniej, gdy cały czas była koło niego, gotowa rozstać

nogi na każde żądanie. Przydałoby się, żeby od czasu do czasu ktoś powiedział nie.

Zresztą Cindy i tak wkrótce wyjedzie. Chociaż Gino nie zdawał sobie z tego sprawy, ona właśnie pomogła mu przejść przez najgorszy okres.

Razem z przyjemnością umeblowali mieszkanie. Nie było duże, ale zawsze był to już jakiś dom. Do tej pory Gino zamieszkiwał

wszelakie rudery z karaluchami łączącymi po podłodze, zdezelowanymi meblami i jeśli mini szczęście, łazienką w końcu korytarza.

Kilka razy odwiedziła go Vera. Nie polubiły się zbytnio z Cindy, czym Gino bardzo się nie martwił. Vera opowiadała teraz o Paolu jak o jakimś bohaterze, a to go wkurzało.

.....- Co zrobisz, gdy wyjdzie z pudła i znowu zleje cię jak psa? zapytał.

— Oj, Gino, ludzie się zmieniają powiedziała przeciągłym głosem. Na pewno. A podpaski rosną na drzewach.

Solidny i praktyczny w interesach Bonnatli nie zawodził i utrzymywał kontakty. Miał coraz większe kłopoty w Chicago, co zachęcało go do rozwinięcia działalności na wschodzie. Aldo i Gino byli jego głównymi łącznikami. Powiedział im, że przyjedzie pod koniec miesiąca i przedstawi jakiś większy plan.

A jak na razie, zajmowali się transportami z New Jersey. Gino cały czas pewnie trzymał wodze, chociaż nieraz bywał w opałach, głównie z powodu napadów na szosach. Zawsze jednak kończyło się szczęśliwie. Zwerbował nowego chłopaka do ochrony. Nazywał

się Red, niedawno przyjechał z De-

troit i wyglądał na godnego zaufania. Nie jak maniak Pinky Banana, który teraz rzadko się pokazywał. Mimo wielu gróźb, nie złego z jego strony nikomu się nic stało. Raz tylko u Cirubego Lany'ego Aldo stanął z nim twarzą w twarz i wysłuchał kolejnej złowrogiej pogroźki, że niby zemsta już nadchodzi. Zdenerwowało to Aida, ale Gino uśmieł się jedynie.

- - Mocny tylko w gębie powiedział. Jest za cienki w uszach, żeby zrobić to, czym grozi.

lak, za cienki, ale ma spluwę odparł markotnie Aldo. Aha, Gruby Lany powiedział, że la bogata damulka, Duke, pytała się o ciebie. Ma jakiś interes czy coś. Pójdiesz do niej?

O tak. Pójdzie. Nic go teraz nie powstrzyma.

Wdepnął w psią kupę i puścił wiązanek przekleństw. Musiał się zatrzymać, żeby zamszowe buty oczyścić o brzeg krawężnika. Już jestem w drodze, pani Clementine Duke.

Carrie

1928

Zrobimy film - powiedział któregoś dnia Whitejack. Film? Carrie otworzyła szeroko oczy. Naprawdę? Jasne. Whitejack uśmiechnął

się, pokazując zęby. Chyba mówiłem ci już wcześniej.

Tak, tylko że nie wspomniał, że ma to być film pornograficzny. Taki, który kręci się gdzieś w piwnicy ręcznie trzymaną kamerą i przy wściekle gorących światłach, niemal wypalających w ciele dziury. Nie wspomniał też, że to Carrie będzie główną gwiazdą i że w ciągu dwudziestominutowej sesji ma obsłużyć czterech mężczyzn.

Na Carrie nie zrobiło to jednak większego wrażenia i mało czym się przejmowała. Zanim Whitejack zaciągnął ją do małej, obskurnej nory, była tak naćpana, że mogła robić wszystko.

Ta dziewczyna jest na wpół dzika! - krzyczał z entuzjazmem reżyser. Trzeba mi było przyprowadzić psa do tego numeru!

Whitejack uśmiechnął się szeroko i stanął obok. Wściekł się jednak niesamowicie, gdy pod koniec imprezy jego przyjaciel reżyser, biały, mały, pucołowaty człowieczek, próbował go oszukać przy zapłacie.

Ty kulafonie! - wrzeszczał. Zapłacisz tyle, ile było umówione, albo zrobię ci tatara z tej twojej ślicznej, białej dupy. Reżyser dopłacił.

Spierdalaj, czarny - burknął. I zabieraj stąd swoją kurwę. Whitejack przyszpilił go do śoany i zastanawiał się, czy ma mu coś zrobić. W

końcu stwierdził, że nie warto pakować się w kłopoty, wziął Carrie pod rękę i szybko ją wyprowadził.

Na tym Carrie zakończyła karierę filmową.

- Ona nas za dużo kosztuje - narzekała Dolly kilka dni później.

Przecież dużo zarabiamy - odpowiedział potulnie Whitejack.

Tak. Myślisz, że jak długo to jeszcze potrwa? Widziałeś ją ostatnio. Chuda jak patyk, oczy jak spodki, posiniaczone ramiona. Musimy się jej pozbyć.

Co to znaczy „pozbyć się”?

Ktoś zobaczy ten głupi film, do którego ją wciągnąłeś, i możesz mieć kłopoty. Ile ma lal? Szesnaście, siedemnaście. Możemy zle skończyć, jeżeli ktoś odkryje, do czego jej używamy. Możemy trafić do pudła.

Kto się dowie? Ona nie ma rodziny. Whitejack w zamyszeniu sączył kawę. Dolly zawsze miała pretensje o Carrie. Działo mu to już na nerwy. Carrie uwielbiała go, a on codziennie potrzebował porządnej dawki adoracji.

Słuchaj czarny. Dolly wstała z kuchennego stołu i stanowczym gestem podparła się pod boki. Chcesz ją zatrzymać, to proszę bardzo.

Tylko że możesz pożegnać się z naszą umową. Nie mam zamiaru dłużej ryzykować.

Whitejack oglądał paznokcie

- Straszysz mnie, kobieto? Nie straszę. Mówię ci tylko. Dolly nie angażowała się w żadne niepewne numery. Lubiła Whitejacka i cały ten interes, ale nie aż tak, żeby ryzykować więzieniem za jakąś głupotę.

- Mogę wziąć inną dziewczynę - mówiła. Ma dziewiętnaście lat wygląda na czternaście, a Carrie nie ma co się z nią równać. Jest czarniejsza od ciebie i gorąca jak piec. Chcesz ją zobaczyć?

Whitejack zaczął się wahać.

Kto to?

Dolly uśmiechnęła się w duchu. Wiedziała, że do rozumu Whitejacka najłatwiej dotrzeć przez rozporek. Nigdy nie potrafił sobie odmówić rozkosznych zabaw z własnymi dziewczętami, co dla alfonsa było trochę nietypowym zachowaniem.

Taka moja przyjaciółka. No i co, czarny? Wypił jeszcze jeden łyk kawy i zdecydował się. Dolly miała rację. Carrie stanowiła teraz większe zagrożenie niż jakkolwiek wartość. - Co z nią zrobimy?

Będzie miała wypadek, gdzieś daleko stąd - powiedziała bez mrugnięcia okiem. No nic...- oponował. Nie możemy po prostu zostawić jej przed jakimś szpitalem?

- Cóż za bystrość umysłu - obrugła go Dolly. Jak ją trochę przycisną, to zaraz ściągnie nam na kark policję. Nie zrobiłaby tego. Nie? Co, chcesz się założyć? Pokiwał przecząco głową.

Normalny, zwykły wypadek — mówiła dalej Dolly. — Mogłaby potknąć się i wpaść pod tramwaj albo pod metro... albo skoczyć z brooklińskiego mostu... możesz sam wybrać. Whitejack zerwał się ze stołu.

Mam wybierać? Ja do tego w ogóle palca nie przyłożę. Oczy Dolly wyglądały jak dwa zimne marmurki. — Ach nie? Nie.

No to ja to /robię. Wpatrywali się w siebie. Whitejack lubił silne, zdecydowane kobiety, ale ta była potworem. Najzupełniej gotowa była popełnić morderstwo! Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Kiedy? zapytał. Dolly wzruszyła szerokimi ramionami. A może by tak dzisiaj?

Nie. nie dzisiaj zaprotestował szybko Whitejack. Pod koniec tygodnia mamy dużą imprezę i nie chcę

na niej żadnych nowych dziewczyn. No, to w przyszły poniedziałek. Tydzień zaczniemy już odświeżeni. Dobrze, poniedziałek. — Whitejack utkwiał wzrok w Dolly, wypatrując na jej twarzy momentu wahania.

Nie doczekał się. Lodowatymi oczyma patrzyła prosto na niego.

Chcesz jeszcze kawy? — zapytała łagodnie. W żołądku ze zdenerwowania miał budyń, ale starał się mówić pewnym głosem.

Tak. I daj mi kilka jajek. Sadzone. Błysk zimnego uśmiechu przebiegł twarz Dolly. Wiedziała, że Whitejack robi kupę ze strachu.

Czarny tchórz. Ale mimo wszystko kochała go, a im prędzej Carrie zniknie z jej drogi, tym lepiej.

Gino

Szczerze mówiąc, takiego domu w Nowym Jorku Gino jeszcze nie widział; to znaczy, widział, ale tylko na filmach. Była to ogromna rezydencja, zbudowana z brunatnego piaskowca, otoczona wysokim ogrodzeniem. Już sama fasada kapiała pieniędzmi.

Gino był pod wrażeniem. Kim, u diabła, była ta CTementine Duke? Z pewnością jakąś bogatą dupą. Jak się tego dorobiła? Gdzie jest jej mąż?

Delikatnie nacisnął dzwonek. Z kieszeni wyciągnął grzebień i zaczął się czesać w odbiciu mosiężnej kołatki. Nie chciał, żeby pani Duke zobaczyła go, zanim nie doprowadzi się do porządku.

Stary służący otworzył masywne frontowe drzwi. Ginowi znowu przypomniały się hollywoodzkie filmy.

— Słucham pana? — odezwał się służący z lekką pogardą w głosie. Gino wyprostował się jak struna.

— Cześć. Jest pani Duke? — wypalił bez skrępowania.

Twarz służącego ściągnęła się. Był przyzwyczajony do odwiedzin różnych młodzieńców, ale nie takich.

— Czy pani Duke oczekuje pana?

— Tak, oczekuje. — Gino przejechał ręką po gęstych, czarnych włosach, czego natychmiast pożałował, gdyż na dłoni pozostała cienka warstwa tłuszczu. Ukradkiem otarł ją o spodnie.

Służący niczego nie przegapił. Na jego ustach pojawił się delikatny, pobłażliwy uśmiech.

— Kogo mam zaanonsować?

— Proszę powiedzieć, że przyszedł Gino, Gino Santangelo. S-A-N-T-A-N-G-E-L-O — przeliterował.

— Tak jest, proszę pana. Zechce pan chwilę zaczekać.

Przez moment Gino myślał, że służący zamknie mu drzwi przed nosem, ale tak się nie stało.

Zaczął gwizdać, poczekał, aż lokaj zniknie z pola widzenia i wszedł do środka.

— O kurde! Ale chata! — mruczał pod nosem. Bogactwo i luksus patrzyły mu prosto w twarz. Marmurowe podłogi i schody, kryształowe żyrandole, ogromne portrety na ścianach. A przecież to był dopiero hall! Jezusie! Gdyby opchnąć tylko sam ten hall, można by z niego żyć ładnych kilka lat!

Powróciły Stare Wodniste Oczy.

— Pani Duke czeka na pana. Pozwoli pan swój płaszcz.

— Czemu nie? — odparł i zrzucił z siebie kurtkę z wielbłądziej wełny.

— Proszę za mną.

Gino ruszył w ślad za lokajem. Przeszli przez marmurowy korytarz, potem marmurowe schody i znaleźli się w pokoju przypominającym wiejski ogród. Służący zaanonsował gościa i dyskretnie się wycofał.

Pani Duke siedziała w głębokim, wiklinowym fotelu, otoczonym palmami i paprociami. Spojrzała na Gina lodowatym wzrokiem.

— Pan się spóźnił. Powiedziałam, że przyjmuję gości między jedenastą a dwunastą, a teraz jest — przerwała i spojrzała znacząco na zegar stojący na kominku — dokładnie dwunasta czterdzieści cztery.

— Tak? — odparł niespieszony. To co mam zrobić, iść czy zostać?

— Myślę, że lepiej niech pan zostanie, skoro już tu jest. — Jakież gorące powitanie!

Uśmiechnęła się, nadając swej lekko obwisłej twarzy fascynujący wyraz. Gino pewnym krokiem podszedł do krzesła i usiadł.

— Proszę usiąść, panie Santangelo — powiedziała cicho.

— Może pani do mnie mówić Gino.

— Bardzo dziękuję. Patrzyli na siebie badawczo.

Wyglądała starzej niż w słabych światłach baru Grubego Larry'ego. Mimo wszystko była bardzo podniecająca. A szczególnie w krótkiej, obcisłej spódnicy, która uwydatniała długie, kształtne i powabne nogi. Wyobrażał już sobie, jak go otaczają w pasie. Miała też na sobie cienką bluzkę, przez którą znowu wyraźnie było widać piersi...

— Słyszałem, że ma pani do mnie jakiś interes — powiedział nagle. Skinęła głową, zastanawiając się, kto wybrał mu ten absurdalny ubiór,

który miał na sobie Nie zmieniało to jednak faktu, że był on bardzo atrakcyjnym, młodym mężczyzną. — Tak, panie Santangelo...

— Gino przerwał jej.

- Gino. Pomyślałam sobie, że moglibyśmy razem zacząć pewien biznes. Założyła nogę na nogę.

Oczy Gina uważnie śledziły ten manewr. Zauważyła to, ale on patrzył dalej. Na powrót usiadła prosto.

Może herbaty, panie San... Gino?

— Chętnie.

Potrząsnęła dzwonkiem, leżącym na stoliku przy jej krześle.

Sytuacja była naprawdę zabawna. Oto ona Clementine Duke, trzydzieści siedem lat, doświadczona we wszystkich sprawach świata, lwica salonowa, ma męża bilionera... a teraz siedzi speszona przed jakimś chłopakiem z ulicy. Dobry Boże! Przecież on nie ma więcej niż dziewiętnaście, góra dwadzieścia lat.

Myślała o nim bez przerwy od tygodni. Wielokrotnie przychodziła do Grubego Larry'ego, a jego, cholera, nigdy tam nie było. W końcu przezwyciężyła dumę i powiedziała Larry'emu, żeby Gino skontaktował się z nią.

— W jakiej branży pracuje? — zapytała od niechcienia.

— Alkohol — odparł Larry.

To dobrze. Naprawdę będą mogli robić razem interesy.

— Jak się ma twoja narzeczona? — zapytała uprzejmie.

— W porządku. Dlaczego pani pyta?

— Zastanawiałam się tylko, kiedy pojedziesz do San Francisco. Poruszył się niespokojnie.

— Na razie nie. Zbyt dużo spraw jest do załatwienia tu na miejscu... ślub może poczekać.

Clementine pokiwała głową.

Jesteś chyba zbyt młody, żeby się żenić. Tak pani myśli?

Tak. Przecież nie masz więcej niż...

... dwadzieścia dwa. A ile pani ma lat?

Ależ! To już absurd! Poczwała, że się rumieni. Dżentelmen nigdy nie pyta kobiety o wiek.

— Tak? Ale ja nigdy nie twierdziłem, że jestem dżentelmenem. Próbowала odzyskać zimną krew.

— Może spróbowałbyś zostać?

— Tak? — Patrzył wyzywająco w jej oczy. A po co?

Wszedł służący ze srebrną tacą i ostrożnie położył ją na stoliku obok pani Duke.

— Davis prosi, aby przypomnieć, że ma pani umówiony lunch o pierwszej piętnaście — powiedział

z respektem.

— Dziękuję, Scott.

Służący wyszedł. CTementine pochyliła się i zaczęła nalewać herbatę.

— Zaproponowałabym ci coś mocniejszego — powiedziała — ale wydaje mi się, że to jest twoja branża.

— Kto pani powiedział?

— Nie ma powodów do obaw. Nie jestem z policji ani FBI, ani żadnych takich rzeczy.

— Dziwne, bo ja myślałem, że mam do czynienia z J. Edgarem Hooverem * w spódnicy.

— Proszę... komediant. Lubię rozśmieszać ludzi.

— W tym garniturze chyba nie przychodzi ci to zbyt trudno. Zorientowała się, że go uraziła.

— Czy trochę nie za bardzo rzuca się w oczy? - zapytała łagodnie. Co ona wie? Głupia cipa. Zaśmiał się szybko, aby pokazać, że krytyka nie

zrobiła na nim żadnego wrażenia.

— No i co z tego. Mnie się tak podoba. Niech ludzie wiedzą, że istnieję.

— Wydaje mi się, że wiedzieliby i tak. Podała mu filiżankę. A teraz, Gino, pomówmy o interesach.

Musnął ją wzrokiem.

— Właśnie po to tu przyszedłem, proszę pani. Bogata dziwka, ale jego nie kupi.

— Wraz z mężem wydajemy wiele przyjęć. Tutaj pokazała pokój ale głównie w naszej posiadłości w Westchester.

Gino pokiwał głową. Baba była naprawdę dziana.

— Oczywiście nasi goście lubią dobrze się bawić. Oczywiście. Powstrzymał się od ironicznego śmiechu.

— Dobre jedzenie, muzyka, tańce - zrobiła wymowną przerwę no i, ma się rozumieć, alkohol.

Naturalnie. Co jeszcze państwo sobie życzą?

__ Muszę ci powiedzieć, że w przeszłości mieliśmy... złe doświadczenia.

Domowej roboty gin, rozwodniona whisky i inne trunki, na które ty powiedziałbyś pewnie kwach. Bóg jeden wie, jak przeżyliśmy te trucizny.

— Jednak przeżyliście.

— Jak widzisz. Wstała i obciągnęła spódnicę. — Panie Santangelo. Gino, czy interesowałyby cię regularne dostawy dla nas?

— Chwileczkę... zaczął.

— Nie żadne drobiazgi przerwała mu. Co najmniej dwadzieścia cztery skrzynki miesięcznie. Za dobrą jakość oczywiście płacimy najwyższe ceny.

*** John Edgar Hoover- szef FBI w latach 1924 1972.**

Zaczęła przechadzać się po pokoju, a oczy Gina podążały za jej nogami.

— Zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie nie jest to dla ciebie duże zamówienie, ale wyświadczyłbyś nam ogromną przysługę. Jestem przekonana, że gdybyś czegokolwiek potrzebował od męża...

— A czym zajmuje się pan Duke?

— Senator Duke. Nie mówiłam ci?

Gino prawie się zakrzlusił. Senator Duke. Jezusie, ale wdepnął.

— Alkohol, który sprowadzam, jest bardzo dobry — powiedział nagle. — Najlepszy, jaki mogę zdobyć. I byłbym no... zaszczycony, gdybym mógł dostarczać towar dla pani i... pana senatora.

Pani Duke klasnęła w dłonie jak dziecko, co kłóciło się z resztą jej zachowania.

Świetnie! Tak się cieszę. Wstała i podeszła do Gina. W butach na wysokim obcasie była prawie tego samego wzrostu co on. Stała zaledwie kilka centymetrów od niego.

Wydaje mi się, że możemy sobie wzajemnie pomagać — powiedziała cicho, przesywając Gina zielonymi oczyma.

— Tak — odpowiedział zastanawiając się, czy już zacznie się do niego dobierać. Nie miałby nic przeciwko temu. Była powabną, gorącą dupą z wyższych sfer.

Clementine nagle się odwróciła, podeszła znów do krzesła i usiadła.

— W ten weekend — powiedziała — urządzamy przyjęcie. Będziemy potrzebować po dwie skrzynki szkockiej, szampana, ginu, koniaku...

— Chwileczkę — przerwał. — Proszę to wszystko zapisać, a ja dopilnuję, żeby dostała pani wszystko, jak należy.

— Dobrze, masz rację. — Ze stołu wzięła notatnik i ołówek i zapisała ilość i rodzaje alkoholi.

Oddarła kartkę, wstała, podeszła do Gina i wręczyła mu zamówienie. — Tu jest adres. I jeśli to możliwe, chciałabym, żeby dostawa przyszła w sobotę.

Gino przeczytał uważnie, co napisała.

— Mam nadzieję, że nie wciąga mnie pani w jakąś pułapkę. Zaśmiała się.

— Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

— Mam bujną wyobraźnię. I lepiej, żeby pani wiedziała, że kto kopie pod Ginem Santangelo, ten na ogół źle kończy. Czy my się rozumiemy?

— Na pewno. Rozumiem dobrze.

Miał dziwne wrażenie, że znowu się z niego naśmiewa.

Muszę iść powiedział nagle. Pani Duke zerknęła na zegar.

Ja też.

No cóż... Gino skrzyżował ramiona- rozumiem, że robimy razem interesy.

— Tak, na to wygląda.

— A co z zapłatą?

Oblizwała cienkie, połyskujące usta.

— Myślałam, że może chciałbyś przyjść na przyjęcie w sobotę wieczorem. Na pewno będzie bardzo zabawnie. Jestem przekonana, że ci się spodoba.

Czy ona zgłupiała? Jego prosi na przyjęcie, gdzie będzie senator i różni mu podobni.

— Tak, oczywiście. Z przyjemnością.

— W domu w Westchester, o ósmej. Mamy wiele pokoi gościnnych, jeśli nie będziesz chciał od razu wracać.

Kiwnął głową. Jezusie! Idzie na imprezę, gdzie będą same grube ryby. On, Gino Santangelo.

A propos — mówiła dalej — oczywiście strój wieczorowy. Masz smoking, prawda?

Skinął głową. Czy ma smoking? Nawet nie wiedział, co to jest.

Uśmiechnęła się.

Więc do zobaczenia w sobotę. Nagle zmarszczyła swój rzymski nos. Czujesz coś przykrego? Gino uśmiechnął się jowialnie.

T ak. To psie gówno. Wdepnąłem przed domem. A co, pani myślała, że

to ja?

— Nie, oczywiście, że nie. — Była wyraźnie zakłopotana. Myślałam tylko, że to może Scott nawozi rośliny jakimś nowym... środkiem chemicznym.

Gino uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Nie, to psie gówno. Ale wie pani — mrugnął okiem mówi się, że len, co wdepnie w gówno, zawsze będzie miał szczęście. Może to jest dla nas dobry znak, pani Duke.

Mów mi Clementine.

Z całą przyjemnością.

Gino zmierzał na spotkanie z Aldem i jak zwykle szedł zawadiackim krokiem.

— Słyszałeś o pożarze? — zapytał Akio.

— Gdzie?

-- W dzielnicy Catta. Poszła cała rodzina. -- Co? - zapytał z niedowierzaniem.

----- To prawda. Nie mogli się wydostać. T ylko Catto i jego stary przeżyli, bo wcześniej rano wyszli jeździć śmieciarką. Okropne, co?

..... Widziałeś się z nim?

-- Nie.

— Idę tam. Gino, myśląc o Catto, w milczeniu ruszył w dół ulicy. Nie widział go prawie od roku, ale nie miało to przecież żadnego znaczenia wobec takiej tragedii.

Wozy strażackie stały jeszcze na ulicy przed dymiącymi domami. Chodnik zalany był wodą i pokryty potłuczonym szkłem. Ludzie w nocnych ubraniach

siedzieli na progach spalonych domostw. Kobiety cicho łkały. Mężczyźni próbowali je pocieszać, ale czynili to bez większego przekonania.

Gino wsadził ręce głęboko w kieszenie kurtki i zakłopotany rozglądał się w poszukiwaniu Catta.

— Panie Santangelo, przepraszam, panie Santangelo. Ktoś zawzięcie szarpał go za ramię.

Gino odwrócił się i zobaczył Jacoba Cohena, chłopaka, którego zlał za pana Pułaskiego.

— No? Czego chcesz? - odparł, szarpnięciem uwalniając rękę.

Nie widział pan, jakie tu były płomienie! powiedział podniecony Jacob, unosząc w górę ciemną od brudu twarz. Strzelały w niebo tak wysoko, że myślałem, że spali się całe miasto.

Jak udało ci się uciec?

Wyskoczyłem.

A rodzina?

Rodziny już nie ma. Chłopak nie wydawał się tym zbytnio przejęty. Podrapał się po nosie.

— Za tydzień skończę piętnaście lat. Nie chcę, żeby mnie wysłali do jakiegoś zakładu. Sam dam sobie radę.

Gino westchnął. Chłopak przypominał mu, że w tym wieku sam był w podobnej sytuacji. Ten też jest zawzięty jak mały szczur.

— Czego chcesz, Jacob?

- Pięćdziesiąt dolarów. Wystarczyłoby, żebym się stąd wyniósł i znalazł jakiś pokój.

— Wezmą cię pod opiekę w zakładzie i wypuszczą, jak będziesz miał szesnaście lat.

— Oj, panie Santangelo. Przecież pan wie, że ja się nie nadaję do takich rzeczy. Proszę mi pożyczyć pieniądze, a zwrócę z nawiązką. Po paru miesiącach oddam wszystko z procentem.

Gino zmarszczył brwi. -- No, nie wiem... Jacob przekrzywił głowę.

Panie Santangelo, czy taki porządny żydowski chłopiec mógłby pana oszukać?

Gino sięgnął do kieszeni, wyciągnął zwitek banknotów i odliczył pięć dwudziestek.

Masz sto. Daję ci sześć miesięcy. Nie zapomnij o procencie. Jacob nie wierzył we własne szczęście. Złapał pieniądze i już miał puścić się biegiem, ale Gino zatrzymał go jeszcze. Znasz rodzinę Bomio? Pewnie.

Widziałeś Catto?

— Tak. jego stary dostał ataku serca, kiedy się dowiedział. Wzięli go do szpitala. Catto też tam pojechał.

Gino odliczył jeszcze jedną dwudziestkę i wsadził mu za pasek.

To dla ciebie, mały. Tego nie musisz oddawać. O rany, dzięki!

Gino patrzył za oddalającym się chłopcem i zastanawiał się, co się z nim stanie. Ale to już nie był jego problem. Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku szpitala.

Cindy nudziła się. Pozamiatała i posprzątała całe mieszkanie, choć, prawdę mówiąc, niezbyt dokładnie. Ale w końcu kim była, pokojówką? Potem próbowała zabić czas, przymierzając różne kreacje i podziwiając się w lustrze.

Nie udawała skromności. Naprawdę była niezwykle piękna, a mężczyźni zawsze się nią interesowali. Wystarczyło puścić odpowiednie spojrzenie. Duże, błękitne jak u niemowlęcia oczy. Pełne różane usta. Nic, tylko wypiąć zgrabne, żywe cycusie i... voilà!... już była w obrotach.

Mężczyźni to tłuki, kobiety są dużo bystrzejsze.

Cindy wiedziała to i owo o życiu.

Wykręciła przed lustrem piruet i postanowiła, że zostanie gwiazdą filmową. Z pewnością urodą dorównywała większości z nich.

Znudzona własnym widokiem, klapnęła na łóżko. Mogłaby też być szpiegiem, czarującym, uwodzicielskim szpiegiem, skaczącym z łóżka do łóżka. A właściwie mogłaby zostać kimkolwiek, byle praca wiązała się z bzykaniem.

Zaśmiała się na głos. Ależ uwielbiała się kochać.

Poczuła przyływ żądy. Gorąca fala podniecenia powstała najpierw w stopach, następnie przeszła całe ciało, aż do czubka ondulowancj głowy. Położyła rękę między nogami i uczucie natychmiast wzrosło.

Wiedziała, co chce teraz zrobić. Nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby ją powstrzymać. Kiedy mieszkała z Pinkym, samozaspokajanie lego typu potrzeb stało się czynnością codzienną. Jego nigdy nie obchodziły uczucia kobiety. Tylko pchał i wyciągał, pchał...

Szybko zrzuciła z siebie ubranie i zaczęła śmiać się jak szalona. Na chwilę zapragnęła, żeby Gino już wrócił. Był najlepszy. Naprawdę umiał operować każdym centymetrem swego ekwipunku.

Gówniarz! Gdzie się podziewa, kiedy ona go potrzebuje? Po raz pierwszy, odkąd z nim zamieszkała, sama musiała sprawić sobie przyjemność.

Już obie ręce pracowały między nogami. Cindy przestała myśleć o Pinkym, Ginie i wszystkich innych. Komu w ogóle potrzebni są mężczyźni? Po co komu tacy gówniarze...?

Gino zobaczył Catta wychodzącego właśnie ze szpitala i podbiegł do niego. Chciał objąć przyjaciela, ale ten go odepchnął.

No i? - zapytał Gino. — Jak twój staruszek? Wyjdzie z tego? Catto stał z kamienną twarzą.

Umarł - powiedział bezbarwnym głosem.

Umarł? - powtórzył Gino, nie bardzo wierząc w to, co usłyszał. — Ale twój stary był silny jak koń!

Catto ruszył chodnikiem. Gino niezręcznie szedł obok niego. Nie wiedział, co ma mówić.

Stanowili dziwną parę: Catto, wysoki i szczupły, w łatanych lewisach i nędznej kurtce; Gino, elegancki i ubrany w drogie rzeczy.

— Co teraz zrobisz? - zapytał zatroskany. Catto nie odpowiadał.

— Masz pieniądze? Głupie pytanie. Skąd Catto mógł mieć pieniądze, jak cały czas jeździł na śmieciarce? Hoże! Cały czas od niego cuchnęło. — Posłuchaj, może pójdziesz do mnie? Mam takie małe mieszkanie w okolicach czterdziestych.

Catto potrząsnął głową.

Dlaczego nie? Przecież nie masz dokąd pójść.

A ty skąd wiesz? - odpowiedział osłro. Nie widzieliśmy się od miesiąca. Jak możesz cokolwiek o mnie wiedzieć? Bo jesteśmy kumplami... - zaczął Gino.

Gównu, nie kumplami! Zadajesz się z Pinkym, więc nie jesteś żadnym moim kumplem.

- Z Pinkym już skończyłem. Miałaś rację co do niego. Jasne, teraz wynajmujesz jakiegoś innego mordercę. Gino zaśmiał się.

Wynajmuję mordercę! Co ty za brednie wygadujesz? Moja siostra miała poślubić pewnego gościa. Zabił go jakiś gang sprowadzający alkohol. Co za różnica, czy to był twój gang, czy nie? Wszyscy nosicie broń. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Gino poczuł się urażony. Ale... zaczął.

Masz przy sobie spluwę? Nosisz ją pod tą śliczną, wytworną kurteczką?

Tak, mam, ale nigdy jej nie użyłem... - Po chwili przypomniał sobie, że było inaczej. W Chicago. Ale dlaczego, do cholery, miał się tłumaczyć przed Catterem?

Wiesz, co? powiedział ostro. - Przyszedłem do ciebie, bo dowiedziałem się, co się stało. Ale nie po to, żeby słuchać twego pieprzonego kazania. Myślałem, że jesteśmy dobrymi kumplami. Przepraszam, że zawracałem ci głowę. - Zatrzymał się, postawił kołnierz kurtki, przygładził włosy i ruszył w drugą stronę.

Hej, Gino... przepraszam Catto poszedł za nim. Cieszę się, że przyszedłeś.

Stali na ulicy, patrząc na siebie w milczeniu.

No dobrze... Gino zaczął kopać w chodnik. — Więc co zamierzasz teraz zrobić?

Wsiądę w pociąg. Wyjadę do pierwszego lepszego miasta. Tam gdzie mnie zawiezie.

..... Chcesz jakieś pieniądze?

— Nie. — Catto poklepał się po kieszeni. — Wystarczy mi. Miał dokładnie piętnaście dolarów i dwadzieścia dwa centy.

— Więc nic nie mogę dla ciebie zrobić?

— Jest jedna rzecz...

— Powiedz.

— Gdybyś mógł zająć się tym, żeby ich należycie pochowali...

— Załatwione.

— Dzięki, Gino.

— Daj spokój. — Zaszurał nogami i poczuł zapach psiej kupy. — No to na razie...

— Na razie. — Catto odwrócił się i szybko ruszył przed siebie. Gino patrzył za nim, a kiedy zniknął mu z oczu, ruszył do Grubego Larry'ego. Usiadł w części oficjalnej i zamówił podwójną porcję lodów czekoladowych z polewą toffi.

Nagle poczuł na sobie czyjś cień. Powoli uniósł wzrok i ujrzał Pinky'ego. Dokoła stała gromada jego brudnych kompanów.

— Jak ci leci, Pinky?

— Gówno cię to obchodzi — warknął. — Słyszałem, że przygruchałeś sobie moją dupę.

Gino uśmiechnął się.

— Nie wiedziałem, że w ogóle jakąś miałeś. Ale skoro tak mówisz... Pinky poczerwieniał.

— Ty kutasie! Myślisz, że jesteś taki cholernie sprytny. Ale to ci nie ujdzie.

Gino wstał.

— A kto mi coś zrobi? — zapytał chłodno. Pinky zmrużył oczy.

— Pewnej ciemnej nocy...

— Tak, już zrobiłem kupę ze strachu. — Przepchnął się obok Pinky'ego i jego bandy. Na jaką cholere w ogóle wrócił na stare śmieci?

Wszystko tu śmierdziało.

— Kochanie? — odezwała się Cindy, stojąc przed lustrem i modelując włosy.

— Tak? — odpowiedział Gino, zajęty układaniem kłapy marynarki i muszki.

— Wiesz, co bym chciała?

— Co? — Muszka wypadła mu z rąk.

— Chciałabym nauczyć się prowadzić samochód.

- Cholerna mucha! — krzyknął. — Do szału mnie doprowadzi! Cindy podbiegła, podniosła ją z podłogi, następnie podeszła do Gina, żeby fachowo ją założyć.

— Mogę?

— Prowadzić? Dlaczego?

Po prostu chcę odpowiedziała szczerze. Byłoby przy tym dużo zabawy i może by się też do czegoś przydało. No, bo na przykład dzisiaj wieczorem: musisz gdzieś jechać kawał drogi z Aldem, dwóch facetów z ciężarówką alkoholu. Jak was zatrzyma policja, to wpadliście na amen. A jakby prowadziła dziewczyna...

Miała trochę racji. Tylko nie wiedziała, że alkohol został dostarczony do Westchester wcześniej rano, że Akio w tej chwili wyprawiał

imprezę z okazji zaręczyn z Barbarą Riccackli ani że Gino jechał do Westchester, będąc zaproszonym gościem na przyjęcie pani Duke.

To nie jest zły pomysł - powiedział w zadumie. Dam ci parę lekcji. Założył smoking, który kupił w ekskluzywnym sklepie na Piątej Alei, i podziwiał się w lustrze. Smoking kosztował kupę pieniędzy, ale był tego wart. Kiedy? - pytała natarczywie Cindy.

Niedługo odparł myśląc o czymś innym i odszedł od lustra. — No i co, mała? Dobrze wyglądam?

Szałowo, Gino. Naprawdę szalowo.

Przyjęcie

Potrzebuję działki — skomlała Carrie.

— Nie martw się uspokajał ją Whitejack. — Tatuś już ładuje strzykaweczkę śliczną heroinką. Za chwilę znajdziesz się w krainie bajek.

Niecierpliwie leżała na łóżku. Nie czuła się dobrze, a Whitejack, stary sukinsyn, nie spieszył się zbytnio. Gdyby nie była uzależniona od niego i jego narkotyków, wydrapałaby skurwysynowi oczy.

Rzucała się niespokojnie po łóżku. Podwinęła już rękaw szlafroka i wyciągnęła wyczekująco ramię.

Pospiesz się - syknęła niecierpliwie.

Whitejack sprawdził poziom płynu w strzykawce. Mała Carrie stała się bardzo uciążliwa. Przyzwyczała się do narkotyków jak pies do kości. Doiły miała rację. Jak jej się szybko nie pozbęda, wszyscy mogą mieć kłopoty.

— No, jedziemy z tym - powiedział niskim głosem.

Carrie podała mu rękę i mocniej zacisnęła zawiązany na niej pasek. Żyły pojawiły się tuż pod skórą, wystające i gotowe do zabiegu. Na przedramieniu miała już dużo znaków od ukłuć, ale wciąż można było znaleźć wolne miejsca, gdzie igła wchodziła płynnie i gładko.

Carrie głośno jęczała przy wstrzykiwaniu narkotyku.

— Już za chwilę poczujesz się dobrze, bardzo dobrze — zawodził monotonie Whitejack. — I ściągniesz leniwą, czarną dupkę z łóżka, doprowadzisz do porządku włosy, zrobisz sobie ładną tapetę na buzi i pójdziemy na pierwszorzędną imprezę. Dopiero teraz wyciągnął

igłę.

Carrie przekręciła się na łóżku i podciągnęła kolana pod brodę. Whitejack stał obok niej i patrzył. Powoli zaczęła się wyprostowywać i wygodnie przeciągać. Nastąpiła w niej wyraźna przemiana. Napięcie z twarzy zniknęło, jakby ktoś zdjął z niej maskę, śmiała się i tęsknie wyciągała ramiona.

— Chodź do mnie — szeptała. — Sami sobie zrobimy imprezę. Tylko ty i ja.

O kurcze! Już się czuła wspaniale. A Whitejack był takim cudownym człowiekiem.

— Wstawaj - powiedział ostro. — Masz pół godziny. — Wyszedł z pokoju.

Podniosła się z łóżka. Zaczęła tańczyć i drżącym głosem śpiewać: „Jesteś śmietanką w mojej kawie...”

Do pokoju weszła Lucille i zamknęła za sobą drzwi.

— Czyś ty oszalała? Nie wiesz, co oni ci robią?

— Co? — zapytała beztrosko Carrie, ciągle tańcząc. Lucille nerwowo spojrzała na drzwi.

— Musisz stąd uciekać — szeptała nagle. — Oni chcą... cię zabić. Carrie wybuchnęła śmiechem.

— Lucille, czekaj, powiem Whitejackowi, co ty wygadujesz!

— Żartuję tylko. — Lucille zaczęła się wycofywać, zagryzając do krwi dolną wargę.

— Tak? drażniła się z nią Carrie, rozbawiona nagłym zakłopotaniem koleżanki.

— Jasne — odpowiedziała Lucille, siląc się na uśmiech. Była przestraszona i nie miała pojęcia, co robić. Podśluchiwała, jak Doiły i Whitejack spiskowali, żeby pozbyć się Carrie. Stała tuż przy wejściu do kuchni i wszystko wyraźnie słyszała. Ale co mogła zrobić? To, czego się dowiedziała, zagrażało teraz również i jej życiu.

— Idziemy na imprezę — śpiewała Carrie. — Ale będzie zabawa, wiesz, mała? — Nie mogła się powstrzymać od chichotania.

— Chcesz, żebym cię uczesała? — zapytała Lucille, a Izy napływały jej do oczu.

— Tak, bardzo chętnie.

Lucille wzięła grzebień i zaczęła porządkować włosy przyjaciółki.

Gino szybko jechał starym, podrasowanym fordem. Myślał o kupnie nowego samochodu, ale jakoś jeszcze się do tego nie zebrał. Tak więc do Westchester jechał starym rupieciem i jeżeli nie spodoba się on pani Duke, to trudno.

Spodziewał się wytwornego domu, ale posiadłość, którą ujrzał, przerosła jego najśmielsze oczekiwania. Na sześćdziesięciu akrach, otoczonych zewsząd zielenią, znajdował się świat wyjęty prosto z bajki.

Przejechał przez bramę z kutego żelaza, kierując się w stronę widniejących przed nim oszłamiających świateł. Wzdłuż podjazdu do rezydencji stała

kolekcja wspaniałych samochodów, jakich Gino jeszcze nie widział. Świecące rolls-roysy, zaparkowane tuż obok połyskujących zagranicznych limuzyn. Lśniący, brązowy duesenberg z białymi pasami na zewnętrznej stronie opon. Pierce-arrowy, cordy, no i czarno-biały mercedes-benz SS, dla którego, zdaniem Gina, można by popełnić poważne przestępstwo.

Po co komu przyjęcie? Jemu do szczęścia zupełnie wystarczyłoby samo oglądanie samochodów.

Zaparkował swojego forda, wysiadł i ruszył na zabawę.

Clementine Duke okazała się rewelacyjną panią domu. Wiedziała, jak rozkręcić i zabawić gości. Jej

pałac pełen był kwiatów, wspaniałego jadalni, wygodnych mebli i usługowych kelnerów.

Serwowała doskonale trunki (było to sprzeczne z tym, co wcześniej powiedziała Ginowi), importowane cygara dla panów oraz ręcznie wykonywane czekoladki i trufle dla pań.

Poznawała ze sobą gości, zabawiała gwiazdy filmowe, polityków, pisarzy i muzyków jazzowych. Całe towarzystwo było dokładnie ze sobą wymieszane i wszystkim się to podobało. Nowe romanse nie należały do rzadkości.

Ale głównym powodem, dla którego przyjęcia Clementine cieszyły się takim powodzeniem, było to, że nikt nigdy nie wiedział, co się na nich wydarzy. A mogła to być, na przykład, kąpiel nago w ogromnym marmurowym basenie, zawody w tańcu charlestona, przedpremierowy pokaz filmu albo koncert jazzowy. Wszystkie te dodatkowe rozrywki organizowała zazwyczaj sama Clementine.

— Co masz dzisiaj dla nas, kochana Clemmie? — zapytała jedna z jej rozbawionych przyjaciółek.

— Poczekaj, Esther, poczekaj, to zobaczysz — odpowiedziała tajemniczo Clementine.

Esther klasnęła w grube, obłożone pierścionkami dłonie, a jej ogromny biust, wyraźnie widoczny przez cienką, szyfonową sukienkę, zatrzęsł się z niecierpliwości.

— Coś brzydkiego? Mam nadzieję, że tak.

Uśmiechnęła się lubieżnie, pokazując niezbyt atrakcyjne, wystające zęby.

— O której jest niespodzianka?

— Już niedługo — mruknęła Clementine. Była zła na siebie, że nie mogła się powstrzymać od rozglądania się za Ginem.

— Nie rozumiem, dlaczego wzięliśmy robotę gdzieś poza miastem — narzekała Dolly. Jakbyśmy nie mogły pomachać dupami w Nowym Jorku.

Siedziała z przodu obok Whitejacka, który prowadził swego oldsmobila.

— Cholera jasna! wrzasnął na nią. Kobieto, możesz przestać jęczeć? Dziesięć razy ci tłumaczyłem, że to będzie specjalny pokaz. Tam będzie kupa ważnych ludzi. Staniemy się znani i będziemy mogli podbić cenę.

..... Tak. A co, jeśli ci twoi ważni ludzie zaczną się nami interesować.

— Kobieto, o czym tym znowu mówisz? — Podniósł głos. — Tłumaczyłem ci: dzisiaj będzie spokojnie. Tylko rozbieranka.

— A jeśli oni zaczną się zastanawiać, ile ona ma lal? — Wskazała palcem

na Carrie, siedzącą z tyłu wraz z Lucille.....A jak zaczną myśleć, skąd ma tyle dziur na rękach?

Whitejack gwałtownie zjechał na pobocze i raptownie zahamował. Skrzyżował ramiona na piersi i patrzył prosto przed siebie.

— Kobieto, ja sam ryzykuję wystarczająco dużo, żebyś ty była zadowolona. Ale jak masz zamiar cały czas pierniczyć głupoty, to w tym momencie zawracamy do miasta.

Gino zatrzymał się w hallu i przejrzał w ogromnym, weneckim lustrze. Hminm... wyglądał całkiem nieźle. W drogim smokingu z.

wyłogami z pewnością nie ustępował w niczym pozostałym gościom.

Rozejrzał się wkoło. Całą jedną ścianę zajmował bar. Był przyzwoicie zaopatrzony i obsługiwany przez dwóch barmanów w eleganckich, białych marynarkach i spodniach w paski. Hall prowadził do dużego salonu, którego okna w stylu francuskim wychodziły na zadaszony taras. Zewsząd dochodził zapach dużych pieniędzy. Gino wziął głęboki oddech i uśmiechnął się. Oj. bardzo ten zapach lubił.

Nie pijesz nic? — zagadnęła go jakaś wielka dziewczyna o rudawych, kręconych włosach.

Dopiero przyszedłem. Przyglądała mu się ciekawie.

Świetny szampan. Musisz spróbować.

Spróbuję.

Odszedł szybko, gdyż nie miał zamiaru dać się złapać przez pierwszą lepszą dupę. Kto nie widział, ten nie uwierzyłby, ile kręciło się tu damskich okazji wszelkiego rodzaju. Aldo posikałby się, gdyby zobaczył na raz tyle spódniczek. A wszystkie wytworne jak mało co.

Gino wziął kieliszek szampana z tacy przechodzącego kelnera. Leonora dobrze prezentowałaby się tutaj, pasowałaby idealnie.

Pieprzył Leonorę.

A właściwie żałował, że tego nie zrobił.

Nie wolno mu o niej myśleć. Obiecał to sobie. Zmarnował już wystarczająco dużo życia, wzdychając do niej jak dureń.

Clementine zauważyła go, jak tylko wszedł na taras.

..... Przepraszam, Bernardzie - powiedziała do wybitnego impresaria

teatralnego — muszę przywitać nowego gościa.

Bernard Dimes pokiwał głową ze zrozumieniem i z powrotem odwrócił się do swej uroczej towarzyszki.

Clementine szła szybko przez taras, tak aby nikt jej nie chciał zatrzymać. Za chwile stała już przed Ginem, zanim on w ogóle ją zauważył. Cały czas napawał się widokiem rezydencji.

Podoba ci się mój dom. - zapytała ciepło.

Aż podskoczył, wylewając trochę szampana. Szybko jednak odzyskał pewność siebie.

- Prawie zamczysko.

- Przesadzasz.

No... dla mnie **to** już coś. Instynktownie spojrzął na jej piersi. No tak, oczywiście, jak zwykle na widoku. I cały czas gotowe. Nigdy jeszcze nie widział kobiety z nieustannie sterczącymi sutkami. Wzięła **go** pod ramię.

Przedstawię cię paru osobom, Gino poczuł się trochę niepewnie. Nie chciał być pokazywany jak jakaś maskotka.

Dobrze, ale może trochę później. Uwolnił się od jej ręki i dopił szampana. Skrzywił się, gdyż smak tego napoju wyraźnie nie przypadł

mu do gustu.

Clementine zauważyła grymas na jego twarzy i skinęła na kelnera. Przynies panu Santangelo szkocką — powiedziała i delikatnie odebrała Ginowi kieliszek po szampanie.

Podoba mi się twój smoking - mówiła do niego cicho, patrząc mu prosto w twarz zielonymi oczyma.

Tak? Czuł się jak dureń. Nie miał jej nic do powiedzenia. Nigdy w życiu-nie rozmawiał tak o niczym i nie miał zamiaru teraz próbować.

Esther Becker chichotała jak mała dziewczynka i żartobliwie żgała w żołądek senatora Oswalda Duke'a.

Mam nadzieję, że dzisiejsza niespodzianka to będzie coś pikantnego powiedziała natchnionym głosem.

Oswald spojrzął na nią tępo. Nigdy właściwie jej nie lubił. Uważał, że jest nieszczerą i beznadziejnie głupią.

Niestety, nic na ten temat nie wiem — powiedział oficjalnie. — Niespodzianki przygotowuje Clementine.

I ty zawsze pozwalasz jej robić, co chce, prawda? hslher zamrugła błękitnymi oczyma. Jesteś taki nowoczesny, Oswaldzie. Całe wasze małżeństwo jest nowoczesne. Uśmiechnęła się od ucha do ucha, pokazując naprawdę paskudne zęby. Chciałabym, żeby Gordon dawał

mi choć trochę wolności. Tylko pomyśl, jakie rzeczy mogłabym wyczyniać... może nawet z tobą, Oswaldzie! Zaśmiała się lubieżnie.

Oswaldowi przeszła przez myśl straszna wizja rozebranej Esther Becker, robiącej z nim różne rzeczy. Tak chyba tylko ona wyobrażała sobie „coś pikantnego”. Oswald wyraźnie pobladł.

Ona uśmiechała się coraz szerzej.

— A kto to teraz stoi koło Clementine?

Spojrzał w kierunku jej wzroku i spostrzegł żonę rozmawiającą z młodym, ciemnowłosym mężczyzną.

Oswald podał Esther ramię.

— Chodźmy zobaczyć, moja droga.

Gino przed chwilą dostał od kelnera porządną szklanicę whisky.

— Mój mąż tu idzie — powiedziała ściszym głosem. - Bądź dla niego miły. On może wiele dla ciebie zrobić.

Gino był zupełnie zbity z tropu. Cały czas stała obok niego, wysyłając wyraźne sygnały pożądania, które nawet idiota by zrozumiał, a teraz chciała go przedstawić mężowi. O co tu chodziło?

Zanim zdążył się nad tym zastanowić, pan Duke stał już obok nich, a Clementine w zupełnie naturalny sposób dokonywała ceremonii prezentacji. Wyglądało na to, że w ogóle niczym się nie przejmuje.

Gino stwierdził, że widocznie źle odczytał jej sygnały.

— Bardzo mi miło pana poznać powiedział senator Duke, wyciągając do niego nie w pełni sprawną prawą rękę. — Clementine często o panu mówiła.

Często? Gino wyciągnął dłoń z uścisku i wraz z senatorem spojrzał na Clementine. Jego oczy natychmiast spoczęły na falistych piersiach, sterczących za cienką tkaniną. Czy oni pogłupieli od nadmiaru pieniędzy? Nie wiadomo dlaczego, ale wszyscy byli chętni do robienia darmowych widowisk.

Clementine sprowadziła go na ziemię.

— Chciałabym, żebyś poszedł z Oswaldem omówić interesy. Na później zostaną same przyjemności i zabawa.

— Właśnie - zgodził się Oswald. — Chodźmy do mojego gabinetu. Clementine i Esther patrzyły, jak odchodzą.

— Hmm... — mruknęła Esther. A gdzie tego znalazłaś? Clementine uśmiechnęła się.

— Tajemnica.

— O cholera! - krzyknął Whitejack. Zrobimy tu niezły interes. Widniejąca przed nimi baśniowa rezydencja nie zrobiła na Dolly wrażenia.

Wcześniej widziała już podobne cuda. Siedziała ze stoickim spokojem, w milczeniu wpatrzona w przednią szybę.

Carrie beztrąsko śpiewała po cichu sama do siebie i nie zwracała na nic uwagi.

Lucille pomyślała, że może lepiej zareagować.

O rany! - powiedziała z entuzjazmem. — Ależ tu ślicznie!

— No pewnie, że ślicznie odparł Whitejack. — Przecież mówiłem wam, że dzisiaj jest specjalny wieczór.

— No tak, mówiłeś — zgodziła się Lucille, trącając łokciem Carrie. — Popatrz, kochanie. Pięknie, prawda?

Carrie półprzytomnym wzrokiem wyjrzała przez okno. Oczywiście, że pięknie. Nie spodziewała się niczego innego. Wszystko było piękne. Czy Lucille o tym nie wiedziała?

Doiły stukała palcami po tablicy rozdzielczej.

— Dokąd mamy iść? zapytała niecierpliwie. Chciała jedynie odwalić pokaz i natychmiast się ulotnić. Imprezy u bogatych były najgorsze: pełne pijaków i kobiet. Whitejack nie miał o nich zielonego pojęcia. Głupi czarnuch. Wyobrażał sobie, że w ten sposób awansuje społecznie.

Senator Oswald Duke był frajerem, o czym Gino przekonał się natychmiast. W ogóle nie był zainteresowany obliczaniem rachunku za alkohol. Zapytał tylko: „Ile ci jestem winien?” A kiedy Gino wymienił sumę, dodając jeszcze dwieście (bo dlaczego by nie), senator bez słowa zapłacił gotówką. Gino schował pieniądze do kieszeni i zaraz poczuł się lepiej. Jeżeli wszyscy bogaci postępowali tak głupio jak ten, to cud, że w ogóle jeszcze mieli pieniądze.

— Wiesz, Gino — powiedział — czasami potrzebuję, żeby ktoś wyświadczył mi małą przysługę.

— Słucham?

— - Są takie sprawy, w które sam nie powinienem się mieszać”.

— Na przykład?

— No... — tu senator wykonał w powietrzu kilka nieprecyzyjnych ruchów ręką — ... różne sprawy. Może ktoś jest mi winien trochę pieniędzy i trzeba mu odrobinę pomóc je oddać. Albo były pracownik grozi szantażem z powodu jakiejś wymyślonej bzdury. Same drobnostki, które jednak przytrafiają się ludziom na stanowiskach takich jak moje. — Zrobił przerwę, wziął z biurka pudełko

cygar i poczęstował Gina.

— Jeżeli mógłbyś od czasu do czasu wyświadczyć mi małą przysługę, to z chęcią... no, powiedzmy udzieliłbym ci kilku porad w sprawach finansowych.

— Co?

Nie będę owijał w bawełnę. Robisz interesy na alkoholu i masz trochę gotówki. Zgadza się?

Chryste! A jeśli ten stary pierdziel pracuje dla policji? Na wszelki wypadek nic nie odpowiedział.

Gotówka to bardzo dobry towar, ale nie będzie dużo warj^ gdy do drzwi zastukają panowie od podatków i zaczną zadawać różne pytania. Tak, to prawda.

Senator zapalił cygaro i spojrzał znacząco na Gina.

— Mógłbym wyprać twoje pieniądze, a przez, ten zabieg i ty stałbyś się czysty. Interesuje cię to?

Gino przytaknął. Rzeczywiście był zainteresowany.

Lokaj imieniem Scott pojawił się u boku Clementine.

— Przyszli... eeh... komedianci, proszę pani. Tak jak pani sobie życzyła, dałem im niebieski pokój.

Clementine skinieniem dała znać, że przyjęła wiadomość.

— Zanieś im coś do picia, Scott — dodała.

— Tak, proszę pani. — Stary lokaj ukłonił się nieznacznie i odszedł. Widział już w tym domu wiele dziwów, ale takich pajaców...

Zastanawiał się, czy pani w ogóle wiedziała, że zaprosiła taką pstrokatą zbieraninę. Pewnie jednak wiedziała. Westchnął ciężko. Pani Duke sama była nieco ekscentryczna.

— Oj, powiedz! — nalegała Esther Becker. — No, Clementine, nie bądź świnka. Powiedz, co dzisiaj będzie.

Clementine znowu jedynie uśmiechnęła się tajemniczo.

— Ale to ma być niespodzianka. Powiem ci tylko, że będzie to coś obrzydliwie ordynarnego!

Esther zadrżała z zachwyty.

— Cudownie! Uwielbiam ordynarność!

Oczy Clementine dostrzegły falujący biust Esther.

— Ależ, kochanie, wiem o tym.

Carrie głęboko zaciągnęła się marihuaną, którą podał jej Whitejack. Upajający dym wypełnił płuca po brzegi. Dodawało jej to energii i chęci do działania.

Dolly zamyślona wpatrywała się w lustro przy toaletce. Wszystkie jasne loki były na swoim miejscu.

— O której zaczynamy? — zapytała Whitejacka.

Ten był w siódmym niebie. Wygodnie leżał na podwójnym łożku, ubrany w biały garnitur i białe lakierki. Co chwila pociągał z pełnej butelki whisky.

— Co za różnica?

— Dla mnie jest różnica — odparła twardo Dolly. Będziemy długo wracać. I lepiej postaraj się, żeby zapłacili przed, a nie po.

— Interesy zostaw mnie — powiedział sięgając po kanapkę z wędzonym łososiem.

Interesy. Znał się na nich jak kura na gwiazdach!

Przyjęcie jak zwykle było bardzo udane. Clementine stała z boku i obserwowała bawiących się gości. W tej chwili podawano do stołu.

Bogactwo wszelkiego jada było imponujące: szynka zapiekana w miodzie, kurczak, indyk na zimno, wołowina oraz cały świeży łosoś.

Przygotowaniem uczyty zawsze zajmowała się sama. Ustalała spis potraw, zamawiała mięsa najlepszego gatunku, aż wreszcie wpadała co jakiś czas

do kuchni i doglądała dwóch kucharzy i ich pomocników. Miło było teraz patrzeć, z jaką przyjemnością goście spożywali wieczerzę. A po jedzeniu... rozrywka.

Uśmiechnęła się do siebie. Duża blondynka, młoda, czarna dziewczyna i karlica. Idealne połączenie! Jak tylko Oswald wrócił z przyjęcia z okazji przejścia na emeryturę Arthura Stuyvesanta i powiedział o występie, natychmiast zdecydowała, że musi ich mieć na następnym przyjęciu. Oblizwała usta w niecierpliwym oczekiwaniu.

To będzie najgłośniej dyskutowane przyjęcie roku!

Uwolnwszy się od senatora, Gino pojawił się na tarasie. Nim zdążył zorientować się w sytuacji, dziewczyna o rudawych, kręconych włosach była znowu przy nim.

Kim jesteś? - zapytała ciekawie. Jednym z zaprzyjaźnionych gangsterów Clementine?

Jednym z zaprzyjaźnionych gangsterów Clementine!

— Posłuchaj — powiedział — chcesz się pobzykać? Zrobiła się czerwona jak pomidor.'

— Jak śmiesz!

Gino świetnie się bawił.

— Nie?

— Jesteś po prostu obrzydliwy!

Gino zauważył, że nawet nie miała najmniejszego zamiaru od niego odejść.

— O co chodzi? Nie lubisz się bzykać?

Zrobiła wielkie oczy, a jej nos trząśł się z oburzenia. Nadal jednak przy nim tkwiła.

— Jesteś chamem — powiedziała stanowczo — żeby robić damie takie propozycje.

— Nie zauważyłem, że jesteś damą. — W tej chwili spostrzegł Clementine i zaraz znudził się prowadzonym dialogiem. — No, to na razie, mała. — Pomachał jej ręką i ruszył w kierunku Clementine i grupy osób, z którymi rozmawiała.

Nagle rozpoznał wśród nich Charlie'ego Lucanię. Jezusie! Naraz miał kilka myśli na sekundę, na przykład: po jaką cholere potrzebowała go, jeśli znała Lucanię; albo: na przyjęciu z Lucanią — to już naprawdę coś!

— O, Gino. Chciałabym, żebyś poznał kilku moich przyjaciół.

Gino zauważył zdziwiony wzrok Lucanii i wyprostował się jak struna. Cześć, Charlie - wypalił nagle i poklepał wyższego Lucanię, jakby byli dobrymi przyjaciółmi. Jak leci?

Scott wręczył Whitejackowi zaklejoną kopertę i odwrócił się, żeby odejść. — Starszy! - ostro krzyknął za nim Whitejack. — Nie tak szybko. Trzeba policzyć.

Scott sapnął z dezaprobatą.

— Mogę... pana zapewnić, że wszystko się zgadza. Whitejack zmrużył oczy.

— Więc nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli sobie to sprawdzę.

— Oczywiście, że nie.

Scott stał wyprostowany obok drzwi, a Whitejack rozerwał kopertę i zabrał się do przeliczania nowych studolarowych banknotów.

Carrie podeszła bliżej Scotta i z nieprzytomnym wzrokiem zaczęła tańczyć kręcąc biodrami.

Lucille szybko do niej podbiegła, chwyciła za rękę i odciągnęła na bok.

— Kochanie, jeszcze nie — tłumaczyła jak dziecku. Doiły, która siedziała przy toalecie, parsknęła

ziertywana.

Scott podniósł w górę oczy, starając się zapamiętać, aby powiedzieć dozorczy, że pokój wymaga dezynfekcji. Smród, jakiego narobiła ta czwórka, był po prostu ohydny.

Esther Becker przyłączyła się do Bernarda Dimesa i jego towarzyszek.

— Nikt nie wie, jaką niespodziankę wymyśliła na dzisiaj Clementine — powiedziała podniecona, chwytając Bernarda pod rękę, gdy wchodzili do sali balowej w tylnej części domu. — Powiedziała, że to coś pikantnego! Nie mogę jednak wymyślić co, a ty?

Bernard Dimes potrząsnął głową i marzył, aby znaleźć się w domu, we własnym łóżku. Czuł, że chwyta go grypa, i w tej chwili przyjęcie u Clementine Duke było mu najmniej potrzebne. Przyjęcia były oczywiście wspaniałymi wydarzeniami, ale trzeba było mieć końskie zdrowie, żeby na nic chodzić, a Bernard Dimes czuł się fatalnie. Był to wysoki mężczyzna, około trzydziestopięcioletni, trochę łysiejący, o drobnych rysach i małych wąsach. Był szanowanym producentem teatralnym, a Esther Becker i jej mąż zaliczali się do znaczących sponsorów jego przedstawień. Właśnie dlatego pokornie znosił ramię Esther, które chętnie strząsnąłby z siebie. A tak, musiał się uśmiechać, potakiwać i udawać, że świetnie się bawi. Bernard był bogaty, ale kiedy był trochę młodszy, nauczył się, że nigdy nie należy inwestować we własne przedstawienia.

— Po występie chcę z tobą porozmawiać — Clementine szepnęła do Gina. — Nie odchodź więc nigdzie, dobrze? I tak nie miał

najmniejszego zamiaru.

Ściskając jego ramię, Clementine z przyjemnością rozglądała się wokół i patrzyła, jak sala wypełnia się gośćmi. Wszystko było tak ekscytujące!

Gino był w bardzo dobrym nastroju. Spotkał się sam na sam z Lucanią. Byli teraz równi sobie. I jak Lucania miło go powitała! Aż niewia-rygodne.

Poznał też partnerkę Lucanii, modelkę o rudych włosach i stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu. Opowie wszystko Aldowi.

Chociaż on i tak pewnie nie uwierzy.

I jeszcze sprawa z senatorem Duke'em. Zainwestuje w coś ich pieniądze i w ten sposób staną się legalne. Oczywiście, trzeba będzie tego dopilnować, ale Gino był pewien, że jest wystarczająco bystry, żeby nie dać się wykiwać! A poza tym, senator na pewno nie potrzebował jego pieniędzy. Sam był wystarczająco dziany.

Miejsca przy stolikach, porozstawianych w sali balowej, zaczęły zapełniać się jedno po drugim.

— Przepraszam - Clementine szepnęła do Gina. — Zaraz wracam.

Whitejack stał za kotarą i słyszał gwar narastającego podniecenia dochodzący z drugiej strony.

Uszczypnął Dolly w gruby tyłek.

— Słyszysz, mamuśka?

Dolly obciągnęła czerwoną satynową sukienkę, opasującą jej obfite kształty.

— Słyszę, czarny. Ale tylko jeden numer. Tylko się rozbieramy, nic więcej. Chyba im to powiedziałaś, co?

Oczy Whitejacka błysnęły wściekle.

— Komu mam mówić? Temu ramolowi? — powiedział wskazując Scotta, który stał w bezpiecznej odległości. — Dostaliśmy forszę i robimy, co chcemy.

— Żebyś nie zapomniał. — Wskazała gramofon, zainstalowany w rogu. — Tylko jedna płyta.

Odwróciła się do pozostałych dziewcząt i ze zgrozą zauważyła, że Carrie ledwo trzyma się na nogach.

— Spójrz na nią — syknęła. — Przecież ona zaraz uśnie.

— Nie martw się, kobieto. Mam trochę kokainy. Dam jej tuż przed wyjściem i pójdzie jak złoto.

Dolly zmarszczyła brwi i mocno szturchnęła w żebra Lucille.

— Pilnuj jej — warknęła ostro. — I pamiętaj: jeden numer i ze sceny.

— Jasne, Dolly — powiedziała ulegle. Bała się tej ogromnej kobiety. — Jak wyjdę, rób to co ja — szepnęła do Carrie. — Wszystko się uda.

Carrie przytaknęła obojętnie. Jej oczy zaszklily się. Nie miała pojęcia, gdzie jest ani nawet, kim jest. Pragnęła jedynie zamknąć powieki i odpłynąć, tam gdzie będzie miała święty spokój.

Clementine zajrzała za kotarę i stanęła oko w oko z Whitejackiem.

Ten posłał jej coś, co miało być czarującym uśmiechem.

Clementine skamieniała. Nikt jej nie powiedział o prawie dwumetrowym Murzynie z zębami jak betonowe płyty i zupełnie łysą, świecąca czaszką.

Kiwnęła głową, a jej wzrok prześliznął się po trzech kobietach. Stanowiły najdziwniejsze trio, jakie kiedykolwiek widziała.

— Możecie zaczynać, jak tylko będziecie gotowi — powiedziała.

— Proszę pani, my zawsze jesteśmy gotowi — odparł Whitejack, a uśmiech prawie przepołowił mu twarz.

Jeszcze raz kiwnęła głową i odeszła. Co za indywidua! Ciekawsi, niż się spodziewała.

Whitejack głośno cmoknął.

— Mamuśka, mamuśka, widziałaś, ile ona ma świecidełek? Dolly potrząsnęła lokami i zlekceważyła jego uwagę.

— Robimy, co mamy robić, i wynosimy się stąd, bo jeszcze zaczniesz dobierać się do jej dupy.

Spojrzał na nią, po czym wyciągnął z kieszeni małą torebkę białego proszku i studolarowy banknot. Zręcznie złożył go w rynienkę, nasypał na nią trochę kokainy i skinął na Carrie.

— No, malutka, chodź do tatusia. Chodź, to twój nosek dostanie cukiereczka.

Carrie patrzyła na niego nieprzytomnie. W końcu popchnęła ją Dolly. Whitejack podsunął banknot pod sam nos Carrie. Automatycznie wciągnęła narkotyki i zaczęła głośno pociągać nosem.

— Dobra dziewczynka — zawodził Whitejack. — Ten czarodziejski proszek zabierze cię na wycieczkę do ciepłych krajów.

Podszedł do gramofonu i włączył głośny ragtime. Po chwili wypchnął Carrie za kotarę.

Chwiała się lekko na wysokich obcasach i przez chwilę wydawało się, że upadnie. Odzyskała jednak równowagę i nie próbując nawet tańczyć, od razu zaczęła się rozbierać.

— Cholera! — warknął Whitejack, który zerkał na nią przez szparę w kotarze. Skończy, zanim zdąży zacząć.

Nagle chwycił za rękę Lucille.

— Wyłaż i zrób coś, żeby zaczęła tańczyć.

Prawie wyrzucił ją w kierunku widowni, która przywitała dziewczynę wybuchem śmiechu, głównie damskiego. Lucille natychmiast zrozumiała, o czym mówiła Dolly. Mieszana widownia to zupełnie coś innego. Kobiety, czując się bezpiecznie w futrach i klejnotach, były podłe, wrogie i złośliwe.

Carrie zdążyła zdjąć sukienkę i sięgała już, aby odpiąć koronkowy biustonosz.

— Tańcz, na litość boską, tańcz syknęła w tym momencie Lucille. Carrie usłyszała ją i zaczęła się mechanicznie kołysać. Lucille żywo poruszała drobnym ciałem w rytm chrypiącego regtime'u. Obie stanowiły przedziwne widowisko.

Widownia, choć nieco zażenowana, patrzyła z niedowierzaniem i nadal się śmiała.

Clementine poczuła gorąco na twarzy. To nie była rozrywka. To było coś okropnego. Co się działo z tą chudą Murzynką? Wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. A ta mała swoim tańcem nie mogła jej przecież w niczym pomóc.

— Clementine — szepnęła Esther — powiedz mi, co to ma być? Clementine uśmiechnęła się sztywno.

— Zaraz się rozkręci.

— Mam nadzieję, bo to jest godne pożałowania.

Clementine kipiała ze złości. Pięćset dolarów za coś takiego! Dała się zrobić w konia. Już ona powie coś Oswaldowi. Czy on też jest idiotą? To ma być ta wspaniała zabawa?

Po chwili ukazała się Doily, okazałych rozmiarów blondynka, która wiedziała, co robić, żeby zapanować nad widownią. Uratowała trochę sytuację, pokazując prawdziwy taniec striptizerki. Przynajmniej w ogóle się ruszała.

Obrzydliwe szepnął Bernard Diines do swej przyjaciółki. —Clementine musiała stracić zmysły. To może byłoby dobre na jakąś męską popijawę, ale nie tu.

Zmarszczył brwi. Nieszczęsna, młoda Murzynka kogoś mu przypominała. Miał niejasne uczucie, że kiedyś gdzieś już ją widział...

Teraz wszystkie trzy zaczęły się rozbierać. Najpierw biustonosze, potem podwiązki, jedna pończocha, druga pończocha, aż w końcu małe majteczki.

Gino rozejrzał się wokół. Wszystkie fircyki i gogusie wpatrywały się w trzy dziwki, za które nie dałby złamanego centa. Skąd, u diabła, pani Duke je wytrzasnęła?

Patrzył na nagie ciała i nie czuł nic oprócz znużenia. Zapalił cygaro, które wcześniej dostał od senatora, i spojrział bokiem na Clementine.

Wyglądała na zdenerwowaną.

Murzynka znalazła się teraz obok ich stolika. Zdjęła już całą górę. Jej duży biust zupełnie nie pasował do reszty wychudzonego ciała.

Zdejmowała drugą pończochę, kiedy upadła. Poleciała na podłogę jak kamień i leżała nieruchomo z nieprzyzwyczajonymi nogami.

— O Boże! — krzyknęła Clementine.

Po sali przeszedł szmer niepewnego śmiechu.

Muzyka grała dalej. Blondynka nie przerwała występu. Jej mała koleżanka zatrzymała się na chwilę, ale jedno groźne spojrzenie Dolly i natychmiast powróciła do tańca.

Gino zerwał się z krzesła, wziął leżącą dziewczynę na ręce i ruszył z nią w kierunku drzwi. Nie mógł jej przecież tak zostawić. Przy wyjściu stał Scott i razem ją wynieśli do hallu. Była lodowato zimna.

— Jest tu jakiś lekarz? — zapytał Gino. — Ona nie wygląda mi zbyt dobrze.

— Myślę, że wśród gości jest lekarz — odpowiedział sztywno Scott, próbując odwrócić oczy od nagiej dziewczyny, leżącej u jego stóp.

— Zanieśmy ją do jakiejś sypialni — zdecydował Gino. Zdjął swój nowy smoking i okrył nim Carrie.

— Będę musiał zapytać pani... — zaczął Scott.

— Powiedziałem: zanieśmy ją do łóżka. — Jego nieustępliwe i zimne oczy miały taki wyraz, że lokaj nie miał ochoty na dyskusję.

Wspólnie podnieśli nieprzytomną dziewczynę, zanieśli na górę do błękitnej sypialni i tam położyli do łóżka. Pot lał się z czoła Scotta. —

Teraz lepiej poszukaj lekarza — zadysponował Gino.

— Zapytam, co pani Duke życzy sobie, żeby zrobić, proszę pana — odpowiedział lekceważąco Scott. Nie miał zamiaru przyjmować poleceń od takiego... osobnika.

— Ach tak? Radzę ci, kurwa, pospiesz się i znajdź lekarza, bo będziesz mieć tu trupa dziewczyny. Powiedz to pani Duke i posłuchaj, co ona ci powie.

Scott odszedł w pośpiechu.

Gino spojrzał na nieprzytomną. Podniósł jej rękę, starając się wyczuć tętno, i zauważył wtedy wiele mówiące ślady. Drobne, czerwone bąbelki na skórze, z małutkimi otworkami i sińcami wokół nich. Puls był niepokojąco słaby. Otworzył jedną z jej powiek; źrenica o zwierzęcym wyrazie była szeroko otwarta i nieruchoma. Dziewczyna znajdowała się w bardzo złym stanie, a przecież to zaledwie dziecko. Nie miała więcej niż szesnaście, siedemnaście lat.

Ktoś faszerował ją narkotykami i zmuszał do rozbierania się za pieniądze. Gino poczuł narastającą w nim wściekłość. Jak można było wykorzystywać młode dziewczyny do takich celów!

No i gdzie jest, kurwa, ten lekarz?

Whitejack przeklął pod nosem, kiedy Carrie upadła, ale nie wyłączył muzyki. Odetchnął z ulgą, gdy ktoś zabrał ją z podłogi.

Przedstawienie mogło toczyć się dalej.

Wspaniały aplauz uwieńczył koniec pokazu i naga Dolly popędziła za kotarę.

— Ty zawszawiony czarnuchu! — wrzasnęła. - 1 co teraz zrobimy? Whitejack niezbyt lubił być nazywany czarnuchem. Co najwyżej przez innego Murzyna.

— Zamknij ten tłusty ryj, biała suko — warknął. Ubieraj się. Bierzymy Carrie i spływamy.

— Ja sobie sama dam radę — odpowiedziała drwiącym głosem Dolly, zakładając majtki.

— To jest doktor Reynolds powiedziała Clementine, wbiegając do pokoju wraz z siwym mężczyzną. Gino stał obok łóżka.

Nie wygląda to zbyt dobrze, doktorze.

— Pan też jest lekarzem? - zapytał łagodnym głosem doktor Reynolds.

— Tylko wtedy, gdy jest to konieczne. Clementine położyła mu dłoń na ramieniu.

- Poczekajmy na zewnątrz - powiedziała cicho. Gino spojrzał doktorowi prosto w oczy.

To mała ćpunka — stwierdził pewnym głosem. — Proszę spojrzeć na jej ręce.

Clementine wyprowadziła go z pokoju i westchnęła.

— To chyba jest najgorsze przyjęcie, jakie kiedykolwiek wyprawiałam. — Daj spokój. Przyjęcie jest wspaniałe. Skąd mogłaś wiedzieć, że przyślą ci takie obleśne striptizerki. Myślałaś, że to tancerki?

— Wiedziałam, że to striptizerki, ale myślałam, że dobre striptizerki. Ktoś mi powiedział, że potrafią świetnie bawić gości. Czuję się tak... głupio. Stanę się pośmiewiskiem.

— Pierniczysz.

Mocniej ścisnęła jego ramię.

— To mi się właśnie w tobie podoba. Jesteś tak bezpośredni i niezaklamany.

Zielone oczy znowu wysyłały sygnały, a Gino chciał na nie odpowiedzieć.

— Clementine... zaczął.

Gdzie moja mała siostrzyczka? odezwał się doniosły głos. Po schodach weszli po kolei Whitejack, Dolly, Lucille, a za nimi człapał

Scott, Gino zastawił sobą drzwi sypialni.

To pana siostra? — zapytał ostro, lustrując Whitejacka i od razu zorientował się, z kim ma do czynienia.

— No jasne — padła pewna odpowiedź. Chcę ją zobaczyć.

— Teraz jest przy niej lekarz, panie...? — Clementine zawiesiła głos. Whitejack nie zawracał sobie głowy prezentacją.

— Ona nie potrzebuje żadnych lekarzy — odparł obcesowo. — Od czasu do czasu po prostu mdleje. Nie ma się czym przejmować. —

Próbował wyminąć Gina.

— Przecież pani Duke powiedziała — mówił wolno i zdecydowanie — że jest u niej lekarz. Proszę więc zaczekać.

Spojrzeli sobie prosto w oczy, po czym Whitejack wzruszył ramionami.

— Dobrze, dobrze. Tylko że to jest marnowanie czasu. Trzeba ją po prostu wsadzić w samochód, zabrać do domu, do mamy, a jutro będzie jak nowo narodzona.

— No — rzucił Gino. — Gotowa na następną działkę.

— Co? — zapytał szybko Whitejack. Wkroczyła w to wszystko Dolly.

— Może ja tylko na nią zerknę, wezmę nasze rzeczy i jutro po nią przyjedziemy.

Gino kiwnął głową. Blondyna była sprytna. Wyczuwała drakę i wołała szybko zniknąć.

- Nie możecie zostawić jej tutaj — przeraziła się Clementine. Gino spojrzał na nią zdziwiony.

Dlaczego nie? spytał. Jeżeli jest zbyt chora, żeby jechać, to wyrzucisz ją na ulicę?

— Brat chce ją zabrać do domu.

— Gówno, nie brat.

— Nie wiem, kim pan jest, ale... — zaczął złowieszczo Whitejack. Przerwała mu Dolly, chwytając go za rękę.

— Poczekamy w samochodzie. Nie szukamy awantury ani żadnej rozruchy. Zaczęła go ściągać w dół schodów. Za nimi ruszyła Lucille, a na końcu

Scott, aby dopilnować, że trafią do drzwi. Clementine stała w osłupieniu.

— Gino, o co tu chodzi?

— Uciekają.

— Dlaczego? - Za chwilę twój przyjaciel lekarz poruszy niebo i ziemię, gdy stwierdzi, że to nieletnia i w dodatku naćpana. Oni za to poszliby do więzienia.

— To znaczy, że dawali jej narkotyki?

— Na to wygląda.

— Ale to jego siostra!

— Clementine, pomyśl chwilę. Ona jest jego siostrą jak ja twoim bratem. Przez chwilę nic nie mówiła.

— Ach, rozumiem — odparła po jakimś czasie. Stali w milczeniu aż do wyjścia lekarza.

— Dziewczyna jest narkomanką — powiedział bezbarwnym głosem. — Przedawkowała. Musimy natychmiast zabrać ją do szpitala.

— O Boże! — krzyknęła Clementine. — Niech ktoś pójdzie po Oswalda. On będzie wiedział, co robić.

— To nie jest takie skomplikowane powiedział Gino. — Po prostu trzeba wezwać karetkę.

— Nie możemy. Wyobrażasz sobie tytuły w gazetach? *Narkomanka na przyjęciu u senatora*. To niemożliwe.

Gino kiwnięciem głowy przyznał jej rację.

— Słuchajcie — powiedział zniecierpliwiony doktor Reynolds. — Dziewczyna jest bardzo chora. Musi być hospitalizowana.

— Dobrze, ja się tym zajmę — zdecydował Gino.

— Ale jeśli sam ją zabierzesz do szpitala, to czy oni nie pomyślą, że masz z tym coś wspólnego? — zapytała Clementine.

— To już moje zmartwienie — odparł. No, dalej, bierzemy ją do samochodu.

— Dziękuję — szepnęła wdzięczna Clementine. Podjąłeś decyzję, której nigdy nie będziesz żałował.

Środa, 13 lipca, 1977

Nowy Jork i Filadelfia

— Wydaje mi się, że mam halucynacje — narzekała Lucky. — Albo to, albo już, kurwa, głupieję. Cały czas widzę duże, wygodne łóżko i szklankę zimnego soku pomarańczowego. — Zaczęła się kręcić. — A dupę mam już drewnianą. A jak twoja?

Steven nie odpowiedział.

— Dziękuję, dobrze — odpowiedziała sama, naśladowując jego głos. — Zresztą na pewno tak jest. Masz pewnie dupę ze skóry wołowej.

Niech cię Bóg broni narzekać na cokolwiek. — Czekala, aż coś powie.

Nic nie powiedział.

— Ciekawa jestem — mówiła dalej — czy dostanę odwindziny. Wiesz, tak jak odleżyny czy inne takie.

Nadal milczał.

— Cholera, powiesz coś do mnie czy nie? Cisza.

— Jesteś dureń, wiesz o tym? Wstała i przeciągnęła się. Trzeba utrzymywać kondycję. Boże! Czy tak właśnie zamykano więźniów w karcerach? Nic dziwnego, że były te cholerne bunty.

Zrobiła skłon do palców u nóg i zmęczona usiadła na powrót. Zdjęła z siebie całe ubranie, rzuciła wszystko na kupę, tak aby miała na czym usiąść. Wyobrażała sobie, jaki to będzie kapitalny widok, kiedy w końcu ktoś ich uratuje. Niezła gratka dla strażaków albo policji, czy kogokolwiek, kto po nich przyjdzie. NAGA KOBIETA Z MURZYNYM, ZNALEZIENI RAZEM W WINDZIE. Albo lepiej: LUCKY SANTANGELO, CÓRKA SŁAWNEGO GINA SANTANGELO, ZNALEZIONA NAGO Z MURZYNYM W WINDZIE.

Gino. Cholera! Po co o nim myślała?

Dlatego, że Gino wraca. A jak, do cholery, może cokolwiek zrobić, siedząc zamknięta w pieprzonej windzie?

Chłopak wrzeszcząc wpadł do kuchni, rzucając bez przerwy przekleństwami.

— Znajdę cię, kulafonie! Odetnę ci jaja i zagram nimi w tenisa. Dario kucał ukryty w ciemnościach, trzymając przed sobą śmiercionośny

nóż rzeźnicki.

— Wyłaż, pedale! Wiem, że tu jesteś, wiem. — Zaśmiał się maniakalnie. — Pokroję cię na plasterki jak kawałek wołowiny i usmażę sobie twoją dupę na kolację!

Carrie, stojąc przed sklepem mięsny na 125 ulicy, nikomu nie rzuciła się w oczy. Stała tam przynajmniej od godziny i wyglądała mniej więcej jak strach na wróble.

Powoli doszła do wniosku, że nikt już nie przyjdzie. Była sama i sama zostanie. Awaria elektryczności musiała pokrzyżować plany również i szantażyście.

Na ulicy wzniecono kilka pożarów. Słysząc już było wycie syren i silników wozów strażackich. Przy każdym pożarze zbierał się dziki tłum. Strażacy, usiłujący gasić płomienie, obrzucani byli butelkami i puszkami.

Carrie robiło się niedobrze na sam widok. Widziała, jak grupa chłopaków wciągnęła dziewczynę w boczną ulicę. Widziała starszego człowieka z za-

krwawioną gową, który ledwo dźwigał zestaw stereofoniczny. Widziała, jak dwóch innych mężczyzn zabrało mu zdobycz i uderzeniami powaliło na jezdnię. Carrie uciekła.

Pozbywszy się dziewczyny, Gino podniósł słuchawkę.

— Proszę podać numer abonenta — odezwała się telefonistka. Zaczął wymieniać cyfry numeru Costy w Nowym Jorku, ale po chwili rozmyślił się. Lepiej nie dzwonić. Po co zawiadamiać policję, gdzie jest? Najprawdopodobniej mieli telefon Costy na podsłuchu.

— Nieważne — powiedział do telefonistki.

Wstał, odpiął spodnie i zdjął je już po raz drugi tego wieczora. Uśmiech sam przyszedł mu na twarz.

Kto by pomyślał, że Gino Baran nie skusi się na rozebraną panienkę? Gino Baran — jego stare przezwisko. Od lat nikt tak do niego nie powiedział.

Założył piżamę, wsadził pod poduszkę pistolet i włączył telewizor.

Johny Carson.

Usiadł i zaczął oglądać.

Johny Carson — teraz poczuł, że naprawdę jest w Ameryce.

— Posłuchaj — wymamrotała Lucky jak myślisz? Możemy się udusić w tej pralni? Bo coś mi się wydaje, że ja już zaczynam.

— Jest wystarczająco dużo powietrza, tylko że jest gorące.

— O, proszę! Znowu mówisz. Dzięki Bogu!

Steven westchnął i poprawił się na podłodze. Tak, Lucky, dupa mnie boli, plecy sztywnieją, a nogi mam jak kołki. Chce mi się lać, a za szklankę wody mógłbym zabić.

— Dlaczego sądzisz, że rozmowa w czymś pomoże? zapytał. Przecież nie mamy o czym mówić. Jest mi tu wystarczająco niewygodnie bez jakiejś głupiej gadaniny.

— Stokrotne dzięki! Wiesz, że do kłótni potrzeba dwojga.

— Właśnie dlatego siedziałem cicho.

— Nie lubisz mnie? — zapytała znienacka.

— Przecież ja ciebie nawet nie znam. I nie wydaje mi się, żebym chciał poznać.

— Dlaczego?

— No i od początku. Lucky ziewnęła.

— Znasz mnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Bo ja znam ciebie. -- Skąd?

Uśmiechnęła się w ciemności.

— Jaja ci śmierzdzą — powiedziała, siląc się na uliczny, murzyński akcent.

Udało jej się wprawić go w zażenowanie. Nastąpiła cmentarna cisza. Lucky pociągnęła kilka razy nosem. Zapach jego i jej potu unosił się w powietrzu. Nie da się ukryć: śmierzdziało.

— Przepraszam — powiedziała cicho. Zupełnie głupieję. Jak długo to już trwa?

Steven nie odpowiedział.

Dario wstrzymał oddech. Chłopak by! bardzo blisko, w zasięgu ręki. Spoconymi rękoma mocno ścisnął nóż.

Chłopak poruszał się wolno, wyczuwając, że ofiara jest tuż tuż. Nie krzyczał już głośno, jedynie bełkotał monotonicznie pod nosem.

— Ty skurwysynu... kulalonie... dupku...

Carrie biegnąc wpadła prosto w ramiona policjanta, który brutalnie ją zatrzymał.

— Gdzie biegiesz, czarna?

Nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś tak do niej się odezwał. Spojrzała mu prosto w oczy, odwinęła się i strzeliła go w twarz tak mocno, jak tylko mogła.

Policjant stanął jak wryty.

— To ci numer...

Wywinęła mu się i zaczęła uciekać. Ale nie była już młodą dziewczyną i policjant łatwo ją dogonił.

— Jesteś aresztowana, dziwko! — powiedział zakładając jej kajdanki na ręce. — Za obrazę policjanta na służbie.

— Pan nie rozumie... — sapłała. — Ja jestem pani Elliot Berkely.

— No to co? Ja jestem Dolly Parton, co jeszcze nie znaczy, że sram cukierkami.

Popchnął ją w kierunku furgonetki policyjnej, która stała tuż obok krawężnika, i wepchnął do środka. Samochód był już po brzegi wypełniony awanturującymi się Murzynami. Nie było gdzie usiąść. Carrie stała ramię w ramię, udo w udo z pozostałymi współwięźniami.

— To jest kurewska niesprawiedliwość! — wrzeszczał pewien wysoki mężczyzna. — Wziąłem tylko trampki. Inni zwijali po kilka par skórzanych za sześćdziesiąt dolarów, a ja wziąłem tylko jedne pieprzone trampki!

Była tam też niezwyklej urody Portorykanka.

— Por que, por que? -- powtarzała bez końca, kiwając się z nogi na nogę z zamkniętymi oczyma.

Carrie chciała zadawać podobne pytania.

Około 2.30 w nocy do drzwi apartamentu Gina w Filadelfii rozległo się głośne walenie pięściami.

Powoli zaczął się budzić, zastanawiając się, gdzie jest. Namacał zegarek, włożył szlafrok, do kieszeni schował pistolet i podszedł do drzwi.

— Kto tań? — zapytał podejrzliwie, myśląc: „Co ja tu, u diabła, robię, sam w jakimś hotelu w Filadelfii?”

Zapomniał, że wrócił do Ameryki. W Ameryce nigdy się nie jest samemu, a już na pewno nie wtedy, gdy ktoś nazywa się Gino Santangelo.

Gino

1934

Clementine Duke miała rację. Gino nigdy nie miał powodów, aby żałować decyzji, jaką podjął w tamtą fatalną noc październikową w 1928 roku, na przyjęciu u senatora. Był to główny punkt zwrotny w jego życiu.

Teraz, sześć lat później, ponownie znalazł się w posiadłości w Westchester. Leżał na łóżku w błękitnym pokoju gościnnym i wspominał

chwilę po chwili.

Zawiózł wtedy dziewczynę do szpitala, zostawił ją tam i odjechał, zanim ktokolwiek zaczął zadawać jakiegokolwiek pytania. Co się z nią później działo, to już jej zmartwienie. Nie narzekał na niedostatek ofiar losu, którym musiał pomagać.

Clementine była naprawdę wdzięczna. Tydzień później zaprosiła go do domu w Nowym Jorku, aby opowiedział jej wszystko po kolei.

Miał to być niby obiad, ale jak się później okazało, nie to było jej w głowie.

Nigdy nie zapomni tego wieczora. Byli tylko we dwoje, bez służących i bez senatora. Światło świec i zapach kadzidła tworzyły nastrój w altanie.

Clementine ubrana była w suknię cienką jak bibułka. Cholerne sutki, oczywiście, zaglądały Ginowi prosto w oczy. Trzymała mocno jego dłoń i mówiła niskim głosem:

— Przypuszczam, że wiesz, że mój mąż jest homoseksualistą.

— Kim?

— Homoseksualistą. To znaczy, kimś takim, kogo nie podnieciłyby moje mlecznobiałe uda, oplatające jego nieco tłustawy brzusek. On woli mężczyzn. Podobają mu się płaskie, twarde tyłki, szczególnie młode i najlepiej czarne.

— To znaczy, że jest pedałem, tak?

— ^Właśnie. Widzę, że twój język ulicy dużo lepiej to oddaje..

— Jezusie! — Gino aż zagwizdał. Chyba jednak żartujesz. Pedały się nie żenią.

— Nie? Powiedz to mojemu mężowi. Myślę, że może mieć inne zdanie na ten temat.

— Po co mi to mówisz?

— A jak myślisz? Zmrużyła zielone, kocie oczy, po czym ujęła jego dłoń i położyła sobie na piersiach.

Gino nie potrzebował dalszego zaproszenia. W końcu, pod płaszczykiem tych wszystkich arystokratycznych sztuczek, kryła się jedynie jeszcze jedna dupa. Przerobił ją dobrze. W altanie, w świetle świec.

Wzdychała, jęczała i głośno wymawiała jego imię podczas orgazmu. Gdy było już po wszystkim, uśmiechnęła się.

— Wiedziałam, że będziesz dobry — powiedziała. — Trochę dziki, no, ale jesteś jeszcze młody.

Gino poczuł się urażony, a do tej pory nie miał powodów do narzekania.

— Co to znaczy dziki?

— Pokażę ci.

I pokazała. Jeszcze raz, krok po kroku, przeszli przez wszystko, co zrobili wcześniej. Tylko że tym razem chciała, żeby robił to dużo wolniej i dużo, dużo delikatniej.

Piersi lepiej lizać niż ssać zaproponowała. Widzisz, jak to jest przyjemnie, gdy ci tak robię? Miała rację.

Kiedy jesteś w środku, nie spiesz się. rozluźnij się. Przecież to nie jest pompowanie opony. Realizujesz swoja zmysłowość.

Moje co?

— Żądze. Twoją zmysłową namiętność.

— Słuchaj, mów do mnie po ludzku. Zaśmiała się delikatnie.

Wydaje mi się, że tak się skupiłeś na tym, żeby zaspokoić kobietę, że zapomniałeś o własnych przyjemnościach.

— Mnie jest całkiem przyjemnie — protestował. Uciszyła go, kładąc mu palec na usta.

— No tak, oczywiście. Jeden krótki orgazm. A ja chcę, żeby trwał tak długo jak cała moja faza *plaleau*.

Uszczypnął ją w białą, gładką pupę.

— Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz.

— Jeszcze zrozumiesz.

I tak też się stało. Po pewnym czasie.

Po kilku miesiącach sztukę kochania doprowadzili do takiej perfekcji, że Gino z niecierpliwością

czekał na każde spotkanie. Zrozumiał, o czym kiedyś mówiła. Nauczył się nawet kilku słów: wyuzdany, hedonistyczny, zmysłowy. Ich kochanie się obejmowało wszystkie te pojęcia. O ile wcześniej myślał, że jest dobry w tych sprawach, tak teraz przekonał się, że wszystko, co robił, było zaledwie małą przygrywką.

Stając twarzą w twarz z senatorem Duke'em, Gino poczuł wyrzuty sumienia.

— Nie bądź śmieszny — skarciła go Clementine. — Jemu jest wszystko jedno. Ma inne zainteresowania. Mówiłam ci. Poza tym, on cię lubi, uważa cię za bardzo bystrego chłopaka. Jak tylko zachowamy dyskrecję...

Clementine cały czas nalegała, żeby Cindy pozostała jego stałą dziewczyną i mieszkała razem z nim.

Nie mogłabym być o nią zazdrosna powiedziała lekkim głosem po spotkaniu z nią. Przynajmniej wiem, że dostaniesz co rano śniadanie.

Dostawał więcej niż śniadanie. Cindy robiła wszystko, żeby okazać się niezastąpioną. Gotowała, sprzątała, prała mu ubrania, prowadziła samochód.

kiedy było trzeba, i co najważniejsze, sporządzała zapisy licznych transakcji. A poza wszystkim, była piękna jak zawsze.

W ciągu niespokojnych sześciu lat Gino Santangelo wspiał się na szczyt. Z odrobiną pomocy przyjaciół.

Charlie Lucania nazywany teraz Lucky * Luciano z powodu szczęśliwego powrotu z akcji. Nazwisko zmieniło brzmienie dla łatwiejszej wymowy.

Enzio Bonnatti uciekł z Chicago i osiadł w Nowym Jorku zaraz po pamiętnej masakrze w Dniu Świętego Walentego, 14 lutego, 1929

roku. W Chicago w garażu przy ulicy North Clark konkurencyjna banda rozstrzelała z karabinów maszynowych siedmiu gangsterów.

Mówiło się, że odpowiedzialnym za to był Enzo, który zwinął manatki, zanim dosięgła go zemsta. Jego wina nigdy jednak nie została udowodniona.

Aldo Dcnunzio twardy, sumienny pracownik z odpowiednią ilością deprawacji we krwi. Żonaty z Barbarą Riecaddi, która trzymała go bardzo krótko. Ojciec dwojga dzieci. Trzecie w drodze.

I senator Oswald Duke. Najważniejszy ze wszystkich przyjaciół.

Gdyby nie senator, nie wiadomo, co stałoby się z Ginem Santangelo. Byłby tylko jeszcze jednym rzezimieszkiem, żyjącym z handlu alkoholem. Ciągnąłby swój drobny interesik, a zyski wydawał na garnitury, samochody, przyjęcia i kobiety.

Senator Duke, tak jak obiecał, uczynił pieniądze Gina legalnymi. Kilka tysięcy włożył tu, kilka

tysięcy lam, inwestując w dobre i pewne akcje.

Na początku Gino czuł się trochę nieswojo. Lubił mieć gotówkę. Mógł wtedy pójść do skrytki w banku i położyć ręce na stosie banknotów.

Zaufaj Oswaldowi - nalegała Clementine. On zrobi z ciebie bogatego człowieka.

Gdy Gino czytał w „Wall Street Journal”, że jego akcje idą w górę, powoli dał się przekonać.

Zaczął nawet protestować, gdy wiosną 1929 roku Oswald nalegał na sprzedaż akcji i zainwestowanie pieniędzy za granicą.

Potem ze złością patrzył, jak jego wyprzedane akcje ciągle zwyżkowały.

- Cholera! — użalał się senatorowi. Musiałeś je teraz sprzedawać?

— Poczekaj, to zobaczysz dlaczego - odpowiedział Oswald.

No i stało się: 29 października 1929 roku krach na giełdzie pochłonął wiele majątków i z wielu uczynił bankrutów. Był to początek wielkiego kryzysu gospodarczego w Ameryce.

Gino nie odczuwał żadnego kryzysu. Był w wyjątkowo dobrej kondycji.

Od tego dnia w sprawach finansowych wykonywał wszelkie kroki, zalecane przez senatora. Ten, oczywiście, w zamian prosił od czasu do czasu o drobne przysługi. Nic poważnego. Senator kładł dłoń na ramieniu Gina i mówił:

.....- Chciałbym, żebyś sprawą zajął się osobiście, mój drogi.

*** lucky (ang.) szczęściarz.**

I tak też się działo.

Zakres usług rozpoczynał się od postraszenia kastracją pewnego murzyńskiego muzyka jazzowego, gdyby jeszcze kiedyś niepokoił

senatora, do wybicia z głowy podrzędnemu dziennikarzowi pomysłu na pewien demaskatorski artykuł, którego senator nie życzył sobie publikować.

Oswald bardzo rzadko prosił o jakiegokolwiek przysługi, więc Gino w ogóle się nimi nie przejmował. Było mu też wszystko jedno, o co prosił senator. W końcu dmuchał jego żonę i dzięki niemu robił pieniądze. Czegóż więcej można chcieć.

Enzio Bonnatti przeniósł się do Nowego Jorku w samą porę. Giełda była w rozsypce, strach i panika były jedynymi jej produktami. Złote lata dwudzieste zmierzały ku końcowi. Pieniądzy, które kiedyś niemal leżały na ulicy, było coraz mniej. Nielegalne bary alkoholowe zamykały się jeden po drugim. W rezultacie wybuchały nie spotykane dotąd wojny między gangami. Brakowało pieniędzy, a każdy

chciał złapać to, co jeszcze zostało.

Największą wojnę toczyli Giuseppe Joe-the-Boss Masseria i Salvatore Maranzano, dawni członkowie starego gangu Mustache Petes.

Lucky Luciano, Enzo Bonnatti, Vito Genovese i Frank Costello, narybek podziemnego świata, stali z boku i obserwowali rozwój wydarzeń, mając nadzieję, że obaj wyrzną się nawzajem.

Gino trzymał się nieco z dala. Był teraz prawą ręką Enzia, później stanie się współnikiem.

Wojna, zwana po włosku *castellammarese, szalała* przez kilka lat, a zakończyła się zabójstwem Masserii w kwietniu 1931 roku i Maranzana kilka miesięcy później.

Gdy Mustache Petes przestali się liczyć, Lucky Luciano mógł wyjść na czoło. A wraz z nim jego przyjaciele i współnicy.

Luciano chciał przebudować strukturę mafii i utworzyć ogólnokrajowy syndykat, który działałby w zgodzie i spokoju. Powołał

specjalną komisję i sam mianował się jej przewodniczącym. Z niechęcią jednak przyznał każdemu z członków równe prawa głosowania.

Ginowi, który też należał do komisji, podobał się styl Lucanii. Podziwiał go za siłę, spryt i głowę do interesów. Morale specjalnie Gina nie interesowało.

— Ten człowiek to morderca pewnego dnia powiedziała Ginowi Clementine. — To on zorganizował zabójstwo tego Massarii. Jadł z nim lunch i w pewnej chwili poszedł do toalety. Wtedy wpadli nasłani przez niego ludzie i rozwalili faceta. Luciano powinien siedzieć w więzieniu. Więcej już go nie zaproszę na żadne przyjęcie.

Gino nie mógł powstrzymać uśmiechu. Akceptacja niektórych osób przez Clementine wyrażała się tym, że niektórzy byli zapraszani na jej przyjęcia, a niektórzy nie. Jednakże lubił z nią rozmawiać. Jak na babę, wiedziała całkiem dużo. Wiele można było się od niej nauczyć. A jeszcze więcej od jej męża.

O planach zniesienia prohibicji Gino wiedział od Oswalda dużo wcześniej, nim w grudniu 1933 roku ukazał się oficjalny akt. Do tego czasu zdążył

wejść w inne interesy: hazard, udzielanie pożyczek i nielegalne gry liczbowe. Mimo nacisków Enzia, nie dał się wciągnąć w prostytucję i narkotyki. Z powodu tej różnicy poglądów rozstali się w styczniu 1934 roku i każdy z nich poszedł własną drogą. Rozeszli się jak najlepsi przyjaciele. Aldo zdecydował pozostać z Ginem, który wysoko ocenił tę oznakę lojalności. Od samego początku dobrze im się razem pracowało.

Stary wróg Gina, Pinky Banana, uwikłał się w pewną brudną sprawę i musiał wynieść się z miasta. Aldo odetchnął z ulgą. Cały czas wyobrażnia podsuwała mu obraz Pinky'ego, podkradającego się w ciemną noc, aby dokonać zemsty.

Mimo kryzysu, interesy Gina stały całkiem niezłe. Gry liczbowe przypadły do gustu wszystkim, począwszy od taksówkarzy, a skończywszy na dyrektorach banków. Zapewniały przyzwoitą dawkę emocji. Można było postawić dziesięć lub dwadzieścia pięć centów na pewną liczbę i jeśli właśnie ta liczba została wylosowana, wygrywało się dwieście lub trzysta dolarów, a nawet więcej, w zależności od postawionej sumy.

Gino nazywał ją głupkowym. Pieniądze płynęły strumieniami.

W trzech dzielnicach Gino posiadał ponad pięćdziesiąt kolektur przyjmujących zakłady. Te przekazywały pieniądze do pięciu głównych agend, którymi zwykle były sklepy ze specjalnie wydzielonym pomieszczeniem na zapleczu. Tam zapisywano każdy zakład i przechowywano pieniądze aż do przejęcia ich przez odpowiedniego człowieka. Kokosowy interes.

Oprócz pieniędzy, które inwestował senator, Gino zdołał wypchać gotówką depozyty w wielu bankach świata.

Wiedział, że nie może wydawać tych pieniędzy, nie posiadając legalnego źródła utrzymania. Na początku 1933 roku kupił więc nocny klub. Twierdził, że pieniądze wygrał na wyścigach. Do czasu zniesienia prohibicji lokal został odnowiony, Gino dostał zezwolenie na sprzedaż, alkoholu i interes ruszył pełną parą. Klub, który nazywał się „ClemmieY”, natychmiast zyskał powodzenie.

Gino w końcu przekonał Verę, aby porzuciła prostytutkę i zaczęła pracować u niego jako szatniarka. Zgodziła się, gdyż dawało jej to bardziej regularne dochody, których część chciała odłożyć na powrót Paola. Już w tydzień po wyjściu z więzienia Paolo dostał pięć lat za napad z bronią w rękę. W czasie tego tygodnia ani razu nie pofatygował się, żeby odwiedzić Verę.

- Musiał być zajęty- utrzymywała z uporem, mocno przekonana, że

Paolo jest miłością jej życia, a nie drobnym, ale niebezpiecznym kryminalistą.

— Chyba jesteś nienormalna, że czekasz na niego — tłumaczył jej Gino.

— Ty prowadzisz swoje życie, a ja swoje — odpowiedziała pouczającym

tonem Vera.

Clementine bardzo się cieszyła, że „ClemmieY” odnosił takie sukcesy. Od czasu do czasu sama pojawiała się w klubie, co zaczęło ściągać do mego większość wyższych sfer Nowego Jorku. Gino jako właściciel i jednocześnie osoba reprezentacyjna był dodatkową atrakcją. Kobiety uwielbiały go, czym

Clementine już mniej się zachwycała. Jednak to, żeby się ożenił z Cindy było jej pomysłem.

— Ona wie o tobie wszystko. Jeżeli policja podatkowa zacznie węszyć to musisz mieć coś na obronę. Ożeń się z nią. W ten sposób nie będzie mogła świadczyć przeciwko tobie, gdyby coś na ciebie znaleźli.

To był cwany pomysł.

— Masz rację — powiedział Gino. — Chyba tak zrobię

Teraz leżał na łóżku w błękitnej sypialni w Westchester, w rezydencji państwa Duke. Palił cygaro i czekał na ślub.

Czas nie zrobił Cindy żadnej krzywdy. Dodał jedynie bystrości spojrzeniu oraz masę klejnotów i wszelkich damskich ozdóbek. Clementine nie miała jej nic do zarzucenia. Nie pochwałała natomiast aż takiej hojności Gina. Ale przecież nie mógł postępować inaczej. Ile dziewczyn zniosłoby działalność na dwa fronty, jaką on uprawiał? Na pewno niewiele.

No dobrze, sprowadziła się do niego z własnej, nieprzymuszonej woli, ale to jeszcze nie powód, żeby ją okłamywał. Udawał że jest zaręczony, podczas gdy jego słoneczko z San Francisco od dawna miało męża. Cindy dowiedziała się o tym po narodzinach dziecka.

Dziesięć miesięcy po tym, jak sprowadziła się do Gina. Wiadomość przekazał telefonicznie Costa.

— Powiedz Ginowi, że Leonora urodziła dziewczynkę.

Aż nie mogła się doczekać, żeby mu to przekazać.

— Gino, kochanie, twoja narzeczona urodziła dzisiaj dziecko. To chyba już nie jesteś zaręczony, co?

Gino pobladł i sztywnym krokiem wyszedł bez słowa. Później nigdy na ten temat nie rozmawiali. Było jednak pewne, że żaden ślub nie wchodzi w grę.

Cindy nadal mocno przy nim tkwiła. Widziała, że Gino coraz wyżej wspina się na drabinę sukcesu, i chciała iść razem z nim. I tak też robiła nawet bardzo udanie. '

Teraz mieli wziąć ślub — ostatni krok do pełnego sukcesu Powinna być szczęśliwa jak skowronek. Ale nie była. Była markotna, zgryźliwa i zupełnie załamana.

Gino Santangelo nie będzie jej mężczyzną. W każdym calu, łącznie z zawartością portek, należał do tej dziwki Duke.

Costa Zennoeotti delikatnie zapukał do drzwi błękitnej sypialni. — Proszę — krzyknął Gino.

Costa wszedł balansując tacą z dwoma kieliszkami, butelką białego wina i talerzykiem krakersów.

Gino podniósł się na łóżku.

— Po co przynosisz mi te siki? Powiedziałem, żebyś przyniósł mi drinka, a nie wino.

— Pani Duke powiedziała, że mam ci przynieść właśnie wino.

— Odpieprz się z panią Duke. Costa postawił tacę na stole.

— Ona tak powiedziała, a ja nie miałem zamiaru się z nią sprzeczać. Gino zaśmiał się. Co takiego miała w sobie Clementine, że wywo-

ływała posłuszeństwo młodych mężczyzn?

— No, to nalej mi kieliszek — powiedział, oglądając świeżo wyma-nicuirowane paznokcie. — Na co czekasz?

Costa wykonał polecenie. Do Nowego Jorku przyjechał poprzedniego dnia. Był bardzo zadowolony i czuł się wyróżniony, że Gino poprosił go na drużbę. Nie widzieli się od jego ostatniej wyprawy w 1928 roku i chociaż, pisali do siebie listy, przemiana, jaką zaobserwował u przyjaciela, zrobiła na nim wrażenie. Costa nie potrafił dokładnie określić, na czym ona polegała, ale był pewien, że coś się zmieniło. Przede wszystkim emanowało od Gino poczucie spokoju i pewności siebie. Coś, co zwykle nie występuje u dwudziestoosmiolatków, ale u panów po czterdzieście albo i pięćdziesiątce. Przestał być małym narwańcem, wałęsającym się po ulicy.

Od pięt po czubek głowy chodził teraz ubrany jak ważny pan.

Przestał smarować tłuszczem kruczoczarne włosy. Nosił je krótko obcięte, z naturalnie kręconymi lokami. Wydawało się też, że urósł.

Costa nie wiedział, że w ręcznie robionych butach Gino miał specjalne wkładki.

Ubrania nosił wyłącznie najlepszego gatunku. Na miarę szyte trzyczęściowe garnitury, włoskie jedwabne koszule, stroje sportowe z kaszmiru i wigoniowe płaszcze. Minęły już czasy wszelkich pasków i koszul o wściekłych kolorach.

Dodatki jubilerskie też były w dobrym guście. W krawacie diamentowa szpilka, złoty łańcuszek przy drogim zegarku firmy Cartier, a na małym palcu bardzo prosty sygnet z pojedynczym diamentem.

Tylko blizna na policzku zdradzała trudne początki. Blizna i nieustępliwe, czarne oczy, które nadal wyrażały nieujarzmioną dzikość, czającą się gdzieś w środku.

Costa spojrział na zegarek.

Zostało dokładnie pół godziny — powiedział podekscytowany. Jak się czujesz?

Normalnie.

— Nic denerwujesz się?

- A czym mam się denerwować? Mieszkam z nią od sześciu lat. Costa kiwnął głową. Rzeczywiście, mieszka z nią, odkąd Leonora wyszła za innego...

— Co u Leonory? — zapytał Gino od niechcienia, jakby czytając w myślach przyjaciela.

Lewe oko Costy drgnęło.

— W porządku. — Nie chciał mówić prawdy. Leonora piła, puszczała się na lewo i prawo, zupełnie zaniedbywała dziecko.

— A jak mała? Ile teraz ma lat?

— Prawie sześć. Ładna jak lalka.

Gino poczuł kluskę w gardle, ale nadal mówił opanowanym głosem:

— Domyślam się. Jak się nazywa?

— Maria. Zgasił cygaro.

— Ładne imię. — W jednej chwili zapragnął mieć dziecko z Cindy. Najchętniej zrobiłby to zaraz.

— Może w końcu się ubierzesz — powiedział Costa. Gino wstał.

— Masz rację. - Spojrzał bokiem na kolegę. Mały wyglądał całkiem nieźle. Typowy wypiękniony absolwent college'u, który skończył z wyróżnieniem trzy lata prawa. Pracował teraz w biurze ojca.

— Masz dziewczynę? Costa skrzywił się.

— Nie czytasz moich listów? — zapytał z wyrzutem.

— Czytam. Zawsze na nie czekam.'

— No, to dlaczego pytasz, czy mam dziewczynę? Pół roku temu napisałem ci, że jestem zaręczony z Jennifer Briely.

— Ten list musiał nie dojść. Jaka ona jest?

— Jennifer? Widziałeś ją. To ta przyjaciółka Leonory, którą spotkałeś u nas. Pamiętasz?

— A tak... jasne... bardzo ładna. — Pod hasłem Jennifer Jakaśtam miał zupełną pustkę w głowie. W ogóle jej nie pamiętał. — No, to kiedy będzie finał?

Costa zrobił poważną minę.

— Nie wiem. Musimy poczekać, aż do czegoś dojdę. Za rok, może dwa.

— Costa — Gino figlarnie trącił go łokciem — pamiętasz ten burdel, do którego poszliśmy wtedy razem? To był twój pierwszy raz, nie?

— Zaczął się śmiać. — Nigdy nie zapomnę widoku twojej twarzy, kiedy wyszedłeś. Wyglądałeś, jakbyś dopiero co wynalazł lody waniliowe! Chyba już nigdy do niej nie poszedłeś, co?

Costa uśmiechnął się szeroko.

— Poszedłem!

— Boże święty!

Obaj popadli w zadumę, którą przerwało pukanie. Costa wstał i otworzył drzwi.

W korytarzu stała Clementine. Szykowna i elegancka w blad różowej garsonce Chanel z czarnymi wykończeniami.

— Mogę wejść? — zapytała słodko. Costa aż podskoczył.

— Ależ oczywiście, pani Duke.

— Mów mi Clementine. — Przeszła obok niego i podeszła do Gina.

— Dzień dobry — powiedziała cicho, biorąc w dłonie jego rękę. — Czy pan młody jest już gotów?

Na co? Oblizwała wąskie usta.

— Na ślub, oczywiście.

A ile mam jeszcze czasu? Dokładnie dwadzieścia pięć minut.

— Costa — zwrócił się do przyjaciela — czy byłbyś tak miły i wrócił za dwadzieścia minut? Mam Clementine coś do powiedzenia.

— Nie ma sprawy. — Costa jeszcze raz z zachwytem spojrział na Clementine i wyszedł.

— Mały cię uwielbia — powiedział ciepłym głosem Gino. Podeszła do toaletki, aby sprawdzić w lustrze perfekcyjność makijażu.

Tak? odparła bez specjalnego zainteresowania.

I to jeszcze jak. Podeszedł do niej od tyłu i objął ramionami.

Ja też na swój sposób. — Powoli zaczął się kołysać w przód i w tył, ocierając się o jej ciało.

Naprawdę? Nadal się kołysał.

Clementine przez ubranie poczuła wzwód. Gino!

Gino zdejmował już spodnie.

— Chcę zrobić to jeszcze raz jako kawaler.

— Nie bądź głupi! Nie mamy czasu. Jestem już ubrana. I przecież nie tutaj. To niemożliwe.

— Nic nie jest niemożliwe — odparł, dłubiąc przy zapięciu spódnicy. — Sama mnie tego uczyłaś.

Clementine zorientowała się, że to nie żarty.

— Ale to jest absurdalne — oponowała coraz słabiej.

— No pewnie, że jest. — Zdjął jej spódnice i rzucił na łóżko. Potem zabrał się za małe, pachnące, różowe majteczki.

— Uważaj na mój makijaż... i włosy...

- Pochyl się nad stołem. Nic ci się nic zniszczy. Zrobiła, jak powiedział, u oczekiwanie wypełniło całe jej ciało. Gino wszedł od tyłu, powoli, rozkoszując się każdą sekundą, jakby czas całego świata należał do nich.

— Mmmm... Jej oddech drżał. — Sporo się nauczyłeś...

— Miałem dobrą nauczycielkę.

Ruszając biodrami myślał o małżeństwie, Cindy i przyszłym dziecku. A potem o Leonorze, pierwszy raz od miesiący.

Eksplozja orgazmu wstrząsnęła jego ciałem, wymazując wszelkie wspomnienia przeszłości.

Dzisiaj bierze ślub. Chciał, żeby to był początek czegoś nowego.

Carrie

1928—1934

Totalna próżnia: lekarze, pielęgniarki, szpitale. Twarze. Głosy. Do czego byli jej potrzebni? Równie dobrze mogliby zapaść się do piekła.

— Jak się nazywasz, kochanie?

— Kim jesteś? Ile masz lat?

— Kto ci to zrobił?

- Jak się nazywasz?

- Gdzie mieszkasz? Gdzie jest twoja mama? Kim jest twój ojciec? Ile masz lat?

Pytania. Pytania. Pytania. A Carrie krzyczała i krzyczała, aż w końcu anonimowe twarze uciszały się jedna po drugiej.

Następnego dnia wszystko od początku.

Nieustanny ból, wymioty, jęki, sztywnienie kończyn.

I znowu krzyk. Agonalne skurcze. Krzyk, krzyk i jeszcze raz krzyk. Aż któregoś dnia zawinęli ją w coś białego i sztywnego i zabrali ze szpitala.

Inny świat. Pomieszczenie, gdzie nikogo nie obchodziło, czy krzyczała, wrywała sobie włosy, czy drapała twarz.

Żadnych pytań.

Męczarnie, skurcze, poczucie wiecznych tortur.

Żyła jak zwierzę. Rzucała się na jedzenie, które przynosił strażnik ubrany w uniform. Kawałki chleba wpychała prosto do gardła, jak pies piła wodę z przymocowanej do podłogi miski.

Przez dwa lata nie wiedziała, co się z nią dzieje. Pamięć i świadomość nie istniały.

Aż w końcu któregoś dnia obudziła się o trzeciej nad ranem i było dla niej zupełnie oczywiste, że nazywa się Carrie. Dlaczego nie była w domu z rodziną? Podbiegła do zakratowanych drzwi i zaczęła wzywać pomocy, ale nikt się nie zjawił. Była dezorientowana i przestraszona. Co się z nią stało?

Rano pojawił się strażnik z jedzeniem i Carrie natychmiast do niego podbiegła.

Co ja tu robię? - żądała wyjaśnień. Gdzie jestem? Strażnik szybko się wycofał. Te cholerne czubki zawsze mogły zrobić coś głupiego.

Nigdy nie było wiadomo, co za chwilę wymyślą.

- Jedz - rozkazał ostro, stawiając na podłodze miskę.

- Nie chcę jeść! krzyczała. Chcę iść do domu! Po kilku godzinach przyszedł zobaczyć ją lekarz.

Widzę, że umiemy mówić. Otworzyła szeroko oczy.

Oczywiście, że umiem mówić. Kim jesteś i jak się nazywasz?

Nazywam się Carrie. Mieszkam z rodziną w Filadelfii. Mam trzynaście lat.

Trzynaście? — Brwi lekarza gwałtownie się uniosły.

— Tak, trzynaście. — Zaczęła płakać. — Chcę iść do domu, do mamy Sonny... Chcę do mamy...

Nie wypuścili Carrie. Nadal trzymali ją w zakładzie. Teraz, kiedy nie zachowywała się już jak dziki zwierz, kazano jej pracować.

Sprzątała pokoje, szorowała podłogi, gotowała posiłki, a pod koniec dnia ledwo wlokła się do łóżka z wysokimi ściankami z drewnianych prętów i padała wyczerpana. I tak mijały lata.

Raz w miesiącu rozmawiała z lekarzem.

— Ile masz lat?

— Trzynaście.

— Gdzie mieszkasz?

— Z rodziną w Filadelfii.

Nie było mowy, żeby ją wypuścili.

Carrie nie wiedziała, o co chodzi. Płakała po nocach, nie mogąc usnąć. Brakowało jej szkoły, braci, sióstr, przyjaciół. Dlaczego trzymano ją w tak okropnym miejscu?

Byli tu sami wariaci. Skończeni, obłąkani wariaci. Carrie pomyślała, że lepiej trzymać się od nich z daleka.

Jak ma się trzynaście lat, to trzeba uważać, z kim się przestaje.

Gino

— No, no... — mówił z uznaniem Gino —jesteś naprawdę ładna, wiesz? Rudowłosa hostessa o imieniu Bee nie miała zamiaru tak łatwo dać się złapać na haczyk.

Panie Santangelo! Pan to mówi wszystkim dziewczynom! Uniósł ręce w teatralnym geście oburzenia.

Kto? Ja? Chyba ze mnie żartujesz. Hec uśmiechnęła się i ruchem głowy odrzuciła czuprynę naprawdę ładnych, rudych włosów.

Pan ma pewną... opinię.

Dobłą, mam nadzieję.

Ale, tak.

Cieszę się, że to słyszę. Naprawdę się cieszę. Wsiał od ciężkiego, orzechowego biurka i przeciągnął się. Pragnął tej dziewczyny, ale przecież nie będzie dla niej kręcił hula-hoop.

Jak długo u inmie pracujesz?

Zadrżała. Z zimna? Czy nagle przeraziła się, że ją wyrzuci?

— Trzy miesiące, panie Santangelo.

— Podoba ci się tu?

— Bardzo ładny klub.

— Dostałaś już podwyżkę?

— Jeszcze nie. — Więc albo podwyżka, albo wylatuje z roboty.

— Chciałabyś, żebym odwiózł cię dzisiaj do domu? Porozmawialibyśmy o tym.

— Tak.

Gino uśmiechnął się.

— Tak, mówisz. - Leniwym wzrokiem zlustrował dziewczynę od stóp do głowy. — A może: tak, bardzo chętnie?

— Tak, bardzo chętnie, panie Santangelo.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Będzie ją miał. Jej włosy, bielutką skórę i wspaniałe piersi.

— Wiesz co, przyjdź do mnie do biura o dwunastej. Odwróciła się, żeby odejść.

— Jeszcze jedno, Bee. Zepnij włosy. Zaczesz je do góry i zepnij. No, idź już — powiedział na koniec. Muszę załatwić parę telefonów.

Gdy wychodziła, patrzył, jak jej szeroki tyłek kołysał się z boku na bok. Lubił duże dupska, takie, żeby było za co złapać. Clementine prawie w ogóle nie miała na czym siedzieć, a tyłek Cindy był mały, okrągły i umiejscowiony wysoko jak u chłopaka.

Cindy. Byli już trzy lata po ślubie, a ta kwoka nadal nie urodziła mu dziecka. Cholernie go to wkurzało. Przysięgała, że nie stosuje żadnych środków, więc dlaczego nie zachodziła?

Do biura wczłapał Aldo. Miał teraz trzydzieści jeden lat, a gruby był jak dobry tucznik.

— Kiedy zrzucisz trochę tego smalcu? — zapytał szorstko Gino.

— Wiem, że to okropnie wygląda, ale ja lubię jeść.

— Jak cię trafi kiedyś jakaś kula, to zostanie z ciebie bajoro tłuszczu.

— Nic nie poradzę, że Barbara tak dobrze gotuje.

— No dobra. Z czym przychodzisz? — zapytał nagle ostro. Aldo zdał krótką relację.

Gino ziewnął. Nie czuł się dobrze siedząc za biurkiem i zgarniając pieniądze. Potrzebował trochę ruchu, chciał, żeby coś się działo.

Ostatnio jedynym miejscem, gdzie coś się działo, było łóżko. Nie mógł jednak narzekać na swój los. Senator Duke krył go w każdej chwili. Miał przyjaciół na wysokich stanowiskach i zawsze mógł ich prosić o przysługę. Jednakże ważni i wpływowi przyjaciele nie oznaczali jeszcze całkowitego bezpieczeństwa. Lucky Luciano, przewodniczący komisji, rok wcześniej poszedł do więzienia za domniemane stręczycielstwo. Domniemane, ponieważ Luciano nigdy naprawdę nie wyszedł na ulicę, żeby sprzedawać panienki.

Przewodniczył dużej organizacji przestępczej, która między innymi zajmowała się prostytutką. Koniec końcem, biedny chłop wylądował w pudle z niebagatelny wyrokiem:

trzydzieści do pięćdziesięciu lat. Dreszcz strachu przeszedł cały podziemny światek. Jeżeli Lucky Luciano dał się zapuszkować, to kto będzie następny?

Po rozstaniu się z Bonnattim Gino z zadowoleniem myślał, że jemu nikt krzywdy nie zrobi. Większość jego działalności była legalna.

Nie zajmował się narkotykami ani prostytutką. Przemoc nigdy nie towarzyszyła temu, co robił. Czasami tylko to tu, to tam jego ludzie postraszyli kogoś, a interes dalej szedł gładko.

— Jesteś już przygotowany do wyjazdu? — zapytał Aldo.

— Tak, jedziemy jutro rano. Cindy poszła jeszcze kupić to, czego nie kupiła wczoraj.

— Baby. One potrafią kupić dosłownie wszystko.

— Mnie to mówisz?

Cindy kosztowała go majątek. Ubrania, fryzjerzy, biżuteria, futra. Nie była tanią żoną. Ale nic to, stać go było. W samych inwestycjach miał majątek wartości ponad miliona dolarów. Dzięki senatorowi Duke'owi. Dzięki Clementine.

Chciał już z nią skończyć. Pani Duke nadal wyglądała fantastycznie, ale Gino miał już dosyć.

Clementine nie dawała łatwo za wygraną. Gdy Gino próbował zasłaniać się brakiem czasu, ona szybko proponowała inny dzień. Kiedy mówił, że i wtedy też nie może, ona pytała: więc kiedy?

Czuł się jak w pułapce. Miał trzydzieści jeden lat, żonę, kochankę, co chwila jednorazowe przygody, a jednak czuł się bardziej bezradny niż wtedy, gdy mając szesnaście lat wylądował samotnie na ulicy.

Chciał czegoś więcej. Tylko nie wiedział czego.

— Wyjazd do San Francisco dobrze ci zrobi — powiedział Aldo, siadając na skórzanym krześle. — Za ciężko pracujesz. Nawet nie masz czasu wpaść do nas na kolację. Barbara czuje się obrażona.

— Wpadnę, jak wrócę.

— Trzymam cię za słowo. Spagetti z klopsami — nigdzie nie znajdziesz takich, jakie robi Barbara.
— Westchnął i pocałował końce palców. — Mówię ci, moja żona gotuje wspaniale.

Gino wpatrywał się znacząco w olbrzymi bęben przyjaciela, który przelewał mu się przez spodnie.

— Właśnie widzę. Aldo zaśmiał się niepewnie.

— Zadowolony żołądek to zadowolony człowiek. — Gruba dynia.

— Przestań!

— Grubas!

Pukanie do drzwi przerwało żartobliwe przekomarzanie.

— Tak? — krzyknął Gino.

— To ja, szefie.

Tego głosu nie można było pomylić: Jacob Cohen. Znany teraz jako Młody Jake. A jeszcze częściej jako Młody, chociaż wkrótce skończy dwadzieścia cztery lata. Przewisko takie dostał z powodu wczesnego startu w światku kryminalnym. Do pracy przystąpił natychmiast, gdy w wieku czternastu lat Gino wsparł go studolarową pożyczką. Kradzieże samochodów. Błyskawiczne włamania. Zuchwałe napady.

— Kto to zrobił? — pytały rozwścieczone ofiary.

— Młody — brzmiała zawsze odpowiedź.

Gino przygarnął go, gdy chłopak miał szesnaście lat. W wieku dwudziestu lat był już odpowiedzialny za zbieranie pieniędzy z gier liczbowych. Miał też kilka innych, drobnych zadań.

— Wejdz! — krzyknął Gino. — Coś ty, kurde, taki grzeczny się zrobił? Jake wpadł uśmiechnięty do pokoju.

— Nie chciałem przeszkadzać, szefie. Rozumiem, że nowa zasada nakazuje pukać.

— Jaka nowa zasada?

Aldo wyglądał na zakłopotanego.

— Pomyślałem... — zaczął. — No, wydawało mi się, że dobrze by było...

— No co, do cholery? — wrzasnął Gino.

Nagle wybuchnął śmiechem., Tydzień wcześniej Aldo wszedł do pokoju, gdy Gino zajmował się na biurku dziewczyną sprzedającą w klubie papierosy.

— Chyba masz rację.

— Jeżeli przypadkiem przyszlaby Cindy... albo pani Duke...

— Zgadza się — powiedział Gino, ciągle się uśmiechając. Może tego właśnie potrzebował, żeby jedna albo druga złapała go z jakąś dziewczyną? Przestałby czuć się jak na uwięzi. Byłby nareszcie wolny.

Jake rzucił na biurko duży worek, wypchany pieniędzmi.

— Wydaje mi się, że Gambino kradnie. Ten ze sklepu z cukierkami na Sto Piętnastej.

Gino uniósł brwi.

— Jesteś pewien?

Jake podrapał się po sztywnych kudłach.

— Pewien jak tego, że tu stoję. Jeżeli nie on sam, to jego stara, bo tylko jeszcze ona ma kontakt z pieniędzmi przed przekazaniem.

— Ostrzeż ich. Ale tylko raz.

— Rozumiem, szefie. Gino wstał zza biurka.

Jutro wyjeżdżam, Jake. Na tydzień. Jak będą jakieś kłopoty, kontaktuj się z Aldem.

Jake spojrzał na grubego i pokiwał głową. Dlaczego Gino tak go poniżał, kazać mu rozmawiać z tym idiotą? Wszyscy wiedzieli, że Denunzio ma zawsze posrane majtki ze strachu. Boi się własnego cienia. Dlaczego szef trzyma go przy sobie, było wielką tajemnicą.

Aldo cały czas siedział w biurze na swym grubym dupsku i nie robił nic. Dupę podnosił tylko wtedy, gdy szedł włożyć do sejfu pieniądze, które przynosili pracownicy. Pracownicy jak o n, Jake, jeden z najważniejszych mechanizmów akcji Santangela.

— Poza tym wszystko w porządku? — zapytał Gino.

Jake znowu podrapał się w głowę i usiłował przypomnieć sobie, czy słyszał jakąś historyjkę od swojej obecnej dziewczyny.

— Wszędzie cisza i spokój, szefie.

— To dobrze. Widzimy się za kilka dni.

Clementine Duke zimno wpatrywała się w męża.

— Po prostu nie wierzę w to, co słyszę. Głos miała lodowaty. — Nie mógłbyś chyba być tak głupi?

Oswald wyglądał w zamyśleniu przez okno. Jego głos drżał.

— Nigdy nic przed tobą nie ukrywałem. Cały czas wiedziałaś, kim jestem.

Zaśmiała się gorzko.

— Nie cały, Oswaldzie. O ile sobie przypominam, to prawdy o tobie dowiedziałam się dopiero po dwóch latach.

Szybkim ruchem wyciągnęła z paczki camela i zapaliła.

— No więc? Masz jakiś pomysł na... rozwiązanie tego... problemu?

— Gino Santangelo. Winien mi jest przysługę.

Clementine, zastanawiając się głęboko, wydmuchnęła dym w kierunku sufitu.

— To byłoby więcej niż przysługa.

— Wiem, ale on wszystko zawdzięcza mnie. Zrobi to.

— Jesteś bardzo pewny siebie...

— Musi to zrobić. Jeśli nie, mogę go zniszczyć.

Clementine oblizwała wargi. Na dobrą sprawę, Oswald był równie bezwzględny jak każdy gangster. Ale on miał władzę, a ta może zdeprawować każdego.

— Kiedy go poprosisz? — zapytała szeptem.

— Jak tylko wróci z San Francisco. Będzie to doskonale zsynchronizowane. Zgodziła się z nim bez słowa. Odkąd to potrzebował

doskonałej synchronizacji, prosząc kogoś o dokonanie morderstwa?

Bee siedziała w przyzwoitej odległości od Gina na tylnym siedzeniu czarnego, czterodrzwiowego cadillaka. Samochód prowadził Red, a z przodu obok niego swobodnie siedział Zezowaty Sam.

Gino palił cygaro, wypełniając samochód kłębamii dymu, na co jednak nikt nie narzekał.

Bee zgodnie z poleceniem spięła włosy i denerwowała się teraz jak młoda kurka. Nie była zbyt doświadczona. Przeszła oczywiście przez, odpowiednią porcję rozmówianych kochanków, ale... teraz, jechała z. Ginem Santangelo... Bądź co bądź, był jej szefem.

Żonaty... Wiedziała, że zwykle wykorzystuje kobiety, potem je odtrąca wraz z jakimś świadkiem na pamiątkę...

Bee nie miała zamiaru dać się wykorzystać i odrzucić. Ale czym mogła się wyróżnić spośród innych dziewcząt?

- Jezusie! — krzyknął nagle Gino, przerywając jej myśli. — Dlaczego mi nie powiedziałaś, że mieszkasz za granicą?

— Jeszcze tylko cztery przecznice.

— Mam nadzieję. — Ziewnął zastanawiając się, czy la wyprawa w ogóle się opłaca. Dzień jak każdy poprzedni. Jeszcze jedna dupa.

Wszystkie są takie same.

Ale jutro będzie inaczej. Jedzie do San Francisco. Będzie drużbą na ślubie Costy. Zobaczy się z Leonorą.

Myśl ta nieco go zaniepokoiła. Jak zareaguje? Jak ona się zachowa? Z początku chciał nawet odmówić przyjazdu.

— Nie możesz tego zrobić — przekonywała go Cindy. Obiecałeś, że mu się odwzajemnisz, kiedy był na naszym ślubie.

Prawda. W żaden sposób nie mógł się z tego wywinąć. Poza tym najwyższy czas stanąć twarzą w twarz, z Leonorą. Dla bezpieczeństwa brał ze sobą Cindy.

— Jesteśmy na miejscu — odezwała się Bee.

Red stanął przed kamienicą z brunatnego piaskowca. ----- Pan też wysiada, szefie? — zapytał Zezowaty Sam.

— Tak — odpowiedział Gino. Czy ten idiota myślał, że całą drogę jechał po to, żeby posiedzieć sobie w samochodzie?

Sam wysiadł i badawczym wzrokiem spojrzął w górę i w dół ulicy. Dopiero potem otworzył tylne drzwi. Pierwsza wysiadła Bee, za nią Gino.

Zewnętrznyymi schodami zaprowadziła go do mieszkania na pierwszym piętrze. Było małe i skromne, ale nie najgorsze.

— Sama tu mieszkasz? — zapytał. Zawahała się przez chwilę.

— Tak.

Gino przechadzał się po mieszkaniu.

— Nalej mi szkockiej. Masz lód?

— Przykro mi, ale whisky też nie mam.

— A co masz?

— Nic. Nie piję.

— Nie pijesz? To co robisz, jak idziesz do baru?

— Kelnerzy przynoszą mi lemoniadę. Gino zaśmiał się.

A twoi apsztyfikanci płacą za szampana? Śmiała się wraz z nim.

Dokładnie tak. Gino przeciągnął się.

— Jezusie, co za życie!

Bee stała i przyglądała mu się.

— Czy mam się... rozebrać? Gino usiadł swobodnie na krześle.

— Czy to właśnie robisz zamiast podawania drinków?

— Jeżeli by pan chciał...

Dziewczyna była w porządku. Złożył ręce na karku i poprawił się wygodnie.

— No, to do dzieła.

Serce zaczęło jej głośno walić. Miała pewien plan, który mógł sprawić, że Gino ją zapamięta... Mogła jej się powieść, a mogła też stracić pracę, co i tak było lepsze niż skończyć jako jeszcze jedna przedmuchana dziewczyna.

Powoli zaczęła się rozbierać. Gino nie odrywał od niej czarnych oczu.

Zdjęła już wszystko, co miała na sobie, z wyjątkiem butów na wysokim obcasie, 'czarnych, jedwabnych pończoch i czerwonych podwiązek.

Gapił się na nią z uznaniem. Z pewnością miała wyjątkowe ciało. Duże, białe i gładkie. Ogromne, białe piersi, zakończone przyzwoitej wielkości sutkami. Długie, silne nogi. Płaski brzuch. Podobał mu się również jej styl bycia. Może ta będzie warta ponownej wizyty?

W spodniach zaczynało mu już brakować miejsca, co na dłuższą metę było nie do wytrzymania. Wstał i podszedł do niej.

Bee wzięła głęboki oddech.

— Panie Santangelo, wydaje mi się, że muszę coś panu wyznać — powiedziała szybko. — Dopiero co wyleczyłam się z... choroby społecznej.

Gino stanął jak wryty.

— Lekarz powiedział, że mogę się... kochać, ale czułam się w obowiązku powiedzieć to panu.

— Masz syfa — powiedział bezbarwnym głosem Gino, siadając z powrotem jak ścięty z nóg. — Jasna cholera! Masz syfa, a ja prawie zacząłem cię dmuchać.

Zerwał się nagle z krzesła, jakby się przestraszył, że może coś złapać przez ubranie.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś wcześniej? — Jestem wyleczona.

— Jezusie! Przyjechałem taki kawał drogi, prawie gdzieś na wieś, a ty masz syfa.

— Miałam — "poprawiła go.

— Jezu! — Zerknął na nią kątem oka. — Załóż coś na siebie.

Z powrotem wcisnęła się w sukienkę, a Gino bezpiecznie wycofał się w kierunku drzwi.

— Mam nadzieję, że nie uraziłam pana, panie Santangelo.

— Uraziłaś? Nie, nie uraziłaś. Zmarnowałaś tylko najlepszy wzwód, jaki miałem od miesiący. Na razie. — Po chwili już go nie było.

Dziewczyna z uczuciem ulgi osunęła się na krzesło. Przynajmniej teraz ją zapamięta i, miała nadzieję, jeszcze kiedyś wróci. Choroba społeczna była kłamstwem. Jediną chorobą, jaką przeszła, była szkarlatyna. A było to, gdy miała dziesięć lat. Uśmiech sam pojawił się na jej twarzy. Przypomniła sobie, jaką Gino zrobił minę, gdy mu powiedziała coś, czego chyba się nie spodziewał.

Na palcach weszła do sypialni. Marco, jej siedmioletni syn, spał w dużym, podwójnym łóżku. Przykryła go i delikatnie pocałowała w czoło. Bee posta-nowiła, że Gino Santangelo albo zainteresuje się nią głębiej i na dłużej, albo w ogóle nic z tego nie będzie. W ten sposób wyróżniła się spośród innych. Teraz Gino tak łatwo o niej nie zapomni.

Cindy leżała bezsenne w łóżku i zastanawiała się, kogo dzisiaj jej kochany mąż zaszczyca wielką przysługą. Może drogą Clémentine?

Miał przecież wyjechać na cały tydzień i jak to stare pudło tak długo wytrzymałoby bez niego?

A może którąś z dziewcząt z klubu? Jedną z tych bezmózgich hostess, które myślą, że ona, Cindy, nie wie, co się dzieje. Gino Baran.

Jasne, wszędzie, tylko nie w domu. Jak on chciał, żeby zaszła w ciążę, gdy prawie się do niej nie zbliżał?

Po zakupie „ClemmieY” oboje byli bardzo pochłonięci pracą. Cindy codziennie przychodziła do klubu, doglądała murarzy i malarzy, tak aby wszystko było gotowe na otwarcie. Na początku to ona zatrudniała dziewczęta. Hostessy, szatniarki, ślicznotki do sprzedawania papierosów. Żadnych prostytutek. Same ładne dziewczęta, które gotowe były ciężko pracować na swoje pensje. Kiedy Cindy była w pobliżu, Gino ani na chwilę nie spojrzał na żadną z nich. Zresztą zabawiała go przecież ta chuda Clémentine.

Cindy wiedziała od samego początku, że ich romans będzie musiała jakoś przeboleć. Była zbyt bystra, żeby się nie zorientować, że nic tu nie może zrobić. Poza tym, zalety utrzymywania dobrych stosunków z senatorem i panią Duke przewyższały wszystkie złe strony.

Jednak Cindy nie wiedziała, że Gino systematycznie prześpi się z całym żeńskim personelem „ClemmieY”. Zanim do tego doszło, nie uczestniczyła już w prowadzeniu klubu. Po roku znudziło jej się zatrudnianie i zwalnianie dziewcząt i przychodziła wyłącznie wtedy, gdy chciała się pokazać. Pani Santangelo przy swoim stoliku. Kręciły się przy niej różne wymoczki. I chociaż podobnie jak psy wyczuwali w niej rozochoczoną sukę, byli zbyt przestraszeni, żeby cokolwiek zrobić. Przekroczenie granicy małego, jednorazowego flirtu z panią Santangelo było czynem niebezpiecznym, którego nikt nie miał zamiaru ryzykować. Wszyscy, którzy wiedzieli, czym to grozi, trzymali się sztywno tej zasady.

Cindy, nie mogąc usnąć, przewracała się w dużym łóżku z boku na bok. Wielka pani Santangelo. Ciuchy. Klejnoty. Mieszkanie przy Park Avenue. Ale nikogo, żeby ją w nocy przytulił. Nikt jej nie kochał. Zastrane życie! Nic nie mogła zrobić. Nic, jeśli chciała pozostać żoną Giną. Miała się trzymać tylko jednej zasady: być wierną. Jeśli nie, to do widzenia.

Sięgnęła po szklankę z wodą, stojącą na stoliku przy łóżku, i pomyślała o wyjeździe do San Francisco. Cieszyła się na tę wycieczkę już od tygodni. Będą tylko we dwoje, z dala od klubu i całego Nowego Jorku. Z dala od wszystkiego. Może uda się go przekonać, że nie musi ganiać za dziewczynami, gdyż we własnym łóżku czekają na niego same przyjemności.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi i spojrzała na zegarek Pierwsza. Wcześniej jak na Gina. Teraz pójdzie do lodówki po porcję lodów, potem prosto do gabinetu, gdzie zwykle ostatnio sypiał.

Dzisiaj nie będzie się napraszać. Czasami przychodziła do niego w przezroczystej koszuli i próbowała wzbudzić jego zainteresowanie.

Najczęściej bez rezultatu. Leżała teraz bez ruchu, z zaciśniętą dłonią w ustach. Śpij nakazywała sobie, śpij.

Kiedy już usypiała, Gino wszedł do sypialni, wśliznął się do łóżka i położył obok niej. Zaczął szperać pod jej koszulą i Cindy poczuła na pośladkach niecierpiącą zwłoki erekcję.

Gino — powiedziała szeptem, a radość opanowała całe jej ciało. Zanim zdążyła wymówić jego imię, był już w środku. Gino. Kiedyś czuły, troskliwy kochanek. Teraz najwyraźniej dążył do zaspokojenia wyłącznie własnych potrzeb.

Tym razem było szybko, gwałtownie i po chwili już po wszystkim. Nie zamienili ani słowa.

Cindy leżała przygnębiona i zawiedziona. Była pewna, że Gino nigdy nie ośmielił się tak potraktować innej dziewczyny. A już na pewno nie pani Duke.

Sukinsyn! Jeżeli wkrótce jego postępowanie w stosunku do niej się nie zmieni, będzie zmuszona pokazać mu to i owo. O, lak! Miała plan, który sprowadzi Gina, pieprzonego samoluba, na kolana!

Carrie

1937

Na początku 1937 roku Carrie została zwolniona z ośrodka w którym spędziła ostatnie dziewięć długich lat.

Nie myślała już o sobie jak o trzynastoletniej dziewczynie. Wiedziała kim i czym była. Wydarzenia powróciły do niej w przejrzystych, fragmentarycznych obrazach. Wszystkie: od mamusi Sonny przez babcię Filę i I croya aż do Whitejacka.

Wspomnienia urywały się nagle po krótkim okresie spędzonym z Whitejackiem. Pamiętała, jak z mm i z Lucille opuszczali Madame Mae; później były kluby jazzowe i zabawa, a później... pustka.

Oczywiście to sprawa narkotyków. Zdawała sobie sprawę z tego przez co przeszła Lekarze, a szczególnie doktor Holland, który interesował się jej przypadkiem przez ostatnie dwa lata, opowiedzieli jej wszystko na temat nałogu. Ale największą bitwę musiała stoczyć po wyjściu ze szpitala

Doktor Holland zabiegał o jej zwolnienie przez okrągły rok- — Ta dziewczyna nie jest żadną wariatką, nie chcą jej wypuścić, bo jest dla nich tanią siłą roboczą. - W końcu wymusił zgodną na radzie ośrodka

Carrie miała teraz dwadzieścia trzy lata. była szczupłą kobietą o dużym biuście bardzo długich, czarnych włosach i dziwnie smutnym wyrazie orientalnych oczu.

Kiedy opuszczała szpital, miała na sobie pochodzący z darów, znoszony szary płaszcz, który dostała razem z brązową spódnicą i żółtą bluzką. Jej

włosy były upięte mocno z tyłu głowy, a twarz wyglądała blado bez makijażu. W portmonetce miała dwadzieścia pięć dolarów i karteczkę z nazwiskiem i adresem kobiety, która obiecała przyjąć ją w charakterze pomocy domowej.

Doktor Holland pożegnał ją przy bramie szpitala.

To nie będzie łatwe, Carrie, nic nigdy nie jest łatwe. Ale musisz spróbować, a jeśli będzie ci za ciężko, pamiętaj, proszę, że możesz zawsze tu przyjść i porozmawiać ze mną. Dobrze?

Bez przekonania skinęła głową. Doktor Holland był miłym panem, który uważał, że oddaje Carrie przysługę, pozwalając jej wrócić do normalnego świata. Ale, do cholery, wszystko, czego teraz naprawdę pragnęła, to wtulić się w jakiś ką i nigdy więcej nic stawiać twarzą w twarz z nikim i z niczym.

Czuła się dziwnie pusta i nie na miejscu, wychodząc z ośrodka i jadąc autobusem do śródmieścia. Wszystko wydawało się zmienione.

Może byłoby lepiej, gdyby została, tam gdzie była? Egzystowała tam. ale nie musiała myśleć.

W autobusie jakiś facet gapił się na nią lubieżnie, a Carrie wtuliła się głębiej w poły płaszcz i odwróciła oczy. To mężczyźni byli jej wrogami. W domu przy Park Avenue lokaj otworzył drzwi.

— Jestem Carrie wymamrotała, wstrząśnięta odkryciem, że ten dom stał zaledwie o trzy budynki dalej od rezydencji państwa Dimes, gdzie kiedyś pracowała. — Nowa służąca — wyjaśniła.

Lokaj zmarszczył brwi.

Dlaczego nie weszłaś tylnymi drzwiami?

— Przepraszam. Nie sądziłam, że...

Cmoknął z niezadowoleniem i niechętnie wprowadził ją do środka. Chodź za mną.

Zrobiła, jak jej kazano, podążając za nim w dół schodów do dużej kuchni, gdzie gruba Murzynka mieszała coś w garnku.

Pani Smith — powiedział lokaj — to jest Carrie, nowa służąca. Zostawiam ją pod pani opieką. Spodziewam się, że pani Becker będzie chciała przyjrzeć się tej dziewczynie, zanim pozwoli się jej wprowadzić. Na pewno, panie Beal. Odwróciła się do Carrie i wycedziła przeciągle:

Byłaś już kiedyś służącą, kochanie? Carrie przytaknęła.

— No, to wiesz, że to n i e chleb z masłem.

Znów na służbie. Stara rutyna. Ślanie łóżek, ścieranie kurzu, czyszczenie ubikacji, mycie wanien, polerowanie na czworakach marmurowych posadzek. Zmywanie naczyń. Prasowanie. Szorowanie wszelkich brudów.

Carrie zaczynała pracę o szóstej rano i bywało, że nie kończyła przed jedenastą wieczorem. Dostawała za to niecałe sto dolarów miesięcznie, co uważano za najwyższe z możliwych wynagrodzenie dla posługaczki, z mieszkaniem i wyżywieniem.

Praca nie bardzo ją obchodziła. Pozwalała jej nie myśleć o innych sprawach, dawała zajęcie. Raz w miesiącu miała wolny dzień. Nie wiedziała, co zrobić z czasem, więc zazwyczaj nie wychodziła nawet z pokoju.

Swoich chlebodawców spotykała rzadko. Pan Becker był bardzo bogaty, jak poinformowała ją pani Smith, a pani Becker pojawiała się na zdjęciach we wszystkich pismach dla śmietanki towarzyskiej.

— Kiedyś, kiedy jej nie będzie pokażę ci jej pokój z ubraniami — obiecywała pani Smith. — Ona ma chyba więcej niż trzydzieści par butów!

Whitejack. To imię pojawiało się jak błysk w umyśle Carrie. On też miał tyle par butów.

Whitejack. Wysoki, lśniący, ciemnowłosy i laki porywający. Myślała o jego dwudziestu trzech garniturach i o tym, jaki był elegancki i jak się uśmiechał.

Whitejack. Prawie ją wykończył.

Zastanawiała się bez większego zainteresowania, gdzie mógł teraz być, co robił i czy miał jakąś kobietę.

Whitejack. Co zrobi, jeśli go jeszcze kiedyś zobaczy? Zabije skurwiela.

Gino

Gino czuł się bardzo nieswojo na wieczorze kawalerskim u Costy. Siedział przy stole i przyglądał się zabawom spod w

przymkniętych powiek swoich czarnych oczu. Grupa dzieciaków, wrzeszczących i roześmianych, rzucających w siebie kieliszkami i kanapkami.

Kiedy rozebrana dziewczyna wyskoczyła jak zwykle z ogromnego tortu, Gino myślał, że trzydziestu czterech kumpli ze szkoły przeżyje za chwilę trzydzieści cztery jednoczesne orgazmy. Boże! Można by pomyśleć, że nigdy nie widzieli nagiej kobiety.

Już na samym początku Gino dowiedział się, kim był mąż Leonory, i przyglądał mu się uważnie. Największa miłość jego życia poślubiła palanta. Edward Philip Grazione, zwykły dupek pracujący w banku swojego tatuńcia, miał włosy koloru słomy i wylupiaсте oczy i tak samo wyglądał w czasie studiów, gdy brali z Leonorą ślub.

Gino zapragnął znów ją zobaczyć. Niemal spocił się od samego myślenia o tym. To wyprowadziło go z równowagi. Już dawno powinien był o niej zapomnieć.

I zapomniał. Chciał tylko, żeby i jego ciało mogło to zrozumieć.

— Stój spokojnie, Jennifer! rozkazała Leonora. — Jak, u diabła, mam to zapiąć na tobie, kiedy latasz po całym pokoju?

— Przepraszam. Postaram się nie ruszać.

Jennifer Brierly, narzeczona Costy, stała bez ruchu pośrodku sypialni, podczas gdy Leonora usiłowała zapiąć na niej gorset.

— Strasznie ciasny! — skarżyła się Jennifer — ledwo oddycham!

— Nie musisz oddychać — Leonora odparła szorstko. — Zasłużyłyśmy sobie na szampana, nie sądzisz?

— Jest jedenasta rano.

— Jest także dzień twojego ślubu. Skoczę na dół i przyniosę butelkę. Jennifer skinęła głową. Biedna Leonora. Wiedziała, że przyjaciółka nie

stroni od alkoholu, ale czy jedenasta rano to naprawdę nie przesada?

— Mam! — Leonora wróciła zwycięsko po kilku minutach z butelką szampana i dwoma kieliszkami. Voilà!

Otworzyła sprawnie butelkę, tak żeby szampan nie wypłynął, i napełniwszy kieliszki, podała jeden

Jennifer.

— Wypijmy za twoje małżeństwo zaproponowała z cieniem goryczy w głosie — niech się wam dobrze wiedzie.

Jennifer pociągnęła łyk musującego płynu i odstawiła kieliszek. Leonora przywarła do swojego, wypila szampana kilkoma dużymi haustami i nalała sobie jeszcze raz.

— Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz powiedziała wciąż pełnym goryczy głosem.

— W nic się nie pakuję — spokojnie odparła Jennifer. Wychodzę za mąż za człowieka, którego kocham.

— Miłość szybko znika — zauważyła szyderczo Leonora — kiedy stajesz się ich własnością.

— Ja nie zamierzam być własnością Costy ani on moją. Będziemy razem, bo oboje tego chcemy.

— Aha! — Leonora pociągnęła łyk szampana. — Porozmawiamy za dwa lata, kiedy po romansie nie zostanie śladu. Żona staje się własnością męża, jeśli na to pozwoli.

— Proszę cię, Leonoro! Nie chcę teraz sprzeczać się z tobą. Wiem, że między tobą i Edwardem układa się źle, ale to nie znaczy, że każde małżeństwo skazane jest na niepowodzenie.

— To prawda. — Leonora wzięła butelkę do ręki i ponownie napełniła swój kieliszek. — Wróć do ciebie za chwilę. — Szybko wyszła z pokoju, aby przyjaciółka nie zauważyła jej łez. W końcu Jennifer wychodziła za mąż i Leonora nie chciała popsuć jej tego dnia.

Od rana myślała o Ginie Santangelo i to nie dawało jej spokoju. Jak on teraz wygląda? Tak samo? Roztargniony, ciemnowłosey i niebezpiecznie przystojny? Czy też zmienił się jak ona?

Zdawała sobie sprawę, że nie była łą samą dziewczyną, w której Gino się kiedyś zakochał. Patrząc w lustro widziała zmarszczki, ślady przebytych chorób i złośliwe wykrzywienie ust. Dlaczego, dlaczego na niego nie poczekała? Czy to za sprawą listów od niego, tak niezdrowo romantycznych, tak nie pasujących do Gina? Czy może przez to, że było tylu innych młodych mężczyzn do wypróbowania? Kiedy już wypróbowała jednego, no cóż, wydawało się to po prostu uczciwe, żeby spróbować i innych.

A później Edward. I Maria. Później alkohol i kochankowie.

Leonora zmarszczyła brwi. Gino Santangelo — młodzieńcza, ślepa miłość. A w końcu, cóż było w nim tak niezwykłego?

— Ty sukinsynu! — roześmiał się Gino. — Naprawdę jesteś gotów to zrobić, co?

Costa uśmiechnął się.

— Naprawdę. — Limuzyna wiozła ich do kościoła. — Trudno by mi było się teraz wycofać. — Po

czym dodał: A poza tym, Jennifer jest fantastyczną dziewczyną.

— Skoro się z nią żenisz, chłopie, to widocznie tak jest.

— No cóż, nie jest uderzająco piękna ani nic takiego. — Costa mówił szczerze. — Nie tak jak Cindy.

Gino wybuchnął śmiechem.

— Cindy, uderzająco piękna! Stary, całowałaby cię po nogach, gdybym jej to powtórzył.

— Jennifer doskonale mi odpowiada — Costa stwierdził z powagą. — Jest taka dobra, sam nie wiem, jak mogłem nie dostrzec tego wcześniej. Choćby to, że jest najlepszą przyjaciółką Leonory.

To imię wisiąło w powietrzu.

Wkrótce mieli zatrzymać się przed kościołem.

Wkrótce Gino miał znów ją zobaczyć.

Przełknął ślinę i zapatrzył się w wko samochodu.

Cindy przyjechała do kościoła taksówką. Miała na sobie komplet prosto od krawca, z białego jedwabiu, który delikatnie okrywał jej ciało, podkreślając każdą wspaniałą okrągłość. Na kostium zarzuciła niedbale białą etolę z lisów. Zgodnie z modą, miała krótko obcięte, proste włosy uczesane na pазia, a na nich biały kapelusik. Nawet jeśli sama była tego zdania, należało jej to przyznać — wyglądała jak gwiazda filmowa. Gdyby spojrzął na nią taki Clark Gable, zemdlałby jak nic!

— Wychodzisz za mąż czy coś, ślicznotko? — dopytywał się taksówkarz.

— Jestem zaproszona na ślub — odparła wyniośle. Zapłaciła i weszła do kościoła.

Żeby musiała brać taksówkę! Gino mógł przynajmniej przysłać po nią samochód. Kiedy czyniła mu wyrzuty, powiedział tylko: —

Zapomniałem. Przystojny szwajcar przyjrzał się jej z podziwem.

— Z panną młodą czy z panem młodym? — zapytał.

— Co? — zamrugła dziecięco niebieskimi oczyma, otwierając je, jak mogła najszerzej.

— Z panną czy z panem młodym? — powtórzył to samo pytanie.

Cindy była całkiem zbita z tropu.

Wtedy zbliżył się do niej inny szwajcar, którego ciała nie powstydzilby się grecki bóg.

— Czy pani jest przyjaciółką bądź krewną panny młodej czy pana młodego?

— A dlaczego? — odpowiedziała pytaniem Cindy, zastanawiając się jednocześnie, jak też grecki bóg wygląda nago.

— Musimy wiedzieć, czyim pani jest gościem, żeby posadzić panią po właściwej stronie nawy. — Roześmiał się.

— Ach! — Cindy zarumieniła się. Nic lepszego niż zrobić z siebie idiotkę. — Jestem starą przyjaciółką Costy.

Tamten uśmiechnął się znowu.

— To szczęściarz z niego!

Jennifer Brierly posuwała się królewskim krokiem w stronę ołtarza, wsparta na silnym ramieniu ojca.

Z przodu szła Leonora jako pierwszą drużną, a przed nią trzy inne drużny i dziewięcioletnia córeczka Leonory, Maria.

Była to prawdziwie dworska procesja i nikt nie zauważył, że Leonora chwiała się lekko.

Stojący w pierwszym rzędzie Costa czuł, jak pot oblewa mu ciało. Nie mógł wyjść do toalety ani zapalić papierosa, ani strzelić sobie drinka. Szczególnie to ostatnie było mu bardzo potrzebne.

Gino, obok niego, był zewnętrznie spokojny. Opanowywał się, żeby się nie odwrócić i nie popatrzeć na ślubny orszak. Ale nie na pannę młodą chciał spojrzeć: wiedział, że tuż przed nią idzie Leonora.

— Nie czuję się najlepiej — mruknął Costa.

— Wszystko będzie dobrze, stary. Trzymaj się.

Potem Jennifer i jej ojciec znaleźli się w zasięgu wzroku, a Costa zbliżył się do ołtarza. Kilka kroków za nim, Gino obejrzał się za siebie.

Żołądek wywracał mu się na lewą stronę. Nic się nie zmieniła, ani trochę! Dostrzegł to nawet w wilgotnym mroku kościoła.

Stała bokiem do niego, z lekko pochyloną głową, błyszczącymi, kryształowo-woniebieskimi oczami i miękkimi puklami platynowych włosów. Różowa plisowana sukienka podkreślała okrągłość jej piersi oraz wcięcie talii i opadała do ziemi w delikatnych fałdach.

Zaschło mu w ustach. Wysiłkiem woli odwrócił wzrok i patrzył przed siebie. Rozpoczynała się ceremonia ślubna, której Gino nie chciał

stracić.

Dla Gina reszta dnia upłynęła jak za mgłą. Był lunch i przyjęcie weselne. Szampan. Potrawy.

Przemówienia. Toasty.

Franklin Zennecotti, rzucający mu to samo nieufne, zimne spojrzenie. Mary Zennecotti, ciepła i matkująca.

Cindy, flirtująca ze wszystkimi, którzy się nawinęli. Wyglądała jak ekskluzywna dziwka i oglądał się za nią każdy młodszy facet, włącznie z mężem Leonory, który zresztą okazał się takim przygłupem, na jakiego wyglądał.

Costa i Jennifer, zatopieni we wzajemnych spojrzeniach, wymieniający tajemnicze uśmiechy, mocno ściskający swe dłonie.

I wreszcie ta najważniejsza dama.

Leonora.

Nie dziewczyna już. Dwudzieściośmioletnia kobieta. Gino, od niechcienia: — Jak leci?

Leonora, jeszcze bardziej od niechcienia: — Świetnie, a tobie? Gino: — Nie najgorzej. Leonora: To dobrze. Cisza. Bardzo długa cisza.

Gino zaciekawiony: Słyszałem, że masz śliczną córeczkę. Leonora, obojętnie: Tak, Marię. Znow cisza.

Gino: Ja nie mam dzieci. Leonora: — Nie?

Stali na krawędzi parkietu. Obok nich przemykały roz.łańcz.one pary.

Gino: — Chyba powinniśmy zatańczyć. Wiesz, jako pierwsi drużbowie.

Leonora: — W takim razie miejmy to już za sobą.

W jego ramionach była lekka niczym piórko. Trzymał ją w dyskretnej odległości od siebie i tak wirowali w rytmie melodii *Gwiazdka z nieba*.

Gino czuł jednocześnie podniecenie i wstręt, czuł się jak głupek i jak twardziel. Czy odpowie mu, gdyby się odezwał? Czy na pewno chciał ryzykować wyjście na durnia? Przecież, do cholery, nazywał się Gino Santangelo. Był wielki. Mógł mieć każdą kobietę, jakiej zapragnął. W Nowym Jorku bano się go, szanowano i ufano mu. Do swoich przyjaciół zaliczał senatorów, sędziów i polityków. Mało tego rznął ich żony!

— Wystarczy — stwierdziła nagle Leonora — mam ochotę się napić. Oczywiście.

Odprowadził ją.

— Leonoro... — zaczął.

— Tak? — Jej błyszczące oczy były lodowate, mroziły go.

Kurwa. Nie miała nawet tyle klasy, żeby spróbować wytłumaczyć, przeprosić — cokolwiek.

— Czego chcesz się napić? Przyniosę ci.

— Nie trzeba. — Wyswobodziła się z jego uścisku. — Mój mąż naleje mi drinka. — Odeszła, nie mówiąc ani słowa więcej.

Czuł się, jakby koń kopnął go w brzuch. O co jej właściwie chodziło? Patrzyła na niego jak na brud, jak gdyby go nienawidziła. Co jej takiego zrobił, do diabła, poza tym, że nie odstępował jej na krok jak jakiś wierny frajer?

— Cześć. — Stała przed nim mała dziewczynka. Dziewięcioletnie, lustrzane odbicie matki.

— Ty jesteś Maria? - Tak.

Piękne dziecko. Te same oczy. Te same włosy.

— Skąd wiesz, jak mam na imię? Mała główka przechyliła się filuternie w bok, oczekując odpowiedzi.

Uśmiechnął się.

— No cóż, jesteś sławna.

— Naprawdę?

— No pewnie.

— To dobrze. Bo chcę, żebyś teraz ze mną zatańczył. Świadek pana młodego musi zatańczyć ze wszystkimi druhami. — Nieśmiało wzięła go za rękę. — Teraz moja kolej!

Cała przyjemność po mojej stronie, młoda damo. Z trudem zachowując powagę, wyciągnął ramiona. Wstąpiła między nie bardzo poprawnie. Tańczyli.

Carrie

— Pan Bernard Dimes, który mieszka przy naszej ulicy, wydaje w ten poniedziałek przyjęcie. Za zgodą pani Becker zwykle chodzimy tam do pomocy w kuchni. Możesz z nami pójść, jeśli chcesz. Pan Dimes dobrze płaci.

Pani Smith niecierpliwie oczekiwała odpowiedzi. No jak! Zdecyduj się, bo muszę uprzedzić jego służbę.

Carrie nie wiedziała, co powiedzieć. Byłoby to cofanie się w odległą przeszłość. Ale... Mogła zarobić dodatkowe pieniądze. Jak dotąd oszczędzała każdego dolara, choć jeszcze nie była całkiem pewna, na co.

- Dobrze — powiedziała w końcu. Przynajmniej jakaś odmiana.

Pracowała u Beckerów już sześć miesięcy, a opuszczała ich dom tylko po to, żeby pójść na rynek, z wyjątkiem jednego razu, kiedy wró-

ciła do szpitala, by odwiedzić doktora Hollanda. Był zadowolony z jej postępów. Powrót do Nowego Jorku, ze wszystkimi pokusami tego miasta, był dla ciebie prawdziwym egzaminem. Wygląda na to, że zdałaś na celująco.

Czyżby? Czy chowanie się przed światem, zamykanie się w wolne dni we własnym pokoju zasługiwało na ocenę celującą? I czy tylko przed pokusami się ukrywała?

A może właśnie powinna wyjść na ulicę, zobaczyć jakiś film albo przedstawienie, przejść się, rozejrzeć po sklepach, któregoś dnia w końcu to zrobi. Kiedy poczuje, że jest na to gotowa.

W poniedziałek o piątej po południu pani Smith i Carrie wybrały się do rezydencji pana Dimesa. Pani Smith założyła na tę okazję swoją najlepszą suknię w kwiaty, natomiast Carrie miała na sobie codzienny strój roboczy, a długie, ciemne włosy zaplotła w warkocz.

— Nie masz niczego lepszego, żeby na siebie włożyć? — spytała z wyrzutem pani Smith.

— To moje ubranie do pracy — ucięła chłodno Carrie.

W drzwiach kuchni powitała je pani Church, gosposia państwa Dimes. Carrie zauważyła z ulgą, że była to inna kobieta niż ta, która pracowała u Dimesów w czasach, gdy i ona tam służyła.

Carrie zastała kuchnię wyremontowaną i nowoczesną. A jednak poczuła jakieś ukłucie w środku, gdy weszła i rozejrzała się. Znajomy widok przypominał jej lata naiwnego dzieciństwa, które odeszły tak dawno temu...

W kuchni wrzała praca. Szwedka w fartuchu kelnerki opadła na krzesło oczekując poleceń. Dwóch barmanów krzątało się szykując lód i butelki wina. Była tam też gosposia, która pomagała lokajowi. Kucharz w dostojnym białym stroju zajęty był przygotowaniem miniaturowych vol-au-vent.

Carrie skromnie przystąpiła do bardziej przyziemnych prac.

O siódmej zaczęli się schodzić goście. Z góry dochodziły odgłosy muzyki i śmiechu. Obaj barmani zniknęli nagle wraz ze Szwedką, by wypełniać swoje obowiązki gdzie indziej, i pojawiali się od czasu do czasu z wieściami o tym, jakie to sławne osobistości zbierały się na przyjęciu. Z upływem czasu rosły stosy brudnych talerzy. Ręce Carrie były czerwone od ciągłego zanurzania w gorącej wodzie z płynem do mycia.

O dziesiątej trzydzieści lokaj zszedł do kuchni. Rozejrzył się, jakby czegoś szukał, aż w końcu jego wzrok spoczął na Carrie.

— Umiesz podawać gościom płaszcze?

— Słucham?

— Nieważne. Na pewno nie będziesz gorsza niż ta dziewczyna, którą nam przysłali. Chodź ze mną.

Wytarła ręce w ścierkę do naczyń i podążyła za nim po znajomych schodach.

- Tam - rozkazał, popychając ją lekko w stronę szatni pełnej futer — Będę ci mówił, co masz podać, a ty staraj się to szybko znaleźć.

Lepsze to niż zmywanie, pomyślała Carrie.

Esther i Gordon Becker wyszli jako jedni z ostatnich gości.

— Wspaniałe przyjęcie, mój drogi Bernardzie! Esther była bardzo wylewna. Bernard uśmiechnął się.

— Dziękuję. Miło mi, że się dobrze bawiłaś.

— Ależ oczywiście, że się dobrze bawiłam, i Gordon też. Prawda, kochanie?

Gordon ocknął się z zamyślenia. Podziwiał właśnie tę czarną dziewczynę, która podawała lokajowi ich płaszcze. Taka prosta, całkiem zwyczajna, z niezwykle długim warkoczem. Wydawała mu się dziwnie znajoma...

— Carrie! wykrzyknęła nagle Esther. — Jeszcze tu jesteś? Jak będziesz w stanie jutro pracować?

Kto to jest? — spytał Gordon.

— Przecież to nasza służąca, kochanie! Esther roześmiała się głośno. — Własnej służby nie poznaje! Wyobrażasz sobie, Bernardzie? Jej podwójny podbródek trząsł się od śmiechu tak samo jak olbrzymie piersi.

— A kto poznaje swoją służbę? Gordon także się śmiał, zdecydowany nie pozwolić żonie kpić z siebie. Przychodzą i odchodzą jak króliki!

Matematyczny umysł Bernarda Dimesa pracował usilnie. Carrie? To imię brzmiało znajomo. Twarz dziewczyny także nie wydawała mu się całkiem obca. Carrie...? Nienawidził siebie za swą zawodną pamięć.

— Czy zgodzisz się, żeby dziewczyna została u nas jeszcze chwilę? — spytał Esther.

— Jasne! Tylko żartowałam. Rano wstaje rześka i rozbudzona, o której by się nie położyła. Rzuciła jej protekcyjny uśmiech. — Czyż nie, moja droga? A potem szepnęła na stronie dość głośno, by każdy mógł usłyszeć: Ta dziewczyna to skarb! Pracuje jak prawdziwa Murzynka!

Zachichotała. I znowu:

— Och, muszę uważać na słowa!

Wtedy właśnie Carrie postanowiła poszukać sobie innej pracy. Pani Esther Becker mogła sama sprzątać swoje brudy. Później, kiedy wyszli już ostatni goście. Bernard Dimes usiadł samotnie w swoim gabinecie, delektując się szklaneczką ulubionej brandy. Zadzwoił na lokaja.

- Roger, ta dziewczyna, co pomagała ci dzisiaj przy płaszczach. Każ jej tu przyjść, jeśli jeszcze jest.

Dobrze, proszę pana. Naprawdę była dziś bardzo pomocna - zauważył Roger. To właśnie taka osoba, jakiej nam potrzeba. To rozbawiło Bernarda.

Chcesz, żebym spytał pani Becker, czy by się jej nie pozbyła?

Myślę, że to dobry pomysł, proszę pana. Bernard roześmiał się w głos.

Zadziwiasz mnie, Roger. Wykradanie służby nie jest w twoim stylu. Roger był nieugięty.

Wiem, proszę pana. Ale to czasem jedyny sposób.

Na dole w kuchni, pani Smith chwiała się lekko na nogach, pakując do papierowej torby przeróżne smakowite kąski. Pozostałości potraw i alkoholi były jedną z przyjemniejszych stron takich nocy.

Dwaj barmani układali w skrzynkach puste butelki, a szwedzka kelnerka przebrała się w wyzywającą żółtą sukienkę i usiadła przy drzwiach czytając magazyn filmowy. Kucharz, jej mąż, metodycznie pakował swoje przybory.

Carrie wkładała umyte naczynia do szafek.

Jeden z barmanów przysunął się do niej.

— Może się z nami zabawisz, kotku? Carrie spojrzała na niego bez wyrazu.

— No, jak? — nalegał.

Potrząsnęła głową. Miał już nalegać dalej, gdy w drzwiach kuchni stanął Roger.

— Pan Dimes chce z tobą mówić, Carrie. Natychmiast.

Gino

Wyjazd do San Francisco rozczarował Gina, ślub Jennifer także. Nie mógł znieść mieszkania w hotelu razem z Cindy. W końcu po ostrej kłótni oboje wrócili do Nowego Jorku wcześniej, niż planowali, prawie nie rozmawiając ze sobą.

Cindy była wściekła. Gino utwierdził ją w przekonaniu, że była tylko jego własnością. Oczywiście nie wyraził się w ten sposób, ale i tak zrozumiała. Wyśmiał ją, ponieważ w jego przekonaniu wyszła na idiotkę. Idiotkę, rzeczywiście! Co on mógł na ten temat wiedzieć!

Cindy była pewna, że wszyscy obecni na ślubie mężczyźni wspominali ją jeszcze w perwersyjnych snach.

— Nie powinnaś była ubrać się na biało — orzekł Gino.

— A niby czemu nie?

— Ponieważ tylko panna młoda ma prawo być w bieli na ślubie.

— Czyżby? A skąd ty wiesz?

— Bo wiem. Tego wymaga etykieta.

— Etykieta! Etykieta, też coś! Znasz takie słowa?

Wtedy uderzył ją po raz pierwszy. Cindy natychmiast rzuciła się na niego jak tygrysica, gryząc i drapiąc.

Gino uspokoił ją w końcu i wyszedł z hotelu, zostawiając dziewczynę sam na sam z jej złością, gdy tymczasem on wstąpił do najbliższego baru i upił się do nieprzytomności. Takie ekscesy zdarzały mu się zupełnie wyjątkowo. Zazwyczaj przykładał wielką wagę do trzeźwości, bo tylko ona zapewniała mu panowanie nad sytuacją. Ale tym razem Gino nie rozumiał nic z tego, co się stało. Cindy wystawiła go na pośmiewisko, prowokując każdego napotkanego faceta. I ten Franklin Zennecotti, który wciąż jeszcze traktował go jak gówniarza, co nie umie zliczyć do trzech.

A do tego Leonora. Przecież już dawno powinien był o niej zapomnieć i był przekonany, że mu się to udało. A jednak Leonora nie dawała mu spokoju — jej oczy, muśnięcie włosów, jej ciało, to wszystko sprawiało, że ból, z którym zdołał się już raz uporać, wrócił ze zdwojoną siłą.

Była dla niego tak zimna i nieprzystępna, jakby to on jej wyrządził ogromną krzywdę, a przecież było dokładnie odwrotnie. Gino nic /

lego nie rozumiał.

— Dzięki Bogu, już jesteś westchnął Aldo żując kawałek czosnku. Gino przemierzał w złości jego biuro tam i z powrotem.

— Kurwa mać! Nie ma mnie parę dni i kiedy wracam, zastaję lu taki burdel! — Nie panował nad sobą. — Nie umiesz sobie z. niczym poradzić?

Policzki Aida płonęły.

— Problemy zaczęły się niespodziewanie, dotychczas wszystko szło jak po maśle.

— No chyba, skoro smaruję tyle cholernych łap! — Gino uderzył pięścią w biurko. — Gdzie jest Młody, do diabła?

— Niedobrze z nim, Gino. Porządnie go natłukli, wiesz.

Oczy Gina bynajmniej nie wyrażały współczucia. — Pierdolony frajer. Dlaczego właściwie jechał sam?

— Zwykle tak robi — wyjaśnił Aldo.

No tak. Jacob Cohen. Jake, Młody. Lubił robić wszystko po swojemu. Taki samodzielny. Twardy jak dno butelki. Może właśnie zbyt twardy.

— Opowiedz mi jeszcze raz wszystko po kolei — rozkazał Gino.

— Ale już ci mówiłem..

— To powiesz mi jeszcze raz!

Aldo wolał nie dyskutować. Widział, że Gino tłumi wściekłość.

— W sobotę jak zwykle odbierał forszę. Wsiadał do samochodu przy cukierni na 115. ulicy.

— Gambino?

— Tak. No więc, kiedy wsiadał do wozu, trzech gości zaszło go od tyłu...

— To znaczy, że ich nawet nie widział?

— Nie. Dopadli go z tyłu, pobili, zabrali torbę z forszą i zwiali. Dokąd?

Co?

W którą stronę uciekli? Aldo wzruszył ramionami. Nie mam pojęcia.

— Szesnaście tysięcy moich papierów, a ty nie masz pojęcia!

— Wiem tylko to, co powiedział Młody.

— Przyszedł tu prosto stamtąd?

— Tak. Był w szoku, cały pokrwawiony. Kazałem Redowi odwieźć go do domu.

Aldo był wyraźnie speszony.

— Młody pracuje z nami od siedmiu lat. Nie jesteś go pewien?

— Ja to jestem pewien tylko tego, że uda mi się wysrać przynajmniej raz na tydzień. I niczego więcej.

Podejrzenie, że Gino może mieć rację nagle olśniło Aida. Twarz mu pociemniała i powiedział stwardniałym głosem:

— Sądzisz, że ten śmierdzący, żydowski skurwiel...

— Wolnego! Nawet jeśli chłopak kradnie naszą forszę, nie staje się od razu śmierdzącym Żydem. Tak samo jak ja nie będę śmierdzącym makaroniarzem, jeżeli rozwalę ci łeb kijem do baseballa. To nawet nie taki zły pomysł, przewietrzyłoby ci mózgowicę. Jezu, ale Młody dał ci popalić! To było wczoraj, mówisz? O ile chcesz się założyć, że Młody nie siedzi grzecznie w domu, czekając, aż wrócę?

Gino zamilkł, wpatrzony w Aida.

— Nie, mój drogi. Zakładam się, że Młody zdążył się już gdzieś zadekować z moimi szesnastoma tysiącami. A ty, kretynie, jeszcze kazałeś go zawieźć do domu.

Aldo nie odpowiadał, tylko układał sobie w głowie fakty.

— Sam to sprawdzę - rzucił Gino wybiegając prawie z biura.

— Sam, Red, idziemy złożyć Młodemu wizytę. Kupimy mu po drodze parę kwiatków albo coś w tym guście.

Red i Sam wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Może to prawda, że Jake wystawił Aida do wiatru, ale oszukać Aida to akurat nic trudnego. Oni wiedzieli od początku, że historia była ukartowana. Każdy kto w złych zamiarach zbliży się do Jake'a na sto metrów dostanie kulkę w tyłek. Nikt nie strzelał szybciej od Jake'a. Oni to rozumieli. Czy nie czas, żeby ktoś uświadomił i Aida?

Okazało się oczywiście, że Gino miał rację.

Właścicielka mieszkania Jacoba Cohena powiedziała, że Młody właśnie się wyprowadził. Bez uprzedzenia. I nie zostawił nowego adresu.

— Miły chłopak — dodała. — Cichy, nie sprawiał kłopotów, nie zalegał z komornym.

— I nie wie pani, dokąd mógł się wynieść? — spytał Gino. Zaprzeczyła.

— Zna pani jego przyjaciółki? Zmarszczyła brwi i odparła:

— Moi lokatorzy mają prawo do intymności, proszę pana. Gino wsunął jej w rękę dwudziestodolarowy banknot.

— Miał wiele dziewczyn. Co tydzień inną.

— A ktoś... szczególny?

— Nie. Znikały, tak jak przychodziły. — Pociągnęła nosem. — Taki młody chłopak nie lubi się przywiązywać.

Gino pokiwał głową. Kiedy znajdzie Cohena, upiecze mu jaja na wolnym ogniu i da do żarcia gołębiom.

Nikt nie będzie kradł pieniędzy Gina Santangelo. Ale to nikt.

— Naprawdę musimy tam iść? — narzekała Cindy.

— Tak — odparł krótko Gino. Od powrotu z San Francisco był, mówiąc oględnie, w podłym nastroju.

— I rozumiem, że w takim razie będziemy musieli zostać na weekend? — jęknęła.

— Tak.

— Gino nie miał większej niż Cindy ochoty na przyjęcie u senatora i pani Duke. Właśnie obchodzili dwudziestą siódmą rocznicę ślubu i nie było żadnego sposobu, żeby się wykręcić. Sama Clementine nalegała przez telefon swoim dźwięcznym głosem: Jeśli nie przyjedziesz, Gino, będę myślała, że mnie unikasz. Nie było cię na naszym ostatnim przyjęciu i w ogóle nie widzieliśmy się od trzech tygodni. Cisza w słuchawce. — Nie chciałabym myśleć, że naprawdę mnie unikasz. A tym bardziej nie chciałabym, żeby Oswald tak pomyślał.

Czy miała to być zawoalowana pogrożka? Gino roześmiał się. Gdyby nawet w ogóle przestał się z nimi spotykać, nic nie mogli mu zrobić.

Co prawda, senator Duke wiedział bardzo dużo, na przykład o nielegalnym handlu. Wiedział także o nadwyżkach pieniędzy, zabieranych z kasy klubu, o grach hazardowych i o wszystkich większych sumach, które wpływały na konto Gina. Tak, senator Duke mógł mu zaszkodzić, gdyby chciał — dość byłoby jednego telefonu do wydziału podatkowego, który i tak bez przerwy węszył w pobliżu.

Ale senator był zbyt dobrym człowiekiem, żeby zrobić mu coś takiego. A to dlatego, że dobry senator miał dość własnych interesów do ukrycia. Jak łapówki, które załatwiał w imieniu Gina. Jak nie zawsze do końca legalne transakcje giełdowe. Albo niezła pensyjka dyrektora, którą pobierał jako doradca finansowy w przedsiębiorstwach należących do Gina.

Tak, w pewnym sensie byli partnerami.

Jeszcze tylko to jedno przyjęcie, postanowił Gino — to im się od niego należało. Pomówi na nim z

Clementine. Było mu bardzo miło, ale to przecież tylko jedna z tych przelotnych... spraw.

Tymczasem miał na głowie inne problemy. Ten cholerny Jake, który zwiął z jego pieniędzmi. Minęły dwa dni, a po Cohenie ani śladu —

a przecież za tysiąc dolców nagrody każdy porządny obywatel Nowego Jorku doniósłby na własną matkę.

Jake zniknął bez śladu. Mały skurwiel. Ale niech się tylko pokaże, wtedy dostanie za swoje. Z nawiązką.

— Co mam założyć na przyjęcie? — spytała Cindy. -- Co chcesz — odparł obojętnie Gino.

— Może tę czerwoną z jedwabiu?

— W czerwonym wyglądasz jak dziwka.

— Dziękuję. Ty to wiesz, jak powiedzieć dziewczynie komplement.

— To mnie nie pytaj.

I nie będę, pomyślała. Założę to, na co będę miała ochotę. Nawet czerwony jedwab. Nawet jeśli wyglądam w nim jak dziwka.

A na głos powiedziała:

— Wiadomo już coś o Młodym?

Wiedziała doskonale, że nic, ale chciała wiedzieć, jak Gino się wścieka.

— Nie — uciął Gino. — Idę do klubu.

— Może tam przyjdę, bo...

— Nie dzisiaj. Jestem umówiony.

— Z kim?

Spojrzał na nią uważnie.

Cindy wzruszyła ramionami. Wiedziała, kiedy należy milczeć. W każdym razie jej plany też nabierały kształtu. Już niedługo to ona będzie dyktować warunki.

W „ClemmieY” było pełno ludzi. Tu było bezpiecznie. Przy szatni Gino spotka! Verę. Zauważył, że dawno już nie wyglądała tak dobrze. W dodatku była nawet całkiem trzeźwa.

— Słyszałeś już? zapytała z błyszczącymi oczyma.

— O czym? Wychodzi.

— Ach tak? — Gino nie musiał pytać kto. Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

— To wspaniale, prawda?

Skinął głową bez przekonania. Co miał odpowiedzieć? Czy to, że największym jego życzeniem było, aby ten wredny sukinsyn nigdy nie wylazł z pierdła?

— Gino — Vera ścisnęła go za rękę. — Wiem, że między wami nic układało się za dobrze...

Ba! Delikatnie powiedziane.

— ... ale tak bardzo bym chciała, żebyście się teraz pogodzili. Paolo bardzo się zmienił. Tyle lat w zamknięciu zmienia każdego...

Zamilkła, wzięła głębszy oddech i mówiła dalej: On cię podziwia. Ciągłe o tobie mówi. Jest z ciebie niesłychanie dumny, naprawdę.

No tak. Pewnie że jest. Paolo miał dosyć rozumu, żeby wiedzieć, z kim należy trzymać.

— Myślałam — Vera mówiła niepewnie dalej że moglibyście się spotkać, pogadać. Mówiła coraz szybciej. — Paolo będzie potrzebował jakiejś czystej roboty. Teraz, kiedy nie ma Jake'a...

Gino zrozumiał do czego zmierzała.

--- Zapomnij o tym uciał z uśmiechem niedowierzania na twarzy. Nawet o tym nie myśl.

— Ależ, Gino, jak możesz tak mówić. Przecież to twój ojciec. To chyba coś dla ciebie znaczy?

Gino mógł uczciwie powiedzieć, że nic.

— Kiedy wychodzi? - spytał zimno.

— Za parę tygodni.

Przyjmujesz go do siebie, tak? — Oczywiście! Potrząsnął głową.

Ty nic nie rozumiesz, Vera. Nie wiesz, co będzie? Uczepisz się go kurczowo, aż znowu tak cię spierze, że ledwo ujdiesz z życiem?

Mówię ci, że Paolo się zmienił.

Zobaczmy. W każdym razie niech się trzyma z daleka ode mnie. Nie chcę go widzieć ani o nim słyszeć. Patrzyła mu w oczy.

Potrafisz być czasami zupełnie bez serca, wiesz? No pewnie. Jak sądzisz, jak inaczej zdobyłbym to, co mam? Zostawił ją i skierował się w głąb klubu, uważnie obserwując wszystko wokół. Skinął

głową kilku znajomym i nagle zauważył Bee, siedzącą przy stoliku z jeszcze jedną panią i dwoma mężczyznami. Zauważyła go i odwróciła wzrok.

Do głowy przyszło mu wspomnienie Bee, stojącej przed nim nago w butach na wysokim obcasie. Oblite, białe, gładkie ciało. Mogła była powiedzieć mu, że ma syfa, za n i m zdjęła ubranie. Miała ładne piersi. Nawet bardzo ładne.

Panią, którą sobie wybrał, miała na imię America: długie nogi i kruczoczarne włosy. Raz już z nią był. Miłe, ale nie niezapomniane przeżycie. Podszedł do jej stolika, nachylił się i powiedział:

— Odwiozę cię dzisiaj do domu. Wejdz do mojego biura o dwunastej. Widział, jak się ucieszyła.

— Oczywiście! — Dla niej to z pewnością przeżycie bardziej niezapomniane.

Kobiety. Po tuzinie za dolara. Obojętne, czy chodziły w najdroższych jedwabkach, czy w sukienkach z wyprzedaży.

Na przyjęciu u państwa Duke Cindy z dumą obnosiła suknię z czerwonego jedwabiu. Była rozchylona z przodu i głęboko wycięta z tyłu, materiał opadał delikatnie w zagłębienie pomiędzy piersiami. Miękkie loki blond włosów z tyłu spięte sztucznym, czerwonym kwiatem, opadały na jej śliczną twarz.

Gino nic odezwał się słowem na temat jej wyglądu, ale spojrzenie, jakie jej rzucił, było dość wymowne.

Cindy miała to gdzieś. Potrząsając lokami, zajęła się uwodzeniem wszystkich obecnych na przyjęciu mężczyzn.

Clementine, która wyglądała bardzo sztywnie w prostej, czarnej sukni, wzięła Ciina na bok.

Uważam, że powinieneś pomówić ze swoją żoną szepnęła. — Nasza mała Cindy zachowuje się dosyć nieprzystojnie.

--- Tak? Oczywiście były pozbawione wyrazu, gdy podążył za spojrzeniem Clementine, która obserwowała jego żonę. Jeśli ma ochotę się trochę zabawić, wcale mi to nie przeszkadza.

Clementine przełknęła złość

— A powinno. Jej postępowanie rzuca światło na twoją osobę. Cindy wystawia cię na pośmiewisko.

— Czyżby? Skoro tak, to jak sądzisz, na co ty wystawiasz Oswalda? Usiłowała nie podnosić głosu. Gino powoli wyprowadzał ją z równowagi — ją, która nigdy nie traciła panowania nad sobą.

— To co innego.

— Dlaczego?

— Wiesz doskonale, dlaczego.

— Oczywiście. Ja wiem. Ale chyba nie zależy wam specjalnie na tym, aby wszyscy wiedzieli, że Oswald jest pedałem.

— Nie używaj tego słowa.

— Lubiałaś je kiedyś.

— Tak, a ty lubiłeś mnie odwiedzać. Co się stało, Gino? Wzruszył ramionami.

— Wyjeżdżałem. Wiesz przecież.

Wiedziała, to prawda. Ale wiedziała także, że Gino unikał jej, jeszcze zanim wyjechał. A żaden mężczyzna nie będzie unikał Clementine Duke, chyba że ona sama tego zechce.

Nie miała ochoty kontynuować rozmowy.

— Daj papierosa — zażądała zimno.

— Nie mam. Mogę ci dać cygaro.

Spojrzała na niego. Mały, krnąbrny sukinsyn. Gdyby nie Oswald i ona, wciąż jeszcze byłby zwykłym chuliganem z ulicy. To oni dali mu wszystko: przekazali mu swoją klasę, wprowadzili do środowiska i zapewnili jego przychyłność. Zrozumiała nagle, że go kocha. Ale nie była to miłość usłana różami. Ta miłość oznaczała zazdrość, żądzę posiadania i cierpienie nie do zniesienia.

Gino już jej nie chciał. Wiedziała, że to prawda, tak samo jak to, że Oswald był pedałem.

— Gino — powiedziała z zaciśniętymi ustami Oswald chce o czymś z tobą porozmawiać. Może byłbyś na tyle dobry, żeby spotkać się z nim w jego studiu o dziesiątej rano. To jest bardzo... delikatna sprawa. Zabiorę Cindy na zakupy.

Gino wyglądał na zdziwionego. Czy naprawdę nie można było omówić tego w mieście?

— Oczywiście, przyjdę — odrzekł bez przekonania.

— A więc dobrze... Wybacz, muszę wrócić do gości.

Gino patrzył w ślad za nią. A jednak była to kobieta z klasą.

Przyglądał się też Cindy. Najładniejsza dziewczyna na przyjęciu.

Zastanawiał się, jak to było możliwe, że żadnej z nich w najmniejszym stopniu nie pożądał. Może zbyt wcześnie zaczynał, a teraz, po tylu miłosnych przygodach, miał coraz mniejszą ochotę na następne. Czuł wstręt nawet do pańienek, które brał dla rozrywki na jedną noc. Miłość, która kiedyś była podniecającą grą, niespodziewanie stała się nudna. Tak, po prostu nudna.

Sam był sobie winien.

Gino chrząknął. Pomyślał o Jake'u. Pomyślał o tym, co mu zrobi, jak go dostanie w swoje ręce. Uśmiechnął się na tę myśl. Jake był

chłopakiem z jajami, a Gino to lubił. Jake był twardy.

Właśnie tak. Da mu porządną nauczkę, a potem przyjmie go z powrotem do rodziny.

— Dlaczego nie możemy pójść razem na lunch? Henry Moufflin Jr. Pytał z uporem już trzeci raz.

Cindy patrzyła na niego, zalotnie przechylając główkę. — Po prostu nie chcę, żeby spotkały pana jakieś nieprzyjemności ze strony Gina

— odpowiedziała.

To śmieszne! - wykrzyknął Henry. Nie był już tym samym żółtodziobem, który przez tyle lat płaszczył się przed Clementine Duke.

Trądzik już dawno znikł z jego czoła i Henry właśnie odziedziczył po świętej pamięci ojcu całkiem przyzwoitą fortunę.

— Co za odważne słowa. Henry odpowiedziała mu niskim, cichym głosem Cindy, która właśnie zauważyła z przyjemnością, że Henry Moufflin Jr. robi, co może, żeby zajrzeć w dekolt jej sukni.

— Mówię to, co m-m-myślę - nalegał. Wciąż wyraźnie się jąkał, mimo lat terapii u logopedów. Chcę z-zabrać cię n-na lunch. Tylko tyle.

Cóż złego może się stać, jeśli obiecuję ci, że będę się zachowywał poprawnie?

Cindy przypomniała sobie o raporcie tajnego detektywa, który schowała pod materacem łóżka w domu. „Pan Santangelo opuścił klub

„Clemmie's" około dwunastej w nocy. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn, z których jeden prowadził limuzynę. Była z nim również młoda dama wysoka, o kruczoczarnych włosach. Wszyscy czworo pojechali do...”

— No więc? Henry nalegał.

— Zgoda — postanowiła Cindy ku własnemu zaskoczeniu. — Czemu nie? Henry był rozpromieniony. No właśnie, czemu nie? Ożywił

się nagle,

uradowany takim obrotem sprawy. Żona Gina Santangelo zgodziła się pójść z nim na lunch. Oczywiście muszą pójść do hotelu Plaża.

Kwiaty, szampan i pokój na górze, zarezerwowany na wszelki wypadek. A może nawet, jeszcze lepiej, prywatny obiad podany do pokoju.

— Poniedziałek? - spytał z niecierpliwością w głosie.

Wtorek — odpowiedziała Cindy. Zastanawiając się, czy nie za wiele sobie pozwala, była jednocześnie gotowa to zrobić. Doskonale.

Zachichotała. Mam nadzieję.

Gino kręcił się nerwowo po studiu senatora Duke'a. Pamiętał ich pierwsze spotkanie w tym właśnie pokoju. Pamiętał, jak Oswald wydał

mu się zwykłym bandziorem, i do (ego tępym. Tępym, akurat.

Zdenerwowany, podniósł srebrny nożyk do rozcinania kopert i zważył go w dłoni. Senator wszedł do pokoju.

— Bardzo miłe przyjęcie — zauważył wesoło Gino.

Oswald kiwnął głową. Ciężkie worki pod oczami zdawały się ściągać całą jego twarz do ziemi. Nie był w nastroju do ugrzecznionej konwersacji.

— Gino — zaczął, przechodząc z miejsca do sedna sprawy — to, o co cię dotychczas prosiłem, to były drobne przysługi, łatwe do spełnienia.

Gino odłożył w skupieniu nożyk z powrotem na biurko. Nie podobał mu się pośpiech Oswalda ani to, jak senator mówił przez ramię, nie patrząc na niego.

— To prawda zgodził się ostrożnie.

— Zawsze uprzedzałem cię, że może nadejść taka chwila, w której poproszę cię o dużo... poważniejszą przysługę.

To zelektryzowało Gina.

— Jak poważną?

— Bardzo.

Między mężczyznami zaległa cisza.

— Mów dalej — powiedział w końcu Gino. Senator chrząknął.

— Muszę się kogoś pozbyć — wykrztusił z trudem. — I chcę, żebyś zajął się tym osobiście.

Carrie

Bernard Dimes siedział w wyściełanym skórą krześle w gabinecie, który Carrie kiedyś sprzątała. Przebiegała oczami po pokoju, ale zauważyła niewiele zmian. Zdjęcia sławnych osobistości w srebrnych ramkach stały na swoich miejscach. Na ścianach nadal wisiały obramowane plakaty. Ogromne biurko było tak samo jak przedtem zarzucone stosem papierów, których nikomu nie wolno było dotykać.

Kiedy lokaj wprowadził Carrie, Dimes obrócił się razem z fotelem i spojrzał na nią.

— Czy mam zostać, proszę pana? — spytał dyskretnie Roger.

— Nie, nie trzeba. Zadzwonię, kiedy będę cię potrzebował. — odrzekł Bernard, pozbywając się go czym prędzej. — Usiądź, Carrie. —

Pokazał jej krzesło. Usiadła i przyglądała się swoim rękoma, splecionym skromnie na kolanach.

— Znam cię skądś, prawda? — zapytał ostrożnie Bernard. Podniosła wzrok w zaskoczeniu.

— Tak.

— Mam bardzo dobrą pamięć do twarzy — powiedział. — Kiedy raz kogoś zobaczę, nigdy nie zapominam. Strasznie mnie męczy, jeśli nie mogę umiejscowić jakiejś twarzy w pamięci. Powiedz, gdzie się spotkaliśmy?

— S-słucham pana? — ledwo wyjąkała.

— Gdzie to było?

— Tutaj — odpowiedziała, nic nie rozumiejąc.

— Tutaj?

— Tak, proszę pana. Służyłam tu kiedyś.

— Ach tak? — Bernard był zaskoczony. — Kiedy?

— Och, wiele lat temu — odpowiedziała niewyraźnie. — Byłam bardzo młoda.

Przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

— Nie, nie tutaj. Gdzieś indziej.

— Ja naprawdę tu pracowałam, proszę pana. Nie czuł się przekonany.

— Panie Dimes. Pracowałam dla państwa w tym domu. Dawno, w tysiąc dziewięćset dwudziestym

szóstym roku. Musiałam wyjechać nagle z powodów... rodzinnych.

Mars pogłębił się na jego czole.

— Tak mówiła dalej w podnieceniu — nie pamięta pan? Spotkałam pana we włoskiej restauracji. Właściciel przyprowadził mnie do pana i pan dał mi pracę. Przecież musi pan pamiętać?

Pamiętał małą, szczupłą dziewczynkę, na pewno nie tę dojrzałą kobietę, która teraz siedziała przed nim. Mimo jej zaplecionych w warkocz włosów, niezbyt wyjściowego ubioru i twarzy bladej bez makijażu, Bernard Dimes rozpoznawał w Carrie piękną kobietę. Nie na darmo od dwudziestu trzech lat był producentem filmowym.

— A więc — zapytał znowu — po tych wszystkich latach nadal satysfakcjonuje cię posada służącej?

Carrie przyglądała się wzorom wyszytym na dywanie.

— Chyba tak.

— Co ci jest, Carrie? Nie masz ambicji?

Spojrzała na niego, zaskoczona tym, że rozmawiał z nią jak z równą sobie.

— Mam ambicję — odpowiedziała, ożywiając się — ale niełatwo o inną pracę.

Bernard patrzył na nią uważnie, aż nagle powiedział:

— Pewnie jest, tak jak mówisz. Ale ty jesteś bardzo atrakcyjną dziewczyną. Powinnaś mieć z życia coś więcej.

Carrie wzruszyła ramionami.

— Wiem o tym...

Popatrzył na nią w zamyśleniu; nagle, pod wpływem impulsu, wstał z fotela, przeszedł przez gabinet i wręczył Carrie wizytówkę.

— Przyjdź do Shubert Theater jutro o dziesiątej rano. Może znajdzie się coś dla ciebie w chórze. — Poważnie mierzył ją wzrokiem. —

Nie chcesz chyba być służącą do końca życia, co?

Potrząsnęła głową.

— Z Beckerami ja sam to załatwię, nie martw się tym. — Nacisnął przycisk dzwonka i lokaj pojawił się w drzwiach natychmiast. —

Roger, zabierz Carrie na dół.

Carrie opuściła studio Bernarda Dimesa niemal w szoku.

Bernard patrzył, jak Carrie odchodzi. Był zaskoczony takim obrotem sprawy nie mniej niż ona. Kazał ją sobie przyprowadzić z powodu dojmującego wrażenia, że znał ją, i nie mógł sobie przypomnieć skąd. I nagle, gdy tak siedział naprzeciwko niej w swoim gabinecie, opanowało go przedziwne uczucie. Carrie emanowała ukrytym erotyzmem, który przenikał go na wskroś. Czemu nie dać dziewczynie szansy, pomyślał.

Zapalił papierosa i wydmuchiwał w sufit niebieskie kręgi dymu. Coś jeszcze nie pasowało mu w tej historii... Widział ją gdzieś, ale nie wtedy, kiedy u niego pracowała.

Wysilał umysł, ale odpowiedź nie przychodziła. W końcu sobie przypomniał. Kiedy myślał o czymś dość intensywnie, wspomnienia zawsze w końcu wskakiwały na swoje miejsca.

Reżyser dłużył w zębach końcem zapalki.

— Gdzie ją znalazłeś? zapytał.

— Jest służącą u moich znajomych — odpowiedział wymijająco Bernard.

— Wygląda rzeczywiście nieźle.

Obaj mężczyźni przyglądali się Carrie ze swych anonimowych foteli na widowni. Ona zaś stała na scenie, oślepiona reflektorami, zdenerwowana i spocona w pożyczonym trykocie.

— Co mam ci zagrać? — spytał młody pianista.

— Nie wiem — wymamrotała Carrie.

— Najpierw zaśpiewasz, czy zatańczysz?

— Chyba... najpierw zatańczę.

— Znasz *Gwiazdkę z nieba!*

— A coś honky-tonk?

— No, to rozumiem! — Z zapalem uderzył w klawisze i zagrał nowo-orleańską wersję *Hard-Hearted Hannah*. Carrie zaczęła tańczyć.

— Mój Boże! — krzyknął reżyser — ona się porusza jak striptizerka! Bernard siedział nieruchomo, wyprostowany w swoim fotelu.

Reżyser miał absolutną rację.

Przyjęcie u Clementine Duke w Westchester, w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku.

Wiedział, że sobie przypomni — w końcu.

Gino

Gino prowadził nieuważnie czarnego cadillaca.

Cindy, na przednim siedzeniu, podkuliła nogi pod siebie i powiedziała:

— Jesteś pijany czy co, Gino?

— O co ci znów chodzi?

- Powinieneś uważać, jak jedziesz.

— Cholerny senator. Wydaje mu się, że może mi rozkazywać. Ja nie tańczę na niczym sznurku.

— A kto mówi, że tańczysz?

Zerknął na żonę zastanawiając się, czy powinien jej powiedzieć. Nie. Dlaczego miałby opowiadać jej o tym, jak został upokorzony przez senatora Duke'a, który rozmawiał z nim, jakby był jakimś nieopierzonym chłystkiem prosto z ulicy? I jeszcze był pewien, że usłyszy zaraz: „Ależ tak, panie senatorze, oczywiście, że zabiję człowieka, skoro pan tego sobie życzy!” Skurwysyn. A on uważał, że miał w nim przyjaciela! Wolne żarty.

— Nieważne — bąknął.

— No pewnie, nieważne. To dlatego uciekliśmy stamtąd jak jacyś zbiegowie? Twoja dziewczyna była niezadowolona.

— Ona nie jest moją dziewczyną, mówiłem ci setki razy.

— Jasne - Cindy ziewnęła lak samo jak Jean Harlow nie farbuje się na blond!

Resztę drogi przejechali bez słowa, Gino był tak wściekły na siebie samego jak na wszystkich innych. Właściwie nie odmówił

senatorowi. Wysłuchał go i powiedział:

— Dopilnuję tego. Ale senator odparł:

— Ty musisz to zrobić, Gino. Nikt inny nie ma prawa o tym wiedzieć. To przechodziło ludzkie pojęcie. Siedział tam i pozwalał, żeby go traktowano jak pospolitego bandytę. Był człowiekiem interesu, nie kryminalistą z rewolwerem pod poduszką. A przecież siedział tam i słuchał, jak Oswald wyłuszcza mu całą historię. Oczywiście, chodziło o szantaż. Oczywiście, na tle seksualnym. Długa historia.

Senator Duke nie powiedział wyraźnie: „Zniszczę cię, jeżeli tego nie zrobisz”, ale takie słowa wisały w powietrzu.

A czy Gino mógł to zrobić? Przypuszczalnie tak. Miał na to dość władzy. Oczywiście po przemyśleniu wszystkiego Gino widział, jak nierozważnie było pozwalać, żeby senator wiedział o jego działalności. Ale jak mógł temu zaradzić? Senator Duke był dyrektorem większości przedsiębiorstw, które (iino posiadał, a jego prawnik zajmował się wszystkimi dokumentami. Nad inwestycjami także pracował w imieniu Gina finansista od senatora. Jedyna rzecz, o której senator jeszcze nie wiedział, to bezpieczne schowki, rozmiesz-czone w całym mieście.

A więc, co miał zrobić? Zabić jakiegoś cholernego szantażystę pedała? W ten sposób Oswald Duke będzie miał jeszcze więcej na sumieniu.

Czy też zaryzykować i zapomnieć o całej sprawie?

Gino poczuł się zapędzony w kozi róg.

Nie był to za dobry tydzień.

Wkrótce stał się jeszcze gorszy.

Już na drugi dzień trzech ludzi Gina zaatakowano na ulicy. Następne piętnaście tysięcy do tyłu — to była robota Młodego Jake'a.

Gino nie namyślał się długo: Młodego trzeba było zlikwidować. Że facet był z jajami, to jedno, ale że zaczął przeginać pałę, to już zupełnie co innego.

W południe zadzwonił senator Oswald.

— Czy podjąłeś już decyzję? — wyszeptał do słuchawki.

— Tak — odpowiedział Gino. — Niech się pan nie martwi, sprawa będzie załatwiona.

Gino zdecydował, że robi to tak, jak sam uzna za stosowne.

Wieczorem zwolnił Reda i Sama, wziął starego forda z piwnicy klubu i pojechał na adres, który dał mu Oswald. Samochód chodził jak marzenie — i tak być musiało, skoro Gino dopieszczał go co najmniej raz w miesiącu.

Miejsce wskazane mu przez Oswalda leżało w dzielnicy Village i wyglądało jak śmietnik. Gino zaparkował wóz ulicę dalej i wrócił do właściwego budynku. Wśród wizytówek obok dzwonek znalazł nazwisko: Z. Kincaid. Drugie piętro.

Mimo że była druga w nocy, cały budynek trząsł się od hałasu, jaki robiła jakaś jazzowa grupa.

Zapukał do Z. Kincaida i w drzwiach stanął natychmiast murzyński chłopak, jakby się kogoś spodziewał.

Gino zastawił drzwi nogą i wśliznął się do środka.

Bez słowa chłopak cofnął się nerwowo w róg pokoju. Miał gęste, kręcone włosy i oczy narkomana. Nosił szlafrok w kwiaty i miał usta umalowane jasnoczerwoną szminką.

Ty jesteś Zefra Kincaid?

A kto pyta? — chłopak odpowiedział dziwnym falsetem.

— Jesteś? — powtórzył Gino wpatrując się w niego uporczywie.

— Tak — wyszeptał chłopiec. Oddaj listy.

Jakie listy?

Jeden szybki krok i Gino był tuż przy nim, wbijając kolano w brzuch chłopaka i ręką boleśnie odchylając jego głowę do tyłu. - Oddawaj listy senatora... Natychmiast!

— Dobrze. — Z jego oczu przebijał ból i strach.

Gino puścił chłopaka i odetchnął. Instynkt i tym razem go nie zawiódł: nie trzeba było zabijać tego małego, przerażonego pedała.

Wystarczyło go dobrze nastraszyć, a potem wsadzić w pociąg i wywieźć z miasta.

Chłopak trząsł się cały, podchodząc do kredensu w rogu pokoju. Uspokojony Gino zastanawiał się, gdzie też Oswald wynalazł takiego dziwoląga. Gdzie spotkały się ich drogi — senatora i tego nastoletniego pedała narkomana?

W chwili gdy chłopak otworzył drzwi kredensu, z ciemności wyskoczyła

z wrzaskiem ogromna figura, prawie dwumetrowy mężczyzna w peruce, który z grymasem szaleńca i z rzeźnickim nożem w garści rzucił się na Gina.

Na ułamek sekundy Gino skamieniał ze strachu. I w tej właśnie sekundzie mężczyzna zadał mu cios, wbijając ostrze noża głęboko w ramię.

Czwartek, 14 lipca 1977

Nowy Jork i Filadelfia

Lucky na przemian budziła się i zapadała w sen. Steven przestał już ją irytować, chciała po prostu wydostać się stamtąd. Po dziewięciu godzinach uwięzienia w windzie cała agresja opuściła Lucky. Czowała się obrzydliwie brudna. Jej wargi i gardło wyschły na wiór. Bolała ją głowa, miała skurcze żołądka. Chciało jej się wymiotować, a jednocześnie umierała z głodu.

— Nie śpisz? — zapytała szeptem.

— Nie mogę — odparł Steven.

— Ani ja.

Steven współczuł jej i sobie. I czuł wściekłość na siebie, że w Nowym Jorku, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku.

można być uwięziony ni w windzie przez dziewięć godzin bez nadziei, że ktoś przyjdzie z pomocą.

— Co zrobisz, kiedy się stąd wydostaniesz? spytała Lucky.

W ciemności Steven uśmiechnął się do siebie. Dziewczyna zachowywała się jak sierota oczekująca wyjścia z więzienia.

— Wykąpię się.

Lucky roześmiała się cicho.

— Ja tak samo. Mam ochotę na długą, gorącą kąpiel i kieliszek białego wina w wannie. I muzykę: Donnę Summer albo Stevie Wondera.

— A co byś powiedziała na Millie Jackson albo Isaaca Hayesa?

— Lubisz taką muzykę?

— No pewnie.

— Naprawdę?

— Dziwi cię to?

— Nie sądziłam, że taki gość jak ty może lubić soul.

— A co sądziłaś?

— Nie wiem. Zwyczajny pop. Herb Alpert, Barry Manilow.

— Dziękuję.

— Czy nie byłoby wspaniale, gdybyśmy mieli tu muzykę?

— Marvin'a Gaye'a. -- Ala Greena.

Willi Hutch'a.

— Otisa Redinga. Roześmieli się oboje.

— Hej! - wykrzyknęła Lucky — a więc jednak mamy coś wspólnego.

— Słuchasz czasem starej muzyki? Billie Holiday, Niny Simone?

— No jasne. Uwielbiam ją.

— Naprawdę?

Nagle zaczęli mówić o muzyce, rozmawiali jak para przyjaciół. Tak się zapamiętali, że ledwo usłyszeli wołający z góry głos:

— Hej, jest tam kto?

— Hej! — odkrzyknęła Lucky. — Znaleźli nas. Steven także podskoczył.

— Tu jesteśmy! Jest nas dwoje! Możecie nas stąd wyciągnąć?

Dario, skulony na podłodze kuchni, miał wszystkie mięśnie napięte do granic wytrzymałości. Słyszał tylko przekleństwa, jakimi obrzucał go tamten, zbliżając się do niego krok po kroku, coraz bliżej noża, który sterczał z pomiędzy spoconych rąk Daria.

— Ty skurwysynu... Ty kutasie... Ty w dupę jebany... — Głos był tuż-tuż. — Ty skurwysynu... Ty kutasie... Ty w... Aaaa!

Dario nie drgnął nawet, gdy chłopak nadział się na nóż. Po prostu wszedł na ostrze noża.

Zapanowała cisza.

Dario wypuścił bezwiednie nóż z ręki. Zrobiło mu się słabo. Czyżby zabił tamtego?

Carrie czuła się strasznie upokorzona, gdy brudna policyjna karetka wiozła ją na posterunek wśród stłoczonej, wściekłej masy ludzkiej.

„Wyrzutki społeczeństwa”, mawiał Elliott. Co by powiedział, gdyby zobaczył wśród tych wyrzutków i ją?

Przymknęła oczy i starała się o tym nie myśleć.

Mogła sobie wyobrazić surowe rysy Elliotta, ściągnięte w najwyższym zdziwieniu. „Ale co, na Boga, robiłaś w Harlemie, Carrie? Nic nie rozumiem”. Uprzedziła go, że wpadnie do Stevena.

— Niedługo wrócę — zapewniła. Steven mieszkał trzy ulice dalej. Elliott, który właśnie oglądał film w telewizji, skinął tylko głową.

Jak długo jej nie było? Teraz już kilka godzin. Elliott na pewno odchodził od zmysłów. Musiał już zawiadomić Stevena i dowiedzieć się, że Carrie nawet do niego nie dotarła... Teraz na pewno obaj martwili się o nią.

Czyniła desperackie wysiłki, żeby wymyślić jakąś historyjkę na użytek Elliotta i Stevena. Kiedy jej się to udało, kłamstwo było doskonałe. Musieli jej uwierzyć.

— Powiedziałem: kto tam? — Gino arogancko powtórzył pytanie.

— Panie Santangelo... To ja, Jill. Myślałam, że może pan zmienił zdanie.

Boże! Kobiety! Pół do trzeciej w nocy, a ta znów waliła w jego drzwi. Ani trochę — jęknął.

Proszę otworzyć drzwi, na chwileczkę. — Jill nalegała przymilnie. Muszę pana o coś spytać. Proszę.

Kiedy tak prosiła, Gino musiał ustąpić. Wsunął rewolwer do kieszeni szlafroka i przekręcił klucz w drzwiach. Może naprawdę był

trochę podniecony? Czemu nie miałby zrobić dziewczynie przyjemności? Jeszcze otwierając drzwi, zaczął mówić: Słuchaj no, kochanie... Jego słowa zmieniły się w zduszone przekleństwo, gdy oślepił go flesz aparatu fotograficznego.

Z dużym trudem zdjęto sufit windy i jakiś mężczyzna w kombinezonie wsunął reflektor w powstały otwór, kierując światło prosto w twarz Lucky.

O rany! krzyknęła zasłaniając oczy dłonią. -- Niech pan to wyłączy! rozkazała. — Od dziewięciu godzin siedzimy w ciemności, a pan mi teraz świeci po oczach.

Mężczyzna w kombinezonie roześmiał się głośno i wyłączył światło.

— Wy tam, nieźle wyglądacie. Właśnie wyciągnąłem dziesięć osób z windy w Sherman Building. Jeezu, tamci to byli dopiero! Jego śmiech przypominał gdakanie kury. — Spoceni jak bydło. A smród! Ja...

— Wyciągnie nas pan stąd? — przerwał mu ostro Steven. Mężczyzna strzelił kostkami palców.

— Po to tu jestem, nie?

To skończmy gadać i weźmy się do roboty. Pan jest strażakiem?

Nie. — Pociągnął nosem. — Oni mają dość swojej roboty. Burdel w całym mieście. Ja jestem z obsługi wind.

— Chce pan powiedzieć, że w całym mieście nie ma prądu?

— Zgadza się.

Lucky z wysiłkiem wkładała ubranie.

— Wyjdźmy już stąd — syknęła przez zęby.

-- Właśnie — poparł ją Steven, a po chwili dodał: — Co zamierza pan zrobić, wyważyć drzwi?

— To niemożliwe, jesteście między piętrami. W windzie można być uwięzionym tylko między piętrami.

No to jak...

Spuszczę wam linę i wyciągnę was.

O, Boże! — wykrzyknęła Lucky. To nie brzmi zachęcająco! Wyjaśnijmy to - powiedział Steven. Obwiążemy się liną, a pan nas wyciągnie przez sufit windy, tak?

— O to chodzi. Nic ma strachu, to bezpieczne jak wyrywanie zęba.

— Nie wiem, czy wyrywanie zęba jest akurat takie bezpieczne — denerwowała się Lucky, nieco ożywiona perspektywą wydostania się z zamknięcia.

— Nikt pani nie zmusza do wychodzenia, proszę pani. Jeśli pani woli, może pani tam siedzieć, aż włączą prąd. Mnie to obojętne.

— Zróbmy, co on mówi. Skoro twierdzi, że to bezpieczne, to widocznie tak jest.

— Och, skoro on twierdzi! — Lucky prychnęła z pogardą. — A kim on jest?

— Ja w każdym razie wychodzę. Jeśli wolisz zostać, to nie moja sprawa.

— Wspaniale. Po prostu wspaniale. A więc pozwoliłbyś mi tu zostać samej?

— Wiecie co? — z góry dobiegł ich zniecierpliwiony głos mężczyzny w kombinezonie. — Może ja zostawię was i wrócę za jakiś czas?

Muszę jeszcze sprawdzić sześć wind w tym budynku. Może tam znajdę kogoś, kto będzie *chciał wyjść*.

— Wychodzimy — zarządził zdecydowanie Steven. — Rzuć pan linę.

Zanim Dario zdążył wstać, chłopak skulił się i upadł na niego. Dario wrzasnął przerażony i w panice zrzucił z siebie ciało tamtego. Drżał

cały jak w febrze.

Zrobił krok do przodu, prawie upadł i wybiegł z kuchni. *Zabił człowieka. Telefon, gdzie jest telefon.*

Natychmiast skontaktować się z Costą.

W słabym świetle księżyca Dario odnalazł aparat telefoniczny. Nerwowym ruchem podniósł słuchawkę i wybrał numer kilkoma uderzeniami w klawisze.

W tym momencie usłyszał hałas: jakieś stukanie, drapanie do drzwi wejściowych.

Ktoś próbował dostać się do jego mieszkania.

Na zatłoczonym posterunku policji niełatwo było zwrócić na siebie czyjąś uwagę. W końcu była tylko jeszcze jedną czarną twarzą pośród tłumu innych. Ale Carrie odzyskała już panowanie nad sobą i szybko, płynnie, silnym głosem rozpostarła swoją sieć kłamstw.

— Proszę, zadzwońcie po mojego męża! — błagała na końcu swej opowieści. — On po mnie przyjedzie.

Policjant, który ją przesłuchiwał, pokiwał głową. Historia wyglądała na wiarygodną i łatwo można było ją sprawdzić. Na szczęście dla Carrie, policjant rzeczywiście zadzwonił i po niecałej godzinie na posterunku zjawił się Elliott Berkely ze swym prawnikiem. Był

strzępkiem nerwów, dokładnie tak jak Carrie przewidywała. Przed upływem kwadransa Carrie została zwolniona, przeproszona i wsadzona do samochodu Elliotta.

— Jezu Chryste! Co za miasto! — wściekał się Elliott—Kryminaliści swobodnie poruszają się po ulicach, a oni aresztują ofiary. —

Zapuścił silnik i pocieszająco poklepał żonę po kolanie.

— Żebyś musiała przechodzić przez coś takiego! Jesteś pewna, że nic ci się nie stało?

— Nie, tylko uszy...

— To nic, pojedziemy prosto do doktora Mitchella, on się tobą zaopiekuje. Boże, tak się martwiłem...

Mówił dalej, ale ona przestała go słuchać. Zastanawiała się, jaki będzie następny ruch szantażysty. Na szczęście Elliott kupił jej historyjkę, która zresztą była częściowo prawdziwa. Naprawdę ukradziono jej samochód i naprawdę została napadnięta i okradziona.

Jedyny zmyślony element to, że ci dwaj młodzieńcy wdarli się do jej wozu na 64 ulicy, gdy zatrzymała się na czerwonym świetle. W

rzeczywistości kazali jej jechać do Harlemu trzymając ją na muszce rewolweru i tam dopiero wyrzucili ją z samochodu. Dostała się w sam środek protestującego tłumu i została aresztowana. Absolutnie wiarygodne.

Elliott prowadził ostrożnie swojego lincolna continental przez nie oświetlone ulice. Wśród nie

dogaszonych pożarów niedobitki protestujących dawały jeszcze upust swej agresji.

— Co za piekło! — mamrotał Elliott, — Popatrz tylko na te zwierzęta. Bogu dziękować, że cię arestowano, na posterunku byłaś bezpieczniejsza niż na ulicy. Hołota! Zaslugują na to, co ich spotyka.

Elliott nigdy nie miał poglądów liberała.

Zimny dreszcz wstrząsnął ciałem Carrie na myśl, że Elliott mógłby kiedyś poznać tajemnicę jej przeszłości.

— Co to ma znaczyć, do cholery! — ryknął Gino, próbując zamknąć drzwi.

— Chodzi o wywiad, panie Santangelo — nalegał twardy męski głos, należący do kogoś, kto jednocześnie zastawiał nogą drzwi. —

Proszę, tylko parę pytań.

Gino rozpoznał stewardesę Jill, obok niej stał jakiś facet z aparatem fotograficznym. Oboje byli pijani w trupa, widać to było z daleka.

— Spieprzajcie stąd oboje. A ty weź tę cholerną nogę, bo ci ją odstrzele.

Dupek z aparatem wycofał się.

— Mówiłaś, że nie będzie robił trudności — syknął na Jill z pretensją w głosie.

Jill wzruszyła ramionami.

Powiedziałam, że cię do niego zaprowadzę, a nie, że Santangelo cię przytuli i popieści.

Fotograf spróbował jeszcze raz.

— Panie Sanlangelo, niech pan porozmawia ze mną teraz, to nie będzie pan musiał rozmawiać z tuzinem reporterów jutro.

Gino zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Za stary był na takie numery.

Gino

1937

Pierwsza myśl — zabić.

Gęsta ciemność opadła go nieprzebytą falą.

Ból, to naturalne. Ale ból można zignorować.

Tego w peruce kolanem między nogi.

Peruka spada powoli na podłogę, olbrzym zgina się w pół.

Oddech. Ulga.

Szlafrok w kwiaty rzuca się na niego z tyłu. Ogarnia go mroczny szal. Krew płynie z rany. Wrzask. Dziki wrzask.

Pchnąć szlafrok na ścianę. Białe, wyszczerzone zęby lśnią pod szminką. Cios nogą. Pięścią. Teraz obu ich naraz. Rewolwer, rewolwer!

Zgniatają go.

Spust. Pociągnąć raz, drugi. Martwy ciężar osuwa się na niego.

Ktoś drapie go po twarzy, rozdziera policzki. Paznokcie szukają jego oczu. Pociągnąć za spust. Tylko raz.

Bee smacznie spała po jednej stronie wygodnego, dużego łóżka, Marco — jej siedmioletni syn — po drugiej.

Stukanie do drzwi wydało jej się częścią snu. Płynęła łódką w pełnym słońcu, gdy nagle pojawił się rekin: zbliżył się i zaczął uderzać ciałem o dno i burty łódki. Stuk... stuk... stuk...

Wyrwana ze snu, usiadła na łóżku. Ktoś naprawdę pukał do drzwi. Spojrzała na budzik: było wpół do trzeciej w nocy. Marco spał

spokojnie obok, ssąc przez sen palec. Bee w pośpiechu wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok i boso podeszła do drzwi.

— Kto tam? — zapytała nerwowym szeptem.

— Wpuść mnie.

Słowa te wypowiedział męski głos, który Bee na pewno знаła — tak jej się zdawało — a którego jednak nie była w stanie rozpoznać.

— Kto tam? — powtórzyła.

— Gino Santangelo.

Poczuła skurcz żołądka. Czyż nie dostał wystarczającej nauki za pierwszym razem?

Otwieraj... Wpuść mnie, do cholery! — nalegał Gino niecierpliwie.

Nie wiedziała, co robić. Wpuścić go i kazać mu natychmiast odejść? Czy nie dać mu wejść do środka i natychmiast stracić pracę?

Nie mogła sobie pozwolić na utratę posady. Niechętnie przekręciła klucz, ale zanim zdążyła uchylić drzwi, Gino wpadł do mieszkania.

— O Boże! — Bee zdusiła krzyk. — Co się panu stało?!

Gino cały był we krwi. Twarz przypominała czerwoną maskę, kurtka była nasiąknięta krwią jak gąbka.

W pierwszej chwili Bee niemal wpadła w panikę. Po chwili jednak wróciła jej przytomność umysłu i wciągnęła Gina do środka, żeby w końcu zamknąć drzwi.

— Daj mi... coś do picia — wyjęczał.

— Ja... nic nie mam — zająknęła się Bee.

— Ach... przypominam sobie. — Gino zaśmiał się słabo. — Ty jesteś ta... co nie pije.

— Potrzebuje pan lekarza — powiedziała Bee stanowczo. — Do kogo mam zadzwonić? Gino znów jęknął.

— Nie... potrzebuję żadnego... lekarza... Sama... możesz się mną zaopiekować.

— Nie mogę.

— Możesz. Nie jest ze mną aż tak źle.

Bee poprawiła na sobie szlafrok. A jeśli Gino umrze tu, na jej podłodze?

— Ktoś do pana strzelał? — spytała wystraszona.

— Nie, to od noża. — Gino zdołał wypowiedzieć jedno pełne zdanie. — To nic... takiego. Pomóż mi... zdjąć ubranie.

Pomyślała o Marcu, który spał spokojnie za ścianą.

— Panie Santangelo — Bee prawie go błagała — może jednak zadzwonię do kogoś, do pana Dinunzia albo pańskiej żony. Oni będą wiedzieli, co zrobić, bo ja...

— Żadnych telefonów — przerwał jej Gino. — Pięć tysięcy dolarów, jak mi pomożesz... I trzymaj buzię na kłódkę.

Pięć tysięcy! W myślach już wydawała tę sumę na szkołę dla Marca. Nowe ubrania dla niego i dla niej. Mały samochód. Wakacje.

— Co mam zrobić? — spytała czym prędzej.

Cindy obudziła się wcześniej i zdenerwowało ją to, że Gino nawet na noc nie wrócił do domu. — No i co z tego? — mruknęła w końcu do siebie. Z zadowoleniem przypomniawszy sobie, że regularnie, w każdy piątek, miała otrzymywać pisemny raport, dokumentujący wszystko, co jej mąż robił w ciągu tygodnia. Kiedy zażąda rozwodu jeśli zażąda -- będzie miała w ręku wszystkie karty. Gino będzie musiał tłumaczyć się z każdej dziwki, z którą chociaż raz się przespał. Nie mogła powstrzymać chichotu. Gino uważał się za takiego spryciarza, a przecież ona była od niego sprytniejsza! Co do tego nie miała wątpliwości.

Ubrała się elegancko, oczekując już umówionego lunchu z Henry Moufflinem juniorem. Jak dotąd uczciwie przestrzegała nakazu Gina: żadnego puszczenia się, dopóki jesteś moją żoną.

Rozkazywać to jedno, co Gino potrafił. A ona miała już tego dosyć. Zabezpieczona na przyszłość, miała wreszcie ochotę zabawić się, tak jak chciała.

A gdyby Gino miał coś przeciwko temu, to już jego sprawa.

Pod wpływem narastającego bólu w ramieniu Gino powoli wracał do przytomności. Palila go skóra twarzy, w dotyku przypominająca papier ścierny. Któryś z tych sukinsynów rozdarł mu starą bliznę. Wokół jego ramienia pościel nasiąkała krwią. Wschodzące słońce uświadomiło mu, że będzie musiał iść do lekarza, żeby go pozszywał.

Był bardzo słaby. Kiedy spróbował usiąść, uderzyła go fala bólu i opadł z powrotem na łóżko. To prawdziwy cud, że udało mu się wyjść cało z mieszkania przeklętego Zefry Kincaida. Musiał zabić, żeby uratować siebie. Inaczej sam zostałby zabity.

Cholera. Ponury rozkaz Oswalda Duke'a został wykonany, z premią w postaci dodatkowego trupa.

Znalazł też listy — dziesięć czy dwanaście kopert wciśniętych pod poduszkę. Na każdej z nich wyraźne pismo senatora. Gino wcisnął

je do kieszeni kurtki, zanim opuścił mieszkanie, zataczając się przy każdym kroku. Zza zamkniętych drzwi wciąż dochodziły hałaśliwe dźwięki jazzu — na szczęście nikt nie mógł niczego usłyszeć. Gino dotarł do samochodu, ale dopiero kiedy opadł na fotel, uświadomił

sobie, że jazda do centrum była niemożliwa. Na szczęście przypomniawszy sobie ta panią z syfilisem, Bee. Mieszkała niedaleko stąd, zaledwie o parę ulic. W końcu udało mu się do niej dojechać.

— Dzień dobry — powiedziała poważnie Bee w drzwiach sypialni. Podeszła do łóżka. - Jak się pan

czuje?

Przypomniiał sobie, jaka była dla niego miła, kiedy obiecał jej pięć tysięcy dolarów za pomoc.

— Jakbym wpadł pod pociąg.

— No tak.

Przyglądała mu się z uwagą. Gdyby mógł zobaczyć samego siebie, zrozumiałby, jak bliski był prawdy. Skóra pod oczami Gina była czarna i opuchnięta. Twarz pełna zadrapań i ta rana na policzku, obrzydliwie otwarta, której brzegi sklejała zaschnięta krew. Wargi miał grube i nabrzmiące.

Bee nie chciała nawet myśleć o ranie na jego ramieniu. Kiedy w nocy rozcięła jego kurtkę i koszulę, krew trysnęła strumieniem, a Bee nie mogła powstrzymać krzyku przerażenia.

Wtedy do pokoju wbiegł Marco.

— Mamusiu, mamusiu, co się stało? Kto to jest?

Gino spojrzał na chłopca, potem na nią, ale nie powiedział słowa, lu pi/.yjaeiel mamusi, kochanie uspokoiła syna. — Idź spać.

Chłopczyk wyszedł niechętnie z pokoju. Bee zaniósła go potem do łóżka, a następnie pomogła położyć się Ginowi. W końcu sama zasnęła na krześle.

Rankiem czym prędzej wysłała Marca do szkoły, zanim zaczął zadawać pytania. Miała nadzieję, że Gino zniknie, nim chłopiec wróci po południu do domu.

- Chcę, żebyś zadzwoniła do paru osób w moim imieniu — wyjąkał Gino.

- Oczywiście.

- Tylko nic nie mów przez telefon. Rozumiem.

— Zadzwoń do Aida. Powiedz mu, że muszę się z nim natychmiast zobaczyć, i daj mu swój adres. -- Dobrze.

— Powiedz, żeby sprowadził doktora Harrisona.

Znalazła kawałek kartki i zapisała numer telefonu, który Gino jej podał.

— Może pan na mnie polegać -- zapewniła.

Musiał. Przez następne dziesięć dni był od niej całkowicie uzależniony. Kapała go, karmiła, nie odstępowała na krok dzień i noc i patrzyła, jak wraca do zdrowia.

Jego organizm był wyjątkowo silny. Już po dziesięciu dniach Gino był w stanie wrócić do domu. Doktor Harrison powiedział, że kto inny potrzebowałby kilku tygodni, żeby stanąć na nogi.

— Stracił pan bardzo dużo krwi. Szczerze mówiąc, ma pan wielkie szczęście, że pan w ogóle przeżył.

Tak, rzeczywiście miał szczęście. Nikt nie wiedział, co naprawdę przytrafiło mu się tamtej nocy, nawet Aldo.

— Szedłem odwiedzić Bee — kłamał Gino — kiedy napadło mnie na ulicy paru chuliganów. Nawet nie wiedzieli, kim jestem. Zabrali mi wszystkie pieniądze i zwiali.

Samej Bee nie wyjaśnił nic, a ona nie pytała. To mu się w niej podobało. Zaprzyjaźnili się przez te dziesięć dni, które u niej spędził. Bee świetnie gotowała i potrafiła oszukiwać w kartach. Jej chłopak też był w porządku upany dzieciak, który zabawiał go szkolnymi dowcipami.

Co robi jego ojciec.- spytał któregoś dnia Gino. Bee zaczerwieniła się.

— Nigdy nie miał ojca.

— Jak to? Rozumiem, że nie byłaś nigdy mężatką, no i co z tego? Ktoś przecież jest jego ojcem.

— To prawda. Facet miał pięćdziesiąt dwa lata, a ja piętnaście. Stara historia. Zgwałcił mnie. Był przyjacielem mojego ojca, więc nikt mi nie uwierzył. Ojciec wyrzucił mnie z domu. Przyjechałam do Nowego Jorku i już tu zostałam.

— I jakoś ci się wiedzie.

— Można tak powiedzieć. Chciałam mieć to dziecko. Sentymentalne, prawda?

— Tak. Prawda zawsze jest sentymentalna.

Gino nigdy nie próbował jej dotknąć, choć chwilami miał na to ochotę, gdy znów poczuł się silniejszy.

— Naprawdę jesteś... chora? — spytał kiedyś.

— Nie. Okłamałam cię wtedy, żebyś trzymał się z daleka.

— Ach tak? Dlaczego?

— A kto chce być jeszcze jedną z twoich panienek?

Pomyślał, że mógłby chwycić ją wpół i rzucić się z nią na łóżko. Ale powstrzymał się. Przecież byli przyjaciółmi, po co niszczyć taką przyjaźń?

W dniu, w którym się wyprowadzał, wysłał jej kopertę. Znajdowało się w niej piętnaście tysięcy dolarów i krótka notatka: *Jesteś wspaniałą pielęgniarką, Bee. Załączam obiecane pięć tysięcy i*

dziesięć do banku dla Marca.

Bee była oszołomiona. Nie wiedziała, jak ma wyrazić swą wdzięczność. I nie zastanawiała się więcej nad dziwnym przypadkiem podwójnego morderstwa, który zdarzył się w tą samą noc, kiedy Gino, zalany krwią i ślaniający się, przestąpił próg jej mieszkania.

Pierwszy wspólny lunch z Henry Moufflinem juniorem okazał się całkiem miły.

Drugi był fascynujący.

Trzeci... rzucił Cindy na kolana.

Czwarty zakończył się szaleństwem w łóżku.

Cindy przeżywała ekstazę. Henry Moufflin junior był zakochany w niej po uszy, a jej sprawiało to ogromną przyjemność.

Henry Moufflin, bogaty fircyk z towarzystwa, był gotowy służyć jej na każde skinienie. Obiecywał biżuterię i drogie futra. Chciał kąpać ją w szampanie i karmić kawiozem. Pragnął, żeby rozwiodła się z Ginem i wyszła za niego.

Tymczasem Cindy rozważała wszystkie za i przeciw. Gino ją ignorował. Henry ją uwielbiał.

Gino miał panienek na tuziny. Henry nigdy by jej nie zdradził.

Gino traktował ją z góry. Henry prawie się do niej modlił.

Gino był przeciętnikiem. Henry był facetem z klasą.

Oczywiście... Gino był nieokrzesany, twardy i zabójczo przystojny. Henry miał zadatki na pantoflarza. Gino miał władzę i wielkie pieniądze. Henry miał tylko pieniądze. Gino, kiedy chciał, był wspaniałym kochankiem. Henry musiał się jeszcze sporo nauczyć.

Mógł się nauczyć od niej. Czemu nie? To wielka frajda nauczyć Henry'ego, co robić z rękoma, językiem i swoim, nie najsilniejszym zresztą, członkiem.

W końcu Cindy podjęła decyzję. Wpłynął na to między innymi fakt, że — jak wyjaśnił jej Aldo — Gino był zmuszony wyjechać nagle w sprawach służbowych. Tymczasem wynajęty detektyw informował ją, że Gino nie ruszał się z mieszkania jakiejś dziwki w Greenwich Village.

Jeszcze raz przeczytała uważnie ostatni raport. Detektyw stwierdził, że Gino odwiedził dwie kurwy ostatniej nocy. Pijany opuścił

mieszkanie pierwszej, po czym złożył wizytę drugiej, która tak mu dogadzała, że nad ranem padł jak zabity. Skurwysyn.

No cóż, z niej w każdym razie nie będzie już dłużej drwił. Postanowiła rozejść się z Ginem i wziąć

ślub z Henrym.

Im wcześniej, tym lepiej.

Wróciwszy do domu, Gino zastał niezliczone wezwania do pilnego skontaktowania się z senatorem Dukiem.

Przywiózł go Aldo. Była piąta po południu, ale jedyną oczekującą go osobą była pokojówka.

— Gdzie jest Cindy?

Aldo wzruszył ramionami i unikał oczu Gina. Nie zamierzał być tym, który mu powie, że żona zdradzała go ostentacyjnie z innym facetem. Zresztą, myślał Aldo, Gino sam się dowie, i to szybko.

— Hej! — Gino zawołał pokojówkę — gdzie jest pani Santangelo? Kobieta drgnęła nerwowo. Widok twarzy jej chlebodawcy przyprawiał ją o mdłości.

— Ja... nic nie wiem. Pani nie zostawiła wiadomości. Gino zmarszczył brwi.

— Uprzedziłeś ją, że dzisiaj wracam? — zwrócił się do Aida.

— Tak. Mówiłem jej. Może, gdybyś sam zadzwonił... Nie podobało jej się to, że tak nagle musiałeś wyjechać.

— Gównu mnie obchodzi, co jej się nie podobało! Jest moją żoną, do cholery, czy nie?! Skoro jest, to powinna tu siedzieć i czekać na mnie.

Aldo przestępował z nogi na nogę. Może jednak powinien uprzedzić Gina o tym, co się działo.

— Słuchaj, Gino... — zaczął, ale nie dokończył zdania, gdyż Gino mu przerwał.

No cóż, nie jestem aż taki napalony. Chyba się położę. Masz wszystkie dokumenty dla mnie?

Aldo skinął głową, pogrzebał w kieszeni i podał mu plik papierów.

— Wiadomo coś o Młodym?

Nic. Musi się gdzieś ukrywać, ale w końcu wyjdzie. Nie martw się, dopadniemy go.

— Kto tu się, kurwa, martwi?

Lunch był wyśmienity. Podano zimne homary i mrożony szampan, a na deser truskawki z bitą śmietaną.

Henry Moufflin wynajął pokój wypełniony po brzegi czerwonymi różami. Na gramofonie obracała się płyta, a na stoliku stała czarna, aksamitna szkatułka, której Henry nie pozwalał otworzyć.

— Dopiero po lunchu powiedział.

— Ależ, Henry! Taki jesteś dla mnie niedobry! Henry chrząknął uradowany.

— Z-za to t-ty jesteś dla mnie ba-ardzo dobra, kochanie. Pochłonęła homara w oszałamiającym tempie i popiła szampanem. Jedną po drugiej skonsumowała wszystkie truskawki i spytała niecierpliwie:

— No, kochanie? Czy teraz już twój kotek może otworzyć pudełeczko?

— Te-teraz tak.

Duże, niebieskie oczy Cindy błyszczały w podnieceni, gdy otwierała szkatułkę, jak szczeniak rzuca się na swoją pierwszą kość. Miała dość biżuterii, ale dziewczyna zawsze chce więcej.

Otworzyła pudełko i krzyknęła z zachwytu. Wspaniały pierścionek, który spoczywał na czarnym aksamicie, rzucił ją na kolana. Duży rubin w otoczeniu wiekowych diamentów i szmaragdów. Niesłychanie piękny i stylowy, był cenniejszy od wszystkiego, co posiadała.

— O Boże, Henry! — wyszeptała. — O mój Boże!

— Podoba ci się? — spytał niepewnie Henry.

— Podoba się? Czy mi się podoba? Szaleję z radości, nigdy w życiu nie miałam nic wspanialszego!
— Zarzuciła mu ramiona na szyję i obsypała pocałunkami.

Henry zarumienił się uradowany. Niełatwo mu było wydf-stać rodzinny klejnot z rąk jego arystokratycznej matki.

Cindy wsunęła pierścionek na palec i podziwiała go, wywijając ręką w powietrzu.

Cała ta radość tak podnieciła Henry'ego, że w okamgnieniu zrzucił z siebie ubranie i po chwili stał przed nią nagi, słabo owłosiony, z niepewną erekcją.

Cindy wciąż jeszcze podziwiała pierścionek i zastanawiała się, ile mógł być wart.

— Cindy... — zaczął Henry błagalnie. Całkiem o nim zapomniała.

— Ooo! Widzę, że mój malutki Henry jest gotowy do zabawy ze swoją kochaną Cindy!

— Tak! — odpowiedział natychmiast.

— Dobrze. W takim razie mój malutki Henry teraz usiądzie i będzie tylko patrzył. — Popchnęła go na krzesło, ustawiła igłę gramofonu na początek

płyty i przy dźwiękach *Rozgrzewa mnie twoja miłość*, zaczęła powoli, prowokująco zdejmować ubranie. Henry westchnął z rozkoszy.

Sam w swoim luksusowym apartamencie, Gino po raz kolejny przeglądał listy senatora Duke'a. Ten

człowiek mógł być geniuszem, gdy szło o finanse, ale poza tym był patentowanym głupcem.

Dwanaście listów, napisanych w ciągu dwunastu tygodni. Dwanaście cholernie kompromitujących listów, jakie senator Oswald napisał

do Zefry Kincaida z przedłużonych mimo woli wakacji, które spędzał w południowej Francji, leżąc z nogą złamaną podczas wycieczki na jachcie.

Z listów Gino był w stanie zrekonstruować całą historię. Senator spotkał Zefrę Kincaida podczas swych wycieczek w mroczny świat homoseksualistów. Zefra był wtedy bardzo młody, a senator bardzo bogaty.

Tygodniowa znajomość przerodziła się w trzyletni związek: spotykali się w przygodnym hoteliku w West Side, w którym nie zadawano niepotrzebnych pytań. Zefra miał piętnaście lat, gdy poznał senatora.

Było jasne, że Oswald utrzymywał chłopaka. Ale kiedy ten zaczął dorastać i stawać się prawdziwym mężczyzną, znudził się senatorowi.

Reszta była oczywista. Szantaż. Senator wezwał Gina, by załatwił sprawę, co Gino właśnie uczynił.

Podwójne morderstwo nie było zbyt szeroko rozgłaszane przez prasę. Ofiary były Murzynami, a to nie nadawało się na pierwsze strony gazet. ZABÓJSTWO DWÓCH NARKOMANÓW — taki tytuł rozpoczynał krótką notatkę. Gino westchnął. Niewielka strata dla społeczeństwa.

Spojrzał na zegarek i powoli zaczął się denerwować. Dochodziła dziewiąta, a Cindy jeszcze nie wróciła. Dzwonił do klubu, ale tam jej nie było. Vera dobrała się do słuchawki i znów zaczęła go zamęczać prośbami o pracę dla Paola, gdy wyjdzie z więzienia. — Będzie potrzebował pomocy — jęczała mu do ucha.

Pomógłby ojcu, jeszcze jak. Tak samo jak ojciec pomagał jemu, gdy Gino był jeszcze dzieciakiem.

Wstał z łóżka i poszedł do łazienki przyjrzeć się swojej twarzy. Niezbyt przyjemny widok. Doktor Harrison otworzył starą bliznę i zszył

ją dokładnie na powrót. Nie będzie tak źle, kiedy wyjmie się czarną nić. — Już wkrótce pańska twarz wróci do normalnego wyglądu —

zapewniał doktor.

Znikały także zadrapania na całej twarzy, choć na razie układały się w przerażający wzór. Przesunął ręką po kręconych, czarnych włosach i zmrużył oczy. Jezu Chryste! Dać go teraz do gangsterskiego filmu i będzie pasował do roli, jakby nic innego nie robił w życiu.

Spadaj, Cagney...

Roześmiał się w głos. Niczego nie żałował. Od dziecka miał dar wychodzenia z najgorszej opresji.

Listy senatora leżały na łóżku, ułożone w równy stosik. Wziął je stamtąd i schował do sejfu. Dobry, stary Oswald nigdy ich nie zobaczy.

Nigdy. Te listy

były jego polisą ubezpieczeniową na wypadek następnych próśb senatora o wyświadczenie mu przyjacielskiej przysługi.

Clementine uśmiechała się do Beckerów, machała ręką do Bernarda Dimesa i dziesiąty już raz tego dnia zapytywała głośnym szeptem Oswalda:

— Jak myślisz, dlaczego on nas unika?

Oswald kiwnął na kelnera, żeby dolał mu brandy.

— Nie mam pojęcia odpowiedział przez zaciśnięte zęby.

Byli właśnie na premierze komedii muzycznej Rodgersa i Harta *Kochankowie w ramionach* i byli zajęci w przerwie rozmowami ze znajomymi.

Te dziesięć dni nie było łatwe. Gino wykonał zadanie, ale nie skontaktował się z nimi.

— Musiał nagle wyjechać — poinformował senatora Aldo.

— Pana Santangelo nie ma — twierdziła pokojówka w mieszkaniu Gina.

— Skąd mam wiedzieć, gdzie jest Gino? — szydziła Cindy. Jestem tylko jego żoną.

— W końcu wróci — filozofowała Clementine.

— Oczywiście, że tak — zgodził się Oswald.

— Jak on może nam to robić?

— Nie wiem, kochanie. To przechodzi ludzkie pojęcie.

— Masz absolutną rację.

Clementine myślała o tym, że straciła jego ciało. Jego silne ręce, stalowe oczy. I to, jak umiał doprowadzić ją do cudownego orgazmu, jak...

— Cześć! — Jak spod ziemi wyrosła przed nimi Cindy, ubrana w różowe crepe de chine i w różowe farbować - . Na jej palcu lśnił słynny rubin od Henry Moufflina.

— D-d-dobry wieczór, Clementine, panie senatorze — wyjąkał Henry z policzkami rozpalonymi ponad ciasnym kołnierzem.

Clementine patrzyła to na niego, to na nią. Czy ta dziewczyna straciła rozum? Nie sądzi chyba, że

Gino pozwoli jej przyprowadzić mu rogi na oczach wszystkich?

— Cindy — zimno skinęła głową — Henry.

— Świetne przedstawienie, prawda? — entuzjasmowała się Cindy, podnosząc rękę do twarzy, aby upewnić się, że wszyscy podziwiają jej pierścionek.

— Wspaniale — sucho potwierdziła Clementine. Czy wiesz już, kiedy wróci Gino?

Cindy uśmiechnęła się. Zarozumiała pani senatorowa: tym razem to ona, Cindy, była jej potrzebna.

— Znasz Gina — odpowiedziała. — Przychodzi i odchodzi, kiedy ma ochotę. Pewnie przyczał się gdzieś z którąś ze swoich kochanek!

— Cindy czuła wyrafinowaną przyjemność, patrząc na upokorzenie pani Duke.

Clementine szalała z wściekłości. Mała, zadziorna dziwka. Ciekawe, jakby się czuła, gdyby wiedziała, że główny powód, dla którego Gino

w ogóle się z nią ożenił, to właśnie nalegania Clementine. Pani Duke odwróciła się na pięcie.

Cindy zachichotała i zapewniła Henry'ego teatralnym szeptem:

— Ta stara baba jest zazdrosna, bo to ja jestem z tobą, kochany! Henry odebrał to jako wielki komplement.

— Na-aprawdę tak m-myślisz?

— No jasne!

Północ nadeszła i minęła, a Cindy nie było.

Gino chodził po mieszkaniu tam i z powrotem, przeklinając na głos. Pierwsza w nocy. Druga. Trzecia w nocy. Cindy nie było.

W końcu Gino zasnął, wyobrażając sobie ze złością, co zrobi żonie, kiedy wróci. Nigdy nie pozwoli kobiecie, która jest jego żoną, żeby kurwiła się z pierwszym lepszym. Spał niespokojnie, przewracał się na łóżku i budził co chwilę, żeby spojrzeć na zegarek. Śnili mu się po kolei Leonora, Bee, Młody Jake i Zefra Kincaid, aż w końcu obudził się o siódmej rano z bólem żołądka. Rana w ramieniu także dawała o sobie znać, a szwy ściągały mu boleśnie skórę twarzy.

Pokojówka podała mu czarną kawę, świeży sok pomarańczowy i poranne gazety. Z przyjemnością wracał do komfortu swojego mieszkania, ale natychmiast zatęsknił do przytulnego, choć zaniedbanego pokoju Bee, która przynosiła mu na śniadanie gorące bułeczki i herbatę z mlekiem. Gdy tak leżał u niej nie ruszając się z łóżka, czytał *Wielkiego Gatsby* F. Scotta Fitzgeralda i była to pierwsza książka, jaką przeczytał w życiu od deski do deski. Skończył ją i natychmiast przeczytał powtórnie. Lektura była całkiem interesująca i zastanawiał się, dlaczego nie spróbował tego

wcześniej. Gino identyfikował się z Gatsbyem — także czuł się równie samotny i tajemniczy jak on.

Zadzwonił telefon i Gino usłyszał w słuchawce słaby i zmartwiony głos Clementine Duke:

— Dzięki Bogu, że wróciłeś.

W hotelowym apartamencie Cindy sprzeczała się z Henrym.

— Ale ja na-naprawdę chcę pójść z tobą — nalegał Henry.

— Nic z tego — Cindy nie zamierzała ustąpić.

— N-nie boję się twojego męża.

— Ciesz się mnie to. Ale mogę cię zapewnić, że boi się go mnóstwo ludzi. Jest wredny, nieokrzesany i nieuczciwy.

— A-ale, Cindy...

Wyskoczyła z łóżka i przeciągnęła się.

— Sama sobie z nim poradzę, kochanie. Potrafię być nie mniej wredna niż on.

Naga przemierzała pokój tanecznym krokiem, podziwiając swój pierścionek.

Henry usiadł na łóżku.

— Moja matka nie może się doczekać spotkania z tobą. Myślałem, że może najbliższy weekend będzie ci odpowiadał.

Podniosła nogę wysoko w górę, ukazując mu na sekundę swoją kobiecość.

— Odpowiada mi najzupełniej. Porozmawiam dziś rano z Ginem. Wieczorem wyprowadzę się od niego i zaraz weźmiemy rozwód.

Obiecuję ci.

— D-d-dobrze — wyjąkał. — Chodź do łóżka, kochanie. Chcę się z tobą pokochać jeszcze raz, zanim pójdziesz.

Cindy zachichotała. Można by pomyśleć, że nigdy jeszcze jej nie posiadał, taki była napalony. Wskoczyła do łóżka i odchyliła kołdrę, pod którą oczekiwał jego członek w swojej słabej erekcji. Właściwie wyglądał dość dziwnie. Bardzo długi i całkiem miękki, jakby wcale nie twardniał. To już z pewnością nie była jej wina. Nachyliła się i pieszczotliwie włożyła go sobie do ust.

Henry jęknął. — Och, Cindy... Cindy.

Gino w zamyśleniu odłożył słuchawkę. Jego czarne oczy płonęły, gdy brał do ręki gazetę otwartą na

działe plotek Waltera Winchella.

Zgodnie ze słowami Clementine znalazł tam krótką notatkę. Czarno na białym. Teraz każdy mógł przeczytać. I szydzić.

„Cindy Santangelo, żona znanego właściciela klubu, Gino «Byka» Santangelo, była widziana wczoraj wieczorem w mieście i na premierze *Kochanków w ramionach* w towarzystwie Henry Moufflina juniora.”

To było wszystko, co napisano.

Dość.

Ogarnięty szałem, rzucił gazetę na podłogę.

O dwunastej w południe Cindy wróciła do domu. Weszła do mieszkania, chwiejąc się lekko na zbyt wysokich obcasach. Różowe

barbowane lisy okrywały ją od stóp do głowy.

Pokojówka przywitała ją nerwowym dygnięciem.

— Pan Santangelo wrócił wczoraj, proszę pani. Jest w sypialni.

— Dziękuję — powiedziała Cindy władcym tonem. Na dziś to wszystko, jesteś wolna. — Weszła do sypialni, gotowa na bitwę, która musiała nastąpić. Widok Gina otrzeźwił ją.

— Gdzie byłeś tyle czasu?

— Miałem wypadek samochodowy.

— Akurat! — Podeszła bliżej i przyjrzała mu się. — Wyglądasz potwornie.

— Ty też nie za dobrze. Gdzie byłaś? Zrzuciła z ramion futro.

— Też coś! Znika na dziesięć dni i ma czelność pytać, gdzie ja byłam! — Usiadła przy toalecie i ostrożnie zdjęła kapelusz z lisów.

— Cindy — Gino zaczął cicho, prawie szeptem. — Czytałaś dzisiejsze gazety? — Rzucił jej swoją, otwartą na kolumnie Winchella.

Cindy odwróciła twarz i postanowiła nie okazywać zainteresowania. Jednak ciekawość zwyciężyła i po chwili podniosła gazetę z podłogi. Czytała powoli, z wysiłkiem. Czytanie nigdy nie było jej mocną stroną. Gdy zauważyła swoje nazwisko, uśmiechnęła się z dumą. Była sławna! Naprawdę sławna!

Skończyła czytać i ułożyła gazetę na toalecie. Może powinna zacząć wycinać notatki i wklejać do jakiegoś pamiętnika? Jej reakcja rozwścieczyła Gina.

- No, co? Możesz mi to wyjaśnić? Gdzie byłeś w nocy?

Z Henrym - odpowiedziała spokojnie. — I dziś także z nim będę. Gino nie wierzył własnym uszom.

— Już ja ci pokażę, jak będziesz!

A właśnie że będę! Ty mnie na pewno nie powstrzymasz. Nie?! Gino zaczął wstawać z łóżka.

Nie. Patrzyła na niego z pogardą, z rękoma na biodrach i szyderstwem na twarzy. - Nie powstrzymasz mnie, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre

O: — Gino zaśmiał się. Ta mała miała przewrócone w głowie Co ona sobie w ogóle myślała, do cholery? *Cindy spryciara. Nie zaczynaj z chłopakami*

— Wiem dużo o tobie, Gino Santangelo. Bardzo dużo

— O czym ty mówisz, u diabła?

Cień triumfu pojawił się na twarzy Cindy.

Śledził cię mój prywatny detektyw. Wiem wszystko. Ha! Dziesięciodniowa wycieczka do Greenwich Village, do jakiejś pierdzielonej dziwki Mam wszystko czarno na białym. Kiedy będziemy się rozwodzić, lepiej bądź dla mnie uprzejmy, bo mogę ci zabrać wszystko, co masz.

Głos Gina, kiedy w końcu go wydobył, był zimny jak lód

— Ty... kazałaś śledzić... mnie?

— A tak -- odpowiedziała prowokująco. — I wygląda na to, że to mi daje przewagę w tej sytuacji.

Przerwała, żeby wziąć głębszy oddech, po czym mówiła dalej— Jest jeszcze coś. Agenci federalni, ci od podatków, weszli tu podczas twojej nieobecności. Jeżeli będziesz robił trudności, kochanie, pokażę im każdy bank w mieście, w którym trzymasz pieniądze. A także kopie ksiąg rachunkowych, które są w moim posiadaniu. — Podniosła rękę do platynowych włosów. - Żądam rozwodu, Gino. Sporo o tobie wiem, więc lepiej miej się na baczności.

Carrie

Carrie nie wierzyła we własne szczęście. Otrzymała rolę chórzystki w nowym musicalu Bernarda Dimesa. Już drugi raz pojawiał się w jej życiu właśnie wtedy, gdy najbardziej potrzebowała pomocy.

Bernard uprzedził Beckerów, że Carrie nie będzie dłużej u nich pracować, po czym zawiózł ją osobiście do małego mieszkania w Village, które miała dzielić z inną dziewczyną.

— Dlaczego robi pan to wszystko dla mnie? — spytała.

— Bo każdemu należy się coś od życia, a mam wrażenie, że tobie w życiu niewiele się udało.

Miała ochotę uściskać go. Zamiast tego zapewniła:

— Zrobię wszystko, żeby nie sprawić panu zawodu.

To było w grudniu. Teraz był sierpień. Przedstawienie odniosło sukces, a Carrie była szczęśliwa. Lubiła swoją pracę, a Goldie, dziewczyna, z którą mieszkała, okazała się bardzo sympatyczna. Jeżeli wybuchały między nimi jakieś kłótnie, to tylko o chłopaków.

Goldie miała ich na pęczki — Carrie ani jednego.

— Ty jesteś jakaś nienormalna żartowała Goldie. — Nie myślałaś nigdy, żeby pójść do zakonu?

— Miałam kiedyś chłopaka - kłamała Carrie — ale on umarł. Goldie okazała jej współczucie i przez jakiś czas zaniechała rozmów na ten temat. Nie wytrzymała jednak długo. Wydawało się, że wszyscy mężczyźni, z którymi się spotykała, mieli znajomych bez pary. Goldie zawsze próbowała namówić Carrie, aby się z nią wybrała i poznała kogoś. Ona jednak konsekwentnie odmawiała. Bary, nocne kluby jazzowe i imprezy, od tego wszystkiego pragnęła trzymać się z daleka. Była przekonana, że potrafi oprzeć się pokusie, ale samo przekonanie nie wystarczało...

W każdy sobotni wieczór za kulisami teatru pojawiał się z krótką wizytą Bernard Dimes. Przeważnie towarzyszyły mu elegancko ubrane kobiety, ale to nie przeszkadzało dziewczętom wpadać w zachwyty — po prostu szalały za nim, wszystkie.

Goldie także podziwiała Dimesa.

— To najbardziej atrakcyjny mężczyzna, jakiego w życiu widziałam! — wzdychała. — Taki światowy. Jakbym chciała, żeby to mnie kiedyś zaprosił!

Carrie pomyślała o znajomych chłopakach Goldie, dobrze zbudowanych, umięśnionych dwudziestoparolatkach.

— On nie jest w twoim typie — ośmieliła się zauważyć.

— I o to chodzi — entuzjasmowała się Goldie - jest inny niż wszyscy. Założę się, że nawet w łóżku

jest całkiem inny od tamtych.

Bernard był bardzo przyjacielski wobec Carrie. Składając cotygodniowe wizyty, pytał zawsze o jej samopoczucie i czy sprawy układały się pomyślnie. Interesował się wszystkim, co się wokół niej działo. Tak właśnie dowiedział się, że Goldie poszukuje sublokatorki.

Carrie bała się go w pewnym sensie. Posiadał ogromny autorytet, żadna sytuacja nigdy nie mogła wymknąć się spod jego kontroli —

wydawało się, że pan Bernard Dimes panuje absolutnie nad swoim życiem.

Wiedziała jednocześnie, że za dużo o nim myśli. Czyżby podkochiwała się w nim tak jak inne dziewczyny z teatru?

Bernard Dimes ze swoimi pieniędzmi, stylem życia i wysokimi, przystojnymi kobietami... Taki człowiek nigdy nie będzie pożądał jej, Carrie. Nigdy.

Bernard Dimes miał czterdzieści pięć lat, był kawalerem, któremu powodziło się wyjątkowo dobrze — a przy tym był bardzo samotny.

Miał, co prawda, znajomych, ale niewielu spośród nich mógł uważać za przyjaciół. Nie stronił od przelotnych kontaktów z kobietami, ale mało która potrafiła zainteresować go przez dłuższy czas. Bernard Dimes był wyrafinowanym człowiekiem o dużych wymaganiach.

To prawda, piękne kobiety były nieodłączną częścią jego życia. Jeśli okazywały się przy tym inteligentne i dowcipne, tym lepiej, ponieważ Bernard Dimes zauważył, że towarzystwo eleganckiej kobiety wyraźnie pomaga w przekonywaniu biurokratów, aby zechcieli sponsorować kolejne premiery. Bernard miał swoją stajnię kobiet, spośród których wybierał zależnie od okazji. Nie było wśród nich ani jednej, która by go nie podziwiała i nie marzyła o wyjściu za niego za mąż. A jednak nawet nie brał takiej ewentualności pod uwagę.

W końcu jaki mógł być prawdziwy pożytek z małżeństwa? Odpowiadała mu korzystna pozycja kawalera i nie zamierzał jej zmieniać.

Tak było do momentu, w którym w jego życiu pojawiła się Carrie: samotna, nie należąca do nikogo, o tak niezwykle egzotycznej twarzy, głębokich, wyrazistych oczach i jedwabistych włosach, których dotyk na swoim ciele mógł sobie tylko wyobrażać...

Z początku zastanawiał się po prostu, gdzie mógł ją spotkać wcześniej. Zwykła ciekawość, nic więcej. I nagle, gdy z nią rozmawiał, opadło go to przedziwne uczucie. Zapragnął jej pomóc...

A wtedy przypomniał sobie już wszystko. To była ta nieszczęsna, naćpana dziewczyna z przyjęcia u Clementine Duke, która zemdliała i upadła na podłogę w połowie upokarzającego tańca.

Ani razu nie wspominał o tym w rozmowach z Carrie, aby nie wprowadzić jej w zakłopotanie. Ale od gospodyni pani Becker dowiedział się, że dziewczyna spędziła kilka lat na odwyku.

Bernard pragnął wypytać Carrie o całe jej życie. Z jej pięknych oczu przebijał taki smutek, prawie rozpacz. Tak bardzo chciał ją poznać!

Każdego wieczoru, gdy szedł z wizytą do teatru, obiecywał sobie: tak, dziś ją zaproszę na kolację. Nie zrobił tego nigdy. Uśmiechał się do niej uprzejmie, zapytywał o zdrowie i z poczuciem beznadziei wyobrażał sobie, jaka Carrie może być w łóżku.

Bernard Dimes zakochał się pierwszy raz w życiu.

I po raz pierwszy w życiu znalazł się w sytuacji, z którą nie umiał sobie poradzić.

Pewnej soboty wypadły dwudzieste pierwsze urodziny Goldie. Była umówiona ze swoim ulubionym chłopakiem, Melem, który miał

tego wieczoru

przyprawić kumpla, Freddy'ego Lestera. Było już po przedstawieniu, a dziewczyna, która zgodziła się pójść z Lesterem, skrzyła nogę w kostce i nie mogła zrobić kroku.

Goldie patrzyła na Carrie błagalnym wzrokiem.

— Proszę cię, zrób to dla mnie! — namawiała.

Carrie nie mogła odmówić. Goldie miała przecież urodziny, a Carrie zdobyła już trochę zaufania do samej siebie. Przecież nie mogła spędzić reszty życia w odosobnieniu. W końcu zgodziła się, choć niechętnie.

— Zobaczysz, będzie wspaniale! — uradowała się Goldie. Mel jest najfajniejszym facetem, z jakim kiedykolwiek chodziłam, a Freddy jest podobno szalenie przystojny. Skoro Mel tak twierdzi, to na pewno tak jest.

Carrie kiwnęła głową. Szalenie przystojny — ulubione powiedzenie Goldie na określenie normalnie zbudowanego mężczyzny. Szalenie przystojny... W ciemności jeden nie różni się od drugiego.

— Pożyczę ci chyba coś do ubrania ekscytowała się nadal Goldie. Otworzyła szafę, w której trzymały ubrania do spółki z czterema innymi dziewczętami.

— Susie, pożyczysz. Carrie spódnice? Mabel, proszę cię, pożycz Carrie swoje szpilki, są takie wysokie!

Goldie potrafiła być przekonująca. W końcu Carrie miała na sobie ciasno opiętą, czarną spódnice Susie, trzyczalowe szpilki Mabel i od Goldie białą bluzkę bez ramiączek.

— No, no! — Goldie cofnęła się o krok, żeby przyjrzeć się swojemu dziełu. — Świetnie wyglądasz. Seksownie i elegancko. Czy naprawdę musisz mieć ten swój warkocz? Nie chcesz rozpuścić włosów?

Carrie przystała na to. Dlaczego by nie? — pomyślała. Myśl o wieczorze spędzonym poza domem zaczynała ją lekko ekscytować.

Rozpuściła długie do pasa włosy i wpięła z lewej strony głowy biały kwiat.

— Wyglądasz wspaniale! Tylko trzymaj się z daleka od Mela! Dyskretne pukanie do drzwi obwieściło sobotnią wizytę Bernarda Dimesa.

Z uśmiechem wszedł do ciasnej garderoby i podał Goldie kolorowo zapakowany prezent.

Goldie otwierała powoli, głośno wyrażając zachwyt i ciekawość, choć wiedziała, że to czekoladki. Bernard zawsze pamiętał o urodzinach i zawsze dawał dziewczętom w prezencie czekoladki.

— Mmmm! — zamruczała. — Pyszne. Dziękuję!

Mrugała powiekami, do których wciąż jeszcze były przyklejone długie, sztuczne rzęsy.

— Strasznie od nich utyję, tam gdzie nie trzeba!

Bernard poszukał wzrokiem Carrie. Wyglądała jakoś inaczej. Domyślił się, że zamierzała spędzić wieczór w mieście. Ogarnęło go rozczarowanie, ponieważ już wcześniej postanowił sobie, że tym razem na pewno ją gdzieś zaprosi. No cóż... I tak czekał już od miesiący, tydzień w tę czy w tamtą nie zrobi większej różnicy.

Mel czekał niecierpliwie przy wyjściu dla aktorów.

Jego przyjaciel Freddy był rzeczywiście dość przystojny i wiedział o tym.

— Mam nadzieję, że ta Carrie jest wysoka. Nigdy nie lubiłem niskich dziewczyn — powiedział.

— A co to za różnica, jeśli tylko jest łatwa? — odparł z lekceważeniem Mel. — Jeżeli jest choć trochę podobna do Goldie, to po dwóch kieliszkach jest twoja.

— Mam nadzieję, bo nie mogę się doczekać. Już od dwóch dni żadnej nie zerznąłem.

W tym momencie Goldie i Carrie wyszły z teatru.

— Pamiętaj zamówić szampana — szepnęła Goldie. — To robi na nich wrażenie.

Mel i Freddy podeszli do nich szybko.

— Cześć, chłopaki! — powitała ich Goldie głosem tak podobnym do głosu Mae West, jak to było możliwe.

— Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, moja piękna. — Mel objął Goldie i pocałował mocno w usta.

Carrie i Freddy patrzyli na siebie z pewnej odległości.

— Uważaj, co robisz! Rozmażesz mi szminkę, brutalu. — Uśmiechnęła się do Freddy'ego. — Cześć, jestem Goldie, jakbyś nie wiedział.

A to jest Carrie, twoja wymarzona towarzyszka na dzisiejszy wieczór. Ty to masz szczęście!

Wyraz twarzy Freddy'ego wyrażał jednak wszystko, tylko nie szczęście. Skinął głową w stronę Carrie i cała czwórka skierowała się do samochodu Mela.

Gdy Mel otworzył drzwi, Goldie wskoczyła natychmiast na przednie siedzenie, a Carrie usiadła z tyłu. Mel i Freddy zostali na zewnątrz.

— Co ci jest, chłopie? — Carrie usłyszała pytanie Mela.

— Jezu, przecież ta cipa jest czarna! — Freddy'emu wydawało się tylko, że mówi szeptem.

— Brzydzisz się czarnych?

— Nie, ale... nie przy ludziach!

— Daj spokój, stary. Jedźmy już. — Wsiedli do wozu.

Z tyłu Carrie patrzyła w okno z wilgotniejącymi oczyma. W uszach dźwięczały jej wciąż słowa pełne pogardy: *Brzydzisz się czarnych?*

Oczy Carrie wypełniały się powoli wielkimi kroplami łez, które spływały jej po policzkach. Celowo odwracała głowę, żeby nikt nie zauważył jej płaczu.

Goldie i Mel plotkowali głośno na przednich siedzeniach. Freddy siedział sztywno z tyłu. Odchrząknął parę razy i wreszcie zapytał:

— A więc mieszkacie razem?

— Tak — odpowiedziała Carrie, zmuszając się, aby jej głos brzmiał normalnie. Nie zamierzała pokazać mu, jak jest zdenerwowana.

Gdyby Freddy domyślił się, że słyszała, o czym rozmawiał z Melem, pogorszyłoby to tylko sytuację. Postanowiła natychmiast odłączyć się od reszty.

— Słuchajcie, strasznie boli mnie głowa — oznajmiła. — Chyba pojedę prosto do domu.

— Nic z tego — odpowiedziała natychmiast Goldie. — Męczyłam się pół roku, żeby cię wyciągnąć z domu, więc teraz zostajesz z nami i już. Prawda, Mel?

— No jasne! — potwierdził radośnie Mel.

Carrie opadła zrezygnowana na siedzenie samochodu. Nie było wyjścia z tej podłej sytuacji.

Zaczęli od małego klubu jazzowego przy 52 ulicy, pełnego przyjemnej muzyki i szampana.

Goldie była w doskonałym humorze i gotowa do zabawy, więc kiedy Carrie oznajmiła, że chce lylko sok pomarańczowy do picia, Goldie nie wytrzymała:

— Słuchaj, maleńka. Dzisiaj są moje urodziny i mam ochotę się zabawić, a ty psujesz wszystko swoim marudzeniem. Napij się szampana, do cholery, i uśmiechnij się trochę, co?!

Carrie znów ustąpiła. Zapomniała już, jak smakuje szampan, chociaż Whitejack zamawiał całe jego skrzynki w najlepszym okresie.

Carrie pomyślała, że jeden kieliszek nie zniszczy jej życia. Musiała jakoś przetrzymać ten wieczór.

Po pierwszym kieliszku wypić drugi, a potem trzeci. Następnie pojechali do innego klubu, w którym podawano tak znakomite daiquiri z pianką, że nic można było się oprzeć. Carrie wypić cztery. W końcu były to takie małe drinki, nie mogły zrobić dużo szkody.

Gdy zajechali do klubu „Clemmie's”, żadne z nich nie czuło już bólu. Carrie i Freddy zachowywali się, jakby byli starymi przyjaciółmi, śmiali się, chichotali i tańczyli. Nie protestowała nawet, kiedy Freddy zaczął niby to przypadkiem dotykać jej piersi. Czuła się swobodna i ożywiona — po raz pierwszy od wielu lat mogła powiedzieć, że naprawdę żyła.

— Jesteś po prostu wspaniała, wiesz, kochanie? — Freddy, oszołomiony alkoholem, wymawiał słowa powoli.

W odpowiedzi splotła ręce na jego szyi i spojrzała mu w oczy. Zapomniała już o rozmowie przy samochodzie, o słowach pełnych pogardy.

— Dziękuję ci — odpowiedziała szczerze. — Od bardzo dawna nikt mi tego nie mówił.

— Ja naprawdę tak uważam — odparł Freddy, jakby spodziewał się, że Carrie mu nie uwierzy — to prawda.

— Hej, Carrie! — Goldie dała jej kuksańca w bok. — Widzisz tego faceta, tam? To jest sam Gino Santangelo, właściciel tego klubu.

Kiedyś go poznałam. Największy dziwkarz w Nowym Jorku!

Carrie zerknęła na Gina.

— W swoim czasie znałam wielu takich — przechwalała się.

— Carrie! — wykrzyknęła Goldie ze śmiechem. — Nie znałam cię z tej strony!

— A co ty w ogóle wiesz.

Goldie nachyliła się i szepnęła Melowi na ucho:

— Pijana w trzy dupy. Mel uśmiechnął się.

— Carrie, nie chciałabyś zarobić pięćdziesięciu dolców?

— W jaki sposób, mądralo?

— Stawiam pięćdziesiąt dolarów, że nie uda ci się poderwać słynnego pana Santangelo

— Tak sądzisz? — oczy Carrie zabłyśły. No, to właśnie, przegrałeś zakład.

Zanim ktokolwiek mógł ją zatrzymać, wstała od stolika i z gracją ruszyła w stronę Gina.

Zdumiona Goldie zakryła usta dłonią.

— O Boże, Mel, coś ty zrobił? To wcale do niej niepodobne. Mel roześmiał się lubieżnie.

— Nie martw się, kochanie, ona nie robi nic, czego by nie robiła już sto razy przedtem.

— Nie, nie... Goldie próbowała oponować w oparach alkoholu ona nie jest taka...

Mel uciszył ją pocałunkiem i obietnicami rozkoszy, jakie ich czekały w domu, aż zapomniała o Carrie i skoncentrowała się na sobie.

Freddie uśmiechnął się krzywo.

— Dzięki ci, stary — wymamrotał z wyrzutem, ale jego wzrok spoczął już na wysokiej brunetce, siedzącej dwa stoliki dalej.

Carrie była już całkiem swobodna, gdy przemierzała klub pewnym krokiem.

Gino

Gino siedział przy swoim stoliku w wyśmienitym nastroju. Nieustanny sznur klientów przesuwiał się obok, składając wyrazy szacunku.

Miał na sobie jak zwykle trzyczęściowy ciemny garnitur, koszulę z białego jedwabiu i elegancki krawat. Włosy lśniły od brylantyny. Na małym palcu ręki błyszczał wytworny diamentowy sygnet. Tylko blizna na policzku nadawała jego twarzy nieco złowieszczy wygląd w połączeniu z ciemnymi, twardymi oczyma, które niedawno jakaś kobieta porównała do oczu Rudolpha Valentino. Spodobał mu się ten komplement. Rudolph Valentino, o tak.

Już prawie rok chodził w czerni. No cóż, wypadało przecież nosić żałobę po tragicznie zmarłej, ukochanej żonie. Niespodziewany, przerażający wypadek. Cindy pośliznęła się i wypadła z okna ich apartamentu na dwudziestym piątym piętrze. Gina nie było wtedy nawet w mieście, był w Westchester z wizytą u swoich przyjaciół, senatora Duke'a i jego żony, Clementine.

Tak, to potworne, co się stało. I co za cios, zostać wdowcem w wieku trzydziestu dwóch lat.

Postarał się, aby pogrzeb był wspaniały i aby przyszli na niego wszyscy przyjaciele. Cindy byłaby zaszczycona, gdyby mogła to zobaczyć.

Niestety, Henry Moufflin junior nie mógł być obecny na pogrzebie Cindy. Podobno miał groźny wypadek samochodowy i leczył się w Europie. Jak mówiono, Europa podobała mu się tak bardzo, że prawdopodobnie nie zamierza wrócić do Ameryki.

W ciągu tego samego tygodnia zdarzył się jeszcze jeden wypadek: prywatny cietektyw Sam Lawson zginął w pożarze w swoim biurze.

Ogień strawił również doszczętnie wszystkie dokumenty, które znajdowały się w jego biurze. Dziwnym zbiegiem okoliczności Sam Lawson był tym detektywem, z usług którego korzystała Cindy. Gino uznał za stosowne wysłać wieniec pogrzebowy jako oznakę szacunku. Cindy byłaby zadowolona z takiego gestu.

Popijał whisky z lodem i przyglądał się z ciekawością figurze kobiety, która przeciskała się ku niemu przez tłum klientów. Murzynka.

Egzotyczna uroda. Biust, który byłby w stanie zatrzymać ruch na ulicy.

Podeszła do jego stolika i zapytała z uśmiechem:

— Pan Santangelo? - Tak.

— Słyszałam, że jest pan właścicielem tego lokalu. Chciałam tylko powiedzieć, że uważam, że to jest klub z klasą. Jest naprawdę świetny.

Gino też się uśmiechnął. Lubił odważne kobiety — czasami.

— Usiądź, napijemy się — zaproponował.

Carrie usiadła. Czowała się wspaniale. Akurat na tyle pijana, żeby poczuć się panią tego świata.

— Szampana? — spytał Gino.

— Oczywiście.

Gino pstryknął na kelnera, który pojawił się jak spod ziemi.

— Butelkę najlepszego szampana.

— Tak jest, panie Santangelo, natychmiast.

Gino przyglądał jej się uważnie. Rzadka, niezwykła uroda. Jeden kieliszek i zabierze ją do domu.

Jeden kieliszek i Carrie z nim pojedzie.

— Zrób to jeszcze raz — jęczała Carrie — proszę cię.

Lizał ją, cierpliwie wsuwając w nią, to wysuwając język z doświadczeniem eksperta. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz kochał się z kobietą w ten sposób. A ta była taka chętna i taka wilgotna. Zupełnie jakby od lat nie miała mężczyzny. Podobało mu się to, był wyjątkowo podniecony.

Nie żeby brakowało mu kobiet. Przede wszystkim była Bee, która zawsze go oczekiwała i obdarzała czułością. A także pewna tancerka z klubu, bardzo podniecająca, ale Gino podejrzewał, że nie kąpie się tak często, jak powinna. I oczywiście zdarzały mu się przeróżne nocne przygody z panienkami z „Copacabany” i damami z towarzystwa. Carrie jęknęła znowu, tym razem dużo głośniej.

Przestał ją lizać i usiadł na niej. Ścisnęła go silnymi udami i zapraszała, ponaglała, by w nią wszedł.

Przez krótką chwilę prawie się zapamiętał, ale nigdy do końca: jego umysł zawsze pozostawał chłodnym obserwatorem, ścisłym i bystrym, obserwującym wydarzenia jak nie zaangażowany, ale spostrzegawczy przechodzień. Nawet jeśli tym, co obserwował, był

stosunek płciowy.

Dziewczyna szczytowała. Orgazm wyzwolił w niej wielkie pokłady energii. Czując, jak drży i podskakuje pod nim, Gino jakby na komendę nakazał orgazm i sobie. Było po wszystkim i chciał, żeby dziewczyna poszła do domu. Wstał z łóżka i powiedział: Hej, ty, założę się, że w szkole cię tego nie nauczyli.

Szampan jeszcze musował w umyśle Carric. Pewna siebie i swobodna. Było jej tak dobrze. Gino Santangelo jej nie wykorzystał ani ona jego. To było wspólne przeżycie, przyjemność dla obojga.

Przeciągnęła się leniwie. Czowała się jak nowo narodzona, opadło z niej całe wielomiesięczne napięcie.

— Mój samochód czeka na dole. Kierowca zawiezie cię do domu, jak będziesz gotowa oznajmił od niechcenia Gino. — A tu jest dla ciebie mały prezent. Kup sobie coś ładnego.

Wręczył jej sto dolarów. Zawsze dawał tyle kobietom, z którymi szedł do łóżka. Taki miał zwyczaj i nigdy nie spotkał się z odmową.

Nawet dziewczyny z towarzystwa chowały banknoty do portmonetek i wpadały następnego dnia do Tiffany'ego albo Cartiera, żeby kupić mały upominek, który będzie im przypominał Gina Santangelo.

— Ty sukinsynu! — Carrie wyskoczyła z łóżka nie mogąc pohamować wściekłości. - Uważasz mnie za kurwę?!

— Ależ skąd, po prostu...

— Jak śmiesz! Jak ty śmiesz!

Wariatka. W pośpiechu zakładała ubranie, krzycząc i miażdżąc go wzrokiem.

— Słuchaj, gdybym uważał cię za dziwkę, zapłaciłbym ci jak dziwce. Te pieniądze to prezent.

— Spierdalaj ze swoim prezentem! Gdybym była kurwą, ta noc kosztowałaby cię dużo, dużo więcej!

Cisnęła mu pieniądze w twarz i wybiegła. Gino potrząsał głową w zdumieniu. Kobiety.

Nigdy ich nie zrozumie.

Carrie

Carrie zignorowała czekającego w samochodzie kierowcę i poszła pieszo w stronę Park Avenue, szybko trzeźwiejąc. *Brzydzisz się czarnych?* — przypomniła sobie słowa Mela. Narastał w niej żal i niepohamowana złość.

Co sobie myślała, podrywając Gina Santangelo? Tylko kurwa mogła podejść w taki sposób do stolika mężczyzny, żeby pół godziny później wskoczyć mu do łóżka.

Czarna cipa? Kurwa. Słowa, urywki zdań przebiegały jej przez głowę. Tak bardzo starała się żyć uczciwie, a teraz, po tej jednej nocy, była tam, gdzie zaczynała. Dlaczego Goldie jej nie powstrzymała? Dlaczego w ogóle zgodziła się na ten wieczór z nią i jej obleśnymi kumplami?

Minęła siedem przecznic, zanim w końcu wzięła taksówkę. Kierowca popatrzył na nią niechętnie i powiedział:

— Do Harlemu nie jadę, mała.

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem i odparła:

— Ani ja, mały.

Taksówkarzowi nie spodobało się to. W milczeniu jechali całą drogę do Greenwich Village. Gdy przybyli na miejsce, Carrie zapłaciła i wspięła się na trzecie piętro do swojego mieszkania. Weszła i z przerażeniem stwierdziła, że w łóżku spał Freddy. W jej łóżku.

Potrząsnęła nim energicznie.

— Wynos się — nakazała wściekłym szeptem.

— Daj spokój, kochanie — jęknął wciąż jeszcze pijany Freddy. Nie miał najmniejszego zamiaru wstawać i iść do domu.

— Wynos się z mojego łóżka — syknęła Carrie.

— A może się do mnie przyłączysz? — wymamrotał w odpowiedzi.

— Pocałuj mnie w dupę. Chwycił ją mocno za rękę.

— Chodź, maleńka, zabaw się ze mną.

— Puszczaj!

Był nadspodziewanie silny. Z łatwością wciągnął ją do łóżka.

— Będę krzyczeć, jeśli nie przestaniesz! — ostrzegła Carrie.

— Nie rób tego, małeńka. — Zamknął jej usta ciężką dłonią, przyciskając głowę do pościeli, a jednocześnie drugą ręką podciągnął jej spódnicę i ściągnął majtki.

Carrie zeszywniała i przestała się opierać. Opuściła ją cała energia. Freddy, wzięwszy bierność Carrie za zgodę, wszedł w nią natychmiast. Carrie krztusiła się słabo. Twarda dłoń na jej ustach nie dawała ujścia płaczowi i wściekłości.

— Jesteś taka wilgotna. Założę się, że masz z tego nie mniejszą przyjemność ode mnie. No, jak tam, kochanie?

Wysiłkiem woli wyłączyła umysł. Nie krzyczała nawet, gdy Freddy zdjął rękę z jej ust. Poczekwała cierpliwie, aż skończy, i oznajmiła spokojnie:

— Należy się trzydzieści dolarów, proszę pana. Trzydzieści zielonych.

— Co takiego? — Freddy nic wierzył własnym uszom.

— Zerznąłeś kurwę, to płacisz odparła z niewzruszonym spokojem. -Szczególnie, jeśli to jest czarna kurwa.

— Ale ja...

— Płać, bo będę krzyczała, że mnie zgwałciłeś. Zapłacił.

Carrie nie mogła dłużej znieść towarzystwa Goldie. Wyprowadziła się następnego dnia, zadzwoniwszy tylko do teatru z informacją, że już tam nie wróci.

Chodziła od domu do domu ze swoją jedyną walizką, próbując znaleźć pokój do wynajęcia. Niestety, nie miała szczęścia. Gdy zamknięto jej przed nosem któreś z kolei drzwi, wreszcie zrozumiała. Wzięła autobus i wróciła na przedmieścia, do znanych sobie ulic.

Harlem wyglądał groźniej i smutniej niż kiedykolwiek przedtem, ale tu było jej miejsce. Znalazła pokój i zamieszkała w nim. Miała akurat tyle pieniędzy, żeby zatrzymać się tam na parę miesięcy, zanim będzie musiała podjąć decyzję, co dalej.

Sześć tygodni później zauważyła z przerażeniem, że jest w ciąży. Był to szok — tym bardziej że zawsze była przekonana, że nie może mieć dzieci. — Jesteś po prostu niepłodna — zapewniał ją wielokrotnie Whitejack.

A teraz była w ciąży i nie miała nawet pojęcia z kim.

Gino Santangelo albo Freddy Lester. Któryś z nich.

Nie wiedziała, co począć ani do kogo się zwrócić.

Gino

Bee mówiła coś przez sen i przewracała się z boku na bok. Jej pośladki były nagie — Gino lubił w łóżku kobiety z nagimi pośladkami.

Nie wyprowadziła się z Greenwich Village, ale w jej mieszkaniu wiele się zmieniło. Przede wszystkim Gino wykupił cały dom. Kazał

też powiększyć mieszkanie, tak aby Marco miał własny pokój, a Bec dużą, nowoczesną kuchnię, w której mogła przygotowywać ulubione potrawy Gina. Natomiast wystrój wnętrza pozostał w zasadzie taki sam, wygodny i przytulny, tak jak Gino lubił. A ponieważ, sam nie miał nigdy prawdziwego rodzinnego domu...

Gino zatrzymał, co prawda, swój apartament, specjalnie dla niego zaprojektowany, pełen pluszowych obić, prawie identyczny z tym, który dzielił kiedyś z Cindy — choć właściwie nigdy tam nie mieszkał.

Do spółki z Oswaldem kupił też budynek tuż przy Wall Street. Z roz-

machem zabierał się do rozkręcania poważnych i tym razem całkiem legalnych interesów, jednocześnie pewną ręką prowadząc te nie całkiem legalne.

Był właścicielem gorzelni i rozlewni napojów alkoholowych, dwóch pralni, firmy przewozowej i sieci salonów samochodowych. Nieźle jak na faceta, którego na dobry początek wykopano z roboty.

Codziennie przychodził do biura, zmuszał się do czytania „Wall Street Journal”, dyktował kilka listów i jak najszybciej przenosił się do małego pokoiku w klubie „Clemmie's”, gdzie czuł się o niebo lepiej.

Dla kaprysu posiadał trzy samochody, sześćdziesiąt garniturów i sporą bibliotekę, przez którą przedzierał się z trudem. *Wielki Gatsby* pozostał na zawsze jego ulubioną książką.

Niedyskretne listy Oswalda Duke'a, ukryte w sejfie, przypominały mu, że i on mógł mieć czasami kłopoty, i ostrzegały go, że nigdy więcej nie należało godzić się na wyświadczenie nikomu „drobnych przysług”.

Oswald zachowywał się dość przyjaźnie, za to z Clementine było zupełnie inaczej. Po prostu nie chciała przyjąć do wiadomości, że ich romans się skończył. Straciła swoją wytwornie chłodną postawę i nie dawała mu spokoju ani na chwilę. Koło fortuny wyraźnie odwróciło się na jej niekorzyść. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, Clementine była u szczytu sukcesu, a Gino zaledwie żółtodziobem, który rzucał się chciwie na wszystko, co miała mu do zaoferowania. Ale teraz to on był na szczycie. Dziesięć lat spełniania erotycznych zachcianek Clementine powinno chyba wystarczyć jako zapłata? — myślał. Dlaczego nie potrafiła wycofać się z godnością i zostać jego dobrą przyjaciółką?

Położył obie dłonie na pośladkach Bee i ścisnął je.

— Obudź się! — Przewróciła się na plecy, a on przyglądał się jej kształtnym piersiom, czując narastające podniecenie.

— Upnij sobie włosy — rozkazał raczej, niż poprosił.

Bee posłusznie wstała z łóżka. Gino doceniał, że nigdy się z nim nie sprzeczała.

Naga podeszła do toaletki i zaczęła upinać na głowie lśniące, kasztanowe pukle.

Gino tymczasem odkrył się i patrzył, jak członek twardnieje mu powoli. Kiedy Bee była gotowa, on także był.

Bee wstała, zamknęła drzwi sypialni na klucz i zmysłowym krokiem podeszła do łóżka. Uklękła na podłodze i wzięła jego członek w usta. Ssała go cierpliwie, a Gino siedział w milczeniu na brzegu łóżka z szeroko otwartymi oczyma.

Po piętnastu minutach takich pieszczot nadeszło szczytowanie. Gino wsunął palce we włosy Bee, w pasji znajdował i wyciągał jej spinki, tak że dokładnie w chwili wytrysku jej gęste kasztanowe włosy opłoty się dokoła pulsującego członka.

— Dzwoniła Vera — poinformował Aldo.

— Vera? — zdziwił się Gino. — Kiedy wróciła? Aldo wzruszył ramionami.

— Nie wiem, nie mówiła. Powiedziała tylko, żebyś do niej zadzwonił. Gino zaklął cicho pod nosem. Nie odzywała się przez dwa lata, a to

znaczyło, że wszystko jest w porządku. Wysłał ją razem z Paolem do Arizony, dając im na drogę dwadzieścia tysięcy.

— Nie chcę go więcej widzieć — uprzedził ją bez ogródek. — Te pieniądze są po to, żebym nie musiał nigdy więcej znosić jego widoku.

Jasne?

— Tak, Gino.

— Zabieraj go do Arizony i zacznij nowe życie. Kupcie jakiś sklep albo coś w tym guście. Ustatkujcie się.

— Dobrze, Gino.

— Jeżeli będzie ci się chciało pisać listy, nie mam nic przeciwko temu, żeby wiedzieć, jak ci się powodzi. Ale jeśli nie napiszesz, będę wiedział, że wszystko gra.

Wzięła pieniądze i odeszła bez słowa. Ani jednego listu, ani nawet pocztówki. A teraz wróciła. I co

to, do cholery, miało znaczyć?

— Nadeszła ostatnia rata od Młodego. I cały procent też. Przyniesiono nam to dziś rano.

Gino uśmiechnął się z zadowoleniem,

— Tak? — Zaraz po tym, jak kazał zlikwidować Młodego, otrzymał telefon. Jake'a widziano w restauracji „La Cienga Boulevard” w Los Angeles. Śledzono go od tego miejsca na polecenie Gina. Strzelano do niego, ale Młodemu udało się uciec. Natychmiast zadzwonił

do Gina.

— Zaufaj mi — błagał. — Wiem, że bardzo głupio postąpiłem. Zaufaj mi i odwołaj wyrok, dobrze? Oddam ci wszystko co do grosza, z procentem.

Gino lubił taką postawę. Postanowił dać Młodemu szansę.

— Oszalałeś chyba — narzekał wtedy Aldo.

— Przekonamy się — odpowiedział krótko Gino.

A teraz tylko się uśmiechał. Młody oddał wszystkie pieniądze z procentem, tak jak przyrzekł. I do końca życia miał pozostać dłużnikiem Gina, a Gino to lubił. Nawet bardzo.

— Gdzie się Vera zatrzymała? — spytał jeszcze.

Aldo podał mu numer jakiegoś podłego hoteliku w East Side. Gino podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

Vera okłamała go przez telefon i teraz powtórzyła to kłamstwo.

— Vera — Gino mówił cicho naprawdę chcesz, żebym uwierzył, że straciłaś całe dwadzieścia tysięcy na pralni chemicznej?

Siedzieli w barze hotelu „Waldorf Astoria”. Vera, ubrana w skromną niebieską sukienkę, była jednym strzępkiem ner wów, z podkrążonymi oczyma i zaniedbanymi włosami.

— Kiedy to prawda, Gino. Mieliśmy strasznego pecha. Władowaliśmy pieniądze w interes, który nie dał się rozkręcić. Nic się nam nie udawało.

— Co konkretnie?

— Urządzenia się psuły i tak dalej — odpowiedziała niejasno, wpatrując się w biały obrus.

Gino westchnął. Po co ją w ogóle wypytywał? Dałby głowę, że żadna pralnia nigdy nie istniała. Paolo nie przepracował uczciwie jednego dnia w swoim życiu.

— Twój tata naprawdę bardzo się starał — Vera ciągnęła płaczliwie, błagalnie patrząc mu w oczy.
— Gdybyśmy tylko mieli trochę więcej forsy, jakoś by nam poszło.

— I dlatego wróciłaś? Po więcej pieniędzy?

Spuściła głowę jak uczeń, który właśnie stłukł szybę piłką.

— Wiedziałaś, że jeśli ci wszystko wytłumaczę...

— Gdzie jest Paolo?

— Ja... nie wiedziała, co zrobić z oczami to znaczy... myślałam, że najlepiej będzie... wiedząc, co ty o nim myślisz i...

— Czy on jest tutaj?

Wzięła serwetkę ze stołu i zwinęła ją w małą kulkę.

— On jest innym człowiekiem, przysięgam. Nie okłamywałabym cię. Przecież to twój ojciec.

Po jaką cholere musiała mu o tym przypominać!'

— Przyjechał tu z tobą, tak?

— Tak — odparła cicho, zdejmując szklankę szkockiej z tacy kelnera i opróżniając jej zawartość jednym haustem. — On bardzo chce cię zobaczyć. Jesteś jego jedynym synem, Gino.

No pewnie. A gdyby nie był bardzo bogatym i wpływowym jedynym synem, co wtedy? Czy wtedy też Paolo chciałby go znów widzieć?

Akurat.

— Powiedziałem ci — powtórzył Gino — te dwadzieścia tysięcy było po to, aby na zawsze zszedł mi z drogi.

Vera jakby go w ogóle nie słyszała.

— Nie był w więzieniu od dwóch lat. Zachowuje się porządnie i jest dla mnie bardzo dobry, naprawdę.

No jasne. Z dwudziestoma tysiącami w kieszeni, czemu miałby się źle zachowywać?

— A więc czego ode mnie chcesz?

— Chcę, żebyś dał szansę swojemu tacie.

— Nie używaj tego słowa. — Tym razem Gino naprawdę się wkurzył.

— Jakiego słowa?

— Mój „tata”. Nie używaj go, bo go nie znoszę.

— Nie możesz od tego uciec, Gino, bo to fakt. Paolo jest twoim ojcem, chcesz tego czy nie. — Łzy napływały jej powoli do zaczerwienionych oczu, ale wpatrywała się w Gina z uporem. — Ja dałam mu jeszcze jedną szansę, więc dlaczego ty nie możesz?

Podniósł szklankę do ust i zaraz odstawił.

Vera wyczuła moment słabości i wykorzystała go.

— Nigdy w życiu o nic cię nie prosiłam, Gino. Teraz cię proszę, spróbuj. Zobacz się z nim, zrób to dla mnie.

Skinął głową, nie wiedząc dlaczego to robi.

— Dobrze, porozmawiam z nim. Załzawiona twarz Very rozjaśniła się.

— Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

— Powiedziałem, że z nim porozmawiam. To jeszcze nie znaczy, że go przytulę do piersi, pocałuję i wszystko wybaczę.

Vera wstała od stołu.

— Przyrowadzę go.

— Co takiego?

— Jest na dole, w lobby. Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz. Znikła, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Przeklinając pod nosem, wodził palcami po bliźnie na twarzy i poczuł, jak się poci.

Zamówił jeszcze jedną szklankę whisky i wrócił pamięcią do ostatniego razu, kiedy widział ojca. He to lat temu? Szesnaście, siedemnaście? Na pewno bardzo dawno. Ale nie dość dawno. Był tylko podrostkiem, ale już wtedy miał w sobie więcej z prawdziwego mężczyzny niż Paolo. Z satysfakcją przypomniał sobie, jak kiedyś pobił ojca.

Wpatrywał się uporczywie w drzwi wejściowe. W końcu Vera wróciła, ale w towarzystwie jakiegoś obcego mężczyzny, z pewnością nie mógł to być Paolo. Szedł za nią wychudzony, kulejący starzec z resztką siwych włosów na głowie. Dopiero kiedy podeszli bliżej, Gino zrozumiał: to rzeczywiście był Paolo, ale czy starość aż tak zmienia człowieka? Ojciec, tak jak Gino zawsze go pamiętał, był szczupły i żyłasty, z bujną czarną czupryną i regularnymi rysami. Ten zaś, który szedł niepewnie u boku Very, miał twarz zapitego boksera. Zbliżył

się do Gina i z knajpiarskim uśmiechem poklepał go po ramieniu mówiąc:

— Cześć, synu. Dawno cię nie widziałem.

Cześć, synu? Gino nie wierzył własnym uszom. Czy ten nędzny pijaczyna wyobrażał sobie, że gra w jakimś łzawym melodramacie?

— Siadaj, Paolo — Gino uciął gadkę ojca, wzruszeniem ramion strząsając z siebie jego dłoń.

Paolo usiadł posłusznie, Vera także.

— No, jak tam, synu? — zaczął Paolo.

— Przestań mówić do mnie „synu” — zimno nakazał Gino. Uśmiech na twarzy Paola zgasł na chwilę, ale wrócił.

— Gino — Vera prawie łkała — uspokój się, dobrze? Nie kłóćcie się więcej, proszę.

W porządku. Nie mam do niego żalu. — Paolo był nadzwyczaj wyrozumiały.

Gino przesywał go wzrokiem.

— Czego ode mnie chcesz? Więcej forsy, żeby znów całą przepić?

— Straciliśmy pieniądze, ale w uczciwej grze! Paolo nie mógł powstrzymać krzyku.

— Czyżby? — w głosie Gina słychać było znużenie. Dam ci pracę, skoro tego chcesz. Ale forsy to ty już. ode mnie nie dostaniesz.

Znajdę

ci jakąś robotę, ale pamiętaj, jeden fałszywy ruch i wylatujesz. Rozumiemy się?

Paolo zapewnił go spojrzeniem, że tak.

— On naprawdę się zmienił — wtrąciła spiesznie Vera. — Sam zobaczysz, Gino. Nie będziesz żałował, jeśli dasz mu pracę. — Trąciła Paola łokciem w bok. — Mam rację, kochanie?

Głupawy uśmiech pijaczka wrócił na twarz Paola.

— No jasne.

Gino wstał od stołu.

— W takim razie wszystko załatwione. Przyrowadź go do „Clemmie's" jutro o szóstej. Przywołał kelnera pstryknięciem. — Podaj państwu lunch — ton Gina był rozkazujący — i przyslij mi rachunek.

— Oczywiście, panie Sanlangelo. Natychmiast. Nie odzywając się więcej, Gino wyszedł z baru. Na zewnątrz zatrzymał się i splunął do rynsztoka. Paolo zawsze tak na niego działał.

1939

Skrobanka. Kosztowny i niebezpieczny zabieg. Czy Carrie rzeczywiście tego chciała? Tak.

Zapuszczony pokój. Oddała wszystkie swoje oszczędności starej murzyńskiej wiedźmie z parą zardzewiałych szczypiec.

Przeszywający ból i upokorzenie. Obrzydliwy smak samogonu, który tamta wlała jej przemocą do gardła, aby nie krzyczała.

Z powrotem u siebie. Skulona na łóżku, samotna. Krwawiła przez cały dzień i... to wszystko. Nadal była w ciąży.

Przypadkowe, urywane myśli. Skontaktować się z Ginem Santangelo, z Lesterem? Za nic w świecie.

Samobójstwo? Może. Zastanawiała się nad tym. Myśl o samobójstwie była kojąca. Zawsze można się na to zdecydować, kiedy nie ma innego wyjścia.

Wszystko, co miała na tym świecie, to dwadzieścia trzy dolary w kieszeni i nowe życie wzrastające wewnątrz niej samej. Nie mogła tak po prostu leżeć i czekać w wynajętym pokoju. W Harlemie nie było księcia z bajki, który przyjechałby galopem na białym koniu, żeby wybawić ją z opresji. Przecież udało się jej zwalczyć narkotyki. Czy teraz miała się poddać?

Nie miała jeszcze trzydziestu lat.

Postanowiła żyć dalej.

Miesiące płynęły powoli. Niełatwo było się gdzieś zatrudnić na stałe. Carrie kilka razy zmieniała pracę. Śpiewała w podłych nocnych klubach, pracowała jako kelnerka. W końcu odchodziła z każdego miejsca, ponieważ zawsze okazywało się, że szef uważał usługi erotyczne za część jej obowiązków.

Pieniądzy wciąż brakowało, a czas porodu zbliżał się nieuchronnie. Paradoksalnie, im bliżej było do końca ciąży, tym większa nadzieja wstępowała w Carrie. Nadzieja na przyszłość, na ich wspólną przyszłość. Choć uważała to za śmieszne, bardzo podniecała ją ta myśl.

W końcu udało się jej znaleźć stałą posadę kasjerki w restauracji. Teraz, kiedy była w zaawansowanej ciąży i dla bezpieczeństwa przedstawiała się jako pani Brown, zanosilo się na to, że zostanie tam na dłużej.

Siedemnastego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku Carrie przyjęto do szpitala Wszystkich Świętych w Nowym Jorku. Następnego dnia o trzeciej nad ranem, po bardzo trudnym porodzie, który niemal zakończył się tragicznie, urodziła czterokilogramowego chłopca. Dała mu na imię Steven.

Gino

1939

Wieści o wojnie w Europie wstrząsnęły Ameryką. Hitler napadł na Polskę, a Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę.

Prezydent Roosevelt zapewniał o neutralności Stanów Zjednoczonych, ale kto mógł przewidzieć przyszłość?

Pewnego dnia senator Oswald Duke i Gino Santangelo zasiedli razem, aby znaleźć sposób na wyciągnięcie zysków ze zmieniającej się sytuacji.

Oswald proponował kupno kilku fabryk narzędzi, które w razie kryzysu mogłyby zostać szybko przystosowane do produkcji broni i amunicji. Gino uznał to za dobry pomysł. Senator planował także kupno fabryki gumy, sieci stacji benzynowych i magazynów na terenie całego kraju, wypełnionych po brzegi kawą, cukrem i konserwami.

— Nigdy nie wiadomo — rozważał Oswald — to są rzeczy, o które Europa będzie się zabijać, jeśli wojna potrwa dłużej.

Gino zgadzał się ze wszystkimi sugestiami senatora. Oswald jeszcze nigdy się nie pomylił, a przecież warto było myśleć o przyszłości.

W wieczór sylwestrowy tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku Gino zamknął klub „Clemmie's” dla klienteli i urządził w nim wystawne przyjęcie. Przybyli wszyscy zaproszeni goście i bez wątpienia było to najlepsze przyjęcie mijającego roku.

Dla jednego tylko Gina było, wręcz przeciwnie, najgorsze. Stały się dwie rzeczy, które wyprowadziły go z równowagi.

Po pierwsze, Clementine Duke, całkiem pijana, chlusnęła mu w twarz zawartością kieliszka i krzyknęła szyderczo, tak żeby wszyscy słyszeli:

— Morderca!

W pierwszej chwili Gino chciał uderzyć ją na odlew w porcelanową twarz

i skopać jej szczupły tyłek. Opanowawszy się jednak, wytarł alkohol z twarzy, zmusił się do niefrasobliwego uśmiechu i powiedział

spokojnie:

— Pani Duke znów za dużo wypła, proszę państwa. Ale nie szkodzi wracajmy do zabawy.

Przyjaciele zebrali się wokół niego zamykając usta rozwścieczonej Clementine. Oswald ujął ją silnie pod ramię i odprowadził do domu.

Przyczyną drugiego denerwującego zdarzenia był Paolo. Gino zatrudnił go w klubie jako gońca, chłopaka na posyłki — zrób to, przynieś tamto — i jak dotąd wydawało się, że wszystko gra, ale tym razem, gdy Gino przechadzał się samotnie na zapleczu klubu, by odpocząć od gwaru przyjęcia, natknął się na Paola, który ze spodniami spuszczoneymi do kostek rznął wystraszoną młodą tancerkę z klubu.

— Co się tu dzieje, do cholery? — spytał cicho, ale w jego głosie dźwięczała groźba. Usiłował nie patrzeć na drgający tam i z powrotem tyłek ojca.

Dziewczyna chlipnęła.

— Och, panie Santangelo, przepraszam. On powiedział, że muszę to zrobić, bo inaczej pan wyrzuci mnie z pracy.

Paolo podciągnął spodnie i umknął czym prędzej. Gino przyjrzał się dziewczynie. Była bardzo młoda. Żadna bardziej doświadczona kobieta nie dałaby się nabrać na taki numer.

— Pamiętaj, nie rób nigdy tego, na co nie masz ochoty. — Gino rozciągnął to zdanie w nieskończoność. — Nigdy. Rozumiesz?

Rozejrzał się za Paolem, ale nie mógł go nigdzie znaleźć, żeby wyładować złość. W końcu dostało się Bogu ducha winnej Bee.

— Co za bezczelny skurwiel! — wrzeszczał Gino, nie próbując nawet się pohamować.

Po skończonym przyjęciu oboje pojechali do jej mieszkania w Greenwich Village, gdzie jak zwykle Bee upięła włosy w kok i robiła to, co sprawiało mu zawsze największą rozkosz.

Tym razem jednak nawet ta pieszczota nie pomogła mu się uspokoić.

Gino nie potrafił zasnąć. Leżał obok ciepłego ciała Bee i wsłuchiwał się w jej regularny, spokojny oddech. To właśnie ten cholernie regularny i spokojny oddech nie dawał mu zasnąć. Jak można było chociażby myśleć o śnie w takim hałasie?

Wstał z łóżka i poszedł do kuchni. Otworzył zamrażarkę i nałożył sobie na talerz porcję lodów.

Myślami wrócił do Clementine. Przypomniały mu się ściągnięte zmarszczki na jej twarzy i gorycz w głosie, gdy w pijanym szale nazwała go mordercą.

Cholerny babsztyl. Czy uważała, że coś takiego ujdzie jej na sucho? Musiał porozmawiać o tym z Oswaldem.

Morderca. Nie mogli mu niczego udowodnić. Co prawda gazety interesowały się przedwczesną śmiercią Cindy, ale Gino zasypał je listami od

prawników. Był w końcu pogrążonym w żałobie wdowcem — a jego alibi było niepodważalne. A jednak krążyli wokół niego jak sępy, węsząc wokół bezustannie. Nie dość, że urząd podatkowy

siedział mu na karku, to jeszcze dziennikarze włązili z nim do toalety.

Uwielbiali skandale, a Gino był dla nich naturalną ofiarą. W którymś z jutrzejszych szmatławców, myślał Gino, znajdzie się z pewnością cały artykuł zatytułowany „GINO «BYK» SANTANGELO I ŻONA SENATORA”.

Tym razem zawiodły go i lody, jak przedtem pieszczoty Bee. Wrócił jednak i nałożył sobie drugą porcję. Niosąc łyżeczkę do ust, pomyślał o ojcu. Dlaczego usłuchał próśb Very i dał temu darmozjadowi pracę, sam nie wiedział. Upłynęło półtora miesiąca, a ten nauczył się już szantażować jego pracownice zdaniem: „Jestem ojcem Gina Santangelo”. Wspaniale. Po prostu świetnie.

A co właściwie działo się z Verą? Zaprosił ją przecież na przyjęcie, ale nie przyszła. Gdzie była? To pytanie zaczęło go niepokoić.

Uprzytomnił sobie, że nie widział jej od kilku tygodni.

— Cześć.....Do kuchni wszedł dziewięcioletni Marco. Oczy kleiły mu się od snu. — Mogę też dostać lody?

— Wracaj do łóżka, dzieciaku, bo dostaniesz łanie od mamy.

— Ale ja proszę! — Marco nalegał przymilnie. — Mama obiecała przynieść mi papierowe kapelusze i baloniki. Przyniosła?

Gino gładził go po włosach.

— Tak, przyniosła.

— Gdzie są? .

— Teraz ich nie dostaniesz — odparł zdecydowanie. — I nie gadaj tak głośno, bo obudzisz mamę.

— Ale proszę!...

— Nie ma mowy. Siadaj, zaraz ci dam lody, tylko nie gadaj tyle. Marco skrzywił się i usiadł przy stole. Gino nałożył lody na talerz i podsunął chłopcu. Bee zrobiłaby awanturę, gdyby to widziała; mówiła, że rozpieścił jej syna. Ale któż by go nie rozpieścił? To przecież głównie dla Marca tak często do niej przychodził.

— Słuchaj — powiedział nagle Gino — a może byśmy poszli jutro do kina? Podobno *Dyliżans* jest świetny. Z Johnem Wayne'm. O

kowbojach i Indianach. Co o tym myślisz?

— Naprawdę?

— No jasne. Pójdziemy razem, tylko ty i ja.

Marco rozchmurzył się i zabrał się ochoczo do lodów.

Marco, ja zaraz ubieram się i wychodzę. Powiedz mamie, że mam sporo roboty w biurze i chcę się tym zająć teraz, kiedy nikt nie będzie mi przeszkadzał. Wpadnę po ciebie koło południa. Kończ jeść i kładź się zaraz, jest czwarta rano.

Gino ubrał się szybko. Rzeczywiście była czwarta nad ranem, ale on zamierzał właśnie złożyć wizytę w domu Very i sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Tyle czasu! Już dawno powinien był to zrobić.

Postanowił też, że powie jej o Paolu i tancerce z klubu. Jeżeli i to nie otworzy jej oczu...

Nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności niż widok, jak Vera każe się ojcu wynosić. Gdyby to zrobiła, pomógłby jej założyć taki interes, jaki by sama sobie wymarzyła. Vera — tylko ona — mogła brać go pod włos, kiedy tylko chciała.

Zarzucił na siebie pierwsze lepsze ubranie i wyszedł, nerwowo pogwizdując. Czuł ucisk w żołądku, który zawsze uprzedzał go o nadchodzących kłopotach, ale nie zwrócił na to większej uwagi. W końcu, kto nie nabawiłby się rozstroju żołądka po dwóch olbrzymich porcjach lodów?

Hotelik, w którym zatrzymali się Vera i Paolo, był nędzny i brudny jak wrzód na ciele East Side, z zepsutym neonem, który od czasu do czasu wyświetlał czerwoną reklamę: POKOJE DO WYNAJĘCIA.

Na ulicach wciąż świętowano nadejście nowego roku. Podchmielone kobiety dmuchały w papierowe trąbki i kołysały tłustymi biodrami w towarzystwie podtatusiałych panów w wyświechtanych garniturach, o zaczerwienionych oczach i sztucznych szczękach.

Gino zatrzymał starego forda przed hotelem. Oparta o ścianę prostytutka rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

— Chcesz się zabawić, chłopcze?

Minął ją obojętnie i wszedł do hotelowego hallu. Recepcjonista za biurkiem dyskutował z dwojgiem podpitych ludzi.

— Dziesięć dolców i ani grosza mniej albo możecie się wynosić.

— Bądźże człowiekiem, Pete — jęknęła kobieta — pięć wystarczy. Zostaniemy najdłużej godzinę.

Recepcjonista był nieugięty.

— Jest nowy rok i opłaty są podwójne. Jak wam się nie podoba, to spieprzajcie.

Mężczyzna pogrzebał w kieszeni i wyciągnął dwa zmięte banknoty pięciodolarowe. Hotelarz zgarnął

je bez słowa jedną ręką, drugą podając klucz do pokoju. Oboje wspięli się powoli po nagich schodach.

— Słucham? — recepcjonista gapił się na Gina z ciekawością.

— Mieszkają tu państwo Santangelo?

— A kto pyta?

Gino nawet nie zamierzał odpowiadać. Sięgnął do portfela i wysupłał dwudziestodolarówkę, którą położył na kontuarze.

— Proszę o klucz.

Hotelarz nie wahał się dłużej. Z zadziwiającą zręcznością chwycił banknot, schował i podał klucz — wszystko tym samym, płynnym ruchem.

— Drugie piętro - powiedział półgłosem. — Musi pan iść schodami, winda jest zepsuta. I nie dawałem panu żadnego klucza.

Gino skinął głową. W środku ta buda wyglądała gorzej niż od zewnątrz. Od samego zapaszku robiło się niedobrze. Bez pukania Gino włożył klucz w zamek.

Nie był przygotowany na to, co zobaczył.

Vera siedziała nago na łóżku, zgarbiona. Niczym nie osłonięta żarówka oświetlała aż nadto wyraźnie wszystkie siniaki na jej umęczonym ciele. Piersi i ramiona nosiły świeże ślady uderzeń. Z nosa płynęła obfitym strumieniem krew. Obiema rękoma ścisnęła rewolwer kalibru 38, którego lufa wycelowana była w Paola. Wrzeszczała pomiędzy histerycznymi, krótkimi haustami powietrza:

— Zabiję... cię... Tym razem... naprawdę cię... zabiję!

Paolo stał w nogach łóżka, ubrany w szorty i brudną podkoszulkę. Z lewej dłoni zwisał mu ciężki skórzany pas z ogromną sprzączką.

Twarz oblepiały mu ohydnie tłuste, nie czesane włosy. Zakrwawione oczy wyrażały mieszaninę strachu i niedowierzania.

Żadne z nich nie zauważyło, że Gino wszedł do pokoju.

— Ty skurwysynu! — wrzasnęła jeszcze raz Vera i nacisnęła spust. Kula trafiła Paola dokładnie między oczy. Cofnął się o krok, uderzony,

z na zawsze zastygłym na twarzy wyrazem niedowierzania.

— Ty skurwysynu! — Vera znów krzyczała, ale zanim zdążyła wystrzelić drugi raz, Gino doskoczył i wyrwał jej z ręki broń.

— Vera, Vera! Co ty wyprawiasz?! '— Gino wrzeszczał, przyciskając ją z całej siły do łóżka.

— Och, Gino... — krzyk Very zmienił się nagle w płacz. — O, Boże... O, Boże...

Gino czuł się, jakby wpadł w sam środek sennego koszmaru. Zaraz się obudzi i znajdzie obok siebie Bee o ciepłych piersiach i miękkich udach.

Ale dlaczego jeszcze się nie budził? Dlaczego znajdował się wciąż w tym samym ohydnyim pokoju z nagą, rozhisteryzowaną Verą, którą przyciskał do łóżka całym ciężarem swojego ciała? Dlaczego jego ojciec leżał na podłodze w kałuży krwi, dobywającej się z wielkiej rany, która kiedyś była twarzą?

Gdyby tylko wszedł do pokoju minutę wcześniej. Gdyby tylko zdążył ją zatrzymać.

Choć właściwie dlaczego? Paolo nie żył. Czyż nie pragnął tego od początku?

Wstał z łóżka nie wypuszczając z ręki rewolweru. Vera przewracała się w pościeli, głośno łkając.

Odzyskując powoli równowagę, Gino przyjrzał się zwłokom, które jeszcze kilka chwil temu były ciałem jego ojca. Starał się przywołać jakieś przyjemne wspomnienia spędzonych z nim chwil, ale nie potrafił. Pochylił się nad trupem, nasłuchując bicia serca, ale nic nie usłyszał. Zresztą od początku nie miał wątpliwości.

— Dlaczego to zrobiłeś? jęknęła Vera, siadając nagle na łóżku. —Gino, dlaczego to zrobiłeś?

— Uspokój się uciszał ją, starając się jednocześnie znaleźć wyjście z tej przeklętej matni. Nic nie zrobiłem.

— O, tak — szeptała teraz — zrobiłeś. Zabiłeś w nim mężczyznę. To wszystko twoja wina. — Vera znów zaczęła krzyczeć histerycznie:

— To ty, Gino, to twoja wina!

W końcu opadła na pościel, wyczerpana płaczem.

Gino siedział patrząc w sufit i zastanawiał się, jaki ma być jego następny ruch.

Margaret O'Shaunessy i Michael Tannery zaręczyli się w wieczór sylwestrowy. Michael przygotował w prezencie dla ukochanej tani pierścionek imitujący szmaragd i klucz do hotelowego pokoju.

— Mam dla nas pokój, tak jak obiecałem — obwieścił z dumą w głosie. Rozgrzani wypitym piwem, pospieszyli do hotelu.

Margaret nie była zachwycona otoczeniem, w którym przyszło jej spędzić Nowy Rok, ale wszystkie przykre myśli odpłynęły, gdy Michael zaczął pieszczotliwie zdejmować z niej ubranie.

— Mamy przed sobą całą noc. Jeśli za pierwszym razem ci się nie spodoba, możemy to robić tyle razy, ile będziesz chciała.

Ale spodobało jej się już od pierwszego razu, a potem kochali się jeszcze długo w noc. W końcu leżeli wyczerpani w łóżku i już tylko rozmawiali, snując plany na najbliższą i daleką przyszłość. Zasnęli około wpół do czwartej nad ranem.

Mniej więcej za piętnaście czwarta zza ściany zaczęły dochodzić irytujące hałasy. Margaret przebudziła się natychmiast. Głosy, kobiece i męskie, były przepelnione agresją. Nie zawsze słyszała, co mówią, ale chwilami udawało się jej rozróżnić pojedyncze słowa.

— Ty kurwo...! Ty pieprzona dziwko...! Mam cię już dość, słyszysz?! Po tych słowach zapadła cisza.

Margaret miała nadzieję, że teraz już będzie spokój, ale myliła się. Mężczyzna wrzasnął:

— Słukę cię tak, że popamiętasz, ty kurwo!

Po tym nastąpiła potworna seria świstów pasa i klaszczących uderzeń.

Dziewczyna usiadła na łóżku wyprostowana. Michael chrapał dalej spokojnie. Zastanawiała się, czy powinna go obudzić. Hałasy dochodzące z sąsiedniego pokoju stały się naprawdę przerażające. Słyszała pełne bólu krzyki i płacz bitej kobiety.

Dała Michaelowi lekkiego kuksańca w bok, ale narzeczony nie drgnął nawet. Spał głębokim snem. Margaret wsunęła się głębiej pod kołdrę i nakryła głowę poduszką, żeby nie słyszeć tych straszliwych wrzasków.

Ale i to nie pomogło. Kobieta krzyczała z bólu coraz głośniejsze, dźwięk uderzeń stawał się coraz bardziej natarczywy.

Margaret zdecydowała się jednak obudzić Michaela. Zanim jednak jej się to udało, nerwy wzięły górę.

— Mogli mnie w tym pokoju zgwałcić i pobić, a ty nawet byś oka nie otworzył!

Michael uśmiechnął się przeproszająco.

— Co się stało, moja piękna?

— Ćśśśś... Słuchaj.

— Czego mam słuchać? — Michael usiadł na łóżku.

— Och Michael, jakaś para w pokoju obok strasznie się kłóciła. W życiu nie słyszałam takich potworności. A potem chyba on ją pobił.

Może...

— Zabiję... cię... Tym razem... naprawdę... cię... zabiję!

Krzyk z łatwością przenikał przez cienkie hotelowe ściany. Michael wyskoczył z łóżka.

— Ty skurwysynu! ponownie ten sam, histeryczny kobiecy głos, a po nim pojedynczy strzał. 1 jeszcze raz:

— Ty skurwysynu!

Michael Flannery w pośpiechu naciągał spodnie.

— Zostań tu, Margaret. Idę zadzwonić po policję. — Michael, nie zostawiaj mnie samej!

Ale on, w nie dopiętej koszuli, był już za drzwiami.

— O, Boże, pomóż mi, proszę! — szeptała Margaret, rozpaczliwie szukając rozrzuconych po pokoju części ubrania i zakładając je na rozdygotane ciało. Nigdy przedtem nie czuła się aż tak przestraszona. Rozumiała, że spotkała ją zasłużona kara od Boga za przedmałżeński seks.

— Dlaczego to zrobiłeś? — kobieta w sąsiednim pokoju jęczała dalej. — Gino, dlaczego to zrobiłeś?

Margaret O'Shaunessy nie byłaby w stanie powiedzieć, ile razy kazano jej powtarzać te słowa w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Były to jedyne słowa, jakie dokładnie zapamiętała tego ranka.

Carrie

1941

— Jak ci na imię? — Grubas w musztardowym garniturze drapał się między nogami i patrzył na Carrie mrużąc oczy.

— Carrie — odpowiedziała, starając się być uprzejma. *Jak ci na imię!* Była matką, miała dwadzieścia osiem lat, a ciągle mówiono jej ty!

Tamten wciąż się drapał nerwowo, jakby był sam w pokoju. - Masz tę robotę — powiedział wreszcie. — Pieniądze są niespecjalne, ale dziewczyna taka jak ty zarobi dużo na napiwkach. I nie tylko. — Mrugnął do niej. — To zależy.

Bardzo pragnęła powiedzieć mu: spierdalaj i wsadź sobie gdzieś tę cholerną pracę. Ale zamiast tego odezwała się uprzejmie:

— Dziękuję panu, panie Wardle. Czy mam zacząć od dzisiaj? Zostawił krocze w spokoju na chwilę i poklepał ją po ramieniu włochatą dłonią.

— Zgadza się, kochanie. Zacznesz dzisiaj. I załóż coś przezroczystego na te śliczne cycuszki.

Carrie opuściła obskurne biuro, przeszła szybko przez jeszcze bardziej obskurną salę taneczną i pojechała do domu autobusem.

Do domu?

Jeden pokój w rozwalającym się budynku dla niej i dla małego Stevena, w samym środku Harlemu.

Dom? Bez łazienki. W nocy po korytarzach biegają szczury. W czasie deszczu woda cieknie z sufitu.

A jednak to rzeczywiście był dom — jej i Stevena. Przez ostatnie dwa lata zarobiła akurat tyle pieniędzy, żeby utrzymać i syna, i mieszkanie.

Nie było to łatwe. Po porodzie Carrie była niezmiernie osłabiona, ale szpital nie pozwolił jej na dłuższy odpoczynek. Po dwóch tygodniach znów znalazła się na ulicy z zasiłkiem w kieszeni i z niemowlakiem na ręku. Znalazła kobietę do opieki w dzień nad dzieckiem, a sama wróciła do restauracji, w której była kasjerką. Nie została tam jednak długo. Teraz, kiedy znów była szczupłą, jej szef nabrał na nią ochoty. Był to starzec o pożółkłych, chudych rękach, na sam widok których Carrie wzdragała się. Żona szpiegowiała go nieustannie sępiim wzrokiem. Pewnego razu w magazynie staruch rzucił się na Carrie, obmacując ją obrzydliwymi łapskami. Porzuciła pracę jeszcze tego samego dnia.

Dwa lata takiej samej pracy, niezależnie od miejsca. Wszędzie jakiś szef, zawsze ta sama historia. Co było w niej takiego, co sprawiało, że wszyscy mężczyźni tak bardzo jej pożąдали? Czy myśleli, że skoro jest czarna, to jest także łatwa?

Nie mogła tego zrozumieć. Zawsze zaplatała włosy w warkocz, nie używała kosmetyków, ubierała

się skromnie. To wszystko jednak ani trochę nie osłabiało zainteresowania mężczyzn.

Kiedy tak zmieniała co parę tygodni miejsce pracy, przyszło jej do głowy, że postępuje głupio. Skoro mężczyźni tak bardzo jej pragną, czemu nie mieliby zacząć za to płacić? Jedna noc przyniosłaby jej większy zarobek niż tygodniowa pensja kelnerki.

Ale czy umiałaby znowu się sprzedawać? Pamiętała to uczucie, wrażenie, że przestało się być człowiekiem, że jest się tylko przedmiotem, ciałem, które jest czyjąś własnością.

Oczywiście, to uczucie można było pokonać za pomocą narkotyków...

Przestraszyła się własnych myśli, gdy dotarła w rozważaniach aż tutaj. Miała przecież dziecko, które wymagało opieki i które zasługiwało na matkę lepszą od naćpanej dziwki.

Dyskoteka „Fun Palace” przy Times Square była nowym pomysłem. Przynajmniej oferowała pracę w godzinach nocnych, dzięki czemu w dzień Carrie mogła opiekować się Stevenem. Po drugie, jedyna praca dzienna, jaką jeszcze można było dostać, to sprzątanie lub usługiwanie jakiejś białej staruszce.

Zdawała sobie sprawę z tego, że znów ryzykuje niewybredne prowokacje ze strony mężczyzn, ale co z tego? I tak musiała sobie z nimi radzić — a na zatłoczonym parkiecie to nie powinno być trudne.

Energiczna Meksykanka, Suzita, nauczyła ją zresztą łatwego sposobu. - Jak który podejdziesz za blisko, daj mu kolaniem między nogi! Raz i dwa, o tak. I natychmiast się odsuń, pamiętaj!

Miała rację. Carrie szybko się przekonała, że jeden szybki ruch kolaniem skutkował dużo lepiej niż setki słów.

Suzita pracowała trochę na boku. Wybierała klientów, którzy jej się podobali, i im tylko świadczyła dodatkowe usługi.

— To proste tłumaczyła. -- W ten sposób ja wybieram. Nie chcesz tego spróbować? Przyda ci się trochę więcej forsy, nie? To łatwy zarobek, idziesz tylko z tymi, którzy ci się podobają.

Carrie potrząsnęła głową. Suzita roześmiała się. Zobaczysz, że zmienisz zdanie.

Trzy tygodnie po tej rozmowie Steven zaraził się jakimś wirusem. W ciągu jednej nocy zdrowe, silne dziecko stało się naprawdę bardzo chore i osłabione. Carrie chodziła z nim do lekarzy i różnych specjalistów, ale żaden z nich nie umiał nawet rozpoznać choroby.

Po kilku tygodniach powiedziano jej, że powinna oddać chłopca do szpitala na obserwację. Carrie odchodziła już wtedy od zmysłów ze zmartwienia. Poprzednio udało jej się zebrać dość pieniędzy na szpital, ale teraz rachunki przychodziły nagle ze wszystkich stron. Nigdy ich nie spłaciła za marną pensyjną tancerki.

Suzita okazała Carrie współczucie. Zabrała ją ze sobą do hotelu, z którego korzystała, przedstawiła recepcjoniście i powiedziała swoim dziwacznym akcentem:

— Spodoba ci się. Carrie. To dobra praca. Dużo pieniędzy. Carrie przytaknęła bez przekonania.

Tego wieczoru ubrała się elegancko. Nawet pan Wardle ją podziwiał.

— Sam bym chętnie z tobą zatańczył, Carrie — powiedział przechodząc obok. Ale ona tylko wzruszyła w odpowiedzi ramionami. Tym razem to ona będzie wybierać, tak jak Suzita.

Tego wieczoru wybór nie był duży. W końcu Carrie zdecydowała się na drobnego mężczyznę o twarzy bez wyrazu, w śmiesznych okularkach, które chwiały się na czubku jego nosa.

Nie masz ochoty pójść ze mną do hotelu, tu niedaleko? — spytała go, gdy posuwali się w rytm spokojnego tanga.

Z początku udał, że nie słyszy, ale zdradził go nerwowy tik ust. Po dwóch kolejnych tańcach odważył się w końcu i spytał ledwo dosłyszalnym szeptem:

— Za ile?

Carrie pomyślała natychmiast o piętrzących się rachunkach za wizyty u lekarzy.

— Dwadzieścia pięć dolarów.

— Dobrze — mężczyzna przełknął ślinę.

Czekał na nią przy drzwiach. Carrie pomyślała nagle, że mogła jeszcze uciec i zostawić go, tam gdzie stał, w swoich śmiesznych małych okularach. Żałowała, że nie ma przy sobie niczego, co pozwoliłoby jej nie myśleć o tym, co robi. W milczeniu skierowali się do hotelu.

Recepcjonista mrugnął do Carrie i zażądał dziesięciu dolarów. Facet w okularach zapłacił bez słowa. Carrie wzięła klucz. Musi pamiętać, żeby zostawić na kontuarze jeszcze pięć dolarów, gdy będzie wychodzić.

Pulsujący za oknem neon rozświetlał skromny hotelowy pokój. Koc na wąskim łóżku był szary, a dywan cały w dziurach.

Stali na środku pokoju, oboje zakłopotani. Carrie wzięła się w końcu w garść i zażądała zapłaty. Klient wsunął jej do ręki piętnaście dolarów.

— Dwadzieścia pięć - Carrie zareagowała natychmiast.

— Dałem dziesięć za pokój - próbował protestować.

— Dwadzieścia pięć albo... — Carrie urwała.

Wyciągnął jeszcze dziesięć. Carrie zdjęła sukienkę przez głowę, rozpięła biustonosz, zdjęła bieliznę. Mężczyzna odwrócił się do niej plecami i zdjął spodnie. Carrie położyła się na łóżku. Wszystko po staremu.

Położył się na niej ostrożnie. Jego penis był tak mały, że Carrie nawet nie czuła go w sobie. Nie upłynęło pięć minut i było po wszystkim.

Facet ubrał się szybko i wybiegł z pokoju jak wystraszony królik.

Carrie leżała na łóżku i patrzyła w sufit. A więc wróciła do zawodu. Miała zapamiętać ten dzień. Siódmy grudnia, dzień, w którym Japończycy zaatakowali Pearl Harbor. Następnego dnia Stany Zjednoczone wypowiedziały Japonii wojnę.

Ameryka przystąpiła do wojny. A Carrie znów była dziwką.

Znała ten interes na wylot. I chociaż nienawidziła go, wykonywała zawód jak profesjonalistka. Wkrótce prawie każdy klient prędzej czy później przychodził ponownie.

Suzicie to imponowało.

— Nieźle sobie radzisz — mówiła. — Podoba mi się.

Panu Wardle, właścicielowi „Fun Palace”, nie podobało się to jednak. Wezwał ją do swojego zapuszczonego biura i powiedział:

— Widzę, że używasz mojej dyskoteki do podrywania klientów. Skoro chcesz to robić, w porządku, ale mnie należy się procent.

— Może pan sobie wsadzić tę robotę — odparła bez wahania Carrie.

— Jesteś zwolniona.

— Nie może pan mnie zwolnić, bo właśnie sama zrezygnowałam. Steven powoli wracał do zdrowia, ale nie czuł się dobrze w wilgotnym pokoju. Potrzebował suchego i czystego mieszkania z balkonem, gdzie mógłby zaczerpnąć świeżego powietrza. Carrie zaproponowała, żeby razem z Suzitą wynajęły mieszkanie, i Meksykanka zgodziła się. W ciągu paru tygodni Carrie znalazła dla nich odpowiedni kilkupokojowy apartament

niedaleko 30 ulicy. Było tam dość miejsca na własny pokój dla Stevena, a Carrie wynajęła szesnastoletnią Murzynkę do opieki nad synem.

W mieście roiło się od żołnierzy i marynarzy szukających rozrywki. Większość z nich miała wkrótce wyjechać do Europy i nikt nie mógł

powiedzieć, na jak długo. Wojna sprawiła, że interes szedł dobrze i Carrie miała coraz więcej pieniędzy. Po jakimś czasie przyłączyła się do nich jeszcze jedna dziewczyna, rudowłosa Silver.

W krótkim czasie okazało się, że prowadzą jeden z najpopularniejszych domów publicznych w Nowym Jorku.

Gino

— Wszystko wzięłeś, Santangelo? - spytał arogancko strażnik. Tak. Miał wszystko.

— No, to cześć!

Cześć. Siedem lat to chyba dość długi wyrok za morderstwo, którego się nie popełniło. Siedem lat więziennej nudy, monotonii, podłego jedzenia i znoszenia upokorzeń od sadystycznych klawiszy, siedem lat bez kobiet i bez wolności.

Gino wyszedł przez więzienną bramę, wodząc palcami po bliźnie na policzku.

Naczelnik więzienia był wyjątkowym skurwysynem. Wiedział doskonale, że prasa rzuci się na Gina jak sępy na padlinę, ale odmówił

wypuszczenia go po cichu w środku nocy.

Gino był wciąż twardy. Zniesie i to. Więzienie go nie złamało. Jesh najlepiej przystosowany przeżywa, to Gino miał największe szanse ze wszystkich ludzi, chodzących po tej nędznej planecie.

Sprężystym, pozornie niedbałym krokiem skierował się ku bramie. Odczuwał jednak skurcz żołądka i tak naprawdę pragnął rozwalić parę łbów. Przede wszystkim łeb tej irlandzkiej pizdy, Margaret O'Shaunessy, z jej tępymi, wybałuszonymi oczkami i płaczliwym głosem. Koronny świadek w słynnym procesie o zabójstwo, w którym oskarżonym był on, Gino Santangelo. OJCOBÓJSTWO! —

obwieszczały historyczne nagłówki gazet. Prasa osądziła Gina i skazała, zanim jeszcze ostygły zwłoki Paola i ten piskliwy głosik Margaret O'Shaunessy:

— Słyszałam krzyk jakiejś kobiety: „Gino, dlaczego to zrobiłeś?”

Na dodatek biedna Vera, na pół świadoma tego, co się stało. Zanim policja skończyła ją przesłuchiwać, uwierzyła święcie, że to Gino, a nie ona, pociągnął za spust. Niewiarygodne!

To prawda, że dzięki interwencji Michaela ITannery gliny wpadły do pokoju parę minut później i zasiały Gina nad trupem ojca, z narzędziem zbrodni w rękę. I to prawda, że sam Gino na początku nie powiedział całej prawdy, ponieważ wydawało mu się, że powinien chronić Verę. Ale w końcu przecież powiedział im prawdę! Tylko że wtedy nikt mu już nie wierzył — absolutnie nikt. Uznano go za mordercę na długo przed rozprawą. Jakimż potworem trzeba być, żeby zabić własnego ojca? — pytano.

Obrońcy okazali się bandą zdzierców i półgłówków. Za astronomiczne wynagrodzenie byli gotowi zająć się jego sprawą, ale nie byli skłonni mu uwierzyć. A przecież wiara, że Gino mówi prawdę, była w tym wszystkim najważniejsza.

Znajomi i przyjaciele natychmiast zerwali wszystkie kontakty. Państwo Duke wyprowadzili się do Ameryki Południowej, zostawiając swym prawnikom instrukcje co do zakończenia i zlikwidowania

wszystkich interesów, prowadzonych wspólnie z Ginem. To mu nawet odpowiadało. On z kolei postarał się wykupić wszystkie przedsiębiorstwa, które w swoim i jego imieniu nabył Oswald. Poszła na to większość pieniędzy z konta, a nawet trzeba było sprzedać pewne wartościowe rzeczy, ale dla Gina najważniejsze było, że wykup został sfinalizowany.

Sędziowie, politycy, znajomi z towarzystwa, wszyscy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknęli z jego życia, gdy tymczasem Gino w celi palił jednego papierosa za drugim i oczekiwał na rozprawę.

Tylko najbliżsi przyjaciele go nie zawiedli. Zostali przy nim, informując go o wszystkim, pomagając przetrwać okres więzienia. Aldo, Enzo Bonnalti ci naprawdę byli jego przyjaciółmi.

I oczywiście Bee. Choć prasa nie dawała jej wytchnienia, Bee odwiedzała Gina co najmniej raz w tygodniu.

Ale najwspanialszym ze wszystkich przyjaciół okazał się Costa Zennecotti. Porzucił dobrze prosperujące biuro adwokackie w San Francisco i przyleciał z żoną Jennifer do Nowego Jorku. Na powitanie powiedział tylko:

— Przejmuję twoją sprawę.

— Słuchaj no... — Gino chciał się sprzeciwić. Doceniał przyjacielski gest, ale skąd Costa mógł znać się na obronie oskarżonego w sprawie o morderstwo?

— Nie obawiaj się — powiedział Costa — jestem dobrym adwokatem. Co więcej, ja ci wierzę.

Magiczne słowa zrobiły swoje.

Nie wiadomo, co by z nim było, gdyby Costa nie walczył tak zażarcie w jego obronie. W każdym razie to dzięki niemu zmieniono kwalifikację sprawy z morderstwa na zabójstwo, i w końcu Gino otrzymał wyrok dziesięciu lat więzienia.

Zanim nieszczęsna Vera umarła z przepicia, Coście udało się wydobyć z niej pisemne przyznanie się do popełnienia morderstwa —

siedem lat za późno. Gino został oficjalnie przeproszony i zaofiarowano mu skromną rekompensatę finansową. Ale jaka suma pieniędzy była w stanie wynagrodzić siedem lat wyjętych z życia?

Pełen goryczy opuszczał zakład karny tego wiosennego poranka w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku. Nie mógł śledzić wojny, nie był

też świadkiem śmierci Franklina Delana Roosevelta. Nie znał nowych piosenek, sztuk teatralnych i aktualnej mody. Tęsknił do kwiatów i trawy, nawet do zwykłego spaceru Piątą Aleją. Stracił siedem lat życia.

— Co to jest, co masz na sobie? — spytał CJino, zdegustowany raczej ubiorem Bee.

— To najnowszy krzyk mody, tak zwany nowy wygląd. Nie podoba ci się?

— A co złego było w starym wyglądzie? Wzruszyła ramionami.

— Nie chcesz chyba, żebym wyglądała niemodnie, prawda?

Był znowu w mieszkaniu od piętnastu minut i nie orientował się jeszcze we wszystkim. Za bramą więzienia czekał na niego Costa z dwoma goryłami dla ochrony przed zbytnią natarczywością dziennikarzy i fotoreporterów. Gino ignorując błyskające flesze i podsuwane mu pod same usta mikrofony pozwolił, żeby Costa odpowiadał za niego.

— On nie ma nic do powiedzenia, panowie. Absolutnie nic. Dajcie człowiekowi spokój, co?

Na Park Avenue, przed mieszkaniem Gina, czekały dalsze zastępy dziennikarzy. Ta sama historia. Nie miał skurwielom nic do powiedzenia. Niech piszą, co chcą. I tak zawsze to właśnie robią.

Costa towarzyszył mu do drzwi mieszkania, w których powitała Gina rozpromieniona Bee.

— Zostawię was teraz samych — powiedział Costa. — Gino, czy możemy się spotkać jutro rano? To znaczy, jeżeli będziesz w stanie.

— Tak, jutro najzupełniej mi odpowiada. — Jeśli będzie w stanie, też. coś! Co sobie Costa myślał, do cholery, że rozmawia z jakimś pokręconym inwalidą czy co? Miał dopiero czterdzieści jeden lat.

— Chcesz drinka? — spytała Bee, gdy weszli do środka.

— Szkoocką. Z mnóstwem lodu. I koniecznie w jednej z tych kryształowych szklanek. — Nowy wygląd. Boże. Ledwo mógł dojrzeć jej nogi. I eż wygląd.

Podawała mu szklankę i pogłaskała po policzku. Ten dotyk podniecił go do szaleństwa.

— Zrzuć z siebie całe to cholerne ubranie — nakazał. — Chcę cię widzieć tylko w pończochach, podwiązki i butach na wysokim obcasie.

Bee roześmiała się cicho.

— Bałam się, że już nigdy mnie o to nie poprosisz.

Gino przymknął oczy. Sama myśl o jej nagości powodowała natychmiastową erekcję. Siedem lat bez kontaktu z kobietami. Niektórzy nie zamierzali czekać wcale. Wybierali spośród nowych więźniów słabeuszy i frajerów i gwałcili ich brutalnie, zanim tamci zdążyli rozpakować szczoteczki do zębów.

Nazwisko Gino Santangelo przyniosło mu natychmiast szacunek wszystkich. Zastanawiał się często, czy wytrzymałby tak długo, gdyby się tak nie nazywał.

Bee stanęła w drzwiach. Wykonała polecenie Gina co do joty. Nawet upięła włosy.

— Przejdź się po pokoju — poprosił Gino. — Chcę na ciebie patrzeć.

Miała cudowną skórę, białą i doskonale gładką, i wciąż jędrne piersi z malinowymi sutkami.

Widok czarnego pasa do pończoch, który kontrastował z bielą jej skóry i podkreślał trójkąt gęstych, rudych włosów poniżej, wprowadzał Gina w zachwyt.

— Odwróć się — powiedział drżącym z podniecenia głosem.

Bee odwróciła się posłusznie i Gino mógł podziwiać jej okrągłą, dużą pupę. Nie chciał się spieszyć. Za długo na to czekał, żeby ją teraz zerznąć w pięć minut, jak młody napaleniak.

— Hej, Bee, pamiętasz, jak się pierwszy raz rozebrałaś przede mną? Odwróciła się twarzą do niego i odparła:

— Jak mogłabym zapomnieć? Byłaś naprawdę wściekły!

— A czego się spodziewałaś? zaśmiał się. Powiedziałaś mi, że masz syfa. Cholernie śmieszne, szczerze mówiąc.

Wyciągnęła w górę ramiona i przeciągnęła się. Gino patrzył na jej sprężyste piersi i wiedział, że nie wytrzyma długo.

— A może ja cię rozbiore? — zaproponowała, jakby czytała jego myśli.

— Dobrze. Podeszła do niego.

— Wstań.

Gino wstał. Była od niego wyższa w ogromnych szpilkach. Z bliska dojrzał drobne zmarszczki na jej twarzy, których nie było tam wcześniej. Dla niej też te siedem lat nie mogło być łatwe. Gino zapewnił jej dostatek, ale co robiła z samotnymi nocami?

— Miałaś kogoś innego, kiedy ja siedziałem? — spytał wreszcie, podczas gdy Bee zdejmowała z niego ubranie.

— Gino — odpowiedziała bardzo cicho — wiesz, że nie ma nikogo innego. Tylko ty.

Nie odpowiedziała na jego pytanie, ale to mu wystarczyło. Zdjęła mu buty i skarpetki i zaczęła całować palce stóp. Fale rozkoszy przesywały cały organizm Gina.

— Gdzie się tego nauczyłaś?

— Zadajesz za dużo pytań.

Sięgnął do jej piersi i pieścił palcami sutki, aż stwardniały. Wtedy zaczął je lizać, a Bee wydała cichy jęk.

— Gino — szepnęła — nie mogę już dłużej, chodźmy do łóżka.

On też tego chciał. Jego członek pulsował gorącą krwią, ale umysł pragnął przedłużyć pieszczoty w nieskończoność. Z rękoma na jej piersiach, zaczął całować jej usta. Miała wspaniałe wargi, szerokie i zmysłowe, oddech pachniał delikatnie miętą. Język Bee gwałtownie wysunął się na spotkanie jego języka.

Pieszcząc opuszkami palców jej piersi, z językiem wewnątrz jej ust, czuł się cudownie. Pod palcami czuł sutki Bee jak nieco szorstki jedwab. Zapomniał już dotyku kobiety. Nie zamierzał przestać jej pieścić, aż sobie wszystko dokładnie przypomni.

Bee zeszywniała nagle i zaczęła wydawać krótkie, ekstatyczne jęki. Miała orgazm, mimo że Gino jeszcze nie dotknął jej magicznego miejsca.

— Bee — spytał cicho co się tak spieszysz? Mamy przed sobą najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

— I co? pytała Jennifer Zennecotti. — Wszystko poszło według planu? Dziesięć lat małżeństwa zmieniło ją z piegowatej dziewczynki w dojrzałą, bardzo atrakcyjną kobietę. Miała trzydzieści dziewięć lat i była starsza o kilka miesięcy od męża, ale całe jej zachowanie przypominało osobę jeszcze starszą. Promieniowała wprost ciepłem i dobrocią.

Costa nigdy nie żałował, że się z nią ożenił, choć małżeństwo nie zaowocowało dziećmi, co bardzo smuciło ich oboje.

— Jest w domu. Dziennikarze kręcili się wszędzie, ale nie denerwowali go zbyt.

Costa uwielbiał swoją pracę. Odkąd przyjechał do Nowego Jorku, żeby zająć się obroną Gina, wziął dosłownie jeden wolny tydzień —

po to, aby wrócić do San Francisco i poinformować ojca osobiście, że zamierza na stałe zostać na wschodnim wybrzeżu i otworzyć własne biuro adwokackie. Franclin Zennecotti nie ukrywał złości.

— Tutaj jest twoje miejsce! — pouczał syna. — Kiedyś odziedziczysz po mnie całą tę firmę. Czego więcej możesz chcieć?

Costa nie chciał wydawać się niewdzięczny, ale tak naprawdę pragnął niezależności. A przy tym uważał za swój obowiązek kontynuowanie obrony Gina. Gazety szkalowały go w potworny sposób. Gino „Byk” Santangelo. Zwyrondniak. Kryminalista. Nawet kiedy Vera w końcu przyznała się do zabójstwa, gazety sugerowały, że Costa sownie jej za to zapłacił. W rzeczywistości nie dostała złamanego centa, za to Costa nie dawał jej spokoju przez lata, dosłownie błagając, by wreszcie wyznała prawdę.

Costa został także pełnomocnikiem Gina do spraw finansowych i dzięki jego zdolnościom wszystkie

legalne interesy pana Santangelo kwitły. Nie zgodził się co prawda mieć nic wspólnego z ciemniejszą stroną działalności Gina, zostawiając klub „Clemmie's”, loterię i hazard pod opieką Aida. Kiedy Aldo został powołany do wojska i wysłany za ocean, Enzo Bonnatti przejął, za zezwoleniem Gina, jego obowiązki.

— To mi całkiem odpowiada — mówił Gino w więziennej celi. — Przynajmniej wiem, że ktoś ma oko na moje interesy, a kiedy wyjdę, wezmę wszystko z powrotem w swoje ręce.

Rok później wydział do walki z narkotykami nakazał zamknięcie klubu. Bonnatti zginał się w przeprosinach. Gino był wściekły, ale nie mógł przecież nic zrobić.

W tym samym mniej więcej czasie Aldo wrócił kulejąc z Europy. Postrzelił się w nogę, żeby uniknąć walki na froncie.

— I wiecie co? — mówił potem. — Warto było! Wróciłem i traktują mnie jak bohatera!

Costa nigdy nie był w wojsku ze względu na dokuczliwą astmę. Enzo uniknął tego problemu, przekazując odpowiednie sumy pieniędzy w ręce odpowiednich ludzi.

— Mam platfusa! — odpowiadał, zapytany, jak to się dzieje, że nie został jeszcze powołany do wojska. Zresztą, niewiele osób było dość śmiałych, żeby w ogóle o to pytać.

— Czy Bee go przywitała?

— Tak, wspaniale ubrana i szczęśliwa jak skowronek na wiosnę!

— To dobrze. To święta kobieta. Tyle lat na niego czekała, a Gino nie jest nawet jej mężem.

Costa nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— No, ja nie nazywałbym jej świętą!

— Masz teraz większą pupę.

— Nie mów tak!

— Większą i ładniejszą.

— Mówisz tak tylko dlatego, że nie miałeś tyle czasu żadnej kobiety.

— Tak sądzisz?

Chwyił ją mocno za pośladki i przewracał się z nią na łóżku.

— Gino, znowu?

Gino wydał okrzyk zadowolenia i wszedł w nią od tyłu. Uniósł jej pośladki i czuł, jak członek gładko

wchodzi i wychodzi z ciała Bee.

Robili to już trzeci raz, a rozkosz nie była ani trochę mniejsza.

Nie wychodzili z łóżka przez całe popołudnie i w cichym mieszkaniu przeszkadzał im tylko od czasu do czasu dzwonek telefonu. W

końcu Gino odłożył słuchawkę.

— Wiesz co? — powiedział, kiedy skończyli trzeci raz — może powinniśmy pomyśleć o małżeństwie.

Bee milczała.

— No, co to? Dlaczego nie słyszę zachwyty i Ach-Gino-zawsze-o-tym--marzyłam? O co chodzi?

Bee odpowiedziała bardzo powoli, ważąc słowa:

— Przecież wiesz, że zawsze tego pragnęłam. Wiesz dobrze.

— Więc w czym problem?

— W miłości.

— W miłości? — Gino nie rozumiał.

— Tak. Ja ciebie kocham. Mówię ci o tym. Ty nigdy nie powiedziałaś, że mnie kochasz.

— O rany, daj spokój. Właśnie kochałem się z tobą trzy razy. Jeżeli to nie jest miłość, to co nią jest?

— Nie rozumiesz, Gino — westchnęła. — Kochanie się to jeszcze nie miłość.

— Posłuchaj. Jesteśmy ze sobą od paru ładnych lat. Daję ci wszystko, czego potrzebujesz, prawda?

— Tak, Gino, oczywiście, że tak, ale...

— Zapłaciłem za najlepszą szkołę dla Marca. To już przecież dorosły chłopak! Teraz przydałby mu się brat albo siostra, nie uważasz?

— Chcesz, żebyśmy się pobrali i mieli dzieci?

Gino wyskoczył z łóżka i chodził po pokoju, podniecony własnymi planami.

— Oczywiście! Dlaczego by nie? W końcu żadne z nas nie jest coraz młodsze. Dużo myślałem o tym w pudle. Chcę zostać ojcem, Bee.

Będziemy mieli wspaniałe dzieciaki.

Podparła się na łokciu i uśmiechnęła się do niego.

— Chyba tak...

— Oczywiście, że tak! Już je sobie wyobrażam! Małe, rude bachory z tłustymi tyłkami!

Bee śmiała się głośno.

— Chyba możesz mieć jeszcze dzieci, co? Nie jest za późno?

— Gino, ja mam dopiero trzydzieści dwa lata. Jak tylko przestanę używać środków antykoncepcyjnych, mogę rodzić jedno za drugim!

Śmiali się już oboje.

— Zabierzemy się do tego po kolei. Jutro pójdziesz ze mną do Tiffany'ego i kupię ci największy pierścionek z diamentem, jaki w życiu widziałaś. To będą nasze zaręczyny, chcesz? A kiedy już dziecko będzie w drodze, weźmiemy ślub.

— To znaczy, że najpierw muszę zajść w ciążę? — spytała Bee z niepokojem.

— Tak. Ale obiecuję ci, że z przyjemnością się o to postaram!

Następnego dnia rano Gino wpadł do biura pełen energii. Był w tak doskonałym humorze, że uśmiechał się nawet do grupki dziennikarzy, czekających na niego przy wejściu.

Costa dodzwonił się do niego jeszcze poprzedniego wieczoru.

— Dzwonili do mnie z San Francisco. Franklin miał atak serca, muszę tam zaraz lecieć.

— Nie martw się. Teraz już sobie poradzę — zapewnił go Gino. Panna Marchmont, osobista sekretarka Costy i cenna współpracownica, powitała go na progu biura, gotowa wprowadzić go we wszystko i pokazać wszelkie książki i dokumenty, które Gino chciałby obejrzeć.

Przejrzał z zadowoleniem kilka papierów. Wykup przedsiębiorstw prowadzonych wspólnie z Oswaldem był istotnie doskonałym posunięciem. Wszystkie firmy, które postanowili przejąć na początku wojny, prosperowały znakomicie.

Przebywanie w pokoju z siedemnastoma sekretarkami, z których każda próbowała mu się przyjrzeć, sprawiło, że czuł się trochę nieswojo. Costa

zaprowadził porządku w biurze: każde osobne przedsiębiorstwo było zarządzane przez wydzieloną część personelu, on pilnował tylko, żeby najważniejsze rzeczy szły gładko.

Siedem lat w pudle, myślał Gino, i nagle jestem bogatszy niż kiedykolwiek przedtem. Może było warto? W każdym razie to lepsze niż praca.

Obecność panny Marchmont nie wpływała dobrze na niego. Sekretarka Costy miała nieustannie wyraz twarzy, jakby czuła jakiś bardzo niemiły zapach.

— No cóż — powiedział wreszcie po paru godzinach — przejrzałem już chyba wszystko, co najważniejsze. Gdyby mnie pani potrzebowała, będę w „Riccaddi”.

Uciekł stamtąd czym prędzej. Miał dość siedzenia w biurze, a poza tym nie mógł się doczekać spotkania z Aldem.

Do restauracji zawiózł go Red, jego stary szofer i goryl. Red pracował ostatnio u Enzia Bonnattiego, ale gdy usłyszał, że Gino wychodzi na wolność, poprosił o przyjęcie na stare miejsce. Był doskonałym kierowcą. Minęli sześć przecznic i Red pozbył się już wszystkich siedzących im na karku reporterów.

— Dobra robota! — Gino śmiał się głośno.

— Wkurzają mnie ci krwio pijcy. Wypisują same kłamstwa i prześladują uczciwych ludzi.

Gino postanowił sprawdzić, ile płaci za usługi Reda, i zapamiętał, żeby wynagrodzić go dodatkową premią.

„Riccaddi” była niewielką, urządzoną ze smakiem włoską restauracją, którą Aldo kupił Barbarze w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Stanowiła doskonałe pokrycie dla jego pozostałych interesów. Barbara zajmowała się kuchnią, a jej brat pracował za barem i był menedżerem restauracji. Gino był tu pierwszy raz.

W drzwiach czekał na niego Aldo. Przyjaciele padli sobie w objęcia. Wzruszyło ich to powitanie. W chwilę potem z zaplecza wybiegła Barbara, cała we łzach.

— Gino! Jak to dobrze, że znów jesteś z nami! Tak się cieszę. Weszli do środka, gdzie oczekiwali ich z uśmiechem wszyscy starzy znajomi i przyjaciele: Enzo Bonnatti, Jennifer, Bee... a także Marco, przystojny siedemnastolatek.

— Jezu! Co się tu dzieje?

— Nic, nic takiego — przekonywała go Barbara. Transparent na ścianie głosił: WITAJ W DOMU, GINO.

Gino był oszołomiony, zakłopotany i szczęśliwy. Przez dłuższy czas ścisnął dłonie znajomych, całował dziewczęta w policzki i popijał

czerwone wino, a z szafy grającej płynęły dźwięki włoskiej opery. W końcu przycisnął Bee do muru:

— Dlaczego mnie nie ostrzegłaś?

Bee uśmiechnęła się tylko i ścisnęła mu dłoń.

Aldo i czwórka dzieci Barbary śpiewali uradowani i wspólnie nadskakowali Ginowi przy stole. Aldo miał szczęście do dzieci: urodziło mu się dwóch

synów i dwie córki. Gino był ojcem chrzestnym całej czwórki, surowo wychowywanej przez Barbarę. Podano prawdziwą domową lazanie, a potem gorące i ostre spaghetti z mięsem, ulubione danie Gina, a na deser doskonały włoski krem.

Gino siedział przy stoliku z Enziem, Aldem i innymi mężczyznami. Oblizywał usta i powtarzał, popierany przez wszystkich:

— Barbaro, jesteś najlepszą kucharką na świecie!

Później, przy cygarach i szklaneczkach sambuca, mężczyźni rozmawiali o interesach. To dotyczyło ich wszystkich. Oczywiście Gino doskonale wiedział, co działo się podczas jego nieobecności: więzienny gryps był bogatszy w wiadomości niż niedzielne wydanie New York Timesa. Ale mimo to dobrze było wrócić do dawnej pozycji i wiedzieć, że wszyscy wciąż pytają go o zdanie i szanują je.

Enzio i Aldo byli w Hawanie na zjeździe szefów podziemnego świata z całych Stanów, któremu przewodniczył Lucky Luciano, właśnie wypuszczony na wolność. Rozmawiano o współpracy i zakończeniu wrogiej rywalizacji, podjazdów i wzajemnych mordów, które przysporzyły organizacji tyle złej sławy.

— Szkoda, że nie widziałeś Pinky'ego Banana. Miał na sobie więcej diamentów niż w sklepie jubilerskim!

Pinky Banana był teraz szefem podziemia w Filadelfii. Trzymał w garści cały handel narkotykami, prostytutkę i płatnych morderców na tamtym terenie.

— Ach tak? — Gino nie okazywał większego zainteresowania. Rozmowa skierowała się na inne tory i przyjaciele rozstali się dopiero późnym wieczorem.

Gino wyszedł z restauracji o dziewiątej. Był najedzony i wypoczęty, podniecony rozmową. Enzio i Aldo wykonali kawał dobrej roboty pod jego nieobecność. Gino miał przy sobie trzy paczki wypełnione gotówką, trzy tysiące dolarów — a to był tylko początek.

Bee tuliła się czule do jego ramienia.

— Jak to dobrze Gino, że znów jesteś w domu — szeptała. Tak. On też się z tego cieszył.

Czwartek, 14 lipca 1977

Nowy Jork i Filadelfia

Steven przewiązał liny pod ramionami Lucky i podsadził ją na splecionych w stołeczek dłoniach, aby mogła dosięgnąć wyjścia w suficie windy. Dziewczyna nie przestawała narzekać.

— Boże! Pomocy! Nie jestem akrobalką, do cholery, rozumiesz? Kiedy robotnik z obsługi wind chwycił ją z góry, Steven oparł dłonie o jej

pośladki i popchnął silnie.

— Uważajcie! — pisnęła. Przysiadła skulona na dachu windy i szeptała nerwowo do siebie samej:

— Boję się... Ja... naprawdę się boję...

— Wszystko będzie dobrze — powiedział mężczyzna w kombinezonie, sprawdzając jednocześnie, czy liny są dobrze zawiązane pod jej ramionami. Po chwili podniósł wzrok i krzyknął:

— Podnieś ją, George!

Niewidoczny stąd George pociągnął linę i Lucky wisząc na linie jak bezwolna lalka, została wciągnięta bezpiecznie na czterdzieste siódme piętro. George i dwóch jego pomocników przyglądali jej się badawczo.

— No! — westchnęła. — Może tak byście w końcu zdjęli ze mnie tę uprzęż?

Wykonali polecenie w milczeniu.

— Macie tu coś do picia?

Jeden z mężczyzn wskazał ręką na fontannę z wodą pitną. Lucky natychmiast skorzystała z niej i jeden po drugim wypila trzy papierowe kubki letniej wody. Rozejrzała się po oświetlonym świeczkami korytarzu.

— Nie ma światła, co?

Ale robotnicy byli już zajęci wyciąganiem Stevena z windy. Lucky wzięła jedną ze świeczek i znalazła toaletę. Wstawiła świeczkę do umywalki i spojrzała w lustro.

— Jezu! — krzyknęła — jak ja wyglądam!

Odkręciła kran i zwilżyła twarz zimną wodą. Od razu poczuła się dużo lepiej.

Teraz chciała jeszcze tylko dotrzeć do domu, wziąć porządną kąpiel i spać przez tydzień.

Dario zastygł w bezruchu. Ktoś naprawdę chciał wdrzeć się do jego mieszkania. Przestał wybierać numer i rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś broni. Wziął do ręki ciężki posążek z brązu i przyczał

się przy drzwiach wejściowych.

— Kto tam? — zapytał najtwardszym głosem, jaki potrafił wydobyć z przerażonego gardła.

Drapanie do drzwi nie ustawało.

Dario podniósł posążek, gotowy zadać cios.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i w tej samej chwili Dario zadał cios. Zanim jednak statuetka z brązu sięgnęła celu, ktoś chwycił

Daria, podniósł i rzucił o podłogę. Statuetka upadła na ziemię z hukiem. Nim Dario zdążył się zorientować, leżał unieruchomiony na podłodze.

— Co jest... — zaczął, ale chłodny dotyk metalu na czole uciszył go w mgnieniu oka. Ktoś mierzył do niego z rewolweru. Znów był

więźniem we własnym domu.

Doktor Mitchell opatrzył bolące uszy Carric i podał jej środki uspokajające. Elliott odwiózł ją do domu.

W asyście chłopca z latarką, który za dolara pomagał znaleźć w ciemności drogę, pieszo weszli na siedemnaste piętro, gdzie znajdował

się icli luksusowy apartament.

— To się nazywa swobodna inicjatywa! dowcipkował Elliott, dając chłopakowi pięciodolarówkę.

Środki uspokajające zaczynały powoli działać. Carrie poczuła się nagle bardzo śpiąca.

— Muszę zadzwonić do Stewena wyszeptała z trudem.

Choć raz przestań się o niego martwić — odparł zdecydowanie Elliott. Teraz idziesz spać, i to już. Nie miała siły oponować.

(iino nie potrafił zasnąć. Po tej burdzie z fotoreporterem i jego przyjaciółką był niespokojny. Przychodzą w środku nocy, żeby podstępem zrobić parę zdjęć, do tego już doszło? A gdzie prywatność? A prawa obywatela?

Położył się do łóżka i usiłował spać, ale nie mógł uwolnić się od myśli o Lucky, Dariu i Coście, starym przyjacielu. Bardzo tęsknił za nimi wszystkimi, ale szczególnie brakowało mu Lucky, jego pięknej i szalonej córki. Tak, szczególnie jej... Siedem lat to bardzo długo.

Może nawet zbyt długo, żeby...

W końcu Gino zapadł w sen.

Lucky wychodziła właśnie z łazienki, gdy wyciągnięty z windy Steven wyplątywał się z lin, bezpieczny na czterdziestym siódmym piętrze. Klepał swych wybawicieli po ramionach i nie przestawał im dziękować, podczas gdy oni zbierali sprzęt.

Lucky przyglądała się Stevenowi. Był niezwykle przystojny — można to było zobaczyć nawet w słabym świetle świec.

— Cześć! — powiedziała. — Miło znów cię widzieć.

Steven spojrzał na nią zaskoczony. Nie była wcale tą obfitą blondynką, którą wyobrażał sobie w windzie. Szczupła, młoda dziewczyna z dziko kręconymi, czarnymi włosami, patrzyła mu prosto w oczy i była bardzo ponętna.

Uśmiechnął się do niej w końcu.

— Mówiłem ci, że się wydostaniemy.

— I to bez szwanku - odpowiedziała uśmiechem.

— Wyglądasz inaczej, niż sobie wyobrażałem...

— Ty też — przerwała. A jak właściwie wydostaniemy się z budynku?

— Musimy chyba skorzystać ze schodów awaryjnych.

Steven zwrócił się do George'a, który właśnie wciągał na linie kolegę z windy.

— Nie ma innej drogi na zewnątrz niż schodami, co?

— Chyba że chcesz pan skakać przez okno.

— Dziękujemy wam. Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc. George przygryzł dolną wargę.

— Jak bardzo?

— Daj mu coś w łapę — szepnęła Lucky i chodźmy już.

— Och, oczywiście! — Steven pogrzebał w tylnej kieszeni spodni i wydobyl dziesięciodolarowy banknot.

— Proszę, na piwo.

George wziął banknot i przyglądał mu się przez chwilę, a następnie podał go drugiemu mężczyźnie i powiedział skwaszonym głosem:

— Dziesięć dolców za nasz wysiłek. Wystarczy chyba na parę piw dla nas czterech, co?

Lucky wyciągnęła z torebki dwie pięćdziesiątki.

— Proszę, chłopcy! Złapała Stevena za rękę.

— Chodźmy już, na Boga!

Odprowadził ją do drzwi ewakuacyjnych, ale gdy te zatrzasnęły się za nimi z głośnym kłaśnięciem blachy, zatrzymał się i zaatakował

Lucky drżącym ze zdenerwowania głosem:

— Dlaczego to zrobiłaś? Postawiłaś mnie w bardzo głupiej sytuacji.

— Jak to?

— Po co dałaś im aż tyle? Płacą im za pracę, nawet na te dziesięć nie zasługiwali?

— Co to znaczy, nie zasługiwali? Przecież oni nas właśnie uratowali, wyciągnęli nas z tej cholernej dziury, nie rozumiesz tego?

Zasługują na wszystko co ja mam ochotę im dać.

— Dziesięć by wystarczyło — upierał się Steven.

— Dziesięć to dla nich obraza.

Spojrzał na nią. Ponętna czy nie, była nie do wytrzymania.

— No więc? — Lucky się zniecierpliwiła. — Schodzimy, czy będziemy tu stać i się kłócić?

— Możesz robić, co ci się podoba. Nie jesteśmy w końcu na siebie skazani. Lucky obrzuciła go niechętnym wzrokiem. Jeden z

najprzystojniejszych

facetów, jakich spotkała, a taki sztywniak.

— Bardzo dobrze. W takim razie, do widzenia. Przewiesiła torebkę przez ramię i zaczęła schodzić.

Steven stał sam na betonowej podłodze. Światło poranka sączyło się delikatnie przez matowe okna.

— O, jeszcze coś — krzyknęła z dołu Lucky. — Masz rozpięty rozporek. Popatrzyl na spodnie. Rzeczywiście.

Spryciara.

Dario leżał, nie ośmielając się wykonać najmniejszego ruchu. Lufa pistoletu wciskała mu się w czoło, zbierało mu się na wymioty.

— Jak się nazywasz? — warknął obcy głos. Jak się nazywał? Co się tutaj działo?

— Dario Santangelo — wykrztusił.

— Lepiej dla ciebie, żebyś mógł to udowodnić. — Napastnik wyswobodził go z silnego uścisku i wstał. Kiedy Dario się podniósł, oślepiło go światło latarki.

— Udowodnij to — powtórzył obcy.

Udowodnij. Jak? W jaki sposób, do cholery, miał udowodnić, jak się nazywa?

— Ja... mieszkam tutaj — wyjąkał. Nagle przyszło mu do głowy, że tamten mógł być płatnym mordercą, i jeśli właśnie po niego tu przyszedł...

Zdecydował się w ułamku sekundy. Miał już dość. Jeżeli miał być zabity, to niech się dzieje, co chce. Rzucił się na obcego mężczyznę ze zwierzęcym wrzaskiem.

Carrie zasnęła po wpływie leków. Nad ranem obudziła się z sennego koszmaru, zlana potem.

Elliott spał we własnej sypialni po' drugiej stronie korytarza.

Spróbowała zapalić lampkę przy łóżku, ale prądu wciąż nie było. W uszach czuła narastający ból, jej ciało było sztywne, jakby obce.

Naciągnęła szlafrok i poszła do kuchni. Budzik na stoliku pokazywał godzinę szóstą czterdzieści pięć. Otworzyła lodówkę i naalała sobie do szklanki ciepłego soku grejpfrutowego. Oto nowoczesność, pomyślała. Nie mogła nawet zrobić sobie grzanki.

Zastanawiała się, czy nie jest za wcześnie żeby zadzwonić do Stevena. Zwykle dzwoniła do niego o wpół do dziewiątej, ale dziś może chyba zrobić wyjątek?

Nie wiedziała nawet, co mu powie. Czy ma mu opowiedzieć o swojej wczorajszej przygodzie? Oszalałby z wściekłości. Steven był na swój sposób jeszcze bardziej konserwatywny niż Elliott.

Zaniepokoiło ją ukłucie bólu w lewej ręce. Reumatyzm — powiedział bez wahania doktor Mitchell, gdy wspomniała o tym kilka miesięcy temu.

— No cóż, pani Berkely, nie jest już pani nastolatką — dodał wtedy.

Dziękuję bardzo, panie doktorze — pomyślała. Miała sześćdziesiąt cztery lata, wyglądała na czterdzieści osiem i ani trochę nie czuła się stara.

Reumatyzm! Czy każdego czekało to samo? Miała stać się zmęczoną, schorowaną staruszką, ledwo ruszającą się o własnych siłach?

Magazyn „Vogue” w każdym razie nie widział jej w ten sposób. Opublikował niedawno jej zdjęcie na całą stronę z ogromnym podpisem: PONAD SZEŚĆDZIESIĄT LAT A WCIAŻ W PEŁNI SIŁ. Artykuł zaczynał się zdaniem: „Pani Elliott Berkely, jedna z najbardziej egzotycznych piękności naszych czasów...”

Zauważyła, że ręka jej drżała, gdy podnosiła do ust szklankę soku. Postawiła ją na stole i zaczęła się przechadzać po swym oryginalnie za-projektowanym, urządzonej ze smakiem dziesięciopokojowym mieszkaniu. Oryginalnie zaprojektowane... urządzone ze smakiem...

Wszystko cytaty z „Vogue”.

Przetarła oczy i pomyślała, żeby położyć się jeszcze do łóżka, ale wiedziała, że nie będzie już mogła zasnąć.

Przypomniała sobie szantażystę. Kiedy znów się odezwie? Wiedziała, że skończyło się dla niej spokojne życie. Ogarniał ją strach o przyszłość.

O dziewiątej rano Gino był już wykąpany, ubrany i gotowy do wyjścia w filadelfijskie piekło. Wykonał krótki telefon do Costy polecając mu, aby spotkał się z nim u Pierre'a, po czym wyszedł. Na parterze czekał na niego dyrektor hotelu, gnący się w ukłonach.

— Panie Santangelo, bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się w nocy. Samochód już czeka. Jeżeli mógłbym jeszcze coś dla pana zrobić...

Szedł obok Gina aż do obrotowych drzwi, za którymi czekała grupa dziennikarzy i fotoreporterów.

— O cholera! Gino był zaskoczony. Co to ma znaczyć?

— No cóż, panie Santangelo tłumaczył uprzejmie dyrektor, eskortując swego gościa do samochodu. Jest pan w centrum zainteresowania.

Gino starał się przybierać skromną minę.

— Ja? Jacqueline Onassis jest w centrum zainteresowania. Awaria elektrowni. Ale ja? Jestem tylko zmęczonym starcem, który chce spędzić we własnym kraju resztę życia, w spokoju i bez rozgłosu.

Słowa zawisły w powietrzu. Były nieszczerze. I wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

Carrie

1943

Carrie miała urodziny. Skończyła właśnie trzydzieści lat.

Suzita, Silver i dwie pozostałe dziewczyny, które do nich dołączyły, upiekły wielki czekoladowy tort z trzydziestoma świeczkami na szczycie. Carrie miała ochotę się rozplakać. To był pierwszy tort urodzinowy w jej życiu.

Mały Steven w białym jedwabnym garniturze podskakiwał dookoła niecierpliwie, pieszczony i obcałowywany przez wszystkie dziewczęta, wykrzykujące jedna przez drugą:

— Czy to nie jest najładniejszy dzieciak pod słońcem?

Rzeczywiście, był ślicznym dzieckiem o cerze koloru mlecznej czekolady, czarnych, kręconych włosach i dużych, zielonych oczach.

Carrie patrzyła na niego z miłością. Żyła tylko dla niego i była zdecydowana zapewnić mu wszystko, czego mógł potrzebować.

Dom schadzek był teraz zabezpieczony, ale oznaczało to, że sporą część dochodów musiały co tydzień oddawać „opiekunom”.

— Nie będziemy użerać się z tą hołotą — stwierdziła kategorycznie Suzita, gdy elegancki i uprzejmy młody człowiek odwiedził je pierwszy raz dwa lata temu z propozycją współpracy. Carrie zgodziła się w końcu, choć jej pierwszym odruchem było powiedzieć przystojniaczkowi, żeby spadał, i to natychmiast.

— Steven! — Suzita wzięła chłopca na ręce i posadziła go na stole, tuż obok tortu — złóż mamie życzenia urodzinowe.

Jedna z dziewcząt zrobiła zdjęcie. Steven pokazywał w uśmiechu dziury ^ mlecznych zębach i sepleniąc zaśpiewał urodzinową piosenkę.

Carrie miała łzy w oczach. Właściwie cieszyła się z tego, że nie wiedziała, kto jest ojcem chłopca. W ten sposób Steven mógł należeć tylko i wyłącznie do niej.

Bernard Dimes siedział w półmroku na widowni, przyglądając się aktorom i aktorkom wchodzącym po kolei na scenę. Próby nowego przedstawienia przebiegały sprawnie.

Reżyser zarządził dziesięciominutową przerwę i podszedł do Bernarda, omówić kilka spraw związanych z przedstawieniem: kostiumy, predyspozycje poszczególnych aktorów, organizację zakwaterowania w Filadelfii i innych miastach, które mieli odwiedzić.

— Słuchaj, zdarzyło mi się wczoraj coś... — zaczął reżyser i urwał po chwili, niepewny.

— Co takiego? — spytał uprzejmie Bernard.

— Cholera! Nie wiem nawet, czy powinienem ci mówić. Bernard popijał kawę z papierowego kubka.

— Ale pewnie ci powiem — ciągnął reżyser — bo i tak znasz moje szczególne... upodobania, prawda?

Bernard uśmiechnął się nieznacznie. Cały teatr wiedział o szczególnych upodobaniach reżysera.

— No więc poszedłem wczoraj do tego burdelu na 36 ulicy. Ktoś mi mówił, że jest tam pewna gorąca Meksykanka, która specjalizuje się w tym, co ja lubię. I wyobrażasz sobie, kto prowadzi ten cały interes?

— Kto?

— Ta czarna dziewczyna, która śpiewała u nas w chórze parę lat temu. Ta, która odeszła tak nagle... Mieszkała razem z Goldie, pamiętasz?

— Carrie — stwierdził Bernard i poczuł, jak robi mu się sucho w gardle.

— O właśnie, Carrie! Podchodzę do niej i pytam, co taka miła dziewczyna robi w takim przybytku rozpusty, i wiesz co? Udała, że mnie nie poznaje. I co ty na to?

— A jak twoja Meksykanka? spytał Bernard, starając się, aby zabrzmiało to dość niedbale.

— Naprawdę gorąca! A dlaczego pytasz? To nie jest w twoim stylu, co?

— Znam jednego sponsora, który byłby może nieco hojniejszy, gdybym ' mógł wskazać mu miejsce specjalizujące się w podobnych usługach.

— Naprawdę? Kogo?

— Szczegóły zostaw mnie. Napisz mi adres na kartce, żebym mógł mu podać.

Reżyser spojrzał badawczo na Bernarda, ale spełnił prośbę przyjaciela. Po chwili podał mu zapisaną karteczkę. Bernard schował ją do kieszeni i nie spojrzał na nią do chwili, kiedy znalazł się sam w domu. Wyjął ją wreszcie i dłuższą chwilę studiował adres, starając się go zapamiętać, wiedząc jednocześnie, że i tak nigdy tam nie pójdzie. Odkąd Carrie odeszła z teatru, wciąż o niej myślał.

Goldie nie umiała pomóc mu w odnalezieniu Carrie.

— Nie mam pojęcia, dlaczego uciekła. Spędziła cudowny wieczór ze mną, moim chłopakiem i jeszcze jednym naszym znajomym, bardzo miłym mężczyzną, a potem gdzieś zniknęła. Dziwaczka jakaś, naprawdę.

Bernard zdecydował się w końcu. Wsiadł do samochodu i pojechał na 36 ulicę. Zatrzymał się przed wskazanym domem i tylko mu się przyglądał. Upływały minuty, potem godziny. Patrzył, jak różni ludzie, przeważnie mężczyźni, wchodzą do domu i opuszczają go.

Nieprzerwany strumień mężczyzn.

Przyglądał się temu aż do świtu, który zastał go z bólem w karku i całym zeszywniałym ciele. Wtedy wrócił do domu.

Lekcje, których udzielały Carrie Florence Williams i Madam Mae nie zostały zapomniane. Pani domu powinna być ciepła, przyjazna i odrobinę surowa. Mężczyzn należało traktować jak gości na przyjęciu. Dobrze było zapamiętać ich ulubione gatunki papierosów i cygar i witać ich za każdym razem jak drogich, dawno nie widzianych przyjaciół. Kobieta prowadząca dom schadzek nigdy, pod żadnym pozorem nie świadczyła erotycznych usług swoim klientom. To było zarezerwowane wyłącznie dla specjalnych gości. Kochać się z nią było tym, czym zaproszenie do najlepszego, zarezerwowanego stolika w restauracji.

Suzicie nie przeszkadzało to, że Carrie przejęła prowadzenie interesu.

— Mnie to odpowiada — powiedziała kiedyś wzruszając ramionami. — Ty wykonujesz całą robotę, a ja się tylko bawię!

Carie bardzo dbała o profesjonalny poziom zakładu. Dziewczyny musiały być nieskazitelnie czyste, mieć więcej niż szesnaście lat i przede wszystkim wykonywać pracę z zapałem. To właśnie dzięki temu ich dom schadzek tak szybko zyskał popularność i dobrą reputację.

Po pierwszej utarczce z policją Carrie nauczyła się, że trzeba im tylko zapłacić, żeby trzymali się z daleka. Co prawda, jeśli dodać do tego sumy wypłacane „opiekunom”, wydawało się, że życie było nieustannym pasmem danin. Z drugiej jednak strony, dochody zakładu były spore i wciąż rosły. Carrie wynajęła dodatkowe mieszkanie, do którego przeniosła Stevena i nianię. Im dalej syn był od jej zawodu, tym lepiej dla nich obojga.

Codziennie w południe zabierała go na spacer. Siedział w wózku z roześmianą buzią, gdy Carrie przechadzała się obok wystaw na Piątej Alei. Steven uwielbiał te spacerunki i Carrie nigdy go nie zawiodła. Przecież tylko dla niego postanowiła kiedyś żyć.

Bernard Dimes zaczął spędzać mnóstwo czasu, siedząc beczynnym w samochodzie przed domem na 36 ulicy. Nie wiedział właściwie, dlaczego to robi, czuł po prostu, że jakaś siła wewnętrzna zmusza go do tego. Wkrótce jeździł tam w każdej wolnej chwili: przed poranną próbą, wieczorem, po drodze do domu i jeszcze raz po kolacji. Parkował samochód naprzeciwko i siedział obserwując.

Co się z nim działo? Zastanawiał się, czy nie oszalał. Miał już piąty krzyżyk, a czuł się i zachowywał jak piętnastolatek. Nerwy nie pozwalały mu po prostu wejść i zobaczyć się z Carrie. Jednocześnie nie miał dość silnej woli, by w ogóle nie zbliżać się do tego miejsca.

Bernardzie, mój drogi, stałeś się ostatnio bardzo drażliwy — skarżyła się jedna z jego wymalowanych blondynek. — Czy coś cię martwi?

Tak. Rzeczywiście coś go martwiło. Był zakochany w kobiecie, której prawie nie znał. Był zakochany w egzotycznych oczach i zgrabnym, czarnym ciele. Nie umiał się od tego uwolnić.

Carrie uśmiechała się do Enzia Bonnattiego. Przychodził już po raz drugi, najwyraźniej był bardzo zadowolony po pierwszej wizycie.

Podawała mu szklaneczkę szkockiej, tak jak lubił, z dwiema kostkami lodu i odrobiną wody.

Enzio leżał na łóżku w jej pokoju i mówił o swej żonie, Francesce. Myślał

o niej z czułością. Przedstawiał ją Carrie jako kobietę młodą, piękną, subtelną i inteligentną.

Jeśli rzeczywiście taka była, to co Enzio robił w domu publicznym, zamiast zostać wiernie przy boku żony? Carrie nauczyła się nie zadawać pytań. Wystarczyło, jeśli po prostu kiwała głową i od czasu do czasu powtarzała zachęcające: „Tak, rozumiem”.

Enzio był całkowicie ubrany, ale gdy zaczął opowiadać z najdrobniejszymi szczegółami o miłosnych technikach, jakie znała jego żona, poczuł rosnącą erekcję.

Francesca była doskonałą żoną i równie doskonałą matką. Miała doskonałe ciało i cudowną cipę. Miała też jedną wadę — nie zgadzała się na pieszczotę, której Enzio najbardziej pragnął.

Carrie doskonale wiedziała, w którym momencie rozpiąć spodnie Enzia i wziąć jego członek do ust. To wszystko, czego Bonnatli od niej chciał. Nic więcej i nic mniej. Nie płacił za to, nie musiał. Enzio Bonnatti kontrolował wszystkie domy publiczne w okolicy.

— Jesteś bardzo miła zauważył od niechcienia, gdy Carrie wróciła z łazienki — ale dobra dziwka połknęłaby spermę.

— Następnym razem — odpowiedziała natychmiast.

— A skąd wiesz, czy będzie następny raz?

— Mam nadzieję, że będzie. Roześmiał się.

— Chcę, żebyś zajęła się sprzedażą prochów. Nic wielkiego. Najłatwiej spróbować z czarnymi i studentami.

Carrie nie była w stanie ukryć zaskoczenia.

— Panie Bonnatti, raczej nie chciałabym się tym zajmować...

— Nie? — przyglądał jej się badawczo. — Ale ja chcę. — To „ja chcę” powiedział w bardzo przymilny sposób.

— Raczej... nie — wyjąkała Carrie czując, że sytuacja wymyka się jej spod kontroli.

— Raczej tak. Przyślę ci kogoś z towarem. Uważaj tylko, komu proponujesz. I przechowuj w jakimś bezpiecznym miejscu.

Carrie była wyraźnie zdenerwowana.

— Jeżeli zrobią rewizję, pójdę do więzienia za posiadanie narkotyków.

— Myślałem, że jesteś mądrzejsza. Jeśli nawet zrobią rewizję, ty będziesz wiedziała o tym dużo wcześniej. Będziesz miała dość czasu, żeby się pozbyć towaru.

Carrie kiwnęła tylko głową. Było już za późno, żeby się wycofać.

— Masz fajnego synka — zauważył Enzo, jakby czytał w jej myślach.— Ja też mam chłopców. Musisz go dobrze pilnować. Nowy Jork nie jest bezpiecznym miastem.

Dlaczego musiał zobaczyć Stevena? Wypełniła ją bezsilna złość. Enzo stał w drzwiach sypialni.

— I nie próbuj mnie wykiwać, mała. Podoba mi się, jak prowadzisz interes. Rób tak dalej, to twój dzieciak będzie bezpieczny. I ty też.

Skurwiel! Co za skurwiel! Wpadła w kolejną pułapkę.

— Nie śmiałabym nawet próbować, panie Bonnatti — powiedziała cicho.

— Oczywiście, że byś nie śmiała. Od początku wiedziałem, że jesteś mądra.

To była ona. Pewny krok i długie, czarne włosy nie zostawiały wątpliwości. Pchała przed sobą mały wózek spacerowy. Niewiele brakowało, a Bernard, pochłonięty widokiem, uderzyłby w stojący przed nim samochód. Znalazł miejsce do zaparkowania i podążył za nią pieszo.

Szła dość szybko, co jakiś czas oglądając sklepowe wystawy. Bernard przyspieszał coraz bardziej, aż szedł tylko o krok za nią.

Porozmawiaj z nią — nakazywał mu wewnętrzny głos. Powiedz coś, cokolwiek. Zdesperowany, popukał ją palcem w ramię. Carrie odwróciła się.

— Carrie! — krzyknął. — Wiedziałem, że to ty! Jej uśmiech był wymuszony.

— Panie Dimes...

— Niewiarygodne! Co za spotkanie! Zastanawiał się, czy czasem nie przesadza.

Carrie spoglądała to tu, to tam, jakby szukała drogi ucieczki.

— Co u ciebie słychać? A któż to, ten młody obywatel? Bernard pochylił się nad wózkiem.

Carrie była oszołomiona. Bernard Dimes. I'o tylu latach.

— To mój syn — odpowiedziała szybko. Dlatego właśnie odeszłam wtedy tak nagle. Wysłałam za męża.

Bernard spojrział na jej rękę. Nie miała obrączki.

— Gratuluję.

— Dziękuję panu.

Zapadła niezręczna cisza. Jak mógł jej powiedzieć: pragnę cię. Patrzyła na niego, jakby był ostatnią osobą na świecie, którą chciałaby spotkać.

— Może zjedlibyśmy kiedyś kolację razem — zaproponował w końcu ze ściśniętych gardłem. — Bardzo mi na tym zależy.

Potrząsnęła głową.

To niemożliwe. Powiedziałam panu, jestem mężatką. Ale bardzo dziękuję za zaproszenie.

— W takim razie, może razem z mężem zechcielibyście zobaczyć próbę generalną mojej nowej sztuki. Wyjeżdżamy z miasta na sześć tygodni, ale potem wracamy i będziemy pokazywać ją przez tydzień i...

Prawie go nie słuchała. Ogarnął ją wstyd i zażenowanie. O Boże, gdyby dowiedział się, kim ona jest...

— Przepraszam, ale muszę już iść — przerwała mu.

— Ależ oczywiście. — Patrzył jej głęboko w oczy. — Gdybyś mnie kiedyś potrzebowała... mieszkam wciąż pod tym samym adresem.

— Do widzenia. — Zostawiła go na ulicy, pchając wózek w szalonym tempie.

— Mamusiu! Mamusiu, nie tak szybko! — piskliwie seplenił Steven. Napomniana przez syna, Carrie zwolniła i dopiero teraz zaczęła myśleć

o tym spotkaniu. Bernard Dimes pragnął jej — co do tego nie miała wątpliwości, widziała to w jego oczach. Bernard Dimes nie różnił się pod tym względem od wszystkich innych mężczyzn. Ale była jedna istotna różnica — Bernard Dimes był bardzo bogaty.

— Chcę cukierka, mamusiu! — odezwał się znowu mały Steven. Zatrzymała się przy cukierni i kupiła tabliczkę czekolady.

— Masz, ale to niezdrowe na zęby — ostrzegła.

— Niezdrowe, niezdrowe! — przedrzeźniał ją Steven.

Carrie westchnęła. Bernard Dimes pożądał jej ciała, to wszystko. Nie mógłby jej w niczym pomóc. Bonnatti zdążył już podesłać jej pierwszą porcję narkotyków i teraz to właśnie było jej głównym zmartwieniem. Nie dość, że była dziwką i burdelmama, ale na dodatek jeszcze musiała handlować

prochami.

Popatrzyła na Stevena, który spokojnie zajadał czekoladę, i przejmujący chłód napłynął do jej serca. Musiała coś postanowić. Ale co?

Gino

1948—1949

Gino dotrzymał obietnicy. Kupił Bee pierścionek zaręczynowy z największym diamentem, jaki udało mu się znaleźć, a potem już tylko czekał, aż przyjaciółka zajdzie w ciążę. I czekał bardzo długo.

— Doktor powiedział, że to może potrwać parę miesięcy — wyjaśniła Bee. — Nie zawsze musi tak być, ale to się zdarza. Musimy to robić wtedy, kiedy jest największe prawdopodobieństwo płodności, musimy po prostu próbować.

Kochanie się o przepisanych godzinach, w określone dni pozbawiało seks wszelkiej przyjemności dla Gina. Kiedy Bee wchodziła radośnie do sypialni, obwieszczając, że teraz jest właśnie odpowiedni moment, jemu całkiem się odechciewało.

— Nie jestem małpą, do cholery! obruszał się za każdym razem. — Mogę się kochać tylko wtedy, kiedy mam na to ochotę.

— Doktor mówi... — zaczynała pokornie Bee. Miał wielką chęć stłuc tego jej doktora.

Bee przygotowywała śniadanie w kuchni. Nie wyglądała za dobrze rano, z błyszczącą twarzą i włosami w nieładzie.

Marco siedział przy stole, czytając mocno sfatygowany egzemplarz powieści *Ja, sędzia* Mickey Spillane'a.

Gino wyrwał mu książkę z ręki.

— Nie po to wydaję tyle forsy na twoją edukację, żebyś czytał takie bzdury! Marco zarumienił się.

— Kiedy to naprawdę dobre, Gino.

— Powinieneś czytać Scotta Fitzgeralda, Hemingwaya... porządną literaturę.

— Ile chcesz jajek? — spytała rzeczowo Bee, wczuwając się w rolę żony. Gino spojrzał na nowocześnie urządzonej kuchnię i stwierdził, że nie cierpi

tego mieszkania. Co on tu jeszcze robi?

Bee wróciła, żeby jeszcze raz spytać Gina, ile chce jajek na śniadanie, i wczesne słońce oświetliło na moment jej twarz. Wyglądała na starą i zmęczoną. Boże! Jeśli już teraz tak wygląda...

— Nie chcę żadnych jajek. Nic nie chcę. Mam masę roboty na dzisiaj. Zwyczajnie wyszedł z domu i zniknął z jej życia. Nie widywali się więcej,

choć Gino wciąż płacił jej rachunki i pozwolił zatrzymać zaręczynowy pierścionek. Parę lat później

dowiedział się, że Bee wyszła za bogatego księgowego i wyjechała z nim do Nowego Meksyku. Marco pisywał do Gina listy.

Upłynął już rok, odkąd Gino wyszedł z więzienia. Z Bee zerwał wszystkie kontakty. Interesy nadal szły znakomicie i Gino miał każdą ponętą panienkę, której zapragnął. Skoncentrował się na prawdziwym używaniu przyjemności życia.

Podobało mu się w Las Vegas. Kiedyś zabita dechami dziura na pustyni, zostało odkryte przez Bugsy Siegela, który otworzył tu w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku cieszący się złą sławą hotel „Flamingo”, po czym został zamordowany przez jednego ze swych wielu wrogów w czerwcu następnego roku. Jego szefowie zorientowali się, że oszukuje, przywłaszczając sobie część ich pieniędzy, a za to kara mogła być tylko jedna.

Rok po zabiciu Siegela burmistrz Lansky sfinansował budowę drugiego luksusowego hotelu i kasyda gry pod nazwą „Thunderbird”.

Wkrótce planowano budowę kilku następnych.

Ginowi spodobał się pomysł inwestowania w tym mieście. Miał za sobą syndykat sponsorów, gotowy włożyć spore sumy w rozwój interesów w Las Vegas. Gino miał wrażenie, że Las Vegas czeka wspaniała przyszłość. Przyjezdnych oczekiwało tu nie tylko słońce i gorący piasek, ale także zalegalizowany hazard. Na dodatek Las Vegas położone było zaledwie o parę godzin drogi od Los Angeles, co nie było bez znaczenia.

Młody Jake nieźle sobie poczynił na wybrzeżu. Rozpoczął interesy, tam gdzie przerwał je Bugsy Siegel. Dobrze się prezentował, był

pewny siebie i miał przyjaciół wśród gwiazd.

Hollywood. Sama nazwa przyprawiała ludzi o dreszczyk emocji. Hollywood był dla Młodego wymarzonym miejscem. Miał tu ogromny dom z palmami w ogrodzie i gwiazdką filmową imieniem Pippa Sanchez w łóżku.

Gino przyjechał do Las Vegas w piękny poranek.

Młody oczekiwał go w białej lagondzie coupe i zawiózł prosto do siebie. Jedno skrzydło domu przeznaczone było wyłącznie dla gości i tam też zatrzymał się Gino. Prawdziwy Hollywood: marmurowe posadzki, białe meble, złote krany w łazience.

Gino przyjechał aby omówić sprawę finansowania budowy hotelu, który Jake chciał postawić w Vegas. Jake miał forsy jak lodu, ale jednak nie tyle, aby móc samodzielnie opłacić wielomilionowe koszty budowy. Gino był mu potrzebny, i to bardzo.

— Ten hotel będzie największy i najlepszy! — entuzjasmował się Jake. — Chcę go nazwać „Mirage”. Wszystkie hollywoodzkie gwiazdy zjadą się na otwarciu! To musi być najlepszy hotel na całym pieprzonym świecie!

Ginowi podobał się styl i entuzjazm Młodego. Przez lata stali się przyjaciółmi. Młody odwiedzał nawet Gina w więzieniu w czasie krótkich wizyt w Nowym Jorku. Powtarza! często:

— Wszystko, co mam, zawdzięczam tylko tobie, Gino. Ty dałeś mi zarobić pierwsze sto dolarów, wiesz?

Na przyjazd Gina Pippa Sanchez zaprosiła kilka przyjaciółek, które opalały się teraz nad basenem.

— Możesz wybierać, Gino — zachęcała go. - Blondynki, brunetki, rude... Nie wiedziałam, jakie ci najbardziej odpowiadają.

Gino przyglądał się kolekcji ponętnych ciał, nasmarowanych kremem, wystawiających swoje wdzięki na światło słońca w najrozmaitszych ekscytujących pozach.

— Właściwie to wszystkie mi się podobają. Jake zaśmiał się i oblizał wargi.

— Wiesz, co ci radzę? Spróbuj kalifornijskiej blondynki, nie mają sobie równych. Kiedy się podniecą, płynie z nich olejek do opalania, przysięgam!

— Daleko od brudnych nowojorskich uliczek, co?

— O tak! — potwierdził Młody.

Gino poczuł, że poci się przeraźliwie w ciężkim, trzyczęściowym garniturze.

— Muszę wziąć prysznic i odpocząć trochę — powiedział. Jake przypomniał sobie o roli gospodarza.

— Jasne. Przyślę ci jedną z panienek i drinki. A potem możemy posiedzieć nad basenem. Chyba chcesz się trochę opalić, jak już tu jesteś, nie?

— Przede wszystkim chcę załatwić interesy — odparł krótko Gino. — Załatwiłeś już coś w Vegas? Chcę jak najszybciej zobaczyć miejsce na ten hotel.

— Wszystko już załatwione, Gino. Mały Martino pożyczył mi swój prywatny samolot, możemy polecieć rano. Zostaniemy na noc we

„Flamingo” i wrócimy następnego dnia rano.

— Mały Martino? - to imię zrobiło na Ginie wrażenie. Widział go kilka razy na ekranie. Bee zawsze twierdziła, że jest śmieszniejszy od Chaplina. — Leci z nami?

— Być może. Dobry z niego przyjaciel. Obiecał mi nawet, że będzie na otwarciu sezonu w „Mirage”.

Jake mówił tak, jakby hotel był już gotowy na przyjęcie pierwszych gości, a tymczasem Gino nie widział jeszcze nawet planów.

Pippa Sanchez przeszła kołyszając się przez taras i zbliżyła się do nich. Była niska, miała sprężyste ciało i ciemne, kręcone włosy, pasujące do jej naturalnej opalenizny. Miała na sobie kostium kąpielowy i sandały na obcasie. W rodzinnym Meksyku była prawdziwą gwiazdą. W Hollywood tylko jedną z pomniejszych gwiazdek na kontrakcie. Młody Jake szalał na jej punkcie.

— A więc — jej głos drżał z emocji, gdy wyciągała rękę — to ty jesteś ten słynny Gino Santangelo, o którym tyle słyszałam.

Gino uściśnął jej rękę i powiedział tylko:

— Tak, to ja.

Przyjrzała mu się spod długich rzęs.

— Cieszę się, że cię w końcu poznałam — powiedziała głębokim głosem.

— Ja również.

Gino zastanawiał się, czy i ona należała do grupy, z której miał sobie do woli wybierać. Jeśli tak, to jej właśnie chciał. Jake musiał czytać w jego myślach.

— Pippa jest moją dziewczyną powiedział szybko.— Jesteśmy razem... Jak długo, kochanie?

— Rok czy dwa — odpowiedziała niedbale.

— Któregoś dnia chyba zalegalizujemy ten związek! — Jake roześmiał się.

— No pewnie! I któregoś dnia jakiś prosiak zerznie cię od tyłu!

— Aktorki! — westchnął Jake. — Trzymaj się od nich z daleka, Gino.

— O tak — potwierdziła Pippa swym niskim głosem. -- Potrafimy dogryźć, wiesz!

Gino uśmiechnął się. Lubił kobicły, które potrafiły się odciąć.

Od pogrzebu ojca Costa już szósty raz jechał do domu. Od śmierci Franklina nurtował go nieustannie ten sam dylemat. Co miał zrobić?

Czy lepiej zostać w Nowym Jorku i dalej prowadzić interesy Gina, czy może wrócić na stałe do San Francisco i zaopiekować się matką, Leonorą i rodzinną adwokaturą?

Jennifer nie mogła mu pomóc w podjęciu ostatecznej decyzji.

Musisz, zrobić to, co uważasz za słuszne — powtarzała. — Jeśli wrócisz do l'risco, na zawsze pozostaniesz synem i dłużnikiem swego ojca. Jeżeli zamieszkamy z twoją matką, ona całkiem się od ciebie uzależni. A Leonora, jak wiesz, nie znosi, żeby ktoś wtrącał się w jej życie. Ma trzydzieści osiem lat. Jeśli chce pić na umór i mieć wielu... mężczyzn, co możesz na to poradzić? Tym bardziej

że nawet jej mąż jest bezradny.

Costa musiał przyznać jej rację, ale to nie zwalniało go z poczucia obowiązku wobec rodziny i czuł się zawsze tak samo winny w czasie comiesięcznych wizyt w domu. Był to jeden z powodów, dla których namawiał Gina do zajęcia się interesami w Las Vegas. Mając tam wiele spraw do załatwienia, mógł częściej wyjeżdżać na zachodnie wybrzeże.

Jennifer nie towarzyszyła mu w ostatnim wyjeździe. To mu nawet odpowiadało, ponieważ postanowił spotkać się z Ginem w Los Angeles. Myślał o tym jadąc do matki na wspólny rodzinny obiad.

Leonora mieszkała z mężem Edwardem na ranczu. Ubrana na czarno pokojówka otworzyła drzwi i wprowadziła ich do pokoju wyłożonego dębową boazerią. Leonora usiadła na wysokim barowym stołku. Przybyła ostatnio sporo na wadze, nie była już tak zgrabna jak kiedyś. Nalała sobie martini. Costa zauważył, że nigdy nie wypuszczała szklanki z ręki.

Edward stał za barem, krusząc w zamyśleniu lód. On także przybył na wadze, miał nieprzyjemnie nabrzmiałą, pulchną twarz.

Można było zauważyć, że kiedyś stanowili dobraną i przystojną parę, ale czas ich świetności dawno już minął.

— Ach, Nowojorczyk przyjechał z wizytą — zauważyła uszczypliwie Leonora. — Nie mam pojęcia, jak udaje ci się tak często odrywać od twojego przyjaciela kryminalisty. On ci na to pozwala?

Costa zignorował jej złośliwości. Potrafiła tylko wypowiadać wątpliwe dowcipy na temat Gina. Wydawało się, że daje jej to jakąś perwersyjną przyjemność.

Edward wyszedł zza baru i uścisnęli sobie dłonie.

— Jak interesy? spytał Costa.

— Bankowość zionie nudą, szczerze mówiąc. Chciałbym rzucić to wreszcie w diabły i nie ruszać się z pola golfowego.

— Och — mruknęła Leonora — zdawało mi się, że to właśnie robisz. W tej chwili do pokoju weszła Maria, dwudziestolatka o delikatnej posturze. Coście przypominała Leonorę w tym wieku, tyle że Maria miała zupełnie odmienny od matki temperament. Nieśmiała i pełna rezerwy, była niemal staromodna, ale w sympatyczny sposób.

— Dzień dobry, wujku, babciu. — Pocałowała ich oboje w policzki.

— Boże, nie! — wykrzyknęła Leonora. — Chyba nie przyszłaś znowu na obiad? Czy ty nigdy nie wychodzisz na randki? Kiedy miałam tyle lat co ty, mężczyźni stali w kolejce pod moimi drzwiami!

— Kiedy byłaś w jej wieku, miałas już męża — zauważył cicho Costa.

— I to mi nie przeszkadzało! Leonora pokiwała palcem w stronę córki. — To nie jest normalne, żeby nigdy się z nikim nie umawiać. Co się z tobą dzieje?

Maria zarumieniła się.

— Ze mną nic się nie dzieje, mamó.

— Ty mi nie podskakuj, młoda damo. Leonora podniosła głos. — Słyszałeś, co ona powiedziała, Eddie? No słyszałeś?

— Zamknij się wreszcie warknął Edward. Leonora przedrzeźniała go:

— Zamknij się! Dziewczyna będzie siedziała w swoim pokoju do końca życia, wychodząc tylko po to, żeby mnie obrażać, a ciebie to gównem obchodzi!

— Leonoro, proszę cię...

Maria rzuciła ukradkowe spojrzenie na Costę i na babcię. Była wyraźnie zażenowana zachowaniem rodziców.

Costa wziął głębszy oddech i postanowił zakończyć małżeńską sprzeczkę.

— Jennifer podsunęła mi świetny pomysł — powiedział. — Czy w ramach prezentu na dwudzieste pierwsze urodziny Maria nie mogłaby przyjechać na miesiąc do nas, do Nowego Jorku?

Twarz Marii rozjaśniła się natychmiast.

— Nowy Jork, tak? — szydziła Leonora. — Żeby mogła poznać wszystkich twoich przyjaciół gangsterów. Nic z tego.

— Mamó, proszę cię! — nalegała Maria.

— Na pewno nie będzie żadnych gangsterów — Costa tłumaczył cierpliwie. — Jennifer ma wielu wspaniałych przyjaciół. Zna wiele szanowanych rodzin z odpowiednimi kawalerami.

Leonora wyduła wargi.

— Sama nie byłam nigdy w Nowym Jorku.

— Przecież nigdy nie chciałaś — zareagował natychmiast Edward.

— Może gdybyśmy pojechali razem...

— Nie mogę wziąć miesięcznego urlopu. Ojciec dostałby zawału.

— Pomyślmy o tym — niechętnie zdecydowała Leonora. Costa zrobił oko do Marii i szepnął, tak że tylko ona usłyszała:

— Poradzimy sobie!

Maria posłała mu wdzięczny uśmiech.

— Będzie w końcu ten obiad czy nie? zniecierpliwiła się Leonora. — Przysięgam, że któregoś dnia wywalę na pysk tę tępą dziewczkę.

Łazi po domu jak ślimak i udaje służącą.

Costa westchnął. Kolejny przemiły wieczór u Leonory.

Pustynne słońce oblewało ziemię żarem, gdy (iino i Jake wybrali się oglądać miejsce przeznaczone na siedzibę przyszłego hotelu

„Mirage”.

_ Kiedy tylko wpłyną pieniądze, możemy zaczynać budowę. Architekt

ma gotowe plany. Robotnicy są już zwerbowani. Potrzebuję tylko twojej zgody. To żadne ryzyko, (iino! To jak budowa banku!

Gino już się właściwie zdecydował, ale trzymanie Młodego w niepewności sprawiało mu przyjemność.

— Masz przy sobie plany?

— Oczywiście. Są w walizce w samochodzie.

Ujął Gina pod ramię i razem szli przez pusty, jałowy piach.

— Gdzieś tu będzie basen olimpijskich wymiarów albo ze dwa, żeby i dzieciaki miały się gdzie pluskać. Mamusie z dziećkami będą się grać na słońcu, a ojcowie rodzin przepuszczać fortuny w kasynie.

— Tak, to mi się podoba.

Jeden z pracowników Jake'a przybiegł z samochodu z walizką. Jake otworzył ją uroczyście i wydobył plik planów. Rozłożył je na ziemi i zaczął przerzucać kartki.

— Zostaw to mruknął Gino — później je obejrzę. Jake, wciąż na kolanach, zdziwił się:

— Myślałem, że chcesz je zobaczyć... — Przerwał jednak i wstał, zostawiając plany pod opieką podwładnego, który metodycznie ułożył

je z powrotem w walizce.

Gino oddalił się tymczasem. Jake pobiegł za nim zaniepokojony.

— A tutaj mamy kilka kortów tenisowych.

— Korty? To chyba nie jest najlepszy pomysł.

— Dlaczego nie? ,

— Jak będą mieli za dużo rozrywek, nie będą tak często zaglądać do kasyna. Kasyno i plaża, nic więcej.

— Masz rację. Oczywiście, nic więcej.

— Poza wieczornymi przedstawieniami. To musi być ktoś znany, jakaś duża gwiazda. To ich tu przyciągnie na początek.

— I piękne dziewczyny.

— prostytutki?

— Nie. Kelnerki do podawania drinków przy stołach gry. Tancerki. Oczywiście, trochę dziwek też. Ale tylko same najlepsze, z klasą.

— Zgadza się. Osobiście wybierane.

— No chyba. Sam się tym zajmę.

— Jeezu, jak gorąco.

— Chcesz wracać do samochodu?

— Chyba tak. Zobaczyłem już wszystko, co chciałem.

Jake pocił się nieustannie, mniej z powodu upału niż z wrażenia, jakie wywierała na nim nonszalancja Gina. Kiedy siedzieli w samochodzie, odważył się w końcu zapytać wprost:

— No więc jak? Ubijamy interes? Gino uśmiechnął się tajemniczo.

— Ta blondynka, którą mi wczoraj podesłałeś, była niezła, ale miałem już lepsze.

— Znajdę ci kogoś lepszego na dzisiaj. Pippa ma jeszcze inne przyjaciółki, których nie widziałeś.

— Pippa.

— Co?

— Twoja wyłączna własność? Uśmiech zniknął z twarzy Jake'a.

— Właściwie tak. Byliśmy razem trochę długo... Zamyślił się i pot wystąpił mu oblicie na czoło.

— Ale oczywiście, skoro jej chcesz... to bierz ją. Gino uśmiechnął się szeroko.

— Powiedzmy, że... pożyczam ją od ciebie na dzisiejszą noc. Zgoda?

— Zgoda — Jake odpowiedział z niepewnym uśmiechem.

— W końcu, kiedy ty zwiąłeś z moimi sześćdziesięcioma tysiącami, to też była pożyczka, nie?

Jake pokiwał głową. Pippa Sanchez była jedyną kobietą w jego życiu, do której naprawdę coś czuł. Wszystkie inne nie miały znaczenia.

— A więc pożyczam od ciebie Pippę. Na jedną noc. To załatwia między nami sprawę, OK? Wyrównamy rachunek.

— Jasne, Gino — odparł Jake ze ściśniętym gardłem. Gino, skurwiel, trzymał go za jaja i obaj zdawali sobie z tego sprawę. — Jest twoja.

Carrie

1943

Carrie chodziła niespokojnie po mieszkaniu, czując od dawna zapomniane pragnienie. W szafie, głęboko schowane, leżały narkotyki.

Już ta myśl przeszywała jej ciało zimnym dreszczem.

Zastanawiała się, czy Bonnatti mógł wiedzieć o jej dawnym uzależnieniu. Jeśli mógł, to dlaczego przysłał jej prochy do rozprowadzania? Czyżby był aż tak okrutny — a może aż tak głupi?

Nie, oczywiście, że nie mógł o tym wiedzieć. Jej przeszłość była jej wyłączną tajemnicą. Ale czy na pewno?

Był dopiero wczesny wieczór i jak dotąd dziewczęta miały niewiele pracy. Zza ściany płynęły dźwięki muzyki i głos Franka Sinatry.

Odkąd wybrały się razem na koncert przystojnego Sinatry w Paramount, wszystkie szalały na jego punkcie. Goście wchodzili do ich domu i opuszczali go, a w tle nieustannie śpiewał z płyt Frank Sinatra.

Carrie właściwie wolała muzykę bardziej zbliżoną do bluesa, na przykład Bessie Smith czy Billie Holiday. Zastanawiała się często, czy była to ta sama Billie, z którą wspólnie pracowały u Florence Williams, i kiedy pewnego dnia zobaczyła w gazecie zdjęcie Billie Holiday, zrozumiała z dreszczem emocji, że to naprawdę ta sama dziewczyna. Zatrzymała tę tajemnicę dla siebie. Zresztą, kto by jej uwierzył, gdyby zaczęła się przechwalać wszem i wobec: znam osobiście Billie Holiday, pracowałyśmy razem w burdelu!

Suzita zapukała do drzwi.

— Jakiś dziwny typ pyta o ciebie. Nie wpuściłam go. Mówi, że jest twoim przyjacielem. Wygląda mi na alfonsa.

— Już ja go spławię — odpowiedziała pewna siebie Carrie i wychodząc wygładziła fałdy na żółtej, obcisłej sukience.

Przez judasza w drzwiach przyjrzała się najpierw „alfonsowi”, jak określiła go Suzita. Był to wysoki, chudy Murzyn w idiotycznie wyglądającym garniturze w prążki i ogromnym kapeluszu. Nie miawały wielu klientów wśród Murzynów, choć przychodziło trochę czarnych muzyków. Zdawali sobie sprawę, że nie są specjalnie mile widziani. Ich obecność przeszkadzała białym gościom.

Carrie ostrożnie uchyliła drzwi, nie zdejmując zabezpieczającego łańcuszka.

— O co chodzi, kochanie? — spytała przeciągle. Wdźwięk z reguły odstraszał takich skuteczniej niż krzyk i groźby. Jeśli ten czarny kocur chciał się zabawić, może go odesłać do Madam Zoe na 94 ulicy, gdzie dziewczęta powitają go z rozchylonymi nogami.

— Chcę się zobaczyć z Carrie — odezwał się tamten piskliwym głosem.

— Ja jestem Carrie, kochanie, i jestem zajęta przez wszystkie najbliższe tygodnie i miesiące. Ale słuchaj, znam miejsce, do którego mógłbyś pójść. Mają tam najśladziej...

Nieznajomy gapił się na nią przez słabo oświetloną szparę w drzwiach wejściowych.

— Jasny gwint! To ty jeźdesz Carrie?! Ty?! — Obcy nie ukrywał ogromnego zaskoczenia.

— Jasne, że ja. A teraz zabieraj się stąd, bo...

— Jezdem Leroy — skrzeczał tamten. — Nie pamiętasz mnie, dziewczyno? Jezdem twój wujek.

Carrie myślała przez chwilę, że zemdleje na miejscu. Leroy. To niemożliwe, to nie może być on. Leroy. Przecież on z pewnością od dawna nie żyje. To imię wzniewało dalekie wspomnienia, do których Carrie nie chciała już nigdy wracać. Leroy. Sukinsyn. Idiota.

— Nie wiem, o czym pan mówi odpowiedziała z dobrze udawanym spokojem, choć była pewna, że obcy musi słyszeć bicie jej serca.

— Jezdem Leroy! Twój wujo!

— Chyba coś się panu pomyliło. Lepiej niech pan już idzie, zanim zawołam policjanta.

— Nigdzie nie pójde. Możesz sobie wołać policję. Ja tu zostaję. Myśli szybko biegły jej przez głowę. Czy to naprawdę mógł być on? A jeśli

tak, to w jaki sposób mógł wiedzieć, czy to na pewno ona? Ostatni raz widział ją szesnaście albo i siedemnaście lat temu. Była wtedy dzieckiem, po prostu małą dziewczynką.

— Niech się pan stąd wynosi, i to zaraz.

— Dlaczego? Chcę dziewczynki. Mam pieniądze, o. Mogę zapłacić.

— Dam panu adres, gdzie chętnie pana przyjmą. Wszystkie moje dziewczęta są w tej chwili zajęte.

— Mogę poczekać.

— Nie może pan.

— Poczekam.

Uparty osioł. Tak, to na pewno był Leroy. Nigdy nie zapomni tego piskliwego głosu samoluba.

Suzita stanęła w drzwiach obok Carrie.

— Czy mam wezwać ochronę? szepnęła.

— Tak. — Leroy nie mógł jej w żaden sposób zaszokować, myślała. Zatrzasnęła mu przed nosem drzwi i razem z Suzitą poszły wezwać kogoś z ludzi Bonnattiego.

— On cię zna? — spytała z ciekawością Suzita.

— Chyba tak.

— A ty go znasz?

— W życiu go nie widziałam.

— Naprawdę wygląda na jakiegoś walniętego alfonsa — zachichotała Suzita.

— Tak — Carrie przyznała jej rację. Przypuszczalnie wciąż tym właśnie był, walniętym alfonsiem. Jej wujem. Jedynym jej krewnym, jaki jeszcze żył. Śmieszne. Weszła do pokoju i nałapała sobie drinka.

Suzita pobiegła z powrotem do drzwi frontowych i przez judasza podglądała mężczyznę w kapeluszu, aż pojawiło się dwóch goryli Bonnattiego i zrobili z Leroyem porządek.

— Już tu nie wróci — cieszyła się Suzita. — Nieźle mu dołożyli.

Z upływem tygodni Carrie zapomniała o wizycie Leroya. Miała zbyt wiele zajęć, żeby martwić się tym długo. Zresztą pobicie powinno było go wystraszyć na dobre, zawsze był potwornym tchórzem. Miała cichą nadzieję, że goryle od Bonnattiego załatwili sprawę ostatecznie i wrzucili zwłoki Leroya do East River. Mężczyzna, który zmusił trzynastoletnią dziewczynkę do uprawiania nierządu, nie zasługiwał na to, by żyć. Jeżeli Leroy jeszcze kiedyś wróci, sama go zabije.

Podniecała ją ta myśl. Kupiła od jednego z klientów mały rewolwer i zawsze trzymała go pod ręką. Broń dawała jej poczucie siły.

Kiedykolwiek jakiś mężczyzna korzystał z jej ciała, ona kontrolowała sytuację. Jakiś biały bogaty goguś, wyzywający na niej swoją chuć, mógł sobie być najważniejszym facetem w całych Stanach, ale kiedy ją rznął, był o krok od swojej śmierci. Trzymała rewolwer pod łóżkiem, zawsze naładowany i nikt o tym nie wiedział. Absolutnie nikt. I nawet kiedy zabawiała Enzia Bonnattiego — jednego z najpotężniejszych szefów nowojorskiego podziemia — miała rewolwer na wyciągnięcie ręki.

Ale gdyby Enzo się dowiedział! Enzo Bonnatli, który nie ruszał się nigdzie bez swoich trzech goryli. Który kazał próbować wszystkich potraw, zanim sam wziął cokolwiek do ust. Enzo Bonnatli. Świnia. Wszyscy oni byli świniami. Zawsze tacy sami. Nie mogli się doczekać, żeby wyładować się w swoich małych, ohydnych perwersjach.

To mężczyźni byli dziwkami. A przynajmniej dawali kobietom powód do wykonywania tego zawodu.

Czarna suka! Oczywiście, że to była ona, z pewnym siebie krokiem i ogromnymi cyckami. Nie była już dzieckiem, ale Leroy rozpoznał

ją — nie był jakimś tam przygłupem.

Z początku nie był całkiem pewien. Nie mógł się jej dobrze przyjrzeć przez wąski otwór w lekko uchylonych drzwiach. Suka! Nie otworzyła mu nawet, nie wpuściła do burdelu. *Co z tobą, Carrie? Czarny kutas już ci nie odpowiada?* Leroy pamiętał jeszcze dni, kiedy czarny kutas był wszystkim, co miała — i to w nadmiarze.

Każdy o tym wiedział. Murzyński kutas jest większy od białego. Lepiej pachnie i dłużej stoi.

Leroy szedł za Carrie, utrzymując odpowiedni dystans, by go nie zauważyła. Wyglądała teraz świetnie, to prawda. Nogi do samej szyi i włosy sięgające za tyłek. Cholera! To, że ją znalazł, było jego największym szczęściem w tym roku!

Wypluł przeżutą gumę i włożył do ust nowy kawałek. Jak dobrze, że zajrzał parę tygodni temu do tego jazzowego klubu i popalił trochę trawki z muzykami. Dobrze, bo rozmowa zesłała na panienki, i gdy Leroy usiłował wcisnąć któremuś swój nowy nabytek —

szesnastoletnią Szwedkę, chętną do roboty, jego kompani opowiedzieli mu o burdelu na 36 ulicy. Podobno panienki były tam wymarzone. Za swoją cenę godziły się na wszystko, czego klient zapragnął, a pod względem urody nie miały sobie równych w całym mieście.

To imię utkwilo mu w głowie. Carrie. Czy to możliwe? W końcu nie było to takie zwykłe imię. Dowiedział się, że właścicielka tego burdelu była Murzynką. Carrie. Jeśli to prawda, to miał szczęście.

W końcu postanowił to sprawdzić. To była ona! Otwarła się przed nim droga do sukcesu.

Pogwizdując szedł ulicą kołyszącym się krokiem, żując niedbale gumę. Nie układało mu się ostatnio. Dobre lata w Kalifornii należały do przeszłości. W San Quentin było ciężko. Musiał użyć swojego tyłka innym więźniom. Kiedy go wypuszczono na wolność, umknął ze stanu, zanim zdążyli powołać go do wojska, wrócił do starego dobrego Nowego Jorku i spędzał tu czas w klubach i barach. Szwedkę znalazł, kiedy pracowała jako kelnerka w taniej knajpcie przy Times Square. Teraz sprzedawała dla niego dupę — i zarabiała akurat tyle, że oboje mogli się utrzymać i wynajmować dość obskurne mieszkanie w Harlemie. Nie był to styl życia, jaki Leroy sobie wymarzył. W Kalifornii jeździł cadillakiem i miał dziesięć dziewczyn pracujących dla niego. Miał trzydzieści sześć lat.

Najwyższy czas pomyśleć poważnie o przyszłości. Wyobrażał sobie, że mała siostrzenica Carrie była właśnie jego przyszłością. W

końcu to on nauczył ją wszystkiego. Czyż nie była jego dłużniczką? Leroy uważał, że była.

Zatrzymał się za plecami jakiejś grubej kobiety, gdy Carrie oglądała wystawę sklepową. Suka jedna! To na pewno ona kazała tym ludziom go pobić. Zapłaci za to. Nie lubił, żeby biali dobierali mu się do skóry. Można zrobić krzywdę mężczyźnie.

Kiedy zbliży się do niej następnym razem, wszystko będzie wyglądać inaczej. Następnym razem

Carrie będzie się czołgać u jego stóp, będzie całować go po nogach, będzie lizać jego kutasa, jeśli on tego zechce.

Plan miał gotowy. Musiało się udać.

Carrie ruszyła spod sklepu, pchając przed sobą lekki, niebieski wózek. Leroy szedł teraz tuż za nimi, pogwizdując cicho.

Gino

1949

Po błękitnym niebie Los Angeles Nowy Jork w lipcu był zbyt upalny, wilgotny i przygnębiający. Pierwszy raz w życiu Gino pomyślał o tym, żeby kupić sobie dom, najlepiej jakąś miłą willę poza miastem z ogrodem i basenem, miejsce, gdzie mógłby spędzać weekendy.

Może na Long Island?

Rozumiał, dlaczego Młody tak lubił Los Angeles. Żył tam jak król, u szczytu sukcesu, otoczony bezlikami pięknych kobiet. Traktowano go z respektem i pewną dozą strachu jak kiedyś Bugsy Siegela. Jego wątpliwa reputacja wzbudzała jednak podziw. Jeśli podziwiano cię w Hollywood, to znaczy, że byłeś przyjęty do towarzystwa.

Pippa Sanchez wyznała Ginowi, że Młody Jake potrafił być brutalny dla kobiet. Wzruszyła tylko ramionami, gdy Gino spytał, czy jej to nie przeszkadza.

— Dlaczego miałyby to mi przeszkadzać? Będąc dziewczyną Jake'a, jestem znana w całym Hollywood. To o niebo lepsze niż związać się z pierwszym lepszym aktorem. A poza tym, on nie jest taki naprawdę. Zachowuje się tak, bo daje mu to poczucie siły.

— Poczucie siły, co? — Gino postanowił nie spuszczać Młodego z oka. W końcu miał wладować kupę forsy w hotel „Mirage” i chciał

wiedzieć, co dzieje się z jego pieniędzmi. Pippa nadawała się idealnie.

Zaproponował jej współpracę. Czy za pewne wynagrodzenie zechciałaby okazać mu lojalność?

Zechciałaby. Nadal będzie mieszkać z Jake'em i raz w tygodniu będzie dzwonić do Gina i o wszystkim go informować.

Suma, którą wymieniła, nie była mała, ale Gino nic spodziewał się innej.

Spędzili razem długą, upojną noc. A jednak jej gorący, kalifornijski erotyzm nie podniecił Gina aż tak, jak to sobie wyobrażał. Następnej nocy wróciła do łóżka Młodego, a Gino zabawiał się do woli z różnymi blond pięknościami, zanim wraz z Costą wrócili do Nowego Jorku.

Teraz wiedział już, czego chce. Koniec z długimi romansami. Nie było kobiety, z którą chciałby spędzić chociaż tydzień, nie mówiąc już o miesiącu czy dwóch.

Myśl o kupnie domu podniecała go. Wyobrażał sobie posiadłość w stylu Gatsby'ego, gdzie mógłby wydawać przyjęcia dla swych gości.

Brakowało mu klubu „Clemmie”, tęsknił do roli gospodarza. Lubił, kiedy ważni ludzie odwiedzali go, jedli i pili to, co on im podał. Tak, mógłby wydawać wielkie przyjęcia, podobne do tych, które organizowała Clementine Duke. Odkąd wyszedł z więzienia uniewinniony i nieustannie piął się w górę, przyjaciele z wyższych sfer sami się znajdowali. Wracali do niego wszyscy i przybywali nowi.

Gino zastanawiał się czasem, czy był wśród tych ludzi chociaż jeden prawdziwy przyjaciel, i dochodził do wniosku, że nie było. Pieniądze pozwalały na wiele przyjemności, ale prawdziwej przyjaźni nie można sobie kupić. Naczelną zasadą było więc: nie ufaj nikomu. W ten sposób przynajmniej unikniesz rozczarowań.

Dla Gina był to jedyny sposób na normalne życie.

Jennifer i Costa Zennecotti wynajęli na lato dom w Montauk. Nic specjalnego właściwie, po prostu wygodny i przestronny dom, położony niedaleko plaży, z huśtawką w ogrodzie i dwoma psami do pilnowania. Szczególnie Jennifer polubiła to miejsce. Mogła wreszcie zrzucić z siebie ciasne nowojorskie ubranie i chodzić boso po trawie w ogrodzie.

Costa spędzał tam tylko weekendy. Doskonale wtedy odpoczywał. Jak tylko podjeżdżał samochodem pod dom w każdy piątkowy wieczór, czuł, jak opada z niego napięcie i zmęczenie, gromadzące się przez cały tydzień. A praca z Ginem stanowiła bardzo duże obciążenie. Gino był niesłychanie energiczny, a do tego posiadał wyjątkowo sprawny, krytyczny umysł. Ot, choćby inwestycja w Las Vegas. Gino nie potrzebował żadnych dokumentów, wszystko miał w głowie. Dokumenty oczywiście były, całkiem legalne, podpisane przez Gina i Młodego. Hotel miał kosztować ich obu fortunę. Ale jeśli wierzyć księgom hoteli „Flamingo” i „Thunderbird”, otwarcie

„Mirage” rzeczywiście można było porównać do otwarcia banku.

W trzecim tygodniu sierpnia przyjechała Maria, podniecona nie znanym sobie otoczeniem, pełna pytań i najwyraźniej zadowolona, że udało jej się wyrwać z domu rodziców.

— Jak się czuje Leonora? - spytała Jennifer. — Dawno jej nie widziałam.

— U mamy wszystko w porządku — odpowiedziała Maria i w tej samej chwili przypomniała sobie kłótnię rodziców, którą podsłuchiwała, na temat jej wyjazdu.

— Zamierzam wydać wielkie przyjęcie w dzień twoich urodzin — obiecała Jennifer. — Będzie wspaniale, zobaczysz. Jest tu tyle twoich rówieśników i chcę, żebyś ich wszystkich poznała.

Maria pokiwała głową i chciała zapomnieć o swoich zbliżających się urodzinach. Nie lubiła, kiedy jej przypominano, że wkrótce skończy dwadzieścia jeden lat. W tym wieku należało już podejmować życiowe decyzje, a ona nie miała jeszcze pojęcia, co chciałaby robić.

Przez cały lipiec i sierpień Gino w każdy weekend wybierał się oglądać domy na sprzedaż. Większe, mniejsze, rezydencje na wyspie z dala od ludzi, wille położone na wsi, w otoczeniu przyrody. I od zielonych pastwisk Connecticut do dzikich wybrzeży Long Island nie znalazł nic, co by mu odpowiadało.

Miał już dosyć tych poszukiwań. A pośrednicy nieruchomości zaczęli mieć dosyć jego.

W ostatnią niedzielę sierpnia postanowił wybrać się sam, bez kierowcy i ochrony osobistej. Pojechał obejrzeć dużą posiadłość w Fast Hampton. Pośredniczka handlu nieruchomościami z dumą pokazywała mu dom.

— Jestem przekonana, panie Santangelo, że to jest właśnie dom, jakiego pan szuka.

Przyglądał się wszystkiemu dokładnie. Bardzo możliwe, że miała rację. Był to stary dom, wymagający gruntownego remontu, ale jego potencjalna świetność rzucała się w oczy, a Gino miał dość pieniędzy, żeby zapłacić za renowację.

— Tak, rzeczywiście mi się podoba — powiedział.

— Jest wyjątkowy — powtarzała pośredniczka. — Jest tylko jeden taki na sprzedaż, ponieważ pani, która tu mieszkała, umarła niedawno i rodzina postanowiła pozbyć się tego domu.

— Jest trochę zaniedbany.

— To prawda. Ale cena to uwzględnia, oczywiście. A wyremontowany będzie przedstawiał się imponująco.

Gino nie mógł się zdecydować. Obejrzał już tyle różnych miejsc, że od nadmiaru mąciło mu się w głowie. W zamyśleniu kopał rupiecie walające się na podłodze.

— Sporo będzie kosztować doprowadzenie tego do porządku.

— Jestem pewna, że dom jest tego wart.

Kobieta spojrzała na zegarek. Była już dziesięć minut spóźniona na kolejne spotkanie.

— No cóż, panie Santangelo, decyduje się pan?

Jeszcze nie wiem. Jeżeli postanowię go kupić, dam pani znać w poniedziałek.

— Inni klienci także już oglądali ten dom.

— Zadzwonię w poniedziałek.

— Oczywiście. — Znów spojrzała niecierpliwie na zegarek. Muszę iść, panie Santangelo. Czy zobaczył pan już wszystko?

— Tak. Jest pani wolna. Przejdę się jeszcze po ogrodzie.

Kiedy warkot jej samochodu ucichł w oddali, Gino zauważył, jak ciche było to miejsce. Oprócz śpiewu ptaków, nic nie zakłócało wszechwładnej ciszy. Ale na co właściwie był mu ten spokój? Może właśnie to miejsce było dla niego zbyt spokojne?

Przechadzał się po ogrodzie, patrząc na zarastającą wszystko wysoką trawę i róże rosnące dziko byle gdzie. Próbował wyobrazić sobie, jak to miejsce będzie wyglądać doprowadzone do porządku. Duży marmurowy taras, może kort tenisowy i koniecznie duży basen w hollywoodzkim stylu, pełen chłodnej, błękitnej wody. Tak, (o mogła być rezydencja godna podziwu. Przyszło mu do głowy, że

powinien się kogoś poradzić. Przypomnieli mu się Costa i Jennifer. Jennifer odznaczała się dobrym smakiem. Dość, by rzuciła okiem, i już będzie umiała wyobrazić sobie ukończone dzieło. Do Montauk nie było znów tak daleko. Pojedzie po nich i przywiezie ich tu, niech zobaczą.

Maria zanurkowała w basenie, przepłynęła kilkakrotnie całą jego długość, wyszła po drabinie i opadła na rozkładany fotel. Czuła się cudownie. Sześć dni spędzonych u Costy i Jennifer przeszło jej najsmielsze oczekiwania. Żadnych kłótni, żadnego pijaństwa. Spokój, harmonia i dwoje wspaniałych, kochających się ludzi.

Potrząsnęła grzywą platynowych włosów i zamknęła oczy. Costa i Jennifer pojechali tego dnia z wizytą do znajomych. Chcieli zabrać ją ze sobą, ale wykręciła się bólem głowy, który oczywiście zmyśliła. Po prostu miała ochotę spędzić dzień w samotności. Nagle usłyszała szczekanie psa. Wyciągnęła rękę i zawołała:

— Spokój! Chodź tu, mały.

Pies przybiegł natychmiast, radośnie merdając ogonem.

Gino zatrzymał mercedesa przed domem w Montauk. Słyszał szczekanie psa, ale na podjeździe nie było innych samochodów.

Wysiadł i nacisnął kilkakrotnie dzwonek, ale nikt nie otwierał. Okrążył kilkakrotnie niewielki domek, przysłaniając ręką oczy i zaglądając przez okna do środka. W końcu, gdy zaszedł dom od tyłu, wyskoczył mu na powitanie kudłaty spaniel.

I nagle Gino zauważył ją, opalającą się nad brzegiem basenu. Leonora. Jego Leonora. Serce zabiło mu mocniej, zaschło mu w gardle i pot wystąpił na czoło.

Stał jak wryty i patrzył jak dzieciak, jak jakiś wiejski przyglup. Ostry ból przeszył mu trzewia, gdy cicho, najciszej, jak umiał, powiedział: Leonora.

— Mmmnn? - Odsłoniła oczy i usiadła. To nie była Leonora.

To była inna dziewczyna, podobna do Leonory jak dwie krople wody.

Gino zrozumiał. To musiała być jej córka Maria. Przypomniał sobie teraz, że Costa wspominał o swym zamiarze zaproszenia jej do siebie.

Zrobiło mu się potwornie głupio. Jak w ogóle mógł przypuszczać, że...

— Pan jest Gino Santangelo, prawda? powiedziała dziewczyna wstając z fotela i w pośpiechu okrywając swój kostium kąpielowy grubym ręcznikiem. Gino wziął głęboki oddech.

— Tak. A ty skąd wiesz?

— Widziałam pana zdjęcie w gazecie, no i... spotkaliśmy się już kiedyś, na ślubie Jennifer i Costy. Zaśmiała się z samej siebie. — Byłam bardzo mała, pan na pewno nie może mnie pamiętać. Jestem

Maria. Córka Leonory.

— Ach tak. Urosłaś od tamtej pory, nie ma co. — Czuł się bardzo zakłopotany i sam nie wiedział dlaczego.

Dziewczyna owinęła się dokładnie ręcznikiem i powiedziała:

— Ich nie ma w domu.

Kogo? — spytał bez sensu Gino. — Jennifer i Costy.

— Ach, oczywiście. Przyglądał się jej w napięciu. Podobieństwo do Leonory było wyjątkowe. A jednak... była jakaś różnica. Coś w jej wyglądzie sprawiało, że była więcej niż tylko lustrzanym odbiciem matki.

Jakby czytając jego myśli, Maria zapytała: Myślał pan, że ja to moja mama, prawda?

— Ależ skąd! — *Ależ tak!*

Uśmiechnęła się słodko i odgarnęła z czoła wilgotny lok.

— To nic. Jestem do tego przyzwyczajona. Ludzie bardzo często biorą mnie za mamę. To znaczy ci, którzy znali ją jakiś czas temu.

Teraz mama wygląda... inaczej.

Gino dotknął blizny na policzku.

— Nie chciałabyś pojechać ze mną obejrzeć dom?

— Jaki dom?

- Dom, który może będę chciał kupić. — Nie miał pojęcia, dlaczego to robi. - Ubieraj się. Potrzebuję opinii drugiej osoby.

— To daleko?

— A co za różnica? I tak leżysz tu beczynn timer. Kiwnęła głową, dziwnie podniecona tym spotkaniem.

— Pospiesz się.

— Już idę.

Pobiegła do domu, do swojej sypialni na górze i założyła lekką bawełnianą sukienkę. Uczesowała mokre włosy i z dreszczykiem emocji zastanawiała się, dokąd właściwie mają jechać.

Ten wielki, zły Gino Santangelo. Morderca. Gangster. Oszust. Zapadł jej w pamięć od czasu tego wspólnego tańca na weselu i od tamtej pory, przez tyle lat, wyszukiwała w gazetach informacji o nim.

Cieszył się raczej złą sławą. Matka nazywała go „hołotą” i miała zawsze pretensje do Costy, że zgodził się zostać jego prawnikiem.

— Idziesz? — krzyknął Gino z dołu.

— Tak, tak. — Zamknęła drzwi sypialni i zbiegła po schodach w klapiących sandałach.

— Ogołociłem właśnie kuchnię. Mam nadzieję, że Jennifer się nie obrazi. Zabrał kilka butelek coca-coli, bochenek chleba i paczkę szynki w plasterkach.

— Zjemy lunch na miejscu.

— Lepiej zostawię im kartkę - postanowiła Maria — bo mogą wrócić wcześniej.

— Dobry pomysł.

Patrzył, jak dziewczyna pisała krótki list, a długie, platynowe włosy opadały na jej prześliczną twarz. Wydawała się tak niezwykle czysta, niewinna i piękna. Tak samo jak Leonora, tyle lat temu. Tak samo jak Leonora...

Carrie

Rozczochrana, nie domyta nastolatka z oczami okrągłymi jak spodki i ustami wykrzywionymi strachem wpatrywała się w Leroya, wyraźnie przerażona.

— Oszalałeś czy co? Nie mogę opiekować się czyimś bachorem! Leroy, stojący nad nią w rozkroku, zamachnął się szeroko i z głośnym plaśnięciem uderzył dziewczynę w twarz.

— Zrobisz to, co ja ci każę, rozumiesz?! Skrzywiła się, ale opanowała krzyk.

— Bandyta!

— Co powiedziałaś?

— Powiedziałam, że oczywiście zrobię, jak chcesz, Leroy. Ale jak mam pracować z dzieciakiem w pokoju?

Leroy podrapał się po brzuchu.

— Nic nie kapujesz. Przetrzymamy tu dzieciaka dzień czy dwa, ta kurwa zaraz zapłaci, żeby go odzyskać, nie? Bierzemy forszę i wynosimy się stąd w jakieś miłe miejsce.

Na Florydę? słaby uśmiech rozjaśnił końską twarz dziewczyny. — Zawsze chciałam tam pojechać.
— Jasne, że tak.

Akurat! Miał gdzieś Florydę. W żadnym razie nie miał zamiaru jechać nigdzie na południe. Ale nie obchodziły go w końcu zachcianki tej szwedzkiej

dziwki. Wywali ją na zbity pysk, jak tylko dostanie forszę. Nie była mu więcej potrzebna, za bardzo lubiła swoją pracę. Klienci godzinami nie wyłazili z jej łóżka. Nie to co Carrie. Ona załatwiała sprawę w pięć minut i do widzenia. A wszyscy wychodzili zadowoleni. Nie powinien był jej wtedy sprzedać, żyłby dziś jak król. Ale sprzedał ją, a ona pozostawała jego dłużniczką. Teraz Leroy zamierzał odebrać to, co mu się od dawna należało. Pieniądze, kupa pieniędzy.

— Wracam za parę godzin — powiedział — przygotuj wszystko do tego czasu, żebyś nie potrzebowała wychodzić z domu przez co najmniej tydzień.

— Zdawało mi się, że powiedziałaś dwa dni. Leroy westchnął.

— Jeżeli coś pójdzie nie tak, wszystko może potrwać dzień czy dwa dłużej, musimy się z tym liczyć. No już, jazda.

— Nie wiem...

Nie słuchał jej. Uderzył ją znowu i rozkazał:

— No, rusz się, do cholery! Tym razem usłuchała.

Leroy uśmiechnął się z zadowoleniem. Już on wiedział, jak je krótko trzymać.

Niania Stevena była niezdarną, grubą Murzyką. Włosy miała zawsze w nieładzie, aparat na zębach i małe okulary na nosie. Właśnie z powodu tego wyglądu Carrie zatrudniła ją do opieki, nad dzieckiem. Chciała, żeby wychowaniem Stevena zajmowała się jedna osoba, a bardziej atrakcyjna dziewczyna mogła w każdej chwili ..yjsć za mąż i zniknąć.

Leroy poznał ją kilka tygodni wcześniej, kiedy poszła na rynek kupić warzywa. Przywołał cały swój urok osobisty, którego od dawna już nie miał okazji wypróbować, i w mgnieniu oka oczarował młodą nianię. Była uszczęśliwiona jego komplementami, uśmiechnięta, pełna życia. Zaczęła nawet stosować dietę i kupować nowe ubrania.

W niedzielne wieczory, kiedy dziewczyna miała wychodne, Leroy zabierał ją do kina albo na dansing. W czasie tych spotkań dowiedział

się o Carrie i Stevenie więcej, niż potrzebował wiedzieć.

Porwanie Stevena będzie wprost dziecinnie łatwe.

Carrie spała niespokojnie, aż w końcu obudziła się. Spojrzała na stojący przy łóżku budzik i zdziwiła się, że jest dopiero dziesiąta rano.

Zwykle spała aż do pół do dwunastej, akurat żeby zdążyć wziąć prysznic i ubrać się przed południowym spacerem ze Stevenem.

Leżała w pościeli przeciągając się. Następnego dnia, znów do pracy.

Tym razem miała naprawdę dużo do zrobienia. W każdy poniedziałek Enzo Bonnatti przysyłał swojego człowieka po pieniądze i z nową porcją narkotyków. Punktualnie o trzeciej przychodził zawsze do Carrie detektyw z policji. W poniedziałek robiła także pranie i musiała jeszcze pamiętać o wypłacie dla posterunkowego.

Przewróciła się na drugi bok i spróbowała zasnąć, ale daremnie. Czuła się jakoś dziwnie tego ranka. Nie wiedziała dlaczego.

Jak zawsze po przebudzeniu, wróciła myślami do zamkniętych w szafce narkotyków. O ileż łatwiej byłoby zaczynać każdy dzień w kojącym otępieniu, jakie sprowadzały. A wieczorem nieduża dawka kokainy, żeby pomóc jej przebrnąć przez kolejną pracowitą noc.

Jak łatwo było to zrobić... I jak wielki byłby to błąd. Wiedziała doskonale, do czego by ją to doprowadziło.

Leroy objął dziewczynę od tyłu, aż pisnęła ze strachu. Jezdem już, kochanie!

Niania spojrzała na niego przez grube szkła okularów, huśtając jednocześnie niebieski wózek, w

którym Steven ssał palec z zadowoleniem.

Stali na środku ulicy i gawędzili beztrosko. W końcu, naturalnym gestem, Leroy położył rękę na wózku i zaczął go pchać.

— Mam dla ciebie wspaniałą niespodziankę — powiedział.

— Jaką?

— Nie wiem, czy mogę ci zaufać.

— Powiedz, jaką niespodziankę? okulary dziewczyny zsunęły się na czubek nosa, więc poprawiła je niezdarnie grubymi palcami.

No dobra. A więc słuchaj, zrobimy tak...

Carrie ubierała się powoli. Dziwny niepokój nie opuszczał jej. Chciała nie myśleć o nim, pozbyć się go, ale nie potrafiła.

Przy porannej kawie włączyła ulubioną płytę Bessie Smith i jak zwykle rozważała wszystkie możliwości wyplątania się z kłopotów. Ale każda z nich wymagała pieniędzy. Carrie oszczędzała, ale upłynie jeszcze sporo czasu, zanim będzie mogła zebrać potrzebną sumę.

Suzita weszła do kuchni i opadła ciężko na krzesło. Jeezu! Ale jestem zmęczona!

Carrie nic miała ochoty na rozmowę. Chciała zobaczyć Stevena, wziąć go na ręce i przytulić, poczuć jego dziecięce ciepło i niewinność.

Niedługo skończy pięć lat.

W jaki sposób uda jej się uciec od życia, które prowadzi, i to tak, żeby syn nigdy nie domyślił się, w jaki sposób jego matka zarabiała na życie?

Niania Stevena nie zawiodła Leroya. Zostawiła go z dzieckiem, zupełnie jakby знаła go od lat i spokojnie weszła do sklepu jubilera, gdzie jak powiedział jej Leroy, miała na nią czekać niespodzianka.

— Powiedz tylko sprzedawcy, jak się nazywasz — tłumaczył jej. Będzie miała niespodziankę, i to niezłą, myślał Leroy. Niech tylko wyjdzie ze sklepu i rozejrzy się za nim i za wózkiem.

Pogwizdując popchnął wózek do przodu i ruszył najszybciej, jak mógł.

— Nie tak szybko, nie tak szybko! — seplenił Steven.

— Zamknij się, gówniarzu! — warknął Leroy — teraz masz słuchać mnie. I zamknij się, bo ci przyleję!

Jennifer otworzyła bramę i psy wybiegły jej na spotkanie. Ukucnęła, żeby je pogłaskać, i zrobiło jej się smutno na myśl, że niedługo wyjadą z Montauk i wrócą do miasta.

— Costa, czy moglibyśmy mieć psa? zapytała z nadzieją w głosie.

— Jeśli chcesz, to czemu nie odpowiedział po chwili namysłu.

— Na przykład pudła albo takiego śmiesznego jamnika.

— Świetny pomysł. — Costa pieścił szyję żony. Napijesz się kawy mrożonej? Przyniosę też ciasta.

— Nie powiesz chyba, że jesteś głodny! Jest piąta i dopiero co zjadłeś ogromny lunch!

— Właśnie, że jestem głodny.

Śmiejąc się weszli razem do kuchni, a za nimi oba psy.

— Gdzie jest Maria? — zdążył spytać Costa i w tym samym momencie zauważył kartkę. Wziął ją do ręki, przeczytał i ze zmarszczonymi brwiami bez słowa podał żonie.

— O Boże! — westchnęła Jennifer przeczytawszy liścik. Przed wyjazdem Marii Leonora postawiła jeden kategoryczny warunek: pod żadnym pozorem nie mogli pozwolić, aby Maria spotkała Gina Santangelo.

— I co teraz? — jęknęła.

— Nie mam pojęcia — Costa wzruszył ramionami. Jeszcze raz przebiegł oczami po kartce, na której widniało schludne, równe pismo Marii: *Pojechałam oglądać dom z panem Santangelo. Wrócę później. Pozdrawiam Was, mam nadzieję, że dobrze się bawiliście. Maria.*

Powoli odłożył kartkę na stół, wygładzając ją palcami.

— Po prostu nie mam pojęcia. Jennifer obruszyła się.

— Jak sądzisz, co się tu stało? Myślisz, że przyjechał tu ot tak?

— O ile znam Gina, to pewnie tak właśnie było.

— Ale przecież zapraszaliśmy go przez całe lato i ani razu się nie pojawił!

— Wiem o tym. Małżonkowie patrzyli na siebie.

— O kurwa! — Jennifer nie wytrzymała.

Costa roześmiał się głośno.

— Ty, ty powiedziałaś: kurwa? Nie użyłaś tego słowa ani razu, odkąd jesteśmy małżeństwem! '

— No, to teraz użyłam. Jak on mógł? Leonora się wścieknie.

— Słuchaj Costa wtrącił szybko — przecież nie musi się dowiedzieć, nie? Powiemy Marii, jak wygląda sytuacja. Maria to zrozumie.

Ona też zna swoją matkę.

— Ty jej powiesz — Jennifer skinęła głową.

— Jasne. Nie ma sprawy.

— Nie ma sprawy — Jennifer powtórzyła, uśmiechając się do męża.

— Powiedz jeszcze raz: kurwa. Lubię, kiedy przeklinasz.

— Costa!

Gino włamał się do wnętrza domu przez tylne drzwi.

— Nie powinien pan tego robić — napominała go Maria.

— Ale zrobiłem — zaśmiał się tylko.

— No tak. — Ona też nie mogła powstrzymać śmiechu. — Mogę wejść do środka?

— Jasne. Czuj się jak u siebie w domu.

Maria zakochała się w tym starym, opuszczonym domu. Biegała po wszystkich pokojach, wydając okrzyki zachwytu. Policzki jej pałały, oczy błyszczały z radości.

— Musi pan kupić ten dom! Jest najwspanialszy ze wszystkich, jakie widziałam!

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewna!

Gino zobaczył ten stary dom oczami młodej entuzjastki. Ale Maria aż podskoczyła z gniewu, gdy opowiedział jej o swych planach wybudowania marmurowego tarasu i luksusowego basenu w hollywoodzkim stylu.

— Nie wolno panu tego robić! Zniszczy pan styl tego domu. Jeśli już musi być basen, niech będzie nieduży, zwyczajny. Nie można niszczyć naturalnego piękna. Nie wolno tu niczego zmieniać. Najwyżej pomalować ściany na biało i naprawić, to co trzeba.

Nagle przyszło jej do głowy, że zachowuje się nieuprzejmie, narzucając Ginowi swoje prywatne zdanie i nie licząc się z jego opinią.

— Przepraszam, panie Santangelo — powiedziała, zatrzymując się przed nim — dałam się ponieść egzaltacji. Proszę nie zwracać na mnie uwagi.

Gino ledwie mógł uwierzyć, że dziewczyna ma dwadzieścia lat. Wyglądała raczej na szesnaście, tak była dziecięco niewinna.

— Słuchaj krzyknął do niej, gdy już odbiegła, nie mogąc spuścić z niej wzroku — mów mi Gino, dobra? Czul się jak Clemenline Duke mówiąca do niego, gdy to on, Gino, po raz pierwszy odwiedził państwa Duke w domu. Starzał się, nie ma co. Czterdzieści trzy lata. A jednak w środku czuł się nadal bardzo młody. We własnych oczach zawsze będzie miał dwadzieścia lat.

— Dobrze... Gino — Maria odpowiedziała niepewnie.

— No, tak lepiej. — Był wyraźnie zadowolony.

Oczy ich spotkały się na chwilę w to upalne, błogie popołudnie i Maria mogła przysiąc, że nogi zrobiły jej się jak z waty. Czuła się, jakby za chwilę miała zemdleć. Bez namysłu wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła blizny na policzku Gina.

— Skąd to masz? — spytała nieśmiało.

Od lat nikt nie śmiał zadać mu tego pytania, a jednak teraz nie przeszkadzało mu to.

— Biłem się — odparł niejasno dawno temu.

Pomyślał o Cindy, o swojej ślicznej, blondwłosej Cindy. Przez chwilę odczuł nawet żal, że tak się to skończyło.

— Dlaczego chcesz wiedzieć?

— Z ciekawości. — Maria natychmiast wycofała rękę.

— Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Maria zaśmiała się cicho, dziecinnie. A jednak, nie była już dzieckiem, była kobietą i wiedziała instynktownie, że mogła dać temu mężczyźnie rozkosz. A Gino zapragnął jej tak mocno, jak dawno nie pragnął żadnej innej kobiety.

Patrzyła na niego wyczekująco, jakby spodziewała się, że Gino wykona pierwszy ruch.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do ogrodu.

— Zjedzmy lunch — powiedział. — Poczekaj tu, a ja przyniosę coś z samochodu.

Posłusznie usiadła na trawie, podkulając smukłe, opalone nogi. Gino przyniósł tymczasem chleb, plastry szynki i ciepłą coca-colę, po czym oboje zabrali się rażno do jedzenia.

— Jak długo mieszkasz z Costą i Jenny? — spytał starając się nadać rozmowie beztroski ton.

— Dokładnie sześć dni. Jest mi u nich wspaniale.

— Domyślam się. To wyjątkowo dobrane małżeństwo.

— Tak, są cudowni.

Gino przyglądał się jej twarzy, delikatnej cerze muskanej promieniami słońca, dużym, kryształowoniebieskim oczom, ukrytym pod długimi rzęsami, ciepłym, dużym ustom. Nie nosiły śladu makijażu.

— I w przyszłym tygodniu wracasz z nimi do Nowego Jorku?

— Tak. Jennifer przygotowuje moje przyjęcie urodzinowe.

— Przyjęcie urodzinowe? — Gino był zaskoczony. — Na jak długo przyjechałaś?

— Zostanę do końca września. Gino pociągnął łyk coli.

— To trochę wcześniej jak na przyjęcie. Urodziny masz w grudniu, nie?

— Kończę dwadzieścia jeden lal piętnastego września.

— Grudnia.

— Nie, września.

W milczeniu przetrwał tę informację. Jeżeli Maria urodziła się we wrześniu, to znaczy, że Leonora biorąc ślub była już w ciąży. Jego narzeczona-dziewica chodziła z brzuchem! Dawała się rznąć, kiedy on usychał wiernie z tęsknoty i pisał do niej miłosne listy.

Wspaniale. Po prostu cudownie. To kurwa. Nic dziwnego, że Costa nie chciał mu powiedzieć.

Ale to było tak dawno temu. Cóż go to mogło teraz obchodzić...

— Dlaczego myślałeś, że mam urodziny w grudniu?

— Pomyliłem się. — Wzruszył ramionami. Maria zerwała źdźbło trawy.

— Czy ty i moja mama... czy moja mama była kiedyś twoją... dziewczyną? — Serce biło jej jak oszalałe. Wiedziała doskonale, że nie ma prawa zadawać tak osobistego pytania, ale nie mogła się powstrzymać. Musiała wiedzieć.

— Skąd ci to przyszło do głowy? spytał rodzicielskim tonem.

— Sama nie wiem... Mama nigdy nie opowiadała... Ale czasem słyszałam coś...

Słyszałaś nie to, co trzeba. Znałem twoją matkę. Przyjeżdżałem z wizytą do Costy, przyjaźniliśmy się. To wszystko.

Ale już nie jesteście przyjaciółmi, prawda? Mama cię wyraźnie nie lubi. Właściwie, nawet nie powinnam o tym wiedzieć, ale przyjechałam tu tylko pod warunkiem, że nie wolno mi było cię spotkać.

— Naprawdę?

Skinęła głową i patrząc mu prosto w oczy odważnie uniosła rękę i dotknęła blizny na jego policzku.

— Ale cieszę się, że cię jednak spotkałam.

Zupełnie naturalne było, że Gino ujął jej dłoń i przycisnął do niej usta.

— Jesteś bardzo piękna — wyszeptał. To nie był pusty komplement. Gino naprawdę tak myślał.

— Dziękuję. — Ona również nie podnosiła głosu ponad szept.

Zapadła cisza. Gino trzymał ją wciąż za rękę. Jej niebieskie oczy wpatrywały się w niego wyczekująco.

Bardzo powoli przysunął się do niej i zaczął rozpinać od góry guziki jej bawełnianej sukienki. Maria nic nie powiedziała. Przypomniwał

sobie, jak pierwszy raz pocałował Leonorę, pływając w chłodnej, gęstej wodzie zatoki San Francisco. Pamiętał dotyk drżącego, młodego ciała Leonory, tulącego się doń z całej siły.

Ale to nie była Leonora. To była Maria.

Rozpiął guziki do pasa i sięgnął dłonią pod miękki materiał sukienki. Miała ciepłe i troszkę wilgotne piersi. Nie nosiła stanika, co jeszcze bardziej go podnieciło.

Nie pocałujesz mnie najpierw? spytała drżącym głosem. Wyjął rękę spod sukienki i ujął w obie dłonie jej twarz. Zaczęli się wolno całować. Gino wsunął język w jej usta, a ona po chwili odpowiedziała tym samym, powtarzając wszystko, co on robił. Kiedy Gino naciskał, ona oddawała nacisk. Kiedy przestawał, ona także. Jej usta i język były tak niesłychanie słodkie jak dojrzałe owoce.

Chcę pocałować twoją bliznę powiedziała cicho, sama nie całkiem zdając sobie sprawę z tego, co mówi. W tej samej chwili gładziła tę bliznę opuszkami palców i wodziła po niej miękkimi wargami.

Było naprawdę wyjątkowo gorąco, słońce lśniło jednostajnie na bezchmurnym niebie.

Gino zdjął z siebie ubranie, wszystko oprócz szortów. Był zadowolony ze swej dobrej kondycji. Nie miał na sobie ani grama zbędnego tłuszczu.

Delikatnie zsunął sukienkę z jej ramion, obnażając doskonałe, jędrne piersi. Pochylił się i zaczął je

całować.

Maria była bardzo spokojna, bez słowa pozwałała mu na wszystko. Odpiął dolne guziki jej sukienki i delikatnie zdjął jej majteczki.

Wtulił twarz w trójkątne futerko koloru blond. Maria odsunęła się. Gino, przestań, proszę. Głaskał ją delikatnie i ułożył na trawie.

Wyglądała zupełnie jak Leonora, ale była Marią. Gino doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Jesteś taka piękna szeptał, jednocześnie ściągając szorty i kładąc się na niej. Piękna...

Maria szeroko rozchyłała uda, a on był twardy jak zawsze, a jednak wchodził w nią z trudem. Nagle zrozumiał.

Jezu Chryste! krzyknął, siadając nagle. — Z nikim tego jeszcze nie robiłaś, prawda?

To nieważne szepnęła chcę to zrobić teraz. O Boże! Leżał na plecach i patrzył w czyste niebo. To, że Maria była dziewicą, sprowadziło go z hukiem na ziemię. To była córka Leonory, do diabła. Co on najlepszego robił? Czy wydawało mu się, że odbiera, co do niego należy?

Sięgnął po spodenki i włożył je szybko.

O co ci chodzi? — Maria usiadła, instynktownie zasłaniając piersi rękoma. Ten niewinny gest przypomniał mu, że Maria jest uczciwą dziewczyną i do tego dziewicą, i on nie miał prawa posuwać się tak daleko.

Zagalopowałem się. Moja wina, przepraszam - bąknął cicho. Ubieraj się, dziecko.

Policzki Marii oblały się rumieńcem.

Nie jestem dzieckiem. Jestem kobietą. I to, co tutaj robimy, najzupełniej mi odpowiada.

- Tak? Ale mnie nic odpowiada, a wobec tego bądź grzeczna i wkładaj ubranie. Odwiozę cię.

Łzy napłynęły jej do oczu.

Obraża mnie pan, panie Santangelo. O co ci właściwie chodzi?

Gdyby pan wiedział cokolwiek o kobietach, zrozumiałby pan, że nie można mnie tak traktować. Jak?

Nazywać mnie dzieckiem i mówić, żebym była grzeczna. Ja naprawdę wiem, co robię, chcę tego. Wyciągnęła do niego obie ręce.

Proszę!

— Posłuchaj mnie, Mario. Nie powinniśmy tego robić.

— Dlaczego? — Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Ponieważ jestem dużo starszy od ciebie. — Czuł się głupio, stojąc przed nią w samych szortach. Chciał jak najszybciej ubrać się i ruszać z powrotem. Nagle zapragnął, aby Maria zniknęła na zawsze z jego życia.

— Chce pan mi wmówić, że nigdy nie kochał się z młodszą od siebie kobietą? — zdawała się nie rozumieć.

— Nie powiedziałem tego.

— A więc o co chodzi? patrzyła na niego, wyraźnie zbита z tropu. Gino popatrzył na nią. Nigdy nie widział równie pięknej kobiety.

Maria instynktownie wyczuła pożądanie w jego oczach i ułożyła się z powrotem na trawie.

— Nie wiem może, co to jest miłość — powiedziała cicho — ale wiem, że chcę, żebyś był moim pierwszym mężczyzną. Bardzo tego chcę.

Przypomniało mu się San Francisco. Pamiętał, jak Leonora zachęcała go. Nie musimy czekać, Gino... Ale on był uparty. Bredził coś, że powinni poczekać z miłością, aż wezmą ślub. Zbłądził się na całej linii. A teraz powtarzał właśnie ten sam błąd...

— Mario — zaczął stanowczo — jeżeli naprawdę tego chcesz... Przytuliła się do niego.

— Tak, Gino! O, tak!

Jennifer i Costa jednocześnie usłyszeli silnik nadjeżdżającego samochodu. Mina Jennifer nie wróżyła nic dobrego. Spojrzała na zegarek, żeby się upewnić, że naprawdę jest dwunasta w nocy.

— Nie denerwuj się — napominał ją Costa. — Wróciła przecież i to się więcej nie powtórzy. Porozmawiam z Ginem, nie martw się.

— Jak mam się nie denerwować? Roznosi mnie! Mogła chociaż zadzwonić, żeby uprzedzić nas, że nie wróci przez pół nocy!

— Cśśś. — Costa położył palec na ustach.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwi, a po chwili Gino i Maria weszli do pokoju. Najgorsze przeczucia Costy potwierdziły się. Oboje promienieli szczęściem jak bożenarodzeniowe choinki. Głupawy uśmiech nie zniknął z twarzy Gina, a Maria rumieniła się i błyszczały jej oczy.

— Cześć wam! — Gino zachowywał się wyjątkowo głośno. — Jak się miewa moje ulubione małżeństwo?

Jennifer z lodowatą twarzą pozwoliła się pocałować w policzek. — Dlaczego nie zadzwoniliście? Costa powiedział spokojnie. —

Martwiliśmy się o was.

— Zostawiłam wam kartę, wujku - tłumaczyła się Maria.

— Tak, z której wynikało, że wrócisz za godzinę czy dwie. Wiesz, która jest godzina?

— Poszliśmy do restauracji - obwieścił wesoło Gino- mają tam

wyjątkowo pysznego homara.

— Och tak! — przyklasnęła mu Maria. — Był wspaniały! Spojrzała na Gina z uśmiechem.

Gino też się uśmiechnął i puścił do niej oko. Costa westchnął.

— Biegnij teraz do łóżka. Mam coś do omówienia z panem Santangelo.

— Już idę — Maria starała się być pokorna. — Ale pan Santangelo pozwolił mi mówić do siebie Gino.

Jennifer wstała.

— No, już dobrze, powiedz teraz wszystkim dobranoc. Chcę z tobą porozmawiać.

Maria uśmiechnęła się jeszcze raz do Gina.

— Dobranoc. I... dziękuję.

— Przyjemnie nam było, prawda? Gino też się uśmiechał.

— O tak, bardzo. Twarz Marii wyrażała radość.

Costa odczekał, aż Maria i Jennifer wyjdą, po czym spytał rzeczowo:

— Napijesz się czegoś?

— Tak. Najlepiej brandy. Gino rozparł się wygodnie w fotelu. Costa podszedł do barku i spokojnie napełnił pękaty kieliszek złotawym płynem. Podał go, mówiąc:

— Co się dzieje, przyjacielu?

— Mmm? — Gino zdawał się nie rozumieć. Costa był jednak zdenerwowany.

— Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, dobrze? Za długo cię znam. Co ty, kurwa, wyprawiasz? — Niełatwo było sprawić, aby Costa zaczął przeklinać. Kiedy był zły, policzki mu czerwieniały, a oczy zwęzły się w maleńkie szparki.

— Zabrałem ją, żeby obejrzała dom, który mam ochotę kupić. Potem poszliśmy na obiad. O co ci chodzi? — tłumaczył beztrąsko Gino.

— Dlaczego akurat Maria? — Costa podniósł głos.

— Dlaczego akurat Maria, co?

— Dlaczego się do niej dobierasz? Gino kręcił kieliszkiem.

— Przestań, nie wiem, o czym mówisz.

— Mówię o tym, co widzę. Maria jest moją siostrzenicą. Na Boga, przecież to córka Leonory.

— No i co z tego? — Gino zaczynał się irytować. To jest ta z września czy z grudnia?

Costa przynajmniej udawał zakłopotanie.

— Nic by ci nie dało, gdybyś wtedy wiedział.

— To absolutna prawda. — Gino ziewnął i zmieniając temat zapytał: — Masz tu jakieś wolne łóżko? Nie chce mi się jechać o tej porze do miasta.

— Wolałbym, żebyś tu nie zostawał.

— Dlaczego? — Costa uparł się, żeby popsuć mu dzień.

— Ponieważ Leonora bardzo wyraźnie nakazała, że Maria nie może cię tu spotkać. Nie poradzimy już na to, co się stało, ale...

Mam w dupie Leonorę.

Słuchaj, bądź rozsądny. — Costa przemierzał pokój szybkimi krokami, zastanawiając się, jak się wykaraska z tej sytuacji.

— Co to dla ciebie za różnica, jeżeli nigdy więcej jej nie zobaczysz? Gino przechylił kieliszek, spijając ostatnie krople mocnej brandy.

Wzruszył ramionami.

— Właściwie masz rację. Co za różnica? Costa patrzył na niego czując ogromną ulgę.

Gino odstawił kieliszek i rzucił Coście twarde spojrzenie.

— No, to czołem, przyjacielu. — Do jutra. Będziesz w biurze?

— Nie, chyba pojedę na wybrzeże. Zobaczę, co się dzieje u Młodego. Costa bębnił niespokojnie palcami w stół. Powiedział, co uważał

za słuszne, a teraz chciał, by rozstali się jak przyjaciele.

— Niespodziewana wizyta, co?

A lak. Zdaje się, że powinienem się stąd usunąć. Tym bardziej że skoro Jenny planuje jakieś przyjęcie, lepiej, jeśli nie będzie mnie w pobliżu. Przepraszam, że lak wyszło, ale Leonora uważa... Co ta kurwa takiego uważa? Gino podniósł głos. — Że jej córeczka zepsuje się w moim towarzystwie? Że jestem bandytą? Możesz jej ode mnie powiedzieć, że jest idiotką. Kapujesz, idiotką. Costa skinął głową w milczeniu. Gino wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Tym razem nie zamieszkał w Los Angeles u Młodego. Wynajął własny dom, dużą willę w Bel Air, która kiedyś należała do jakiejś gwiazdy niemego kina.

Wprowadził się tam ze swoją ochroną i zabawiał się w towarzystwie licznych ponętnych Kalifornijek. Wszystkie były piękne, to prawda, ale potwornie nudne. Każda chciała zostać sławną aktorką. Czekaając na tę chwilę, wskakiwały do łóżka każdemu, kto mógłby im w tym pomóc.

Odwiedził Las Vegas i przyjrzał się postępowi robót. Praca szła szybko, Gino był zadowolony.

Pippa Sanchez odwiedziła go w wynajętej willi i myszkowała wszędzie jak senny kot. Dotrzymała obietnicy i opowiedziała o wszystkim, co robił Jake. Jak na razie, nie działo się nic niepokojącego. Młody nie kradł. Na razie.

W sypialni Gina zrzuciła białą suknię i kochali się długo, w niezwykłych pozycjach.

Gino zastanawiał się, czy Młody o tym wie. Miał nadzieję, że lak.

- Powinieneś sfinansować produkcję jakiegoś filmu. Stać cię na to. Dlaczego tego nie zrobisz?

Gino pomyślał, że to nie najgorsza myśl.

— Znajdź mi scenariusz. Jeśli mi się spodoba, to zrobię to.

Po raz pierwszy zobaczył uśmiech na jej twarzy. Dlaczego się śmiała? Przecież jeszcze nic zaproponował jej roli.

Piętnastego września zadzwonił do jednej ze swoich sekretarek w Nowym Jorku i wysłał ją do Tiffany'ego po największy i najpiękniejszy akwamaryn osadzony w diamentach, jaki mogła tam znaleźć. Podyktował krótki list, który miał być dołączony do upominku i wysłany do Marii: *Wszystkiego dobrego z okazji urodzin. Ten pierścionek nigdy nie będzie świecił jaśniej niż twoje oczy.*

Kiedy Maria otworzyła prezent i przeczytała liścik, łzy napłynęły jej do oczu. Nic nowego płakała bez przerwy, odkąd Gino wyjechał.

Gino siedział nad basenem w Bel Air i rozmyślał o dziewczynie, która tego dnia kończyła dwadzieścia jeden lat. Myślał o jej twarzy, jej skórze, oczach i zapachu jej ciała.

O szóstej wieczorem siedział już w samolocie, zdążającym do Nowego Jorku.

Nie obchodziło go, czy robi dobrze, czy źle. Było mu dokładnie wszystko jedno, czy Leonora dostanie ataku szalu i czy Costa przestanie się do niego odzywać.

Wiedział już, czego chce, i nie miał zamiaru rezygnować.

Carrie

1943

Carrie płakała tak długo, aż zabrakło jej łez. Wtedy opanowała ją paląca wściekłość i wpadła jak burza do restauracji, w której Enzo Bonnalti codziennie jadł lunch. Podbiegła do jego stołu, ignorując wszystkich goryli Enzia, którzy ledwo zdążyli poderwać się na nogi, i rzuciła mu prosto w twarz:

— Oddaj moje dziecko, słyszysz? Natychmiast oddaj mi moje dziecko! Powiedziałeś, że znajdziesz mojego syna, gdyby ktoś go porwał, tak? Gdzie on jest?! Mówiłam ci, kto to zrobił. Twój ludzie przepytawali jego niańkę. Gdzie on jest? Dlaczego jeszcze go nie znalazłeś?

To już sześć dni! Przecież płacę ci za opiekę nad nami! Zrób coś!!!

Zanim skończyła mówić, goryle Enzia chwycili ją mocno z obu stron.

— Zjeżdżaj stąd, czarnucho — syknął jeden z nich.

Gdzie jest mój synek? - Carrie krzyczała bez opamiętania na Enzia, który spokojnie łamał kromkę chleba i próbował nie zwracać na nią uwagi. Musisz go znaleźć! Jeżeli ty tego nie zrobisz, to pójdę na policję, rozumiesz? Pójdę na policję. Powiem im wszystko od początku do końca... Wyprowadzono ją z restauracji siłą.

Enzio spojrział na siedzącą naprzeciwko towarzyszącą mu dziewczynę o figurze modelki. Wzruszył ramionami.

W życiu jej nie widziałem. Ciągle mi się coś takiego zdarza.

Na zewnątrz Carrie wsadzano właśnie bez pardonu na tył samochodu Enzia, gdy tymczasem jeden z goryli wrócił do stolika, żeby spytać, co z nią zrobić.

— Zawieźcie ją do jej mieszkania, zamknijcie w pokoju. Przyjdę tam po lunchu — Enzo wyszeptał tamtemu do ucha. Najbardziej w życiu nienawidził rozhisteryzowanych dziwek. Może lepiej będzie pozbyć się jej z miasta, wysłać gdzieś, myślał Enzo. Cała ta awantura z jej dzieciakiem była mu bardzo nie na rękę.

Leroy siedział na podłodze i wrzucał sobie do ust orzeszki ziemne, wystrzeliwując je z pomiędzy palców jak miniaturowe pociski. A celował bezbłędnie, wszystkie po kolei lądowały na środku jego wielkiego, różowego języka.

Czteroletni Steven nie mógł oderwać wzroku od tego widowiska. Szesnastoletnia Lii malowała paznokcie u nóg, skulona na łóżku. W

zapuszczonym pokoiku brzęczała jakaś mucha, aż w końcu usiadła na nie przykrytym rawku szynki, pozostawionym na stole. - Dzisiaj kolej na nasz następny ruch — oznajmił Leroy, nagle wstając z podłogi. — Spodziewam się, że ta idiotka zgodzi się już na wszystko, czego zażądam. Założę się, że robi w majtki ze strachu o synalka!

— Pozbędziemy się chłopaka dzisiaj? -- zapytała niecierpliwie Lii.

— Może tak, może nie — odparł Leroy, jak zwykle zachowując swoje plany dla siebie.

— To już prawie tydzień.

— No to co? — Leroy podniósł głos.

— Chcę wrócić do pracy — chlipnęła Lii. — Potrzebujemy pieniędzy.

— Jeszcze trochę i będziemy srali pieniędzmi — zaśmiał się Leroy. Steven patrzył to na niego, to na nią swymi poważnymi zielonymi oczyma.

Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że znalazł się wśród tych dziwnych ludzi, ale nauczył się już, że najlepiej było siedzieć cicho. Leroy i dziewczyna bili go, kiedy próbował przypomnieć im o swojej obecności.

Leroy ubierał się, przemierzając pokój tanecznym krokiem.

— To już dziiiś! — podśpiewywał.

Lii znów skuliła się nad swoimi paznokciami.

Steven siedział bez ruchu w kącie, obserwując milcząco ich oboje.

Dłoń Enzia z kłaśnięciem uderzyła Carrie w twarz.

— Będziesz jeszcze podnosić na mnie głos, dziwko? Kim ty w ogóle jesteś, żeby tak do mnie mówić?

Carrie czuła się pokonana. Ścisnęła w dłoniach materiał swojej sukienki. Przepraszam, panie Bonnatti.

Przepraszam! Enzo zaśmiał się sucho. Niejeden już umarł za mniejsze przewinienia niż to, co ty dzisiaj zrobiłaś. Carrie nie odzywała się słowem.

— Nie pozwolę, żeby ktoś mnie straszył. I nie gadaj, że pójdziesz na policję. Nawet gdybyś mogła. Ty jeszcze mało rozumiesz.

— Przykro mi — szepnęła.

— Mam nadzieję. Miałaś czas pomyśleć nad sobą.

— Chcę mieć mojego syna z powrotem, panie Bonnatti. Obiecał pan,...

— Niczego nie obiecywałem. Powiedziałem tylko, że wyślę paru ludzi, żeby się za nim rozejrzeli.

— Gdyby pan mógł...

— Dobrze, dobrze, ale tymczasem musisz trochę odpocząć.

— Nie! — W głosie Carrie zabrzmiała nuta niepokoju.

— Co to znaczy, nie?

— Nie ruszę się stąd bez Stevena. Enzo westchnął.

— Prowadzisz porządny zakład. Nie kłamię, kiedy mówię, że zależy mi na tobie. Nie chcę wyrzucić cię na ulicę, ale zrobię to, jeżeli mnie do tego zmusisz takim zachowaniem. Możesz być tego pewna.

Carrie była zrozpaczona.

— Panie Bonnatti, ja proszę. Chcę tylko, żeby mój syn wrócił. Zrobię wszystko, co pan każe. Będę pracowała za darmo, za...

— Znajdę twojego syna, ale masz się uspokoić. Jasne? Carrie chwyciła jego dłoń i przycisnęła do niej usta.

— Dziękuję panu, panie Bonnatti. Wiem, że pan go znajdzie. Tylko pan może mi pomóc.

Enzio rozpiął spodnie.

— A skoro już tu jestem, to mi possij trochę — rozkazał niedbałym tonem.

Carrie nie od razu zrozumiała, o co mu chodzi, i dopiero po chwili, gdy dotarło do niej znaczenie jego słów, uklękła przed nim zrezygnowana.

Enzio Bonnatti był skończoną świnią. Ale w rękach tej świni było życie jej syna.

Leroy maszerował żwawo ulicą. Przeglądał się w wystawach sklepowych i podziwiał swoje odbicie. Będzie podobać mu się jeszcze bardziej, gdy Carrie przyjdzie do niego z torbą pełną forsy. A że przyjdzie, tego był pewien.

Wstąpił do baru i zamówił małą kawę. Następnie znalazł automat telefoniczny i wybrał numer zakładu Carrie.

— Chcę mówić z Carrie - rozkazał pewnym siebie tonem. Słuchawkę podniosła jedna z dziewczyn.

— Carrie jest zajęta w tej chwili.

— To niech nie będzie. Dzwonię w sprawie Stevena. Głos dziewczyny w słuchawce zmienił się natychmiast.

Stevena? Chodzi o jej syna?

Dawaj ją do telefonu, dziwko, zanim mi się znudzi czekać.

Dziewczyna pobiegła po Carrie, a tymczasem Leroy nucił pod nosem melodyjkę i czytał grafitti na ścianie budki. „MARLENA SIĘ

PUSZCZA. A KTO NIE?" Zastanawiał się, kto to może być ta Marlina. Przyszło mu do głowy, że pewnie sama to napisała.

Carrie podniosła słuchawkę niezmiernie poruszona, tak jak się tego spodziewał.

— Macie mojego syna? krzyknęła histerycznie. — Nic mu nie jest? Nie zrobiliście mu krzywdy? Gdzie on jest?

Leroy mówił powoli, chłodno.

— Ile chcesz, za niego dać? Kto mówi? Leroy?

No proszę. A już myślałem, że mnie nie znasz. Myślałem, że nie masz wujka Leroya.

Dam wszystko, co mam. Tylko chcę go mieć z powrotem jeszcze dzisiaj.

No, no! Widzę, że pamięć ci wróciła, (idzie mam cię spotkać? Kiedy? Sprawa posuwała się naprzód szybciej, niż Leroy oczekiwał.

Zastanowił się przez chwilę.

— Jutro o pierwszej. Na najwyższym piętrze Empire State Building.

— Jutro? — głos Carrie zadrżał. Dlaczego nie dzisiaj?

— Jutro o pierwszej. Przynies pięć tysięcy dolarów, jeżeli chcesz zobaczyć dzieciaka żywego. I nikomu ani słowa, rozumiesz?

Odkładając słuchawkę słyszał jeszcze, jak Carrie rozplakała się. Cholera, pomyślał, zasłużyła sobie na to.

Wrócił do baru, skończył kawę i nie zauważony wymknął się nie płacąc. To był dobry znak.

— Leroy, stary — mruknął do siebie — jeszcze trochę i będziesz cholernie bogaty!

— Ułatwił nam tylko sprawę- powiedział Enzo Bonatti.

Carrie kiwnęła głową. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, że słyszał całą jej rozmowę z Leroyem.

— Co mam zrobić? — szepnęła. Enzo zmarszczył brwi.

— Przyjdź na spotkanie. Resztę zostaw mnie. Odbierzesz mu Stevena?

— Jutro będziesz go miała z powrotem. A polem może w końcu wrócisz do interesu. Zamierzam przysłać ci więcej towaru. Musisz go szybciej upychać, niech klienci się wciągają.

Dobrze, panie Bonnatti.

— Grzeczna dziewczynka.

Oczy Carrie pozostawały bez wyrazu. Dziękuję, panie Bonnatti.

O pierwszej po południu Manhattan wprost roił się od ludzi, którzy wyszli z pracy na lunch. Leroy kłął pod nosem wchodząc do budynku Empire State i kilkoma windami po kolei wjeżdżając na sto drugie piętro. Był przesiąknięty potem, gdy dotarł do obserwatorium. Nie mógł wybrać gorszego miejsca. Otarł pot spod nosa i założył ciemne okulary.

Zdawało mu się, że ludność całego świata umówiła się właśnie na spotkanie w obserwatorium Empire State Building. Kłębił się tu nieprzebrany tłum. Leroy rozglądał się za Carrie, ale nigdzie nie mógł jej dojrzeć. Zastanawiał się, czy dziewczyna będzie w stanie go rozpoznać. On sam pamiętał ją jako szczupłą brunetkę z wielkim biustem. Nie zmieniła się ani trochę, była tylko jeszcze piękniejsza.

A jednak nie widział wokół siebie ani jednej czarnej twarzy. Jeśli nic przyjdzie, myślał, żywcem obedrę bachora ze skóry. A w ogóle, co to za imię dla Murzyna, Steven?

Carrie znalazła się na skrzyżowaniu 34 ulicy i Piątej Alei pół godziny za wcześnie i weszła do kawiarni, żeby zaczekać. Nie spuszczała oczu ze wskazówek ściennego zegara.

Enzio Bonnatti nie powiedział jej, co zamierza zrobić. Zapewnił ją tylko, że Steven wróci do niej jeszcze tego samego dnia. — Chyba że już nie żyje — dodał chłodno. Chyba że już nie żyje. Te niedbale powiedziane słowa torturowały ją całą noc i nadal nie dawały jej spokoju. Jeśli Leroy zrobił chłopcu krzywdę, zabije skurwiela własnymi rękami. Zastrzeli go z pistoletu, który na wszelki wypadek miała przy sobie w torebce.

Zegar wskazywał za pięć pierwszą, gdy Carrie zapłaciła za kawę i wyszła.

Victor i Split patrzyli w ślad za nią.

Nieźła dupcia zauważył lubieżnie Victor.

— Tak, jeżeli gustujesz w czarnych -- odparł bez przekonania Split. Ich wygląd zdradzał natychmiast, kim byli: dwaj kryminaliści.

Victor był

potężnie zbudowanym mężczyzną o oczach buldoga i mięsistych wargach. Split był młodszy, nieco szczuplejszy, z fryzurą tłustych, nie uczesanych włosów i pokaźnym nosem.

— Ja tam nigdy nie płaciłem za rżnięcie. Nie rozumiem gości, którzy dają dziwkom forszę.

Split przytaknął mu i obaj ruszyli za Carrie.

Leroy zauważył, jak Carrie idzie w jego stronę, i na jej widok poczuł nagły przypływ pożądania. Zapomniał na chwilę, po co tu przyszedł, i tylko wpatrywał się w nią. To ci dziewczyna! myślał. Przyszło mu do głowy, że do ceny okupu mógł dodać jedno małe rżnięcie.

Carrie nie zauważyła go jeszcze; rozglądała się nerwowo wokół.

Leroy był zadowolony, że miał na sobie najlepszy garnitur, brązowy w szerokie białe pasy. Poprawił pod szyją biały krawat, dobrze dopasowany do tropikalnej koszuli. Kiedy ('amc zauważy go, w kapeluszu o szerokim rondzie i ciemnych okularach, weźmie go chyba za gwiazdę filmową!

Podbiegł do niej od tyłu.

— Niezła z ciebie ślicznotka! I synek też niebrzydki, trzeba przyznać. Proszę, proszę!

Carrie aż podskoczyła z wrażenia i odwróciła się natychmiast. -- Leroy?

We własnej osobie! Leroy wyprężył się przed nią. W oczach Carrie zabłysła nienawiść. Miała ochotę wyciągnąć rewolwer i zastrzelić go na miejscu, ale Lnzio kazał jej znaleźć go, nawiązać rozmowę i wyjść razem z nim. Wtedy ludzie Bonnattiego mieli przejąć inicjatywę.

Ale jak dotąd Carrie nie zauważyła nikogo z ludzi Enzia.

Nic mu nie jest? — spytała nie tracąc ani chwili. Pewnie, że nie. W życiu się tak nie bawił. Głos Carrie był suchy.

Czego ode mnie chcesz? Leroy roześmiał się.

— To ci powitanie. Ciało gorące, słowa jak lód. Odpręż się trochę, to pogadamy o interesach, OK?

Carrie gorączkowo szukała goryli Bonnattiego w tłumie. Dobrze.

Leroyowi zdawało się, że obecność tyłu ludzi wokół denerwowała Carrie.

— Idziemy stąd. Musimy znaleźć jakieś spokojniejsze miejsce.

— Gdzie?

Wziął ją pod rękę, jakby była jego własnością.

— To już moja sprawa, a twoje zmartwienie. — Prowadził ją do windy.

Carrie rozglądała się w panice i wreszcie spostrzegła ich. Wyglądali tak jak powinni. Ledwo powstrzymała westchnienie ulgi.

Przed drzwiami windy ustawiała się kolejka oczekujących.

— Trzeba było popatrzeć stąd na miasto. Imponujący widok zauważył Leroy. — Następnym razem nie zapomnimy, co? — dodał, kiedy Carrie nie odpowiedziała.

Carrie skinęła głową. Robiło jej się niedobrze ze strachu. Tamci dwaj stali tuż za nimi — tak blisko, że czuła zapach czosnku w ich oddechu.

Wreszcie winda przyjechała i wysypał się z niej nowy tłum ludzi. Jacyś dwaj marynarze rzucili jej wymowne spojrzenia i chrząkali porozumiewawczo. Leroy był z tego dumny i jeszcze silniej ścisnął ją za ramię.

Weszli do windy, a goryle Enzia za nimi.

Carrie znów pomyślała o Stevenie i wysiłkiem woli powstrzymywała chęć wyciągnięcia rewolweru i zastrzelenia Leroya, tam gdzie stał.

Pewnego dnia to zrobi. O, tak. Pewnego pięknego dnia.

— Weźmiemy go, jak wyjdzie na ulicę — powiedział Victor. Split zgodził się.

— Z przyjemnością wykonam tę robotę — ekscytował się Victor. — Czarnuch alfons dostanie to, na co zasługuje.

Split pogładził swoje tłuste włosy.

— Słuchaj, myślisz, że szef rżnie czarnuchy? Victor splunął z pogardą.

— Jasne, że nie.

— To dlaczego to robimy?

— A skąd ja mam wiedzieć. Nie zadawaj głupich pytań. Może ma słabość do dzieci.

— Murzyńskich?

Obaj potrząsali głowami w zdumieniu.

Na ulicy Leroy poprawił na nosie okulary i przekrzywił lekko kapelusz. Był z siebie bardzo zadowolony. Jeszcze jak! Mijający ich mężczyźni oglądali Carrie jak soczysty owoc na targu.

— Nieźle się urządziłaś, mała — stwierdził radośnie Leroy. Dobrze wyszłaś na tym, że puściłem cię samą.

Carrie patrzyła na niego z mieszaniną nienawiści i niedowierzania. Zanim jednak zdążyła wydusić z siebie jakieś słowo, Victor i Split wkroczyli do akcji, zachodząc Leroya z dwóch stron.

— Ty, gdzie się pchasz — zaczął, ale w następnej sekundzie zrozumiał, że wpadł. Wyrzucił z siebie stek najgorszych przekleństw.

— Spokojnie, kolego — Victor mówił cicho — idź grzecznie z nami, bo inaczej mój przyjaciel wypruje ci flaki na chodniku.

Carrie odwróciła się natychmiast od całej trójki, ale zdążyła jeszcze usłyszeć nienawistny krzyk Leroya:

— Ty kurwo! Pożegnaj się ze swoim synalkiem!

Split wepchnął mu jakiś przedmiot pod żebro i Leroy zamilkł natychmiast, wydając jedynie lekki jęk bólu.

Carrie szła szybko przed siebie, nie odwracając się ani razu. Była śmiertelnie wystraszona.

Pragnęła, żeby Steven do niej wrócił, dopóki to się nie stało, nie potrafiła nawet zebrać myśli.

Lii była potwornie znudzona. Patrzyła na tego głupiego dzieciaka, a ten wpatrywał się w nią poważnymi szeroko otwartymi oczami.

— Co się tak gapisz? — krzyknęła w końcu.

Steven nie odpowiadał. Nic nie rozumiał. Chciał wrócić do mamy i do swoich zabawek. Nie podobało mu się tu. Nagle łzy spłynęły mu po policzkach.

— Ja chcę do mamy! zapłakał.

Zamknij się! Do mamy!

Mówię ci, zamknij się, gówniarzu. Rzuciła w niego butem. Nie trafiła, ale sama groźba poskutkowała. Lii ziewnęła przeciągle. Z

głośnym „Cholera!” wyskoczyła z łóżka i zrobiła kilka skłonów dla rozprostowania kości.

Życie z Leroyem stawało się nudne nie do zniesienia.

Zajęło im to więcej czasu, niż się spodziewali. Jakies pięć minut dłużej. Każdy alfons był taki sam biały, czarny czy pomarańczowy.

Mogli się stawiać, ale nie wytrzymywali długo.

Lci oy nie był wyjątkiem. Ledwo krew splamiła jego brązowy garnitur, już wypluwał zęby i kwilił jak dziecko.

Reszta była już prosta. Jazda do Harlemu. Nagrzany, zatęchły pokoik, a w nim nagrzana, lepka od potu dziewczka, której Victor dał klapsa w tyłek i powiedział:

Co robi biała dziewczyna w mieszkaniu śmierdzącego czarnucha, co? Pakuj się i zmiataj stąd, ale już. Wrócę tu, żeby sprawdzić, czy się wyniosłaś.

Lii spojrzała na niego, potem na Leroya, usmarkany, jęczący wrak mężczyzny, rzucony w kąt pokoju.

Mam was gdzieś rzuciła ordynarnie. Obu! Jasne, że się wynoszę. I nie zamierzam wracać.

Chłopcu nic się nic stało. Był brudny, trochę posiniaczony i głodny, ale zdrowy. Split wziął go na rękę, zaniósł do samochodu i posadził

na tylnym siedzeniu. Steven patrzył na to wszystko z podziwem. Czysta robota stwierdził zadowolony Victor. Zgadza się przytaknął Split. Zauważyłeś tę małą? Nie miała więcej niż piętnaście lat? Śmierząca dziwka. Tak. Naprawdę, śmierząca i brudna. Czyli dokładnie taka jak lubisz, nie? Roześmieli się obaj.

Steven wrócił do Carrie, ale nie odzywał się słowem. Patrzył tylko na matkę swoimi dużymi oczami, w których malował się niemy wyrzut, jakby to ona była wszystkiemu winna.

Carrie tuliła syna, kąpała, opatrywała jego siniaki, karmiła go.

Steven patrzył na nią bez przerwy i milczał.

W myślach Carrie przeklinała Leroya i miała nadzieję, że ludzie linzia nie dali mu długo pożyć.

Suzita zajmowała się gośćmi na górze, gdy tymczasem Carrie poświęcała się wyłącznie synowi w zaciszu swego pokoju. Gruba, głupia niańka nie

pokazała się od dnia, kiedy zaginął Steven. Znów więc byli tylko we dwoje: Carrie i jej syn.

Około jedenastej w nocy zadzwoniła Suzita.

— Przyszedł pan Bonnatti — szeptała do słuchawki. — Chce się z tobą widzieć. Powiedziałam mu, że tylko na chwilę zeszaś na dół, do siebie.

— O, Boże! — Carrie nie mogła pohamować rozdrażnienia. — Nie mogę teraz przyjść! Nie dzisiaj. Nie mogę zostawić Stevena.

— Ale on wygląda na wkurzonego.

Carrie niecierpliwie bębniła palcami w słuchawkę. Czy Enzo Bonnatti uważa, że ona stała się jego własnością? Czy miała skakać na każde jego wezwanie?

A jednak musiała się zgodzić i wiedziała o tym.

— Zaraz tam przyjdę powiedziała odkładając słuchawkę.

Poszła do sypialni i popatrzyła na Stevena, który spał niespokojnie. Jeśli się obudzi, ona powinna być przy nim. Nienawidziła w tej chwili Bonnattiego i wszystkich mężczyzn razem z nim.

Zdjęła szlafrok, założyła sukienkę, delikatnie pocałowała Stevena w czoło i szepnęła do śpiącego

syna:

— Wymyślę coś dla nas, kochanie. Wyjedziemy stąd, obiecuję ci. Enzo Bonnatti leżał na jej łóżku ubrany i palił cygaro.

— To ja znajduję ci dzieciaka, a ty uciekasz od roboty? Co to jest, dom wypoczynkowy?

— Muszę znaleźć mu nową niańkę — odpowiedziała Carrie cicho, ale z wyrzutem.

Jego wzrok stwardniał jeszcze.

— No, to znajdź. Po to tu jesteś, żeby prowadzić interes.

— Wiem, panie Bonnatti. Proszę tylko dać mi trochę czasu.

— Jutro dostaniesz porcję proszku. Towar najwyższej jakości, wart sześć tysięcy. Chcę mieć tę forszę w kieszeni najdalej za tydzień, rozumiesz?

— Tak.

— Tak, tak. Co się z tobą dzieje? Chowasz się przede mną jak przed skunksem. Nie należy mi się trochę wdzięczności, co?

— Co mogę dla pana zrobić? — spytała cicho.

— Na więcej entuzjazmu cię nie stać? — szydził Enzo.

Carrie próbowała zmusić się do uśmiechu, ale nie potrafiła. Enzo zaciągnął się cygarem i przyglądał się jej jak małemu robakowi, którego jedyną funkcją życiową było zabawianie go.

— Rozbierz się — nakazał chcąc cię widzieć nago. I dodał, wskazując cygarem krzesło:

— Usiądź na nim okrakiem.

Carrie usłuchała, nie przestając myśleć o Stevenie z nadzieją, że chłopiec się nie obudzi. Zastanawiała się, w jaki sposób mogła wyrwać siebie i syna z tego upodlającego miejsca.

Enzo zaczął opowiadać o swojej żonie. Mówił o niej same obrzydliwości

i to go bardzo podniecało. Im dłużej mówił o własnej żonie, tym bardziej był podniecony.

Carrie usiłowała okazywać zainteresowanie, ale siedzieć na krześle jak martwy przedmiot pod wzrokiem obcego mężczyzny nie było łatwo. Chciało jej się krzyknąć, wstać i uciec jak najdalej. Enzo Bonnatti nigdy nie traktował jej jak odczuwającej, wrażliwej istoty.

Była dla niego jeszcze jedną kurwą, których miał na pęczki w całym mieście.

Dużo później leżała na łóżku w swoim ponurym pokoju na parterze, a Steven wiercił się we śnie

obok niej. Czy na taką wolność pracowała tak ciężko i tak długo? Posłuszne spełnianie zachcianek Bonnattiego, rozprowadzanie jego narkotyków?

A Leroy... Czy na pewno nie wróci, żeby węszyć dokoła i sprawić, że Carrie będzie żyła w wiecznym strachu? Że będzie zmuszona nie spuszczać Stevena z oka przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? Nie widziała wyjścia z matni. Ale... Był przecież Bernard Dimes.

Czy i tym razem mógł jej pomóc? To dziwne, ale sposób, w jaki patrzył na nią tamtego dnia na ulicy... Jeśli pójdzie do niego, opowie mu całą prawdę... Może warto chociaż spróbować. Warto było spróbować wszystkiego, co dawało jakąś szansę.

Zasnęła w końcu, ale ani ona, ani jej syn nie spali spokojnie.

Następnego dnia Victor i Split przynieśli małe torebki, pełne białego kokainowego proszku. Witali Carrie pełni humoru i energii, jak starzy przyjaciele. Wymieniali porozumiewawcze spojrzenia i zażądali bezpłatnego rżnięcia na miejscu.

Carrie wyznaczyła dla Victora Silver, a dla Splita Suzitę; sama tymczasem ukryła się w kuchni, gdy chłopcy zabawiali się z dziewczętami.

Steven siedział przy stole w kuchni, wciąż milcząc, a przed nim stał talerz jajecznicy. Jajecznica była jego ulubionym daniem, ale teraz Steven nie chciał jeść. Niezadowolony odsunął talerz daleko od siebie.

— Bądź grzeczny, kochanie, jedz — Carrie nie ustawała w prośbach. Chłopiec patrzył na nią poważnym wzrokiem czterolatka, odsuwając talerz.

coraz dalej, aż spadł na podłogę i rozbił się na kawałki.

— A niech to cholera! — krzyknęła oburzona Carrie i uniosła rękę, chcąc uderzyć syna.

Steven nie próbował się nawet uchylić.

Co chciała zrobić? Czy ogarniało ją już szaleństwo?

Podbiegła do niego i przytuliła go mocno do siebie.

— Przepraszam cię, kochanie. Przepraszam.

Steven siedział nieporuszony w jej objęciach Male, uparte ciało. Jedna z dziewcząt weszła do kuchni nago, okryta tylko niedbale szlaf-rokiem.

— Cześć, Stevie! — przymiliła się do chłopca. Ti, ti, ti!

Carrie wzięła syna na ręce.

— Powiedz Suzicie, że wychodzę — rzuciła nerwowo.

— Jasne.

Pobiegła do pokoju. Torebki z kokainą leżały porzucone na jej łóżku. Zapomniała schować.

Koniec z tym! — myślała Carrie. Koniec z narkotykami, koniec z usługiwaniem Bonnattiemu!

Posadziła Stevena na krzesło i zaczęła wrzucać ubrania do torby. Otworzyła szufladę i wyjęła z niej plik dwudziestodolarowych banknotów, ściśniętych gumką. Haracz dla Bonnattiego. Czowała się tylko winna wobec Suzity, która będzie musiała tłumaczyć się przed tym draniem. Ale co mogła na to poradzić?

Wzięła Stevena za ramię, w drugiej ręce niosąc torbę i wyszła cicho z pokoju.

Na dole umieściła chłopca w wózku spacerowym i pięć minut później była już na ulicy, pchając przed sobą wózek tak szybko jak mogła.

Zamierzała rozpocząć życie na nowo i nikt nie mógł jej w tym przeszkodzić.

Gino

1950

Maria uśmiechała się. Miała najpiękniejszy uśmiech na świecie i największy na świecie brzuch. Usiadła w ogrodzie ich domu w East Hampton i powiedziała bardzo cicho:

— Gino. Myślę, że powinieneś zawieźć mnie do szpitala. Gino wpadł w panikę.

— Jezu! Co mam zrobić? Do kogo mam zadzwonić?

— Zadzwoń do szpitala i powiedz, że jedziemy. I nie denerwuj się.

— Ja się nie denerwuję! Jesteś pewna, że to już? Uśmiechnęła się znowu.

— Jestem pewna.

— Rany boskie! Nie ruszaj się stąd — powiedział tylko i pobiegł do domu wezwać pomoc.

Pani Camden, niania, którą najęli, robiła na drutach, piła herbatę i słuchała radia.

— Szybko! — krzyczał Gino. — Ona rodzi!

Niania Camden ruszała się stanowczo za wolno jak dla Gina. Odłożyła robótkę na stół, przyglądała siwiejące włosy, aby się upewnić, że jej fryzura nie pozostawiała nic do życzenia, i w końcu wstała, bardzo, ale to bardzo powoli.

Gino nie mógł ustać w miejscu ze zdenerwowania. Zaalarmował już szofera i swojego goryla, po czym pobiegł po walizkę Marii, która czekała spakowana od kilku tygodni.

Gino nie mógł uwierzyć, że wreszcie- nadszedł tak długo oczekiwany moment. Miał zostać ojcem w wieku czterdziestu czterech lat! Już prawie stracił wszelką nadzieję.

Jak się czujesz, kochanie? Dobrze? Możesz chodzić? - Oczywiście! — Maria roześmiała się i ruszyła powoli w stronę samochodu, podtrzymywana z jednej strony przez panią Camden, z drugiej przez Gino.

Zadzwoiłeś do szpitala, prawda? Gino uderzył się w czoło.

Jezu! Zupełnie zapomniałem. Nie odchódz nigdzie. Pobiegł do domu z sercem bijącym jak na alarm. Wybrał numer i krzyknął do słuchawki:

Pani Santangelo już jedzie, przygotujcie wszystko! Kobiela po drugiej stronie była lodowata. Gino miał ochotę ją za to udusić. Co oni sobie wszyscy myślą, nie rozumieją, co się dzieje?

Wybiegł z domu i popędził do samochodu. Maria siedziała już wygodnie z tyłu, pani Camden obok niej. Gino wcisnął się na trzeciego i wziął żonę za rękę.

— Czy nie byłoby panu wygodniej usiąść z przodu? zapytała dość ostro niania.

— Nie, nie. Proszę się o mnie nic martwić. Maria skrzywiła się i złapała rękoma za brzuch.

— Boże! Co ci jest? — Gino krzyczał bez przerwy. — Red, ruszysz w końcu czy nie?!

Niania Camden zacisnęła usta.

Wielki zielony cadillac zajechał pod szpital w rekordowym czasie. Marię wprowadzono natychmiast do środka i Gino poczuł się nagle dziwnie zbędny.

— Proszę się nie przejmować — uspokajała go młoda pielęgniarka. Gdyby miał pan ochotę na kawę...

Na kawę, też coś! Czy ta dziewczyna postradała zmysły? Jak wszyscy ojcowie, Gino zaczął przemierzać tam i z powrotem długi szpitalny korytarz.

Maria. Jego żona.

Nie była to łatwa decyzja dla nich obojga. Wszyscy sprzeciwiali się temu małżeństwu. Wszyscy krzyczeli i zakazywali kategorycznie. A sama Maria uciekła do San Francisco, jakby ścigało ją prawo.

— Chcę się z nią ożenić — Gino wyjaśniał Coście.

Oszalałeś chyba. Przecież to nie na niej ci zależy. Tylko dlatego, że jest podobna do Leonory...

Bzdura. Kocham ją.

- Daj spokój, Gino. Bądźże rozsądny. Jesteś nieuczciwy wobec siebie i nas, a przede wszystkim wobec niej. Ona nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Ona jest jeszcze dzieckiem i jest tobą zauroczona.

Maria nie jest dzieckiem, ma dwadzieścia jeden lat i zamierzamy wziąć ślub.

- Możesz o tym zapomnieć. Leonora nigdy się na to nie zgodzi. Ale okazało się, że Leonora nie miała wyboru. Maria zaszła w ciążę i była przerażona. Udało jej się zadzwonić do Nowego Jorku w tajemnicy przed matką i przekazać Ginowi tę wiadomość. Gino natychmiast przygotował plan jej ucieczki. Tydzień później spotkali się w stanie Maryland i tego samego dnia wzięli ślub.

Leonora przysięgała, że nie odezwie się więcej do córki. Edward choć niechętnie, uczynił to samo.

Ale Gino i Maria niewiele się tym przejmowali. Oboje byli niezwykle szczęśliwi. Gino kupił dom w Fast I lampion, ten sam, w którym zakochali się w sobie. Pomalował go na biało, wybudował prosty basen, a ogród utrzymał w naturalnym, półdzikim stanie.

Po raz pierwszy w życiu czuł się tak szczęśliwy. Mana była cudowna, Gino wprost modlił się do

mej. I ani mu w głowie nie powstało, że jest tak podobna do matki.

- Ma pan wspaniałą córeczkę. Waży siedem limłów i pięć uncji jest zdrowa i prześliczna.

— Jezu Chryste! Jeezu!

Panie Santangelo! Spokojnie! Gino porwał pielęgniarkę w objęcia i tańczył z nią po korytarzu --

Panie Santangelo! Proszę mnie puścić!

Gino postawił ją bezceremonialnie na ziemi.

Moja żona! Jak ona się czuje?

Wspaniale. Doktor właśnie kończy ją zaszywać i...

Jak to, kończy ją zaszywać? Co to znaczy?

To normalne postępowanie. Kilka szwów... Doktor wszystko nami wyjaśni.

Rany boskie, jestem ojcem!- klepnął pielęgniarkę w pośladek Hej, chce pani cygaro?

Dziewczynka była najpiękniejszą na świecie istotą „bok Marii - jaką kiedykolwiek widział. Maleńka, o ciemne, karnacji, zwinięta w kłębek i owłosiona. Niesłychane!

Dzień po dniu Gino przesiadywał w szpitalu przyglądając się dziecku Nie wierzył prawie, że ta cudowna istota była jego córką.

Podoba ci się, prawda? - pytała z uśmiechem Maria.

- Jeszcze jak! śmiał się do żony, która leżała w łóżku bezwładnie jak szmaciana lalka, z twarzą opromienioną szczęściem, z długimi włosami zaplecionymi w warkocz.

- A więc - powiedziała Maria cicho - czas, żebyśmy dali jej

imię. Ma już sześć dni i nie można dłużej mówić do niej po prostu „córko".

— Myślałem o tym.

— To dobrze.

— Co myślisz o Lucky?

— Lucky?

— Lucky Santangelo. Podoba ci się?

— Tak, jeśli tobie się podoba. Nachylił się i pocałował żonę.

— Tak.

— A więc niech będzie Lucky.

Małżonkowie nie rozmawiali tylko o jednej rzeczy: o interesach Gina. Raz tylko Maria odważyła się go o nie zapytać, ale Gino uciszył

ją, kładąc palec na ustach.

- Nigdy o to nie pytaj. Robię to, co wydaje mi się dla nas najlepsze.

Nie potrzebował drugiej Cindy, która wiedziała, gdzie pogrzebano czyje ciało. Nie żeby Maria była w czymkolwiek do Cindy podobna.

Wniosła w jego życie tyle ciepła, że samo opiekowanie się nią czyniło go szczęśliwym. Miała tyle wspaniałych cech. A dziecko dopełniło jego szczęścia.

Ze względu na nią było mu przykro, że rodzina wyrzekła się jej. Maria jednak nigdy się nie skarżyła, nie narzekała. Ale kiedy urodziła Lucky i Jennifer przyszła w odwiedziny do szpitala, Gino usłyszał zadane szeptem pytanie:

— Powiedziałaś.... mamie? Jennifer westchnęła wtedy.

— Tak, oczywiście, że powiedziałam. Ale zdajesz sobie sprawę z tego, że Leonora nigdy ci nie wybaczy...

Te słowa nie były przeznaczone dla uszu Gina, a jednak je usłyszał. Rozczarowanie, które pojawiło się na pięknej twarzy Marii, wystarczyło, żeby zmusić go do działania.

Akurat musiał jechać na zachodnie wybrzeże, aby sprawdzić, jak postępuje budowa hotelu. „Mirage” był już gotowy, choć koszty jego wzniesienia przerosły planowany budżet o milion dolarów. W tej chwili wykańczano wnętrza. Gino chciał zobaczyć na własne oczy to, w co włożył tyle pieniędzy — a będąc w Kalifornii postanowił odwiedzić teściową. Cóż to była za ironia losu.

Maria nie chciała z nim jechać. Dopiero co urodziła dziecko i była słaba, a Gino zapewniał, że wróci za kilka dni. Na czas jego nieobecności miała zamieszkać u nich Jennifer. Poza tym, opiekę nad Marią mieli sprawować niania, gospodyni i dwaj goryle Gina.

Było prawdą, że gdy znaczenie i bogactwo Gina wzrastały, rosła też liczba jego wrogów. Gino przyzwyczał się już do tego. Rok wcześniej Bonnatti ledwo uszedł z życiem, z dwóch zamachów na niego. Młodzi, agresywni gangsterzy pragnęli jak najszybciej osiągnąć szczyt potęgi i nie wahali się przed okrucieństwem. Nie mieli też szacunku dla starszych szefów. Gino wspominał swoją pogardę dla Mustache Petes, gangsterów starej daty, którzy trzymali w garści wszystkie najbardziej dochodowe interesy w latach dwudziestych. Uważał wtedy, że byli śmieszni ze swoją elegancją i nieskazitelnymi manierami. W swoim czasie Gino także nie znał

szacunku. Pocałował żonę na do widzenia i niechętnie wyruszył na zachód.

Młody wydawał się teraz jeszcze bogatszy niż zwykle. Może powodowała to jego elegancka opalenizna, a może nie znikający z twarzy uśmiech. Pomimo uspokajających telefonów od Pippy Sanchez, Gino od razu wyczuł, że coś jest nie w porządku. Młody musiał kraść.

— Gratulacje! Co za wspaniała wiadomość! — powitanie, jakie zgotował mu Jake, nie mogło być gorętsze. — Mam tu upominek dla twojej córeczki, naprawdę drobiazg.

Gino otworzył kosztownie wyglądającą paczuszkę. W środku znajdowała się szczotka i grzebień ze szczerzego złota, na obu Jake kazał

wygrawerować *Lucky Santangelo*.

— Dziękuję ci, Jake — powiedział tylko Gino.

— To drobiazg, naprawdę.

Spotkali się na obiedzie w hotelu „Beverly Hills”. Przy boku Jake'a siedziała Pippa Sanchez.

— Przesłałam ci piętnaście scenariuszy — mówiła z wyrzutem. - Żaden ci się nie podoba?

— Nie na tyle, żeby ryzykować moje pieniądze — odparł. Pippa westchnęła ciężko.

Jake szturchnął ją pod stołem.

— Ona o niczym nie myśli, tylko o swojej karierze! — żartował. - Mówiłem jej tyle razy, że opieka nade mną to dla niej najodpowiedniejsza kariera.

— Spodziewam się — Gino nie uśmiechnął się nawet.

Pippa wyszła do toalety, posyłając im obu spojrzenie pełne pogardy.

— Kobiety! — wykrzyknął Jake. — A właśnie, chcesz jakąś na noc? Mam taką jedną... Słuchaj, jest tak gorąca, że...

— Nie — uciął Gino stanowczo. — Jestem żonaty.

— No tak. Ale przecież...

— Moi inwestorzy nie są zbyt szczęśliwi z powodu nagłego wzrostu kosztów. Szczerze mówiąc, są nieźle wkurwieni. — Ciemne oczy Gina świdrowały Jake'a na wylot.

Młody nie okazywał najmniejszego zaniepokojenia.

— Gino, co ty? Zbudowaliśmy hotel, z którego możemy być dumni. Poczekaj, aż go zobaczysz. Tam jest wszystko, czego możesz zapragnąć.

— Za te pieniądze trudno oczekiwać mniej.

— Nie chcę się chwalić — ciągnął radośnie Jake — ale poczekaj tylko, aż go zobaczysz. Umrzesz z zachwyty.

Przerwał, bo obok stolika przechodziła znajoma aktorka.

— Janet, kochanie, świetnie wyglądasz. Jak się miewa Tony? Musimy się spotkać kiedyś.

Gino zdecydował się postawić sprawę wprosi.

— Doszły mnie wieści, że nie każdy z moich dolarów poszedł na opłacenie budowy „Mirage”. Podobno całkiem sporo wylądowało w twoim portfelu.

Jake zarumienił się ze złości.

— Kto to powiedział? Kto ci to, kurwa, powiedział?

Gino wzruszył ramionami. Imponowało mu aktorstwo Jake'a.

— To nic... Tylko plotki. Nie ma się czym przejmować. Skoro to nieprawda, szkoda twoich nerwów...

Tym razem Maty Martino poleciał z nimi, rudowłosa mężczyzna o rozmiarach niedźwiedzia, który był niekwestionowanym królem komedii już od dwudziestu pięciu lat. Był gwiazdą w każdym znaczeniu tego słowa, ale Gina traktował jak członka rodziny królewskiej, który właśnie przyjechał z wizytą.

— W życiu tego nie robiłem powiedział — ale dla ciebie, Jake, i dla Gina wystąpię na otwarciu „Mirage”. A co więcej, będę przyjeżdżał

co roku na dwa tygodnie.

Kiedy jednak Gino usłyszał, ile Martino dostanie za tę grzeczność, z wrażenia prawie dostał ataku.

— On jest wart każdego centa, jaki mu płacimy zapewniał Jake. -- Centy mnie nie obchodzą. Mnie chodzi o dolary. Za te pieniądze można by sprowadzić dwóch Franków Sinatrów.

— Dwóch Sinatrów nie ściągnęłoby tylu ludzi co on jeden. Może i Jake miał rację.

Gino musiał przyznać, że hotel „Mirage” prezentował się wspaniale. Jake zrobił wszystko, co zaplanował, i wiele więcej. Inne hotele na wybrzeżu bladły przy „Mirage”, z jego marmurowymi posadzkami, kryształowymi kandelabrami idraperiami z jedwabiu. Robotnicy wciąż jeszcze uwijali się tu i ówdzie, dopracowując ostatnie szczegóły.

— No i co? — pytał z dumą Jake. - Jak ci się podoba?

— Zdaje mi się, Jake, że zbudowałeś nam cholerny pałac — Gino mówił powoli. — Może nawet za duży pałac.

— Co? — Jake wpatrywał się w niego z powagą. - Co przez to rozumiesz?

— To ma być hotel dla ludzi, dla zwykłych ludzi. Dla kogo ten cały luksus? Przekonasz się odparł poważnie Jake. Ten hotel zapracuje na

siebie. Każdy chłop, który przyjedzie do Vegas, zatrzyma się tutaj.

— Lepiej, żebyś miał rację.

— Zobaczysz.

Gino miał dość czasu, żeby się zorientować, czy Jake naprawdę kradnie pieniądze. Gino poinstruował Costę, aby przysłał mu najlepszych księgowych w celu dokładnego sprawdzenia ksiąg rachunkowych. Chciał mieć wypisany koszt każdej cegły i każdego kamienia, czarno na białym. W tym czasie mógł sobie pozwolić na trochę relaksu. Gdyby „Mirage”

rzeczywiście ruszył z miejsca, jak przewidywał to Jake, to czym byłoby te kilkaset tysięcy między przyjaciółmi? Jake był spryciarzem, trzeba mu było to przyznać. Gino miał tylko nadzieję, że Jake miał dość sprytu, by nie próbować tej samej sztuczki dwa razy.

W San Francisco panował upał. ale od oceanu wiała świeża bryza. Gino wprowadził się do hotelu „Fairmont” i zadzwonił do Leonory.

Telefon odebrała pokojówka i poprosiła Gina, aby się przedstawił.

— Chcę mówić z panią Grazione odparł. — Proszę jej tylko powiedzieć, że dzwoni bliski przyjaciel z Nowego Jorku.

Nastąpiła długa cisza w słuchawce. Gino bębnił niecierpliwie palcami w stół. Leonora. Mógł myśleć o niej, mógł głośno wymówić jej imię nie znaczyło już dla niego nic, było tylko pustym dźwiękiem.

— Słucham. Kto mówi? Gino poznał ten głos. Nie mógłby się pomylić.

— Dzień dobry, Leonoro. Tu Gino. — Czuł lodowatą, głuchą nienawiść, płynącą do niego poprzez drut telefonu. Dobrze przynajmniej, że nie odłożyła słuchawki.

Właśnie wczoraj przyjechałem do San Francisco — dodał szybko i uważam, że powinniśmy się spotkać. To ważne. Po co? Sople lodu.

— Ponieważ... Myślę, że tak będzie uczciwie wobec wszystkich zainteresowanych. Nie sądzisz?

— Raczej nie.

-- Zależy mi na tym.

— Czyżby?

— Tak. Bardzo.

Długa, kamienna cisza. Gino czekał. W końcu Leonora odezwała się.

— Ty to naprawdę masz czelność. Nie przypuszczałam, że... Przerwał jej w pół zdania.

— Cokolwiek masz do powiedzenia, najlepiej powiedz mi prosto w oczy. Mogę przyjechać do ciebie albo ty do mnie. Jak wolisz?

Być może zadziałał jego rozkazujący, pewny ton, bo Leonora odpowiedziała natychmiast:

— Przyjadę do ciebie. Gdzie mieszkasz?

— W „Fairmont”. Czy...

Tym razem ona nie pozwoliła mu skończyć.

— W barze. O szóstej.

Gino usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

Siedział w barze popijając burbona i spoglądając od niechcienia na zegarek. Było dokładnie dwadzieścia trzy po szóstej.

Minutę później Leonora weszła do baru w długim futrze z nerek i ciemnych okularach. Platynowe włosy miała upięte w elegancki kok.

Podeszła do Gina pewnym krokiem, usiadła obok na barowym stołku i złożyła zamówienie.

— Martini. Tylko wytrawne. I bez oliwek.

Po czym odwróciła się, uniosła ciemne szkła okularów i przyjrzała mu się uważnie.

— Ty bydlaku — wycedziła przez zęby. -lak ja cię nienawidzę.

Przypominała mu podstarzała;) cichodajkę, groteskową karykaturę dawnego piękna. Znikły gdzieś prostota i delikatność. Zamiast tego oczy były błękitnymi kawałkami lodu, a usta zaciśnięte w krzywym grymasie. Gino oceniał, że musi mieć jakieś czterdzieści lat.

Wyglądała, jakby przeżyła każdą minutę swojego wieku.

— Miłe powitanie powiedział.

Zrzuciła z ramion futro i włożywszy do ust papierosa pochyliła się w stronę Gina, aby go zapalił. Mógł zajrzeć w jej dekolt i czuł Chanel 5 zmieszane z innymi kobiecymi zapachami. Nie czuł się zbyt pewnie.

Zapalił jej papierosa. Leonora zaciągnęła się głęboko, wydmuchnęła mu dym prosto w twarz i

powiedziała: A więc? Czego ode mnie chcesz?

To w niej kochał się nieprzytomnie przez pół życia? To ją pragnął mieć za żonę? Jezu! jakie szczęście, że mu się nie udało!

— Gratuluję — powiedział spokojnie. — Zostałaś babcią. Roześmiała się w głos.

— I to właśnie chciałeś mi oznajmić?

— Uważam, że ktoś powinien. Maria nie dostała od ciebie ani słowa, więc sądziłem, że może nie wiesz.

Znów się zaśmiała. Jej głośny, przenikliwy śmiech przyciągnął uwagę ludzi siedzących obok.

— A któż to jest, ta Maria? spytała szyderczo. Gino z trudem hamował złość.

— Twoja córka. Twoje dziecko. I jest jeszcze jedno dziecko w twoim życiu, a mianowicie twoja wnuczka, Lucky. Ma trzy tygodnie.

Leonora zmrużyła oczy.

— Ja nie mam żadnej córki. Ani tym bardziej wnuczki. Rozumiesz, Gino? Nie mam.

Gino nie podnosił głosu.

— Ty podła dziwko.

— O Boże. Czyżbym cię uraziła? Uraziłam szanownego Gina Santangelo. Ach, bardzo mi przykro.

Wiedział teraz, dlaczego zgodziła się przyjść. Potrzebna jej była ta drobna satysfakcja, musiała odegrać tę swoją głupią gierkę.

Maria chciaaby, żebyś do niej napisała powiedział spokojnie. Nie obchodzi mnie, czego za to chcesz. Zażądaj, to dostaniesz. Tylko zrób to, skontaktuj się z nią. Niech wie, że nie jest ci obojętna.

— Aha. Dostanę wszystko, czego zażadam, tak?

— Tak.

To hojnie z twojej strony. Wypiła alkohol jednym haustem i postawiła przed nim pusty kieliszek.

— Na początek postaw mi drinka. Gino przywołał barmana.

— Hmmmmm... Leonora namyślała się. Jak daleko jesteś gotów posunąć... swoją ofertę?

Cokolwiek chcesz odparł ciężko. Jak on nienawidził tej kobiety. Niech pomyślę... Nowe futro? Samochód sportowy... albo... a może mieszkanie w Nowym Jorku? No co, Gino, czy to nie za dużo dla ciebie?

Gino wiedział, że każdy ma swoją cenę.

— A więc, mieszkanie w Nowym Jorku. Tak? — spytał cicho.

— Tak. — Leonora wahała się jeszcze. Nie. O Boże, to taka trudna decyzji.

Zgasiła papierosa i natychmiast wyjęła z paczki następnego. Znow kazała go sobie przypalić, pochylając się i ukazując mu jeszcze więcej za dekoltem.

Gino pragnął tylko wyjść nareszcie i odetchnąć świeżym powietrzem. Robiło mu się niedobrze od zapachu jej perfum, papierosowego dymu i chciwości.

- Już wiem - oznajmiła z ożywieniem.

— Tak?

To proste. Jedno małe rżnięcie.

Gino patrzył jej prosto w oczy.

Leonora uśmiechnęła się.

— Tylko raz, Gino. Ten raz byłeś mi winien przez te wszystkie lata. Gino nie wierzył własnym uszom.

— Ty zapijaczona dziwko. Czy ty w ogóle wiesz, co mówisz?

— A ty naprawdę uważasz, że za pieniądze można kupić wszystko? -Zsunęła się ze stołka i założyła futro.

— Nie poszłabym z tobą do łóżka, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na świecie.

W jej oczach pojawił się złowrogi blask.

Kiedy moja córka wyszła za ciebie, przestała dla mnie istnieć, i koniec. Zapamiętaj to sobie dobrze. Gino wstał.

— Wiesz, co mam ochotę ci zrobić. Mówiła teraz głośno, czując swoje zwycięstwo:

— Dlaczego mnie nie nastraszysz, Gino? Dlaczego nie naślesz na mnie jednego ze swoich morderców, co? Jesteś tylko podłym, małym kryminalistą i nie uda ci się mnie przekupić. Zrozumiesz to wreszcie? Mnie nie przekupisz!

Gino oddychał głęboko i starał się myśleć o Marii. Pomyśl o Marii! — huczało mu w głowie. Wiedział, że w innym wypadku zabije Leonorę na miejscu.

Rzuciła mu jeszcze parę przekleństw- i wyszła. Wszyscy patrzyli na niego. Gino podpisał czek i

opuścił bar. Maria będzie miała wszystko, co zechce, z wyjątkiem jednego — matki. Ale on nigdy, już nigdy więcej nie przyjdzie tu, żeby ją błagać. Nigdy.

Carrie

1943—1944

Pędząc ulicą ze Stevenem w wózku Carrie doznawała rozmaitych emocji. Przez chwilę czuła się zupełnie szczęśliwa, że zdobyła się na odwagę i zerwała krępujące więzy. Ale zaraz ogarniał ją strach, że Bonnatti będzie jej szukał i w końcu ją dopadnie. Postanowiła, że już nigdy nie będzie się sprzedawać, że nie będzie już zaspokajać perwersyjnych popędów lubieżnych mężczyzn ani znosić od nich upokorzeń. Ten rozdział jej życia był dla niej definitywnie skończony — niezależnie od tego, myślała, czy Bernard Dimes pomoże im czy nie.

Szła, nucąc pod nosem i zatrzymała się po drodze tylko raz, żeby kupić Stevenowi lizaka. Przyjął go bez podziękowania, jakby była wrogiem. Carrie w myślach obrzucała Leroya przekleństwami. Miała nadzieję, że dostał, co mu się należało.

Chwilami oglądała się za siebie nerwowo, żeby sprawdzić, czy nie jest śledzona. Nikogo nie zauważyła, ale na wszelki wypadek weszła do Macy'ego tylko po to, żeby natychmiast stamtąd wybiec, przeszła ulicę do Gimbelsa, gdzie jeździła z jednego piętra na drugie jak oszalała. W końcu uznała, że jest już bezpieczna, i zadowolona z siebie wzięła taksówkę. Kazała kierowcy zatrzymać się o przecnicę od miejsca na Park Avenue, gdzie mieszkał Bernard Dimes. Zbliżając się zwolniła kroku, jej pewność siebie znikła. Co ona mu powie?

Zatrzymała się o kilka domów od rezydencji Dimesa i postanowiła rozważyć jeszcze raz inne możliwości. Nie było ich wiele. Jeśli zamieszka w hotelu albo spróbuje wyjechać z miasta, Bonnatti może ją znaleźć. Tak nie można. Carrie wiedziała, że potrzeba jej opieki kogoś cieszącego się powszechnym szacunkiem. Mogłaby ryzykować, gdyby chodziło tylko o nią, ale teraz liczyło się bezpieczeństwo Stevena.

Ruszyła dalej, jej krok znów był pewny. Po chwili dzwoniła do drzwi domu przy Park Avenue, w których pojawiła się znajoma twarz Rogera. Lokaj rozpoznał ją, ale nie był całkowicie pewien.

Carrie była chłodna, opanowana. Kogo mam przedstawić? Carrie.

— Carrie? lokaj podniósł brwi. Czy pan Dimes oczekuje pani?

- Tak.

Roger wprowadził ją i Stevena do hallu. Carrie wzięła głębszy oddech i zastanawiała się, co powie Ucinowi.

— Proszę chwileczkę zaczekać — Roger był bardzo uprzejmy.

Ta chwila trwała wieczność. Może Bernard Dimes nie zechce jej widzieć, a wtedy problem tego, co Carrie mu powie, w ogóle nie zaistnieje. Roger wrócił wreszcie.

— Tędy, proszę.

Poszła za nim do pracowni, pchając Stevena przed sobą.

Bernard Dimes wstał zza biurka. Rękawy jego jedwabnej koszuli były podwinięte, a na biurku piętrzyła się sterta papierów. Nosił

okulary w metalowych oprawkach, a jego szpakowate włosy były w nieładzie. Nie widziała go nigdy takim.

— Carrie! — przywitał ją ciepło Bernard.

— Panie Dimes. — Carrie zerknęła niepewnie na Rogera.

— Czy będę panu potrzebny? — spytał lokaj. Bernard spojrział na zegarek.

— Herbata gotowa?

— Natychmiast, proszę pana. — Roger wyszedł z pokoju i jednocześnie Bernard zbliżył się do Carrie.

— To bardzo miła niespodzianka — powiedział.

— Mam nadzieję, że tak. — Carrie rozglądała się niepewnie po wyłożonej boazerią pracowni, nie śmiąc spojrzeć mu w oczy.

— Ja także mam tę nadzieję.

Nastąpiła długa i niezręczna cisza. Bernard spostrzegł, że Carrie wygląda na zmęczoną i zdenerwowaną. Podeszedł i wziął ją pod ramię.

— Wszystko w porządku? — zapytał z przejęciem.

Carrie już wzruszyła ramionami, gotowa powiedzieć, że tak, oczywiście gdy nagle straciła cały swój chłód i panowanie nad sobą. Stała przed nim z grymasem płaczu na twarzy i łzy napłynęły jej do oczu.

— Co się stało, Carrie... — zaczął Dimes.

Roger wszedł do pokoju z herbatą na srebrnej tacy. Bernard popchnął wózek w stronę lokaja i kazał Rogerowi zabrać Stevena na dół.

Następnie zaprowadził Carrie do krzesła i kazał jej usiąść.

— Opowiedz mi wszystko — poprosił z powagą w głosie. To zawsze pomaga, wiesz.

Roger wyszedł, a Carrie zaczęła swoją spowiedź, przez łzy. Nie ukrywała niczego. I to wyznanie rzeczywiście pomogło jej. Czuła, jakby ogromny ciężar zwałił się z jej ramion na ziemię. Bernard słuchał uważnie, poił ją gorącą, słodką herbatą, zbywał wszystkich, którzy do niego dzwonili, ocierał

jej z twarzy łzy i był szczerze przejęty.

Dzień szarzał za oknem pracowni, nastał zmierzch. Carrie właśnie doprowadziła swoje opowiadanie do końca, mówiła o historii z Leroyem, Stevenem i Bonnattim.

— I przyszedł do pana... bo wiem, że pan jest dobry... i nie mam nikogo innego. Ale jeżeli pan nie może mi pomóc, ja rozumiem... —

Była tak zmęczona, że nie miała już siły mówić. — Naprawdę rozumiem.

Bernard odpowiedział głosem cichym, ale stanowczym:

— Ja mogę ci pomóc, Carrie. Chcę ci pomóc.

— Dziękuję panu. — Carrie chwyciła jego rękę. — Bardzo panu dziękuję. Wiedziałam, że pan może... wiedziałam na pewno...

Dokładnie rok później Bernard Dimes i Carrie pobrali się. Uroczystość ślubna odbyła się bez zbędnego przepychu w ratuszu miejskim.

Pięcioletni Steven nie mógł ustać w miejscu z podniecenia.

Bernard wymyślił dla Carrie własną wersję jej historii. Była w niej afrykańską księżniczką, którą rzekomo poznał na safari w Kenii.

Niewiarygodne, jak wielu ludzi wierzyło jego opowieści.

Ludzie z kręgów teatralnych nie posiadali się ze zdumienia. Bernard Dimes zenił się! Z Murzynką! I te skandaliczne plotki o jej przeszłości, na pewno zmyślone! Bernard nie zamierzał wyprowadzać nikogo z błędu.

Sporo wysokich, eleganckich blondynek nie mogło pohamować rozczarowania i złości. Tak długo starały się o względy Dimesa, a teraz on zenił się z czarną dziewczyną! Co takiego miała w sobie, czego one nie mogły mu dać?

I tak dwie sprzeczne wersje historii Carrie krążyły z ust do ust, co sprawiało Bernardowi nie lada przyjemność. Cieszył się, widząc niewymowne zaskoczenie na twarzach znajomych.

— Boję się — mówiła czasem Carrie.

— Czego, przeszłości? To już historia, która nie wróci. Teraz ja będę dbał o twoje bezpieczeństwo.

Carrie ufała mężowi. Był w jej oczach taki mądry. Nie mogła wprost uwierzyć w swoje szczęście. Przyjął ją i Stevena bez żadnych uwag. Wysłał ją do swego domu letniskowego na Fire Island, gdzie Carrie po raz pierwszy w życiu cieszyła się samotnością. W każdy piątek przyjeżdżał do niej z miasta z naręczami prezentów dla niej i dla Stevena, który w końcu, powoli, wrócił do normalności i znów był jak dawniej gadatliwym, wdzięcznym dzieckiem.

Czasem Carrie niepokoiła się Enziem Bonnattim. Bernard uspokajał ją zawsze:

— Twoje związki z tymi ludźmi należą do przeszłości. Teraz już nie mogą ci nic zrobić, zrozum.

Z czasem Carrie uwierzyła jego zapewnieniom.

Dom Bernarda stał przy Ocean Beach, gdzie mieszkała większość światowych, szanowanych ludzi. Odpowiadało jej to życie, a i Steven był tam szczęśliwy, szczególnie z powodu cotygodniowych wizyt Bernarda. Carrie dzieliła zadowolenie syna. Zauważyła, że z niecierpliwością oczekiwała każdego piątkowego wieczoru. Tęskniła do widoku tego wysokiego, wyjątkowego mężczyzny, który traktował ją z taką czułością i okazywał jej tyle względów. Nigdy nie próbował zbliżenia fizycznego. Spał w pokoju gościnnym i nalegał, aby ona wraz z synem ulokowali się w głównej sypialni. Z początku Carrie była tym mile zaskoczona, ale wkrótce zaczęło ją to niepokoić. Czy zrobiła coś złego? Czy Bernard jej nie chciał? Z powodu jej przeszłości?

Po sześciu miesiącach, gdy nie zaszły w tym względzie żadne zmiany, Carrie nie mogła dłużej tego znosić. Pewnej nocy weszła do jego pokoju w długiej, przezroczystej nocnej koszuli, z rozpuszczonymi, lśniącymi włosami. Bernard spał mocno, lekko chrapiąc.

Carrie usiadła przy nim i pogładziła go po twarzy.

— O co chodzi? — spytał Bernard, starając się wrócić szybko do przytomności.

Carrie czuła, że to śmieszne, ale nagle bardzo się zawstydziała.

— Czy ty mnie nie chcesz, Bernardzie? — szepnęła w końcu. Usiadł na łóżku i ujął jej twarz w swoje dłonie.

— Ależ chcę, Carrie. Chcę, żebyś wyszła za mnie.

Była zaskoczona i wniebowzięta. Zdawało jej się, że podświadomie oczekiwała takiego obrotu sprawy. I poczuła, że pragnie, aby Bernard spędził z nią najwspanialszą noc swego życia.

Bernard był delikatnym kochankiem, czułym, niewymagającym i szybkim. Dla Carrie nie miało to znaczenia. Leżała w jego ramionach i drżała z radości. Dla niej w każdym razie była to najwspanialsza noc w życiu.

A teraz była już panią Dimes. W wieku trzydziestu jeden lat mogła rozpocząć nowe życie.

Gino

1951

Otwarcie hotelu „Mirage” było niezwykle huczne. Wierny swoim zapewnieniom, Młody Jake sprowadził tuziny gwiazd Hollywoodu, a to sprawiło, że na otwarciu roiło się od prasy. Dokładnie tak jak Jake to przewidział. Naturalną koleją rzeczy było wobec tego, że interes ruszył z kopyta, a goście z całej Ameryki rezerwowali pokoje na długi czas naprzód.

Jake siedział dumny i uśmiechał się lekko.

— Mówiłem ci, że budujemy kopalnię złota! chwalił się w rozmowie telefonicznej z Ginem, kilka miesięcy po otwarciu „Mirage”. —

Hotel pęka w szwach! Nie mamy w ogóle wolnych pokoi. No i co o tym myślisz?

— Myślę, że to bardzo dobra wiadomość odpowiedział bez zachwytu Gino. Umieścił kilku zaufanych ludzi w dyrekcji hotelu i donoszono mu, że ten dzban pełen złota miał jednak dziurawe dno. Nie ulegało już wątpliwości, że Jake przywłaszczał sobie część nie swoich pieniędzy. Co z niego za idiota, myślał Gino z irytacją.

— Gino, okaz wreszcie trochę entuzjazmu! — nalegał Młody. — Jezu, urobiłem się po łokcie w tym cholernym hotelu i dzięki mnie zbijemy teraz fortunę. Syndykat powinien być ze mnie dumny!

— Oczywiście, że jest. Słyszałem, że wymyślili już specjalny sposób, żeby okazać ci swoją wdzięczność.

Naprawdę? — Jake był bardzo zadowolony.

— A tak. — Gino odwiesił słuchawkę i zastanawiał się nad głupotą Młodego. Taki z niego spryciarz w pewnych sprawach, a taki głupiec w innych. Niestety, będzie musiał zostać ukarany dla przykładu. Nie kradnie się we własnym domu. Przynajmniej, jeśli chce się trochę pożyć.

Pukanie do drzwi przerwało tok jego myśli. Była to pani Camden z Lucky.

— Mała musi się teraz zdrzemnąć, panie Santangelo — oznajmiła niania.

Gino spojrział na dziewczynkę i uśmiechnął się. Miała zaledwie kilka miesięcy, a już można było zauważyć klasę i styl.

— Hej, ona jest co dzień ładniejsza! Chyba zostanie gwiazdą filmową! Na pewno, panie Santangelo — odparła sucho pani Camden. Nie było

takiego ojca wśród jej pracodawców, który nie uważałby, że urodziło mu się cudowne dziecko.

Śpij dobrze, kochanie — szepnął do córki, zanim niania zabrała ją do sypialni.

Chwilę później do pokoju nowojorskiego domu wbiegła Maria. Gino kupił ten dom w prezencie dla

żony, ponieważ nie miał ochoty spędzać zimy w East Hampton, chociaż Maria byłaby równie szczęśliwa spędzając tam okrągły rok.

— Gino! — krzyczała Maria od progu, która z rozwianymi włosami, w futrzanych butach i kożuchu wyglądała jak księżniczka z bajki.

— Gino, mam wspaniałą wiadomość!

Gino zawsze uśmiechał się do żony, gdy wchodziła do pokoju.

— Jaką, kochanie? — spytał leniwie.

Policzki Marii pałały od ostrego styczniowego powietrza, a w jej pięknych oczach błyszczały iskry radości.

— Znów jestem w ciąży! — oświadczyła z przejęciem, triumfująco. — I tym razem to będzie syn. Obiecuję!

— Niemożliwe! — Gino był zachwycony. Podbiegł do żony, przytulił ją mocno i obsypał pocałunkami. Maria tuliła się do niego jak zmarznięte zwierzątko, szukające bezpiecznego schronienia.

— Czy to nie cudowne? — westchnęła. — Jestem taka szczęśliwa! Gino rozpiął guziki jej kożucha, objął jej smukłą talię i uścisnął

lekko.

— Słuchaj, o co ci chodzi z tym synem? Wszystko mi jedno, syn czy córka. Mogą być bliźniaki.

— Na pewno chcesz syna. Każdy mężczyzna chce mieć syna. Gino uścisnął ją jeszcze mocniej.

— Bzdura!

— Nie tak mocno, to boli.

— Przepraszam. — Gino puścił Marię i zaczął delikatnie pieścić jej piersi. — Tak lepiej?

— Gino! Nie teraz.

— Dlaczego?

— Bo... ktoś mógłby wejść.

Maria była bardzo pruderyjna, co Gino uwielbiał.

— Jesteśmy u siebie zauważył.

— Wiem... — Maria próbowała wyrwać się z jego objęć — ale jest dzień, tyle ludzi wokół...

Gino powstrzymywał śmiech.

— Zamknę drzwi na klucz. — Maria spojrzała na niego nieśmiało.

— Dobrze.

Nagła uległość Marii zaskoczyła go. Byli małżeństwem od roku i dwóch miesięcy, a ona nie przestawała go podniecać bardziej niż jakakolwiek inna kobieta. Miała w sobie naturalną, silną potrzebę seksu, której towarzyszyła pewna niechęć do całkowitego wyzwolenia się od wstydu. Gino wprost uwielbiał tę kombinację.

Jak dotąd Maria odmawiała wszystkiego, co wiązało się z seksem oralnym, ale Gino miał nadzieję, że uda mu się ją przekonać.

Wiedział, że kiedy doprowadzi ją do pewnego punktu, Maria ulegnie mu całkowicie i bez zahamowań. Zaczął ją powoli rozbierać.

— Zamknij drzwi szepnęła.

Gino szybko spełnił prośbę. Maria tymczasem zaciągnęła ciężkie zasłony w oknach i ułożyła się na miękkim, ozdobionym kwiatami łóżku.

Gino pieścił ją delikatnie, gładził uda, zdejmował części ubrania, sprawiając, że Maria wzdychała z rozkoszy. Kiedy chciała zdjąć futrzane buty, Gino powstrzymał ją:

— Nie zdejmuj. Wyglądasz w nich bardzo podniecająco.

— Gino!

Gino ostrożnie pieścił jej płaski, umięśniony brzuch, z radością wyobrażając sobie, jak w środku rośnie dziecko. Jego dziecko. Pochyli!

się, aby całować ten brzuch, i stopniowo schodził coraz niżej, aż dotknął wargami jedwabistego, złocistego futerka. Przez chwilę zdawało mu się, że Maria pozwoli, aby posuwał się dalej, ale dziewczyna cofnęła się. Przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta.

— Dlaczego nie chcesz? — szepnął Gino. — Mamy dziś święto.

— Nie teraz — odparła szeptem. — Nie tutaj.

— Dlaczego?

— Och, Gino! Nie wiem.

— Polubisz to.

— Kiedyś, może.

— Kiedy?

— Już niedługo, obiecuję ci. Daj mi trochę czasu...

— Dobrze. — Zdjął resztę jej ubrania. Mamy przed sobą całe życie, prawda, kochanie? — Chwilę później Gino wszedł w nią lekko i prowadził jej piękne ciało do orgazmu, po którym Maria była wyczerpana i szczęśliwa.

— Kocham cię — szepnęła.

— Ja też cię kocham. Ciebie i Lucky i tę małą istotę, którą nosisz w sobie, kimkolwiek jest. — Obejmował ją czule i leżeli tak, aż zadzwonił telefon. — Słucham? — Gino odezwał się do słuchawki niechętnym głosem.

— Gino? Mówi Enzo. Muszę się z tobą spotkać. Coś ważnego?

— Bardzo.

— Spotkamy się w „Riccardi”.

— O szóstej?

— Dobrze.

Enzo Bonnatti miał swoje kłopoty. Zaangażowanie w prostytucję i handel narkotykami stawiały go nieraz w niebezpiecznej sytuacji dużo łatwiej niż Gina. Z trudem przychodziło mu panowanie nad sytuacją, a jednak udawało mu się to. Bezwzględnie, choć z pozorną łatwością, eliminował wszystkich wrogów. Przemoc zawsze wydawała mu się najpewniejszym i najprostszym rozwiązaniem wszelkich problemów. Gino nie zgadzał się z nim.

— Są dwie drogi do szczytu — powtarzał. Jedna prowadzi przez rozlew krwi, ale jedno morderstwo pociąga za sobą następne. Ja wolę tę drugą, wysilić mózgowicę i zarobić kupę forsy. W ten sposób dłużej utrzymam swoją siłę.

Enzo śmiał się z tego.

— Tak, przyjacielu, z łatwością. O ile nikt nie stanie ci na drodze. A wiesz dobrze, że to się zdarza aż nazbyt często.

I tu Enzo miał rację. Nie było chwili, żeby ktoś nie próbował im przeszkodzić.

Enzo siedział przy stoliku, mężczyzna o posturze siłacza, z serwetką wsuniętą za kołnierz koszuli, a przed nim stał talerz wspaniałego spagetti, jak zwykle przygotowanego przez Barbarę.

Gino usiadł na krześle po drugiej stronie stołu.

— Ciao, Enzo.

— Witaj, przyjacielu.

— Jak się miewa Francesca?

— Doskonale, dziękuję. A Maria?

— Również. Znów będzie miała dziecko.

— Gratuluję. Wypijmy więc za nie.

Enzio napełnił winem drugi kieliszek. Obaj wzniesli toast, pełni powagi.

— Na zdrowie — powiedział Enzo i dodał: — Oby tym razem urodził ci się syn.

Gino roześmiał się.

— Co wy wszyscy z tym synem, do diabła? Wszystko mi jedno, czy urodzi się chłopak, czy dziewczyna.

Ja mam dwóch synów, którzy przejmą po mnie interes, kiedy mnie zabraknie odparł Enzo z powagą w głosie. — Ty też powinieneś o tym pomyśleć.

— Ja tam nigdzie się nie wybieram w najbliższym czasie. Możesz być tego pewien.

— To dobrze. W takim razie powinieneś zatroszczyć się o swojego przyjaciela z Las Vegas. Najwyższy c/as.

— Wiem, Enzo, wiem. Tylko najpierw muszę być pewien, że mam kogoś odpowiedniego na jego miejsce. Prowadzenie hotelu nie jest takie łatwe, jak się zdaje. Pokusa jest ogromna. Nie chcę popełnić tego samego błędu drugi raz.

Enzio nawinął na widelec długi zwój spaghetti i włożył do ust. Kropelki sosu wylądowały na serwetce.

— Słyszałem dzisiaj, że Młody sprzedał swoje udziały Pinky'emu Kas-sariemu z Filadelfii.

Gino był pewien, że się przesłyszał.

— Pinky'emu Banana? Nie wierzę.

— A powinieneś. Moje źródło jest pewne.

— Ależ, Enzo. Dopiero co z nim rozmawiałem. Przecież, powiedziałały mi o tym gdyby...

— On kręci i to mi się nie podoba. Cholernie mi się nie podoba. Enzo włożył do ust następną porcję spaghetti. — Załatwisz to sam, czy ja mam się tym zająć?

Gino poczuł przyływ zdenerwowania i zastanawiał się. Miotły Jakc okazał się zwykłym, tanim

oszustem. A do tego jeszcze pieniądze, które on, Gino, regularnie płacił Pippie Sanchez. Nie pisnęła nawet słowem, że Jake znał Pinky'ego Banana, nie mówiąc już o tym, że zamierzał sprzedać mu swoje udziały w „Mirage”.

— Jeszcze dzisiaj tam polecę — powiedział przez zaciśnięte usta. Ja jestem za to odpowiedzialny. W końcu to ja zebrałem syndykat. Ty się o nic nie martw.

— Ja się nie martwię, Gino. Wkurza mnie tylko, że ten żydowski gówniarz sądzi, że coś takiego ujdzie mu na sucho.

— No tak. Ale jemu to nie ujdzie na sucho, Enzo. Enzo wytarł do czysta talerz kawałkiem chleba.

— Miałem nadzieję, że to powiesz.

Lot był długi. Dość czasu, żeby wszystko jeszcze raz przemyśleć. Dość czasu, żeby ułożyć niezawodny plan działania.

Red i nowy człowiek z otoczenia Gina, zwany Mały Willie, siedzieli po drugiej stronie kadłuba, oszukując się wzajem w karty i pijąc czysty bourbon.

Zadanie nie przedstawiało właściwie większego problemu. Gino żałował tylko, że Jake'a trzeba było jednak sprzątnąć. Szkoda, myślał, ale w końcu sam był sobie winien, frajer.

Pinky Banana za to mógł sprawić kłopot. To zależało od interesów, jakie robił z Młodym.

Pinky Banana. Bandzior z rewolwerem a przynajmniej Gino tak go pamiętał. Gino nie mógł sobie wyobrazić, jak to możliwe, że teraz ludzie zwracają się do niego per „panie Kassari”. A jednak Pinky odcisnął swoje piętno w Filadelfii i był tam poważany jako jeden z najpotężniejszych szefów. Miał teraz czterdzieści cztery lata on i Gino byli rówieśnikami. Gino miał mu tylko jedno do powiedzenia: zabieraj swoją forszę i wynoś się stąd.

Gino wprowadził się do hotelu „Beverly Wilshire”. Red i Willie zajęli sąsiednie pokoje. Gino wciąż jeszcze wynajmował dom w Bel Air, ale nie chciał, by wszyscy w Los Angeles wiedzieli, że przyjechał. Lepiej będzie, jeśli zaskoczy Młodego.

Podczas gdy Red załatwiał prywatny samolot, którym mieli polecieć do Vegas, Gino zadzwonił do Nowego Jorku i ponad pół godziny rozmawiał z Marią. Jej głos w słuchawce uspokajał go, bo Gino z niechęcią myślał o tym, co miało się stać.

Wrócę za kilka dni — zapewniał żonę. — Odpocznij, pij dużo mleka i bierz witaminy, które ci lekarz przepisał, kiedy miałaś urodzić Lucky, pamiętasz?

Maria zaśmiała się cicho po drugiej stronie.

Gino! Mówisz, jakbyś był moją matką! Ciina jednak to nie rozbawiło.

Ja ci dobrze radzę, a ty się śmiejesz. Co z ciebie za pacjentka? Nie jestem pacjentką. Jestem

całkowicie zdrową kobietą, która oczekuje dziecka.

— Kocham cię, kiedy jesteś taka gruba. Do widzenia, Gino.

Sama rozmowa z nią podniecała go. Wziął zimny prysznic, ubrał się elegancko i sprawdził, czy Red załatwił wszystko według ustaleń.

— Wszystko gotowe, szefie. Zamówiłem samolot na szóstą.

Pippy Sanchez nie było w Vegas z Młodym. Dostała małą rolę w filmie z Clarkiem Gable'em i spędzała tydzień w Hollywood przygotowując się do zdjęć.

Tak przynajmniej powiedziała Jake'owi. W rzeczywistości zamieszkiwała z nieco podstarzałym asystentem reżysera, który znalazł dla niej tę drobną, ale interesującą rolę, i w zamian spodziewał się jednoznacznego okazania wdzięczności. Gdyby Młody dowiedział się, że Pippa sypia z kimś innym, zabiłby ją. Tak przynajmniej nieraz powtarzał.

Pippa była dziewczyną przyzwyczajoną do wolności. Kiedy Jake kazał jej spędzić noc z Ginem, była zaskoczona, ale choć nie mogła mu tego okazać, sprawiło jej to przyjemność. Najbardziej w życiu ceniła sobie odmianę, co nie znaczyło jednak, że nie była przywiązana do Jake'a. Młody pasował do jej wyobrażenia na temat tego, jak powinna się prezentować jako aktorka, a na dłuższą metę to było najważniejsze. Miała nawet nadzieję skłonić Ciina albo Jake'a na sfinansowanie jakiegoś filmu. Przez okrągły rok namawiała Ciina, wysyłała mu scenariusze, obiecywała krociowe zyski, jakie mógł przynieść udany film. Jak dotąd, bez rezultatu.

Myślała właśnie o tym, parkując swego różowego llumderbirda na podjeździe prowadzącym do domu, w którym mieszkała z Młodym.

Przy-

gryzając dolną wargę zastanawiała się, czy wynajęty przez nią scenarzysta posunął się trochę w pracy nad zamówionym przez nią scenariuszem. Prawdą było, że nie mogła zainteresować Gina żadną zmyśloną historią. Ale jeśli Gino dostanie do ręki film o nim samym, napisany na specjalne zamówienie, to zupełnie zmieni sprawę. Oczywiście, będzie tam wspaniała kobieca rola, do której ona, Pippa Sanchez, będzie pasować wprost idealnie.

W domu panowała cisza, z wyjątkiem delikatnego szumu lodówki. Jake nienawidził jej.

— Wywal to z mojego domu! — krzyczał. — Nie zniosę dłużej tego hałasu!

Lodówka jednak została. Była wielka, bo żadna mniejsza nie wystarczyłaby na potrzeby Jake'a. Młody żył w ciągłym strachu, że Mały Martino, Errol Flynn albo jakiś inny gwiazdor mógł odwiedzić go i chcieć zjeść coś, czego on by akurat nie miał. Bał się jak ognia, że zostanie uznany za złego gospodarza, który nie ma zielonego pojęcia o prowadzeniu domu. I dlatego, czy Jake był akurat w mieście czy też nie, jego ogromna, hałaśliwa lodówka, zawsze stała wypełniona po brzegi.

Pippa ściągnęła sukienkę. Pod spodem miała skąpe, lśniące bikini, przywiezione z Europy, które

pasowało jak ulał do jej zmysłowej figury.

Przeszła przez biały salon i skierowała się do basenu, którego chłodna woda połyskiwała zapraszająco. Przez chwilę stała na brzegu, głęboko wdychając powietrze i po chwili zanurkowała, zgrabnie, gładko, tnąc czystą wodę jak nóż. Pippa potrafiła świetnie pływać.

Gino przyglądał się jej nieznacznie z okna werandy. Przyjechał przed kwadrans, wsunął sto dolarów w rękę pilnującego domu goryla, aby trzymał się z daleka, i czekał spokojnie. Czekał krócej, niż się spodziewał.

Pippa przepłynęła basen dwadzieścia razy i wspięła się po drabince na brzeg.

Gino wyszedł na zewnątrz. Jego strój wyraźnie nie pasował do upału słonecznej Kalifornii: miał na sobie ciemny garnitur, kamizelkę, niebieską koszulę i wąski krawat. Jego figura rzucała w słońcu złowieszczy cień.

Pippa wydała okrzyk zaskoczenia:

— O Boże, Gino! Skąd się tu wziąłeś? Wystraszyłam się ciebie!

— Rozczarowałaś mnie — Gino powoli wymawiał słowa

Pippa narzuciła na siebie szlafrok. W desperacji próbowała zebrać myśli. Co on tu robi? Czy Jake o tym wie?

— Rozczarowałam cię? — Pippa spróbowała obrócić to w żart. — Nie rozumiem.

Gino nawet się nie pocił, co przy tym upale było zgoła niemożliwe.

— Nie jest ci za gorąco? spytała, obracając w palcach złoty krzyżyk, który nosiła na szyi.

— Pakuj rzeczy. Masz dokładnie godzinę od tej chwili.

Pippa poczuła, że to ona się poci. I śniące kropelki mieszały się z wodą z basenu, która jeszcze nie wyschła na jej skórze. Ale Pippa nie była osobą, która łatwo traci równowagę. Przy jej trybie życia nie pozwalała się łatwo zastraszyć.

— Coś nie w porządku, Gino? — spytała opanowując się.

— I to bardzo — Gino odparł lodowatym głosem. Obciągnęła szlafrok na sobie i mocno związała paskiem.

— Wejdz do środka, zrobię ci drinka i opowiesz mi o wszystkim — zaprosiła.

— Nie masz czasu. Tracisz cenne minuty. Gino był nieporuszony. — Masz już mniej niż godzinę.

— Co się stało? prawie krzyknęła, a jej oczy zapaliły się niebezpiecznie. Zaskoczenie i pierwszy

strach minęły już, była gotowa do walki. Gino mógł rozkazywać Młodemu, ale z pewnością nie jej.

— Kradłaś moje pieniądze oznajmił Gino bez cienia emocji w głosie. — Brałaś ode mnie forszę i nie mówiłaś ani słowa prawdy o tym, czym zajmuje się Jake. Nie powiedziałaś mi nic. Nic.

Bo nic nie było do powiedzenia. — Wzruszyła ramionami. — Naprawdę.

I mówiąc to wiedziała, że kłamie, a jeszcze gorsze było, że Gino o tym wiedział. Co ją podkusiło, żeby opowiedzieć Młodemu o pieniądzach, które Gino jej obiecał w zamian za donoszenie na niego? Idiotka! Wtedy tak nie uważała. Jake obsypał ją prezentami, podarował jej diamentowy naszyjnik i wręczył żetony wartości pięciu tysięcy dolarów, za które mogła grać w kasynach „Mirage”, kiedy tylko chciała.

Wiedziała doskonale, że Jake kradnie, ale co z tego? Ona i Młody nieraz chichotali w łóżku całą noc na myśl, że Gino Santangelo nigdy nie będzie w stanie udowodnić Młodemu, że przywłaszcza sobie jego pieniądze. Nigdy.

— Nie zamierzam wysłuchiwać twoich usprawiedliwień — głos Gina był teraz szorstki. — Gdybyś była mężczyzną, nawet nie rozmawiałbym teraz z tobą. Leżałabyś na dnie tego basenu albo umierała we wraku samochodu. Rozumiesz?

Pippa zrozumiała i w tej samej chwili wrócił strach. Znowu poczuła, jak się poci.

— Przykro mi... — wyjąkała. — Bardzo mi przykro...

— Wierzę — odparł Gino uprzejmie — i dlatego nie chcę cię skrzywdzić. Chodźmy do domu. Będę patrzył, jak się pakujesz.

— Dokąd mam pojechać? — szepnęła.

— Do Hiszpanii.

— Do Hiszpanii? — Pippa była przerażona. Nie mogę jechać za granicę, mam zdjęcia w przyszłym tygodniu i...

— Do Hiszpanii — przerwał jej Gino. — Pojedziesz tam i zostaniesz, co najmniej dwa lata. A jeśli wrócisz wcześniej...

Nie musiał kończyć zdania.

Młody uwielbiał Vegas, a Vegas jego. Pasowali do siebie Jake i to pełne światła i splendoru miasto pośrodku pustyni.

„Mirage” nie zawklł oczekiwań, a wręcz przeciwnie. Jake spacerował po hotelu, a w jego głowie powstawał plan kolejnego, jeszcze większego

przedsięwzięcia. Co za pomysł! Będzie budować jeden hotel za drugim, a każdy następny będzie

większy i wspanialszy od poprzedniego.

Kiedy Pinky Kassari zaproponował Młodemu kupno udziałów w „Mirage”, Jake zgodził się natychmiast. Suma, którą wymienił, była astronomiczna, lecz Pinky przyjął ją bez mrugnienia okiem. Jake wiedział, że powinien był uprzedzić o swoim zamiarze Gina, poprosić o pozwolenie — ale co będzie, jeśli Gino się nie zgodzi? W końcu Jake postanowił powiedzieć wszystko Ginowi, ale dopiero wtedy, kiedy będzie już za późno na powstrzymanie transakcji.

Było za późno. Jake i Pinky oblewali transakcję fontanną szampana w towarzystwie tuzina gwiazd filmowych i trzech tancerek o potężnych biustach. A jednak Jake żałował, że Pippa nie towarzyszyła mu tego wieczoru. Jej chęć zrobienia kariery doprowadzała go do szaleństwa. Będzie musiał coś postanowić. Może powinien zainwestować część swej nowej fortuny w jakiś film, w którym Pippa mogłaby zagrać. Bóg jeden wie, od jak dawna Pippa próbowała go do tego namówić.

— Co potrafi ta ruda? Pinky przyglądał się lubieżnie jednej z dziewczyn.

— Weź ją na górę i sam sprawdź — śmiał się Jake, skutecznie kryjąc nienawiść, jaką czuł do Pinky'ego, a jednocześnie czując ogromne zadowolenie z faktu, że pierwsza część zapłaty spoczywała już bezpiecznie w jego sejfie w sypialni.

— Może wezmę wszystkie trzy — Pinky śmiał się na całe gardło.

— Bardzo proszę. Jesteś moim gościem.

— Właśnie taki mam zamiar. — Pinky otarł ślinę w kąciку ust. Wiek nie uczynił go bardziej przystojnym. Miał małe i podłe oczy, mięsiste wargi, a cofająca się linia tłustych włosów sprawiała, że jego twarz wydawała się coraz większa i coraz bardziej rybia.

Ubierał się bez smaku, w krzykliwe kolory i był trzykrotnie żonaty. Żył teraz ze swoją czwartą żoną, była striptizerką o blond włosach i nieco tępym umyśle, która czekała na niego w Filadelfii z trzema pekińczykami, które zabierała ze sobą na każdy wyjazd. Pinky miał

tylko dwoje dzieci: dwóch otyłych synów bliźniaków z pierwszego małżeństwa, podobnych do ojca jak dwie krople wody.

Pinky miał złośliwą naturę, był chciwy i zepsuty przez bogactwo i siłę. A przy tym od dwudziestu dwu lat chował urazę do Gina Santangelo. Wykupienie Młodego za każdą cenę było dolnym sposobem, aby zbliżyć się do Gina i załatwić starą sprawę.

Gino pojawił się w Las Vegas tak samo niepostrzeżenie jak w Los Angeles. Zaskakiwanie ludzi zawsze sprawiało mu przyjemność — i tym razem chciał ujrzeć zaskoczenie na twarzy Młodego, kiedy przysiądzie się obok Pinky'ego do jego stołu.

Tak. Teraz wiedział już wszystko. Nareszcie.

Kiedy Pippa zaczęła w końcu mówić, nie mogła przestać. Podobnie zresztą jak inni. Wszyscy chcieli nagle okazać całkowitą lojalność i oddanie, ponieważ wiedzieli doskonale, na co się zanosi, i

pragnęli uratować własną skórę.

Czarna limuzyna zabrała Gina z lotniska prosto do hotelu. Gino paradował przez duże lobby, a w ślad za nim szli Red i Mały Willie, nie spuszczać go z oczu. Ukradkowe spojrzenia i szepty znaczył drogę Gina. Rozpoznawano go.

Menedżer kasyna przybiegł osobiście, aby go powitać, ale Gino nie chciał być zatrzymywany.

— Później, później — machnął tylko ręką i wszedł do środka.

— Kurwy to po prostu towar — tłumaczył Pinky. — Handel. Każda jest dobra tylko przez parę miesięcy, a potem musisz szukać nowych.

Jake opanował ziewnięcie. Kogo interesowały wywody tego przygłupa na ten temat? Na jakikolwiek temat zresztą?

— W Filadelfii mam całą sieć domów publicznych. Najświeższy towar w mieście — przechwalał się Pinky, rozgrzany własnym entuzjazmem. — Rozumiesz, ja znam się na tym jak nikt inny. Sprowadzam panienki, zatrudniam przez parę miesięcy, a potem wysyłam je do znajomych miejsc w Ameryce Południowej. To jedyny sposób.

— Jasne — zgodził się Jake, szturchając lekko jedną z tancerek, żeby zajęła się Pinkym. Dziewczyna zmarszczyła nos z niezadowoleniem, ale tutaj rozkazywał Jake.

— Panie Kassari — powiedziała przymilnie — podziwiałam właśnie pański garnitur. Jaki piękny materiał!

Pinky był zadowolony.

— Tak uważasz, laleczko? No, a ja właśnie podziwiałem twoje cycki. Co ty na to?

Dziewczyna nie zdążyła jednak odpowiedzieć, bo właśnie w tej chwili Gino wszedł do prywatnego salonu, w którym Jake i Pinky jedli kolację. Przy stole zapanowała panika. Młody Jake zbladł wyraźnie pod swoją opalenizną. Pinky Banana otworzył w zaskoczeniu usta.

— Cześć, chłopcy — przywitał ich radośnie Gino To zamknięte przyjęcie, czy można się przyłączyć? Po drugiej stronie stołu zaproszone osobistości nie zwracały uwagi na nagłe pojawienie się jeszcze jednej osoby i nic nie zakłócało rozmów i śmiechu.

Za to wszystkie trzy tancerki natychmiast zrozumiały, że coś się dzieje. Widziały to w twarzy Jake'a, która zdradzała silne zdenerwowanie. Ciino! zawołał Młody. Co ty tu robisz?

--- A cóż to za miłe powitanie? odpowiedział pytaniem Gino, przysuwając sobie krzesło i siadając przy stole.

— Przecież dopiero co rozmawialiśmy przez telefon jękał się Jake. Byłeś w Nowym Jorku.

A teraz jestem tutaj. — Gino uśmiechnął się. — O. i widzę, że mój stary przyjaciel Pinky Banana też tu jest! Jak się masz, stary. Dawno cię nie widziałem.

Pinky posłał Młodemu mordercze spojrzenie, a następnie spróbował uśmiechnąć się do Gina.

— Wiesz, nikt już tak do mnie nie mówi, od dawna. Ach tak?

Pinky był czerwony z nerwów.

Młody zdawał sobie sprawę z niewesołej sytuacji. Zaczął się wiercić w krześle.

Słuchaj, cieszę się, że przyjechałeś. Dużo się tu działo ostatnio i właśnie chciałem ci o wszystkim opowiedzieć. — Jake mówił bez przerwy, żeby pokryć zmieszanie. Chodźmy do mojego biura, to wszystko ci wyjaśnię, co? Jak myślisz?

Ciino zmroził go spojrzeniem czarnych oczu.

Ty cholerny idioto syknął Ciino - wiesz dobrze, że za późno na wszelkie wyjaśnienia. Niestety, za późno.

Trzy miesiące później, wcześniej rano, Ciino odwiedził jak zwykle Lucky w pokoju dziecięcym. Miała już dziesięć miesięcy, czarne oczy i czuprynę czarnych włosów.

Kochasz tatusia? — Ciino przemawiał do niej, pochylony nad kołyską. Pokaż, jak kochasz tatusia. Moja kochana księżniczka.

Gino wziął ją na ręce i przytulił mocno. Mała Lucky zakwiliła radośnie. Gino trzymał ją szczęśliwy, oddychając świeżym zapachem dziecka. gdy Maria wbiegła nagle do pokoju. Wyglądała na zdenerwowaną.

— Ciino — powiedziała, wciskając mu do ręki gazetę czy to nie jest człowiek, który dla ciebie pracował?

Ciino przeczytał nagłówek.

CIAŁO JAKE'A COHENA ODNALEZIONE NA PUSIYNI Jake Cohen, znany jako „Miody”, został odnaleziony dzisiaj w grobie wykopanym na pustyni, dziesięć mil od Las Vegas. Ciało znajdowało się w stanie silnego rozkładu. Ponurego odkrycia dokonali dwaj autostopowicze dzisiaj o dziesiątej rano po tym, jak silna burza zniszczyła prawie cały grób.

Artykuł miał jeszcze dalszy ciąg. Ciino szybko przebiegał oczami tekst. Biedny, stary Jake. Doigrał się i dostał za swoje.

— No i co?

Ciino przypomniał sobie nagle, że Mana wciąż stoi obok i czeka na wyjaśnienie.

- Tak - starał się nadać swemu głosowi niedbały ton — to ten sam

facet.

Maria czekała, że Gino powie coś więcej, ale on nie miał takiego zamiaru. Znów wziął na ręce Lucky i bawił się z nią, a żona nie zadawała mu więcej pytań. Lekko musnęła jego policzek.

- Chcesz zjeść śniadanie? Mogę zrobić coś specjalnego. Gino roześmiał się i chwycił Marię za pośladek.

— To ja mam dzisiaj dla ciebie coś specjalnego!

— Gino!

Marię zawsze można było zawstydzić. Gino to uwielbiał.

W godzinie lunchu restauracja „Riccardi” była pełna ludzi. Barbara i jej dzieci uwijały się roznosząc talerze pizzy i karafki wina.

Gino, mimo to, że przytył ostatnio kilka funtów, zamówił lazanię. Enzo nie próbował nigdy niczego poza spaghetti w sosie bolońskim, a Aldo jadał wyłącznie czystą cielecinę.

Chinię od tego - powtarzał Aldo, zjadając ogromne porcje mięsa i wołając na dzieci, aby przyniosły więcej.

O tak - odparł chłodno Gino, patrząc jak przyjaciel zjada dokładkę. Z pewnością.

Enzo powoli, metodycznie nawijał na widelec spaghetti, z serwetką wsuniętą za koszulę.

Trzej mężczyźni siedzieli przy stoliku na zapleczu restauracji. Stolik przy drzwiach zajmowali goryle. Dawno minęły czasy, kiedy wszyscy trzej lekceważyli ryzyko.

— A więc mamy wojnę powiedział w końcu Enzo. — I jeśli o mnie chodzi, to chciałbym jak najszybciej położyć temu kres.

Gino zgodził się.

— Trzeba pozbyć się Pinky'ego, to załatwi sprawę.

— Musimy to zrobić — odparł Enzo. Żaden sukinsyn nie będzie mi bruździł. Nie obchodzi mnie, kim jest.

— Racja — Gino kiwnął głową. Pinky Banana sprawiał same kłopoty od czasu tamtego spotkania w Las Vegas. Gino starał się załatwić sprawę uczciwie. Zaproponował Pinky'emu, że zwróci mu pieniądze, a kiedy Pinky odmówił, Gino wysłał gotówkę przez specjalnego posłańca. Dwa dni później posłańca znaleziono w hotelu „Mirage” z pieniędzmi i z kulą w głowie.

— Tym razem się mnie nie pozbędziesz — powiedział przez telefon Pinky. — Raz. ci się to udało i więcej się nie powtórzy. Mam udział

w „Mirage” i zamierzam go zatrzymać.

A więc walka toczyła się nadal.

Zaufani ludzie Gina zostali wprowadzeni do administracji hotelu, ale Pinky był zdecydowany przejąć cały interes i to przy użyciu siły, jeśli będzie trzeba. Posypały się morderstwa: najpierw menedżer kasyna, potem jedna z barmanek i krupier. A takie wypadki nie sprzyjały prowadzeniu hotelu. Im większy prasa wywoływała skandal, tym mniej przybywało gości.

— Ja się tym zajmę postanowił Gino. W Bulflallo jest płatny morderca, który załatwi sprawę.

— Im wcześniej, tym lepiej - dodał Enzo

Pierwszego kwietnia 1951 roku Pinky Banana obudził się wcześnie. Jego

czwarta żona, którą nazywał pieszczotliwie Pirania, spała obok niego. Jej chrapanie doprowadzało go do szaleństwa.

W sypialni śmierdziało psimi odchodami. Pinky obudził żonę kopniakiem.

Te twoje cholerne psy! Znów nasrały na podłogę! Pirania przetarła oczy, rozmazując wczorajszy makijaż. Co?

Pinky był wściekły.

Twoje pierdolone psy obsrały mi cały dywan! Pirania usiadła na łóżku. Była naga. Mówiono, że ma najbardziej sprężyste piersi w całej Filadelfii. Czasami Pinky myślał, że zamiast żony poślubił parę ogromnych cycków.

No to co? jęknęła. - Od zapachu jeszcze nikt nie umarł. No tak, ty powinnaś wiedzieć - szydził Pinky. Pamiętasz jeszcze, kiedy się ostatni raz kąpałaś?

To wystarczyło, żeby przebudzić Piranię na dobre.

I ty śmiesz mówić, że ja jestem brudna, ty śmierdzielu? Zamachnęła się, żeby uderzyć go w policzek, ale Pinky w samą porę chwycił ją za ramię.

— Puść mnie!- wrzeszczała. Puszczaj!

Wszystkie trzy pekińczyki przebudziły się na głos pani. Dwa od razu wskoczyły na łóżko, a trzeci oparł się łapami o jego krawędź i szczekał zajadle.

— Ucisz te cholerne kundle! - wrzasnął Pinky.

Chodźcie tu. chodźcie do mamusi, moje maleństwa. Pirania przygarniała swoje pieski.

W końcu czekały już wszystkie trzy, a dwa wskoczyły na Pinky'ego. Zrzucił je z siebie brutalnie, puszczając rękę żony, która wykorzystwała okazję i uderzyła go w twarz, drapiąc długimi paznokciami.

Ty kurwo! - wrzasnął z bólu Pinky.

— Ty kutasie! - Pirania nie pozostawała dłużna.

Psy przyłączyły się do bójki. Pinky chwycił jednego za sierść na karku i cisnął o ścianę. Pies wylądował w kącie, skomląc z bólu i strachu. Pirania przestała bić męża i podbiegła do swego pupilka.

— Ty sukinsynu! — głos jej chrypiał. - Skrzywdziłeś Miśka! Mam w dupie Miśka!

— A ja mam w dupie ciebie!

Pinky wyskoczył z łóżka i wdepnął prosto w psią kupkę.

— Kuuurwa mać! — wrzasnął i pobiegł do łazienki.

Pirania okryła się płaszczem, wzięła na ręce skomlącego pekińczyka, porwała ze stołu klucze do cadillaca Pinky ego i wybiegła z domu.

— Już dobrze, kochanie szeptała do pieska Mamusia zabierze cię do lekarza.

Pinky mył właśnie nogi, gdy usłyszał eksplozję. Pierwszą jego myślą było, że ktoś do niego strzela i odruchowo rzucił się na podłogę.

Kiedy minął pierwszy szok, Pinky wstał i ostrożnie wyszedł z łazienki. Rozejrzał się po pokoju i zobaczył, jak za okuciu sypialni dymi wrak jego samochodu.

O kurwa - Pinky wyszeptał z przejęciem. To mogłem być ja.

Syn Gina urodził się pierwszego września 1951 roku. Jego syn!

To był najwspanialszy moment w jego życiu. Chłopiec otrzymał imię Dario. Gino świętował przez okrągły tydzień. Maria śmiała się i mówiła:

— Przecież obiecałam ci, że będziesz miał syna.

Gino obsypywał ją pocałunkami i dziękował Bogu za tak cudowną żonę.

Dario był drobnym chłopcem, ważył tylko nieco ponad pięć funtów i był zupełnie niepodobny do Lucky: chudy, z niebieskimi oczyma, bladą cerą i rękoma jak patyki.

Lucky miała już rok i trzy miesiące, była stwor/ona na podobieństwo ojca. Miała taką samą

oliwkową cerę, te same czarne oczy i ciemne, kręcone włosy. Gino kochał ją bard/o, ale narodziny syna to było coś zupełnie innego.

Maria postawiła sprawę otwarcie, zanim jeszcze wyszła ze szpitala.

- Musimy być bardzo ostrożni nalegała. — Nic możemy pozwolić, żeby Lucky czuła się zazdrosna o białą.

Zazdrosna? Chyba żartujś/. Kocham ich oboje.

W takim razie postaraj się kochać oboje tak samo ostrzegła Maria.

Oczywiście, że tak! zapewnił (lino wiedząc, że to nieprawda. Syn był jego bezpośrednią kontynuacją. Córka nigdy nie mogła być dla niego tym samym.

— Ten skurwiel zawsze spada na cztery łapy — wściekał się Enzo. Nie widziałem jeszcze czegoś takiego.

— W każdym razie osiągnęliśmy nasz cel — tłumaczył spokojnie Gino. Pinky nie będzie się więcej wtrącał.

- Mylisz się, jeśli naprawdę tak myślisz.

— Jeśli okaże się, że się mylę, to pozbędziemy się go raz na zawsze.

— Cholera! — Enzo nie dawał za wygraną. Mówię ci, że powinniśmy mieć na niego oko!

Gino westchnął.

— Zabiliśmy jego żonę. Dostał ostrzeżenie. Będzie się trzymał z daleka. Być może. Ale nie na długo.

W śmiechu Gina pobrzmiewała niezachwiana pewność siebie.

— Słuchaj, ja go znam. Zaczynaliśmy razem na jednej ulicy. Zawsze był podszyty tchórzem i nie zmienił się od tamtej pory. Możesz się założyć.

Ja się z nikim nie zakładam.

To lepiej. Mówię ci, Enzo, zaufaj mi. Schowa się w tej swojej Filadelfii i nosa na zewnątrz nie wystawi. Koniec naszych kłopotów.

— Chciałbym, żebyś miał rację.

— Jasne, że mam. Wiem, że mam.

Gino zapalił długie cygaro i uśmiechnął się.

— Chcesz zobaczyć mojego syna? Chodź, pokażę ci. Dario Santangelo. Najpiękniejszy dzieciak na całym tym cholernym świecie!

Czwartek, czternasty lipca

1977 Nowy Jork

Steven patrzył w ślad za odchodzącą Lucky. Odczekał, aż dziewczyna zniknęła mu z oczu, i sam też ruszył schodami w dół. Był

zmęczony, brudny i zdenerwowany po całej nocy spędzonej w klatce windy. I tym bardziej zdenerwowany, że przyszło mu spędzić tę noc w towarzystwie osoby tak aroganckiej i agresywnej jak Lucky. Boże, przecież ona wyrażała się jak jakiś kierowca ciężarówki! A jednak... co za uroda! Po całej nocy spędzonej w windzie wciąż wyglądała szalenie atrakcyjnie.

Zmusił się, żeby przestać o niej myśleć. Co on sobie w ogóle wyobrażał? Przecież nie zwracał uwagi na żadną kobietę, od chwili gdy zdecydował, że Aileen jest tą, którą kocha.

Dario powoli wracał do przytomności. Z początku nie pamiętał nawet, gdzie się znajduje. Po chwili jednak przypomniał sobie wszystko i z wrazenia usiadł, czując natychmiast ołowiany ciężar w okolicach żołądka.

Zaskoczony stwierdził, że jest we własnym łóżku. Bolała go głowa. Bolał żołądek. Bolało krocze.

— Jak się czujesz? — spytał głos.

Dario zamrugał oczami. Pojedyncza świeczka słabo rozpraszała ciemność panującą w pokoju. Ktoś siedział na krześle przy drzwiach.

Dario próbował zwlec się z łóżka, ale gdy tylko dotknął stopami podłogi, poczuł nagły przyływ mdłości i zakręciło mu się w głowie.

— Wszystko w porządku — odezwał się głos. Jestem Sal. Przysłał mnie tu Costa Zennecotti na wypadek, gdyby coś ci groziło.

Przepraszam, że tak ci przyłożyłam, ale musiałam się upewnić, kim jesteś.

Dario podniósł głowę i jęknął gorzko:

— Wielkie dzięki.

— Bez urazy. — Ktoś, kto siedział w fotelu, wstał i podszedł do niego. I dopiero teraz jak grom z jasnego nieba spadło na Daria olśnienie: Sal była kobietą.

Zanim Elliott Berkely obudził się, Carrie była już całkowicie ubrana i chodziła nerwowo po pokoju.

— Sądziłem, że nie będziesz dziś wstawać z łóżka — zauważył z niezadowoleniem Ellioll. W końcu, przeżyłaś wczoraj silny szok.

— Nic mi nie jest. - Carrie starała się, by jej głos brzmiał radośnie. Nie wstawać z łóżka przez cały dzień! Tylko to było jej teraz potrzebne.

— Cholera! — zaklął Elliott przekręcając kontakt w łazience. — Ciągłe nie ma prądu! Co się, u diabła, dzieje w tym mieście?

Carrie wzruszyła ramionami. Zastanawiała się, co stanie się z jej życiem, i miasto niewiele ją obchodziło.

Kierowca przywiózł (iina do Nowego Jorku w rekordowym czasie. O dwunastej trzydzieści pędzili już przez zatłoczone ulice Manhattanu, ostrożnie mijając skrzyżowania pozbawione sygnalizacji, trzęsąc się na ulicznych wybojach.

— A można by pomyśleć, że w końcu naprawią te jezdnie — narzekał kierowca. Rząd chyba przepija pieniądze podatników, zamiast...

Były to pierwsze słowa wypowiedziane w tym samochodzie od początku podróży. Jazda w milczeniu odpowiadała Ginowi. Komu porzebna czcza gadanina?

Lucky zeszła dwadzieścia siedem pięter i bolały ją nogi. Obtarła sobie stopy, wciśnięte w modne, ale ciasne czółenka na wysokim obcasie. Cholerna moda. Żałowała, że nie ma na sobie tenisówek, szortów i zwykłej koszulki. Wyobraziła sobie minę Costy, gdyby stawiała się na spotkanie w takim stroju, i uśmiechnęła się do siebie. Właściwie, dlaczego nie? Jest w końcu dorosła, sama decyduje o sobie, może zrobić, co jej się podoba. Cokolwiek. Jej Potężny Tata nie mógł już dłużej kierować jej życiem, rozkazywać jej i straszyć.

Gino Santangelo. Wielki człowiek. Ojciec. Tata. Gino Santangelo. Tyran.

Boże! Lada dzień Gino może wrócić do kraju. Lada dzień!

Zatrzymała się dla nabrania oddechu. Czowała respekt przed spotkaniem z ojcem. To będzie dla niej prawdziwe wyzwanie.

Przygryzła wargę i zamknęła na moment oczy. Pragnęła teraz tylko jednego — położyć się do własnego łóżka. W oddali za sobą słyszała kroki, ktoś schodził po schodach. Steven Jak-mu-tam. Sztywniak.

Czując narastające zmęczenie, Lucky zawzięła się i ruszyła dalej. Jeszcze tylko dwadzieścia pięter.

Chwileczkę! Dario zdołał wreszcie odezwać się normalnym głosem. - Przecież ty jesteś kobietą!

— No proszę! Od razu zauważyłam, że coś ze mną nie lak, kiedy się rano kąpałam.

Dario opadł na łóżko i jęknął znowu.

— Cios masz raczej męski - stwierdził z podziwem.

Sal roześmiała się. Miała trzydzieści cztery lata, ważyła sto sześćdziesiąt pięć funtów i była silna jak wół. Miała krótkie, kręcone włosy i twarz Shirley MacLaine. Była bramkarzem, gorylem, stróżem porządku i słynęła z tego, że wykonuje swoją robotę cicho i sprawnie. Jej usługi nie były tanie, ale

Sal zarabiała ciężko na każdego centa, który jej płacono. Była ubrana w czarny garnitur, miała niski głos, więc nic dziwnego, że Dario nie od razu się zorientował.

— Słuchaj — odezwała się — w kuchni leży twój „kłopot” z nożem do chleba sterczącym z brzucha. Kto to jest?

Dario znów jęknął.

— Nie wiem. Chciał mnie zabić, więc... — urwał. Sal wzruszyła ramionami.

— Nie masz się czym przejmować. Przypuszczam, że będziesz chciał pozbyć się tego trupa. To będzie cię oczywiście trochę kosztować.

— To nieważne. Costa zapłaci.

— Dobrze. Teraz się prześpij. Nie wychodź przez jakiś czas. Za parę godzin będziesz miał z głowy jego i mnie. Rozumiesz?

Dario pokiwał głową, ale w dalszym ciągu nie rozumiał nic. Zaraz się obudzę, myślał, i to wszystko okaże się tylko snem.

— Masz, weź to. Ławiej zaśniesz.

Dario wziął z ręki kobiety kilka turkusowych kapsulek. Za parę minut zapadł w głęboki sen.

Sal przyglądała mu się uważnie. Dario Santangelo, tak? Syn (iina. Może właśnie teraz uśmiechnęło się do niej szczęście?

Costa przesiedział noc w biurze. Łóżko było całkiem wygodne. W jego wieku nawet nie myślał o tym, żeby schodzić pieszo tyle pięter.

Zadzwoił do Sal, aby zaopiekowała się Dariem, a następnie na lotnisko. Powiedziano mu, że Gino został skierowany do Filadelfii.

Wiedział, że Gino będzie z tego niezadowolony. Tyle lat trudnych negocjacji, żeby umożliwić mu powrót do kraju... Ale w końcu jedna noc w Filadelfii to jeszcze nie koniec świata. Byłoby niemądrze ze strony Gina, gdyby próbował dostać się do Nowego Jorku jeszcze dzisiaj. Burmistrz ogłosił stan wyjątkowy i zanosilo się na to, że przerwa w dostawie prądu potrwa dłużej, niż wszyscy się spodziewali.

W końcu Costa poluzował na szyi krawat, zdjął marynarkę i zasnął spokojnie.

O dziewiątej rano obudził go telefon. Dzwonił Gino. — Jestem w drodze — oznajmił. Czekaaj na mnie w „Pierre” około południa.

Tym razem Costa nie przejmował się koniecznością schodzenia pięćdziesiąt jeden pięter po twardych betonowych stopniach. Gino chciał się z nim spotkać. Mimo że upłynęło tyle lat, gdy Gino czegoś

chciał, Costa robił to natychmiast.

Powinniśmy chyba odwołać jutrzejsze przyjęcie — powiedział z niezadowoleniem Elliott. Nie cierpiał, kiedy jakieś nieprzewidziane okoliczności wtrącały się bez pardonu w jego misternie ułożony plan działania.

— Jestem pewna, że awaria nie będzie trwała tak długo Carrie próbowała go pocieszać.

— Taaak — Elliott zmarszczył brwi. — Wiesz, na co mam ochotę? --- Na co? — spytała z nadzieją, że Elliott miał ochotę wyjść z domu i spędzić resztę dnia w biurze.

— Mam ochotę pojechać gdzieś. Na Bahamy, na Hawaje, może na Wyspy Dziewicze. Co o tym myślisz?

Carrie myślała, że był to potworny pomysł. Wyjechać stąd i żyć w ciągłym strachu, że tu, w Nowym Jorku, był ktoś, kto w każdej chwili mógł wydać jej tajemnicę? Niemożliwe.

Zmusiła się do beztroskiego śmiechu.

Nie żartuj. Nie możemy teraz wyjechać.

- Dlaczego nie?

-- Bo nie. Mamy wyznaczone spotkania do końca września, te wszystkie kolacje, na które obiecaliśmy przyjść, przyjęcia, otwarcia wystaw... — Mówiła o wiele za szybko i zauważyła to.

— Nic, czego nie można by odwołać — przerwał jej Elliott.

— Przecież nic lubisz sprawiać ludziom zawodu.

- Tylko parę tygodni. To ci dobrze zrobi, kochanie.

— Tutaj jest mi dobrze — odpowiedziała szybko.

Nie rozumiem cię — zaczął. — Po tym, co ci się wczoraj przytrafiło... Zadzwoił telefon.

— Słucham? — Elliott podniósł słuchawkę. Halo?

— Kto to był? --- Carrie spytała lekko drżącym głosem, gdy Elliott odłożył słuchawkę.

— Pomyłka. Nawet centrala telefoniczna nie działa, jak należy. Całe to miasto wkrótce padnie w gruzy.

Dreszcz przebiegł jej po plecach. To musiał dzwonić ten szantażysta. Wiedziała. Była tego pewna.

Gino podszedł do recepcji hotelu „Pierre”. Chodził powoli, odmierzając kroki, ale wciąż był pełen energii.

— Oczekiwaliśmy pana, panie Santangelo — przywitał go recepcjonista, wręczając mu klucze do apartamentu.

Stojąca obok kobieta odwróciła się na dźwięk jego nazwiska. Kiedy przyłączył się do niej mąż, szepnęła mu coś na ucho i oboje wpatrywali się ukradkiem w Gina.

Pan Zeimecolli już czeka, proszę pana - ciągnął hotelarz. Wiemy z dobrego źródła, że prąd wkrótce będzie. Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, proszę tylko zadzwonić.

Gino skinął głową, rozejrzał się i nabrał powietrza w płuca.

Nowy Jork. To miasto miało swój własny zapach — jak żadne inne.

Był w domu.

Teraz to poczuł.

I co za wspaniałe uczucie!

CZĘŚĆ DRUGA

Lucky 1955

Wspomnienia pierwszych pięciu lat życia składały się z pokawałkowanych, radosnych fragmentów. Ciepło. Bezpieczeństwo. I piękna, czuła mama o jasnych włosach i aksamitnej skórze. Mama, która zawsze śmiała się, pięknie pachniała i nosiła różne puszyste ubrania.

Tata. Większy. Szorstki. Dostarczyciel prezentów, lalek i misiów. Tata, który tulił ją tak mocno, że czasami nie mogła złapać oddechu.

Braciszek Dario, mniejszy, delikatny. Lucky szybko nauczyła się troszczyć o niego.

Dario często płakał. Lucky była szczęśliwym dzieckiem. Dario jadł mało i niechętnie. Lucky pochłaniała wszystko, co nadawało się do jedzenia. Dario powoli uczył się chodzić. Lucky próbowała poruszać się o własnych siłach w wieku czternastu miesięcy. Czteroletni Dario dopiero uczył się mówić. Ona zaś, mając ledwo pięć lat, mówiła jak najęta do wszystkich i o wszystkim.

Na jej piąte urodziny rodzice wydali wielkie przyjęcie. Pięćdziesięcioro dzieci. Kłowni. Jazda na osiołku w ogrodzie. Wielki czekoladowy tort w kształcie jej ulubionego domku dla lalek.

Była tak podniecona, że ledwo mogła powiedzieć słowo. Miała na sobie różową sukienkę z falbankami, wstążeczki wplecione w czarne, kręcone włosy i krótkie skarpetki pod bucikami z prawdziwej skóry.

Gino nosił ją na rękach i nazywał swoją małą wioską księżniczką. A potem dał jej urodzinowy prezent, przepiękny złoty łańcuszek z małym medalionem, oprawionym w diamenty i rubiny. Wewnątrz znajdowało się zdjęcie, na którym była ona i lalo.

Tatusiu! krzyknęła i rzuciła się na niego z pocałunkami. Rozpieszczasz ją - napominała Maria.

Niektóre dzieci są stworzone po to, by je rozpieszczać — odparł Gino i podrzucił małą w powietrze.

Lucky krzyknęła ze strachu, ale Gino bezpiecznie chwycił ją w ramiona i przytulił mocno do siebie. Lucky wdychała ulubiony zapach.

Zapach ojca. Tuląc się do Gina powtarzała w kółko:

— Dobry tatuś, dobry tatuś, dobry.

Gino postawił ją na ziemi i mrugnął do Marii.

— Cudowny dzieciak. I lubi swojego starego. Maria uśmiechnęła się słodko.

— I wygląda jak jej stary. A za to wszystkie najlepsze cechy charakteru ma po mnie.

Lucky trzymała go za nogawkę prosząc, aby znów wziął ją na ręce, ale Gino przestał się nią interesować. Uśmiechał się do żony.

— Ach tak? — spytał.

— Ach tak — Maria odpowiedziała uśmiechem, przedrzeźniając go.

— Ach tak! — Gino powtarzał uszczęśliwiony, strząsając rękę Lucky ze swojej nogi i zarzucając ramiona na szyję żony. — I kto to mówi?

Lucky włożyła palec do buzi i w milczeniu przyglądała się rodzicom. Dziwni dorośli. Kiedy zaczęli się tak zachowywać, przestawali się nią interesować, a to były *jej* urodziny.

Wyjęła palec z buzi i oznajmiła: Brzuszek mnie boli.

Maria odsunęła Gina i pochyliła się nad córką.

— - O nie! Tylko nie dzisiaj! Gdzie boli, kochanie?

Wszędzie.

Maria spojrzała na Gina z wyrzutem.

Nie powinieneś jej tak podrzucać. Jesteś dla niej za mało delikatny. Naprawdę? — Gino znów porwał córkę za rękę. — Boli cię? Gdzie cię boli? — pytał i łaskotał ją. Lucky zaczęła się śmiać. — Gdzie boli, co? Co?

Przestań, Gino — upominała Maria. Co ty. Przecież ona to uwielbia. I rzeczywiście. Lucky śmiała się do łez, które spływały jej po różowych policzkach.

Już nie boli, tatusiu. Już nie boli! — krzyczała, znów szczęśliwa. Gino nie przestawał jej łaskotać.

— Dosyć, dosyć! — krzyknęła wreszcie Lucky.

- Tak? Chcesz, żeby tata przestał? — żartował Gino. — A ja właśnie nie przestanę i co?

— Gino, nie za dużo — prosiła cicho Maria. — Nie będzie mogła bawić się z dziećmi.

Gino przestał ją łaskotać, uściśnął lekko i szepnął do ucha:

— Tatuś cię bardzo kocha, córeczko — i postawił ją na ziemi.

W tym momencie pojawiła się niania Camden z Dariem, trzymając go mocno za rękę. Dario miał zwyczaj odchodzić gdzieś i gubić się.

Hej — krzyknął Gino do syna — to nie są co prawda twoje urodziny, ale dla ciebie też mam prezent!

Dario nie puszczał ręki niani, gdy Gino wręczał mu duży pakunek, zawinięty w kolorowy papier.

Lucky aż podskoczyła z radości. Nie była zazdrosna o brata i cieszyła się, że i on dostanie prezent.

— No otwórz, głuptasie! pouczała go, a gdy Dario wciąż nie brał do ręki prezentu, Lucky zrobiła to za niego, z entuzjazmem ciągnąc i zrywając papier. W środku znajdował się duży, błyszczący model samochodu, czerwony z czarnymi kółkami, które się kręciły. Lucky była nim bardziej zachwycona niż Dano. Chłopiec wziął na chwilę samochód do ręki, po czym puścił nianię i złapał za rękę Marię.

— No i co? — wypytywał Gino — podoba ci się?

Mówiąc wziął syna na ręce i podrzucił w powietrze tak jak przed chwilą Lucky.

Dario rozplakał się krzycząc wniebogłosy, a potem zrobiło mu się niedobrze.

Gino oddał go pod opiekę niani mając nadzieję, że syn zmęźnieje w końcu i upodobni się do siostry. Maria tymczasem czyniła mu wyrzuty:

— Dopiero jadł obiad. Jak możesz tak się z nim obchodzić?

Gino wzruszył ramionami i znów zajął się córką. We dwoje puszczała błyszczący, czerwony samochód po podłodze.

Maria przyniosła aparat fotograficzny i zrobiła im zdjęcie.

Uśmiechnijcie się! nakazała i dwa identyczne uśmiechy zajaśniały na

kliszy.

Tydzień później Gino wyjechał.

Lucky nie miała mu tego za złe, bo zawsze przywoził mnóstwo wspaniałych prezentów. A jednak tęskniła do ojca. Czasem mama pozwalała jej rozmawiać z nim przez telefon i dziewczynka była tym zawsze zachwycona.

Kiedy tata wyjeżdżał, dom wypełniał się gośćmi i mamie się to nie podobało. Lucky wiedziała o tym, bo słyszała kiedyś, jak rodzice kłócili się o to. Ale tym razem w domu nie było nikogo obcego. Mama powiedziała, że to dlatego, że tata wyjechał tylko na jeden wieczór i Lucky zastanawiała się, czy to znaczyło, że nie będzie prezentów.

W małym domku w ogrodzie mieszkał Red z jeszcze jednym mężczyzną. Lucky przepadała za nimi. Nosili ją na barana i uczyli pływać w basenie. Niania Camden nie lubiła ich. Nazywała ich „nieokrzesanymi gburami”. Lucky nie miała jednak pojęcia, co znaczy

„nieokrzesany gbur”. Dario płakał, kiedy chcieli się z nim bawić. Dano w ogóle często płakał. Tylko Lucky próbowała go rozśmieszyć lalus pocałował i ucky na do widzenia, a potem pocałował także mamę, która zaraz zabrała córkę do dużej sypialni i pozwoliła jej przymierzać swoje ubrania, buty i biżuterię. Lucky uwielbiała się stroić. Była to jej ulubiona zabawa, tym bardziej że mama pozwalała jej na to zupełnie wyjątkowo.

Lucky miała nadzieję, że przy tej okazji trafi się jej jeszcze jedna gratka i że będzie mogła spać z

mamą w dużej sypialni. Ale tak się jednak nie stało. O szóstej niania zrobiła kąpiel, a o siódmej mama przysłała do pokoju córki pocałować ją na dobranoc. , Lucky wyciągnęła rękę i dotknęła jedwabistych blond włosów matki.

— Dlaczego ja nie mam żółtych włosów? — spytała.

— Dlatego, że masz takie śliczne czarne włosy, kochanie, jak tatuś — odpowiedziała czule Maria, i Lucky zachichotała.

— Dario ma żółte włosy.

— To prawda. Śpij już.

— Czy tatuś jutro przyjedzie?

— Oczywiście, że przyjedzie.

— Będziemy mogli razem popływać?

— Tak, jeżeli będzie wcześniej.

— To dobrze. Lucky włożyła palec do buzi i po chwili spała smacznie.

Lucky była rannym ptaszkiem. Wskakiwała z łóżka zawsze między szóstą a siódmą rano. Dario i niania Camden nigdy nie wstawali przed wpół do dziewiątej ale jej to nie przeszkadzało. Nauczyła się robić sobie śniadanie i lubiła bawić się sama w dużym domu.

Oczywiście, nie pozwalano jej wyjść na zewnątrz dopóki nie wstali dorośli, ponieważ, wszystkie dzwonki włączały się i dzwoniły jak oszalałe, jeśli spróbowała otworzyć drzwi albo okno. Raz to zrobiła i tata biegał po domu zdenerwowany krzycząc, z rewolwerem w dłoni. Zupełnie jak w telewizorze! Lucky słysząc z tego potem śmiała, ale Dano znów płakał.

Kiedy tata był w domu, także wstawał wcześniej. Czasami.

Lucky wiedziała, co zrobić, żeby zagotować w czajniku wodę. Umiała zrobić tatusiowi kawę, dokładnie taką jak lubił. Zawsze dostawała za to mnóstwo pocałunków.

Mama zwykle wstawała około dziesiątej albo nawet później. Tata dawał jej klapsa i mówił, że jest leniwa. Lucky była zawstydzona, kiedy rodzice się całowali.

Ptaki ćwierkały od rana, Lucky słyszała je przez zamknięte okno. Wskoczyła z łóżka, żeby na nie popatrzeć i... co za niespodzianka!

Mama już wstała i pływała w basenie. Odpoczywając na materacu unosiła się na wodzie, w samym środku basenu.

Lucky czym prędzej ubrała się w żółty kostium kąpielowy. Tata mówił zawsze, że Lucky ma pulchny brzusek. Nazywał ją Iluścioszkiem, co zawsze bardzo ją rozśmieszało.

Zbiegła na dół i ucieszyła się widząc, że drzwi są otwarte.

- Mamusiu! krzyczała radośnie wybiegając z domu. — Mamusiu! Ja też chcę popływać! Mamusiu, ja teeeż! Roześmiana, szczęśliwa, podbiegła nad brzeg basenu.

Kiedy stanęła nad wodą, zauważyła, że mama śpi. Jej mama — najpiękniejsza mama na świecie, mówił tata i Lucky zgadzała się z nim w zupełności — leżała bez ruchu, a jej długie blond włosy unosiły się na wodzie. Ręce i nogi mamy także pływały w wodzie.

Dwie rzeczy zdziwiły Lucky od razu. Mamusia była niegrzeczna. Pływała w basenie rozebrana do naga.

A woda miała tego dnia jakiś inny kolor. Była różowa.

Lucky stanęła tuż nad brzegiem i zawołała:

— Mamusiu! — i jeszcze raz, głośniej: — Mamusiu!

Wiedziała, że coś się stało, ale nie miała pojęcia, co. Gdzie jest tata? Tata by wszystko wiedział.

Niedobry tata. Dlaczego wyjechał

Usiadła z nogami w wodzie. Będzie tu czekać, aż mama się obudzi. Tak właśnie robi. Po prostu poczeka.

Steven

1955—1964

Kiedy Steven skończył szesnaście lat, został wezwany do domu z prywatnej szkoły, do której uczęszczał. W domu Carrie oznajmiła mu, cała we łzach i załamana, że Bernard Dimes zmarł we śnie na atak serca.

Steven był oszołomiony tą wiadomością. Wiedział, co prawda, że Bernard nie jest jego prawdziwym ojcem, ale kochał go tak, jakby nim był. W końcu Bernard był jedynym ojcem, jakiego Steven kiedykolwiek niał. Spędzili razem wiele radosnych chwil w Nowym Jorku i w domu letniskowym na Fire Island.

Na pogrzebie Steven stał tuż przy matce, wysoki, przystojny i poważny, a później, w domu na Park Avenue trzymał jej drżącą rękę, podczas gdy szeregi znajomych i przyjaciół przybywały, żeby złożyć kondolencje.

Carrie była bardzo dzielna. Trzymała głowę wysoko i ukrywała łzy za czarnym welonem.

Tydzień później Steven wrócił do szkoły

— Dam sobie radę — Carrie zapewniała syna. Twoja nauka jest teraz najważniejsza.

Matka zawsze stawiała naukę na pierwszym miejscu. Zawsze. Steven miał jej to za złe, ale nauczył się nie dyskutować na ten temat.

Matka miała temperament, który potrafiłby stopić lód. Uważała, że jej syn powinien mieć tylko najlepsze stopnie, i Steven szybko zrozumiał, że musi się o nie starać. W przeciwnym bowiem razie...

Gdy skończył trzynaście lat, zaczęły się problemy. Spędził cały semestr trenując boks i uprawiając wszystkie możliwe dyscypliny sportu. Bardzo mu to odpowiadało, ale stopnie znacznie się pogorszyły. Carrie wprost wychodziła z siebie ze złości. Spuściła mu takie lanie, że nie mógł usiąść przez okrągły tydzień. To wystarczyło.

— Kiedy jest się w tym kraju Murzynem, to trzeba się starać bardziej niż inni! — wbijała mu do głowy. Zapamiętaj to raz na zawsze!

Ale tego właśnie Steven nie mógł zrozumieć. Nigdy nie spotkał się z uprzedzeniami na tle rasowym. Mieszkał w pięknym domu, otoczony przez kochających rodziców. To, że ojciec był biały, a matka czarna, nigdy go nie zastanawiało. Oboje mieli mnóstwo przyjaciół, którym też to chyba nie przeszkadzało. Przez ich dom przewijali się różni ludzie: gwiazdy filmowe, zagraniczni producenci, muzycy, aktorzy teatralni, śpiewacy operowi.

W szkole było tylko dwóch Murzynów, on i chłopak imieniem Z.oono Mgumba Ale obaj stanowili tylko część w przedziwnej mieszaninie uczniów, jaka tam uczęszczała. Była to prywatna i zarazem bardzo ekskluzywna szkoła. W większości uczniowie byli synami dyplomatów, bankierów lub innych

podróżujących dygnitarzy. Carrie wybrała dla syna tę właśnie szkołę, ponieważ chciała, aby Steven martwił się raczej o stopnie niż o kolor skóry.

Bernard twierdził, że to odizoluje chłopca od prawdziwego życia. Ale Carrie nie dała się przekonać.

Ojciec Zoony był kimś bardzo ważnym, kto pracował w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Steven nigdy nie dowiedział się dokładnie, kto to był. Natomiast podstawowym zajęciem Zoony była masturbacja. Jerry Meyerson, najlepszy przyjaciel Stevena, nazywał to „waleniem koma”.

Jerry był równym kolegą. Wysoki, przystojny, z bujną czupryną rudych włosów. Tak samo jak Steven, poświęcał wiele czasu na naukę i obaj chłopcy pomagali sobie często. . . .

Inaczej niż dla innych chłopców, dla nich nauka była najważniejsza. Dyskusje i seks przychodziły dopiero na drugim miejscu. Kto miał

czas na rozważanie wyższości tej pary cycków nad tamtą? Niektórzy koledzy spędzali całe godziny, śliniąc się nad magazynami pełnymi nagich kobiet szczególnie dotyczyło to Zoony, który w końcu został wyrzucony ze szkoły za publiczne onanizowanie się w obecności trzech matek innych uczniów w dzień wizyt

rodziców.

Do chwili ukończenia szkoły doświadczenia erotyczne Stevena były mizerne. Tak samo jak Jerry, myślał o dziewczynach, ale kto miał

czas, żeby się z nimi spotykać?

— Zobaczysz, dobierzemy się do nich na studiach! przechwalał się za nich obu Jerry. — Campus będzie wprosi kipiał od dziewczyn i my dwaj między nimi wszystkimi, wyobraź sobie!

Jerry i Steven zamierzali studiować prawo i tak ułożyli swoje plany, żeby trafić na ten sam uniwersytet, niedaleko Bostonu.

Jerry miał rację. Dziewczyn było pełno, wszędzie. Niskie, grube, wysokie i szczupłe. Duże piersi, małe, długie nogi, okrągłe pośladki, to tak jakby było się całe życie na diecie i nagle zostało się wpuszczonym do cukierni.

Jerry oszalał. Od tej chwili najważniejszą rzeczą, jakiej pragnął, było dostać się pod spódnicę jakiejś dziewczyny. Upłynęło pół roku, a nie udało mu się to ani razu. Na dokładkę bardzo opuścił się w nauce.

Steven pomagał mu w miarę swoich możliwości. Bardzo podobało mu się na studiach. Lubił pracę, była dla niego wyzwaniem. Został

także czołowym zawodnikiem w drużynie koszykówki. Oba te zajęcia pomagały mu oderwać się od myśli o dziewczynach. Zdawał

sobie sprawę z rozczarowań, jakie cierpiał Jerry, i nie miał ochoty przeżywać tego samego. Jego największym problemem była matka.

Od śmierci Bernarda Carrie żyła w odosobnieniu. Godzinami przesiadywała w pracowni Dimesa, nie spotykając się z nikim. Siedziała tak i patrzyła przed siebie, dzień po dniu.

Wróciwszy do domu na wakacje, Steven robił, co mógł, żeby wyrwać matkę z apatii. zaproponował, żeby wyjechali razem na letnisko na Fire Island, ale Carrie odmówiła.

— Sprzedaję ten dom — powiedziała ze smutkiem. — Za wiele tam wspomnień.

Steven zapytał o sytuację finansową matki — czy nie powinien przerwać studiów i poszukać pracy? Carrie zapewniła go jednak, że Bernard zatroszczył się o ich dobrobyt, i dodała stanowczo, że zabije go, jeżeli odważy się porzucić studia.

Nie udawało mu się nawet nawiązać z matką normalnej rozmowy i to bardzo go niepokoiło. Carrie dopiero co skończyła czterdzieści lat i była nadal bardzo atrakcyjna. Powinna poszukać towarzystwa, cieszyć się życiem, zamiast zamykać się samotnie w pokoju zmarłego męża i rozmyślać o przeszłości.

Pewnego dnia wpadł na wspaniały pomysł.

— Mamo - zaproponował — a może pojedziemy na wakacje do Kenii? Musisz mieć tam całą masę przyjaciół i krewnych. Chciałbym ich poznać.

Reakcja matki zaskoczyła go. Spodziewał się, że usłyszy: „Pomyślę o tym” albo „Nie wiem, może” — ale Carrie zimno ucięła wszelką dyskusję.

— Nigdy w życiu nie wracaj do przeszłości, Steven Pamiętaj o tym. Nic więcej.

Steven czytał czasami o matce w gazetach i właściwie nie wiedział więcej od innych. Czasami budził się w środku nocy, zlany potem i pytał sam siebie: Kim jestem? Kto jest moim prawdziwym ojcem? Od Carrie dowiedział się bardzo niewiele.

— Był lekarzem, dobrym człowiekiem. Umarł, kiedy miałeś rok. Próbował nie przejmować się niechęcią matki do rozmowy o przeszłości.

Skoro nie chciała mu nic konkretnego powiedzieć, widocznie tak już miało być i musiał się z tym pogodzić.

Rok 1957 obfitował w zdarzenia. Steven skończył osiemnaście lat, pierwszy raz w życiu został nazwany czarnuchem i pierwszy raz kochał się z dziewczyną. Nauczył się też bronić samego siebie.

Carrie nieraz powtarzała mu, że być Murzynem to zupełnie co innego niż być białym. Steven nigdy jej jednak nie słuchał, a teraz przekonał się na własnej skórze. Sprawilo lo, że zainteresował się prawami mniejszości rasowych i pragnął nawet walczyć o poprawę sytuacji Murzynów w Ameryce. Zainteresował się działalnością Martina Luthera Kinga i kampanią protestów przeciwko segregacji rasowej, jaką King prowadził na południu kraju.

Steven dopiero teraz zdał sobie sprawę ze znaczenia, jakie miał kolor jego skóry, i rozumiał już matkę, kiedy mówiła mu, że jeśli się jest Murzynem, trzeba pracować dużo ciężiej. Steven zawsze był doskonałym studentem, ale teraz, gdy wziął sobie słowa matki do serca i rzeczywiście starał się pracować ciężiej, został nic tylko doskonałym, ale jednym z najlepszych.

Jego pierwsza prawdziwa przygoda miłosna z bardzo ładną, czarnoskórą studentką, Shirley Sullivan, była typowa dla życia na Campusie: wszystko odbyło się na tylnym siedzeniu pożyczonego od kolegi samochodu. Spódnica Shirley podniesiona była w górę, majteczki zsunięte do kostek, sweter podciągnięty pod szyję, a jedna pierś boleśnie wystawała spod staniczka.

Steven był za to całkiem ubrany i tylko twardy członek sterczał mu ze spodni. Wszystko stało się szybko i mało romantycznie, ale Steven czuł, że była to najwspanialsza rzecz, jaką w życiu robił.

Chodził z Shirley przez siedem długich miesięcy, oświadczył jej się nawet, a w końcu przeżył ogromny zawód, kiedy jego ukochana zdradziła go ze studentem medycyny z innego uniwersytetu.

To dało mu nauczkę. Dziewczyny mówiły jedno, myślały drugie. Nie należało im ułać.

Kiedy przestał się martwić, zajął się innymi dziewczynami. Nie było to specjalnie trudne. Miał już prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i był niesłychanie przystojny. Dziewczęta szalały za nim, nawet białe. Steven spróbował kilku i stwierdził, że niczym się nie różniły od czarnych. Dupa była dupą, niezależnie od koloru skóry.

Steven wstąpił do szkoły prawniczej w wieku dwudziestu lat. W tym samym roku Carrie powtórnie wyszła za mąż. Zaskoczyła wszystkich, biorąc za męża Elliotta Berkelya, snobującego się, dwukrotnie rozwiedzionego właściciela teatru. Elliott miał masę starej forsy i masę przestarzałych pomysłów, mimo że miał dopiero czterdzieści jeden lat.

Elliott w niczym nie przypominał Carrie Bernarda Dimesa. Nie był jej ideałem mężczyzny, któremu mogłaby kiedykolwiek powierzyć tajemnicę swego życia. Ale wbrew temu, co powiedziała Stevenowi, pieniędzy zaczynało brakować i musiała znaleźć jakiś sposób, jeśli chciała płacić za studia syna i utrzymać dotychczasowy poziom życia. Tym sposobem okazało się małżeństwo z Elliottem Berkelyem.

Elliott chodził za nią od lat i Carrie, choć go nigdy nie kochała, pomyślała pewnej bezsennej nocy: właściwie, dlaczego nie?

Kiedy się pobrali, Carrie miała już w ręku podpisany dokument, gwarantujący opłacenie studiów Stevena do końca ich trwania. Udało się jej też namówić syna, aby zmienił nazwisko.

Gra toczyła się o bezpieczeństwo. O bezpieczeństwo Stevena.

Zizi wtargnęła w jego życie jak gorący wiatr w środku mroźnego dnia. Miał dwadzieścia pięć lat i był absolwentem prawa ze stopniem naukowym. Zdał egzamin adwokacki i pracował jako asystent w biurze adwokackim, aby nabrać doświadczenia.

Zizi była zwyczajną tancerką. Pojawiła się pewnego dnia jako świadek w sądzie w sprawie o napad

rabunkowy. Steven spojrzał tylko na nią i poczuł natychmiastową erekcję. Nie wiedział, skąd mu się to wzięło. Po prostu tak było i już. Zizi zauważyła to natychmiast — i nie było ucieczki.

Zizi. Sprężyste piersi, szczupłe nogi, błyszczące oczy, miękki głos kotki. Wspaniała kochanka.

Zizi.

Carrie nienawidziła jej od pierwszego wejrzenia.

Lucky

1965

Lucky Santangelo stała przed' drzwiami domu w Bel Air, patrząc, jak szofer ładuje jej walizki do bagażnika długiej, czarnej limuzyny.

Miała już prawie piętnaście lat, była wysoka i rezolutna, o czarnych, cygańskich oczach. Była szczupła i mocno opalona, jej figura wciąż przypominała raczej figurę dziecka niż kobiety, a jej piękna twarz pozbawiona była makijażu.

Dario Santangelo siedział zasmucony na masce samochodu, co denerwowało szofera. Znalazł na drodze parę kamieni i rzucał nimi właśnie w lampę, co wywoływało irytujący hałas.

O ile Lucky miała ciemną karnację, Dario był blondynem. Miał trzynaście i pół roku, łagodne rysy twarzy, dość długie, jasne włosy i przejrzyste błękitne oczy.

Popatrzył na siostrę, a następnie pokazał język szoferowi, który był jednak zbyt zajęty pakowaniem walizek, żeby cokolwiek zauważyć.

Lucky zachichotała, puściła do Daria oko i poruszając tylko ustami powiedziała bezgłośnie;

— Czubek!

Było to ich ulubione słowo, którym opisywali większość znanych sobie osób.

W drzwiach domu stanęła wysoka, energicznie wyglądająca kobieta. Wydała kilka poleceń szoferowi, spojrzała na zegarek i powiedziała:

— Lucky, wsiadaj do samochodu. Nie chcesz chyba spóźnić się na samolot?

Lucky wzruszyła w odpowiedzi ramionami.

— A czemu nie? — zaczęła.

— No no, panienko! — Kobieta poczuła się urażona. Nie wolno tak mówić!

Za jej plecami Dario szeptał, poruszając ustami:

- Czubek! Czubek! Czubek! — i jednocześnie wyczyniał dzikie miny, mające pokazać, co myśli o tej kobiecie.

Lucky z trudem powstrzymywała się od śmiechu, choć tak naprawdę, to chciało jej się płakać.

Przyszedł Marco. Marco miał towarzyszyć jej zawsze, gdy opuszczała dom w Bel Air. Lucky lubiła go. Był taaki przystojny! Niestety, traktował ją jak dziecko. Ani razu nie okazał jej głębszego zainteresowania. Dziś miał na sobie lekką marynarkę, kolorową koszulę i ciasne dżinsy. Musiał mieć co najmniej trzydzieści lat, ale był szczupły i umięśniony, inaczej niż większość dorosłych mężczyzn,

których Lucky widywała.

Po raz setny chyba Lucky próbowała odgadnąć, jak wygląda prywatne życie Marca. Czy ma dziewczynę? Co lubił robić, kiedy nie zajmował się dotrzymywaniem jej towarzystwa?

— Zejdź natychmiast z samochodu nakazała Dariowi kobieta i pożegnaj się z siostrą.

Dario jednym zamachem rzucił resztę kamyków w lampę, aż szkło zadrżało niebezpiecznie.

Dario! — krzyknęła oburzona kobieta. — Niech no tylko powiem twojemu ojcu, co zrobiłeś!

Będzie musiała trochę poczekać, złośliwie myślała Lucky. Gino coraz rzadziej odwiedzał Bel Air.

Dario powoli zbliżył się do niej udając, że wcale mu nie jest przykro z powodu wyjazdu siostry do szkoły z internatem.

— No, to cześć, siostró — rzucił jej. — Jakbyś miała ochotę napisać, to proszę.

Lucky postąpiła krok do przodu i przytuliła brata. Zwykle w takim wypadku odpychał ją od siebie, ale tym razem pozwolił jej na tę czułość.

— Nie daj się im — Lucky szepnęła bratu do ucha. — Wrócę, zanim się spostrzeżesz.

Dario pocałował ją, bardzo zawstydzony i pobiegł do domu, zanim ktokolwiek zdążył zauważyć jego łzy.

Lucky wsiadła do samochodu. Była trochę wystraszona i niechętna temu, co się miało stać, ale czuła też pewną ulgę. W końcu sama rusza w świat. Skończyło się dziesięć lat pod opieką niań i prywatnych nauczycieli. Dziesięć lat izolacji, samotności i przede wszystkim potwornej nudy. Przykro jej było zostawiać Daria, ale sama potrzebowała teraz towarzystwa dziewcząt w jej wieku. Zresztą, Dario też wkrótce pójdzie do szkoły.

To ciotka Jennifer nalegała, żeby posłać Lucky do szkoły.

— Nie możesz całe życie trzymać dzieci pod nadzorem jak w klatce, Gino — podsłuchiwała kiedyś Lucky podczas jednej z rzadkich wizyt ojca w domu. — Znam bardzo dobrą prywatną szkołę dla dziewcząt w Szwajcarii. Lucky bardzo to się przyda.

W samolocie Lucky zdrzemnęła się, choć niechętnie, bo nie chciała niczego stracić. Energiczna guwernantka wciąż siedziała obok niej, kontrolując sytuację.

Lucky uważała to za śmieszne, żeby w jej wieku nie mogła podróżować sama, ale Gino był nieugięty.

— Tam gdzie ty, tam i ona. Kiedy przyjedziecie do szkoły, zostawi cię samą. Bez dyskusji.

Gino. Jej ojciec. Bez dyskusji.

Kochała go aż do bólu. Ale czasami zastanawiała się, na ile naprawdę mu zależało na niej i na Dariu. Tak rzadko się z nimi spotykał.

Rodzeństwo mieszkało w Bel Air, a ojciec tam gdzie mu akurat było wygodnie: w Nowym Jorku, w Las Vegas zdawało się, że wszędzie czeka na niego gotowe mieszkanie. Czasami, leżąc późno w łóżku, przypominała sobie odległe już czasy, gdy była bardzo mała. Wtedy ojciec zawsze był w pobliżu. Przytulał ją, całował. Interesował się nią. Kochał i opiekował się nią. Pamiętała też matkę jak pięknego jasnego anioła o słodkim głosie i aksamitnej skórze...

Nagle jej wspomnienia urywały się. Zbyt dużo bólu sprawiała pamięć kolejnych wydarzeń. Jakiś błysk przemykał jej przez głowę jak wizja w świetle błyskawicy — basen, materac, nagie ciało, krew.

Musiała powiedzieć coś przez sen, bo jej opiekunka pochyliła się nad nią i spytała:

— Co się stało, kochanie?

— Nie, nic — Lucky strząsnęła z siebie resztki snu. Mogę się napić coca-coli?

Szwajcarskie powietrze było tak doskonale czyste, że Lucky wprost łykała je wielkimi haustami, aby uwolnić płuca od smogu Los Angeles.

Na lotnisku czekał samochód, który w półtorej godziny wywiózł Lucky i jej opiekunkę za miasto, na otwartą przestrzeń, pełną soczystej zieleni. L'Evier, szkoła, do której Lucky miała uczęszczać, była położona u stóp wzgórz i gęstego lasu. Był to widok nie tylko piękny, ale także całkiem odmienny od wypieszczonej, ucywilizowanej przyrody Bel Air i Beverly Hills.

Opiekunka Lucky kazała kierowcy poczekać, a sama odprowadziła ją do szkoły i przedstawiła dyrektorce. Na pożegnanie powiedziała tylko:

— Do widzenia, kochanie. Zachowuj się przyzwoicie.

Lucky nie czuła najmniejszego żalu na myśl o rozstaniu z guwernantką, która opiekując się nią i Dariem przez trzy ostatnie lata, okazała im tyle miłości i przywiązania, ile mógł dać kawałek drewna.

— Witam w L'Evier, panno Saint — powiedziała dyrektorka. — Jestem pewna, że spodoba się tu paniencie jak wszystkim moim dziewczętom. Wymagam tylko posłuszeństwa i szacunku. Proszę zapamiętać te słowa i przestrzegać ich, a wtedy czas, który panienka tu spędzi, będzie z pewnością owocny i szczęśliwy.

Panna Saint, co za nazwisko! Lucky Saint. Od lat wiedziała, czym zajmował się jej ojciec. Goryle w domu, dzwonki alarmowe, kraty w oknach i psy: to wystarczyło. Gino musiał być bardzo ostrożny. Ale co za pomysł, żeby zmieniać nazwisko z powodu pójścia do szkoły?

Ale z drugiej strony, czy nie wszystko jedno, jak się nazywa — Santangelo czy Saint? Kogo to mogło obchodzić?

W apartamencie Gina w hotelu „Mirage” zadzwonił telefon. Guwernantka powiedziała, że Lucky bezpiecznie przybyła na miejsce. Gino odetchnął z ulgą i zapalił długie hawańskie cygaro.

Ostatnie dziesięć lat było bardzo trudne. Udało mu się przynajmniej zapewnić dzieciom opiekę, choć nie widywał ich tak często, jak tego pragnął. Ale tak było lepiej dla nich, były bezpieczniejsze.

Od zamordowania Marii przelało się tyle krwi... Gino osobiście zajął się Pinkym Kassarim. Osobiście... Nie mógł zapomnieć jego wrzasku z bólu i przerażenia, jego skomlących błagań o litość. Jego — bandyty, który nie okazał żadnej litości Marii.

Gino wstał nagle. Podszedł do okna i zapatrzył się. Przy głównej ulicy miasta pobudowano ostatnio wiele hoteli, neony strzelały kolorami w ciemność. Młody miał rację, kiedy przewidywał rozwój Las Vegas.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i Red wprowadził człowieka, który przyszedł prosić o przysługę. Gość był czerwony na twarzy i zdradzał zdenerwowanie. Był właścicielem części udziałów w konkurencyjnym hotelu i niektórzy uważali go za ważną osobistość, a jednak w obecności Gina zachowywał się z niemal służalczym respektem. Kiedy wyłuszczał prośbę, mówił cichym, konspiracyjnym szeptem. Gino obiecał zająć się jego sprawą.

Gość wyszedł z pokoju tyłem, machając rękoma w gestach wdzięczności.

Gino wiedział, że ta przysługa odpłaci mu się w dwójnasób. Lubił, kiedy ludzie stawali się jego dłużnikami, bo dawało mu to ogromne poczucie władzy nad nimi. Chociaż właściwie miał ją i bez tego. A była to władza potężna. Miał jej dość, żeby trzymać polityków, sędziów i policję w tylnej kieszeni spodni. Byli jak kłowni, podskakujący usłudze na każde jego zawołanie. Zawsze i wszędzie.

Zgasił drogie cygaro po trzech zaledwie pociągnięciach. Cygara tak jak kobiety były towarem. Nieważne, ile kosztowały, zawsze można było ich mieć, ile dusza zapagnie.

Z wyjątkiem Marii. Z wyjątkiem tej jednej jedynej kobiety, jego zmarłej żony, jego ukochanej... jego całego życia.

— Lucky Saint? — dopytywała się z niedowierzaniem niska blondynka. — A cóż to za nazwisko?

Tak wyglądało pierwsze spotkanie Lucky z Olimpią Stanislopoulos, dziewczyną o małych oczach i okrągłej twarzy, ukrytej we wspaniałych, długich włosach o złocistym blasku. Cera Olimpji była niezwykła, bielsza od śniegu, a pod koszulką podskakiwały zaokrąglone, duże piersi.

Lucky spojrzała na nią zimno.

— Nie słyszałam, żeby ktoś krytykował nazwiska Ringo Starra, Ripa Torna czy Rocka Hudsona.

— Och! — odparła Olimpia z ironią w głosie. — Nie przypuszczałam, że mieszkam w pokoju z przyszłą gwiazdą filmową.

Przepraszam!

Choć taki początek nie wróżył nic dobrego, po upływie tygodnia dziewczęta były już najlepszymi przyjaciółkami.

Olimpia miała szesnaście i pół roku, była niewdzięczną córką greckiego armatora i jego amerykańskiej żony z dobrego domu. Jej rodzice rozwiedli się, a ona mieszkała raz z ojcem, raz z matką, którzy prześcigali się w rozpuszczaniu córki. Wyrzucono ją dotychczas z dwóch szkół w Stanach, aż w końcu zrozpaczeni rodzice zapisali ją do L'Evier.

— Ale tatę nie obchodzi moja nauka. Wyobraża sobie, że wyda mnie za jakiegoś bogacza z Grecji. Za to mama uważa, że powinnam zrobić karierę zawodową. No i oboje są w błędzie. Jeśli o mnie chodzi, to zamierzam się po prostu dobrze bawić. Chłopcy, alkohol, trawka i zabawa! Możesz się do mnie przyłączyć, jeśli masz ochotę.

— No pewnie odpowiedziała natychmiast Lucky, pierwszy raz w życiu biorąc swój los we własne ręce. Ale jak tu się można zabawić, w tym więzieniu?

Olimpia mrugnęła porozumiewawczo.

— Są sposoby — powiedziała tajemniczo. — Patrz i ucz się!

Nie było to trudne. Cisza nocna rozpoczynała się o dziewiątej trzydzieści, ale dla Lucky i Olimpji kończyła się pięć minut później.

Okno ich sypialni wychodziło na ogród, tuż obok drzewa, po którym z łatwością można było zsunąć się prosto w wilgotną trawę.

Następnie krótki bieg po rowery stojące w otwartej komórce i dziesięciominutowa jazda do miasteczka.

Pierwszej nocy poszły od razu do kawiarni. Siedziały na tarasie pijąc gorącą kawę z likierem. Olimpia zaraz zauważyła grupę kilkuna-stoletnich chłopców i zaczęła podrywać ich wzrokiem. Chłopcy odpowiedzieli tym samym i po chwili przysiedli się do stolika dziewcząt.

Olimpia z klasą przewodziła towarzystwu, potrząsając grzywą złocistych włosów i wypinając ponętny biust. Chłopcy gromadzili się wokół niej, podziwiając jej wdzięki.

— Po prostu muszę nauczyć się tego języka — wzdychała. — To okropne nie rozumieć, o czym oni mówią!

Lucky rozumiała. Mówiła płynnie po niemiecku, włosku i francusku — jej prywatni nauczyciele do czegoś się w końcu przydali.

Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć koleżance, że wszystko, co mówili ich przygodni koledzy, to: Fantastyczne piersi! Ciekawe, czy ta mała lubi się rżnąć. Albo ssać! Mam nadzieję, że jedno i drugie!

Choć alkohol uderzał jej do głowy, Lucky wiedziała, że powinny obie jak najszybciej stamtąd wyjść.

Chłopcy chcieli zawsze tylko jednej rzeczy, powtarzały jej wszystkie guwernantki — i wyglądało właśnie na to, że miały rację.

— Chodźmy już — zaproponowała w końcu.

— Dlaczego? — Olimpia nie kryła zdziwienia. — Ja się świetnie bawię. Ty nie?

Dla kogoś, kto byłby mniej zapatrzony w samego siebie niż Olimpia,

byłoby jasne, że Lucky nie bawiła się świetnie. Siedziała sama na końcu stołu, ignorowana przez wszystkich, podczas gdy chłopcy co do jednego zgromadzili się wokół Olimpii i jej magicznego biustu.

— Chcę już iść — syknęła Lucky. — I uważam, że ty też powinnaś.

— No, to idź — odparła z lekceważeniem Olimpia. — Nikt cię nie zatrzymuje.

Rzeczywiście, nikt ani nic nie zatrzymywało Lucky. Wstała, wsiadła na rower i odjechała. W połowie drogi zrobiło jej się niedobrze.

Zwymiotowała na drogę i zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, zostawiając koleżankę samą.

W końcu stwierdziła, że tak. Olimpia z pewnością potrafiła zatroszczyć się sama o siebie.

Lucky wspięła się po drzewie do okna i w ubraniu upadła na łóżko. Chwilę później zasnęła twardym snem i śnił jej się Marco. Nie słyszała, jak Olimpia wróciła do pokoju trzy godziny później.

— Cześć! — przywitała się Marabelle Blue niskim, zmysłowym głosem. — Bardzo chciałam pana poznać. Martino często o panu opowiada.

Marabelle Blue. Ostatnia pretendentka do tronu opuszczonego przez Marilyn Monroe.

Gino spojrzał na nią. Tylko na krótką chwilę. Rzeczywiście, była niezła. Martino roześmiał się.

— Już od dawna chciałem was ze sobą poznać, ale Marabelle ma ciągle tyle pracy! Z jednego filmu do drugiego. Gwiazda non stop. Ja jeden wiem, co to za brednie!

Marabelle chrząknęła. Jej szara szyfonowa sukienka ledwie okrywała kształt jędrnych, kuszących piersi.

Gino poczuł lekki dreszczyk, jakiego nie czuł od dawna. Od śmierci Marii nie miał nikogo na dłużej. Żadna kobieta nie była w stanie zainteresować go na dłużej niż tydzień czy dwa, żadna nie była tą, u boku której miałby ochotę się rano obudzić. Dziesięć lat samotności to długi czas.

— Chodzi pan czasem do kina, panie Santangelo? — zalotnie pytała Marabelle. Wydzielała silny zapach perfum, egzotyczny i bardzo kobiecy.

Gino wzruszył ramionami.

— Nieczęsto, ale mogę pójść. Jaki ma tytuł twój ostatni film?

— *Niedobra dziewczyna* — Marabelle mruzczała jak kotka. Miała niebieskie oczy, a Gino zawsze czuł słabość do niebieskich oczu.

— *Niedobra dziewczyna!*

— Tak — powiedziała spuszczać wzrok. — Głupi tytuł, nie uważa pan? — spytała Marabelle i ku zaskoczeniu Gina, spojrzała mu prosto w oczy.

Oto była kobieta, u której wszystko było na pokaz. Seks emanował z jej całego ciała. A jednak miała w sobie delikatność i wstyd małej dziewczynki. Gino chrząknął.

— Rzeczywiście. Chyba tak.

Zastanawiał się, jak ona go widziała. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat, ale nie wyglądał na swój wiek. Był sprawny fizycznie i opalony.

Wszystkie zęby i włosy na miejscu i w doskonałym stanie. Mógł uchodzić za czterdziestolatka, chociaż bynajmniej nie zależało mu na tym. Nie przeszkadzało mu to, że się starzał — ale kto chciałby wyglądać na starca?

— A mój następny film nazywa się *Kobiece sztuczki*. Jeszcze gorszy, prawda? — Zachichotała i podniosła rękę do ust.

Gino zauważył, że miała zniszczone od pracy ręce i obgryzione paznokcie. Nie pasowało to do niej, do jędrnego ciała, zmysłowej twarzy i pięknych, platynowych włosów.

— Gdzie kręć ten film? — spytał od niechcienia.

— W Los Angeles — odpowiedziała, oblizując lśniące wargi różowym języczkiem. — Może odwiedzi mnie pan na planie?

Lucky zwlokła się rano z łóżka i z trudem obudziła Olimpię. Dziewczęta ubrały się szybko bez słowa i w samą porę zdążyły na poranny apel. Dopiero w czasie przerwy obiadowej miały okazję porozmawiać. Usiadły na trawie z talerzami sałatki.

— Dlaczego uciekłaś? — spytała od niechcienia Olimpia. — Straciłaś całą zabawę.

— Jaką zabawę?

— Ano zabawę! No, wiesz przecież, przytulanie, pieszczoty. Mmmm! — Olimpia zamknęła oczy. — Było wspaniale!

Lucky próbowała nie zwracać na to uwagi, ale była wstrząśnięta.

— Z nimi wszystkimi? — wykrztusiła wreszcie.

— Oczywiście, że nie, ty głuptasie! — roześmiała się Olimpia, ale zaraz spoważniała. — Wybrałam tego, który mi się najbardziej podobał. A tobie żaden nie przypadł do gustu?

Lucky przygryzła wargę. To prawda, podobał jej się jeden z chłopców, ale nie spojrzał na nią ani razu, zajęty nadskakiwaniem Olimpii.

Zresztą, co ona, Lucky, wiedziała o chłopakach, seksie i tym wszystkim? Po prostu nic. Oczywiście, wiedziała, jak to się robi — co gdzie ale to było wszystko. Nie miała absolutnie żadnego doświadczenia. Nikt jej nawet nigdy nie pocałował. Nic.

— No więc? — dopytywała się Olimpia.

— Och! — Lucky wróciła do przytomności. — Nie wiem...

— Nigdy tego nie robiłaś? — Olimpia postanowiła spytać wprost.

— No cóż, niejedno w życiu robiłam — odparła zimno Lucky.

— Kochałaś się kiedyś z chłopakiem? — Olimpia nic dawała za wygraną.

— A ty? — Lucky odbiła pytanie.

— Nie do końca — odpowiedziała tajemniczo Olimpia. — Tak jest najfajniej. Jak chcesz, nauczę cię, jak się to robi.

Lucky zgodziła się natychmiast. Nie wiedziała, co to znaczy „nie do końca”, ale brzmiało to zachęcająco.

Olimpia zaskakiwała Lucky w najmniej spodziewanych momentach. Pomysły przychodziły jej do głowy nagle i natychmiast dzieliła się nimi z przyjaciółką. Ni z tego, ni z owego potrafiła zacząć szeptać jej do ucha na lekcji gotowania:

— Zawsze zaczynaj od pocałunku. Im dłużej, tym przyjemniej. Jeśli pozwolisz chłopakowi robić to, co chce, włoży ci od razu i będzie po wszystkim.

Albo na matematyce:

— Jak będzie chciał dotykać twoich piersi, pozwól mu. Ja to bardzo lubię. A w ogóle, gdzie ty masz biust?

Upływał dzień i znowu:

— Jak chcesz mieć większe piersi, to najlepiej pozwól jakiemuś chłopakowi je masować. Jak myślisz, dlaczego ja mam takie duże?

Tydzień zbliżał się do końca, a instruktaż Olimpii stawał się coraz bardziej podniecający:

— Jeżeli powie ci, że tylko położy się obok ciebie i nie będzie nic robił, nie wierz mu! Oni zawsze tak mówią i zawsze kłamią.

I w końcu gwóździł programu:

— Jak chcesz, możesz mu posać małego. To jest bardzo przyjemne. Tylko nie pozwól mu spuścić ci się do ust, bo będziesz czuła ten smak przez tydzień. To gorsze niż cebula!

Kiedy już Olimpia przekazała Lucky całą swoją wiedzę, zdecydowała, że najwyższy czas, aby przyjaciółka zadbała o swój wygląd.

— Wiesz, ty naprawdę jesteś bardzo ładna! — wykrzyknęła pewnego dnia, robiąc jej makijaż i czesząc włosy.

Gotowa, Lucky spojrzała w lustro z dreszczykiem emocji. Nie tylko była naprawdę piękna, ale w dodatku wyglądała na osiemnaście albo i dziewiętnaście lat. Gdyby Marco mógł ją teraz zobaczyć!

— Najwyższy czas — oświadczyła stanowczo Olimpia — abyśmy znów wybrały się do miasta. Zobaczymy, czego się nauczyłaś!

Wkrótce Gino stał się częstym gościem na planie nowego filmu Marabelle Blue. Przyjeżdżał długim, czarnym cadillakiem, który, jak głosiła plotka, był cały kuloodporny i miał pancerne szyby. Wsiadał z samochodu w asyście dwóch goryli i z przygotowanego specjalnie fotela przyglądał się pracy panny Blue.

Ten widok sprawiał mu przyjemność. Marabelle myliła się raz za razem, ale gdy w końcu zagrała poprawnie, było to wspaniałe.

Marabelle Blue. Naprawdę nazywała się Mary Belmont. Przyjechała do Hollywood mając szesnaście lat jako zwyciężczyni konkursu młodych talentów. Najpierw głodowała przez okrągły rok, aż w końcu nauczyła się wykorzystywać swoje przyrodzone wdzięki. Wyszła za mąż za dużo starszego hollywoodzkiego kaskadera, który pomógł jej się przebić i uratował ją przed losem zwykłej filmowej dziwki, wskakującej do łóżka na skinienie palca każdego reżysera.

Nagle Marabelle stała się sławna. Mąż został odsunięty w cień, ponieważ nie pasował do jej ekranowego imażu. Marabelle rozumiała to, miała już dwadzieścia lat i sporo doświadczenia.

Gino wziął ją do łóżka już po drugim spotkaniu. Okazała się tak świetna, jak to sobie wyobrażał patrząc na nią. Był dumny i czuł się znakomicie: oto kochał się z przepiękną kobietą, za którą połowa mężczyzn całego świata dałaby pół życia. Może nawet całe.

Marabelle Blue.

Nie był w niej zakochany, ale nareszcie spotkał kogoś, z kim mógł zostać na dłużej.

Lucky czuła się nieswojo w ubraniu Olimpii. Spódnica była na nią za krótka, buty za ciasne, a sweter za wąski.

Wydostawszy się na wolność zwykłym sposobem, dziewczęta pojechały rowerami do miasteczka. I tym razem — za sprawą ubrania i makijażu — także i Lucky stała się obiektem powszechnego zainteresowania.

Chłopak, który jej się podobał, miał na imię Ursi. Miał osiemnaście lat i mówił trochę po angielsku. Kiedy wypili kawę i porozmawiali ze sobą, Ursi spytał ostrożnie, czy Lucky nie chciałaby pójść z nim na spacer.

Olimpia usłyszała to i puściła do niej oko. Nadszedł czas, żeby się przekonać, czego nauczyła swoją przyjaciółkę.

Ursi zaprowadził Lucky aż na skraj lasu. Tam zdjął sweter, rozłożył go na ziemi i oboje usiedli. Natychmiast rzucił się na nią i zaczął

obmacywać całe jej ciało.

Lucky prawie wpadła w panikę, ale w porę przypomniała sobie rady Olimpii. Odepchnęła go i powiedziała:

— Nie spiesz się tak. Powoli!

Obietnica zawarta w jej słowach uspokoiła Ursiego. Zaczął ją całować namiętnie w usta, co było dla Lucky odrobinę nieprzyjemne.

Zamknęła oczy i miała nadzieję, że reszta będzie przyjemniejsza. I rzeczywiście, gdy dłonie chłopaka zaczęły pieścić jej dziewczęce piersi, Lucky poczuła się wspaniale. Olimpia miała jednak rację.

Ursi podciągnął sweter Lucky pod brodę, ale był wyraźnie rozczarowany brakiem jakichkolwiek okrągłości, bo po chwili zaczął

majstrować przy zamku jej spódnicy.

— O nie! — Lucky odsunęła się od niego. — Najpierw ty mi pokaż! Ursi bez wahania rozpiął spodnie i wyjął swój członek w pełnej erekcji.

Lucky wzięła go ostrożnie do ręki. Ursi był naprawdę dojrzałym mężczyzną.

— O rany! — Lucky szeptała z podziwem. — Niezły!

Jej słowa tak go podnieciły, że zanim Lucky zdążyła się zorientować, Ursi tryskał zwycięsko nasieniem, ocierając się o jej dłoń. Lucky puściła go i odskoczyła.

— Hej! — krzyknęła — uważaj na moją spódnicę!

— Och, kochanie — wzdychał Ursi łamaną angielszczyzną — ty jesteś wspaniała dziewczyna! Lucky uśmiechnęła się. Poczula swoją siłę. Teraz zapragnęła więcej.

Steven

1965

— Kłopot z tobą, Stevenie, polega na tym, że nie masz tak naprawdę pojęcia, co to znaczy być czarnym. Nie masz murzyńskiej świadomości — perorowała Dina Mgumba, zaprzysięgła bojowniczką o prawa czarnej mniejszości, żona Zoony i osoba o niesłychanie radykalnych poglądach. Tak, Zoona w końcu się ustatkował. Po latach młodzieńczych szaleństw i bezskutecznych poszukiwań poznał

Dinę podczas jednej z wielu demonstracji o prawa dla ludności murzyńskiej. Zakochał się w niej natychmiast i z dnia na dzień stał się innym człowiekiem.

Zizi położyła się na tapczanie i ziewnęła przeciągle. Dina posłała jej zabójcze spojrzenie.

Co z tobą, kochanie? spytała zimno. Czyżbyśmy cię znudzili?

— Ty mnie nudzisz, Dina, moja droga odparła równie chłodno Zizi. Nigdy się specjalnie nie lubiły.

— Czas chyba iść do domu — zdecydował Jerry Meyerson, podnosząc się z krzesła. Chodź, kocie.

Kotem nazywał po kolei wszystkie swoje dziewczyny, co miało swoją dobrą stronę, ponieważ tylko geniusz potrafiłby spamiętać te wszystkie imiona. Jerry miał nową dziewczynę co tydzień, a czasem co drugi dzień. Każda była niepozorną, ładną blondynką i według słów Jerry'ego, wszystkie były „dynamitem w łóżku”.

— Nie, zostań. Napij się jeszcze — poprosił bez przekonania Steven.

— Pewnie, że bym chciał! — Jerry roześmiał się głośno — ale mam strasznie ciężką sprawę rano, w grę wchodzi duże pieniądze. Muszę się przygotować.

Zizi znów ziewnęła i wstała z łóżka.

— Dobranoc, Jerry. Dobranoc wszystkim. — Zatrzymała się w drzwiach sypialni. — Przyjdź zaraz — powiedziała do Stevena. Mam dzisiaj wielką ochotę na ciebie. Nie każ mi długo czekać, kochanie! i zatrasnęła za sobą drzwi.

Dina wyduła pogardliwie wargi. Nie powiedziała ani słowa, ale wyraz jej twarzy mówił wszystko.

Steven doskonale znał tę minę. Carrie robiła ją aż nazbyt często.

— Może wybierzemy się razem na obiad w przyszłym tygodniu? — zaproponował Z udanym entuzjazmem wiedząc, że Dina i Zizi nigdy nie będą się lubić. — Moglibyśmy najpierw pójść do kina. Chciałbym zobaczyć *Matnię* Polańskiego.

— Matnia? To coś o tobie, chłopie — zauważyła z przekąsem Dina. Zoona spojrział na nią wymownie, ale Dina nie była kobietą, którą można

by uciszyć spojrzeniem.

— Chciałabym, ale to niemożliwe — odparła. — Jedziemy do Alabamy na marsz protestacyjny. Przypuszczam, że wy się z nami nie wybierzecie?

Steven potrząsnął głową. Od dawna był zapalonym działaczem ruchu na rzecz praw ludności murzyńskiej. W 1963 roku nie robił wła-

ściwie nic innego. Był wtedy w Birmingham, gdzie protesty i walki z policją doprowadziły w końcu do aresztowania Martina Luthera Kinga. Brał też udział, wśród dwustu tysięcy innych, w marszu wolnościowym na Waszyngton. Czuł potrzebę zaangażowania się w te sprawy, ale może nie aż tak silną jak przeciętny Murzyn, co krok przeżywający upokorzenia wynikające z nieustannej segregacji rasowej, dużo częstsze na południu kraju.

Carrie przekonała go w końcu, że lepiej pomoże czarnym Amerykanom, jeśli stanie się szanowanym i cenionym prawnikiem. A już związek z Zizi ostatecznie przypieczętował sprawę. Skończyły się dla niego podróże po kraju, marsze protestacyjne i demonstracje.

Dina odebrała to jako osobistą obrazę. Dotychczas razem z Zooną i Stevenem robili wszystko, wspólnie starając się przyspieszyć konieczny proces zmian. A teraz mogli być tylko znajomymi, którzy spotykali się czasem na wspólnym obiedzie i prowadzili, jak to określała, idiotyczne pogaduszki o niczym.

— Nie — powiedział Steven — nie pojedę na ten marsz. Dina nie odpowiedziała.

Zoona i Dina pożegnali się chłodno i Steven został sam na sam ze stolikiem uginającym się od brudnych szklanek i pełnych popielniczek. Wiedział, że Zizi tego nie posprząta. Choć mieszkała razem z nim, nigdy nie ruszyła nawet palcem.

Zastanawiał się, co takiego w niej widzi.

Natychmiastowa erekcja wystarczyła za odpowiedź.

Zapomniał o pozmywaniu naczyń i wszedł do sypialni.

Zizi leżała na łóżku czytając magazyn filmowy. Nie licząc złotych bransoletek, była naga. Miała wspaniałe ciało tancerki, była niska, ale o idealnej figurze. Zizi była mulatką, pół Murzynką pół Portorykanką, i jej cera miała egzotyczny, czekoladowy blask. Zizi farbowała na blond swoje naturalnie ciemne włosy, co kontrastując z jej bursztynowymi oczyma, wprawiało Stevena w podziw. Miała dwadzieścia dziewięć lat i była od niego trzy lata starsza.

— Dlaczego jesteś taka arogancka w stosunku do Diny? — zapytał delikatnie.

Zizi rozchyliła nogi w odpowiedzi.

— Lepiej przestań gadać i pokaż mi, o co naprawdę chodzi w tym całym waszym ruchu na rzecz praw dla Murzynów.

— Chcę się ożenić, mamó — oświadczył Steven, zdenerwowany jak nastolatek.

Carrie, zajęta układaniem kwiatów w wazonie, nie odwróciła się nawet.

— Słyszałaś, co powiedziałem? — wyjąkał, odganiając ręką pszczołę, która latała po luksusowym, pełnym kwiatów apartamencie matki.

— Wiesz co? — odparła wreszcie Carrie, nie odrywając uwagi od kwiatów. — Jak na inteligentnego człowieka, naprawdę potrafisz zachowywać się jak głupiec.

Steven poczuł się urażony. Matka była niesprawiedliwa, przecież nawet dobrze nie знаła Zizi.

— Dlaczego nie chcesz, żebym się ożenił? — zapytał podniesionym głosem.

Carrie odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

— Masz dwadzieścia sześć lat, Steven. Nie mogę ci niczego zabronić. Jeśli uważasz, że możesz, spędzić resztę życia z taką dziewczyną...

— Co to znaczy „z. taką dziewczyną”? Z jaką?

— Czy mam ci wbijać do głowy to, co sam doskonale wiesz?

— Cholera jasna! nie wytrzymał Steven. — Jaka ty jesteś staroświecka i nudna!

Oczy Carrie zabłyśły niebezpiecznie.

— Uważaj na słowa. Mówisz do swojej matki, pamiętaj o tym.

— No właśnie, kurwa!

Carrie uderzyła go prosto w twarz.

— Tego cię ona nauczyła? Żebyś nie miał do mnie żadnego szacunku? Żebyś rozmawiał ze mną jak jakiś alfons z murzyńskiego getta?

Steven zatrzymał się przy drzwiach.

— Co ty możesz wiedzieć o alfonsach i gettach, co? Żyjesz w luksusie, gdzie wszyscy są dla wszystkich tacy dobrzy i uprzejmi!

Kocham Zizi i zamierzam się z nią ożenić, niezależnie od tego, czy tobie się to podoba czy nie!

Lucky

1965

Zbliżały się wakacje i Dario Santangelo czekał niecierpliwie na powrót siostry. Tyle miał jej do powiedzenia! Znienawidzona guwernantka odeszła, a jej miejsce zajęła kobieta starsza od niej, zatrudniona w charakterze pomocy domowej raczej niż opiekunki do dzieci. Dario przyjął to z niekłamaną ulgą. Nikt więcej nie śledził każdego jego ruchu, nikt nie rozkazywał. Nie mógł się już doczekać, kiedy po wakacjach pójdzie do szkoły. Miał już prawie czternaście lat i tak jak Lucky tęsknił do towarzystwa rówieśników.

W zamyśleniu drapał krostę na brodzie. Lucky była jego najlepszą przyjaciółką. Bez niej było mu okropnie!

Wśród tłumu podróżnych w hali przylotów Lucky zauważyła oczekującego ją Marca i szepnęła do siebie: Boże! Co on sobie pomyśli, jak mnie teraz zobaczy!

Wyjechała z Los Angeles przed trzema miesiącami jako czternastoletnia dziewczynka, a wracała do domu jako piętnastoletnia, wyrachowana młoda kobieta.

Marco spojrział na Lucky i prześliznął się po niej wzrokiem. Nie poznał jej nawet, kiedy podeszła bliżej. Poklepała go po ramieniu i powiedziała:

— Hej, pamiętasz mnie jeszcze?

— Lucky? — Marco nie mógł uwierzyć.

— Zgadłeś za pierwszym razem!

— Jezu! — wymknęło mu się, zanim zdołał opanować zaskoczenie. Gino dostanie ataku szału, jak zobaczy swoją słodką córeczkę.

Lucky ścięła wspaniałe loki. Miała teraz krótkie, bardzo krótkie włosy, które przylegały do jej głowy jak dziwaczny kapelusz. Jej makijaż był niewiarygodny. Biały, niemal cyrkowy, ze sztucznymi rzęsami nad i pod oczyma, purpurowy cień na powiekach i kredowa szminka. Jej ubiór był nie mniej ekscentryczny: czarno-biała sukienka mini w geometryczne wzory, która z ledwością zasłaniała jej pośladki, a na nogach błyszczące białe buciki.

— No? — spytała odważnie Lucky, kładąc ręce na biodrach i przyglądając się Marcowi — i jak ci się podoba mój nowy wygląd?

— Cóż... z pewnością jest... inny.

— Bo ja jestem już inna.

— Ach tak?

— Żebyś wiedział! — Puściła do niego oko. — Możesz mnie nazywać kobietą z doświadczeniem.

Wiesz, co mam na myśli?

Tego już za wiele! Gino się wścieknie.

Marco przywołał bagażowego i skinął na Lucky:

— Chodź do samochodu.

Marco pracował dla Gina już sześć i pół roku i był zadowolony. Przedtem bywał taksówkarzem, gorylem, a także drwalem w Kanadzie.

Nie było chyba takiej profesji, której by nie spróbował w swoim życiu. Kryzys przyszedł, kiedy Marco wrócił z Korei, gdzie walczył

przez pół roku u boku amerykańskich żołnierzy. Kiedy twoich dwóch najlepszych kumpli ginie od kul na twoich oczach, świat przewraca się do góry nogami. Bee, jego matka, poradziła mu:

— Idź do Gina, on zawsze cię lubił. Gino na pewno da ci pracę. Bee miała rację. Gino przyjął go z otwartymi ramionami.

— Zostaniesz przy mnie — powiedział. — Obserwuj i ucz się. Jedno, czego wymagam, to lojalność. Muszę być pewien, że mogę polegać na moich pracownikach w stu procentach.

Sześć i pół roku minęło bardzo szybko. Przez ten czas Marco nie nudził się ani razu i zdążył się sporo nauczyć.

— Jak ty wyglądasz?! — krzyknął na jej widok Dario.

— Bardzo dziękuję — odpowiedziała Lucky, mroząc go spojrzeniem. — Miłe powitanie, nie ma co.

Dario beknął głośno.

— Chcesz posłuchać moich nowych Beatlesów? zaproponował z entuzjazmem.

— Nie, nie chcę. — Lucky weszła z godnością do domu.

Dario poczłapał za nią. Naprawdę wyglądała potwornie. I wydawała się jakaś... inna. Zmieniona. Postanowił, że od razu wszystko jej opowie, żeby poprawić jej humor. Wszedł za nią do pokoju.

— Nie napisałaś do mnie wypomniał jej. Lucky ziewnęła i usiadła na tóżku.

— Nie miałam kiedy. Dario zamknął drzwi pokoju.

Słuchaj, dowiedziałem się czegoś, w co nigdy nie uwierzysz! Co takiego? — Lucky nie okazywała zainteresowania. Zastanawiała się, dlaczego Marco nie wyznał jej dotąd miłości. Chodzi o tatę.

— Tak? — To ją zainteresowało. Przez trzy miesiące pobytu w Szwajcarii Gino zadzwonił do niej

tylko raz, w dzień urodzin — i przysłał bardzo kosztowny sprzęt stereo, który dyrektorka szkoły natychmiast skonfiskowała.

— Tata ma nową dziewczynę.

— Kogo?

— Gwiazdę filmową.

— Kogo, ty mały szczeniaku?

— Nie przezywaj mnie.

— Kogo?!

— Marabelle Blue.

— Żartujesz!

— To prawda.

— Cholera! — Lucky wyjęła z torebki papierosa i zapaliła. Dario był pod wrażeniem.

— Kiedy zaczęłaś palić?

Lucky zaciągnęła się dymem popisując się przed bratem i powoli wypuściła dym przez nos.

— Zawsze paliłam!

— Kłamiesz!

— Powiedz mi jeszcze o tacie i tej dziewczynie. Skąd o tym wiesz?

— Wszyscy o tym wiedzą.

— Ja nie wiem.

— Pisali nawet w gazetach.

— Kiedy?

— Cały czas.

— To niczego nie dowodzi.

— Przyprawia ją tu. — Dario zamilkł, ciesząc się swym triumfem. — Widziałem, jak się kochali.

Lucky skoczyła na równe nogi. Podniecenie sprawiło, że nie była już w stanie zachować

wyrachowanego chłodu.

— Nieprawda!

— A właśnie, że tak.

Przez następną godzinę nie mówili o niczym innym. Dario opowiadał, jak pewnego razu idąc do kuchni po szklankę wody, w środku nocy usłyszał hałasy dochodzące z sypialni taty. Podszedł pod drzwi i widział wszystko przez dziurkę od klucza. — Wszystko! —

powtarzał.

Lucky domagała się szczegółów. A później kazała bratu powtarzać całą historię od początku. I jeszcze raz. Pod koniec opowiadanie Daria stało się już dość wulgarne.

— Dobrze — powiedziała, gdy jej ciekawość została zaspokojona. — Teraz pójde się wykąpać. Później pogadamy.

Dario niechętnie zostawił ją samą, uprzedzając jeszcze, że Gino obiecał przyjechać na kolację.

— Jest teraz w Las Vegas, ale powiedział, że wróci.

Lucky stała pod chłodnym prysznicem, z przyjemnością czując, jak jej sutki twardnieją pod wpływem strumieni wody. Olimpia miała rację. Pieszczoty cudownie wpływały na rozwój biustu.

— Nie umiem rozmawiać z dziećmi — wyznała z lekkim wstydem Marabelle.

Gino przeciągnął się czując, jak kości ramion strzelają w stawach.

— To nie dzieci — tłumaczył — to nastolatki.

— Wszystko jedno.

— Nie wszystko jedno. To zupełnie co innego, przekonasz się. Marabelle oglądała się nerwowo w lustrze. Znajdowali się w jej garderobie

w studiu filmowym, gdzie Gino przyjechał prosto z lotniska.

— Co mam założyć? — spytała niepewnie.

— Nic specjalnego. To tylko dzieci.

Przy stole panowała cisza. Gino siedział wściekły na jednym końcu. Nie po to posłał córkę do jednej z najdroższych szkół w Europie, żeby wróciła wyglądając jak małpa z cyrku.

Lucky siedziała po jego lewej stronie, wparując się w talerz. Ojciec nie widział jej od trzech miesięcy, a teraz, zamiast cieszyć się z tego, że znów są razem, krzyczał na nią i powtarzał, że

wygląda obrzydliwie.

Dario siedział naprzeciwko Lucky, z oczami utkwionymi w Marabelle Blue, nie spuszczać wzroku z jej piersi.

Marabelle Blue siedziała naprzeciwko Gina. Usta jej drżały i nie próbowała nawet nawiązać rozmowy. Od początku wiedziała, że dzieci ją zniechęcają.

Po obiedzie każde z nich wstało i poszło w swoją stronę. Dario usiłował rozbawić Lucky dowcipami, ale ona nie miała na to ochoty.

Poszła do swojego pokoju, zamknęła drzwi na klucz i płakała przez godzinę. Kiedy się uspokoiła, podniosła słuchawkę telefonu i zamówiła rozmowę z Grecją.

— Musisz mi pomóc! — błagała Olimpię. — Czy mogłabyś zaprosić mnie do siebie na wakacje?

— Jasne! — Olimpia odpowiedziała bez wahania. — Czemu nie? Będzie nam wspaniale razem — zapewniła — po prostu wspaniale!

I tak było. Od pierwszego dnia.

Dimitri Stanislou, ojciec Olimpji, miał wspaniały, luksusowy dom na słonecznej greckiej wyspie. Mieszkało tam wielu gości, którzy chętnie korzystali z jego ekskluzywnej willi i prywatnego jachtu. Wszyscy z radością powitali przybycie ślicznej, młodej dziewczyny, nawet jeśli była przyjaciółką Olimpji, co oznaczało, że muszą trzymać od niej rękę z daleka.

— Kłopot z tymi przyjaciółmi ojca, że wszyscy są tacy starzy! — chichotała Olimpia. Ale za to jacy bogaci! A jacy są przyjaciele twojego taty?

Przez chwilę Lucky poczuła pokusę powiedzenia jej całej prawdy. Przyjaciele taty? Jedni z najszlachetniejszych i najbardziej niebezpiecznych gangsterów w całych Stanach Zjednoczonych. Ale Lucky pamiętała złożoną ojcu obietnicę — nigdy nie zdradzać swego prawdziwego nazwiska. Nigdy. W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

— Starzy, tak samo. I nudni.

Olimpia pokiwała głową ze zrozumieniem.

Przez dwa tygodnie dziewczęta bez przerwy opalały się, jeździły na nartach wodnych i nurkowały.

— Jestem taka zdrowa, że chyba zemdleję! — narzekała Olimpia. — Popłynijmy dzisiaj do miasta i zabawmy się wreszcie!

Lucky zgodziła się. Już od tak dawna nie uprawiała „nie-do-końca”. Ich mottem było: wszystko, tylko nie... Po każdej nocy pełnej pieszczot Olimpia powtarzała chichocząc:

— Jesteśmy takie dwie małe dziewczynki... I w dodatku zamierzamy nimi pozostać!

W miasteczku poznały dwóch tutejszych rybaków i pogadawszy z nimi trochę, w odpowiednim momencie wszyscy czworo przenieśli się na pobliską plażę.

Lucky leżała na piasku rozkoszując się namiętnymi pocałunkami chłopca, którego twarde od pracy ręce obmacywały jej coraz bardziej kształtne piersi. Chłopak nie znał angielskiego, ale oboje rozumieli się doskonale bez słów.

Kiedy w końcu chłopak zaczął rozpinąć jej spodenki, Lucky powstrzymała go — i zanim zdążył się zorientować, wyjęła ze spodni jego nabrzmiały członek i bez wahania, niczym doświadczona kurtyzana, wzięła go do ust.

Chłopak poddał się jej pieszczotom i dopiero gdy skończyła, pozwoliła mu zdjąć sobie spodenki i majteczki. Wtedy ułożyła się wygodnie na piasku

z rozchylonymi nogami, a palce i usta młodego Greka doprowadziły ją do wstrząsającego całym ciałem orgazmu.

Doskonały sposób na uprawianie miłości. Żadnego ryzyka, żadnego kłopotu.

Lucky uśmiechała się do siebie zakładając ubranie. Dwie małe dziewice...

Ku swojemu zaskoczeniu Gino dowiadywał się z różnych źródeł, że Marabelle go oszukuje. Był wściekły. Dyskretne dochodzenie wykazało, że drugim, bardzo ważnym mężczyzną w jej życiu był pewien senator z Waszyngtonu. Powszechnie znany i do tego żonaty polityk. A jakby tego było mało, Marabelle znajdowała się pod nieustanną obserwacją FBI.

Gino dowiadywał się o wszystkim krok po kroku i kolejne informacje wstrząsały nim. Ale Marabelle była wyjątkową kobietą i nie zamierzał jej tak po prostu porzucić.

Pewnego pogodnego wrześniowego poranka Gino wsiadł w samolot do Waszyngtonu, zadzwonił do senatora i umówił się z nim na prywatne spotkanie.

Czterdziestopięcioletni senator Peter Richmond był chłopięco przystojny. W życiu układało mu się znakomicie. Miał piękną żonę, czworo dobrze wychowanych dzieci i rznął każdą panienkę, która puściła do niego oko. Marabelle nie ograniczyła się jednak do puszczenia oka. Pojawiła się w Waszyngtonie na występach zorganizowanych na cele dobroczynne, spojrzała na niego swymi dziecięco błękitnymi oczyma i wzięła go na miejscu, tu i teraz, w swojej garderobie. Od czasu tego pierwszego magicznego rżnięcia spotykali się dwa albo trzy razy w miesiącu w różnych miastach Ameryki.

Marabelle była zadowolona, że może pójść do łóżka ze sławnym politykiem.

Peter był zadowolony, że może kochać się ze słynną gwiazdą Hollywoodu.

Tylko Gino był bardzo niezadowolony z jednego i drugiego.

Rozmawiał z senatorem spokojnie i uprzejmie, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi. Pod koniec

spotkania wydawało się im obu, że naprawdę nimi są.

Senator Richmond był zaskoczony dowiadując się o romansie Marabelle z Ginem Santangelo. Nie był w stanie wyrazić mu swojej wdzięczności za ostrzeżenie. Gdyby sprawa wyszła na jaw, konsekwencje byłyby wprost przerażające! Marabelle Blue, dzieląca swoje wdzięki między senatora i gangstera! Prasa i plotki zrujnowałyby jego karierę.

Oczywiście senator Richmond nie wyraził tego w taki sposób. Słuchał uważnie, potakiwał i dziękował Ginowi, który ze swojej strony obiecał daleko idące poparcie, gdyby senator miał kiedyś ubiegać się o fotel prezydenta.

Gino wrócił do Los Angeles szczęśliwy i uśmiechnięty. Mógł się kiedyś przydać Peterowi Richmondowi. A Peter Richmond mógł

przydać się jemu. Wszystko ułożyło się po jego myśli i nie musiał pokazać senatorowi zdjęć i kaset, które posiadał. Gino z zadowoleniem poklepał kopertę w kieszeni spodni. Schowa ją do sejfu obok pożółkłych lisów senatora Duke'a.

Nigdy nie musiał zrobić z nich użytku. A sam senator Duke nie żył już od siedmiu lat. Ale Gino zatrzymał tamte listy. Pamiątka z przeszłości.

Wróciwszy do szkoły, Lucky przeczytała w gazetach o tym, że Marabelle Blue usiłowała popełnić samobójstwo. Sześć tygodni później Gino zadzwonił do córki z wiadomością o swych zaręczynach z aktorką. Spóźnił się. Lucky usłyszała o nich wcześniej w telewizji. Jak mógł jej to zrobić? Płakała całą noc. W końcu Olimpia przyszła do jej łóżka, weszła pod pościel i przytuliła.

— Co się stało, kochana? uspokajała. O co chodzi?

Lucky nie chciała jej powiedzieć. Tuliła się tylko do przyjaciółki, aż zaczęły się pieścić.

Jędrne piersi, twarde sutki, ciepłe uda, mleczna wilgoć.

Doprowadziły się nawzajem do orgazmu i zasnęły w swoich objęciach.

Wczesnie rano Olimpia wróciła do swojego łóżka. Za sprawą jakiegoś niewypowiedzianego porozumienia żadna z dziewcząt nie wspominała ani słowem o tym zdarzeniu. Stało się. Było przyjemnie. Ani Lucky, ani Olimpia nie chciała ani nie potrzebowała próbować tego po raz drugi.

Steven

1966

Steven i Zizi wzięli ślub w mroźny lutowy poranek. Zizi miała na sobie długie, czarne kozaki, jasnoczerwoną spódniczkę i czarny, włochaty sweter.

Jerry Meyerson był drużbą, a Zoona i Dina świadkami. Zizi nie zaprosiła nikogo. Twierdziła, że nie ma żadnej rodziny, a przyjaciele nie znaczyli dużo w jej życiu.

Ceremonia ślubna odbyła się w ratuszu miejskim bez specjalnego przepychu. Kiedy się zakończyła, wszyscy poszli do pobliskiego baru, gdzie Jerry postawił szampana, a Zizi popisywała się improwizowanym tańcem, co wprawiało Stevena w zakłopotanie. Małżonkowie pokłócili się pierwszy raz trzy kwadransy po ślubie i nie było to dla nikogo zaskoczeniem. Steven i Zizi mieszkali razem od roku i kłócili się prawie codziennie. Jeżeli w ich związku było jeszcze cokolwiek zaskakującego to fakt, że w końcu wzięli ślub.

Jerry przez długie tygodnie próbował odwieść przyjaciela od zamiaru poślubienia Zizi.

— Co chcesz na tym zyskać? — pytał. — Masz wszystko, czego chcesz, po co związywać się dodatkowo?

Steven wzruszył ramionami.

— Sam nie wiem, Jerry... Ona tego pragnie.

— Tego jestem pewien. One wszystkie tego chcą. Nie możesz się tak poddawać.

— Słuchaj, mnie w końcu też to odpowiada.

— Bzdura.

— Naprawdę.

— Bzdura.

Steven nie chciał wyjawic Jerry'emu prawdziwego powodu, dla którego miał zamiar ożenić się z Zizi, a prawdziwy powód był prosty.

Zizi zagroziła, że zerwie z nim, jeżeli nie zgodzi się na ślub.

— Jeżeli mnie chcesz, to ożeń się ze mną — oświadczyła. — Jak nie ty, to znajdzie się ktoś inny.

Steven wierzył w to. Mnóstwo mężczyzn oglądało się za nią na ulicy, wodziło za nią wzrokiem, rozbierało ją w myślach. Zizi to nie przeszkadzało. Prawda była taka, że wprost uwielbiała to. Kiedy będziemy małżeństwem, rozumował Steven, Zizi będzie musiała się ustatkować i skończyć z flirtowaniem. Może nawet będziemy mieli dziecko, zastanawiał się. Jak Zizi zajdzie w ciążę, mężczyźni natychmiast przestaną się nią interesować.

Myśl o tym, że Zizi mogłaby go zdradzić, irytowała go i napełniała przerażeniem. Wiedział, że Zizi wywiera na niego zgubny wpływ, wywołując w nim tak silne, agresywne emocje. Ich związek był pełen napięcia i Steven miał nadzieję, że małżeństwo przyniesie uspokojenie.

Miodowy miesiąc w Puerto Rico przekonał go, że się mylił. Zizi, ubrana w skąpe bikini, które niewiele pozostawiało wyobraźni, paradowała po kąpielisku prezentując swoje zmysłowe kształty gościom hotelowym. Czuła się tam u siebie w domu i napawała się każdą chwilą uwielbienia, jakie widziała w oczach mężczyzn.

Steven mógł tylko przyglądać się z bezsilną wściekłością, jak Zizi flirtuje z każdym, kto był pod ręką, począwszy od policjantów, a skończywszy na grupie amerykańskie turystów, których otyłe żony nie były tym zachwycone.

Były to ich pierwsze wspólne wakacje. Kiedy wrócili do pokoju, Steven czynił żonie wyrzuty:

— Jesteś zbyt prowokująca. Kiedy wyszłaś z wody, wszystko było ci widać, nawet sutki i owłosienie, wszystko!

— O mój Boże! — zawołała Zizi z udanym przerażeniem. — Tylko nie to! Sutki i owłosienie, to potworne!

— Nie żartuj sobie z tego.

Zizi rozpięła stanik i pozwoliła mu spaść na podłogę.

— Przepraszam, kochanie, masz rację.

Odwróciła się przodem do niego i poruszyła się prowokująco, tak że jej piersi podniecająco drżały.

Pomimo zdenerwowania, Steven poczuł natychmiastową erekcję. Zizi zawsze tak na niego działała.

Powolnym ruchem podniosła palec do ust, polizala go, a następnie zatoczyła opuszką koło wokół swojej nabrzmiałej sutki. Steven patrzył, jak sutka Zizi staje się coraz większa, i jego podniecenie rosło. Kochał się z nią już setki razy, ale zawsze czuł ten sam niesamowity dreszcz emocji, jak gdyby robili to pierwszy raz.

Jak mógł się na nią dłużej gniewać? Lubiła popisywać się swoją urodą, to prawda, ale tak naprawdę należała tylko do niego i to tylko się liczyło.

Carrie dowiedziała się wszystkiego na temat ślubu syna z ust Jerry'ego Meyersona. Był miłym chłopcem i Carrie lubiła go, odkąd Steven pierwszy raz zaprosił go do domu, kiedy obaj mieli po szesnaście lat. Z upływem czasu Carrie obserwowała, jak Jerry z niezdarne podrostka staje się dorosłym mężczyzną i cenionym adwokatem. Mówił do niej po imieniu, dzwonił zawsze przynajmniej raz w tygodniu i kochał się w niej potajemnie, o czym oboje wiedzieli, lecz nigdy nie wspominali.

Carrie to pochlebiało. Miała już pięćdziesiąt trzy lata i cieszyła się będąc podziwiana przez

mężczyznę, który mógłby być jej synem.

Wyglądała rzeczywiście wspaniale. Była kimś dobrze znanym w towarzyskich kręgach Nowego Jorku. Inne kobiety często jej zazdrościły. Traktowano ją z szacunkiem i wielokrotnie powtarzano jej opinie na każdy temat, od makijażu do wystroju wnętrz.

Zastanawiała się nieraz, co by było, gdyby wszyscy poznali nagle całą prawdę o jej przeszłości. Czy i wtedy liczone by się z jej zdaniem?

Czy i wtedy zapraszano by ją, aby patronowała akcjom dobroczynnym? Czy projektanci mody zabiegaliby o to, żeby nosiła lansowane przez nich ubiory?

Carrie nie miała złudzeń.

Jakie dziwne było jej życie. Kto by pomyślał, że kiedyś osiągnie aż tyle? I Steven. Jakże była z niego dumna! Był wziętym adwokatem, chociaż nalegał, aby brać sprawy z urzędu. Zarabiał na życie, ale było to niczym w porównaniu z fortuną, jaka czekałaby go, gdyby zechciał otworzyć prywatne biuro. Carrie była gotowa pomagać mu finansowo, ale gdy mu to zaproponowała, kategorycznie odmówił.

— Chcę pomagać ludziom, którzy naprawdę tego potrzebują, a nie jakiejś kapiącej od złota kokocie, której dolary sterczą z rękawów.

Kiedy ktoś do mnie przychodzi, a ja mogę mu pomóc, to jest najważniejsze.

Nie sprzeczała się z synem. Wiedziała, że gdy dorośnie i zmądrzeje, zmieni zdanie.

Aż nagle Zizi wdarła się w jego życie i wszystko zniszczyła. Carrie spodziewała się takiego obrotu sprawy, odkąd ujrzała ją pierwszy raz.

— To nie potrwa długo — zapewniał Jerry. — Klócili się już w godzinę po ślubie.

Carrie pokiwała głową. Tak samo jak Jerry wiedziała, że ten związek nie ma przyszłości. Zastanawiała się tylko, jak długo potrwa.

Nie widziała się ze Stevenem, odkąd powiedział jej o swych małżeńskich planach. Chociaż sprawiało jej to ból, celowo unikała kontaktu z synem w nadziei, że przywróci mu to rozsądek.

— Dokąd pojechali? — spytała.

— Do San Juan, a gdzieżby indziej? Musiała go tam zaciągnąć. Carrie wstała, co miało znaczyć, że uważa wizytę za skończoną.

— Będziemy w kontakcie, prawda? — spytała. — Gdyby Steven mnie potrzebował, będę tutaj, ale chyba nie chcę go widzieć, dopóki nie pozbędzie się tej... osoby. Może beze mnie łatwiej podejmie decyzję.

— Być może masz rację.

Pocałował ją lekko w policzek na do widzenia i zastanawiał się, dlaczego wiek odcisnął tak silne piętno na jego matce, gdy tymczasem Carrie wydawała się wiecznie młoda.

— Zobaczymy się w przyszłym tygodniu — powiedział.

— Dziękuję ci, Jerry.

Lucky i Gino

— Twoje zachowanie to obraza dla całej społeczności naszej szkoły! — grzmiąca dyrektorka patrząc groźnie na Lucky. — W L'Evier nigdy, ale to nigdy nie zdarzyło się coś podobnie obrzydliwego! — Zdjęła z nosa okulary w drucianych oprawkach i przez chwilę Lucky myślała, że ta surowa Angielka wybuchnie histerycznym płaczem. Ale nie. Dyrektorka zacisnęła usta, opanowała się i po chwili kontynuowała tyradę. Żeby przyprowadzać obcych chłopaków do szkoły, już to samo jest karygodne. Ale *szmuglować ich* do sypialni i... *leżeć* z nimi bezwstydnie w łóżku...

Olimpia z trudem powstrzymała chichot.

Dyrektorka zauważyła to i zwróciła się do niej złowieszczym tonem:

— Możesz się śmiać, młoda panno. Mam nadzieję, że będziesz się śmiać nadal, kiedy twój ojciec przyjedzie zabrać cię ze szkoły, którą zhańbiłaś swoim... ohydny występkiem. Obie jesteście wydalone. Zdążyłam już zadzwonić do twojego ojca, Lucky. Zapowiedział, że przybędzie tu jutro rano. I pan Stanislopoulos także.

Z powrotem włożyła okulary na długi, wąski nos.

— A tymczasem — ciągnęła, z niesmakiem przyglądając się obu dziewczętom — macie wrócić do swojego pokoju i nie wychodzić stamtąd pod żadnym pozorem, do czasu kiedy ojcowie przyjadą was odebrać. Czy wyraziłam się dość jasno?

— Cholera! — westchnęła Olimpia rzucając się na łóżko. — Tata okropnie się na mnie wkurzy. Zawsze się wkurza, kiedy wyrzucają mnie ze szkoły, i muszę go przeproszać i przysięgać, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Ostatnim razem też mu to przysięgałam.

Cholera!

— Mój ojciec nie przyjedzie — odezwała się Lucky. — Przyśle kogoś po mnie.

— Dlaczego nie przyjedzie? — zaciekawiła się Olimpia. Lucky wzruszyła ramionami.

— Jest bardzo zajęty.

— Oni wszyscy są bardzo zajęci.

— Ale mój bardziej niż inni.

— Co robi twój tata?

Lucky znów odpowiedziała wzruszeniem ramion, po czym dodała, ostrożnie dobierając słowa:

— Ma tysiące zajęć. Hotele... fabryki... wydawnictwa... Cokolwiek możesz sobie wyobrazić, on to ma. — Otworzyła szafkę i zaczęła przeglądać swoje ubrania.

— Czy twój tata naprawdę żeni się z Marabelle Blue? — spytała niby od niechcienia Olimpia.

Lucky odwróciła się na pięcie i zmierzyła ją wzrokiem.

— Skąd ty wiesz? — wyrwało jej się i poczuła, jak czerwienią się jej policzki.

Olimpia ziewnęła i przeciągnęła się na łóżku.

— Wiem. Od dość dawna. Czekałam, aż sama mi to powiesz. Booże! Jak bym chciała, żeby mój ojciec też był takim niebezpiecznym bandytą, zamiast zwykłym, potwornie nudnym milionerem!

— Nie wolno mi o tym nikomu mówić.

— A od kiedy ty robisz tylko to, co ci wolno? — szyderczo spytała Olimpia. — Nie wolno ci, też coś!

Lucky poczuła nagłą ulgę, że choć jedna osoba poza nią wiedziała, kim jest naprawdę. Zawsze chciała wyznać wszystko Olimpui, ale Gino zmusił ją do złożenia solennej obietnicy...

— Tak bardzo chciałabym go poznać! Znam go tylko ze zdjęć. Wygląda wspaniale, jest taki męski, taki groźny!

— Groźny? — Lucky nie mogła się nie roześmiać. Co za dziwaczne słowo na określenie człowieka, którego się tuli i całuje, którego zapach zna się jak własny. To prawda, że ostatnio odsunęli się od siebie, ale Lucky nigdy nie przyszłoby do głowy nazwać ojcem groźnym.

— Powiedz — spytała podekscytowana Olimpia — czy on naprawdę mordował ludzi?

— Sama nie wiem. Wszystko, co o nim piszą, to przesada. Tak mi powiedział. Przypuszczam, że wyrobił sobie taką opinię dlatego, że...

urwała. Dlatego, że co? Skąd właściwie mogła wiedzieć? Gino był jej ojcem, kochała go. Albo nienawidziła. To zależy. Czytała o nim: Gino „Byk” Santangelo. Kim był naprawdę? Lucky w każdym razie tego nie wiedziała. I była pewna, że nie ma ochoty się dowiadywać.

Czy na pewno nie? A może... Może któregoś dnia. Kto wie...

Zaręczyny z Marabelle Blue okazały się jedną wielką pomyłką. Ta wzięta aktorka była egocentryczną dziwką, nękaną przez manię samobójczą. Gino nie miał pojęcia, dlaczego w ogóle zaproponował jej małżeństwo. Było mu jej szkoda czy co? Żyli ze sobą od pół

roku, a on wciąż nic z tego nie rozumiał. Wiedział tylko jedno: że pragnie, aby sobie w końcu poszła. Dzień i noc gadała o małżeństwie i Gino zaczynał mieć tego szczerze dosyć.

Usuając z jej życia senatora Richmonda, zabrał jej poczucie bezpieczeństwa. Marabelle potrzebowała kogoś takiego jak senator.

Potrzebowała czuć, że jest piękna i pożądana i że mężczyzna stawiał na jedną kartę swoją przyszłość, kiedy szedł z nią do łóżka. Gino pragnął jej, ale niczym nie

ryzykował. Odejście Petera Richmonda było dla niej ciosem nie do zniesienia. Nie potrafiła sobie z tym poradzić. Najbardziej pożądana gwiazda filmowa na świecie chowała głowę pod pościel i płakała rzewnymi łzami jak ukarane dziecko.

Gino starał się utrzymać z nią kontakt. Dzwonił do niej codziennie i dowiadywał się od jej pokojówki, że panna Blue się właśnie przeziębila albo że boli ją głowa czy ząb.

Ekipa filmowa nie była tym zachwycona. Praca nad filmem była w toku i każdy dzień niedomagań Marabelle przynosił straty idące w tysiące dolarów. Po czterech dniach bezskutecznego oczekiwania, gdy Marabelle nie pojawiła się na planie, wysłano do niej lekarzy i prawników. Następnego ranka Marabelle przyszła do pracy, blada i zmęczona. Pokłóciła się z reżyserem i wyszła trzasnąwszy drzwiami kilka godzin później. Około szóstej połknęła olbrzymią dawkę środków uspokajających i obudziła się w szpitalu, gdzie odratowano ją w ostatniej chwili.

Gino był akurat w Las Vegas, kiedy się o tym dowiedział. Natychmiast przyleciał do Los Angeles i poszedł prosto do szpitala.

Marabelle leżała w łóżku jak chore dziecko. Wyglądała na jakieś dwanaście lat z puklami żółtych włosów, bladoniebieskimi oczyma i suchą cerą.

— Co ty, zgłupiałaś? — spytał Gino z przejęciem.

— Przepraszam... Ja zawsze wszystko psuję... — rozplakała się Marabelle. — Zawsze...

— Słuchaj... Chcesz, żebyśmy wzięli ślub? — Gino zorientował się, co mówi, dopiero gdy usłyszał własne słowa, ale wtedy wydało mu się to całkiem niezłym pomysłem. Gino Santangelo i Marabelle Blue. Nie było w Ameryce faceta, który by nie zzieleniał z zazdrości!

Marabelle była zachwycona. Był tylko jeden kłopot — wciąż była mężatką. Nigdy nie wzięła rozwodu z tamtym kaskaderem, który pomógł jej przetrwać pierwsze lata w Hollywood.

— To się załatwi. Z rozwodem nie będzie problemu — zapewnił Gino. — A przez ten czas możesz zamieszkać u mnie.

Kilka tygodni po tym, jak Marabelle wprowadziła się do jego rezydencji w Bel Air, Gino zorientował się, że popełnił straszliwą omyłkę.

Marabelle skończyła pracę nad filmem i miała dużo wolnego czasu przed zdjęciami do następnego. Spędzała go nie wstając z łóżka, oglądając godzinami telewizję, zaczytując się w brukowych gazetach i jedząc. Marabelle Blue — fantastyczny symbol erotyzmu — nie zadawała sobie nawet tyle trudu, żeby uczesać włosy.

Gino nie wierzył własnym oczom.

— Nie zamierzasz wstać dzisiaj? — pytał czasem.

— Może... — Marabelle uśmiechała się rozbrajająco. I z reguły nie wstawiała. Wylegiwała się, aż pod koniec dnia pokój pachniał

pomarańczami, cebulą i samą Marabelle, która po prostu nigdy się nie kąpała. Nigdy.

Gino patrzył na to z obrzydzeniem, ale nie wiedział, jak mógłby się jej pozbyć. Nie była pierwszą lepszą kobietą — była filmową gwiazdą, wokół

której kręciło się mnóstwo agentów, reżyserów, producentów, prawników i... fanów.

W co ja się wpakowałem? — zamartwiał się Gino. W końcu posłał po Costę.

— Wyrzuć ją z mojego domu — powiedział krótko. — Nieważne, ile to będzie kosztować. Wyjeżdżam do Nowego Jorku i chcę, żebyś *ty* jej powiedział, że z nią zrywam.

Zdawał sobie sprawę, że powinien powiedzieć jej to osobiście — ale rozmowa z nią przypominała próbę porozumienia się z niedorozwiniętym dzieckiem. Kilka dni wcześniej próbował zacząć z nią rozmowę. Natychmiast usta zaczęły jej drżeć, oczy wypełniły się łzami.

— Nie jesteś ze mną szczęśliwy, kochanie? Nie jestem dla ciebie dość dobra, powiedz? — I zanim Gino mógł cokolwiek odpowiedzieć, wstała z łóżka, zrzuciła z siebie nocną koszulę, wyciągnęła do niego ramiona i powiedziała:

— Chodź, kochany, zerznij mnie, to cię uszczęśliwi.

Prędzej by zerznął zdechłego kota. Rznąć ją? Jakby nie miał dosyć samego wachania jej.

Costa przyszedł do niej, podczas gdy Gino był w Nowym Jorku. Oświadczył, że musi odejść. Przyjęła to dość spokojnie, tylko ani razu nie oderwała wzroku od ekranu telewizora.

Tej samej nocy podcięła sobie żyły na obu nadgarstkach brzytwą Gina i ledwie przeżyła noc. Pokojówka znalazła ją nagą i zakrwawioną na podłodze łazienki i natychmiast wezwała Costę, któremu udało się tak zatuszować ten incydent, że przynajmniej nie dostał się do gazet.

Gino wrócił do Los Angeles, wściekły i bezsilny. Był w pułapce.

Marabelle powitała go, dziecinna i pokorna.

— Przepraszam cię, Gino — chlupała. — Daj mi jeszcze jedną szansę, pozwól mi spróbować. Będę się starała, przyrzekam. Jak już weźmiemy ślub, będzie wspaniale, zobaczysz.

— Jak w ogóle mogłem wpaść na pomysł, żeby się z nią zenić? Chyba się starzeję — Gino zwierzał się Coście.

— Starzejesz się, ty? Nigdy, przyjacielu.

— Mam już prawie sześćdziesiąt lat dodał smętnie Gino. To nie wiosna życia.

Costa poklepał go po ramieniu. Obu nam jakoś idzie. Jedyna różnica, że ja jestem młodszy od ciebie, a wyglądam, jakbym był dziesięć lat starszy!

— Prowadzisz spokojne życie, to dlatego. Jestem pewien, że nigdy nawet nie spojrzales na inną kobietę. Ty i Jen jesteście jak para niewinnych dzieciaków. — Gino przymknął oczy i Costa wiedział, że przyjaciel wraca myślami do Marii.

— Co słyhać u Lucky? — zapytał Costa. — Często pisze?

— Nie. To dziwna dziewczyna. Nie została nawet na Boże Narodzenie. Przyjechała na dwa dni i zaraz poleciała do tej swojej przyjaciółki.

— Może dlatego, że Marabelle jest w domu...

— Jezu! Kiedy już się jej pozbędę, przyrzekam sobie spędzić wreszcie trochę czasu z dziećmi. Ja ich już w ogóle nie znam! Wracają ze szkoły ze swoją hałaśliwą muzyką i dzikimi ubraniami i — Boże, przysięgam ci, Costa — czuję, że mieszkam w domu z dwojgiem obcych ludzi! Nigdy nie miałem czasu... Pojedziemy gdzieś razem w lecie.

Tydzień później Gino wpadł na idealny pomysł, jak pozbyć się Marabelle raz na zawsze.

— Zadzwoń do jej męża — poprosił Costę. — Spytaj, ile to będzie kosztować.

Dario Santangelo miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Był wysportowany, szczupły i miał zdrową cerę. Ze swoimi jasnym włosami i lekką opalenizną wyglądał na starszego, niż był naprawdę. Większość jego rówieśników przypominała pryszczate, krępe potworki, które bez przerwy biły się, onanizowały, kłóciły o dziewczyny i samochody oraz prześcigały się w głośnym pierdzeniu podczas lekcji.

Dario został natychmiast uznany za kogoś odmiennego. Nie pasował do reszty. Był inteligentny i nauczyciele lubili go za to, a koledzy nienawidzili.

Jego marzenia o wspaniałych latach szkoły wkrótce rozwiały się. Aby zdobyć sobie przyjaźń kolegów, wyjawiał im, kim naprawdę jest.

Dario Santangelo, syn niesławnego Gina. Skutek tego wyznania był taki, że chłopcy znienawidzili go jeszcze bardziej i jak tylko mogli, starali się uprzykrzyć mu życie.

W końcu Dario przestał starać się o względy rówieśników i zamknął się we własnym świecie, gdzie ich złośliwości i obraźliwe uwagi nie sięgały i nie mogły go ranić. Regularnie pisywał do siostry, opowiadając jej w listach, jak wspaniale czuł się w tej szkole i jak wielu miał w niej przyjaciół. Lucky jednak ani razu nie odpisała. Wyglądało to tak, jakby całkiem zapomniała, że ma brata. Przez tyle lat byli dla siebie najlepszymi, jedynymi przyjaciółmi, a teraz, kiedy wyjechała do Szwajcarii i poznała tę głupią dziewczuchę o idiotycznym nazwisku, Dario nagle przestał się dla niej liczyć. Gdy spotkali się na Boże Narodzenie, Lucky prawie się do niego nie odzywała.

Postanowił, że nie będzie do niej więcej pisał. Odpłaci jej pięknym za nadobne i zapomni o jej istnieniu.

Lucky nie mogła zasnąć. Kiedy zamykała oczy, jej wyobraźnia rodziła koszmary rodem z lat dziecińczych. Słoneczny poranek. Materac unoszący się bezwolnie na zaróżowionej wodzie...

Usiadła na łóżku spocona. Tak bardzo pragnęła być Olimpią, mieć normalnego ojca i matkę. Co z tego, że byli rozwiedzeni?

Przynajmniej oboje utrzymywali z nią kontakt.

Zrzuciła pościel z łóżka i zastanawiała się, kto po nią przyjedzie. Miała nadzieję, że Marco. Chciała, żeby dowiedział się wszystkiego o jej nocnych

eskapadach. Żeby usłyszał ze wszystkimi pikantnymi szczegółami o tym, jak pewnej nocy wprowadziła do sypialni chłopaka, jak leżeli nadzy w łóżku i jak na sąsiednim leżała naga Olimpia ze swoim kochankiem. Ha! W końcu przestałby traktować ją jak dziecko. Miała już piętnaście lat, a to dość dużo. Była doświadczoną kobietą. I to jak!

Niejedną noc spędziła u boku Olimpji poza murami szkoły, praktykując dyskretną sztukę miłości „nie-do-końca”. Okazało się, że było to możliwe nawet w łóżku, nawet będąc rozebraną do naga.

Marco był jedynym mężczyzną, z którym mogła posunąć się dalej. O tak, z nim poszłaby do końca. Olimpia twierdziła, że zrobiłaby to jedynie z Marlonem Brando, ale Lucky zdecydowała, że zadowoli się Markiem.

Gino wsiadł do samolotu w Nowym Jorku, usadowił się wygodnie w fotelu i zapalił cygaro. Z początku zamierzał wysłać kogoś po córkę — Marca, Reda albo nawet Costę. Ale Jennifer przekonała go, że powinien pojechać osobiście.

— Jesteś jej ojcem, to twój obowiązek — tłumaczyła cierpliwie. — Musisz okazać, że to dla ciebie bardzo ważne.

— Na Boga, to *jest* dla mnie ważne! Jak ją tylko dorwę, stłukę ją tak, że popamięta.

— Ależ nie, Gino, nic takiego nie zrobisz — uspokajała go. — Porozmawiasz z nią i dowiesz się, dlaczego tak postąpiła.

— Jen, ona ma piętnaście lat! Co to jest, żeby dzieciak w tym wieku rznął się, z kim popadnie?

— A co ty robiłeś w jej wieku? — zapytała spokojnie Jennifer. Gino zasepił się. Biedna Jennifer, sama nie wiedziała już, co mówi. On?

On

był mężczyzną. W wieku piętnastu lat mógł robić wszystko, na co miał ochotę. Ale dziewcząt to nie dotyczyło.

A teraz siedział w samolocie i do końca nie wiedział po co. Cokolwiek miał do powiedzenia, mógł to powiedzieć wszędzie. W Nowym Jorku, w Los Angeles, w Vegas — co za różnica?

A więc dlaczego właściwie leciał? Dlatego, że Jen twierdziła, że powinien?

— Czy życzy pan sobie czegoś? — spytała stewardesa.

Zamówił podwójną whisky i przypomniał sobie Marabelle. Nareszcie było po wszystkim. To był świetny pomysł, z jej mężem. Któż inny skuteczniej by go od niej wyzwolił?

Stary kaskader przyjechał na umówione spotkanie, spracowany mężczyzna o ogorzałej twarzy, w stroju kowboja, który pamiętał lepsze czasy. Jego pierwszym pytaniem było:

— Jak się czuje Mary?

— Mary? — Gino nie zrozumiał.

— Marabelle — wyjaśnił czym prędzej Costa.

— Och — Gino potrząsnął smutno głową. To chore dziecko. Sama jest swoim najgorszym wrogiem.

Stary człowiek przytaknął.

— Mary ma... kłopoty.

— Kłopoty, cholera! Delikatnie powiedziane.

— Zamierza się pan z nią ożenić?

— Wie pan co? Oddam ją panu i dołożę wam jeszcze mały prezent na szczęście. Kupiłem wam dom na Mulholland Drive. Ten dom należy do pana, tylko, na Boga, niech pan ją stąd zabierze jeszcze dzisiaj!

Po wszystkim. Żegnaj, Marabelle. Cała przyjemność po mojej stronie, myślał Gino. Kosztowało to sto tysięcy, ale było warte każdego centa tej sumy.

Stali naprzeciwko siebie w biurze dyrektorki szkoły — po jednej stronie córka, gotowa stawić zaciekły opór, po drugiej ojciec, gotów wybuchnąć złością.

Słowa dyrektorki, wypowiedane doskonałą, jasną angielszczyzną, wdzierały się boleśnie do świadomości obojga.

— Rozumie pan, panie Saint, my w L'Evier uważamy, że nie do nas należy ukaranie pańskiej córki. To pana obowiązkiem jako ojca jest zadbać, aby pańskie dziecko respektowało ogólnie przyjęte normy kultury. Doprawdy, uważam, że...

Gino przestał słuchać i przyglądał się Lucky, patrząc na nią uważnie pierwszy raz od lat.

Była wysoka jak jej brat. Kiedy tak urosła?

Była szczupła, miała zgrabne nogi i figurę młodej kobiety. Wyglądała pięknie. Głęboki odcień oliwkowej cery, jedwabiste, bujne włosy, duże oczy.

Ona była nim samym. Boże! Zawsze byli do siebie podobni Maria nazywała ich nawet potwornymi bliźniakami — ale teraz to było więcej niż zwyczajne podobieństwo. Lucky *była* nim. Jego kobiecym sobowtórem.

A jednocześnie była mu obca. Była jakąś młodą kobietą, której wcale nie znał. I to on sam był temu winien. Tak bardzo starał się trzymać z dala od swoich dzieci, dla ich bezpieczeństwa. Ale jednak ten fakt go przerażał. Z pełną premedytacją wycofał się z ich życia.

Żabrał im swoją miłość i uciekł. Ponieważ wiedział, że nie będzie w stanie drugi raz znieść tego, co zdarzyło się z Marią. Był silny, to prawda, ale nie aż tak.

Maria... Maria... Maria... Boże, jak długo jeszcze będzie cierpiał na samo wspomnienie jej imienia? Jak długo musi znosić ten rozrywający wewnątrz, fizyczny ból, z którym budził się i zasypiał? Koszmary senne. Bezsensowna nadzieja, że któregoś dnia znów ją zobaczy. To prawda, że dokonał krwawej zemsty, ale zemsta nie znaczyła absolutnie nic.

Po przeciwnej stronie pokoju Lucky wpatrywała się w ojca z równą przenikliwością. Dlaczego przyjechał? Czemu nie przysłał po nią któregoś ze swoich sług? Była tym prawdziwie zaskoczona.

Razem z Olimpią widziały przybycie Gina przez okno.

— Hej! — zawołała Olimpia — to naprawdę twój stary! A mówiłaś, że nie przyjedzie.

— Ja... naprawdę nie przypuszczałam — jąkała się Lucky, kompletnie zbita z tropu.

— No cóż, ale jednak przyjechał. Jezu, on naprawdę jest przystojny, nie sądzisz?

Patrząc teraz na ojca, Lucky starała się uprzytomnić sobie, czy ojciec rzeczywiście był, czy też nie był przystojny. Jednego była pewna

— nie wyglądał na swój wiek. Jego strój był elegancki i nieskazitelny. Trzyczęściowy ciemny garnitur, śnieżnobiała koszula, jedwabny krawat. Było mu do twarzy z kosmykami siwych włosów wśród bujnej, czarnej czupryny.

Patrząc tak starała się przypomnieć sobie, jak pachniał. Zapach taty.

O Boże, dlaczego nie mogła znów stać się małą, pięcioletnią dziewczynką? Czemu nie mogła rzucić mu się w objęcia, żeby przyciskał ją do siebie i tulił aż do bólu, aż krzyczała, żeby przestał?

Jej oczy napełniły się łzami. Najwyższym wysiłkiem woli zmusiła się do powstrzymania płaczu. Tylko słabi płaczą. Kto będzie się przejmował tym, że jest wyrzucany ze szkoły? Na pewno nie ona.

Odjeżdżali ze szkoły siedząc na tylnych siedzeniach czarnej limuzyny

I nie odzywali się do siebie. Kiedy tak pędzili w milczeniu na lotnisko, Lucky pragnęła, by Gino powiedział do niej chociaż słowo. Czy był na nią bardzo zły? Chrząknęła zastanawiając się, co mogłaby powiedzieć, ale zrezygnowała.

Cisza panowała między nimi nieprzerwanie całą drogę na lotnisko i w czasie całego, długiego lotu nad oceanem.

Gdy przybyli do Nowego Jorku, wysiedli z samolotu, przeszli przez odprawę celną i wyszli z lotniska, przed którym czekał na nich czarny cadillac, Lucky była zaskoczona. Spodziewała się, że wsiądą zaraz do następnego samolotu i polecą do Los Angeles, żeby znaleźć się w intymnej atmosferze Bel Air. A tymczasem zapowiadało się, że spędzą jakiś czas w Nowym Jorku, przynajmniej jedną noc. Zapowiadało się to fascynująco.

Samochód zabrał ich do luksusowego apartamentu na Piątej Alei, naprzeciwko Central Parku. Gino wszedł do hallu, a Lucky podążyła za nim. Windą, dwadzieścia sześć pięter w górę. Weszli do dużego mieszkania, które wyglądało jak wyjęte z filmu z Frankiem Sinatrą.

Chromowane meble, futrzane dywany i wszędzie lustra. A więc tak wyglądało nowojorskie mieszkanie Gina. Nieźle.

— Cześć, kochanie.

Ktoś wreszcie do niej mówił! To ciotka Jennifer. Wyglądała po matczynemu w różowym, dwuczęściowym kostiumie, z perłowymi klipsami w uszach, sznurem pereł na szyi i z podobnymi bransoletkami na rękach.

Lucky poczuła, jak oczy znów napełniają jej się łzami. Cholera! Dlaczego stawała się taką głupią, płaczącą pannicą?

Ciotka Jennifer wyciągnęła ramiona i dziewczyna wbiegła prosto w objęcia. Natychmiast ogarnął ją pocieszający zapach perfum i ciepła.

— No już, kochanie. Chodźmy do sypialni pogadać — zaczęła miłym głosem ciotka Jennifer. — Nic nie przynosi takiej ulgi jak szczerza rozmowa.

Gino ukradkiem spoglądał, jak Jennifer wyprowadza Lucky. Odetchnął z ulgą. Kobiety. Przez całe życie miał z nimi do czynienia. Ale Lucky to nie kobieta. To jego córka, na miłość Boską. I na Boga, gdyby wiedział, kim naprawdę była w tej cholernej modnej szkole, znalazłby tego cudzoziemskiego łachmytę, który wepchnął się do jej pokoju, i wywłókł go stamtąd za brudne cudzoziemskie jaja.

Lucky była niezwykłą dziewczyną, dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Ciągle myślał o niej jako o dziecku, ale przecież weszła w wiek, w którym napaleni łajdacy — cudzoziemcy albo nie — nabierają na nią ochoty. Miała piętnaście lat, właściwie za kilka miesięcy szesnaście. Czy był ktoś, kto mógł poradzić jej albo pomóc? Na pewno nie on. Jennifer to jedyna nadająca się do tego osoba. Wyjaśni jej, że jeśli on, Gino, kiedykolwiek usłyszy, że jakiś chłopak chce ją wykorzystać, skręci mu

jego pieprzony kark, jej zresztą też.

Jest córką Gina Santangelo i na Boga, lepiej żeby dowiedziała się, co to znaczy.

Okłamywanie dorosłych jest bardzo prostą sprawą. Ciotka Jennifer to kochana, słodka kobieta, ale jedną nogą pozostająca w epoce kamiennej. Mówiła niedorzecznie. Z ust płynęły takie słowa jak skromność, szacunek dla samej siebie, honor i tego typu pierdoły.

Lucky szybko zorientowała się, co tamta chce usłyszeć. Co Wielki Tata chce usłyszeć. Tak, chłopak siłą wdarł się do jej łóżka. Ale walczyła, broniła honoru i modliła się o pomoc, która nadeszła — nauczyciel gimnastyki wkroczył i uratował ją... od losu gorszego niż śmierć. Czy posuwała się za daleko? Ciotka Jennifer chyba tak nie myślała.

Na całe szczęście, nikt nie dopytywał się, dlaczego była naga. Nikt też nie wspomniał o tym, że inny chłopak był w łóżku z Olimpią.

Bez problemu wybieliła się. Wyraz troski i zmartwienia szybko zniknął z twarzy ciotki Jennifer.

— Twojemu ojcu kamień spadnie z serca — szepnęła. — Wprawdzie nigdy nie wątpił, że jesteś... dziewicą.

Dziewicą! Ciociu Jennifer! Niemożliwe!

— Gdzie jest Marco? — zapytała niewinnie Lucky.

— Marco? — ciotka Jennifer nie kojarzyła, o kogo chodzi.

— Marco, ten od taty — odpowiedziała niecierpliwie Lucky. — No, wiesz.

— Nie, nie wiem. — Jennifer kilka razy zamruwała powiekami. — Marco... Marco... A, syn Bee.

Syn Bee? Kim, do cholery, była Bee? Lucky zachowała chłodny ton.

— Tak. Gdzie on jest?

— Nie wiem, kochanie. Myślę, że w Los Angeles.

Zabawne, czasami dziewczynka mówiła dokładnie tak samo jak Gino, nawet wyglądała tak samo.

Koniec rozmowy. Ciotka Jennifer mogła już zdać sprawozdanie Wielkiemu Tacie.

— Słuchaj — zapytała ciekawie Lucky — czy zostanę tu? Jennifer wyglądała na zaskoczoną.

— Ojciec ci nie powiedział? Zapisano cię do prywatnej szkoły z internatem w Connecticut. Jutro tam jedziesz.

— Oh!

Zabrakło jej tchu. Nie, Gino nic jej nie powiedział. Ale to typowe dla niego, nie? Sam planował. Robił, co jemu się podobało.

Zapominał, że i ona mogłaby czegoś chcieć.

Prywatna szkoła z internatem w Connecticut. Psiakrew! Cholera jasna! Następna szkoła to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę.

— Spodoba ci się tam, mała. Mają basen i stadninę. Lubisz konie, prawda? Po tym, jak Jennifer zapewniła go, że Lucky nadal była jego małą

córeczką, Gino czuł się swobodniej w jej towarzystwie.

— Konie! — Lucky wykrzywiła twarz. — Nienawidzę koni!

— Słuchaj — Gino wziął ze stołu wyszywaną lnianą serwetkę i dłubał w ustach. Pieprzone szparagi. Ile razy powtarzał tej głupiej kucharce, żeby nie podawała mu szparagów! — Nienawiść to nie najważniejsze uczucie do koni. Wiesz, najlepszy przyjaciel człowieka i tak dalej.

— Pies jest najlepszym przyjacielem człowieka, tato — powiedziała bardzo wyniośle, aby go upokorzyć.

— Pieniądze są najlepszymi przyjaciółmi, córeczko — poprawił ją, ostatnie słowo wypowiedział jakby nic się nie stało. — Nigdy o tym nie zapominaj.

Jak bardzo go nienawidziła. Podły, oschły, o niewyparzonym języku, szorstki.

Jak bardzo go kochała. Przystojny, męski, doskonale ubrany, pełen seksu. Wzięła szparag i zlizwała z końca ciepłe masło.

— Zastanawiałam się — zaczęła dla wybadania gruntu.

— Co? — jednym okiem patrzył w telewizor, cały czas włączony. Pozostałość po Marabelle Blue?

— Chodzi mi o to, że... za parę miesięcy skończę szesnaście lat. Czy muszę wracać do szkoły?

— Wykształcenie może ci dużo dać.

Wiadomości, w których podawano wyniki gonitw konnych, całkowicie zaprzątnęły jego uwagę.

— Oczywiście — wymamrotała.

— Co?

— Wolałabym nie iść do szkoły — powtórzyła uparcie.

— Tak? — uśmiechnął się leniwie. — I co będziesz robiła całymi dniami?

— Mogę robić wiele różnych rzeczy.

— Co na przykład?

— Na przykład być z tobą, poznać twoje interesy, takie rzeczy.

To go poruszyło. Natychmiast oderwał wzrok od telewizora i spojrział na nią. Piętnastoletni szczeniak. Dziewczyna. Wyglupia się?

— Nie żartuję — powiedziała ostro. — Czy nie to powinny robić dzieci? Interesować się prowadzeniem rodzinnych interesów?

Musiała się wyglupiać, to na pewno jakiś durny, dziecinny dowcip. Szkoda że Jen i Costa nie mogli zostać na obiedzie, ułatwiłoby to wiele spraw.

— Słuchaj, skończysz szkołę, pójdziesz na uniwersytet, spotkasz jakiegoś chłopaka i wyjdiesz za niego. To chyba nieźle.

Przymrużyła groźne, czarne, santangelowskie oczy i rzuciła odważnie:

— Uważam, że to parszywie.

Uciszył ją zdaniem nie znoszącym sprzeciwu:

— Nie zaczynaj mi odszczekiwać, dziecino. Zrobisz, jak ci każę, i pewnego dnia podziękujesz mi za to.

Patrzyła na niego.

— Ja nie mam dobrego wykształcenia ciągnął nie byłem w zagranicznych szkołach ani temu podobnych. Zapieprzałem jak dziki, żeby zarobić parę dolców, kiedy byłem młodszy od ciebie. Pamiętaj, jakie masz szczęście w życiu.

Kiedy to powiedział, przypomniał sobie Marię, leżącą w szpitalu po urodzeniu córeczki. Taka blada, delikatna i piękna.

Pamiętał dzień, w którym wybrali imię dla dziecka: Lucky. Jezu! Gdyby tylko Maria mogła do nich wrócić! Gdyby...

„Nowa... nowa... nowa...” Gdzie nie poszła, słyszała takie szepty. Dobra, prywatna szkoła z internatem w Connecticut — bardziej przypominała więzienie — mundurki, strażnicy w maskach nauczycieli, sztywne, smarkate dziewczuchy, których nienawidziła od początku.

Po dwóch dniach wiedziała, że musi się wyrwać.

Po tygodniu była przekonana, że tak zrobi.

Miała listę numerów telefonicznych, pod którymi mogła znaleźć Olimpię. Pod pretekstem dzwonienia do Gina zwolniła się z matematyki i odszukała przyjaciółkę.

Olimpia siedziała w Paryżu, mieszkała u ojca na Avenue Foch i uczyła się rosyjskiego.

— Tak się nudzę! — krzyczała przez telefon. — Wyobrażasz sobie, jacy ludzie studiują rosyjski? Kurcze!

— Powiedziałabym, że to lepsze niż siedzenie w tym gnoju — westchnęła Lucky. — Muszę się stąd wydostać. Masz jakiś pomysł?

— Tak — szybko odpowiedziała Olimpia. — Wsiadaj w samolot i przyjeżdżaj. Buchniemy jeden z samochodów mojego ojca i pojedziemy na południe Francji. Będzie super! Wchodzisz w to?

— Jasne. Tylko jeżeli nawet się stąd wydostanę, skąd wezmę forszę? Mam dokładnie dwadzieścia trzy dolary i piętnaście centów.

— Żaden problem — zapewniła ją wesoło Olimpia. — Tu jest mnóstwo teleksów. Po prostu zamówię bilet na lotnisku Kennedy'ego, użyjemy mojego nazwiska. Wydostań się stamtąd, ja zajmę się resztą. Masz paszport?

— Oczywiście.

Rozmawiały jeszcze chwilę, zaplanowały wszystko i w momencie gdy odłożyła słuchawkę, Lucky była tak przekonana o łatwości przedsięwzięcia jak Olimpia. Rzeczywiście, poszło gładko.

O świcie następnego dnia wymknęła się ze szkoły, na lotnisko dotarła autostopem, odebrała w okienku linii Pan American bilet dla Olimpii Stanislopoulos i w południe była w drodze.

Po przylocie na Orły zadzwoniła do Olimpji, jak się umówiły. Przyjaciółka aż zawyła z radości i kazała jej czekać na lotnisku.

Trzy godziny później jechały już na Lazurowe Wybrzeże. Olimpia prowadziła szybkiego, białego mercedesa z otwieranym dachem.

— Jezu! krzyknęła szczęśliwa. — To najfajniejsza rzecz, jaka zdarzyła mi się od roku! Wiele można o tobie powiedzieć, Santangelo, ale na pewno nie pękasz.

Lucky uśmiechnęła się.

— To było łatwe.

— Mówiłam ci, że tak będzie.

Olimpia skręciła gwałtownie, aby ominąć zabłąkanego kota. Wspaniały samochód mknął przez przedmieścia Paryża.

— Zostawiłaś wiadomości, jak ci mówiłam?

— Jedną dla Gina, jedną dla szkoły. Bardzo szczerze bzdury o tym, jak potrzebuję czasu, żeby wszystko przemyśleć, żeby się nie martwili i że jadę do Los Angeles.

— Pięknie! Zanim dojdą, co się stało, już nas nie będzie. Zapowiada się świetna zabawa.

Sięgnęła do torebki i wsadziła do ust mocnego gitana.

— Powiedziałam gospodyni, że muszę zobaczyć się z matką. Stara krowa prawie nie mówi po angielsku, a poza tym, nie może na mnie patrzeć. Wpadła w zachwyty kiedy widziała, jak się pakuję. Jesteśmy wolne, kochana! Zabawmy się!

Gino

1966

Władza. To ważna sprawa. I to bardzo. Kiedy się jej raz zasmakuje, nigdy nie ma się dosyć. Zawsze można osiągnąć coś więcej. Wspiąć się na jeszcze jeden szczyt. Zrobić jeszcze lepszy interes.

Gino często zastanawiał się, dlaczego pracuje tak ciężko. Bieganina w tę i z powrotem, przekabacanie ludzi na swoją stronę, zaskarbienie sobie ich łask...

— Masz niepodważalną władzę i wpływy — Costa, jego dobry przyjaciel, powtarzał niezliczoną ilość razy. — Dlaczego nie poprzestaniesz na legalnych interesach?

Costa miał koncesję na prowadzenie hotelu „Mirage”, na którym nieźle zarabiał. Ale był prawnikiem i myślał jak prawnik. Czasem wolał zapłacić grzywnę i mieć czyste ręce. Biedny, stary Costa. Zawsze walczył. Zawsze ostrzegał. A przy tym był takim cholernym szczęściarzem, że został multimilionerem.

Hotel kasyno na Bahamach, otwarty dwa lata temu i nazwany przez Gina „Princess Saint”, przynosił duże dochody. Oprócz tego miał

domy gry w Europie. No i inne interesy.

Tak, biznes szedł rewelacyjnie. Konta bankowe na całym świecie. Nielegalnie zdobyta forsa była wysyłana z kraju, przechodziła przez zagraniczne banki i wracała „czysta”. Szła w nowe interesy albo była lokowana w kasie organizacji.

Gino był zadowolony ze swojego życia. Od czasu do czasu napotykał drobne trudności, ale nigdy nie stanął przed problemem, z którym nie umiałby sobie poradzić.

Przez ciężkie czasy przebrnął właściwie bez szwanku. W latach trzydziestych gnębiła go komisja Deweya. Potem, w latach pięćdziesiątych, Komitet Kefauvera, nastawiony na ściganie zorganizowanej przestępczości. We wczesnych latach sześćdziesiątych Bobby Kennedy jako prokurator generalny zaprzysiął sobie tropienie wszelkich przejawów przestępczości. I ostatnio ten Valachi —

zwykła płotka, ale głośno śpiewał, kto komu co zrobił, sypiąc nazwiskami, miejscami, datami.

Gino umiał zachować dyskrecję i nigdy nie puścił pary z ust na temat swoich powiązań. Władze nie mogły się do niego dostać. Chodził

na wolności. Jak to określił Aldo — miał szczęście. Aldo nie był ostatnio w najlepszej formie, praktycznie wycofał się z interesów i obecnie pomagał żonie w „Riccardi”.

Gino natomiast miał pomysł. Plan. A raczej marzenie.

Zaprażył zbudować największy, najbardziej luksusowy i najpiękniejszy hotel, bijący na głowę wszystkie, jakie dotychczas widziało Las Vegas.

Od czasów kiedy zrealizowali marzenie Młodego Jake'a, hotel „Mirage”, Las Vegas zmieniło się nie do poznania. W porównaniu z nowszymi hotelami, takimi jak „Pałac Cesarza”, „Mirage” przypominał kibel. O, bardzo luksusowy kibel, mający swoich stałych, wiernych bywalców, ale jednak kibel. Gino chciał czegoś większego i lepszego. Chciał zbudować hotel, który odcisnąłby jego piętno na tym mieście. Pragnął zaimponować całemu światu.

Znalazł już odpowiednie miejsce i teraz omawiał projekty z różnymi architektami.

— To pochłonie majątek — wyrzekł Costa, kiedy Gino wspomniał po raz pierwszy o pomysle. — Ile z tym będzie zachodu! Koszty budowy rosną z dnia na dzień, do tego trzeba by zwołać konsorcjum, a kto będzie chciał zainwestować forszę i kilka lat czekać na zyski?

I faceci od podatków siedzą ci na karku.

Czasami Costa marudził jak stara baba. Gino postawi najwspanialszy hotel na świecie. Nazwie go „Magiriano” — kombinacja od Maria i Gino — pomnik godny ich miłości.

Skoro Lucky znów wysłano do szkoły, Gino nie musiał siedzieć w Nowym Jorku.

Connecticut. Dobry wybór. Lucky szybko się zadomowi. Szkołę poleciła Betty, żona Petera Richmonda, kobieta brzydka, ale posiadająca klasę i wdzięk.

— Posłaliśmy tam Loretę, zanim poszła na uniwersytet. Wychwalała to miejsce pod niebiosa — zapewniała go Betty, mówiąc o swojej najstarszej córce.

Czasami Gino zastanawiał się, jakby to było, gdyby przespał się z Betty Richmond. Nie umiał sobie tego wyobrazić. Rozebrana musiała być bardziej koścista niż barania noga. Doskonale rozumiał, dlaczego Peterowi Richmondowi podobały się miękkie, kobiece kształty Marabelle Blue.

Dwaj mężczyźni byli przyjaciółmi. Łączyła ich oczywiście cicha przyjaźń. Nic na pokaz. Było tyle przysług, które Gino mógł oddać senatorowi. Małych przysług. Dużych przysług. Zawsze dyskretnych przysług.

Gino lubił je robić. Cieszyło go podtrzymywanie przyjaźni z ludźmi z innych kręgów społecznych. Oprócz tego miał całkowitą pewność, że pewnego dnia senator Peter Richmond stanie się naprawdę ważny.

Z Nowego Jorku poleciał prosto do Waszyngtonu. Na weekend był zaproszony do posiadłości Richmondów w Georgetown. Pierwszy raz dostąpił tego zaszczytu. Wiedział oczywiście, dlaczego go zaprosili. Betty planowała wieczór galowy na rzecz jednej z organizacji charytatywnych i chciała, aby użyczył jej „Mirage” na tę noc.

Wiedział, ale nie dawał po sobie poznać. Jeżeli Betty Richmond czegoś chciała, musiała poprosić. Odpowie: „Tak, nie ma sprawy, moja droga. Nie mógłbym ci niczego odmówić”.

Wszystko było grą. Tym niemniej, pewnych zasad należało przestrzegać. Pewnego dnia sama się o tym przekona.

Odgłos odbijanych piłeczek tenisowych. Suche podawanie wyników. Gino podszedł na brzeg kortu i obserwował.

Betty grała z synem Cravenem i Gino zauważył, że wyciskała ostatnie poty z biednego chłopaka. Jakby nie wystarczyło, że obdarzyli go tak paskudnym imieniem, musieli jeszcze dokładać mu w każdym sporcie.

Betty pomachała mu; co nie przeszkadziło jej w silnym odbiciu. Craven wyskoczył do obrony piłki, chybił i rozłożył się na murawie.

— Wygrałam! — obwieściła i nie zwracając uwagi na upadek syna, podeszła przywitać się z Ginem. Buzi-buzi. Ostre cmoknięcie w policzek.

Była przystojną kobietą. Wysoka i silna, o przenikliwych, brązowych oczach, z włosami jak brudna wata na patyku. Mimo czterdziestu jeden lat, mogła sobie pozwolić na biały tenisowy strój, adidas i włosy upięte w dwa dziewczęce kucyki.

— Jak się dzisiaj mamy? — zapytała. — Zagrasz?

— Raczej bym się napił — zaśmiał się Gino. Betty skrzywiła się.

— Każdy potrzebuje trochę ruchu.

— Wiem, powtarzasz mi to za każdym razem, kiedy się widzimy.

— A ty za każdym razem obiecujesz, że się za siebie weźmiesz.

— Dobrze, dobrze.

Wzięła go za rękę i uściśniła. Zaboląło. Babus nie znał swojej siły.

— Tylko jedna gra — prosiła.

— Nic z tego. Twoje wyobrażenie o grze bardzo różni się od mojego. Podszedł Craven. Miał dwadzieścia jeden lat, metr dziewięćdziesiąt

wzrostu i był chudy jak tyka. Nie wyglądał nawet tak źle, ale na pewno nie był najenergiczniejszym człowiekiem na świecie.

— Cześć, Gino.

— Cześć, chłopcze. Jak leci?

— W porządku. Zaoferowano mi pracę. Nic specjalnego, ale...

— Później, Cray — ucięła Betty. — Odłóż na miejsce piłki, zanim psy się nimi zajmą.

— Dobrze, mammo.

Betty wzięła Gina pod rękę.

— Tak bardzo się cieszę, że mogłeś przyjechać — powiedziała, prowadząc go w stronę domu. — Jest coś, o co chciałam prosić cię wieki temu...

Ta Richmondowa nie traci czasu. Byłaby wspaniałą Pierwszą Damą. Aktywna, wysportowana, bezpośrednia. Czego więcej może pragnąć Ameryka?

Później, w nocy, Gino leżał w gościnnym pokoju, gapiąc się bezmyślnie w sufit. Wrzód, którego się niedawno nabawił, nie dawał mu spokoju. Obfite jedzenie. Nie powinien był w ogóle tego ruszać. Ale kto może oprzeć się świeżym ostrygom z odrobiną cytryny, soczystemu kotletowi czy świeżym malinom w sosie z Grand Marnier?

Betty Richmond umiała wydawać przyjęcia. Kolacja tylko na dwanaście osób, bardzo udana. Byli Richmondowie, ich syn Craven, trzy inne pary i dwie samotne kobiety, zaproszone najwyraźniej po to, aby Gino mógł je obejrzeć. Skąd przyszło im do głowy, że Gino jest do wzięcia? On, który może wybierać między gwiazdkami z Hollywood, modelkami z Nowego Jorku czy tancerkami z Las Vegas?

Miał pięćdziesiąt dziewięć lat. Maria miałaby trzydzieści siedem. Co roku obchodził jej urodziny, jedząc kolację nad basenem domu w East Hampton. Tak, zatrzymał dom. Otoczył posiadłość płotem pod napięciem i zaniechał pielęgnowania ogrodu.

Maria była tam pochowana, pod tym samym drzewem, pod którym po raz pierwszy się kochali. Wnętrze domu pozostało takie jak w dniu jej śmierci. Tylko on miał prawo tam chodzić. Przychodził w jej urodziny. Co roku. Czekał na ten dzień. Żadna kobieta nie mogła dorównać Marii i jej pamięci.

Pukanie do drzwi zaskoczyło go. Spojrzał na zegarek - druga trzydzieści rano.

— Kto tam? — spytał.

Drzwi uchyliły się, stanęła w nich Betty Richmond w satynowym, brzoskwiniowym szlafroku. Postrzępione włosy, puszczone luźno, zwijały się na ramionach.

— Przyszłam sprawdzić, czy dobrze śpisz — powiedziała pewnie. Tak pewnie, że mogła się wydawać trzeźwa.

Rozluźnił uścisk na rewolwerze, który na wszelki wypadek trzymał pod poduszką.

— Czuję się świetnie, dziękuję, Betty — powiedział powoli.

— Na pewno — wymamrotała, zamykając za sobą drzwi i podchodząc do łóżka — ale ja nie.

Zanim miał czas do namysłu, ściągnęła z szerokich ramion szlafrok i stanęła przed nim naga.

— Chciałabym, żeby pan, panie Santangelo, przyjaciel rodziny, przyjaciel całego pieprzonego

świata, otóż chciałabym, żebyś mnie przeleciał.

Sparaliżowało go. Okazała się kurwą.

Włóż szlafrok — mówił ściszym głosem. — Wracaj do Petera.

— Dlaczego? Nie chcesz mnie?

Bądź ostrożny, myślał. Kobieta wzgardzona...

— Tego nie powiedziałem. Ale okoliczności...

— Okoliczności są takie, że Peter pojechał do swojej dziewczyny i prawdopodobnie w tej chwili ładuje swojego nie opierzonego ptaszka w jej głupi dziób. Nie zamierzam siedzieć tu i usychać.

— A ja nie zamierzam znaleźć się między wami.

Wzruszyła ramionami. Gdzie nie spojrzeć — mięśnie. Małe, ostre piersi, szerokie biodra, silne uda.

— Myślałam, że ci się podobam... — zaczęła,

— Bo tak jest — przerwał jej szybko. Weszła do łóżka bez dalszego zaproszenia.

— Nie powiem Peterowi — powiedziała smutno. Przyrzekam.

Później nastąpiło najbardziej atletyczne pieprzenie w jego życiu. Wciągała i wypychała jego kutasa jak wydłużoną piłeczkę tenisową.

Do środka. Na zewnątrz. Dookoła. Obok. W górę. W dół. Z boku. W środek. Wygrała!

Druga runda. Ten sam doskonały zestaw ćwiczeń. Pojem wyszła, a on zasnął. Rano wydawało mu się, że to tylko zły sen.

Lucky

1966

Olimpia prowadziła tak, jakby była właścicielką szosy. Szybko i ostro, i lepiej, żeby wszyscy schodzili jej z drogi, bo jak nie... Podróż na południe Francji zajęła im dwadzieścia dwie godziny, z pięcioma przerwami na zatankowanie, na sterty kanapek i niezliczone puszki coli.

— Czy ty masz prawo jazdy? — zapytała Lucky po ciężkiej, czterogodzinnej jeździe.

— Prawo jazdy? A co to takiego? — Olimpia była wyraźnie rozbawiona. Lucky nie zadawała dalszych pytań. Wcisnęła się w fotel, zamknęła oczy

i miała nadzieję, że jakoś dotrze na miejsce.

Razem miały zawrotną sumę dziewięćdziesięciu czterech dolarów, która gwałtownie zmniejszała się na każdym postoju. Niestety, nie mogły zatrzymać się w żadnym z kuszących pensjonatów i hotelików mijanych po drodze.

— Kiedy dojedziemy do Cannes, zatrzymamy się w willi mojej ciotki — zdecydowała Olimpia. — Ona nigdy tam nie przyjeżdża, chyba że na tydzień we wrześniu. To fantastyczne miejsce. Teraz, będzie zamknięte, ale wiem, jak dostać się do środka. Spędzałam tam wakacje z nianią, kiedy rodzice nie mieli dla mnie czasu. — W jej śmiechu pobrzmiwał smutek. Nie chodzi o to, że coś się zmieniło, ale odkąd umiem mówić, nie tak łatwo im się mnie pozbyć.

Lucky знаła to uczucie. Kiedy jadła kolację z Ginem w jego nowojorskim apartamencie, miała wrażenie, że nie czuł się z nią dobrze. Był

jakby skrępowany. Natomiast ona nie umiała się przy nim odezwać. Nie miała nawet odwagi zapytać, gdzie jest Marco.

Zastanawiała się, co zrobi Wielki Tata, gdy dowie się o jej dezercji. Wkurzy się, ale co z tego? Może jedynie przenieść ją do innej szkoły, a ona i tak ucieknie. Może kiedyś coś do niego dotrze.

Poza tym, dlaczego nie mogła poznać jego spraw? Nie zamierzała podążać drogą, jaką dla niej wytyczył. Szkoła. Uniwersytet.

Małżeństwo. Nie ma mowy. Chciała być taka, jak on. Bogata, wpływowa, szanowana. Chciała, aby ludzie tańczyli, jak im zagra, podobnie jak tańczą dla niego.

— Dobrze nam idzie — powiedziała Olimpia, pędząc pełną parą po wąskiej szosie, wyciętej w skale. — Właśnie minęliśmy zjazd na Saint Tropez. Jeszcze godzinka i jesteśmy na miejscu.

Lucky obtarła pot z czoła. Dopiero maj, ale słońce prażyło wyjątkowo mocno, a w małym, odkrytym samochodzie nie miały się gdzie schować.

— Założę się, że śmierdzimy! — Zaśmiała się. Dwie małe, śmierdzące dziewczice!

— Mów za siebie — odparła Olimpia.

— Co?!

— Miałam zamiar ci powiedzieć, kiedy zajedziemy na miejsce. Wiesz, leżąc nad basenem i popijając białe wytrawne wino. I te sprawy.

— Czy chcesz powiedzieć, że... zrobiłaś to?

Uśmiech pojawił się na ponętnych ustach Olimpii.

— No.

Lucky aż poderwała się z fotela.

— Kiedy? Z kim? Jak było?

Olimpia skręciła gwałtownie kierownicą, aby ominąć głaz, który wytoczył się na szosę.

— Okropnie! — powiedziała marszcząc nos. Rób to „nie-do-końca”, to dużo zabawniejsze.

Zgodnie z oczekiwaniami Olimpii willa jej ciotki była zamknięta przed intruzami. Usytuowany wysoko na wzgórzach ponad Cannes, dom spoczywał wśród wspaniałych ogrodów, porośniętych mimozą i jaśminem.

Olimpia wyskoczyła z samochodu, otworzyła ogromną bramę z kutego żelaza i podjechała pod drzwi bladuróżowej rezydencji.

— Ładna, prawda? zapytała.

— Zabójcza westchnęła Lucky. — Czy jesteś pewna, że ona nie będzie zła, jeśli się włamiemy i pomieszkamy trochę?

— Przecież się nie dowie, nie? Poza tym, ruszyłoby ją tylko, gdyby Balenciaga lub Balmain zbankrutowały. Ona ma świra na punkcie ciuchów.

Zaparkowały samochód. Olimpia wdrapała się na brzoskwinie, zerwała uszkodzoną kłódkę, wiszącą przy okiennicy na piętrze, wypchnęła okno i wpełzła do wnętrza.

Lucky cierpliwie czekała przy drzwiach. Po kilku minutach Olimpia otworzyła, używając zapasowych kluczy, znalezionych w środku.

— Witam w Domu Dobrej Zabawy! — zachichotała.

Dom był urządzony z dobrym francuskim smakiem i za greckie pieniądze. Większość mebli osłaniały pokrowce. Niektóre zsunęły się, ukazując fragmenty perkalowej kanapy czy polerowanego stołu, obciążonego skórą. Wszystko tonęło w pajęczynach.

— Mówiłam ci, że ciotka korzysta z tego tylko jeden tydzień w roku — wyjaśniła. — Służba przyjeżdża na kilka dni przed nią i sprząta.

Zdajesz sobie sprawę, że mogłybyśmy tu siedzieć przez kilka miesięcy? Nikt nie wpadnie na pomysł, aby nas tutaj szukać.

Lucky nie pomyślała, że przez kilka miesięcy mogłaby być na liście zaginionych. Tygodni może, ale nie miesięcy? Gino by się martwił, nie wspominając już o ciotce Jennifer i wuju Coście, no i oczywiście o Dariu. Musi do niego napisać. Chciała to zrobić wcześniej, ale zawsze coś jej przeszkadzało.

— Z kim poszłaś na całość? — zapytała ciekawie.

— A, z takim miłym, głupim francuskim sukinsynem, komunistą. Powtarzał mi ciągle, że mojego ojca należy rozstrzelać i że ja nie mam pojęcia o życiu. Przemyciłam go pewnej nocy do domu, a on buchnął srebrną popielniczkę, no i nie zgodził się na „nie-do-końca”. To było okropne. Zapaskudziłam krwią całą skórzaną kanapę w gabinecie ojca. Nawet nie mogę o tym myśleć. Dzięki Bogu, ty zadzwoniłaś następnego dnia. Nie

mogłabym przecież wrócić na ten okropny kurs rosyjskiego i spojrzeć mu w oczy.

Do zmroku doprowadziły willę do zadowolającego stanu.

— Będziemy używały tylko jednego pokoju — zdecydowała Olimpia. — Odpadnie problem sprzątania, kiedy będziemy się zwijać.

Lucky uznała, że duży pokój na parterze koło kuchni jest najodpowiedniejszy. Miał dwie duże, rozkładane kanapy, karciany, pokryty zielonym suknem stół i trzy wygodne krzesła.

— To pokój służby — powiedziała Olimpia bez entuzjazmu.

— Wystarczy nam — upierała się Lucky.

Rozpakowały się błyskawicznie, jako że zabrały tylko małe torby z przyborami do makijażu i z kilkoma lekkimi ubraniami.

Okazało się, że lodówka jest pełna wina, piwa i zimnych napojów. Szafka kryła opakowania frytek, pudełka orzeszków i dwadzieścia cztery puszki z tuńczykiem.

— Możemy zrobić ucztę! — wykrzyknęła Lucky.

— O nie — zaproponowała Olimpia — nie dzisiaj. Dziś wieczorem pojedziemy do miasta i zafundujemy sobie prawdziwy posiłek. Mam ochotę na wielką porcję zupy rybnej albo może na świeżego homara w majonezie... świetne, co?

— Przecież nie mamy pieniędzy. Olimpia skrzywiła się.

— Lucky, jak na bystrą dziewczynę, czasami jesteś taaaka głupia. Po co takim lalkom jak my pieniądze?

Słynny festiwal filmowy w Cannes właśnie dobiegł końca. Pozostali tylko nieudacznicy. Nieudolni naciągacze, wciąż desperacko próbujący coś złapać, pechowi producenci filmowi, nie mający nad czym pracować i niedoszłe aktoreczki z dużymi cyckami i sztucznym uśmiechem.

Warris Charters należał do kategorii nieudolnych producentów. Przyjechał do Cannes z dwoma przebojami, przynajmniej tak mu się wydawało. Mylił się w obydwu wypadkach.

Przebój numer jeden: Pippa Sanchez. Seksowna meksykańska aktorka, zagrała główne role w kilku udanych hiszpańskich filmach z lat pięćdziesiątych. Jak nic miała czterdziestkę, mimo że upierała się przy trzydziestu pięciu. Ale Warris wiedział lepiej. Odrobił pracę domową pod tytułem „Panna Sanchez” miesiąc wcześniej, kiedy po raz pierwszy spotkali się w Madrycie.

Zabrała się za niego na przyjęciu.

— Ach, panie Charters, widziałam *Pocałuj i zabij*. Cudowne! I mam scenariusz, który na pewno bardzo się panu spodoba.

Pocałuj i zabij — jego jedyny powód do sławy. Nakręcony w 1959 w Paryżu za jedyne siedemset tysięcy dolarów, film przyniósł ponad szesnaście milionów dochodu. Fart. Wszystko inne, za co się zabrał, było do dupy.

Przebój numer dwa: scenariusz Pippy Sanchez. *Śmiertelny strzał* — pełen przemocy kawałek z wartką akcją. Opowieść o gangsterze z lat dwudziestych i trzydziestych, zabójcy o złotym sercu.

Warris uważał, że to świetna rzecz. Akcja nieco bzdurna, ale po dwudziestu trzech latach w biznesie czuł, że potrafi poznać pewniaka, gdy go zobaczy.

— Czyj to scenariusz? — zapytał.

— Mój — odpowiedziała gorąco. — Ja go zamówiłam. To moja własność. Mam kontrakt z pisarzem na wszelkie prawa.

— I co zamierzasz z tym zrobić? Chcesz go sprzedać? — Warris pytał ostrożnie, obawiał się okazać zbyt wielkie zainteresowanie.

— Nie — powiedziała Pippa stanowczo. — Chcę w tym zagrać. Rola kobieca została napisana dla mnie.

No pewnie, ale dwadzieścia lat temu, pomyślał cynicznie. Chociaż gdyby ona pozwoliła mu pracować nad scenariuszem za darmo...

gdyby już wszystko poskładał... tak, wtedy będzie jej mógł powiedzieć, że się do tej roli nie nadaje.

Tak więc przyjechali do Cannes, Warris Charters i jego dwa przebojowe numery... Jednak jedyne

zainteresowanie wzbudzili w nocy, kiedy publicznie pobili się w hotelu Cotton Terrace. '

Warris siedział w „Błękitnym Barze” na Croisette w Cannes nad szklanką pernod i rozmyślał nad swoim pechem. Miał trzydzieści dwa lata, kiedyś był cudownym dzieckiem kina, ale musiał opuścić Hollywood w wieku trzynastu lat, kiedy przeszedł mutację. W wieku dwudziestu pięciu lat nakręcił *Pocałuj i zabij* i powrócił do Hollywood jako młody talent. Po dwóch kolejnych klapach wyjechał do Europy, krążył po filmowych stolicach i próbował złożyć coś do kupy. Zdesperowany, załamany i naćpany, ożenił się z bogatą siedemdziesięciodwuletnią hiszpańską wdową. Kiedy w rok po ślubie oblubienica zmarła, jej rodzina wyrzuciła go z domu bez grosza przy duszy. Tyle na temat ożenku dla pieniędzy.

Warris zagwizdał delikatnie pod nosem. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dwie dupeczki, smakowite kąski godne pokusy, wysiadały ze lśniącego, białego mercedesa. Blondynka natychmiast przykuła jego uwagę. Piersi wycelowane jak karabiny maszynowe, złote włosy, cudownie spadające na ramiona. A gatki miała tak krótkie, że jej rozkoszny tyłeczek mogli podziwiać wszyscy. Jej koleżanka na pierwszy rzut oka nie była tak atrakcyjna. Ciasne, sprane džinsy i koszulka na wysokim, zwinnym ciele. Burza czarnych włosów zasłaniała jej twarz.

Tak. Warris zdecydowanie wołał blondynkę. Zasługiwał na ucztę.

Obserwował, jak dziewczyny wysiadają z samochodu i idą swobodnym krokiem w stronę restauracji. Instynkt powiedział mu, że czekają, aby je ktoś poderwał.

Kiedy przechodziły koło jego stolika, wstał szybko i zapytał szkolnym francuskim, czy nie zechciałyby się przysiąść.

Ciemna odpowiedziała płynną francuszczyzną. Miały się z kimś spotkać, ale skoro muszą czekać...

Wtedy blondynka powiedziała coś po angielsku, co bardzo ułatwiło Warrisowi sytuację.

— Amerykanki? Tak samo jak ja!

Zamówił dla wszystkich pernod i zastanawiał się, czy mają jakieś pieniądze. Miał przy sobie ostatnie pięćdziesiąt dolców, i trochę bardzo dobrej trawki, schowanej w kieszeni. Może chociaż namówi je, żeby kupiły...

Hmm, myślała Lucky. Niezły. Ale i nie za dobry. Nie w moim typie. To się akurat dobrze składało, bo facet wyraźnie interesował się Olimpią. Tak jak wszyscy inni. Może to prawda, że dżentelmeni wolą blondynki. Ale kto by chciał dżentelmena?

Spod przymkniętych powiek obserwowała, jak Warris Charters zabierał się do Olimpii. Szczupły, bardzo atrakcyjny, jeżeli ktoś lubi mężczyzn

o słomianych włosach, zimnym spojrzeniu zielonych oczu i jasnych rzęsach. Ona nie lubi. Woli ciemnych... bardzo ciemnych... im ciemniejszy, tym lepszy. Jak Marco. Wspaniały, groźny Marco, to jego przejmujące, ponure spojrzenie i męski styl bycia.

Sączyła pernod i doszła do wniosku, że smakuje jak niedobre lekarstwo. Zastanawiała się, kiedy ktoś wspomni o jedzeniu. Wydawało się, że Olimpia całkowicie zapomniała o zupie rybnej i świeżym homarze w majonezie.

— Słuchajcie — powiedziała — umieram z głodu. Może byśmy coś zjedli?

— Faktycznie — zgodziła się Olimpia — ja też jestem trochę głodna. Co dobrego tu podają, Warris?

Popatrzył na Lucky. Dlaczego musiała gadać o jedzeniu? Komu to potrzebne? I kogo na to stać? Pochylił się poufnie ku Olimpii.

— Mam w kieszeni coś dużo lepszego od jedzenia — szepnął. Jej małe oczy rozbłysły.

— Naprawdę?

— Towar pierwsza klasa. Dlaczego nie mielibyśmy, ty i ja...

— I Lucky.

— Jasne, i Lucky. No więc, może znajdziemy jakieś ciche, miłe miejsce i zabawimy się trochę?

Olimpia niemal klasnęła w ręce z radości. Oto gość, który lubił to co ona.

— Gdzie?

Warris myślał szybko. Dwa dni temu wyprowadził się z hotelu „Mar-tinez”, gdyż musiał oszczędzać pieniądze. Jego mały pokój w pensjonacie przy bocznej uliczce nie nadawał się. Plaża też odpadała.

— Gdzie się zatrzymałyście? Olimpia wahała się tylko przez chwilę.

— Mamy chatę na wzgórzach. Jeśli chcesz, możemy tam pojechać. Lucky nie mogła uwierzyć własnym uszom. Co się stało z dyskrecją?

Olimpia sama zdecydowała, że nikomu nie powiedzą, gdzie mieszkają, a ledwie pół godziny później zaprasza Warrisa Chartersa. Tego już za wiele.

— Świetnie. — Warris był bardzo zadowolony. Poprosił o rachunek. Chodźmy.

Pippa Sanchez uważnie studiowała swoje odbicie w lustrze, bardzo zadowolona z tego, co zobaczyła. A zobaczyła odbicie doskonałości: ciemna skóra, krucz włosy, figura modelki... Może i miała czterdzieści dwa lata, ale trzymała się doskonale. Żadnej zmarszczki, żadnych worków pod oczami czy jakiegokolwiek innej oznaki posuwającego się czasu. Więc czemu, do cholery, nie została wielką gwiazdą filmową?

Dlaczego? Ponieważ ci skurwysyni, którzy rządzą przemysłem filmowym, nigdy nie obsadzili jej we właściwej roli. Zawsze była tą drugą kobietą, atrakcyjną dziwką, podniecającą tancerką. Głupcy! Co oni mogli wiedzieć, kiedy palili te długie cygara albo obmacywali blondynki o silikonowych

cyckach?

Celowo trzymała się z dala od Hollywood. Po pierwsze, kiedy przeczytała o koszarnej śmierci Młodego Jake'a, bała się tam wrócić. Po drugie — Hiszpania jej służyła. Nigdy nie przestała pracować, zagrała w tuzinach filmów, z których dwa były prawdziwymi przebojami.

Nawet wyszła za hiszpańskiego gwiazdora, z którym spędziła pięć burzliwych lat. Rozwiodła się siedem lat temu i od tego czasu była sama. Z własnego wyboru oczywiście. Faceci uganiali się za nią cały czas. Miała przygody, ale na pierwszym miejscu postawiła karierę.

Nie chciała skończyć jako hiszpańska gwiazdka. Tylko co z tego? Kogo obchodziło, że pragnęła sławy na miarę Hollywoodu?

Przez lata dopieszczała scenariusz *Śmiertelnego strzału*. Według niej film był bombowy, miał wszystkie składniki wielkiego hitu: miłość, humor, patos, przemoc.

Oparty na życiu Gina Santangelo — musi być dobry.

Problem polegał na tym, że Gino nigdy go nie przeczytał. Pippa musiała opuścić miasto, zanim ukończono scenariusz.

Mimo to podtrzymywała kontakt z pisarzem i w 1955, kiedy żona Gina została zamordowana w domu na East Hampton, kazała zmienić zakończenie, aby zgadzało się z przebiegiem wydarzeń. W scenariuszu wypadło to wspaniale. Pippa była tak podekscytowana, że nawet wysłała Ginowi kopię. Załączyła też list, w którym przypomniawszy mu, że chciał kiedyś inwestować w przemyśle filmowym. Po sześciu miesiącach rękopis do niej wrócił wraz z lakoniczną odpowiedzią sekretarki, że pan Santangelo nie ma czasu czytać scenariuszy filmowych.

Przez lata masa ludzi nie miała czasu tego przeczytać. Wtedy pojawił się Warris Charters i Pippa wiedziała od razu, że to właściwy człowiek.

A teraz Cannes. I nic. Żadnego kontraktu, żadnych szans na produkcję.

Mówiąc oględnie, była bardzo zawiedziona.

Jeszcze raz sprawdziła, jak wygląda, i poszła na spotkanie z Warrisem. Najwyższy czas, żeby sukinsyn oddał jej scenariusz. Gość okazał

się kolejnym

naciągaczem i zamierzała wykreślić go ze swojego życia. Nie chciała, żeby obnosił się z jej ceną własnością. Sama znajdzie sposób na zebranie pieniędzy.

Palenie trawki nie było dla Lucky nowością. Lubiła myśleć o sobie jako

o kimś doświadczonym, chociaż w rzeczywistości próbowała tego dwa razy. Po raz pierwszy z Olimpią na wyspie jej ojca. Cudowne!

Usnęła i obudziła się w samą porę na zjedzenie czterech porcji musu czekoladowego, podanego na obiad.

Za drugim razem z parą szwedzkich hippisów, objających się po Europie. Natknęły się na nich na łądzie i spędziły długi, zabawny dzień.

Warris Charters wyjął z kieszeni bardzo mocne i dobre Złoto Acapulco. Dwa skręty miał już gotowe i poczęstował dziewczyny.

Wylegiwali się na leżakach nad pogrążającym się w mroku basenem. Olimpia zapaliła świece i otworzyła wino.

— Szkoda, że nie mamy muzyki.

Warris nie narzekał. Wydawało mu się, że wszedł w całkiem niezły układ. Willa, samochód, dwie laleczki, które z pewnością miały za co żyć. Zasłużył sobie na wakacje. Odpocznie trochę, zanim powróci do codziennego trudu utrzymywania ciała i duszy razem.

Olimpia zaciągnęła się głęboko cienkim papierosem, westchnęła z zadowoleniem i podała go Lucky.

Jedzenie wciąż chodziło Lucky po głowie, ale uległa nastrojowi chwili

I wzięła papierosa. Zaciągnęła się i leniwie poddała się jego działaniu.

Przez dziesięć minut leżeli tak w ciszy, podając sobie w tę i z powrotem dwa skręty. Lucky chichotała, rozbawiona głośnym cykaniem świerszczy.

— Bardzo hałaśliwe małe stworzonka — mamrotała. Bardzo hałaśliwe.

Jej spostrzeżenie wywołało atak histerycznego śmiechu u Olimpji i Warrisa. Lucky czuła się najdowcipniejszą osobą na świecie.

— Chodźmy popływać — zaproponowała Olimpia, wstając i ściągając ubranie. Odwróciła się do Warrisa, tak że mógł podziwiać jej kształty. Gwałtownie zerwał z siebie spodnie, a kiedy już był nagi, jego podniecony członek sterczał jak dwudziestocentymetrowy maszcik.

— Hmm — zamruczała Olimpia i wskoczyła do basenu.

Zanim Lucky się rozebrała, Olimpia i Warris szaleli pod wodą. Nagle Lucky odechciało się pływać. Do diabła z pływaniem. Była głodna.

Naga pomaszerowała do domu, znalazła jakąś puszkę i otworzyła. Łapczywie pochłonęła oleiste kawałki tuńczyka.

Potem poczuła się bardzo zmęczona, miała za sobą kilka bezsennych nocy.

Na dworze Olimpia i Warris bawili się w najlepsze. Słyszała ich krzyki. Nie będzie im jej

brakowało, jeśli cichutko wczółga się do łóżka... bardzo cichutko.

Nie znalazła Warrisa w żadnym z miejsc, w których zwykle przesiadywał. Pippa wiele razy zaglądała do „Błękitnego Baru”, do „Carlton Terrace” i do „Martineza”. Kiedy było już późno, spasowała i pozwoliła, aby wesolutki angielski producent ubrań postawił jej szampana. Najlepszego oczywiście. Pippa nie skusiłaby się na inny.

Później pozwoliła mu kochać się z sobą. Nie taki zły, pełen zapału, ale nie był to Młody Jake. Nikt mu nie dorównywał.

Natarczywe ataki komarów zmusiły Lucky do otworzenia oczu. Przez kilka sekund nie wiedziała, gdzie jest, w końcu przypomniała sobie.

Wyczołgała się z łóżka, założyła bikini i starą koszulkę, poszła do głównej sypialni, gdzie natknęła się na nagą Olimpię, rozwaloną na łóżku. Warris spał obok niej na brzuchu, dzięki czemu Lucky mogła obejrzeć jego mały, umięśniony tyłek. Tak, tyłek miał w porządku.

Warris nie opuszczał ich przez następne trzy dni. Olimpia była zakochana i wcale nie miała zamiaru go wypuścić.

Lucky czuła zazdrość, kiedy na nich patrzyła, wołała więc skoncentrować się tylko na opalaniu. Leżała nad basenem i zastanawiała się, czy Gino jej poszukiwał.

Zakupy robili w malutkiej wiosce, leżącej tuż koło willi. Kupowali ciepłe francuskie bułeczki, świeżą szynkę, sery i przeróżne owoce.

— Mogłabym zostać tu na zawsze — wzdychała rozmarzona Olimpia.

— Ja mam już dość, zaczynam się nudzić.

— Weź samochód i pojedź się trochę zabawić.

— Przecież wiesz, że nie umiem prowadzić — Lucky była rozdrażniona.

— Naucz ją jeździć, misiaczku — niedbale rzuciła Olimpia pod adresem kochanka.

Warris myślał szybko. Po trzech dniach spędzonych z Olimpią wiedział już, kim była. Nazywała się Stanislopoulos, nazwisko tak samo dobre jak Onassis. Do tego miała gorący temperament. Kiedy już przełamał jej niechęć do stosunku, zaczęła skakać po łóżku jak Indianin na widok curry. Uczył ją wszystkiego, co sam umiał, a uczennica okazała się bardzo pojętna. Niestety, ta jej stale obecna przyjaciółka była niepotrzebnym balastem. Nie lubił jej i wiedział, że ona także go nie lubi. Gdyby nauczył ją prowadzić, mogliby pozbywać się jej przynajmniej od czasu do czasu.

Zaledwie pół godziny zajęło Lucky opanowanie jazdy samochodem. Ufna w swoje umiejętności, odwiozła Warrisa do domu i wybrała się na przejażdżkę. Bardzo jej się spodobało, dosłownie czuła moc silnika po włączeniu stacyjki. Wybrała drogę w kierunku Włoch, dojechała aż do San Remo, gdzie zaparkowała i poszła na parogodzinny spacer. Później wróciła do willi, długo jechała krętą

drogą nad brzegiem morza. Była bardzo wyczerpana,' kiedy dotarła o północy do domu.

Olimpia i Warris tańczyli rumbę do muzyki z radia. Olimpia tylko w majtkach od kostiumu i bardzo wysokich szpilkach. Warris miał

spodnie

i koszulę. Byli bardzo sobą zajęci, a duże piersi Olimpii wykonywały własny taniec. Jak zwykle naćpali się, Warris zużył resztki swojego złota Acapulco na przygotowanie ostatniego skręta.

— Wróciłaś — Olimpia powitała ją chichotaniem. — Pomyśleliśmy, że poprawimy sobie nieco humory i pojedziemy do kasyna. Chcesz jechać z nami?

— Jasne — Lucky szybko się zdecydowała.

— Przeberzemy się w coś. Jestem pewna, że ciotuchna ma w szafie odpowiednie łąszki.

Pippa Sanchez dosłownie kipiała wściekłością. Nawet nie dlatego, że Warris od niej uciekł, ale dlatego, że zabrał ze sobą sześć ksero-kopii jej ukochanego scenariusza. Za coś takiego powinno się obcinać jądra!

Postanowiła nie wyjeżdżać z Cannes, dopóki go nie odnajdzie. Gad na pewno ukrywa się gdzieś, czeka, aż ona wyjedzie. Wtedy miałby jej cenną własność dla siebie. Powinna była to przewidzieć. Powinna była go wyczuć. Przecież Młody ją tego nauczył.

— Kiedy zbliżają się kłopoty, musisz wyczuć je nosem. W ten sposób twój własny nos będzie o ciebie dbał - mawiał. Tylko dlaczego jego nos nie zdołał zadbać o niego?

Niech to wszyscy diabli. Pippa założyła bardzo ciasną, prowokującą, czerwoną suknię i wypuściła się do miasta z niedawno poznanym boliwijskim jubilerem. Jeżeli rzeczywiście był tak bogaty, jak się wydawało, może mógłby sfinansować jej film.

Kiedy dziewczyny przebrały się w ciuchy ciotki Olimpii, Warris zasiadł za kierownicą białego mercedesa i zawiózł całe towarzystwo do Cannes.

— Muszę się przebrać — powiedział. — Wysadzę was przy „Błękitnym Barze" i za dziesięć minut będę z powrotem.

— Dlaczego nie możemy pojechać z tobą? — skrzywiła się Olimpia.

— Dlatego. Tak będzie lepiej. — Nie miał najmniejszego zamiaru pokazać im nory, w której mieszkał. Poza tym, chciał wymeldować się z hotelu i wrzucić swoje walizki do bagażnika. Powinien wykorzystać sytuację, w jakiej się znalazł.

— OK — Olimpia brzmiała bardzo ugodowo. Ale jeżeli spotkam przystojniejszego faceta, nie myśl, że pozostanę obojętna.

— Dziesięć minut. Uważaj na nią, Lucky.

Uważaj na nią, dobre sobie, pomyślała Lucky. Najchętniej sama wypatrzyłaby jakiegoś przystojniaka i wrzuciła mu Olimpię w ramiona.

Zrobiłaby wszystko, aby pozbyć się tego durnia. Z każdym dniem miała go coraz bardziej dosyć.

Warris znalazł dla nich stolik, zamówił drinki i wyszedł.

— Widzisz tego gościa przy oknie? — zapytała. — Nie odrywa od ciebie oczu.

Olimpia wyprostowała się.

— Gdzie? — zapytała szybko.

Gino

1966

Gino leżał na ogromnym łóżu w sypialni apartamentu w „Mirage” i obserwował ubierającą się dziewczynę. Była bardzo szczupła, miała długie nogi, kościste ramiona i wąską talię. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ją wybrał, była zupełnie nie w jego typie.

Naciągnęła sukienkę na małe piersi i odwróciła się do niego.

— Było cudownie - wyszeptała. Spotkamy się jeszcze? Przypomnił sobie, dlaczego ją wybrał. W tych błękitnych oczach widział coś jakby zadumę, niewinność... W łóżku wcale nie była niewinna. Obląziła go jak mrówki, jej gorący język lizał wszystko, na co się natknął.

Kobiety! Jakże się zmieniły! Nie był pruderyjny, ale ich zachowania seksualne stawały się śmieszne. Wymagająca kobieta na sto procent wykończy najżywotniejszego twardziela.

- Proszę - powiedział, wręczając jej kopertę wyjętą z szuflady stolika. — To dla ciebie. Kup sobie jakiś mały prezent.

— Oh! — Dziewczyna wzięła kopertę i ważyła ją delikatnie w rękach. — Nie musiał pan...

Wiem, że nie musiałem, pomyślał. Chcę. Muszę o tobie zapomnieć, żeby nie było komplikacji.

— Weź to i baw się dobrze — powiedział.

Była już ubrana, stała przy łóżku wyczekująco. Gino chciał, żeby wyszła.

— Noc dopiero się zaczyna — powiedział — taka ładna dziewczyna nie powinna jej zmarnować. Zadzwoń do menedżera hotelu i każę mu zarezerwować dla ciebie stolik na ostatni pokaz Małego Martina. Spodoba ci się Weź ze sobą przyjaciółkę.

Gdy został sam, wstał, zrobił kilka pompek, wziął prysznic i ubrał się Następnie zadzwonił do Marca.

Marco pojawił się już po trzech minutach. Jedną z jego głównych zalet było to, że zawsze był pod ręką. I oczywiście lojalność, której nie można kupić. Marco należał do rodziny, a to dla Gina bardzo dużo znaczyło. Ostatnio awansował go na dyrektora „Mirage”. Chciał, aby był najlepszy. Kiedy nadejdzie pora, zleci mu zarządzanie „Magiriano”.

— Co się dzieje? — zapytał Gino. Marco wzruszył ramionami.

— Wszystko. Mały Martino przepuścił w ruletkę całą wypłatę a ten japoński biznesmen wisi na siedemdziesiąt trzy patyki. Wysłałem cztery dziwki do apartamentu sędziego, tak jak zleciłeś. Zwyczajna noc.

Gino zaśmiał się cicho. „Mirage” był jego ulubionym interesem, poza tym w klimatyzowanym komforcie Las Vegas czuł się najlepiej.

— Czy żona senatora Richmonda już przyjechała?

— Jeszcze nie, ale apartament jest gotowy. Cztery tuziny złotych róż, najlepszy instruktor tenisa, zarezerwowany na cały jutrzejszy dzień.

— Bardzo dobrze.

Gino chciał być pewien, że Betty Richmond będzie dobrze obsłużona. Przyjęła go isticie po królewsku w swojej rezydencji w Georgetown, a on nie chciał pozostać jej dłużny. Czy chciał z nią spać, to zupełnie inna sprawa. Nie pociągała go fizycznie, ale w łóżku... te silne nogi, oplecione dookoła niego, gorące ciało — Boże! Miał wzwód na samą myśl o niej! I to zaraz po wyjściu panienki Jakiejśtam. Nieźle jak na mężczyznę, któremu za dwa tygodnie stuknie szósty krzyżyk.

Betty Richmond miała zapewnione królewskie przywitanie. Jej syn Craven kręcił się wokół jak niepotrzebny lokaj.

Weszli do apartamentu, poprzedzani piętnastoma walizkami.

— Hmm — wciągnęła powietrze i zabrała się za otwieranie okien. — Nigdy nie widziałam tak niegustownie urządzonego miejsca.

— Tak, mamó — zgodził się Craven. — Zupełnie bez smaku.

— Jest wulgarne.

— Rzeczywiście.

— Zobacz, złote kurki!

— Koszmar!

— Można się było tego spodziewać.

— Przyjechała — poinformował Marco.

Gino skinął głową. Wprawdzie spóźniła się o jeden dzień, ale dobrze, że jest.

— Co robi?

— Gra w tenisa. Wykańcza instruktora.

— Nie żartuj!

— Ma serwis jak sam Mo. Gino zaśmiał się.

— Prześlij jej wiadomość. Poproś, żeby zjadła ze mną kolację. Niech przyjdzie o wpół do siódmej.

— Już się robi, szefie.

Później Marco wrócił poinformować go, że pani Richmond dziękuje za uprzejme zaproszenie, ale jest już umówiona na kolację, może natomiast spotkać się z nim później, powiedzmy o dziesiątej.

Gino był wściekły. Przyjechała, żeby poprosić go o przysługę, a tymczasem odsyła go z kwitkiem. Nie do wiary!

— Powiedz pani Richmond, że dziesiąta mi nie pasuje — powiedział ostro. — Jedenasta albo wcale.

Marco zaniósł wiadomość, wrócił zaś z nową — godzina jedenasta odpowiada pani Richmond, w *jej* apartamencie.

— Doskonale — warknął Gino. — W *moim* apartamencie.

Betty Richmond pojawiła się pięć po dwunastej. Niebieska sukienka podkreślała jej sportową sylwetkę i opaleniznę. Włosy miała zaczesane do tyłu i ściągnięte niebieską wstążką.

— Przepraszam powiedziała nieszczerze — ale to jest fascynujące miejsce. Nie można przewidzieć, na kogo się wpadnie.

— Tak — spojrzał znacząco na zegarek.

— Mam nadzieję, że nie kazałam ci zbyt długo czekać — powiedziała niecierpliwie. — Czy jest za późno na omówienie wieczoru galowego? Może wolisz spotkać się przy śniadaniu?

— Możemy teraz — uciął. — Rozmawiałem z Małym Martinem i powiedział, że może — może, zaznaczam — wystąpi.

— Wystąpi — jej głos brzmiał pewnie.

— Powiedziałem może.

— Nie, nie. To już jest ustalone, wystąpi na pewno. Spotkałam go wieczorem. Czarujący człowiek. Solennie mi to obiecał.

Gino zmarszczył brwi. Boże! Czy był jej do czegoś potrzebny? Wszystko mogła zorganizować sama. Żałował, że w ogóle obiecał jej ten cholerny wieczór charytatywny.

Telefon obudził go następnego dnia o siódmej rano. Była to linia osobista, używana tylko przez najbliższych współpracowników, tylko w wyjątkowych okolicznościach. Dzwonił Costa z Nowego Jorku.

— Gino, mam złe wieści.

— Co się stało?

— Chodzi o Lucky. Uciekła ze szkoły.

— O Boże!

— Zostawiła wiadomość.

— Co napisała?

— Coś o przemyśleniu spraw, masz się nie martwić, jedzie do Los Angeles. Poleciłem, żeby szkoła tego nie rozgłaszała. Będą współpracować.

— To już coś.

— Co mam zrobić?

— Nie wiem... Jezu! Głupi dzieciak. — Gino zastanawiał się przez moment. — Słuchaj, na razie nie rób nic. Czekaj. Rano złapię jakiś samolot. Porozmawiamy na miejscu.

— Myślę, że tak będzie najlepiej.

— Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i westchnął. Lucky. Głupia dziewczyna. Należy jej stłuc tyłek i to właśnie robi. Kiedy ją znajdzie, oczywiście.

Lucky

1966

Dwaj francuscy kelnerzy, bardzo uprzejmi i nieskazitelnie ubrani, spokojnie, ale stanowczo odmawiali wstępu zakłopotanemu Warrisowi Char-tersowi.

----- Powtarzam wam, że *o b i e* są pełnoletnie — upierał się.

— Na pewno, proszę pana — zgodził się jeden z nich — ale obowiązują nas pewne przepisy i jeżeli panie nie mogą pokazać paszportów... — Wzruszył ramionami.

Lucky miała ochotę zachichotać. Ta scena była absurdalna. Ona i Olimpia naćpane, wkurzony i zaczerwieniony Warris, kilku rozbawionych widzów.

— Mój Boże! — głośno powiedziała Olimpia. — To śmieszne. Chodźmy stąd.

— Nie — Warris był uparty. — Przepisy są po to, aby je łamać.

— Nie w tym kasynie, proszę pana — nieubłaganie powtórzył kelner.

— Pieprzone zabojady! — nagle Warris zaczął krzyczeć. Nie macie gównianego pojęcia o niczym!

Po tym wybuchu jeden z kelnerów skinął na bramkarzy. Faceta należało usunąć. Bramkarze podeszli i silnie ujęli Warrisa pod łokcie, co całkowicie wyprowadziło go z równowagi. Coraz głośniej wykrzykiwał obelgi.

— Wspaniale! — skomentowała Lucky, wymownie spoglądając na Olimpię. — Fajnego masz przyjaciela.

Olimpia wyniośle potrząsnęła blond lokami.

W tym momencie z białego rolls-royce'a wysiadła wspaniała, ciemnowłosa kobieta w najbardziej obcisłej sukience, jaką Lucky kiedykolwiek widziała. Towarzyszył jej wysoki, szpakowaty mężczyzna.

— Warris! — krzyknęła dziko. Ty wredny skunksie! Gdzie się podziewałeś?!

Warris przestał krzyczeć i szarpać się. Oswobodził się i poprawił na sobie ubranie.

— Pippa — wymamrotał niewyraźnie - miałem zamiar do ciebie zadzwonić.

— Akurat — odpowiedziała sarkastycznie. -1 myślisz, że połknę ten kit? Olimpia postanowiła wkroczyć do akcji. Uwiesiła się na zbitym z tropu

Warrisie i zapytała władcym tonem:

— Kim jest ta kobieta, kochanie? Pippa zmiażdżyła ją wzrokiem.

— Nie wiedziałam, że przerzuciłeś się na nieletnie dziwki — rzuciła szyderczo. — Co, czyżby wszystkie duże dziewczynki już wiedziały, jakim jesteś zerem?

— Pippo, chciałbym, żebyś poznała Olimpię Stanislopoulos — powiedział sztywno — z tej rodziny Stanislopoulosów.

— Ach!

— Olimpio, kotku, poznaj Pippę Sanchez, moja. partnerkę w interesach.

A ja to co, kielbasa? — pomyślała Lucky. Mimo wszystko jednak scena bardzo ją bawiła. Warris po szyję w takim gównie to było coś.

— A więc — szpakowaty mężczyzna odezwał się po raz pierwszy — skoro to są twoi przyjaciele, Pippo, może pójdziemy gdzieś razem na drinka?

Parkiet w stylizowanym na jaskinię klubie „Vieux Colombier” tętnił żywą jazzową muzyką. Lucky od razu polubiła to miejsce.

Nadszedł czas, aby i ona trochę się zabawiła, a sądząc z wyglądu siedzących tam chłopaków, dzisiejsza noc należała do niej. Podczas gdy Olimpia na okrągło pieprzyła się z War-risem, Lucky nie miała okazji nawet do „nie-do-końca”. Najwyższy czas nadrobić straty.

Pippa i Warris byli pogrążeni w poważnej rozmowie. Olimpia trzepotała rękami w kierunku boliwijskiego przyjaciela Pippy, więc Lucky przeszła przez słabo oświetlony klub do damskiej toalety. Po drodze zagadnął ją przystojny chłopak w wąskich dżinsach.

— Jesteś Amerykanką? — zapytał uśmiechając się. Też się uśmiechnęła i potwierdziła skinieniem głowy.

— Zatańczysz? — wskazał parkiet pełen szalejących par.

— Bardzo chętnie.

Coś nie dawało Pippie spokoju. Była pochłonięta rozmową o swoim cennym scenariuszu, ale coś innego chodziło jej po głowie.

— Muszę dotrzeć do jej starego — mówił Warris — czy zdajesz sobie sprawę, ile forsy jest w tej rodzinie?

— A kim jest ta druga dziewczyna? — zapytała Pippa. — Ta ciemna, przyjaciółka Olimpji.

— Nie zwracaj na nią uwagi, jest denerwująca.

— Ale kto to jest?

— Jakaś smarkula. Chodziły razem do szkoły czy coś w tym stylu. Czemu pytasz?

Pippa potrząsnęła głową.

— Nie wiem, wydaje mi się znajoma...

— Tak jak milion innych szczeniaków.

— Pippa zgadzała się z nim.

— Jak sądzisz, kiedy poznasz ojca Olimpii? — zapytała.

— Niedługo. Muszę być ostrożny, nie mogę na nią naciskać. — Pippa obserwowała ciemnowłosą dziewczynę w tańcu. Co takiego w niej widziała? — Czy dmuchasz Olimpię?

Jej stosunki z Warrisem były zawsze czysto zawodowe, wyjątkiem była pewna pijacka noc na festiwalu, kiedy wydawało im się, że mają kontrakt. Pieprzenie było niezłe, z kontraktu nic nie wyszło. Żadne z nich nie próbowało tego powtórzyć.

— Ależ skąd — odpowiedział sarkastycznie — ja tylko podlewam kwiatki w jej willi. Oczywiście, że ją pieprzę.

— Jest bardzo młoda. Skąd przyszło ci do głowy, że spodobasz się jej ojcu?

— Do czasu kiedy spotkam tatusia, gość może nie mieć wyboru. Mógłbym się z nią ożenić. Jak ci się to podoba?

Pippa uśmiechnęła się i mruknęła: - Ćśśś...

Olimpia właśnie wracała do stolika z boliwijskim jubilerem, z którym oglądała klub.

— Gdzie jest Lucky? — ziewnęła, zasłaniając usta grzbietem dłoni.

— Kto? — zainteresowała się Pippa.

— Lucky, moja przyjaciółka.

No pewnie! To musiało być to! Wiedziała, że zna tę twarz. Twarz Gina. Gina Santangelo! Dziewczyna musi być jego córką. Pippa zupełnie wyraźnie pamiętała złoconą szczotkę i grzebień, które Młody Jake kupił dla córeczki Gina. Kazał wyryć na nich słowa „Lucky Santangelo”. Od tego czasu upłynęło piętnaście lat. Jezu kochany! Warris myślał, że złapał Pana Boga za nogi z tą małą Stanislopoulos.

Jak on niewiele wiedział...

Pippa rozpromieniła się.

— Warris — powiedziała radośnie — uczcijmy to. Zamów szampana. Myślę, że dzisiejsza noc okaże się bardzo ważna dla nas wszystkich.

Gino

1966

Gino kipiał wściekłością, jego córki nie było już od czterech dni. Odwiedził szkołę, z której uciekła, przeczytał kartki, które zostawiła, zastraszył dyrektorkę, wrócił do Nowego Jorku i czekał na wiadomości.

Jego ludzie siedzieli w domu na Bel Air w nadziei, że Lucky się pojawi. Kiedy stało się jasne, że tak nie będzie, Gino rozpoczął

poszukiwania na własną rękę. Razem z Costą pojechał ponownie do szkoły, przesłuchał dziewczęta z jej klasy, jednak nic nie wykrył.

Dyrektorka była zdenerwowana, chciała powiadomić policję. Costa przez dwie godziny przekonywał ją, że to by w niczym nie pomogło.

W końcu ofiarował sporą sumę na budowę nowego budynku szkolnego.

Następnie wytropił matkę Olimpii, najlepszej przyjaciółki Lucky. Zapewniła go, że Olimpia nie może nic wiedzieć o zniknięciu jego córki, ponieważ aktualnie mieszka w Paryżu i uczy się rosyjskiego.

W końcu zadzwonił do Daria, myśląc, że Lucky się z nim skontaktowała, ale ten trop także okazał się fałszywy.

Wiadomość o zniknięciu siostry bardzo podekscytowała Daria. Dlaczego to nie on wpadł na ten pomysł? Nienawidził szkoły, z każdym dniem miał jej coraz bardziej dosyć. Gdyby tylko wiedział, gdzie podziewa się Lucky, chętnie by do niej dołączył. Ale niestety, nie miał

najmniejszego pojęcia. Chcąc nie chcąc, wrócił do klasy.

— Wszystko w porządku, Dario? — zapytał Eryk, nauczyciel plastyki.

— Tak, proszę pana.

— Na pewno?

— Tak, proszę pana.

Któryś z chłopców siedzących z tyłu przedrzeźniał go:

— Tak, proszę pana, tak...

Dario go zignorował. Wyrobił w sobie obojętność na wszystko, co robili inni chłopcy. Zauważył, że zimne podejście dawało mu pewną przewagę, a w każdym razie chroniło przed wdawaniem się w bójki.

Nauczyciel podszedł do jego ławki i uważnie obejrzał szkic pływaka.

— Hmm, zupełnie nieźle, Dario, nawet bardzo dobrze. Zostań po lekcji, chciałbym z tobą pomówić.

— Tak, proszę pana.

Gino widział wszystko w czarnych barwach. Wyobrażał sobie, jak Lucky jedzie autostopem do Kalifornii w tej powyciąganej koszulce i spranych dżinsach, jak jakiś brudny kierowca zabiera ją do ciężarówki... już widział walkę, gwałt, ciało córki, wrzucone do przydrożnego rowu.

Miała dopiero piętnaście lat. Była jeszcze dzieckiem. Jeżeli jakiś skurwysyn odważy się ją tknąć, to...

Jennifer i Costa byli przy nim cały czas. Jennifer kręciła się po domu, zmuszała go do jedzenia, przekonywała, że Lucky jest bezpieczna.

— Ona jest taka jak ty, sama potrafi zadbać o siebie.

— To dzieciak, Jen.

— O nie, jest całkowicie dorosła. Czuję, że wszystko jest w porządku. Jestem o tym przekonana.

Gino zmarszczył brwi i zdecydował, że powinien osobiście porozmawiać z Olimpią Stanislopoulos, upewnić się, czy na pewno nie miała wiadomości od Lucky.

Wprawdzie matka Olimpії wyjechała na wycieczkę, ale to sekretarka podała mu paryski telefon dziewczyny. Dzwonił cały dzień, ale nikt nie odbierał. W końcu dodzwonił się do jej ojca, do Aten.

— Olimpia jest w Paryżu i chodzi na kurs rosyjskiego — usłyszał. — Zadzwoń do niej i poproszę, aby się z panem skontaktowała.

— Dziękuję, im szybciej, tym lepiej.

Eryk, nauczyciel plastyki, mówił:

— Zauważyłem, że nie bardzo pasujesz do swoich kolegów. Jesteś zupełnie... inny.

— Tak — odpowiedział Dario. — Nie jestem taki jak reszta tych durniów.

— Wiem, widzę. Jesteś bardziej... wrażliwy, inteligentny.

Dario nigdy nie myślał o sobie jako o kimś wrażliwym albo inteligentnym.

— Tak — zgodził się szybko — wydaje mi się, że jestem.

— Wiedziałem - powiedział cicho Eryk. — Wyczułem to, kiedy cię zobaczyłem pierwszy raz w szkole.

Nagle Dario poczuł się nieswojo. Eryk przyglądał mu się w bardzo dziwny sposób.

— Jesteś taki jak ja — ciągnął Eryk. Ja też byłem.. inny w szkole. Koledzy nie cierpieli mnie, ponieważ lubiłem sztukę.... dobre książki.... dobre rzeczy w życiu...

— Naprawdę? — próbował okazać zainteresowanie, ale powoli czuł się znudzony Erykiem i historią jego życia.

— Może chciałbyś spędzić u mnie weekend? zaproponował od niechcienia Eryk. — Zauważyłem, że nigdy nie wyjeżdżasz na weekendy do domu. Mogłoby być ciekawie, dobrze byś się bawił.

Dario zastanawiał się, czy rzeczywiście mógłby dobrze bawić się z Erykiem. Facet miał na oko dwadzieścia cztery lata. włosy koloru piasku, szare oczy, mocno zbudowany.

— Co byśmy robili? — zapytał uważnie.

— Co byś chciał. Możemy iść do kina, na kręgle, na basen, do restauracji. I co powiesz?

— No — Dario namyślał się — czemu nie? Eryk uśmiechnął się.

— Właśnie, czemu nie? Tylko że to musi być tajemnica. Nie możemy nikomu powiedzieć, wiesz, regulamin szkoły i tak dalej...

Dario uśmiechnął się. Nagle poczuł się ważny i lubiany. Nie każdego chłopca z klasy Eryk zaprosiłby na weekend.

Następnego dnia Dimitri Stanislopoulos dzwonił do Gina.

— Mamy pewien problem. — powiedział. Dlaczego „my”?

— Tak?

— Olimpia wyjechała z Paryża. Wzięła jeden z moich samochodów i wyjechała.

— Aha... — Głno odetchnął, od razu poczuł się lepiej. Dobrze wiedzieć, że Lucky była z przyjaciółką.

— Olimpia ma bardzo silny charakter — mówił zatroskany Dimitri. — Trudno ją kontrolować, ale też łatwo ulega wpływom. Wydaje mi się, że razem z pańską córką Lucky...

— Czy domyśla się pan, gdzie mogą być?

— Nie mam pojęcia, ale kazałem szukać samochodu. Powinni szybko je znaleźć...

— Mam nadzieję. Gdyby pańska żona nie była tak pewna, że Olimpia jest w Paryżu...

— Moja żona wierzy we wszystko, co się jej powie. Szkoda, że nie skontaktował się pan ze mną wcześniej.

— Tak, ja też żałuję.

Skończyli rozmowę, umówiwszy się następnego dnia w Paryżu.

— Może pojechałabyś ze mną, Jen — prosił Gino — nie wiem, czy sam sobie z nią poradzę.

Ależ musisz — uznała Jennifer. — To twoja córka. Musisz znaleźć z nią jakiś kontakt, zanim będzie za późno. Już najwyższy czas.

Porozmawiaj z nią, poznaj ją, spróbuj dowiedzieć się, dlaczego tak zrobiła.

Spróbuj. Najpierw stłucz ją na kwaśne jabłko, a potem spróbuj.

Lucky

1966

Jak Pippa Sanchez stała się częścią ich życia? Otóż poprzedniego wieczora zostawiła swojego boliwijskiego jubilera, wzięła z hotelu małą torebkę i wpakowała się do mercedesa.

— Nie masz nic przeciwko temu? — zapytała przymilnie Olimpię. — Mamy z Warrisem interesy do skończenia.

— Nie ma sprawy — Olimpia bez oporów wyraziła zgodę. Następnego ranka Lucky stała w kuchni i spoglądała na przyjaciółkę.

— Dlaczego nie wyjedziemy? To już zaczyna być nudne. Myślałam, że przyjechałyśmy się bawić.

— Ja się bawię — utrzymywała Olimpia. — Warris to świetny gość.

— Aha, a co powiesz o meksykańskiej pożeraczce ognia? Po co się wprowadziła?

— Tylko na parę nocy. Robią razem interesy.

— Nie lubię jej. Stale się na mnie gapi.

— Może ma na ciebie ochotę! — zachichotała Olimpia.

— Wsadź sobie ich oboje w dupę! — Lucky dosłownie grzmiała. — Ja wyjeżdżam!

— Jakim sposobem? Nie masz samochodu, pieniędzy, nic!

— Miło z twojej strony, że mi przypomniałaś.

— No już, tobie po prostu potrzebny jest facet. Dzisiaj ci jakiegoś znajdziemy.

— Sama sobie znalazłam jednego wczoraj wieczorem, ale co się stało? Według twojego kochanego Warrisa, nie było dla niego miejsca w samochodzie.

— Dziś będzie inaczej — zapewniła Olimpia. — Znajdź sobie kogoś, a przyrzekam, że go tu jakoś ściągniemy.

— OK — Lucky była udobruchana.

Dziewczyny wyszły na słońce. Warris leżał nad basenem, tuż obok niego Pippa wystawiała swoje piękne ciało.

— Bardzo ładny dom — pochwaliła. — Długo już tu siedzicie?

— Już trochę — odparła niechętnie Lucky.

— Nie chodźcie do szkoły?

— Skończyłyśmy ze szkołą — powiedziała Olimpia, wskazując Warrisowi na brzuch.

— Jesteś bardzo ciężka!

— W nocy tak nie mówiłeś.

— Wtedy wszystko było twardsze!

Lucky wskoczyła do basenu. Na brzegu pojawiła się błyszcząca jaszczurka.

— Aaa! Nienawidzę tych pełzaczy! — wrzasnęła Olimpia.

— Nie mogą zrobić ci nic złego — wyjaśniała Pippa.

— Nie, ale mogą cię cholernie przestraszyć — śmiał się Warris.

— Wiem — przytaknęła Pippa. — Może zorganizujemy dziś wieczorem przyjęcie?

— Przyjęcie? Przecież nikogo nie znany.

— Ja znam — powiedziała Pippa. — Ja znam wszystkich.

— Naprawdę? — oczy Olimpii zaiskrzyły się.

— Oczywiście. Znam nawet grupę muzyczną, która gra tylko za jedzenie i drinki, no i dobrą zabawę.

— Fajny pomysł, ale skąd weźmiemy alkohol i żarcie? W tej chwili nie mam za bardzo pieniędzy... moje stypendium jeszcze nie przyszło. Pippa prawie podskoczyła.

— O nic się nie martw. Zostaw wszystko mnie. Czy mogę wziąć samochód?

— Oczywiście, ale... Pippa roześmiała się.

— Zorganizuję to przyjęcie, możecie spokojnie wylegiwać się na słoneczku. — Na bikini naciągnęła pomarańczową plażową sukienkę.

— Do zobaczenia.

— To jest naprawdę szałowa babka — zachwycała się Olimpia. Warris ściągnął z niej stanik od kostiumu i powiedział:

— Tak jak ty, kochanie, zupełnie jak ty.

Oczy Olimpii ześlizgnęły się na jego krótkie spodenki.

— Pokaż mi, co masz dla swojej małej dziewczynki. Wstał i wziął ją za rękę.

— Pokażę ci, co mam dla dużej dziewczynki. Wejźmy do środka. Lucky nie zwracała na to wszystko

uwagi. Pływała od brzegu do brzegu,

jakby była zaprogramowana.

Pippa pędziła białym mercedesem po krętej, wąskiej drodze. Z zadowoleniem mruczała sama do siebie, życie nabierało sensu. Wkrótce zaczęła marzyć na jawie. Nawet idiota by się zorientował, że dziewczyny nawiały. Nie miały pieniędzy, żadnych planów, dom, w którym większość mebli była w pokrowcach, nie mógł należeć do nich. Tak, na bank uciekły. Ze szkoły... z domu. Ktoś musi za nimi tęsknić.

Gino Santangelo. Samo wspomnienie tego imienia przyprawiało ją o dreszczyk. Czy szukał swojej córki? To bardzo prawdopodobne. A jeżeli jej szukał, to ona, Pippa Sanchez, była jedyną osobą zdolną mu pomóc.

Gino będzie wdzięczny. Może będzie aż tak wdzięczny, że sfinansuje jej film...

Uśmiechnęła się, przez chwilę pomyślała o Wamsie, ale szybko zdecydowała, że nie może mu zaufać. On przede wszystkim chciał

złapać tę małą Stanislopoulos i nic w tym dziwnego.

Pippa była coraz bardziej rozmarzona. Jak łatwo poszło! „Zorganizuję przyjęcie”, „Czy mogę pożyczyć samochód?” Wszyscy byli teraz uwięzieni w willi i nie mogli się z niej wydostać. Zamiast przyjęcia zorganizuje im przyjazd Gina Santangelo, gdziekolwiek by się znajdował. Osobiście zaprowadzi go do Lucky. Nie mogła tego lepiej obmyślić.

Włączyła radio na cały regulator i mocniej nacisnęła gaz.

Zaraz, ale kto będzie najlepiej nadawał się do roli Gina Santangelo? Marlon Brando? Tony Curtis? Paul Newman? Wspaniale jest kontrolować obsadę. Tak, Marlon Brando będzie doskonały, łączy w sobie właściwą mieszankę seksu i twardości. Będzie dobry...

Nie zauważyła ostrego zakrętu. Jechała za szybko. Poza tym angielscy turyści w wynajętym, rozklekotanym citroenie byli za blisko.

Mercedes zderzył się czołowo z citroeniem. Silny grzmot rozległ się na mile.

Pippa Sanchez zginęła na miejscu, podobnie jak jej marzenia.

Gino

1966

Gino przyleciał do Paryża sam. Z Vegas słyszał o niesłychanych wymaganiach pani Betty Richmond. Wyjechała następnego dnia po nim i zostawiła Cravena, żeby wypełnił jej polecenia, dotyczące wieczoru galowego. Co godzinę dzwoniła z Waszyngtonu.

— To szaleństwo — powiedział mu przez telefon Marco. — Zażyczyła sobie, aby połowa jej gości dostała apartamenty na noc.

Zamówiła specjalne jedzenie, kazała nawet zmienić kompozycje kwiatowe! Ten wieczór będzie nas kosztował cholernie dużo forsy!

Gino nie mógł nic na to poradzić, zgodził się na przyjęcie i musiał dotrzymać słowa. Ale widział, że miała go za głupca. Jedno pieprzenie tego kościstego cielska miało być całą zapłatą. Jedno pieprzenie, tak jakby mierzyła wartość tamtego wieczoru.

— Rób, co będzie chciała — powiedział. Wrócę, jak tylko będę mógł.

Pani Richmond dostanie niezłą nauczkę. Gino Santangelo nie da robić z siebie idioty. Będzie miała taki wieczór galowy, jaki będzie chciała, a pewnego dnia zapłaci mu za to.

— Masz jakieś wieści o Lucky? — dopytywał się Marco.

— Dopiero co przyleciałem. Dam ci znać.

— Może papierosa, Dario? — zaproponował Eryk.

— Dziękuję — wziął papierosa, zapalił i wyciągnął się na leżaku, który zajmował większą część ciasnego tarasu w domu Eryka.

Małe mieszkanko było tylko o kilka mil oddalone od szkoły w San Diego. Dario przyjechał w sobotę rano autobusem, Eryk odebrał go z dworca. Spędzili całkiem miły dzień w mieście, robili zakupy, przeszli się po księgarniach i paru galeriach sztuki. Po powrocie do domu Eryk nadskakiwał chłopcu jak wierny lokaj.

Dario musiał przyznać, że podobało mu się takie zainteresowanie. W szkole spotykał się tylko z wrogością. W domu, jeżeli akurat była Lucky, ona zajmowała pierwsze miejsce.

— Krążą po szkole plotki, że twoim ojcem jest Gino Santangelo — powiedział Eryk, chrząkając nerwowo. — Czy to prawda?

Dario skinął głową.

— Nie myślę... to znaczy, nie podejrzewam cię, żebyś chciał, ale... ja...

Dario uśmiechnął się. Czuł się starszy, niż był w rzeczywistości, jakiś światły i obyty.

— W porządku, Eryk, nie zamierzam mówić mu, że tu jestem. Eryk wyraźnie odetchnął.

— Chodzi tylko o to...

— Nie musisz wyjaśniać.

Eryk uściśnął mu rękę — ich pierwszy fizyczny kontakt. Dario pozwolił przedłużyć uścisk, serce biło mu mocno. Wiedział, o co chodziło Erykowi, nie był przecież naiwny. Jednak czy pozwoli mu cokolwiek zrobić, to inna sprawa.

— Jesteś takim ślicznym chłopcem — szepnął Eryk, głos drżał mu z podniecenia. — Zwróciłem na ciebie uwagę pierwszego dnia, kiedy zjawiliś

się w mojej klasie. Zobaczyłem cię i pomyślałem: ten chłopak jest inny. Doświadczył wiele bólu i smutku. Czy mam rację?

Ich ręce powoli przyklejały się do siebie, jednak Dario nie chciał się wyswobodzić. Czuł podniecenie seksualne, takie samo jak wtedy, gdy zobaczył Marabelle Blue w łóżku z Ginem, kiedy podglądał rozbierającą się Lucky, czy gdy obserwował innych chłopców pod prysznicem.

— Tak — powiedział rozkoszując się romantyczną wizją siebie jako człowieka doświadczonego przez ból i smutek. W końcu to prawda.

Jego życie było samotne.

Usta Eryka zbliżyły się do jego ust. Nic odczuwał wstrętu, jedynie dziwną, ślepą ciekawość.

— Myślę, że mógłbym kochać takiego chłopca jak ty -- mówił Eryk niewyraźnie.

Dario poddał się pocałunkowi. Poddał się temu, co nastąpiło później...

Po raz pierwszy w życiu czuł się kochany, akceptowany i zupełnie bezpieczny.

Dimitri Stanisloupoulos był postawnym mężczyzną o orlim nosie, bujnej, siwej czuprynie, żywych, przenikliwych oczach. Miał też denerwujący zwyczaj rozpoczynania każdego zdania od „Myślę, że...”

Po piętnastu minutach spędzonych w jego towarzystwie, Gino miał kompletnie dosyć tego, co Dimitri myślał.

Odwiedzili wspólnie gosposię w rezydencji Stanisloupoulosów w Paryżu. Starsza kobieta, nieuprzejma i niekomunikatywna, po angielsku mówiła bardzo słabo, a w obecności dwóch mężczyzn jej mierna znajomość języka zaniknęła całkowicie.

Dimitri mówił do niej bardzo szybko po francusku, wymachiwał przy tym rękoma jak gałęziami.

— Głupia krowa! — narzekał. — Boi się, że będę ją winił, że ją wyleję.

— Co powiedziała? — zapytał niecierpliwie Gino.

— Nic, czego byśmy dotąd nie wiedzieli. W poniedziałek Olimpia wzięła samochód, żeby, jak mówiła, odwiedzić matkę.

— To było pięć dni temu. W tej chwili mogą być wszędzie.

— Myślę, że agencja detektywistyczna, którą wynająłem, znajdzie samochód jeszcze dzisiaj. Są najlepsi. I spójrzmy prawdzie w oczy: dwie ładne, młode dziewczyny w drogim samochodzie zwracają na siebie uwagę.

O trzeciej po południu detektywi znaleźli samochód. Rozbił się w poważnym wypadku na wąskiej drodze ponad Cannes. W

samochodzie znajdowało się ciało nie zidentyfikowanej kobiety.

Godzinę później Gino i Dimitri siedzieli w samolocie lecącym na południe Francji.

Lucky

1966

Chmury układały się na niebie w groźny wzór, słońce było zaćmione, zerwał się silny wiatr.

— Mistral — zapowiedział posepnie Warris. — Cholera! Zepsuje nam przyjęcie.

— Dlaczego? — nie rozumiała Olimpia.

— Dlatego, kotku, że zaraz się zacznie silny sztorm i ludziom nie będzie się chciało jechać taki kawał.

— Jaka szkoda! Miałam nadzieję na dzikie przyjęcie. Ty chyba też, prawda, Lucky? Lucky!

— Co? — aż podskoczyła. Myślała o Bel Air. Duży, nieprzytulny dom z zadbanym, sztucznie wyglądającym ogrodem. Jej pokój był

biały, obszerny, stał w nim telewizor. Wspomniała swoją sporą kolekcję płyt i książek, wszystkie stare zabawki.

— Myślę, że mogłabym pojechać do domu — powiedziała jak gdyby nigdy nic.

— Cooo? — Olimpia nie mogła uwierzyć własnym uszom.

— Naprawdę.

— Nie gadaj. Dlaczego?

Lucky w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

— Nie wiem... Po prostu mam na to ochotę. Oczy Olimpії zwęziły się.

— Nie możesz tego zrobić.

— Dlaczego nie?

— Nie możesz, i tyle, to wszystko. Zaczęłyśmy tę przygodę razem i tak samo powinnyśmy ją zakończyć: razem.

— Niekoniecznie. — Nachmurzona mina Lucky nie wróżyła nic dobrego.

— Ale jeszcze dziś rano obiecałaś mi, że zostaniesz.

— Niczego nie obiecywałam. Chcę jechać.

— Jesteś taka samolubna! — nadęła się Olimpia.

No tak! Ona była samolubna! Przez pół dnia Olimpia siedziała z Warrisem w sypialni, dochodziła

druga po południ, a oni właśnie raczyli się stamtąd wyczołgać. Miała dość przeświadczenia, że do nich nie pasuje.

— Słuchaj, wyjeżdżam i nic na to nie poradzisz.

Warris obserwował ich kłótnię i po raz pierwszy zauważył, jakie Lucky robi wrażenie. Nigdy wcześniej dokładnie się jej nie przyjrzał.

Teraz nagle pod masą ciemnych włosów dostrzegł oliwkową skórę i rysy, które mogłyby należeć do prawdziwie niebezpiecznej cygańskiej piękności. Przyszło mu do głowy, że mieszkał z nią w jednym domu, a w zasadzie nigdy jej nie widział. Była o wiele atrakcyjniejsza od Olimpji, która, jeśli pominąć piersi i długie blond włosy, niczym się nie wyróżniała. W Lucky nie było niczego przeciętnego.

— Przez ciebie boli mnie głowa. Idę się przespać — ucięła w końcu Olimpia — Przekonaj ją, Warris, wytłumacz jej, że jeżeli wróci, zapędzą ją do następnej głupiej szkoły, powiedz jej! — Odmaszerowała do głównej sypialni i trzasnęła drzwiami.

Warris i Lucky siedzieli w ciemnym salonie i patrzyli na siebie.

— Dlaczego chcesz wyjechać? — zapytał w końcu.

— Nie ma konkretnego powodu odpowiedziała nieuprzejmie. — A ona mnie tu nie zatrzyma.

Warris wstał i wyprostował się.

— Kiedy Pippa wróci, zawiozę cię na lotnisko, jesh chcesz. Skąd zamierzasz wziąć pieniądze na bilet? .

— Wymyślę coś na miejscu — przerwała i obserwowała go podejrzliwie. — Naprawdę mnie zawieziesz?

Podszedł do niej powoli.

— Oczywiście, dlaczego nie? . Leżała na podłodze, wyciągając przed siebie długie, opalone nogi. Ubrana była tylko w szorty i dzinsową koszulkę. Warris stanął nad nią i wyciągnął rękę.

— Wstawaj. Pomyślimy, jak można zapłacić za twój bilet. Lucky złapała go za rękę, a on ją podciągnął.

— Jak?

— Jeszcze nie wiem, będę się musiał nad tym zastanowić.

Nie puszczał jej ręki. Przysunął się bardzo blisko i zanim zdołała go powstrzymać, całował ją.

— Gdzie? — próbowała go odepchnąć. - Nie pozwalaj sobie za wiele.

— Dlaczego? — Nagle jego ręce były wszędzie. — Zauważyłem, w jaki sposób patrzysz na mnie i na Olimpię. Myślisz, że nie wiem, że masz na mnie ochotę?

— Opowiadasz pierdoły!

— Powtórz to, kiedy już cię dostanę, kiedy ci go włożę, kiedy... Kopnęła go w czułe miejsce najsilniej, jak potrafiła. Oszołomiony skręcał

się z bólu, trzymając się za jądra, tak jakby całe jego życie zależało od ich stanu.

— Ty dziwko! .

Lucky obserwowała go uważnie. Wyglądał tak zabawnie, że chciała się roześmiać. Uświadomiła sobie jednak, że to by rozwścieczyło go zupełnie, a nie mogła przewidzieć, do czego taki padalec jest zdolny.

Warris, wciąż zgięty w pół, osunął się na kanapę.

— Dlaczego nie spierdalasz na lotnisko? mamrotał. — Ja cię nigdzie nie zawiozę, nie myśl sobie. A im szybciej wyjedziesz, tym lepiej dla wszystkich.

— Co mam według ciebie zrobić? Pójść pieszo?

— Gówno mnie obchodzi, co zrobisz.

Nie wiedzieć czemu, oczy Lucky napełniły się łzami. Jakim cudem wpadła w takie kłopoty? Dlaczego jest uwięziona w tym domu z Olimpią i jej

koszmarnym fagasem? Gdyby nie on, mogłyby bawić się doskonale. To on wszystko popsuł. Wyrzwała na dwór i zastanawiała się, co dalej. Zaczął padać deszcz, z czarnych chmur lały się potoki wody. Bardzo chciała być znów małą dziewczynką, mieć kogoś, kto by się nią opiekował i poradził jej, jak się zachować.

— Nie martw się — odburknęła — wyjadę. Przestanie padać i już mnie tu nie będzie.

Zostawiła go leżącego na kanapie i poszła spakować kilka rzeczy, które ze sobą przywiozła.

Niech diabli wezmą jego i jej dobrą przyjaciółkę Olimpię. Wyjedzie i nikt jej nie zatrzyma.

Myśli, jakie przychodziły Ginowi do głowy, nie należały do przyjemnych. Jeżeli kobieta, która zginęła w wypadku, to Lucky? Jeżeli to jego córeczka?

Próbował przypomnieć sobie ostatnie spotkanie z nią w nowojorskim apartamencie. Zjedli obiad w sztywnej atmosferze, on jednym okiem oglądał telewizję, podczas gdy ona mówiła coś o niechęci do powrotu do szkoły. Nie słuchał jej. Teraz tego żałował. Następnego ranka czarna limuzyna odwiozła ją do internatu, nawet z nią nie pojechał. Cholera, był cały czas zły o Szwajcarię. Co miał zrobić, ucałować ją, uściskać i zignorować fakt, że złapano ją nagą z chłopakiem w łóżku? Ona ma

piętnaście lat.

Piętnaście, na miłość boską!

Dimitri Stanislopoulos także nic nie mówił. Zastanawiał się, dlaczego Bóg uznał za stosowne obdarzyć go córką, która sprawiała mu więcej kłopotów niż wszystkie jego byłe żony razem wzięte.

W końcu prywatny samolot wylądował na lotnisku w Nicei. Na płytę wyjechał po nich samochód. Padał ulewny deszcz, wiatr pędził po niebie czarne chmury. Gino spojrzął na zegarek, dochodziła siódma. Burczało mu w brzuchu, przez cały dzień nic nie zjadł, ale kto mógłby jeść w takiej sytuacji?

Wsiadł do samochodu z ciężkim sercem, bał się tej drogi, mogła zaprowadzić ich wprost do kostnicy.

Lucky zastanawiała się, co począć. Spakowała rzeczy, po czym usiadła

1 całe popołudnie czekała, aż Pippa wróci albo aż deszcz przestanie padać. Siódma. Deszcz nie przestawał padać, a Pippa nie zjawiała się.

O czwartej pokazała się Olimpia, zajęła się ściąganiem pokrowców z mebli i szykowaniem szklanek na przyjęcie. Obie przemyślnie unikały rozmowy.

Warris spał na kanapie, jego chrapanie działało im obu na nerwy.

O szóstej Olimpia oświetliła dom świecami, po czym obudziła Warrisa i zapytała:

— Gdzie, do cholery, podziewa się twoja przyjaciółka? Był posepny i nie w humorze, narządy wciąż go bolały po zetknięciu z kolanem Lucky.

— Zaraz tu będzie — warknął.

— W każdym razie nie spieszy się.

— Powiedziałem, że przyjedzie. — Wstał z kanapy i poszedł z Olimpią do sypialni, z trzaskiem zamykając drzwi.

Lucky siedziała gapiąc się w okno, podziwiała pojawiające się na niebie błyskawice i deszcz bezlitośnie zalewający ogród. Była załamana. Poprzednio zamknięto ją w szkole, jednak dopiero teraz czuła się uwięziona naprawdę!

Widok zbliżających się świateł samochodu przyniósł jej dużą ulgę. Jeżeli Pippa odmówi jej pomocy, sama weźmie samochód i pojedzie.

To nic trudnego.

Wzięła torbę, gwałtownie otworzyła drzwi i wybiegła na dwór.

Natychmiast przemokła, zanim dobiegła do samochodu, wyglądała jak zmokły szczur.

Kiedy było już za późno, zorientowała się, że to nie Pippa, to nie mercedes. Cholera! Przyjechał Gino. Jej ojciec.

Steven

1967

Zizi uwielbiała chodzić na tańce — Steven wolał siedzieć w domu i słuchać muzyki. Lubił jazz, rock, ale przede wszystkim soul.

Godzinami mógł siedzieć przy włączonym sprzęcie i chłonać muzykę Isaaka Hayesa, Marvin'a Gaye'a, czy Arethy Franklin.

Zizi wolała hałaśliwą muzykę dyskotekową i rytmy latynoamerykańskie. Bez przerwy kłócili się o to, którą płytę puścić.

— Nienawidzę tego gówna, którego słuchasz - narzekała. — Gdzie toto ma rytm, ogień? Chodźmy gdzieś do miasta potańczyć.

Jej ulubiony klub, mały, zatłoczony i bardzo głośny, znajdował się w hiszpańskim Harlemie. Zizi zawsze była w centrum zainteresowania. Steven obserwował, jak wirowała na parkiecie z którymś z tuzina różnych partnerów, i płonął z zazdrości. Byli małżeństwem już od ponad roku, ale nie potrafił się opanować.

Zizi uwielbiała to. Drażniła go, lubiła wyprowadzać go z równowagi, była zachwycona, jeśli komus przyłożył.

— Małżeństwo chyba ci nie służy powiedział mu kiedyś Jerry. — Co z ciebie za prawnik? Chodzisz po knajpach i wszczynasz bójkę.

Skończysz w jednym z sądów, w których pracujesz. Jak myślisz, spodoba się to sędziemu?

— Masz rację, ale nic nie mogę poradzić. Mam ją we krwi, Jerry, kocham ją.

— Kochasz! Komu ty to mówisz? Złapała cię jak w imadło i teraz podkręca śrubę.

Steven bezmyślnie dłuwał w sałatce. Rozmawiałaś z Carrie?

— Oczywiście. Czy wyobrażasz sobie, co ona czuje?

— Cały problem z moją matką polega na tym, że jest bezkompromisowa. Według niej powinienem być ożenić się z dwudziestoletnią czarną dziewicą, która skończyła uniwersytet dla gospodyń domowych i wywodzi się z dobrej rodziny.

— Czy istnieją dwudziestoletnie dziewice z dyplomami? Steven kroił kotlet.

— Chciałbym, żebyś z nią porozmawiał, nakłonił ją do spotkania ze mną.

— Spróbuję. — Jerry wiedział, że to niewykonalne. Wiedział, że z każdym tygodniem Carrie była coraz mocniej przekonana, że nie chce go widzieć, dopóki nie rozstanie się z tym „śmieciem", jak określała Zizi.

— Będę ci wdzięczny — powiedział Steven. — Wiesz, czasami czuję się tak, jakbym wcale nie miał przyjaciół.

A ja? Jestem według ciebie kanapką z kurczakiem? Steven roześmiał się.

Jesteś bardzo dobrym przyjacielem. Jedynym, jakiego mam. Kiedy to powiedział, uświadomił sobie, że to prawda. Praca, Zizi.... i to wszystko.

— Przemysłałeś moją propozycję? — Jerry zapytał od niechcienia, popijając kawę.

— Dużo o tym myślałem i bardzo mi pochlebiasz, ale wydaje mi się, że nie nadaję się do prywatnej praktyki.

— Nie odrzucaj czegoś, czego nie znasz.

— Nie odrzucam, mówię tylko, że to nie dla mnie.

— Może zmienisz zdanie. — Jerry skinął na rachunek.

— Dziś ja stawiam — szybko wtrącił Steven.

— Nie ma mowy — przerwał mu Jerry, wyciągając książeczkę czekową — wszystko jest przemyślane.

— Wprawdzie pracuję na państwowej posadzie — powiedział urażony Steven — ale na obiad jeszcze mnie stać.

— Podoba ci się? — zapytała Zizi stojąc w rozkroku przed biurkiem Stevena w ich małym mieszkanku.

Był zagrzebany w papierach, zastanawiał się nad jutrzejszą rozprawą. Spojrzał na nią przelotnie.

Zizi ubrała się w złotą, błyszczącą suknię, rozciętą aż do końca uda.

— Ładna, prawda?

Najpaskudniejsza suknia, jaką kiedykolwiek widział. Lśniącą, byle jaka. Pasowałyby dziwce.

— Jest okropna — powiedział. Twarz Zizi pokryła się rumieńcem.

— Kosztowała sto dwadzieścia dolarów — rzuciła — więc lepiej, żeby ci się podobała.

Steven cały czas myślał o sprawie, którą przygotowywał, odpowiedział więc bez namysłu:

— Zanieś ją z powrotem do sklepu, zwrócą ci pieniądze.

Nie przygotował się na jej wściekłość. Rzuciła się na niego, rozsypała wszystkie papiery, zaczęła drapać go paznokciami po twarzy.

— Nie podoba ci się nic, co robię! — wrzeszczała. — Bez przerwy mnie krytykujesz, ty kutasie! Uważasz, że jesteś taki wspaniały?

Usiłował powstrzymać ją, ściskając jej rękę.

— Co się z tobą dzieje?

I wtedy znów to się stało, jak zwykle, kiedy był blisko niej. Miał erekcję.

Steven usuwał złoty materiał ze swej drogi, podciągnął go jej do pasa nie patrząc, czy porwie suknię. Zizi zachęcała go, jęczała i wzdychała. Jerry miał rację. Trzymała go za jaja i doskonale o tym wiedziała.

— Tędy, pani Berkely. Cudownie, kochana! Wspaniale! Niech się pani uśmiechnie, tak delikatnie, nie za szeroko. Doskonale!

Fotograf obskakiwał ją radośnie, podczas gdy Carrie ćwiczyła repertuar min i pozycji. Jej druga natura. Robiła to już tyle razy wcześniej.

Bawiło ją. Została sławą, nazwiskiem, bez jakiegokolwiek wysiłku. Talent nie był do niczego potrzebny. Tylko pieniądze, styl i właściwy mąż.

Miała dwóch odpowiednich mężów — Bernard był ciepłym i otwartym człowiekiem, Elliott natomiast snobem bez poczucia humoru.

Często zastanawiała się, dlaczego się z nią ożenił. Była Murzynką, on nienawidził czarnych. Według niego to niższy gatunek ludzi.

Zdawał się jednak nie zwracać uwagi na kolor jej skóry, widział tylko styl i klasę. Traktował ją jak swoją afrykańską królową. Boże!

Gdyby Elliott znał jej przeszłość, prawdopodobnie zabiłby ich oboje.

Nie kochała Elliotta, ale lubiła życie, jakie prowadził.

— Ostatnia klisza — powiedział wesoło fotograf. Może przebrałaby się pani w rzeczy od Yves Saint Laurenta? Nie ma pani nic przeciwko temu?

Nie, nie ma nic przeciwko temu. Carrie przeszła do przebieralni, a towarzyszyły jej dwie pomocnice, fryzjer i specjalista od makijażu.

Kręcili się wkoło niej i pomagali założyć nową suknię.

Carrie obserwowała swoje odbicie w lustrze i podziwiała to, co zobaczyła. Kiedy zmieniła się z taniej, czarnej dziwki w elegancką kobietę, którą widziała przed sobą?

Przy Bernardzie, oczywiście. On ją stworzył.

— Wyglądasz bosko, kochanie — gruchał fryzjer.

Musiała przyznać, że tak było. Ale droga na szczyt wiele ją kosztowała.

Lucky

1966

Minęły cztery tygodnie. Południowa Francja była odległym wspomnieniem, a dom na Bel Air rzeczywistością. W sumie bardziej przypominał więzienie. Swoboda Lucky została ograniczona. Na scenie pojawiła się gospoia, panna Drew, która nigdy nie spuszczała jej z oczu.

Deszczowa noc we Francji wciąż pobrzmiewała w pamięci dziewczyny. Zaskoczenie przyjazdem Gina, jego twarz groźna jak chmura burzowa... Wbił jej mocno paznokcie w ramiona i potrząsnął, aż zaszczękała zębami.

Jeden wielki koszmar. Pamiętała, jak ojciec Olimpii wygrzebał się z samochodu ze słowami: „Wiedziałem, że tu będą!” Stali we trójkę na deszczu, przemoczeni do nitki, a Lucky zastanawiała się, w jaki sposób może ostrzec przyjaciółkę, która prawdopodobnie była z Warrisem w łóżku. Spędzali tam większość czasu.

Potem poszli wszyscy do domu, Gino trzymał Lucky za rękę, jakby bał się, że znów ucieknie. Dimitri wykrzyknął zszokowany:

— Boże! Doprowadzili dom mojej siostry do ruiny!

Właśnie wtedy rozpętała się prawdziwa burza z błyskawicami i piorunami. Gino krzyczał:

— W jaki sposób Pippa Sanchez była z wami powiązana?

Dimitri otworzył podwójne drzwi do sypialni, w której zobaczyli nagą Olimpię, jej uniesiony w powietrze tyłek właśnie opadał między rozłożone nogi Warrisa.

Nastąpiła nieprzyjemna cisza, przerywana tylko dziwnym mlaskaniem, jakie dziewczyna z siebie wydawała.

Dimitri bez zastanowienia rzucił się do przodu i trzasnął ją z całej siły w dupsko. Na ich nieszczęście, Warris właśnie miał wytrysk i kiedy Olimpia podskoczyła z okrzykiem zdziwienia, Warris strzelił spermą wprost na rękaw szanownego tatusia.

— Boże! — wrzasnął Dimitri.

— Boże! — wrzasnął Warris.

Wiadomość o śmierci Pippy Sanchez na chwilę uspokoiła burzę. Warris zwinął się na krześle, ukrywając głowę w dłoniach.

— Jezu, nie mogę w to uwierzyć.

— Co ona tutaj robiła? — Gino żądał wyjaśnień.

— Nic nie robiła — mamrotał Warris. — Była po prostu moją przyjaciółką, pożyczyła samochód. To

wszystko.

Wściekłość dwóch mężczyzn nie miała granic.

— Wynoś się natychmiast z tego domu! — ryczał Dimitri.

— I to szybko — dodał Gino — póki jeszcze jesteś cały.

Reszta ginęła w beładnej mieszance podniesionych głosów, histerycznych krzyków Olimpi, wzajemnych oskarżeń. Warris musiał

spakować się i wyjść na rozszalałą burzę, trzymając pod pachą dwie torby od Gucciego. Potem jeszcze milczący lot z ojcem, jego granitowa twarz. Przylecieli do Los Angeles, przyjechali do domu na Bel Air. Nie rozmawiali ze sobą. Dlaczego nie rozmawiał z Lucky?

Dlaczego nie mogli się porozumieć?

Nawet jej nie ukarał. Ale następnego dnia wyjechał, zostawiając ją samą z panną Drew, co było wystarczającą karą. Atletycznie zbudowana, trzydziestoletnia panna Drew nie odstępowała Lucky na krok.

Lucky zastanawiała się, jaka kara spotkała Olimpię. Prawdopodobnie wysłano ją do innej szkoły, do innego miasta. Pewnego dnia nie będzie już

miasta, do którego można przenieść Olimpię. Próbowwała dodzwonić się do różnych domów przyjaciółki, ale okazało się, że wszystkie numery są zmienione.

— Twój ojciec nie życzy sobie, abyś kontaktowała się z panną Stanislopoulos — powiedziała panna Drew pedantycznie. To było do przewidzenia.

Gino wrócił w dniu szesnastych urodzin Lucky. Tak po prostu, z uśmiechem na twarzy, z filiżanką kawy w ręce, siedział na tarasie przed basenem, kiedy zeszła na śniadanie.

O tyle rzeczy chciała go zapytać. W jaki sposób odnalazł ją we Francji, co myślał, czy cieszył się z jej powrotu.

— Cześć, tatusiu — powiedziała, aby zbadać sytuację. Gino uśmiechnął się do niej serdecznie.

— Rozwiązałem nasz problem, kochanie.

Nasz problem? Jaki nasz problem? Inna szkoła? Jeżeli tak, znów ucieknie.

— Masz jakąś ładną sukienkę? zapytał.

Pokazał, jak dobrze ją zna. Lucky nienawidziła sukienek, nigdy ich nie nosiła.

— Po co? -- była podejrzliwa.

— Otóż zabieram cię na małą wycieczkę. Chcę, żebyś poznała kilku moich przyjaciół.

— Dokąd?

— Do Vegas. Na wielkie przyjęcie charytatywne, które wydaję w moim hotelu dla pani Richmond.

— Vegas? — Lucky rozchmurzyła się. Zawsze chciała odwiedzić Las Vegas. — Naprawdę?

— Jasne. Złapiemy samolot o pierwszej. Idź się spakować. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

— Mówisz poważnie?

Gino zaśmiał się.

— Tak, zupełnie poważnie. I weź coś odpowiedniego. Nie chcę widzieć żadnych wytartych džinsów ani tej starej koszulki, z którą się nie rozstajesz.

— Rozumie się!

Pobiegła do pokoju i przejrzała zawartość szafy. Marco był w Vegas. Musiała znaleźć coś wystrzałowego.

Panna Drew pojawiła się w drzwiach i zajrzała do pokoju uśmiechając się.

— Rozumiem, że wyjeżdżasz na kilka dni.

Na kilka dni! Wspaniale! Sprawy wyglądały coraz lepiej.

— Tak, Gino, to znaczy tata, zabiera mnie do Las Vegas.

— Miło z jego strony.

— Bardzo.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, córeczko. Gino nalał jej szampana i wręczył małe pudełeczko.

Nagle wydało jej się, że wszystko w życiu układa się tak, jak powinno. Miała szesnaście lat, siedziała w hotelu „Mirage” w Las Vegas obok ojca, a on poświęcał jej swoją uwagę. Naprzeciwno siedział Marco, ciemny, zamyślony Marco. Wyglądał lepiej, niż go pamiętała.

Jedynym minusem był jej wygląd. Ale jeżeli sprawiało to przyjemność ojcu...

Zaraz po przybyciu do Las Vegas Gino zmusił ją, aby poszła do hotelowego salonu piękności do fryzjera. Kobieta, która się nią zajęła, dostała od niego ściśle instrukcje co do jej wyglądu. Ślicznie ułożone loki. Coś potwornego! Gino powiedział jej, że wygląda bardzo ładnie.

Osobiście wybrał dla niej sukienkę. Różową, z falbankami i lamówkami. Najbardziej odrzucająca

sukienka, jaką kiedykolwiek widziała.

Gino uważał, że świetnie pasowała.

Gorączkowo otworzyła małe pudełeczko i dech jej zapało. W środku spoczywały diamentowe kolczyki! Spontanicznie zarzuciła ojcu ręce na szyję i uściskała go.

Gino posadził ją ze śmiechem w fotelu.

Wydawało się, że wszystkie jej marzenia nagle spełniają się. Szczęście ją rozsadzało.

— Niezłe kolczyki — ocenił Marco. Dumnie przytknęła je do uszu.

— Idź je założyć i przejrzyj się. Toaleta jest z tyłu powiedział z uśmiechem Gino.

Pobiegła natychmiast.

— Powiedziałaś jej już? — zapytał Marco, odprowadzając ją wzrokiem.

— Jeszcze nie. Wszystko we właściwym czasie.

— Jak myślisz, jak ona to przyjmie?

Gino rozsiadł się w fotelu, jego ciemne oczy nagle nabrały chłodnego wyrazu.

— Nie interesuje mnie to zbyt. To dla jej własnego dobra. Pewnego dnia podziękuję mi.

Marco bez przekonania skinął głową.

— Mam nadzieję.

— Ja wiem — usłyszał w odpowiedzi.

Betty Richmond była ubrana i gotowa. Jej mąż Peter wciąż sterczał przed lustrem.

— Pospiesz się — zganiła go. — Wiesz, że nie lubię się spóźniać, zwłaszcza na własny wieczór.

— Wieczór Gina Santangelo, chciałaś powiedzieć.

— Mój wieczór.

Peter zawiązał krawat i skrzywił się.

— Znasz to stare przysłowie: połóż się na brudzie, a ten cię pokryje. To właśnie, kochanie, stanie się z nami.

— Powinieneś był to przewidzieć, Peter. Ty całe życie leżałeś na bru-

dzie — odpowiedziała cierpko Betty. — Inaczej nie byłibyśmy teraz w takiej sytuacji.

— Na miłość boską!

— No już. Nie chcę się spóźnić.

W toalecie Lucky podziwiała diamentowe kolczyki. Były szalone. Wzięła szczotkę i zabrała się za włosy, udało się jej zrobić trochę bałaganu na głowie. Niestety, nic nie mogła zrobić z sukienką — a szkoda. Robiła miny przed lustrem, uśmiechnęła się zuchwale i pokazała język. Co tam, Marco na pewno umiał ją dostrzec mimo tej koszmarnej sukni.

Wróciła do stolika, przy którym siedziało już kilka osób. Marco zniknął. Wcisnęła się na swoje miejsce obok Gina, niektórych ludzi знаła. Kilka par siedziało z nimi, zwykle starsi, bogaci ludzie — kobiety obwieszane diamentami i inną biżuterią, mężczyźni palący cygara. W przeciwległym rogu sali rozpoznała Elvisa Presleya, Toma Jonesa, Tinę Turner i Raquel Welch. Wszystko było takie wspaniałe!

— Nie mogę w to uwierzyć! — wyszeptała do Gina.

— Cieszę się — odpowiedział swobodnie — że przyjęcie ci się podoba. W tej chwili weszli senator Richmond z żoną. Lucky często widywała

ich zdjęcia w gazetach. Senator zawsze coś robił: grał w polo, wiosłował, pływał motorówką. Był opalony i wyglądał na wysportowanego, podobnie jak jego żona.

Kiedy podeszli, Gino wstał i przedstawił ją.

— To moja córka Lucky — powiedział dumnie.

Senator silnie uścisnął jej dłoń, pani Richmond natomiast dokładnie się jej przyjrzała. Wtedy pojawił się jakiś wysoki niezguła.

— To Craven Richmond — dodał Gino. Będzie ci towarzyszył dzisiejszego wieczora.

Zanim miała czas zareagować, Gino odsunął się od stołu i Craven zasiadł na jego miejscu.

— Nie będziesz tu siedział, tato? — wydusiła z siebie. Czowała się bardzo głupio.

— Nie. Zobaczymy się później. Baw się dobrze.

Powinna się była tego spodziewać. Wszystko wyglądało zbyt pięknie, aby nie kryło podstęp.

Wieczór okazał się nudny. Siedziała w gronie podstarzałych nudziarzy, jednym okiem zerkała na Gina, który przy środkowym stole rozmawiał z ludźmi naprawdę ważnymi, drugim starała się wypatrzyć Marca. Ten jednak już się nie pojawił. Nie mogła mieć do niego pretensji. Występy były beznadziejne. Żadnych gwiazd rocka, muzyka fatalna, pokazało się tylko kilka starych sław, których Lucky nie lubiła. Reszta publiczności natomiast zachwycała się ich występami.

Do tego Craven Richmond obok! Usłużny, miły, NUDNY. Razem z Olimpią określały tego typu facetów jako głupków-pacanów-durniów.

Po występach gwiazd zaczęło się prywatne przyjęcie wydane przez Gina. Nie mogła pozbyć się Cravena, nie mogła dostać się do Gina, a kiedy wreszcie zauważyła Marca, był zajęty rozmową z jakąś dziewczyną. Lucky mogła ją zabić. Koniecznie chciała stamtąd wyjść.

— Jestem zmęczona — powiedziała Cravenowi.

— Ja też.

— Chyba pójdę się położyć.

— Pozwól, że cię odprowadzę do windy.

Pozwól, że cię odprowadzę do windy! Chciała krzyknąć. Rzeczywiście, odprowadził ją do windy.

— Zagrałabyś ze mną w tenisa jutro rano? — zapytał uprzejmie.

— Nie mam pojęcia, o której wstanę.

— Zadzwoń do ciebie o dziesiątej. Wtedy będziemy mogli się umówić.

— A... ja... — żadna wymówka nie przychodziła jej do głowy. Craven pochylił się i pocałował ją delikatnie w policzek. Wysoki.

Prawdziwy dziwoląg.

— A więc do jutra — powiedział. — Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze.

Weszła do windy i szybko zamknęła drzwi. Co za bałwan! I co miał na myśli, mówiąc: „Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze”?

Idiota. Miała nadzieję, że nigdy już nie będzie skazana na wieczór w jego towarzystwie.

W pokoju, w prywatnym apartamencie Gina, szybko ściągnęła okropną różową sukienkę. Rzuciła ją gdzieś w róg łazienki i chodziła tylko w majtkach. Nigdy nie zakładała biustonosza. Miała małe piersi, a poza tym nie lubiła być „zagorsetowana”. Przyjrzała się sobie w lustrze i spróbowała przejść się krokiem modelki, jak dziewczyny, które kiedyś widziała. Bawiło ją to, zaśmiała się. Chodzenie za pieniądze musiało być fajne. Ale co się działo, kiedy kobieta przestawała być atrakcyjna?

Przetrzęsnęła torbę i znalazła parę brudnych białych dżinsów oraz koszulkę. Szybko nałożyła to na siebie. Dopiero po dwunastej, a to jej pierwsza noc w Las Vegas, no i jej urodziny. Nie miała zamiaru iść do łóżka, jeszcze nie.

Wzięła dwadzieścia dolarów z biurka Gina, podłożyła kilka poduszek pod kołdrę, aby wydawało się,

że ktoś tam śpi, schowała klucz i wyszła.

Nad ranem o drugiej piętnaście, Gino ucałował Betty Richmond w oba policzki, uściskał rękę Petera Richmonda i zakomunikował:

— Idę spać.

— To był cudowny, precudowny wieczór — powiedziała Betty, wciąż pełna energii.

— Udany wieczór — potwierdzi Peter, poklepując Gina po ramieniu. — Przeszedł oczekiwania wszystkich.

— Tak — zgodził się skromnie Gino. — Myślę, że wszyscy dobrze się bawili.

W swoim apartamencie Gino zdjął marynarkę, rozluźnił krawat, nalał sobie brandy i usiadł na tarasie, obserwując neony na ulicy.

Rzeczywiście, wieczór się udał. Wszystko poszło zgodnie z planem.

Było mu smutno, że Lucky wyszła tak wcześnie, nie mówiąc mu nawet dobranoc. Zabawna dziewczyna. Musiała być bardzo zmęczona po tylu przeżyciach. Widział, jak wychodziła z Cravenem, więc poszedł z nim porozmawiać, kiedy chłopak wrócił.

— Czy z Lucky wszystko w porządku?

— Tak proszę pana, była zmęczona.

— Nie nazywaj mnie tak oficjalnie, czuję się, jakbym miał sto lat.

— Przepraszam, panie Santangelo.

— Gino.

— Tak, proszę pana.

Gino podszedł cicho do jej pokoju i zajrzał przez drzwi. Spała. Bardzo dobrze. Poszedł do swojego pokoju, rozebrał się i wszedł do łóżka. Po kilku minutach zasnął.

— Ty przewrotna cipo! — facet był wkurzony. — Albo sama ściągasz te majty, albo ci pomogę. Rozumiesz, kurwo?

Facet przyciskał ją do ściany na parkingu za hotelem. Sama była sobie winna. Spotkała go w jakimś podłym barze i spędzili razem kilka godzin grając w strzałki i zaglądając do różnych tanich spelun w centrum. W jakimś kasynie wygrała dwieście dolarów. Szybko się zaprzyjaźnili, a on zaproponował, że odwiezie ją do hotelu. Zaparkował z tyłu i zaczął ją obmacywać. Nie miała nic przeciwko temu. Był

podobny do Marca, dobrze się z nim bawiła. No i od wieków nie miała okazji na „nie-do-końca”.

Kiedy facet za bardzo się rozpalił, uciekła z samochodu. Wskoczył za nią i przyparł ją do ściany.

Rozporek miał już rozpięty i wciskał jej stwardniałego penisa między nogi. Jedną ręką macał ją pod bluzką, drugą zerwał guzik przy zapięciu spodni.

— Przystaniesz? — rzuciła przez zaciśnięte zęby. Nie była wystraszona, ale bardzo wściekła.

— Słuchaj, ty dupo, nie będziesz mnie rozgrzewać, żeby potem zostawić mnie ze sterczącym kutasem. Nie ze mną te numery.

Zerwał z niej dżinsy, wcisnął rękę między nogi, zaczął w niej grzebać.

Miała spóźniony refleks, wypita za dużo taniego wina. Powinna była zadziałać wcześniej. Zebrała wszystkie siły i kopnęła go kolanem w jaja, jak mogła najmocniej.

Wydał z siebie zduszony okrzyk bólu i puścił ją.

Drobiąc nogami, podtrzymując dżinsy, pobiegła slalomem między samochodami na parking. Głupi baran. Gdyby był grzeczny, mogłaby zadowolnić go inaczej i pozwoliłaby mu na to samo.

Była już czwarta rano, kiedy dotarła do głównego wejścia hotelu. Zobaczyła, że zabawa wciąż trwa. Jedne samochody podjeżdżały, inne odjeżdżały, pijani goście wysypywali się przez drzwi. Jedni liczyli wygrane, drudzy lamentowali nad stratami.

Zapięła dżinsy. Zamek był w porządku, ale guzik się urwał. Naciągnęła koszulkę, tak aby zakryć spodnie i prześliznęła się przez drzwi.

Przeszła obok kasyna, trzymając się blisko ścian i kierując się wprost do windy.

— Lucky? Szła dalej.

— Lucky — Głosowi, teraz bliskiemu, towarzyszyła ręka położona na jej ramieniu.

Odwróciła się, udając niewiniątko. To był Marco. Prawdziwy Marco, a nie jego kopia.

— Oh! — odetchnęła z ulgą. — To ty! Patrzył na nią dziwnie.

— Co robiłaś?

— Ja... nie mogłam zasnąć. Byłam na spacerze.

— Gdzie byłaś na tym spacerze? — Musiał czuć odór przetrawionego wina, jaki bił od niej falami.

Wzruszyła ramionami.

— Tu w okolicy.

— Czy Gino wie, że wyszłaś?

— Śpi — powiedziała mając nadzieję, że tak było naprawdę. — Nie chciałam mu przeszkadzać.

— Dziecino, gdyby wiedział, że wyszłać, bardzo by mu to przeszkadzało. Sposób, w jaki powiedział „dziecino” przyprawił ją o dreszcze.

— Jestem głodna — powiedziała żywo. — Czy mogę gdzieś tu dostać kanapkę?

— Każę ci przysłać do pokoju Spojrzała mu odważnie w oczy.

— Nie mam ochoty iść jeszcze na górę.

Podrapał się po brodzie i zastanawiał się, co ma zrobić. Jeżeli Gino obudził się i zauważył, że jej nie ma, będzie piekło. A w ogóle, to gdzie ona była? Wyglądała, jakby wyciągnięto ją z bójki ulicznej.

— OK, wykombinujemy ci jakąś kanapkę. Chodź ze mną. Zaprowadził ją do kawiarni, posadził przy stoliku, zawołał kelnerkę i powiedział, że wróci za minutę.

Potem zrobił to, co powinien. Zadzwoił do Gina i o wszystkim go poinformował.

Gino był wściekły.

— Kurwa, gdzie ona, do cholery, była?

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Marco. — Postaram się dowiedzieć i przyprowadzę ją na górę.

Lucky siedziała zadowolona przy stoliku, chrupiąc ogromną kanapkę i popijając colą. Marco wsunął się na krzesło obok niej.

— To jest doskonałe! — powiedziała pełna entuzjazmu. — Moglibyśmy przychodzić tu częściej.

Gino założył szlafrok, wszedł do sypialni córki, zobaczył podstępnie ułożone poduszki i zaklął cicho pod nosem. Lucky naprawdę była niezależna. Trzeba ją chronić przed nią samą. Podjął właściwą decyzję, teraz był tego pewien.

Marco odprowadził ją do drzwi apartamentu.

— Ćśśś — szepnęła, śmiejąc się i wymachując kluczem. — Nie możemy obudzić Wielkiego Taty.

Marco poczuł wyrzuty sumienia. Donoszenie na nią nie było w porządku, ale w końcu zrobił to dla jej dobra.

— Zaprosiłabym cię zachichotała otwierając drzwi — ale jemu by się to nie spodobało. Oczywiście, mógłbyś zaprosić mnie do siebie...

Robiła masę tego typu uwag, niemal narzucała mu się. Szlag by trafił Gina, gdyby się dowiedział.

— Dobranoc, Lucky — powiedział szybko, lekko ją popychając.

— Nie dostanę buzi na dobranoc? — Złapała go, zanim mógł się wycofać, zarzuciła mu ręce na szyję i rozchyliła usta.

Szybko odepchnął ją od siebie i odszedł w kierunku windy. Usłyszał za sobą głos Gina:

— Wejdz już, Lucky, musimy sobie chwilę pogadać. Ojciec i córka stanęli naprzeciwko siebie. Byli sami.

Gino zmierzył ją wzrokiem i zdołał zauważyć wszystko: brudne, poszarpane dżinsy, powyciąganą koszulkę, potargane włosy.

— Gdzie byłaś? Poszłaś dać komuś dupy? Zaczerwieniła się.

— Co?

— Myślisz, że jestem naiwny? Myślisz, że jeżeli nie jestem taki młody jak ty, to nie wiem, co w trawie piszczy?

— Przepraszam — zaczęła.

— Tylko nie mów, jak ci przykro. — Zazgrzytał zębami. — Twoje przeprosiny wychodzą mi już uszami. Uważasz, że zrobisz ze mnie pajaca?

Była zaskoczona sposobem, w jaki do niej mówił.

— Ja tylko poszłam na spacer — tłumaczyła się mętnie.

— Na spacer, tak? I to na spacerze tak ci się zniszczyło ubranie? Od tego masz ręce całe pokryte sińcami? A dżinsy podarte? Na spacerze?!

— Jakiś facet się na mnie rzucił — przyznała nadęsa. — Byłam na parkingu za hotelem, a on skądś wyskoczył...

— Naprawdę? Tak jak ten chłopak w Szwajcarii, co? Dziwnym trafem znalazł się w twoim pokoju, zdjął swoje ubranie, zdjął twoje ubranie

i wpakował ci się do łóżka. A w drugim końcu pokoju twoja przyjaciółka robiła dokładnie to samo. Dlaczego żadna z was nie wzywała pomocy, co? Odpowiedz mi!

Lucky skruszona wpatrywała się w podłogę.

— I Francja — ciągnął Gino. — Zamelinowałaś się w willi z tą kurwą, twoją przyjaciółką. Ilu facetów cię tam przeleciało? Ilu, córuniu?

Czy może dzieliłyście się z przyjaciółką tym skurwysynem, który z wami mieszkał?

— Nie! — w końcu zaproponowała. — To nie było tak!

— Nie próbuj wciskać mi już więcej kitu, słyszysz? — Gino był bardzo wściekły, oczy mu płonęły, ręce trzęsły się ze złości. — Już zdecydowałem, co zamierzam z tobą zrobić. Długo nad tym myślałem i powinnaś paść na kolana i mi dziękować.

— Co takiego? — wyszeptała przerażona. Co by to nie było, ona ucieknie.

— Tyłek cię swędzi, masz ochotę się pieprzyć... Cofnęła się.

— Jesteś moją córką, córką Gina Santangelo. Ja tego tolerować nie będę!

— Ja się nie... pieprzę. — Nie mogła wypowiedzieć przy nim ani słowa. — Nie robię tego. Przymierzam, tato.

Nie zwrócił uwagi na jej słowa.

— Wyjdiesz za mąż. Znalazłem dla ciebie męża i wyjdiesz za niego. Będziesz się mogła pieprzyć do woli, legalnie, w twoim łóżku małżeńskim i nigdzie więcej — teraz już krzyczał. — Rozumiesz, co do ciebie mówię? Rozumiesz?

— Ale ja nie chcę wychodzić za mąż...

Gino uderzył ją. Po raz pierwszy w życiu. Uderzył ją mocno w twarz.

Siła jego uderzenia była tak duża, że Lucky upadła na podłogę. Podniósł ją, objął ramieniem i zaczął szybko mówić.

— Przepraszam, córeczko, przepraszam. Zaufaj mi, wiem, co dla ciebie dobre. Musisz zrobić tak, jak mówię. Musisz nauczyć się mnie słuchać.

Schowana w jego ramionach, Lucky zaczęła płakać. Wydawał jej się taki dobry, bardzo dobry. Pachniał ojcem, bezpieczeństwem, miło-

ścią. Dlaczego nie mogła znów mieć pięciu lat? Dlaczego jej matka nie żyła?

— OK, tato, w porządku. Posłucham cię, zrobię to. Kocham cię, bardzo cię kocham. Zrobię wszystko, żebyś był zadowolony. — Nie chciała już nigdy opuścić bezpiecznej przystani jego ramion. Nigdy.

— Dobrze, córeczko — powiedział łagodnie. — To dla twojego dobra, zobaczysz.

— Za kogo mam wyjść? — zapytała mając nadzieję, że to będzie Marco.

— Za Cravena Richmonda — powiedział dumnie Gino. — Już wszystko jest załatwione.

Steven

1970

Po pięciu latach małżeństwa, które rozpadało się z dnia na dzień, Steven zmuszony był przyznać, że jego matka od początku miała rację.

Zizi była małą, tanią dziwką. Była łatwą panienką, która nie rozumiała, co to jest miłość i przyzwoitość. Długo tego nie widział, ale kiedy już zobaczył, nie miał wątpliwości. Pewnego dnia wrócił wcześniej z pracy i zauważył, że drzwi są zamknięte na łańcuch.

Wiedział, że żona jest w domu, więc dzwonił tak długo, aż pojawiła się rozczochrana, a za nią młody człowiek. Zanim Steven zdołał

cokolwiek powiedzieć, chłopak prześliznął się koło niego i szybko zbiegł ze schodów.

— On tylko przyniósł warzywa zaprzeczała Zizi oskarżeniom. — Ja zawsze zamykam drzwi na łańcuch. Taki mam zwyczaj.

Chciał jej wierzyć, więc uwierzył. Mimo przeświadczenia, że się puszcza. Niedługo potem siedział w barze z Jerrym, rozmawiali o tym i owym, aż nagle Jerry wykrztusił:

— Przespałem się z twoją żoną.

— Co? -- przez, chwilę myślał, że Jerry żartuje, on rzadko mówił poważnie.

— To nie była moja wina! — bronił się przyjaciel. — To stało się tydzień temu. Pamiętasz, kiedy przyniosłem ci papiery do domu, a ciębie akurat nie było. Ona wszystko zaczęła, cholera, nie miałem szans.

Steven patrzył na niego w osłupieniu.

— Dlaczego mi to mówisz?

— Słuchaj, nie jestem z siebie dumny, ale, do cholery, nie chcę mieć tego na sumieniu. Jesteś moim przyjacielem. Musiałem ci powiedzieć.

Steven wybiegł z baru i udał się do domu.

W mieszkaniu Zizi ćwiczyła z dwoma puertorykańskimi przyjaciółkami przed konkursem tańca. Wyrzucił dziewczyny. Nawiązała się dzika walka. Zizi nie mogła się doczekać, aż wszystko mu wygarnie. Tak, zaliczyła Jerry'ego Meyersona. I wielu innych. Była znudzona, miała go dość, chciała zrobić coś ciekawego w życiu, może pojechać do Hollywood i zostać słynną tancerką.

— Jestem ładniejsza od Rity Moreno! — krzyczała. — Jestem bardziej utalentowana, marnuję się przy tobie!

— Dlaczego się ze mną nie rozwiedziesz? — zapytał chłodno, patrząc na nią. Nagle uświadomił

sobie, że po raz pierwszy od pięciu lat nie podniecała go. Jakim cudem nie widział do tej pory, że ubierała się jak dziwka? Nawet zachowywała się jak dziwka.

— Z miłą chęcią, proszę pana — odparowała. — Jesteś nudnym dupkiem, masz nudnych przyjaciół i nudną pracę.

Dlaczego nie powiedziała mu tego, zanim przeleciała pół Nowego Jorku?

Chciał wymazać ją ze swojego życia tak szybko, jak to możliwe. Bez hałasu i bez kłopotów. Kupił jej więc bilet na samolot do Hollywood, dał jej tysiąc dolarów, zgodził się opłacać jej utrzymanie i rozpoczął postępowanie rozwodowe.

Dopiero po dwóch miesiącach po wyjeździe Zizi zebrał się na odwagę, aby zadzwonić do Carrie. To śmieszne. Miał trzydzieści jeden lat i bał się rozmowy z matką. Fakt, że zerwała z nim kontakty, zranił go mocniej, niż chciał przyznać. Teraz wiedział, że miała rację, i o ile nie mógł jej przebaczyć chłodu, mógł go już zrozumieć.

Jerry informował go na bieżąco, co u matki słyhać. Carrie miała się dobrze, ciężko pracowała charytatywnie, utrzymywała swoją reputację jednej z wielkich dam Nowego Jorku.

— Ma więcej energii od kobiet o połowę młodszych.

Steven i Jerry pozostali przyjaciółmi mimo tego, co zaszło. Steven nie cieszył się z ostatnich wydarzeń, ale nie były one warte zrywania czternastoletniej przyjaźni.

Kiedy Zizi nie było, zauważył, że jego życie nabrało nowego kształtu. Pracował jak zwykle bardzo ciężko. Ale nikt już nie gderał, nie dąsał się, nie przeszkadzał. Mógł teraz odwiedzać przyjaciół, kiedy miał ochotę, chodzić do kina na takie filmy, jakie lubił, słuchać muzyki soul bez konieczności wysłuchiwania narzekań. Boże! Wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy, ale kiedy byli małżeństwem, Zizi podcinała mu skrzydła. Postanowił, że nigdy nic podobnego go nie spotka. Żadna kobieta nie dobierze się do niego w taki sposób, w jaki zrobiła to przebiegła mała Zizi.

Kiedy wspominał ten związek, nie mógł zrozumieć samego siebie. Co takiego specjalnego w niej widział? Umówił się kiedyś z Jerryem w barze, długo o tym rozmawiali.

— To jej chuć. Mogłeś ją wyczuć na milę — powiedział rozsądnie Jerry. — Była jak suka w rui, a my wszyscy jak psy za nią lataliśmy.

— Dzięki — odpowiedź Stevena była gorzka. — Mówisz o mojej żonie.

— O byłej żonie. A ty nauczyłeś się, czego nie szukać w kobiecie. To też coś warte.

— Tak, pewnie masz rację. Jerry poklepał go po plecach.

— Oczywiście, że mam. A w ogóle, mam dla ciebie dziewczynę.

— Dziękuję, ale należy mi się przerwa.

— Nie gadaj, nikt nie robi w tym przerw.

— To popatrz na mnie.

— Cholera!

— Nie martw się. Wiem, że mogę liczyć na ciebie, załatwisz to za nas obu.

Jerry zaśmiał się.

— Nie ma sprawy, chłopie, nie ma sprawy.

Carrie niecierpliwie przemierzała swoje luksusowe mieszkanie. Steven mógł przyjść w każdej chwili. Wiedziała, że to głupie, ale była zdenerwowana. Zdenerwowana z powodu spotkania z własnym synem!

Bardzo długo zwlekał z powiadomieniem jej. Carrie jednak dokładnie

wiedziała, kiedy Zizi wyjeżdża z miasta. Powinna wiedzieć. Dziewczyna zadzwoniła do niej tydzień wcześniej.

— Dzień dobry, pani Berkely, mówi druga pani Berkely. Ta, której pani tak nie cierpi. Mam dla pani pewną propozycję.

— Słucham — powiedziała chłodno Carrie.

— Pamięta pani naszą rozmowę tuż przed moim ślubem z pani synalkiem?

— Tak.

Pamiętała, że chciała dać tej dziwce pięć tysięcy dolarów za usunięcie się z życia Stevena na zawsze. Zizi roześmiała się jej w twarz.

— No więc, rozwodzimy się.

Serce Carrie zabiło radośnie, ale nic nie powiedziała.

— Więc — ciągnęła Zizi o ile mi wiadomo, jest pani stroną zainteresowaną. Pomyślałam, że dam pani znać. Widzi pani, możemy rozmawiać na kilka sposobów. Gdybym się postarała, mogłabym doprowadzić wszystko do poprzedniego stanu... wie pani, co mam na myśli...

— Ile chcesz?

— Dziesięć tysięcy. Gotówką — burknęła Zizi. — I chcę to mieć za dwa dni.

Jeżeli... dogadamy się, czy mam rozumieć, że Steven nigdy cię już nie zobaczy?

— Za tydzień będę w Los Angeles.

— Podpiszesz zobowiązanie?

— Za dziesięć patyków stanęłabym na głowie w centrum miasta. Tak, pomyślała Carrie, założę się, że byś to zrobiła.

— Więc jak?

— Zadzwoń do ciebie za godzinę — odpowiedziała Carrie. — Muszę poczynić pewne... przygotowania.

— I bez żadnych numerów. Jeżeli zadzwoni pani do naszego chłopca i powie mu o tym, będzie to duży błąd. Mogę przywiązać go z powrotem do siebie, kiedy tylko zechcę, i radzę pani w to uwierzyć.

— Wierzę ci.

Carrie w zamyśleniu odłożyła słuchawkę. Miała nadzieję, że Steven wyleczył się już z tej dziwki, ale nie mogła być pewna. Lepiej będzie zapłacić i pozbyć się jej z ich życia. Na szczęście, nie będzie musiała iść do Elliotta po pieniądze. Wciąż miała piętnaście tysięcy dolarów w spadku po Bernardzie.

Zapłaciła. Przygotowała dokument, który Zizi podpisała. Teraz czekała na Stevena.

W końcu zadzwonił.

Usłyszała dzwonek przy drzwiach. Podskoczyła i spróbowała uspokoić się czytając gazetę.

Pokojówka otworzyła drzwi i w chwilę później Steven wszedł do pokoju. Był wysoki i przystojny, dobrze ubrany. Miał klasę. Postarała się, aby wszystkie drogi w życiu miał otwarte. Dała mu szansę, jakich nigdy sama nie miała. Mógł pojechać wszędzie, zrobić wszystko.

Teraz, kiedy nie było Zizi...

Rzucił się ku niej i powiedział tylko jedno słowo:

— Mamo!

Wstała, aby go uściskać.

— Kocham cię, uparta kobieto! — powiedział. — Nie wiem, dlaczego tyle czasu zajęło mi odkrycie, że zawsze masz rację.

Lucky

1970

— Czy podać pani coś, pani Richmond? Tak, proszę o rozwód.

— Słucham? — Lucky osłoniła oczy i przypatrywała się przystojnemu chłopcu. Krępy, silne uda, pokaźne krocze, klatka piersiowa gęsto pokryta jasnymi włosami. — Może pina colada — wycedziła.

— Tak, proszę pani.

Wstała z leżaka i dokładnie obejrzała okolice basenu w hotelu „Princess Saint” na Bahamach. Nic się nie zmieniło przez te cztery lata, kiedy przyjeżdżali tu z Cravenem. Zawsze to samo. Tłumy turystów smażyły sobie tyłki, grube, czarne kobiety kołyszącym krokiem roznosiły tace. Nawet ta sama grupa grała własne interpretacje starych przebojów Beatlesów.

Zauważyła idącego w jej kierunku Cravena, swojego męża. Po czterech latach małżeństwa nadal nie mogła znieść jego widoku. Nie mogła powiedzieć, że go nienawidziła, był po prostu balastem. Nudny facet bez osobowości, bez ambicji, z którym nie ma o czym rozmawiać.

Craven Richmond, jej mąż. Głupi dowcip! Na chude ciało nałożył kolorową hawajską koszulę, białe krótkie spodenki, białe tenisówki i pomarańczowe skarpetki. Nos i usta miał posmarowane grubą warstwą maści przeciwdoparzeniowej.

Położyła się szybko i zamknęła oczy. Nie miała siły na rozmowę z nim.

Pod gorącymi promieniami muskającymi jej ciało, z zamkniętymi oczami, myślała o pierwszej wizycie na Bahamach. To był ich miesiąc miodowy. Kolejny głupi dowcip. Wielki Tata myślał, że była jakąś niezaspokojoną nimfomanką, postanowił ją wydać za mąż, chronić nazwisko Santangelo. Nie miał pojęcia, że była dziewicą, że nigdy tego nie zrobiła. Jasne, robiła wiele innych rzeczy, ale tego nie...

Craven też nigdy tego nie robił. Kiedy się pobrali, miał dwadzieścia jeden lat, ale był bardziej dziewiczy od niej.

Ślub, który przyprawiał ją o mdłości, odbył się w Vegas. Potem wsiedli do samolotu na Bahamy. Dwoje obcych ludzi. Dopiero tydzień wcześniej skończyła szesnaście lat. Co to był za tydzień! Kiedy Gino powiedział, że wszystko jest ustalone, wiedział, co mówi. Chyba wszyscy poza nią wiedzieli. Craven był zachwycony, Betty Richmond chłodna, ale uprzejma, Peter Richmond zaakceptował.

Na ślub przyleciało kilka samolotów, wypełnionych członkami rodziny Richmondów. Sam ślub, olśniewający i przykry, dokładnie zrelacjonowała prasa. Jedna chwila przekształciła ją z małej, nikomu nie znanej Lucky Saint w Lucky Santangelo, piękną córkę Gina, która wychodziła za Cravena Richmonda, z tych Richmondów. Nawet Dario przyjechał ze szkoły na tę uroczystość. Zmienił się z chłopca w młodego mężczyznę. Miał długie, jasne włosy i chytre, niebieskie oczy.

— Założę się, że masz niesłychane powodzenie u dziewczyn! — zażartowała.

— U jakich dziewczyn? — zapytał rzeczowo. — Jestem w męskiej szkole.

— Poczekaj, aż pójdziesz na uniwersytet. Wszystkie padną. Porozumienie, które kiedyś między nimi było, już nie istniało. Marco też był

na ślubie, niech go... Zdrajca, jak nazywała go w duchu,

uważnie schodził jej z drogi.

Kiedy przylecieli do Nassau, na lotnisku przywitała ich orkiestra, a otwarty cadillac zawiózł ich na Rajską Wyspę, gdzie czekał dyrektor

„Princess Saint”. Podobny do Marca, ciemny, zamyślony, mógł być niebezpieczny. Lucky chłodno podała mu rękę, Craven był bardziej wylewny.

Musiała przyznać, że Rajską Wyspę zrobiła na niej wrażenie. Z pewnością nazwa bardzo pasowała do nadbrzeżnego pasa, na którym stało kilka luksusowych hoteli. Z okien willi widzieli niczym nie zmacony biały piasek, turkusową wodę, egzotyczne palmy i paprocie.

Nie mogła doczekać się, kiedy założy kostium i wyciągnie się na plaży. Craven szybko do niej dołączył. Lucky była przerażona widokiem jego chudego, białego ciała. Ręce i nogi miał zupełnie bezsensownie opalone, przez co reszta wydawała się jeszcze bielsza.

Dlaczego się na to zgodziła? Żeby zadowolić Gina? Czy dlatego, że nie było wyboru? Miała szesnaście lat i poślubiła człowieka, którego nie tylko nie kochała, ale nawet nie знаła.

Dzień był wietrzny, ale Lucky była odporna na silne słońce dzięki ciemnej karnacji i opaleniznie przywiezionej z południowej Francji.

Kilka razy ostrzegła Cravena, którego twarz i ciało powoli stawało się niebezpiecznie różowe.

— Nic mi nie będzie — upierał się. — Nigdy dotąd nie spaliłem się. Zawsze musi być pierwszy raz. Tej nocy Craven leżał niemal w agonii,

poczas gdy ona nacierała go maścią.

— Tu jest zabójcze słońce, proszę pani — z uśmiechem powiadomił ją czarny chłopak w sklepie kosmetycznym. — Kiedy ktoś raz tu się spieczę, nigdy tego nie zapomni!

Prawda. Craven nie mógł wyjść z pokoju przez pięć dni. Nie był też w stanie robić nic innego.

Lucky czekała cierpliwie. Była zameżna, chciała się kochać. Jeżeli zamknie oczy, może uda jej się wyobrazić sobie, że Craven to Marco.

Musiały być jakieś plusy bycia mężatką.

Szóstego dnia miodowego miesiąca stało się dla niej jasne, że jeśli sama nie zrobi pierwszego kroku, nic się nie wydarzy. Skóra Cravena wracała do normy, zeszyły mu dwie warstwy i mógł wyjść na słońce —

ostrożnie oczywiście.

Zamiast założyć górę od pizamy, którą zwykle zakładała do łóżka, rozebrała się w łazience. Nie czuła wstydu, kiedy weszła naga do pokoju i zbliżyła się prowokująco do Cravena. Jego interes stanął na baczność jak żołnierz na warcie.

— Cześć, kochanie — wycedziła, starając się jak najlepiej naśladować Mae West — chcesz spróbować trochę mojego miodu?

Podniecenie Cravena nagle minęło. Półtorej godziny zajęło jej sprowokowanie ponownej erekcji. Do tego czasu oboje byli zbyt zmęczeni, żeby to wykorzystać.

Kolejne trzy dni minęły, zanim małżeństwo zostało skonsumowane. Po wszystkim Lucky zasnęła ze łzami w oczach, była bardzo zawiedziona. Czy to miało być to? Kilka konwulsyjnych wygięć, obrót i spać?

Najwyraźniej Craven tak uważał. Wydawał się być niesłychanie zadowolony z siebie. Rzucił jej porozumiewawcze spojrzenia, które doprowadzały ją do pasji, i miał ochotę pieprzyć się co noc, jeszcze zanim umył zęby. Za każdym razem trwało to trzy minuty. Nie była w stanie zainteresować go „nie-do--końca”. Nie chciał się tego nauczyć. Ssanie sutków, pieszczenie jej, wkładanie penisa do ust czy lizanie jej — wszystko nie. Craven wiedział, co należy do mężczyzny, i nie miał zamiaru zagłębiać się w — jak to nazywał — perwersje.

Nie troszczył się nawet o to, czy miała orgazm, a kto mógłby mieć orgazm przy robieniu tego na czas, i to z wiotkim badyłkiem?

Cztery lata, tyle straconego czasu.

— Pina colada, proszę pani. Lucky otworzyła oczy i usiadła. Craven powitał ją.

— Dzień dobry. Jak się mamy z rana?

Wzięła drinka od chłopca i rzuciła kolejne szybkie spojrzenie na jego ponętne krocze. Uśmiechnęła się i wypisała rachunek z wysokim napiwkem.

Potem spojrzała na męża. Nie miała już szesnastu lat, miała lat dwadzieścia, a rozwód chodził jej po głowie cały czas.

— Ach, cynkowy chłopiec — wycedziła. Craven wiedział, że maść cynkowa na jego twarzy doprowadzała ją do obłądu.

— Źle spałem — jęknął. — Przez całą noc hałasował jakiś moskit. Nie słyszałaś?

Craven zawsze musiał na coś narzekać. Zachowywał się jak zgrzybiały dziadek.

— Nie. Wsunął ci kutasika? — zapytała niewinnie. Popatrzył na nią dziwnie.

— Żądło, Lucky, żądło.

— Oczywiście, żądło. — Kutasik dostawał się jej, czasami. Jeśli miała szczęście. Albo nieszczęście, zależy, z której strony na to patrzeć.

Dwa miesiące po podróży poślubnej Craven zredukował ich miłość do jednego razu w tygodniu, potem do jednego razu w miesiącu, a później robił

to tylko wtedy, kiedy miał ochotę, co zdarzało się rzadko. Pogodziła się z faktem, że nie przepadał za seksem. Gino zmusił ją do małżeństwa, gdyż myślał, że jest młodocianą nimfomanką. Szybko podjęła decyzję, że przyzna mu słusność.

Pierwszego kochanka miała jeszcze w trakcie miodowego miesiąca: kopię Marca, faceta zarządzającego hotelem, pracownika jej ojca.

Doskonale. To ona go uwiodła, poszła do jego pokoju pod pretekstem przekazania wiadomości od Gina, a kiedy tam weszła, rozebrała się i wyzwała go wzrokiem. Bał się odmówić, bał się to zrobić. W każdym wypadku przegrywał. Była córką Gina Santangelo, to bardzo komplikowało sprawy.

Jak się szybko zorientowała, władza była wspaniałą rzeczą! A dobre pieprzenie jeszcze lepszą.

Nie oglądała się za siebie. Jeżeli widziała mężczyznę, którego pożądała, brała go, jeśli było to możliwe, a prawie zawsze było.

Oczywiście, zachowywała dyskrecję. Wielki Tata nigdy się nie dowie, że małżeństwo — zamiast powstrzymać ją od puszczenia się

— nakłoniło ją do tego.

— Jak długo już tu siedzisz? — zapytał Craven.

— Godzinę. A bo co?

— Byłem ciekaw. — Ułożył swoje rzeczy na sąsiednim leżaku.

Jak tylko się ułożył, Lucky wstała i wskoczyła z gracją do basenu. Dobrze zdawała sobie sprawę, że każdy mężczyzna w okolicy obserwował ją spod oka. W wieku szesnastu lat była jak dzika stokrotka, w wieku dwudziestu — jak dzika róża. Ciemna skóra, czarne oczy, wciąż była smukła i drobna, ale jej piersi wypełniły się, nadając jej bardzo zmysłowy wygląd. Zapuściła włosy, które zwijały się aż do pasa.

Prawie nie robiła makijażu, nie potrzebowała. Używała jedynie czarnej kredki wokół oczu, ciemnoczerwonej szminki i złotawego cienia tu i tam.

Szybko przepłynęła basen, chowała głowę pod chłodną wodą, tylko czasem wynurzała się, aby nabrać oddechu.

Znów pomyślała o swoim życiu.

Państwo Richmondowie mieszkali w bardzo wygodnym mieszkaniu w Waszyngtonie. Jeździła czerwonym ferrari. Samochód dostała w prezencie ślubnym od Wielkiego Taty. Craven miał kremowego lincolna, miał też dwieście tysięcy dolarów, ulokowanych na czteroprocentowym koncie w szwajcarskim banku. Gino zapłacił Cravenowi za poślubienie jej. Zaszantażował Betty i Petera Richmondów, aby wyrazili zgodę. Betty jej to wykrzyczała złośliwie, bez owijania w bawełnę, podczas jednej z kłótni rodzinnych.

Lucky postanowiła dowiedzieć się, na czym szantaż polegał.

Fakt, że Gino zapłacił komuś, by się z nią ożenił, był dobijający, tak ohydny, że początkowo nie chciała uwierzyć. Ale pewnego dnia poleciała do Nowego Jorku i spotkała się z ojcem.

— I co z tego? — zapytał. — Weszłaś do jednej z najlepszych rodzin w całych Stanach. Wielka sprawa, że dałem mu trochę pieniędzy na start.

Na start czego? Craven nie pracował. Kręcił się wokół swojego ojca, grywał w tenisa z matką i ciągał Lucky na wszystkie rozrywki rodziny Richmondów.

Golf, jazda konna, turnieje tenisowe. Wszystkie były dokładnie relacjonowane przez brukową prasę. Szybko odkryła, że Peter Richmond nie ruszy palcem w bucie, jeśli nie ma w pobliżu fotografa, a jego wyczyny były reżyserowane. Nie takiego życia chciała dla siebie. Była załamana.

— Chcę pracować — poinformowała Cravena. — Nie potrafię tak jak ty marnować czasu, czuję, że mózg zmienia mi się w piłeczkę tenisową.

— Praca nie jest dobrym pomysłem — stwierdził Craven.

— Praca nie jest dobrym pomysłem — stwierdziła Betty.

— Praca nie jest dobrym pomysłem — stwierdził Peter.

Rzecz charakterystyczna dla Richmondów — zawsze trzymali się razem.

— Czy myślałaś już o dziecku, kochanie? — zapytała pewnego dnia Betty. Czy o tym myślała? Ta myśl spędzała jej sen z powiek.

— Mówię czterema językami, mam bardzo czynny umysł, nie chcę jeszcze dzieci, Betty. Muszę mieć pracę albo zwariuję.

Niechętnie pozwolili jej pracować na pół etatu w biurze Petera. Po tygodniu zrezygnowała. Praca obok Petera, razem z jego pochlebcami, była gorsza niż nieróbstwo.

Wypełniała sobie dni robieniem zakupów, czytaniem, obiadami z przyjaciółkami, które były nie tyle przyjaciółkami, co znajomymi.

Godzinami jeździła swoim ferrari tylko po to, aby coś robić. Prowadziła szybko, magnetofon wygrywał dobrego, czarnego soula. Miała wiele krótkich, ostrych przygód, ale żadna z nich nie trwała dłużej niż kilka dni. Tak chciała. Bardzo rzadko widywała się z ojcem.

Czasem on przylatywał do Waszyngtonu albo ona i Craven lecieli do Nowego Jorku. Zawsze z jakiejś okazji na obiad, pokaz. Zawsze byli otoczeni obcymi ludźmi. Kilka razy pojawił się Dario, ale ten brat, z którym kiedyś była tak blisko, teraz był zamkniętym w sobie, obcym człowiekiem. Nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Czuła się złapana w pułapkę. Prowadziła życie, które jej nie odpowiadało, życie narzucone przez Gina.

Więc dlaczego w nim tkwiła? Nadal tego nie wiedziała. Nienawidziła swojego ojca, a jednocześnie bardzo chciała, żeby był

zadowolony.

Pozostawanie przy Cravenie zadowalało go.

Puszczanie się zadowalało ją.

Wyszła z basenu i zobaczyła, że Craven macha na nią. Nie spieszyła się, szła powolnym krokiem w kierunku leżaków.

— Co się stało? — zapytała, strząsając na niego krople wody z włosów.

— Twój ojciec dzwoni — powiedział z rozdrażnieniem. — Wywołują cię, jest na linii.

— Tak? — serce jej zatrzepotało. Od miesiący nie miała od Gina żadnych wiadomości. Czyżby nagle się za nią stęsknił?

Nawet nie zarzucając ręcznika, pobiegła do jednej z oszklonych budek telefonicznych.

— Słucham — starała się mówić normalnie.

— Lucky? Cześć, córeczko, co słychać?

— Wszystko w porządku. A u ciebie?

— Mam trochę problemów, ale jakoś sobie z nimi poradzę. Mówił jej o swoich problemach! Po raz pierwszy. Nastąpiła dziwna cisza, po czym Gino ciągnął:

— Posłuchaj, dziecino, chciałbym, żebyś przyleciała do Nowego Jorku. Tysiące pytań chodziło jej po głowie.

— Kiedy? — zapytała szybko.

— Dziś albo jutro. Nie musisz gnać na złamanie karku, ale wolałbym jak najszybciej.

— Właśnie jestem na wakacjach — wyjaśniła spokojnie.

— Całe twoje życie to jedne wielkie wakacje! — wybuchnął.

— A o co chodzi? — zapytała niecierpliwie, ignorując jego uwagę.

— Nie chcę mówić przez telefon — powiedział krótko. — Przyleć do Nowego Jorku. To ważne, inaczej bym cię nie prosił.

— Złapiemy jakiś samolot jeszcze dziś wieczorem — obiecała.

— Nie, nie zabieraj Cravena. Przyjedź sama, to prywatna sprawa, rodzinna.

Pomysł podróży do Nowego Jorku bez Cravena bardzo się jej spodobał.

— W porządku. — Wciąż zastanawiała się, o co może chodzić. — Zobaczymy się wieczorem.

— Złap jakiś wczesny samolot, pójdziemy razem na kolację. Dario też przyjedzie.

Teraz naprawdę nie wiedziała, czego się spodziewać. Dario, ona, Gino. Cała rodzina Santangelo. Czy Gino był chory? Czy złapał jakąś straszną chorobę i zostało mu pięć minut życia?

— Czy wszystko... w porządku? — zapytała łagodnie.

— Oczywiście. Nie może być lepiej. Zobaczymy się wieczorem, córeczko. Zadzwoń do Costy, powiedz mu, jaki masz numer lotu, wyślemy po ciebie kogoś na lotnisko.

Sygnal w słuchawce oznaczał, że się rozłączył.

Tego samego dnia Dario otrzymał taką samą wiadomość i był nie mniej zdziwiony od siostry.

Ogólnie rzecz biorąc, ojciec zostawił go samego. — Zdobądź dobre wykształcenie i będziesz mógł mieć wszystko — często mu to powtarzał. Dario skorzystał z tej rady. Skończył liceum, potem przekonał ojca, aby pozwolił mu studiować malarstwo w szkole plastycznej w San Francisco.

Początkowo Gino nie był zachwycony.

— Malarstwo? Jakie ci to daje wykształcenie?

Ale zarazem był dumny, że syn ma talent. Zwierzył się Coście.

— Pozwolę mu się bawić, robić, na co ma ochotę. W tej szkole będzie mógł pieprzyć się, ile zechce, przelecieć wszystkie dziewczyny, które zechce, a kiedy będzie miał dwadzieścia jeden lat, nauczę go wszystkiego, co umiem sam. To dopełni jego wykształcenia.

Pewnego dnia przejmie imperium Santangelo. Nie chcę go do tego popychać, zanim nie będzie gotowy.

Tak więc Dario miał całkowitą swobodę.

Pieniądze płynęły w nieograniczonych ilościach, Dario wynajął mieszkanie w San Francisco i ulokował się w nim z Erykiem, który porzucił pracę i San Diego, aby być przy swoim pupilu.

Dario był zadowolony z tych stosunków. Eryk opiekował się nim i adorował go. Nie czuł się nienormalny czy zły z tego powodu, poczucie winy wywoływała w nim myśl, że ojciec może się kiedyś dowiedzieć. To nie do pomyślenia.

Razem z Erykiem trzymali się na uboczu. Nie przyłączyli się do hippisowskiej komuny, nie chadzali do klubów dla homoseksualistów, w ogóle z nikim się nie zadawali. To bardzo odpowiadało Erykowi. Nie chciał, aby ktokolwiek inny miał kontakt z Dariem.

W szkole plastycznej otoczony był dziewczynami, ale nie interesowały go. Eryk zaspokajał wszystkie jego potrzeby.

Czas mijał szybko. Dario widywał się z ojcem tylko od czasu do czasu, na Boże Narodzenie czy na kilka tygodni latem, kiedy wypadało mu polecieć do Las Vegas. Parę razy złożył wizytę w Nowym Jorku i to wszystko.

W Vegas Gino podstawiał mu coraz to inne dziewczyny. „To jest Jenny, pokaż jej miasto”, albo „Zabierz gdzieś Crissy, właśnie pokłóciła się ze swoim chłopakiem”.

Dario posłusznie wychodził z nimi, nawet całował je w obawie, że zdadzą później relację ojcu. Eryk zabiłby go, gdyby wiedział.

Całowanie dziewczyn to nic wielkiego. W zasadzie wcale to na niego nie działało... Nienawidził smaku szminki czy ciężkiego zapachu pudru i różu. Widok nagiej kobiety wydawał mu się wstrętny. Miały takie miękkie ciało, olbrzymie łono, ukryte miejsca. Przypominał

sobie nagą Marabelle Blue i wzdrygał się.

— Dlaczego musisz lecieć do Nowego Jorku? — chciał wiedzieć Eryk. Dario czesał właśnie włosy i zastanawiał się, czy powinien je obciąć przed

spotkaniem z ojcem.

— Tak po prostu. Spotkanie rodzinne, cokolwiek by to znaczyło.

— A co to znaczy? — zapytał zirytowany Eryk. Dario wzruszył ramionami.

— Kto może wiedzieć? Pojadę i zobaczę.

Gino

1970

Gino niecierpliwie czekał na przyjazd swoich dzieci. Lucky będzie pierwsza, podróż powinna zająć jej najwyżej dwie godziny. Dario dotrze na lotnisko Kennedy'ego jakieś piętnaście po siódmej. Jaka szkoda, że syn nie był starszym z rodzeństwa. Bardziej pasuje, aby syn był starszy. Dlaczego Lucky nie wygląda jak Maria, a Dario nie jest ciemny i męski? Nie chodzi o to, że Dario jest za mało męski. Gino widział, jak syn uganiał się za dziewczynami w Vegas. Spodziewał się też, że chłopak nie najgorzej bawi się w tej swojej szkole plastycznej. Jego syn w szkole plastycznej! Uśmiechnął się i zamarzył, podobnie jak co dzień, żeby Maria żyła i mogła zobaczyć, jak jej dzieci dorastają. Co ona zrobiłaby z Lucky?

Czuł, że dokonał dobrego wyboru, wydając ją za męża mimo młodego wieku. Przy Richmondach mogła dużo skorzystać. Pewnego dnia Peter Richmond będzie ubiegał się o fotel prezydencki.

Wszystko poszło tak łatwo. Ludzie dawali sobą manipulować. Niewiele było potrzeba, aby przekonać Richmondów, żeby przyjęli Lucky do rodziny. Tylko pieniądze i mgliste wspomnienie o zdjęciach Petera Richmonda z Marabelle Blue, które Gino przezornie trzymał w swoim sejfie.

Betty Richmond była wściekła. Przyszła nawet do niego w nadziei, że jeszcze jedno pieprzenie kościstego tyłka nakłoni go do zmiany planów.

Zbył ją, podobnie jak ona go zbyła wcześniej. Rachunki zostały wyrównane.

W tydzień później Lucky i Craven byli małżeństwem. Czas pokaże, czy postąpił właściwie. Nie widywał jej zbyt często, ale kiedy się widzieli, wyglądała dobrze. Może była nieco spięta. Dlaczego nie miała dziecka? Wtedy miałyby pewność, że podjął właściwą decyzję.

Postanowił porozmawiać z nią, powiedzieć jej, że chciałby zostać dziadkiem. W końcu czas mijał, Gino nie młodniał.

Costa wszedł do pokoju. Od śmierci ukochanej Jennifer bardzo się postarzał. Zmarła na raka, choroba rozwinęła się błyskawicznie.

Gino współczuł przyjacielowi. Costa nie miał dzieci ani rodziny, może oprócz Leonory, ta jednak była beznadziejną alkoholiczką. Nie chciał nawet wspominać jej imienia. Wspomnienie o niej napawało go wstrętem, pamiętał, jak potraktowała Marię, jedyną córkę. Stara dziwka, nawet nie przyjechała na pogrzeb, a przez te wszystkie lata ani razu nie chciała zobaczyć Lucky czy Daria. Wprawdzie on i tak by na to nie pozwolił. Nigdy.

— Red pojechał na lotnisko — powiedział Costa. — Przywiezie Lucky i wróci po Daria.

— Dobrze — odrzekł Gino, przeciągając ręką po skręconych włosach. Miał sześćdziesiąt cztery lata, ale włosy nadal miał wspaniałe. Na możliwości seksualne też nie narzekał. Tylko żołądek odmawiał mu posłuszeństwa. Te przekłete wrzody. Doprowadzały go do szaleństwa, czasem powodowały taki ból, że tarzał się po podłodze.

— Coś ładnie pachnie — zauważył Costa wciągając powietrze.

— Powinieneś zatrudnić kucharkę, nieco byś się podtuczył. Nie ma niczego gorszego od kościstego starucha.

— A co powiesz o kościstej starej babie? Gino zaśmiał się.

— Masz rację! Nie podrywam nic starszego od dwudziestu dziewięciu. Nie ma z nimi o czym pogadać, ale chociaż nieźle się prezentują.

Bardzo chciał namówić Costę na jakiś mały wypad. Kiedy mężczyzna rezygnuje w życiu z seksu, dzieje się coś niedobrego. Coś, co przytrafiło się Coście. Nabrał jakiego szarego, przygarbionego wyglądu. Jennifer zmarła już rok temu, najwyższy czas się pozbierać.

Rozmawiali zupełnie zwyczajnie. Gino siedział na głównym miejscu, Costa naprzeciwko, Lucky z lewej, a Dario z prawej strony.

Był dumny ze swoich dzieci. Oboje wyglądali bardzo dobrze. Oczywiście, włosy Daria były o wiele za długie, ale czy nie taka właśnie była dzisiejsza moda? Gino nie powstrzymał się od komentarza.

— Mógłbyś skrócić nieco włosy, Dario. Wyglądasz jak hippis albo jak jakiś muzyk rockowy.

— A mnie się podoba Lucky pospieszyła z pomocą, tak jak to robiła zawsze, kiedy byli dziećmi.

— Tobie na pewno — skarcił ją ojciec. Kiedy mnie się coś nie podoba, ty jesteś zachwycona. Zawsze tak było.

— Naprawdę? — była szczerze zaskoczona.

— Oczywiście. Nie mam racji, Costa? Costa skinął głową.

Lucky roześmiała się.

— Nic nie poradzę, jeśli mamy różne upodobania.

Dobrze się czuła przy jednym stole z Dariem i Ginem. Lubiła być z rodziną. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni siedzieli razem przy stole. Przynajmniej ojciec wyglądał dobrze, a więc to nie problemy zdrowotne spowodowały spotkanie.

Myślała o wyrazie twarzy Cravena, kiedy poinformowała go, że jedzie do Nowego Jorku, a on nie może jej towarzyszyć.

— Dlaczego nie? — jęknął, maść cynkowa sprawiała, że wyglądał jeszcze śmieszniej niż zwykle.

— To sprawa rodzinna — odpowiedziała impertynencko. — Wiesz, jak ważna jest rodzina. — Celny strzał.

Ich życiem rządziła jego rodzina, ważna Betty i hałaśliwy Peter, jak ich przezywała. Chciała, żeby Peter Richmond wystartował do prezydentury i przejechał się na tym. Według niej nie miał żadnych szans — nie był Kennedym. Poza tym ona była jego synową, co świadczyło przeciwko niemu.

Pieczeń z jagnięcia była przepyszna. Zaraz po niej podano tradycyjne lody cassate, za którymi Gino tak przepadał. Jadł szybko, dosłownie zmiatał deser. Nie były tak dobre jak kiedyś. Z rozmarzeniem wspominał lody, jakie podawał Gruby Larry: były tłustsze, z kawałkami owoców... Ale te też były nie najgorsze.

Po deserze podano kawę, Gino wstał od stołu, otworzył drzwi, aby upewnić się, że nikt za nimi nie czyha, zamknął je ponownie i usiadł

na swoim miejscu.

— Pewnie jesteście ciekawi, dlaczego chciałem, abyście oboje przyjechali - zaczął.

Lucky i Dario wymienili spojrzenia. Ciekawi! Ona wprost umierała z ciekawości.

— Muszę wziąć małe wakacje - ciągnął — wyjechać z kraju. Co w tym niezwykłego? Lucky sięgnęła po papierosa.

— Może wyjadę na kilka tygodni, może na kilka miesięcy, nie da się teraz powiedzieć.

— Dlaczego? — zapytała Lucky i nagle poczuła się zaniepokojona. Gino znacząco wzruszył ramionami.

— Dlaczego? Dobre pytanie. — Przeciągnął palcem po starej bliźnie na policzku. — Costa, powiesz dzieciakom, o co chodzi?

Costa skinął głową i chrząknął.

— Wasz ojciec musi na pewien czas wyjechać z Ameryki — powiedział twardo. Mam nadzieję, że nie na długo, wszystko zależy od...

pewnych okoliczności.

Tak, tak, wiemy, o co chodzi — zniecierpliwiła się Lucky. — Musi wyjechać, ale dlaczego?

Gino pochylił się ku niej.

— Zamknij się i słuchaj.

Costa znów chrząknął. Lucky zauważyła, że ręce mu się trzęsą, i poczuła żal. Rzeczywiście, od śmierci ciotki Jen postarzał się jakby o dwadzieścia lat.

— Widzicie, chodzi o to — zaczął — że od kilku lat Państwowe Biuro Podatkowe ściga Gina za coś, co określają unikaniem płacenia podatków od zatajonego majątku. Wprawdzie ciągnie się to już od

dawna, ale, jak wiecie, ci z podatkowego nigdy się nie poddają.

— Przeklęte sukinsyny! — przerwał Gino. — Z moich podatków można by utrzymać Biały Dom przez dwadzieścia lat.

— Sytuacja zaostrzyła się — ciągnął Costa. — Nie będę opowiadał o szczegółach, ale z pewnych źródeł wiemy, że została powołana specjalna komisja, która ma zbadać sprawę Gina. Będzie musiał stawić się przed sądem, a to na pewno skończy się wyrokiem skazującym.

— Ale jeżeli płaciłeś podatki — Lucky gubiła się w tym wszystkim — to nie rozumiem...

— Nie bądź głupia! — przerwał Gino. — Myślałem, że jesteś rozsądną dziewczyną. Oczywiście, że płaciłem podatki, i to więcej, niż trzeba. Ale wielu nie zapłaciłem.

— Może gdybyś zapłacił je teraz... Obaj mężczyźni zaśmiali się.

— To nie takie proste, Lucky — łagodnie tłumaczył Costa. — To jest zbyt skomplikowane, żebyście mogli to zrozumieć. Przedstawiam wam fakty, ale gdybym chciał wyjaśnić wszystko dokładnie, siedzielibyśmy tu dobry tydzień.

— Właśnie — potwierdził Gino — ale nie jest to coś, z czego nie wybrniemy. A ja nie mam ochoty siedzieć w jakimś obskurnym więzieniu, dopóki sprawy się nie wyjaśnią. Dlatego wyjeżdżam.

— Dokąd pojedziesz? — zapytała ciekawie.

— Może do Londynu. Mamy tam parę kasyn. Może do Francji. Jeszcze nie zdecydowałem.

Oczy jej się zaiskrzyły. Nagle zobaczyła możliwość ucieczki.

— Czy mogę pojechać z tobą, tato? — nie nazywała go tatą od lat.

— Co ty mówisz? Pojechać ze mną? Co za pomysł! Masz tu swoje życie, i to niezłe.

— Kto tak powiedział? — mruknęła niejasno.

Gino nie zwrócił na to uwagi, odwrócił się do Daria, który bawił się łyżeczką.

— Siedzisz tak cicho, synu, nie masz żadnych pytań?

Dario podskoczył. Nie śledził rozmowy. Nie interesowało go, czy Gino musi wyjechać czy nie. I tak nigdy go nie widywał.

— Nie mam pytań — powiedział szybko. — Rozumiem.

— Dobrze. — Gino wstał od stołu i podszedł do okna. — Jako środek ostrożności postanowiłem przepisać wiele rzeczy na was. Nie sprawi wam to kłopotu, będziecie musieli tylko czasami podpisać jakieś papiery. Costa będzie występował jako mój prawnik, zajmie się wszystkim. Dario

— spojrział na syna — chciałbym, żebyś przeprowadził się do Nowego Jorku. Jest wiele spraw, z którymi powinieneś się zapoznać. Costa zacznie cię uczyć.

Wreszcie Dario wykazał jakieś zainteresowanie.

— Przenieść się do Nowego Jorku? — wykrzyknął. — Dlaczego?

— Zaraz powiem ci dlaczego — tłumaczył cierpliwie Gino. — Jesteś moim synem, oto dlaczego. Nazywałeś się Santangelo. I już dość czasu spędziłeś w tej głupiej szkole plastycznej. Musisz zająć się interesami.

— Nie chcę mieszkać w Nowym Jorku — zaproponował Dario. — Nienawidzę tego miasta.

Oczy Gina przybrały ponury i chłodny wyraz.

— Nie pytam cię o zdanie, każę ci to zrobić. Rozumiesz? Dario nerwowo skinął głową.

— A ja? — dopytywała się Lucky.

— Co ty?

— Jeżeli Dario ma poznać twoje interesy, ja też bym chciała.

— Nie bądź niemądra — rzucił delikatnie Gino.

Poczuła, że tłumiony przez cztery lata gniew wzbiera w niej ze zdwojoną siłą. Jej oczy zrobiły się tak czarne i tak chłodne jak oczy ojca.

— Dlaczego nie? Dlaczego?

— Ponieważ jesteś kobietą — tłumaczył spokojnie Gino. — Zamężną kobietą, która powinna być u boku męża i zachowywać się, jak przystoi żonie. — Przerwał na chwilę, po czym dodał: — I chyba już pora, żebyś miała dziecko. Na co właściwie czekasz?

— Na co czekam? — wybuchnęła. — Czekam na życie, chcę żyć! Gino spojrział na Costę i bezradnie zamachał rękoma.

— Życie. Ona chce żyć. Nie wystarczy jej, że ma wszystko, co można kupić za pieniądze...

— Włączając w to męża! — krzyknęła Lucky ze złością. Kupiłeś mi męża za swoje parszywe pieniądze. Ty...

— Wystarczy.

— Nie wystarczy. Chcę czegoś więcej! — wrzeszczała. — Dlaczego Dario ma szansę, a ja nie?

— Uspokój się, Lucky — mówił bardzo zimnym głosem.

— Dlaczego? Nie wiesz, kurwa, dlaczego?

W oczach Gina była taka sama wściekłość jak w oczach córki.

— Dlatego, że ja ci tak każę. I uważaj na to, co mówisz. Damy nie używają takiego języka.

Wsparła ręce na biodrach i odparowała arogancko:

— Nie jestem żadną damą. Jestem Santangelo. Jestem taka jak ty, a ty nie jesteś dżentelmenem.

Wpatrywał się w swoją ciemnooką córkę i myślał: Boże! Co z niej wyrosło! Dałem jej wszystko, co można kupić. Czego jeszcze chce?

— Dlaczego się nie zamkniesz i nie usiądziesz? — polecił zirytowany.

To rozwścieczyło ją jeszcze bardziej.

— No proszę! Niech się zamknie! Jest tylko kobietą, nic nie znaczy. Niech się zamknie i wyjdzie za mąż, nikogo nie interesuje, czy jest szczęśliwa, czy nie! Wzięła głęboki oddech i ciągnęła: Jesteś pieprzonym męskim szowinistą, któremu się wydaje, że kobiety nadają się tylko do łóżka i do kuchni. Trzymałbyś je w kuchni albo w sypialni, tam gdzie ich miejsce. Czy tak traktowałeś mamę, zanim zginęła?

Czy ją zamykałeś...

Przerwał jej gwałtownie, z całej siły uderzając ją w twarz. Costa poderwał się z miejsca.

— Gino!

Dario przyglądał się w napięciu, ale nawet nie drgnął. Lucky starała się zapanować nad łzami, które miały potoczyć się po policzkach.

— Nienawidzę cię — syknęła. — Naprawdę cię nienawidzę. I nie chcę już nigdy cię widzieć.

— Lucky... — zaczął Gino.

Wybiegła z pokoju. Usłyszała za sobą głos ojca:

— Dzieci! Nic nie możesz zrobić! Starasz się jak możesz... Kobieta w interesach... musiałbym zwariować... Nieopanowana... Jezu, one są tak cholernie nieopanowane....

Ona potrafiła panować nad sobą. Była przepełniona twardym, chłodnym gniewem.

Dlaczego uciekła? Dlaczego nie została, aby bronić swojego stanowiska? Dlaczego nie przekonała go, żeby pozwolił jej spróbować?

Nie chcę być mężatką, tato. Nie chcę zostać z Cravenem Richmondem i zachowywać się jak dobra

żona. On nawet nie umie porządnie pieprzyć. On niczego nie umie robić.

Zmusiłeś mnie, abym wyszła za niego. Zrobiłam to dla ciebie, a poza tym

byłam za młoda, żeby wiedzieć, że twoje słowa nie stanowią prawa. Teraz mam już dość. Chcę być taka jak ty.

I będę.

Tak, będę.

Nikt mnie nie powstrzyma. Obiecuję ci to.

Tak. Jestem twoją córką. Zawsze powtarzałeś, że słowo Santangela nie może być złamane. Przekonasz się. Wszyscy się przekonają.

Steven

1971

Odkąd pogodził się z matką, Steven był bardziej zabiegany niż kiedykolwiek. Nie mógł odmówić jej prośbie i musiał otworzyć prywatną praktykę. Był jej coś winien, szczególnie po sprawie z Zizi. Tak więc aby sprawić przyjemność Carrie, został partnerem Jerry'ego w jego firmie. Wytrzymał w tym pół roku, a potem po przyjacielsku rozstając się z Jerrym, wrócił na państwową posadę.

— Wiem, czego chcesz dla mnie — tłumaczył zawiedzionej matce — i uwierz mi, pragnę tego samego. Ale muszę czuć, że robię coś wartościowego, a reprezentowanie bogatych pań, skarżących jeszcze bogatsze przedsiębiorstwa, nie jest wartościowe w moich kategoriach.

Carrie starała się zrozumieć. Nie przychodziło jej to łatwo. Widziała, jak Jerry pomnaża bogactwo i znaczenie, podczas gdy Steven mozoli się nad sprawami „wartościowymi”.

Ostatnio znów zaczął się z kimś umawiać.

— Patyczek ci odpadnie, jeżeli nie będziesz go używał! — dogadywał mu Jerry. Dobry przyjaciel Jerry, który przeleciał jego żonę.

Najlepiej będzie

O tym zapomnieć.

Ostrożnie powracał na arenę wyczynów seksualnych. Nie spieszył się. Pierwsza dziewczyna, z którą poszedł do łóżka, była studentką prawa i miała wspaniałą fryzurę w stylu afro. Pierwsza dziewczyna od czasów Zizi. Żył w celibacie przez rok, mimo to nie czuł nic specjalnego. Miał wrażenie, jakby wkładał dawno nie myty palec w ciepłą kąpiel. Podobało mu się, ale mógł bez tego wytrzymać.

Po tej pierwszej dziewczyny w jego życiu często się zmieniały. Nigdy już nie pozwolił, aby jakaś kobieta wodziła go za fiuta. Nigdy.

Pracował ciężko, umawiał się, kiedy miał na to ochotę, i często odwiedzał Carrie, aby wynagrodzić jej stracone lata. Wydawała się pewna siebie

I wspaniała, ale Steven czuł, że nie jest szczęśliwa. Próbował z nią rozmawiać, ale nie pozwalała mu zagłębić się w jej problemy.

Potem zajął się sprawą Berta Sugara, co zmieniło przebieg jego zawodowej kariery.

Bert Sugar był nie notowanym, drobnym przestępcą. Aresztowano go za brutalny gwałt na piętnastoletniej dziewczynce, zamknięto, a nadzorujący policjant zapowiedział mu:

— Będziesz tego żałował przez resztę życia, sukinsynu. Kiedy te wszystkie pedały cię przeleca, założę się, że nigdy nie będziesz miał

ochoty na nic innego, tak ci się spodoba.

— Jestem niewinny panie Berkely Beri Sugar ze Izami w oczach zapewniał Stevena na pierwszym spotkaniu. Wszystko jest sfigowane.

Kiedy Steven przyjrzał się żalotnemu facetowi, był skłonny mu uwierzyć. Gość nie wyglądał na takiego, który ma siłę samodzielnie się odlać, co dopiero kogoś zgwałcić.

Więc Steven obronił go doskonale. I doprowadził do uniewinnienia, mimo że oskarżyciel, jak mu się wydawało, dysponował

wystarczającą ilością dowodów, aby Berta zamknąć na długo.

Steven, przekonany że Bert Sugar rzeczywiście jest niewinny, skompromitował świadków, mówił przekonująco o godnym litości życiu, jakie musi wieść Bert, i przekonał sędziów o konieczności dania nieszczęśnikowi szansy.

Bert Sugar opuścił sąd jako wolny człowiek.

Matka zgwałconej dziewczyny, czarna kobieta, zaczepiła Stevena przed salą sądową. Jej oczy płonęły, kiedy złapała go za rękę. Lamentowała:

— Bracie! Niech ci Bóg wybaczy to, co zrobiłeś dzisiaj. Próbowałem wyswobodzić rękę, ale kobieta miała uścisk jak ze stali.

— Pomyliłeś się — jęczała dalej. — Pozwoliłeś odejść wolno temu białemu diabłu. Zapłacisz za to. Wszyscy zapłacimy.

Z trudem uwolnił się z jej uchwytu i odszedł. Oczywiście, nie chciała przyznać, że to nie Bert Sugar napadł na jej córkę. Chciała faceta z marginesu, Bert doskonale pasował. Mieszkał niedaleko, nie miał stałej pracy, cały dzień był w domu. Widziano go w pobliżu ich mieszkania, kiedy popełniono przestępstwo. Wszystkie dowody były poszlakowe. Dziewczyna nie mogła nawet zidentyfikować napastnika. Ktoś wdarł się do mieszkania przez okno, zaskoczył ją, kiedy spała, zawiązał jej oczy, skrępował ręce, potem pobił ją i kilkakrotnie zgwałcił.

Steven był zadowolony, że obronił Berta Sugara. Przy innym adwokacie biedny człowiek nie miałby szans.

W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin dobre samopoczucie Stevena z powodu wygranej zamieniło się w przerażenie. Po uwolnieniu Bert Sugar udał się prosto do najbliższego baru. Tam, opróżniając kolejne butelki budweisera, przechwalał się, jak to „nieźle przeleciał małą czarną koze” i jak „głupi czarny prawnik wyciągnął go z więzienia”.

O jedenastej w nocy pijany Bert wytoczył się z baru. Wrócił do mieszkania swojej ofiary, rurą przyniesioną z piwnicy ogłuszył matkę i ponownie zaatakował dziewczynę, zrywając z niej koszulę i próbując kolejnego gwałtu. Tylko że tym razem nie udało mu się, był za bardzo pijany.

Policja przyjechała w samą porę, aby ściągnąć go z rozhisteryzowanej dziewczyny. Nie zdążyli jednak uratować jej matki. Zmarła w drodze do szpitala z powodu licznych urazów głowy.

Steven był skończony. To jego wina, jego zły osąd, z jego powodu kobieta nie żyła. Był niejako współnikiem mordercy.

Nikt nie mógł go uspokoić. W końcu Carrie przekonała go, aby wziął urlop. Przyjaciel Elliotta miał domek w Montauk, Steven mógł

pojechać tam na tak długo, jak chciał. Carrie pragnęła mu towarzyszyć.

Nalegał, aby tego nie robiła.

— Proszę, mam, chcę być sam, muszę wszystko przemyśleć. Lubił samotność, wiatr, deszcz, długie spacerowanie po opustoszałej plaży.

Długo rozmyślał nad swoim życiem, nad tym, co osiągnął, co miał nadzieję osiągnąć.

Myślał o swoich stosunkach z ludźmi. Carrie, kim była naprawdę? Kochał ją, ale w zasadzie jej nie znał. Gdzieś w odległej pamięci mógł wygrzebać jakieś strzępki. Widział wiele kobiet, śpiewały *Sto lat*. Gdzie to było? Zapytał Carrie, ta tylko wzruszyła ramionami.

Było tak samo, kiedy zapytał o chudego mężczyznę, Leroya. Pamiętał, że kiedyś był ktoś o imieniu Leroy. Imię coś mu mówiło. Carrie utrzymywała, że nigdy nie знаła nikogo takiego.

Zizi. Długi, zły sen. Już się z niej wyleczył.

Po powrocie z Montauk podjął ważną decyzję.

— Zmieniam strony — zakomunikował Jerry'emu. — Nie będę już bronić. W przyszłości będę oskarżycielem. Myślę, że się w tym sprawdzę. Tyle rzeczy w tym mieście należy naprawić, może coś zdziałam, coś pomogę...

Jerry dostrzegł zapal kryjący się w kąciakach oczu Stevena.

— Prywatnym czy z urzędu? — zapytał, jakby nie umiał przewidzieć odpowiedzi na pytanie.

— Oczywiście, że z urzędu — odpowiedział Steven marszcząc brwi.

— Tak, jasne — zaśmiał się Jerry. — Czyli co się zmienia?

Lucky

1970—1974

Kiedy w 1970 Gino wyjeżdżał, nie odbyło się to po cichu. Wszystkie nagłówki gazet mówiły o pozbyciu się jednego z najgroźniejszych przestępców w Ameryce. Reporterzy przepychali się i walczyli na lotnisku, aby zdobyć najlepsze ujęcia.

Ubrany był w swój zwykły ciemny garnitur, kapelusz miał nisko zsunięty na czoło, na oczach ciemne okulary. Nie uśmiechał się, nie odwracał, wcale nie reagował na hordy fotoreporterów. Był wściekły, że wiedzieli o jego wyjeździe.

Na pokładzie samolotu ze złością zauważył, że niektórzy z towarzyszy podróży też byli dziennikarzami. Wtedy powinien był się zorientować, że coś się szykuje.

Podczas lotu do Rzymu nic się nie wydarzyło. Natomiast po wylądowaniu... rozpoczął się koszmar, którego Gino nie zapomni do końca życia.

Odmówiono mu wstępu do Włoch argumentując, że był niepożądanym cudzoziemcem. Włochy! Kraj, w którym się urodził. Stamtąd poleciał do Genewy, gdzie spotkało go takie samo przyjęcie. Ruszył do Francji, gdzie trzymali go w mrocznym pokoju przez siedem i pół godziny, zanim w końcu odmówili mu wstępu. Nie mógł w to uwierzyć.

Do tego czasu był już wykończony i upokorzony. I przez cały czas miał wokół siebie dziennikarzy, skrzętnie wszystko notujących.

Oczywiście skontaktował się z Costą, który powiadomił go, że był przeciek i że cały ten pomysł z upokarzaniem go miał go zmusić do powrotu do Stanów. Ale Costa nie próżnował. Poradził, aby Gino poleciał do Londynu, gdzie istniała nikła szansa, że go wpuszczą.

— Jeżeli nie, spróbuj w Izraelu, rozumiesz?

Tak, Gino rozumiał. Costa miał na myśli, że Izrael go przyjmie, ale trzeba to przemyśleć. W Izraelu mieli dużo kontaktów. Poza tym Gino wpłacił pięć milionów dolarów na jedną z organizacji pomocy dzieciom w Izraelu.

Spróbował dostać się do Anglii. Siedział w kolejnym małym, dusznym pokoiku, a urzędnicy wchodzili i wychodzili. Myślał o spotkaniu z Dariem i Lucky. Nie wyszło tak, jak chciał. Dario był nadąsany i zamknięty w sobie, Lucky nieznośna jak zawsze. Porywczą dziewczyną, która nie wie, czego chce. Przykro mu było, że rozstali się w taki sposób, ale on niedługo wróci. Poświęci jej trochę czasu, wszystko naprawi.

W Anglii powtórzono mu tę samą starą śpiewkę. Niepożądany cudzoziemiec. Jezu! Mówili to tak, jakby przyleciał z innej planety.

Po czterdziestu dwóch długich godzinach od wyjazdu z Ameryki Gino dostał pozwolenie na wjazd —

na turystycznej wizie — do Izraela. Przez trzy miesiące mieszkał w hotelu „Dan”, po czym przeniósł się do domu przy plaży. Żył tam cicho z dwoma gorylami, gosposią, dwoma wilczurami, a od czasu do czasu sprowadzał panienkę.

Czekał na możliwość powrotu do domu.

Rozmowy mające mu to umożliwić okazały się bardzo trudne.

Po wyjeździe Gina Lucky wróciła na Bahamy, skończyła wakacje z Crave-nem i znów znalazła się w Waszyngtonie. Wiodła życie nudne jak poprzednio. Cały czas kipiała wściekłością na myśl o stosunku, jaki miał do niej ojciec. Była zdecydowana pokazać mu w jakiś sposób, że nie ma racji. Jak śmiał traktować ją jak małą, głupiutką dziewczynkę? Kobiety są zbyt porywcze do interesów, tak? Ona mu pokaże.

Richmondowie byli zakłopotani sprawą Gina. Ona też była dla nich kłopotem. Więc kiedy kilka tygodni później Costa przysłał jej papiery do podpisu, postanowiła wybrać się do Nowego Jorku i dostarczyć mu je osobiście.

Przeczytała je w samolocie i uświadomiła sobie z podnieceniem, że została mianowana dyrektorem przedsiębiorstw i interesów Gina.

Spojrzała na kartkę

od Costy. Nie musisz zawracać sobie głowy czytaniem tego... tylko podpisz, tam gdzie zaznaczone... to czysta formalność.

Nie zawracaj sobie głowy czytaniem tego, dobre sobie, myślała. Jeśli mam coś podpisać, czytam.

Zarezerwowała pokój w „Sherry Netherland” i po wprowadzeniu się zadzwoniła do Costy.

— Zgadnij, kto mówi? Jestem w mieście. Nie zaprosiłbyś głodującej dziewczyny na obiad?

— Co tu robisz? — Był zaskoczony. — Gdzie Craven?

— Craven jest ze swoją rodziną w Waszyngtonie, tam gdzie jego miejsce — powiedziała słodko. — Przyjechałam na zakupy.

— Miło z twojej strony — odpowiedział niepewnie Costa.

— Co słyhać u ojca? - zapytała.

— Powoli — mówił ostrożnie. — To nie na telefon.

— Rozumiem. Do zobaczenia. — Instynkt podpowiedział jej, aby postępować z Costą bardzo ostrożnie. Musi zagrać niewiniątko.

I była niewiniątkiem przez całą kolację. Zamówiła kaczkę, tak jak poradził Costa, podziwiała

drewnianą sztukaterię i zabawki wiszące u sufitu, nieśmiało sączyła wino.

— Nigdy przedtem tu nie byłam — wyznała entuzjastycznie. — Jest wspaniale.

Był zadowolony, że doceniła restaurację, którą wybrał.

— Jak myślisz — przy krewetkach zaczęła swobodną rozmowę — kiedy Gino wróci?

Costa smutno potrząsnął głową.

— Nieprędko, później, niż przewidywaliśmy.

— To znaczy kiedy? — zapytała.

— Nie można tego przewidzieć.

— Mówimy o tygodniach, miesiącach, latach? Wzruszył ramionami.

— Może to być spory kawałek czasu. Nie da się tego przewidzieć. Mylił się, czy naprawdę widział uśmiech w kącikach jej ust?

Rzeczywiście,

wyrośla na ciemnowłosą piękność. Miał dziwne wrażenie, kiedy siedział z nią w restauracji. Na początku był raczej spięty, ale w miarę upływu czasu rozgadał się, wspominał dawne dzieje.

Lucky była dobrym słuchaczem, wtrącała pytania w odpowiednich chwilach. Wkrótce wiedziała więcej o Ginie i jego życiu, niż ktokolwiek powiedział jej do tej pory. Znała czasy jego bogactwa — w końcu wtedy przyszła na świat — ale naprawdę podobały jej się historie z przeszłości, kiedy ojciec nie miał pieniędzy i mieszkał w starym, zaniedbanym pokoju.

— W jaki sposób się spotkaliście? — zapytała.

Costa nagle zamknął się w sobie. Lucky wyczuła, że coś jest nie tak, i zmieniła temat.

Wuj Costa. Znała go przez całe życie, ale dopiero teraz normalnie z nim rozmawiała. Zastanawiała się, czy miał jakieś przygody od śmierci ciotki

Jen. Czy może był za stary, aby się tym zajmować? Czy mężczyźnie trudno jest zmuszać małego do wstawania rok po roku, dekadę po dekadzie? Wyglądał jeszcze całkiem nieźle. Nieco zmałał, wychudł, posiwiał.

Dobre czerwone wino naprawdę rozwiązało mu język. Mówił o Leonorze, babce Lucky. Rozmowa o niej przez lata była zakazana.

Ciotka Jen zawsze bladła na jej wspomnienie.

— Gino bardzo ją kochał — brnął Costa, potem umilkł, jakby zdając sobie sprawę, że mówi zbyt dużo.

— Wujku — podjęła bardzo naturalnie pamiętasz naszą rozmowę przed wyjazdem Gina?

Skinął głową.

— Powiedziałeś, że będę musiała podpisać pewne papiery, nie ma czym sobie zawracać głowy. To skomplikowane i zabrałoby tydzień, gdybyś miał to wyjaśnić.

Znów skinął głową.

— Widzisz, mam tydzień czasu i byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś mi trochę wyjaśnił.

Jak mógł jej odmówić? Nie była już tą niesforną Lucky, była przemiłą dziewczyną, naprawdę zainteresowaną tymi sprawami.

Dzień po dniu przychodziła do jego biura, a on zaczął — najpierw powoli, ponieważ nie sądził, aby jej zainteresowanie było trwałe —

wyjaśniać jej działanie różnych firm.

— Oczywiście, jesteś tylko figurantką — powiedział. — Nigdy nie będą od ciebie wymagać, abys się w to angażowała.

Nie? Tylko tak mu się wydawało.

— Prześlę ci papiery do podpisu. Możesz być spokojna, wszystko, co do ciebie przyjdzie, będzie już sprawdzone i zaakceptowane przeze mnie.

Skinęła głową. Jak gąbka chłoneła każdą najmniejszą informację. Craven zadzwonił do niej z Waszyngtonu.

— Kiedy wracasz? — dopytywał się zdenerwowany.

— Nie wracam — odpowiedziała zimno. — Nasze małżeństwo jest skończone. Każ spakować moje rzeczy i prześlij mi je.

Craven dużo bardziej martwił się reakcją swojego ojca niż myślą, że Lucky chce rozwodu.

Peter Richmond zadzwonił do niej następnego dnia. Mówił głosem typowym dla polityka.

— Lucky! O czym ty myślisz? Wracaj, wszystko omówimy.

— Nie mamy czego omawiać.

— Jeżeli tu nie przyjedziesz, będę musiał pojechać do ciebie.

— Proszę bardzo.

Nikommu nie powiedziała o swoich zamiarach. Jej rozwód był jej sprawą. Costa czasami pytał:

— Nie powinnaś wracać do Waszyngtonu? Kręciła głową i mruzczyła:

— Nie ma pośpiechu.

Kiedy zadzwonił Peter Richmond, umówiła się z nim na kolację. Co wieczór jadła kolację z Costą — badała go i uczyła się — był więc zawiedziony, że nie mogła się z nim spotkać.

— Chciałem zabrać cię w specjalne miejsce — żalił się.

— Jutro, wujku, obiecuję.

— Ale wszystko było przygotowane na dziś — narzekał

— Gdzie?

— To tajemnica.

— A więc jutro?

— Tak.

Peter Richmond pokazał się jak zwykle w sportowej marynarce, luźnej koszuli i dobrze skrojonych spodniach. Ulubieniec tłumów.

Przechodząc przez restaurację „Sherry Netherland”, machał do każdego i uśmiechał się, tak jakby wszyscy należeli do jednej, szczęśliwej rodziny.

Siedzącej przy stoliku Lucky zrobiło się nieco słabo na jego widok. W domu zachowywał się jak tyran, jego dzieci cholernie się go bały.

Tylko niezmordowana Betty nie dawała się otumanić. Dla obcych był to Mister Uroku, dla swoich postrach.

— Cześć Peter — powitała go z kwaśną miną. Spóźniłeś się.

— Naprawdę? — Chłopięce zaskoczenie odmalowało się na jego twarzy. — Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że zamówiłaś sobie drinka?

Czy ta dupa wołowa nie widziała stojącej przed nią podwójnej wódki? Usiadł, przywitał się z kelnerem jak z dawno nie widzianym przyjacielem i zamówił drinka z białego wina i wody sodowej.

— No więc — powiedział rozsiadając się na krześle i bacznie ją obserwując — ptaszyna chce odlecieć.

— Ptaszyna nigdy nie chciała być schwytana — mówiła spokojnym tonem.

— Chyba żartujesz, moja droga. Każda ptaszyna chciałaby wejść do rodziny Richmondów.

— Czy ktoś ci już powiedział, że pieprzysz?

Na moment zatkało go. Przez ponad cztery lata prawie ze sobą nie rozmawiali. Odwaga Lucky zaskoczyła go.

— Jesteś podobna do ojca — skomentował chłodno.

— Tak, pewnie jestem. Tylko że tata nigdy nie dałby się zapędzić w nudne małżeństwo. Widzę, że muszę sobie wyrobić jaja tak jak mój drogi staruszek.

— Jezu, jaka jesteś wulgarna!

— Ty natomiast nigdy nie postępujesz źle. W Waszyngtonie wszyscy wiedzą, że pokryjesz każdą, która ma nogi i na drzewo nie ucieka.

— Nie możesz rozwieść się z Cravenem — powiedział krótko.

— Nie mogę?

— Nie. To niemożliwe. Dogadałem się z twoim ojcem. Tylko on może ci dać na to zgodę. Wtedy pozwolę ci.

— Naprawdę pieprzysz jak niezdrowy. Mam dwadzieścia jeden lat, dupku. Mogę zrobić, co mi się podoba.

— Prawdziwa z ciebie dama.

— A z ciebie prawdziwy baran.

Kelner przyniósł drinka i podał mu go z przyjacielskimi słowami:

— Miło widzieć pana w naszym mieście, senatorze. Uśmiech natychmiast wrócił na twarz Petera.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Czy może pan już zamówić, senatorze?

— Z chęcią.

— Przyślę kelnera z kartą.

Lucky bezmyślnie zanurzyła palec w kieliszku i mieszała kostki lodu.

— Czym cię Gino zaszanłował? zapytała ciekawie.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — uciał sztywno. Kelner podał im karty i zamówili dania.

— Myślę, że powinniśmy poczekać, aż twój ojciec wróci. Usiądziemy razem i omówimy sprawę rozwodu jak kulturalni ludzie —

zapropomował. — W końcu, jeżeli naprawdę tego chcesz, nie sędzę, żeby Gino mógł ci zabronić. I szczerze mówiąc, mnie leż by to przyniosło ulgę.

— Jesteś przebiegły jak cholera. Tylko że Gino na razie nie wraca, może jeszcze długo nie wrócić, więc radzę ci się przygotować.

Rozwiode się z Cravenem i gównu mnie obchodzi, co ktoś powie. Nawet ty.

— Pójdziemy do „Riccaddi” — zapowiedział dumnie Costa, wioząc Lucky swoim lincolnem po ulicach Nowego Jorku.

Lucky spojrzała zaskoczona.

— „Riccaddi”? Nigdy nie słyszałam. Gdzie to jest?

Costa zabierał ją do najlepszych nowojorskich restauracji i bardzo dobrze się z nim bawiła. Przebywanie z mężczyzną, który traktował ją ze staroświecką galanterią, sprawiało jej przyjemność. Wujek Costa był naprawdę jak z ubiegłego wieku, za co bardzo go kochała.

— „Riccaddi” to doskonała włoska restauracja. Istnieje już od dwudziestu lat.

— Naprawdę? — Lucky wyglądała przez okno. — Czy to jest w New Jersey?

Costa zaśmiał się serdecznie.

— Nie bądź taka niecierpliwa. Jesteśmy prawie na miejscu.

— Nie mogę się doczekać.

Costa był niezwykle podniecony na myśl o tej wyprawie. Nie chciał iść do żadnej z restauracji, w których byli do tej pory. Lucky miała przeświadczenie, że „Riccaddi” nie była zwyczajną restauracją.

I rzeczywiście. Kiedy tylko weszli do małego, przytulnego lokalu, Costa został powitany jak król. Jakaś starsza kobieta mocno go uściskała.

— Costa! Dlaczego tak długo cię u nas nie było?

— Barbara! Nic się nie zmieniłaś, jesteś piękna jak zawsze.

— Starsza, posiwiiała i bardziej zmęczona. — Cofnęła się i przyjaźnie spojrzała na Lucky. — Więc to jest Lucky — powiedziała. —

Poznałabym, nawet gdybyś mnie nie uprzedził. Jest taka podobna do ojca!

— Lucky — zaczął Costa — poznaj Barbarę Dinunzio, robi najlepszą pizzę w Nowym Jorku.

Lucky uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do powitania. Barbara zignorowała ten gest i objęła ją.

— Od córki Gina należy mi się pocałunek. Nie widziałam cię od czasów, kiedy miałaś pięć lat, ale zawsze cię pamiętałam. Chodź. —

Barbara objęła ją ramieniem i poprowadziła w kierunku stolika, przy którym siedzieli dwaj mężczyźni. — To twój wuj Aldo —

powiedziała. — Kiedy byłaś malutka, zmieniał ci pieluszki i uczył cię włoskich piosenek. Pamiętasz.

Dziewczyna szukała wzrokiem Costy. Dokąd ją przyprowadził? Dlaczego nie uprzedził jej?

— Nie za bardzo — wyszeptała. Czuła się nieswojo pośród trzech nieznanymi osób, które patrzyły na nią z taką dobrocią i ciepłem.

— Nic dziwnego — spokojnie przyjęła to Barbara — każde dziecko, które przeszło tyle co ty... twoja biedna, piękna matka...

— Znałaś moją matkę? — Lucky zapytała szybko.

— Wszyscy ją znaliśmy i kochaliśmy. Wszyscy. Pogłaskała ją lekko po policzku. — A teraz usiądź. Napijemy się wina i porozmawiamy o przyjemniejszych rzeczach.

Drugi z mężczyzn siedzących przy stole zwrócił się do niej z pytaniem:

— A mnie poznajesz, moja mała Lucky? Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Jestem Enzo Bonnatti, twój ojciec chrzestny. Skoro nie ma Gina, możesz do mnie zwracać się o pomoc. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, nie wahaj się, przychodź do mnie.

Przyglądała mu się. Czy ten starszy pan naprawdę był sławnym Enziem Bonnattim, jej ojcem chrzestnym? Czy to ten człowiek o zapadniętych policzkach, głęboko osadzonych oczach i życzliwym uśmiechu?

Znalazł się Costa.

— Lucky, ci ludzie to najstarsi i najlepsi przyjaciele Gina. Bądź dla nich miła, gdyż oni bardzo chcą być mili dla ciebie.

Wtedy nie zrozumiała, co miał na myśli, ale z upływem czasu dowiedziała się. Costa nauczył ją pewnych rzeczy, jednak wciąż pozostawało wiele do poznania. Fakt, że człowiek taki jak Enzo Bonnatti był jej ojcem chrzestnym, należało wykorzystać. Przyjęła zaproszenie do jego willi na Long Island i z przyjemnością słuchała historii, które opowiadał.

Ten dom zawsze wypełniali goście i krewni. Jego dwaj synowie, Carlo i Santino, przyjeżdżali co drugi weekend z rodzinami. Nie rozmawiali ze sobą, co wkurzało i martwiło Enzia.

— Para głupków — tak ich nazywał — świat jest pełen wrogów. Rodzina to więzy krwi i dlatego należy ją szanować.

Bardzo polubił Lucky. Nie tylko dlatego, że była córką Gina, ale też ze względu na jej błyskotliwość i godny podziwu styl.

Ona dla odmiany bardzo szybko nabrała dla Enzia szacunku. Posiadał cechy, które jej imponowały: siłę i władzę.

Wkrótce dzieliła swój czas między dwóch mężczyzn: Costę w tygodniu i Enzia w weekendy. Seks, który kiedyś uważała za strasznie ważny, nie znaczył już tak wiele. Dużo ważniejsza stała się nauka, jaką mogła otrzymać do tych dwóch ludzi. Poznawała wszystko, co chciała, a przy tym doskonale się bawiła. Nie potrzebowała nic więcej do szczęścia.

Pewnego gorącego popołudnia w Nowym Jorku udała się do wydawnictwa jednej z większych gazet. Czytała wycinki prasowe o swoim ojcu, nazywanym Gino „Baran” Santangelo. Gazeta określała go jako występного mordercę.

Nagłówki krzyczały o aresztowaniu go za zabójstwo własnego ojca. Fakt, że po kilku latach zwolniono go i uniewinniono, podano w maleńkiej notce na trzeciej stronie.

Przeczytała o śmierci jego pierwszej żony i zastanawiała się, czy rzeczywiście był taki, jakim opisywały go gazety. Czy określenia

„ohydny przemytnik alkoholu”, „niebezpieczny kryminalista”, „szuler”, „gangster” mogły dotyczyć jego? Według gazet był

przyjacielem i współpracownikiem Lucky'ego Luciana, Bugsy Siegla i innych groźnych przestępców tamtych czasów.

W wycinkach z lat pięćdziesiątych znalazła zdjęcie, na którym srogo wyglądająca niania wciąga ją do samochodu. Córka Santangela znajduje ciało matki zamordowanej w rozgrywkach między gangami — przeczytała.

Coś się w niej zacięło. Nie chciała przeglądać niczego więcej, wybiegła załamana i zaniepokojona.

Dzięki wpływom Richmondów rozwód odbył się po cichu. Kiedy Peter zdał sobie sprawę, że nie da się jej powstrzymać, robił wszystko, co mógł, aby pozbyć się jej z rodziny tak szybko, jak to możliwe.

Lucky była bardzo zadowolona, Costa zszokowany.

— Twój ojciec zmartwi się.

— Więc nic mu nie powiemy — wymyśliła. — W ten sposób nie będzie miał się czym martwić.

Costa, niezbyt przekonany, skinął głową, ale nie mówiąc jej o tym zadzwonił do Gina.

— Nic nie mogę zrobić — powiedział krótko Gino. — Zajmę się tym po powrocie. Wiesz, że nic nie zdziałam, póki tu siedzę. To ty powinieneś się wszystkim zajmować, a przede wszystkim powinieneś ściągnąć mnie do Ameryki.

— Pracuję nad tym — padła ostrożna odpowiedź.

Gino nie ufał połączeniom. Był przekonany, że ma telefon na podsłuchu, że ktoś przegląda jego listy, więc ograniczał wszelkie kontakty.

— Wiem, że pracujesz, wiem — westchnął zmęczony.

Costa przez specjalnego kuriera przesłał mu informację, że zebrał grupę ekspertów, którzy badali jego sprawę i próbowali ją rozwiązać.

Nie można było się z tym spieszyć, sprawa Gina Santangelo należała do delikatnych. Do tej pory napisano o nim zbyt wiele, gazety komentowały każde jego posunięcie. Jeżeli chciał się dogadać z Urzędem Podatkowym, musiało to odbyć się po cichu i dyskretnie.

— Słuchaj — dodał Gino — pilnuj Lucky. Nie chcę, żeby latała po Nowym Jorku jak dzika.

— Jestem z nią przez cały czas — zapewnił Costa.

To była prawda. Lucky wydawała się zadowolona z jego towarzystwa. Cieszył się, że przedstawił ją Barbarze i Aldowi i że spędzała tyle czasu z Enziem. Ci ludzie to prawdziwi przyjaciele Gina i na pewno będą na nią uważać.

— Zadzwoń do ciebie niedługo — obiecał. — Uważaj na siebie. Gino zaśmiał się.

— Tak, muszę uważać, aby nie przesadzić z ilością ryby i jabłecznika. Nie masz pojęcia, jak to żarcie szkodzi moim wrzodom! Ściągnij mnie do domu, Costa. Spokojne życie mi nie służy. Pospiesz się.

Dario miał przyjechać do Nowego Jorku zaraz po zakończeniu semestru w szkole plastycznej. Lucky nie była z tego zadowolona. Bez przerwy nachodziła Costę.

— On nie ma ochoty przyjeżdżać... Gino zmusza go zupełnie niepotrzebnie... Dario niczego nie zrozumie... Jak na swój wiek jest młody, niedojrzały...

Kiedy Dario przyjechał, Costa sam nie wiedział, co myśleć. Dlaczego Gino zmuszał chłopca, aby zajmował się czymś, co go nie interesuje?

Lucky wyprowadziła się z apartamentu Gina, w którym mieszkała do tej pory.

— Dlaczego? — dopytywał się Costa. — Mieszkanie jest tak duże, że oboje możecie tam zostać.

— Gino chciał, aby mieszkał tu Dario. A ja szybciej będę miała coś swojego.

Znalazła nieduże, przytulne mieszkanie przy Park Avenue i przenieśli się tam, zanim Dario przyjechał.

Żeby radzić sobie w interesach, trzeba być twardym, zdecydowanym, umieć podejmować błyskawiczne decyzje. Lucky miała te cechy, Dario nie. Kiedy pojawił się, Costa zlecił mu załatwienie jakichś drobnych spraw. Chłopak zepsuł wszystko i zupełnie nie przejął się, gdy go Costa zwymyślał.

Costa był zakłopotany. Po co miał uczyć chłopaka, którego nic nie interesuje?

— Powinieneś trochę odpocząć — powiedział w końcu. — Poznaj miasto, niedługo się spotkamy. Na razie nie przejmuj się.

I Dario nie przejmował się.

W San Francisco został nadąsany Eryk.

— Kiedy wszystko się uspokoi, poślę po ciebie — obiecał mu Dario. Teraz dopiero zakosztował wolności. Nowy Jork nie był

spokojnym

miejszem, Nowy Jork wrzał. Dario szybko zapomniał o ściągnięciu Eryka.

Z upływem czasu Lucky uczyła się wszystkiego. Szybko przeszła do wyższych stopni wtajemniczenia. Costa nie mógł wyjść z podziwu.

Zadawała mądre pytania i wskazywała na ważne rozbieżności w kontraktach i dokumentach. Niezwykle pojętna i błyskotliwa jak Gino.

Posiadała wszystkie zdolności swojego ojca. A kiedy powiedziała Coście, że chciałaby prowadzić pewne sprawy, nie umiał jej odmówić.

Gino powołał syndykat inwestorów do sfinansowania budowy „Magiria-no”. Prace już rozpoczęto i co tydzień pochłaniały duże sumy.

Kiedy musiał wyjechać z Ameryki, niektóre źródła wyschły.

— Boże święty! — wybuchnęła Lucky. Nie mamy kontaktu z tymi ludźmi?

Costa pokręcił głową.

— Nie... wszystko robiliśmy na słowne umowy.

— Ale dali słowo, prawda?

— Oczywiście.

— Co on by zrobił, gdyby nie dawali pieniędzy? Costa nerwowo przełknął ślinę.

— Miał swoje metody.

Masz działać w jego imieniu. Dlaczego nie używasz tych metod? Niektóre rzeczy najlepiej zostawić do właściwego momentu. Musimy poczekać na Gina.

Spojrzała na niego nieugięcie.

— Nie możemy czekać. Nie wiadomo, jak długo go nie będzie. Nawet ty mówisz, że to mogą być lata. Nie — postanowiła. — Budowę trzeba kontynuować. Jeżeli dali słowo, musimy ich zmusić, żeby go dotrzymali. Daj mi listę, wymyślę coś.

Zaśmiała się z niedowierzaniem.

— Nie bądź głupia, to są twardzi faceci... Oczy Lucky nabrały ciemnego, zimnego wyrazu.

— Nie nazywaj mnie głupią dziewczynką, Costa. Rozumiesz? Pamiętał Gina w jej wieku. Jest taka podobna... Westchnął i powiedział:

— Tak, Lucky — i już wiedział, że nie powstrzyma jej przed przejęciem interesów podczas nieobecności Gina. Nie było sposobu.

Lucky dokładnie przemyślała wszystko. Costa to wspaniały człowiek, doskonały prawnik. Nadawał się do czystych spraw i ciężkiej pracy, ale nie był człowiekiem czynu.

Najważniejszą rzeczą stała się praca nad „Magiriano”. Postanowiła sama zadbać o to, aby wszystko szło zgodnie z planem.

Zauważyła, że w niedzielne poranki Enzo Bonnatti zamykał się na godzinę w swoim gabinecie. W tym czasie odwiedzali go różni ludzie, czasami siedzieli pięć minut, czasami godzinę. Kiedy wychodzili po spotkaniu, zawsze uśmiechali się.

— O co tu chodzi? — zapytała Santina, którego lubiła bardziej niż jego brata. — Kim są ci ludzie?

Santino wzruszył ramionami. Niski, wcześniej łysiejący, wiecznie obgryzał paznokcie.

— Godzina przysług. Enzo lubi odgrywać Boga.

— Także poprosiłabym go o przysługę.

— Więc idź do niego. — Małe oczy Santina zwięzły się. — Tobie na pewno nie odmówi. Ale pewnego dnia będziesz musiała się zrewanżować.

Poszła do Enzia, usiadła w rogu biurka i poprosiła o radę.

— Costa niczego nie zrobi — powiedziała, kiedy już wprowadziła go w sytuację — ale ja tak. Jestem gotowa zrobić to samo, co zrobiłby mój ojciec.

Enzio zachichotał.

— Gino nigdy nie dawał sobie wciskać kitu, wybaczn, że tak mówię. Chcesz być taka jak on, czemu nie? Wynajmnę ci kilku chłopców.

Nastraszyśz nieco pierwszego z listy i skończą się problemy. Pojmujesz?

Skinęła głową. Czowała podniecenie w całym ciele. Enzio przyjrzał się jej przenikliwie.

— Oczywiście jeżeli chcesz, abym ja się tym dla ciebie zajął, zrobię to z przyjemnością.

Potrząsnęła głową.

— Daj mi tylko kogoś do pomocy. Znowu się zaśmiał.

— Wykapany z ciebie Gino. Byłby z ciebie dumny. Powiem ci, co zrobię. Dam ci dwóch chłopaków, którzy pomogą ci w każdym, za przeproszeniem, pieprzonym kawałku roboty. Ale pamiętaj, że jeśli kogoś nastraszyśz, to musi być serio. Rozumiesz?

— Doskonale.

Gdzie Lucky nauczyła się tak postępować? Czy ma to we krwi.

Zaczęła od największego inwestora. Odwiedziła Rudolfa Crowna, tak zwanego bankiera inwestycyjnego, który kiedyś był

utrzymankiem starszych, forsiastych pań. Los uśmiechnął się do niego i ożenił się z jedną z nich. Zmarła w sześć tygodni po ślubie.

— Umarła z rozkoszy. — Rudolf powtarzał to każdemu, kto chciał słuchać. — Nikt jej nie przeleciał przez ostatnich dwadzieścia dwa lata.

Odziedziczył trzy miliony dolarów, połowę przepuścił na kurwy i zabawę, resztę włożył w interesy. Siedział za biurkiem i patrzył z ukosa na Lucky, przypominającą mu o pieniądzach, które obiecał i nie dał.

— Dał pan słowo, panie Crown — mówiła chłodno. — Należy pan do syndykatu. Jeżeli pan się wyłamie, inni zrobią to samo i będzie trzeba przerwać prace nad hotelem.

— Jasne. — Podłubał w zębach. — Dałem słowo Ginowi i dotrzymam, kiedy wróci.

Mówiła bardzo spokojnie:

— Nie ma znaczenia, czy Gino jest czy nie. Pan dał słowo. Musi się pan teraz wywiązać.

Rudolf wykrzywił się w uśmiechu.

— Gino w tej chwili nie bardzo może domagać się czegokolwiek. Słyszałem, że nie będzie go bardzo długo, jeżeli w ogóle wróci.

— Może pan zaryzykować - powiedziała słodko.

— Zaryzykować co?

— Ze obudzi się pan z jajami wepchniętymi w gardło i z kutasem przerobionym na hot-doga.

Twarz pokryła mu się krwistym rumieńcem.

— Wynoś się, ty dziwko. Nikt nie będzie mnie straszył.

Wstała, wygładziła spódnicę dobrze skrojonego kostiumu i uśmiechnęła się chłodno.

— To nie pogrożki, panie Crown. To obietnica, a ja dotrzymuję słowa podobnie jak mój ojciec.

Nie uwierzył jej. Nie miał zamiaru ładować pieniędzy w hotel, jeśli Gino Santangelo nie mógł się tym zająć. Niech spierdala. Była córką Gina, ale co z tego? Dziwka z niewyparzoną gębą.

Tydzień później obudził go dotyk zimnej stali na genitaliach. W panice otworzył oczy. Dwaj mężczyźni z nożami dobierali się do jego penisa. Zaczął krzyczeć, płakać, błagać.

Zobaczył czyjś cień w drzwiach i usłyszał kobiecy głos.

To tylko próba generalna, panie Crown. Jeżeli nie wyłożą pan natychmiast forsy, premiera nastąpi w przyszłym tygodniu.

Rudolf Crown wyłożył pieniądze, szybko. Inni inwestorzy także. Budowa „Magiriano” znów ruszyła.

Costa nigdy nie dowiedział się, jak Lucky to zrobiła. Podejrzewał, że pomógł jej Enzo, ale nie był pewien, a Lucky nie powiedziała mu.

Wydawała się spokojniejsza, prawie łagodna. Czowała podniecenie władzą. Najwspanialsze uczucie, jakiego doświadczyła. Ona, Lucky Santangelo, mogła sobie teraz poradzić ze wszystkim. Dlaczego nie? Udowodniła, że umie.

Niedługo po wyprostowaniu spraw z syndykatem opornych inwestorów poleciała do Las Vegas, aby osobiście obejrzeć postępy w budowie „Magiriano”. Oczywiście zatrzymała się w „Mirage”, no i oczywiście spotkała Marca.

W końcu dowiedziała się, kim była Bee. Costa opowiedział jej całą historię o tym, jak Bee przyjęła niemal śmiertelnie ранego Gina i kurowała go, jak wiernie czekała przez siedem lat, kiedy siedział

w więzieniu.

— Wydaje się, że to wspaniała kobieta. Dlaczego się nie pobrali? — zapytała.

— Mieli taki zamiar, ale nie mogła mieć więcej dzieci. Lucky wściekła się.

— Chcesz powiedzieć, że się z nią nie ożenił, bo nie mogła mieć dzieci? Co za świnią!

Kiedy usłyszała, że Gino traktował Marca jak syna, była niesłychanie zazdrosna. Przywitała się z nim chłodno. Rozmawiali z sobą po raz pierwszy od wielu lat.

— Wyglądasz wspaniale, Lucky, naprawdę.

— Ty natomiast jesteś trochę zaniedbany, Marco. Czy nie rozgrzewasz się czasami za mocno? — Szybko obliczyła, ile ma teraz lat: czterdzieści jeden. Posuwał się, ale nadal wyglądał doskonale. Wciąż pozostawał najatrakcyjniejszym mężczyzną, jakiego знаła, i nie mogła doczekać się, kiedy pójdzie z nim do łóżka. Pierwszy raz od dawna pomyślała o seksie.

— Dlaczego nie dałeś mi apartamentu Gina? — zapytała od niechcienia.

— Przejąłem go dla siebie pod jego nieobecność.

— Tak? — starała się brzmieć wesoło. Był zakłopotany.

— Jak długo zostaniesz?

Tak długo, aż pójdę z tobą do łóżka, pomyślała.

— Parę dni, może tydzień.

— Świetnie. Chciałbym, abyś poznała moją żonę. Może zjesz z nami dziś kolację?

Żonę!

— Od jak dawna jesteś żonaty? — Z trudem łapała powietrze.

— Dokładnie od czterdziestu sześciu godzin. Spóźniłaś się na ślub. A gdzie jest Craven?

Poczuła się, tak jakby ponownie ją zdradził, i nienawidziła go za to. Powiedziała lodowatym tonem:

— Nie słyszałeś? Rozwiodłam się z nim.

— Naprawdę? Czy Gino o tym wie?

— Może cię to zaskoczy, Marco, ale jestem wolna i mam dwadzieścia jeden lat. Mogę robić, co mi się podoba, i nie muszę prosić Wielkiego Taty o żadną pieprzoną zgodę. — Przerwała na chwilę i obrzuciła go zimnym spojrzeniem. — Może ty musisz skakać, jak ci każą, ja nie.

Zaśmiał się.

— Nic się nie zmieniłaś. Ta sama stara, kochana Lucky!

— Tak, ta sama. Może trochę ostrzejsza na brzegach. Szybko się o tym przekonasz. — Najwyraźniej o niczym nie wiedział.

— Nie mogę się doczekać.

Ich oczy spotkały się na moment. Nigdy nie poznała mężczyzny, którego nie mogła dostać, jeśli miała na to ochotę. Ale czy wciąż miała na niego ochotę?

Tak. Cholera, tak!

Helena, żona Marca, była kiedyś tancerką. Wysoka, strzelista, rude włosy. I ruda, gorąca cipa, nie ma wątpliwości. Niestety, była bardzo ładna.

Spotkali się w trójkę na drinka. Przy latynoamerykańskiej muzyce skąpo ubrane kelnerki roznosiły egzotyczne koktajle. Lucky zauważyła, że miejsce należałoby trochę ożywić, unowocześnić. Żałowała, że nie ma ze sobą nikogo. Marco nadal traktował ją jak córeczkę Gina.

Żonka obnosiła swój okazały biust, może silikonowy? Lucky oceniła ją na dwadzieścia osiem lat i zniechęciła od pierwszego spojrzenia. niesprawiedliwie, wiedziała o tym, ponieważ Helena wydawała się bardzo miła.

— Jaka szkoda, że nie byłeś na naszym ślubie, był taki niezwykły — powiedziała Helena.

Niezwykły! Czy ktoś słyszał o niezwykłym ślubie?

— Dlaczego? Czy miałaś wróżki za drużny i muchomory za krzesła? Helena roześmiała się jak zarzynany baran. Silikon zatrzęsł się, a rude

włosy błysnęły.

— Powiedz mi - szepnęła Lucky pochylając się ku niej — czy tamte włosy też masz w takim cudownym kolorze jak te na głowie?

— Co ty, nie — zaczęła. — Kiedyś je ufarbowałam, ale kłuły... — urwała niepewna, czy Lucky pyta poważnie, czy żartuje.

Idiotka! Marco poślubił piękną, niesłychaną idiotkę. To straszny zawód, kiedy ktoś, kogo zawsze pragnęła, pokazuje taki brak gustu. Ale przecież nie znała wcale jego upodobań. Może myślał, że ta kretynka była najwspanialszym stworzonkiem futerkowym.

— Jak się poznaliście? — zapytała. Może poznać tę historię, nawet jeśli jest nudna.

Marco nie zwracał na nie zbytniej uwagi, ale teraz zainteresował się rozmową.

— Na pogrzebie mojego pierwszego męża. To bardzo zabawne... Uciszył ją spojrzeniem.

— Chcesz jeszcze jednego drinka, kochanie?

Helena miała prawie pełen kieliszek i pytanie wydawało się niepotrzebne. Ale zrozumiała. Taka głupia nie była. Niezdarnie zmieniła temat.

— Bardzo podoba mi się twoja sukienka. Czy kupiłaś ją tutaj? Lucky doszła do wniosku, że nie ma ochoty wiedzieć, jak się poznali ani nawet kiedy to było. Spotkali się i tyle.

Wieczór z nudnego przekształcił się w bardzo nudny.

Kiedy rozstali się przed jej pokojem około północy, postanowiła zejść do kasyna i trochę się rozejrzeć. Gdyby tym razem spotkała Marca, nie mógłby kupić jej kanapki, polecieć do Wielkiego Taty i odesłać ją do łóżka.

Zauważyła wysokiego, ciemnowłosego kowboja o niespokojnym spojrzeniu.

— Mogę postawić ci drinka? — zapytała. Przyjrzał się jej uważnie, spodobała mu się.

— Myślałem, że w kasynie drinki są bezpłatne.

— Nie w moim pokoju — odpowiedziała ze śmiechem.

— Nie jesteś...

— Pewnie, że nie. Wszystko, czego potrzebujesz, to talent.

Weszli razem do windy. Nie była kurwą ani nimfomanką. Lubiła czasem przespać się z kimś bez pieprzenia o głupotach i przyrzeczeń długiej znajomości. Mężczyźni mieli przygody od początku świata, dlaczego nie mogli ich mieć kobiety? Poza tym, potrzebowała kogoś tej nocy.

Został godzinę. Miał talent, umiała już wynajdywać takich facetów. Kiedy zaczął coś mówić o spotkaniu następnego dnia, musiała dosłownie wypchnąć go z pokoju. Nie spotkała jeszcze mężczyzny, którego chciałaby zatrzymać. Nigdy.

Łaziła po pokoju, myślała o Marcu i zastanawiała się, co ją do niego ciągnęło. Miała nadzieję, że kowboj pomoże jej przeboleć jego ślub, ale tak się nie stało. Seksualnie ją zaspokoił, jednak to nie wszystko.

Tym razem nie dostała Marca. Ale kiedy wydarzenia nabrały prędkości, kiedy zaczęła używać nowo zdobytej władzy, zauważył ją. Po powrocie do Nowego Jorku rozmawiała z Costą.

— „Mirage” wygląda jak tania dziwka na ulicy przy wysokiej klasy panienkach do towarzystwa. Mały Martino, występujący dwa razy w roku, i kilka wyrzutków ze słabych programów telewizyjnych nie zapewnią ludziom gorącej zabawy. — Zapaliła papierosa. — Poza tym hotel należy odnowić, jest zniszczony. Farba odpada, barek jest mdły, trzeba coś zmienić.

Costa odganiał dym papierosowy, który wypuściła mu prosto w oczy.

— Marco zajmuje się wszystkim. Jeżeli trzeba zrobić jakieś zmiany, na pewno...

— Marco nie odróżnia swojej dupy od dziury w ziemi. Dopiero co się ożenił i w głowie mu się zawróciło od nadmiaru cipy — ucięła ostro.

Costa zachnął się. Gdzie nauczyła się tego języka? Mężczyzna mógł mówić w ten sposób, ale ona jest dziewczyną. Nie wypada jej.

— Marco ma pełną kontrolę. Zarządza wszystkim, także pieniędzmi. Gino mu ufa. Nie powinniśmy naruszać równowagi.

— Wielka sprawa. Ja jestem głównym udziałowcem, mam więcej do powiedzenia niż ktokolwiek inny. Skoro chcę zmian, mogę je zaplanować i dopilnować, żeby wszystko zostało zrobione. Jeżeli nie spodoba to się Marcowi, w każdej chwili może się wycofać.

Costa zastanowił się. Czy stworzył potwora? Co by powiedział Gino, gdyby wiedział, co się dzieje? Na szczęście nie wiedział. Myślał, że wszystko idzie gładko, że Dario uczy się prowadzenia interesów i że Costa poradzi sobie z ewentualnymi kłopotami. Nie wiedział o udziale Lucky. A Costa nie czuł się na siłach poinformować go.

Lucky latała do Vegas kilka razy z projektantami i dekoratorami wnętrz, planowała zmiany, które chciała wprowadzić w „Mirage”, i doglądała budowy nowego hotelu.

— Co jest grane? — Marco krzyczał na Costę przez telefon. — Wtrąca się we wszystko. Każ jej ze mnie zejść.

— Nie mogę — usłyszał prostą odpowiedź. — Ona ma większość udziałów, może robić to, na co ma ochotę.

Kipiący wściekłością Marco doskonale ją zauważył. Kiedy dostrzegł w niej kobietę, której pragnął, stała się zimna, twarda i odległa. Nie miała zamiaru dzielić się nim z jego żoną.

W końcu dokonano zmian, o które chodziło Lucky. „Mirage” otrzymał nowy wygląd. W klubie zatrudniono nowych wykonawców, zmęczone śpiewaczki w obcisłych sukienkach zmieniono na nowoczesne grupy rockowe które od razu ożywiły miejsce.

Wynajęła najlepszą firmę, zajmującą się zmianami wyglądu hoteli

— Musimy przyciągnąć młodszych ludzi — tłumaczyła zirytowanemu Marcowi. — To miejsce zaczyna wyglądać jak dom starców.

— Bzdura. Właśnie starzy mają pieniądze na grę. Kasyno przynosi rekordowe dochody.

— Może, ale hotel traci pieniądze od dziesięciu lat. Dopilnuj zmian Dlaczego nie mielibyśmy ciągnąć korzyści z obu stron interesu?

Miała rację. Zyski stopniowo wzrastały. Wieczorne występy, na które poprzednio przychodziło niewiele osób, teraz przyciągały tłumy.

Restauracje znowu były pełne, a bar odwiedzało coraz więcej klientów. Nie tylko hotel zaczął przynosić zyski, ale wzrosły też zarobki z kasyna.

Zadowolona z siebie Lucky przystąpiła do badania innych interesów Gina. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, miała koncepcję ulepszenia wszystkiego, za co się wzięła. Podobnie jak Gino, zawsze wybierała właściwe rozwiązania. Udawała się na samą górę — do przewodniczącego, menedżera, dyrektora, czy kogokolwiek mianowanego przez Gina. Początkowo mieli jej to za złe albo traktowali ją niepoważnie. Ale kiedy przypominała im, że miała prawo do zrobienia wszelkich zmian w tym do zwolnienia ich, słuchali, stosowali się do jej poleceń i zwykle dochodzili do wniosku, że ma rację.

W 1968 Gino kupił małą wytwórnię kosmetyków, przyjacielska przysługa. Co roku przynosiła straty i powoli chyliła się ku upadkowi.

Lucky postanowiła, że będzie to jej szczególne przedsięwzięcie. Zmieniła nazwę, zatrudniła nowe kierownictwo, siebie mianowała dyrektorem i zapowiedziała

— Zobaczysz, że postawię to na nogi.

Obserwował jej działania. Był przekonany, że jej się uda

Czasami leciała do Vegas, aby nadzorować budowę „Magiriano”. Szło

bardzo powoli, pojawiało się coraz więcej problemów. Jakoś dawała sobie z nimi radę.

Za każdy razem Marco wychodził jej na spotkanie i opowiadał, co działo się w mieście.

— Ciągłe żonaty? — pytała lekko, mimo że podświadomie czekała na wiadomość o rozwodzie.

— Oczywiście. A ty? Nadal się puszczasz?

— Znajdź lepszy sposób na spędzanie czasu, a wypróbuję go — zażartowała. Wiedziała, że jej zwyczaje seksualne wkurzały go.

Napięcie między nimi było ogromne. Czują to. I miała pewność, że on czuje podobnie.

Pewnej nocy Marco zrobił jednoznaczny propozycję. Helena wyjechała z miasta gdzieś do przyjaciół. Zjedli razem kolację, rozmawiali o dawnych czasach, o Ginie, domu na Bel Air, o Dariu. Kiedy stała w drzwiach swojego pokoju, przycisnął jej rękę i powiedział:

— Wejść. __ Nie

— Dlaczego? — był wyraźnie zaskoczony.

— Mam zwyczaj unikania żonatych mężczyzn.

— Myślałem, że nie masz nawet zwyczaju pytania o ich imiona, co dopiero o stan cywilny.

Stał tak blisko, że mogła czuć jego oddech na policzku. Pragnęła go bardziej niż kiedykolwiek. Jednak odpowiedziała słodko:

— Zabieraj swoje przemądrzałe uwagi i wsadź je tam, gdzie je ktoś doceni. Dobranoc, Marco. Przyjemnych snów.

Zamknęła szybko drzwi, bała się, że ulegnie.

Boże! Czy to miłość, ten ból w całej duszy, który trzymał w cierpieniu i ciemności albo zmuszał do głupkowatych uśmiechów?

Doskonała okazja, aby go dostać, a jednak nie skorzystała z niej. Dlaczego?

Ponieważ chciała mieć go tylko dla siebie. Tak musiało być. Nie mogło być inaczej.

I kiedyś tak się stanie. Ona sprawi, że tak się stanie.

Dario nigdy nie posłał po Eryka, więc po sześciu miesiącach Eryk zjawił się sam z dwiema walizkami i wieloma wyrzutami.

— Byłem zajęty — kajał się Dario. — Nie możesz tu zostać.

„Tu” oznaczało luksusowy apartament Gina z kucharzem i sprzątaczką.

— Dlaczego nie? — dopytywał się Eryk, zdecydowany ponownie zająć miejsce w życiu Daria.

— Po prostu nie możesz. Ludzie dowiedzą się, Costa, może moja siostra.

— W San Francisco mieszkaliśmy razem.

— To co innego.

— Dlaczego?

Kłócili się przez dziesięć minut i ostatecznie Dario musiał Eryka wpuścić. Nie miał jednak zamiaru pozwolić mu zostać. Poznał korzyści płynące z samotnego życia i polowania. Nie potrzebował już Eryka.

Eryk rozejrzał się po okazałym apartamencie i doszedł do wniosku, że zrobił właściwy ruch. Rozsiadł się i nie chciał się ruszyć.

Dario rozzłościł się i zmartwił. Miał już dostatecznie dużo kłopotów z Lucky. Nie chciał, aby

dowiedziała się, że jest pedalem.

Suka przejęła wszystko. Podczas gdy on szwendał się po biurze nie robiąc nic specjalnego, ona zapanowała nad wszystkim, a Costa jej na to pozwolił. Nie chodziło o to, że chciał być w to zaangażowany, ale wkurzało go, że traktowano go jak śmiecia, podczas gdy wielka siostra wzbudzała szacunek.

— Gino chciał, abym to ja poznał jego interesy wytknął Coście pewnego dnia. — Ja, nie Lucky.

— Chcesz się czegoś nauczyć, przychodź, tu codziennie punktualnie o ósmej i przygotuj się na wychodzenie o siódmej, ósmej, a nawet o dziewiątej wieczorem -- odpowiedział szorstko. Tak robi Lucky.

Dario nie miał takiego zamiaru. Lubił długo spać, potem wsiadał do sportowego porsche'a i jechał spotkać się z przyjaciółmi.

Codziennie stawiał obiad w małej włoskiej restauracji. Narożny stolik był specjalnie dla niego rezerwowany, czasami gościł piętnaście albo dwadzieścia osób. Pieniądze nie stanowiły problemu. Jeżeli tylko czegoś chciał, prosił. Gino zostawił specjalne instrukcje.

Tak, miał wielu przyjaciół i nie miał zamiaru dzielić się nimi z Erykiem. Tylko że nie mógł się go pozbyć. Skoro dostał się do środka, nie chciał wyjść.

— Nie możesz tu zostać — powtarzał Dario.

Nie mam dokąd pójść — jęknął Eryk. — Przejechałem taki kawał drogi, żeby być z tobą.

Kiedy zbliżył się, aby dotknąć chłopaka, wszystko się skończyło. Dario zaatakował go z niekontrolowaną gwałtownością, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewał.

Eryk aż zamruczał z bólu i zadowolenia.

— Nie wiedziałem, że stałeś się taki gwałtowny... Och, Dario, będzie nam ze sobą tak dobrze.

Z biegiem czasu Lucky nauczyła się ciężko pracować i ostro grać. Stała się zdecydowaną kobietą biznesu, wymagającą największego wysiłku od ludzi których zatrudniała.

Przejęta przez nią mała wytwórnia kosmetyków zaczęła radzić sobie zupełnie nieźle. Jej metody uzyskiwania kredytów należały do niekonwencjonalnych, czasem dała łapówkę, kiedy indziej postraszyła. Wiedziała, że jej produkty są dobre, i nie wahała się przekonać o tym innych. Nazwisko Santangelo czyniło cuda.

Bez przerwy latała do Las Vegas. Małżeństwo Marca i pięknej Heleny nadal trzymało się. Wprawdzie pragnęła go cały czas, nigdy nie przestała go pragnąć, ale zdecydowała się mieć go na własnych zasadach.

Rzadko myślała o Ginie, którego imperium przejmowała. Budowała jego hotel, urzeczywistniała jego

marzenie, ale wcale nie mieli ze sobą kontaktu.

Kobieta nie nadaje się do interesów, tak? Jest zbyt emocjonalna? Udowodni mu, że jest inaczej.

Gino nie dał jej nic, kiedy wyjeżdżał. Z pomocą Costy przejmowała wszystko. Prawnie i tak majątek należał do niej i do Daria.

Pomyślała o bra-

cie i zachmurzyła się. To taki dziwny chłopak. Zastanawiała się, kiedy i czy w ogóle zmądrzeje. Biedny jasnowłosy Dario. Jaka szkoda...

Dario i Eryk prowadzili życie, jakiego żaden z nich wcześniej nie znał. Nowy Jork oferował dużo, a Dario miał pieniądze na poznanie każdego zakamarka, wytropienie każdego klubu, przyjęcia, zabawy z dreszczykiem.

Razem wkroczyli w podniecający świat homoseksualistów. Nie był taki wspaniały i romantyczny, poznali ciemne strony, szybki seks, gwałty i sa-do-masochizm. Eryk był zafascynowany i ciągnął za sobą Daria.

Wkrótce zaczęli wydawać dzikie przyjęcia w apartamencie Gina, hojnie częstowali gości kokainą, trawką i innymi rzeczami.

Po niedługim czasie relacje z bankietów dotarły do Costy, który jednak nie chciał w nie uwierzyć. Poinformował o tym Lucky, ta z kolei nie zdziwiła się. Podejrzewała to od dłuższego czasu.

— Pójdę z nim porozmawiać - powiedziała zmartwionemu Coście.

— Pójdziemy tam oboje.

Lucky zadzwoniła do brata i zapowiedziała swoją wizytę.

Dario odłożył słuchawkę. Nie przejmował się faktem, że siostra przejęła imperium Santangelo, był zadowolony, dopóki dostawał

pieniądze i nikt się nie wtrącał w jego sprawy. Ale teraz wydawało się, że dziwka poznała jego tajemnicę. Wszędzie miała szpiegów.

Gino pewnie nigdy nie wróci do Ameryki. Czas mijał, a nic się nie ułożyło. Dario co kilka miesięcy pisywał do ojca pełne szacunku listy i na tym kończył się ich kontakt. Gino nigdy nie odpisywał, ale Costa zapewniał go, że czyta listy i bardzo się z nich cieszy. W końcu przestał pisać i nikt nie miał do niego pretensji.

— Eryk, wyjdź i nie wracaj na razie — powiedział przyjacielowi. — Zobaczymy się później.

Siostra. Lucky. W białym kostiumie wyglądała na zimną, opanowaną i ostrą kobietę interesu. Costa — piesek na posyłki — oczywiście musiał jej towarzyszyć.

Mówiła bez ogródek.

— To musi się zmienić, Dario. Robisz publicznie rzeczy, które powinny być twoją prywatną sprawą. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Gdyby twój ojciec się dowiedział, zabiłoby go to. Czy nie możesz pójść do lekarza? Nie da się tego wyleczyć? — martwił się Costa.

Co ten stary baran sobie myślał? Że to odra?

— Mogę robić, co mi się podoba — powiedział, patrząc na Lucky. — Nie możesz mi niczego kazać ani zabronić.

Westchnęła.

— I w tym momencie bardzo się mylisz, braciszku. Jeżeli nie uspokoisz się, zadbam o to, żebyś miał kłopoty.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Pamiętasz te papiery, które podpisywałaś?

Pamiętał. Od czasu do czasu Costa lub Lucky prosili go do biura i dawali mu coś do podpisania. Nigdy ich nie czytał, po prostu podpisywał i wychodził. Teraz Lucky zaczęła spokojnie wyjaśniać mu, że przepisał wszystko na nią.

— Przeniesiesz się z tego mieszkania do czegoś mniejszego i dostaniesz ode mnie na utrzymanie. Może to odstraszy niektórych twoich

„przyjaciół”.

Spojrzał na nią.

— Jeżeli to zrobisz, zadzwonię do Gina.

— Proszę bardzo, nie krępuj się. Będzie zachwycony, kiedy o tym usłyszy. Dario zbladł.

— Nie powiesz mu.

Słowa nie były potrzebne, popatrzyła na niego w taki sposób, że nie było wątpliwości.

— Nie martw się, ja nie zdradzę twojego sekretu, braciszku. Jeśli będziesz robił, co ci każę, na pewno nie powiem ojcu. Aha, i zapomnij o narkotykach. Trawka to wszystko, do czego możesz się posunąć. Kapujesz?

Dziwka! Dziwka! Dziwka!

Kiedyś się odegra, tylko wymyśli jak. Przecież i on nazywa się Santangelo.

Steven

1975

Steven zaczął pracować jako oskarżyciel, okazał się nieugięty i odnosił sukcesy. Początkowo dziwnie się czuł stojąc po drugiej stronie barykady, ale po kilku tygodniach wiedział, że to właściwe zajęcie. Zwalczał skurwieli, którzy sprzedawali dzieciakom narkotyki, przekupywali policjantów, bili kobiety, gwałcili, torturowali, mordowali. Kiedy widział tych facetów za kratkami, odczuwał coś w rodzaju satysfakcji zawodowej, której zawsze poszukiwał.

Szybko zdobył reputację i adwokaci załamywali ręce, kiedy słyszeli, że oskarżycielem jest Steven Berkely.

Gliniarze natomiast z zadowoleniem przyjmowali wiadomość, że sprawa, nad którą pracowali długo i ciężko, trafiała w jego ręce.

Wygrywał. Nie przepuszczał żadnej oślizłej kreaturze. Przestępcy dostawali to, na co zasłużyli. Steven nie grał po to, by przegrywać.

Nie można go było przekupić, czym zjednywał sobie inspektorów, ciężko pracujących nad jakimś szczególnie skomplikowanym przypadkiem. Korupcja panowała wszędzie, obejmowała wszystkich: od zwykłych patroli ulicznych do oficerów.

Jednak Steven nie uległ temu. Na samym początku nowej kariery zaczepiło go na ulicy dwóch mężczyzn. Według nich, wszystkim wyszłoby na dobre, gdyby nieco „porozmawiali”.

Nie trzeba być geniuszem, żeby przewidzieć, o co chodzi. Steven właśnie pracował nad sprawą o wymuszenie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie

z planem, Louie Legs Lavinchi, przestępcza płotka, dostanie dziesięć albo jedenaście lat.

— W porządku — zgodził się. Szybko przemyślał ten krok. — porozmawiamy. Jutro o ósmej rano, u mnie.

Faceci byli bardzo zaskoczeni. Spodziewali się, że mu pójdzie z tym tak łatwo, że będzie trzeba przekonać go po przyjacielsku.

— Dlaczego nie możemy rozmawiać teraz? — zapytał jeden z nich. Steven rozejrzał się wokół.

— Uwierz mi na słowo, teraz nie jest odpowiednia pora. Jutro, ok? Zakłopotani mężczyźni pozwolili mu wejść do domu. Natychmiast zadzwonił do przełożonego i opowiedział mu, co zamierza

zrobić.

— Nagrywajcie to — nalegał. — Zgarniemy te szumowiny za próbę

przekupstwa.

Spokojnie, Steven, jesteś prawnikiem, a nie gliną, a to może być

niebezpieczne.

— Daj mi dobre wsparcie. Chcę to zrobić.

I zrobił. Nagrał ich na mały magnetofonik, ukryty w kieszeni marynarki. Najpierw próbowali go przekupić, później nastraszyć w imieniu Lavinciego.

Kiedy wręczali mu pieniądze, zostali aresztowani, a w końcu skazani na więzienie za „próbę przekupienia urzędnika państwowego oraz za pogróżki pod adresem tego samego urzędnika”. Louie Legs Lavinch został przymknięty na dwanaście lat, a pozycja Stevena umocniła się. Nie oglądał się za siebie. Przez cztery lata wykonywał pracę najlepiej, jak umiał, i przynosiła mu wiele zadowolenia.

Zaprzyjaźnił się z młodym czarnym detektywem Bobbym De Wa tern Bobby zajmował się narkotykami. Miał dwadzieścia kilka lat, ale wyglądał o dziesięć lat młodziej dzięki fryzurze afro i sportowym ciuchom. Zawsze uśmiechnięty, robił masę kawałów. Jednak pod tym wesołym usposobieniem krył się zawzięty policjant. Bobby De Walt rozwiązał więcej spraw z narkotykami niż którykolwiek inny chłopak z oddziału. Steven miał przyjemność oskarżania wielu ze złapanych przestępców.

Kiedy szli razem ulicą, wyglądali bardzo dziwnie. Steven sztywny i przystojny Bobby nieokiełznany i na luzie. Często przesiadywali w barze niedaleko sądu i prowadzili długie rozmowy. Czasem zaglądali do restauracji. Dobrze się ze sobą czuli. I obaj lubili kobiety.

Pewnej zimnej styczniowej nocy w 1975 Bobby zaskoczył Stevena słowami: — Musisz pójść ze mną jutro na kolację. Poznałem najwspanialszą lalkę na świecie. Facet, żenię się.

Steven nie mógł się doczekać spotkania. Bobby nie wydawał mu się gościem skorym do ożenku, ale kiedy poznał Sue-Ann, przestał się dziwić. Dziewiętnastolatka z kręconymi włosami, słodkim uśmiechem i jeszcze słodszy sposobem bycia.

Bobby nie zwlekał z ustaleniem daty ślubu. Już po miesiącu Steven siedział w kościele w roli świadka. Tam poznał Aileen, kuzynkę panny młodej.

Zauważył ją natychmiast. Wysoka, atrakcyjna dziewczyna, pracowała jako tłumaczka dla ONZ i mieszkała z rodzicami w przytulnym domku na 72 ulicy.

Cztery razy zaprosił ją na wieczór, ale kiedy przy ostatnim spotkaniu odmówiła pójścia z nim do łóżka, przestał się z nią spotykać. Zrobił

to delikatnie.

Spotykał się z innymi dziewczynami, ale nie mógł o niej zapomnieć. Aileen była jedyną dziewczyną, która mu odmówiła. Inne zawsze zdobywał, nawet te szanujące się. Żyli w czasach pigułek antykoncepcyjnych i walki o równouprawnienie kobiet, tym bardziej dziwił

się i nie przestał o niej myśleć.

Zupełnie niespodziewanie Carrie zauważyła na sobie ślady czasu.

Kiedy patrzyła w lustro, widziała tę samą twarz, tę samą gładką skórę i kilka zmarszczek przypominających, że miała już ponad sześćdziesiąt lat. Jednak wewnątrz czuła się staro, jakby była martwa, nie potrafiła otrząsnąć się z tego uczucia.

Czym stało się jej życie? Przez trzydzieści dwa lata żyła kłamstwem, nawet własnemu synowi nie powiedziała prawdy. Szczególnie jemu nie mogła tego powiedzieć, jemu, który przez całe życie zwalczał ludzi, z którymi wyrosła, naciągaczy, alfonsów i dziwki. Nie wszyscy są tacy źli. Steven. Czasami ludzie robią pewne rzeczy, bo nie mają wyboru.

Często leżała rano w łóżku i wspominała. Whitejack. Co to był za facet, jak bardzo go kochała. Kiedy było dobrze, było bardzo dobrze.

Ona' Whitejack i Lucille... jazz, „Mały Raj”, „Cotton Club”, ciuchy, taniec i miłość... Najpierw było wspaniale, dopóki Dolly, duża, biała Doiły... i narkotyki...

Wyciągnęła ręce spod kołdry i obejrzała ślady po igłach, tak już wyblakłe, że ktoś, kto o nich nie wiedział, nie mógł ich zobaczyć.

Wróciła myślami do czasu spędzonego w zakładzie. Niewiele pamiętała z tych długich, pustych lat.

Potem pomyślała o Bernardzie i uśmiechnęła się. Wiedział o niej wszystko, a mimo to kochał ją.

Elliott był zupełnie inny. Traktował ją jak ozdobę, jak własność. Poślubił ją z jakiś swoich powodów. Możliwe, że coś podejrzewał, dostrzegał coś w jej oczach, we wspaniale urządzonej sypialni traktował ją zawsze jak dziwkę.

Najgorszy był fakt, że godziła się na to, akceptowała to, przez co zachęcała go do takiego postępowania. Nie miała pieniędzy ani pozycji, trzymała się więc go jak opoki.

Teraz jednak był stary, potrzeby seksualne zmniejszyły się. Pewnego dnia zabraknie go. Ta myśl bardzo ją przestraszyła. Nie chciała zostać sama, nie umiałaby żyć sama.

Telefon przerwał jej myśli. Postanowiła nie odbierać, ale pomyślała, że mógłby to być Steven, więc podniosła słuchawkę.

— Carrie? Jak się masz?

Jerry Meyerson. Oczywiście. Nie było tygodnia, żeby nie zadzwonił. Fakt, że trzydziestosześcioletni facet mógł być w niej zakochany, bardzo jej pochlebiał. Westchnęła zmęczona.

— Cześć, Jerry. Jak leci?

— Doskonale. Ale ty jesteś jakaś nieswoja.

— Mam kiepski nastrój.

— To nic, postaram się cię rozweselić. Idziemy na obiad do „Czterech Pór Roku”.

— Nie dziś, Jerry.

— Dziś. Prowadzę niesamowitą sprawę rozwodową, na pewno chętnie dowiesz się, o co chodzi. Będziesz płakać i śmiać się na przemian. Przejdzie ci chandra.

Pomyślała o nowej sukni od Saint Laurenta i zdecydowała, że wyjście do miasta będzie lepsze od spędzenia całego dnia w łóżku.

— Zobaczę...

— Świetnie. Spotkamy się o pierwszej. Nie spóźnij się.

Bobby De Walt od kilku miesięcy pracował nad pewną sprawą. Jego żona Sue-Ann była w ciąży, nie miała okazji widywać go za często.

Steven często wpadał z wizytą i dotrzymywał jej towarzystwa.

Pewnego wieczoru, kiedy ją odwiedził, zastał tam Aileen. Nie widzieli się od ośmiu miesięcy. Oboje byli tak samo zaskoczeni spotkaniem.

Oboje spojrzeli na Sue-Ann, która tylko wzruszyła ramionami.

— Żadnego z was się nie spodziewałam.

— Nie mogę długo siedzieć — zapowiedziała Aileen. Wpadłam na chwilę sprawdzić, jak sobie radzisz.

— Ja też nie mogę długo zostać — szybko powiedział Steven.

— Ale na pewno oboje możecie coś zjeść — mruknęła Sue-Ann, uśmiechając się słodko po swojemu i stawiając przed nimi gorące żeberka i niemiecką sałatkę ziemniaczaną.

W Stevenie szybko obudził się apetyt.

— Chyba znajdę chwilę na parę kęsów — powiedział siadając przy stole. Aileen nie jadła przez cały dzień. Spojrzała na jedzenie, na Stevena

i w końcu usiadła.

— Muszę zadzwonić do matki. — Sue-Ann zostawiła ich samych.

— Co się u ciebie działo? — zapytał Steven żując kawałek żeberka. Aileen nałożyła sobie sporą porcję kukurydzy i odpowiedziała:

— Byłam zajęta. A ty?

— Ja też.

Pomyślał o ich ostatnim spotkaniu. Poszli do kina, potem do dobrej chińskiej restauracji. Następnie zupełnie zwyczajnie zaproponował, aby poszli do niego. Był tak przekonany, że się zgodzi, że już jechał w kierunku domu.

— Nie — powiedziała — nie chcę. Zawieź mnie do domu.

Zrobił, jak prosiła, a przed drzwiami poinformował ją, że nic będą się więcej spotykać.

— Nie szukam stałej znajomości — powiedział.

Tęsknił za nią. Lubił z nią wychodzić. Taką dziewczynę mógłby nawet zaprowadzić do Carrie.

Zabrał się za następne żeberko i zapytał:

— Spotykałaś się z kimś? Uśmiechnęła się delikatnie.

— Czasami. Ale robię coś, przez co nikt nie umawia się ze mną na trzecią czy czwartą randkę.

Zaśmiał się.

— Chcesz chyba powiedzieć, że czegoś nie robisz? Wzięła żeberko i zaczęła obgryzać. Zdecydował, że była warta jeszcze jednej próby.

— Może pójdziemy do kina w przyszłym tygodni? Spojrzała na niego poważnie.

— Nie zmieniałam się, Steven. Nadal mam te same... zasady.

— Nie chciałbym spotykać się z tobą, gdyby było inaczej. Może we wtorek?

Sue-Ann wróciła do pokoju. Była w siódmym miesiącu ciąży.

- No i jak? zapytała- — Zamierzacie znów się spotykać, czy przez cały dzień gotowałam na próżno?

Steven był w sądzie, kiedy o tym usłyszał. Szeptano po kątach i fragmenty dotarły do niego. W czasie akcji raniono Bobby'ego De Walta Dwaj mężczyźni dopadli go w piwnicy domu w Harlemie, pobili i usiłowali zasztyletować. Wyczołgał się na ulicę, teraz był na intensywnej terapii. Steven poprosił o odroczenie sprawy pojechał prosto do szpitala.

Spotkał Sue-Ann, jej słodka twarz tonęła we łzach. Przytuliła się do niego i wyszeptwała:

— Dlaczego mój Bobby? Dlaczego?

Steven odszukał lekarza, który badał Bobby'ego zaraz po przewiezieniu do szpitala.

— Czy jest z nim bardzo źle?

— Nie najlepiej. Stracił dużo krwi przez rany od noża ma kilka złamanych żeber. Ale jeżeli jest silny, wyjdzie z tego.

— To silny facet. Wieczorem przyjechała Aileen.

— Przybiegłam, kiedy tylko się dowiedziałam. W jakim jest stanie?

— Trzyma się — poinformował ją smutno Steven.

Bobby walczył przez dwa dni, w końcu wygrał i zaczął wracać do zdrowia. Założono mu siedemdziesiąt dwa szwy, zebra miał w gipsie, ale już zaczął się uśmiechać.

Najbliższe tygodnie i miesiące nie były dla Bobby'ego łatwe. Chciał wyjść ze szpitala i wrócić do pracy.

— Niech to diabli, człowieku, chcę znów być w akcji — narzekał. — Byłem już tak blisko, tak cholernie blisko.

— Za blisko.

— Nie ma takiej odległości.

Steven spędzał dużo czasu z De Waltami, podobnie jak Aileen. Miała silną osobowość, podtrzymywała ich na duchu. W końcu przyjeżdżał po nią po pracy, jeśli miał czas, i razem jechali do Bobby'ego i Sue-Ann. Polubił to.

— Powinniście się pobrać żartował Bobby. — Dobrze razem wyglądacie, jakoś pasujecie do siebie.

Steven wcześniej o tym nie myślał, ale postanowił przedstawić Aileen Carrie któregoś dnia i zobaczyć, co matka o niej myśli.

Bobby był już na dobrej drodze i szybko wracał do zdrowia. Sue-Ann urodziła śliczną dziewczynkę, a Bobby chciał wrócić do pracy.

Pewnego dnia przyszedł do biura Stevena pełen informacji, faktów i kipiący gniewem na myśl, że był bardzo blisko rozwiązania największej zagadki w jego dotychczasowej karierze.

— Słuchaj — powiedział — mam dość materiałów, aby wszcząć śledztwo w śmierdzącej sprawie tego cholernego sukinsyna Bonnattiego. On wszystkim kieruje i chyba możemy go przygwoździć.

— Skąd jesteś taki pewien? — zapytał Steven, którego ciekawość została dostatecznie rozbudzona. Złapanie kogoś takiego jak Euzio Bonnatti należało do marzeń każdego prokuratora.

— Mam instynkt — powiedział Bobby łąjąc po pokoju. Mam też gogusiów, których można zmusić do złożenia zeznań. Mam świadków, poznałem wielu ludzi, którzy chętnie obejrzeliby upadek

Bonnattiego. Wiem, że byłem blisko złowienia tej ryby. Któż inny chciałby się mnie pozbyć?

— Myślisz, że napadli na ciebie ludzie Bonnattiego?

— Jestem tego pewien. Mają swoje wtyki, przejrzeni mnie. Steven w zamyśleniu pukał palcami w stół.

— Co proponujesz.

Powinniśmy ustanowić specjalną komisję do zbadania Bonnattiego. Gdybyś ty się zajął zwołaniem komisji, nikt by ci nie przeszkodził, masz za dobrą pozycję.

Steven wiedział, że to prawda. Już dwukrotnie proszono go o powołanie zespołu śledczego w różnych sprawach. Odmówił, ponieważ nie interesowało go to. Enzo Bonnatti jednak należał do najgorszych z najgorszych, niebezpieczny bandyta, który zaczął w Chicago jako przemytnik alkoholu w latach dwudziestych, a obecnie kontrolował większą część zbrodni w Nowym Jorku. Głównie narkotyki i prostytutkę.

— Dwa razy postawiono go w stan oskarżenia — powiedział.

— Tak. I zawsze kogoś przekupił. Albo pozbył się świadków. Albo zdarzyło się coś innego, co pozwoliło mu pozostać na wolności.

Bobby nie mógł usiedzieć w miejscu, bez przerwy musiał się ruszać. Rozzłoszczony uderzył pięścią w stół.

— Możesz go dostać. Masz styl i umiałbyś to zrobić, człowieku. Jeżeli ty się za kogoś zabierasz, nie może się nie udać. I co powiesz?

— Pomyślę o tym. Jesteś zadowolony? Bobby roześmiał się.

— Chłopie, właśnie powiedziałeś tak. Pogrzebiesz w życiorysie tego skurwysyna i nie odpuścisz mu, póki czegoś nie znajdziesz. Znam cię.

— Tak myślisz?

— Kochany, postawiłbym na ciebie moje lewe jajo. A tego łatwo się nie zastawia.

Lucky

1975

Reflektory biły w niebo, woda z podświetlonych fontann układała się w napis „Magiriano”. Ciąg limuzyn podjeżdżał pod wejście. Hotel przypominał ogromny, biały mauretański zamek imponujący, wspaniałe, niezwykłe.

Marco w nowym czarnym jedwabnym garniturze kręcił się po westybulu, wszystko kontrolował. Udało się. Zajęło jej to pięć długich lat kłopotów, problemów, dawania łapówek, podchodów i straszenia, ale postawiła hotel nie z tej ziemi.

Mała Lucky. Córka Gina, prawdziwa Santangelo. Gdyby Gino mógł widzieć, czego dokonała, byłby dumny.

Oczywiście on, Marco pomagał jej. Kierował ją we właściwą stronę, zapewniał jej poparcie i ochronę, uważał, aby nie zrobiła fałszywego kroku.

Świetna uczennica! Podchodziła do spraw w sposób, który okazywał się właściwy. Zupełnie jakby miała w głowie komputer, który opracowywał umowy i liczył procenty szybciej, niż czynili to inni.

Zauważył idącego w jego kierunku Skipa, smukłego faceta, zajmującego się dla Lucky prasą. Szybko odwrócił się i poszedł w inną stronę. Gość go denerwował, strasznie przemądrzały i gadatliwy. Marco wiedział, że z nim sypiała, i świadomość tego nie dawała mu spokoju. Dlaczego puszczała się jak tania dziwka? Porzebny jej był mężczyzna. Ale jakich mężczyzn znała do tej pory? Craven Richmond to zero. Przystojnych ogierów na jedną noc, tenisowych podrywaczy, głupkowatych aktorów, ładnych chłopców. Widział, jak przychodzą i odchodzą. Gino dostałby zawału, gdyby dowiedział się o jej wyczynach. Ale dziwka czy nie, Marco jej pragnał... od bardzo dawna... i dziś nadszedł czas.

Piękną Helenę wysłał do Los Angeles.

— Przydadzą ci się wakacje, posiedź nad basenem w Beverly Hills, kup trochę ciuchów. Zaslugujesz na odpoczynek.

— Ależ Marco, to otwarcie. Mam nową suknię. Nie mogę wyjechać na otwarcie.

— Oczywiście, że możesz. Poza tym będę zbyt zajęty, aby się tobą zajmować.

Żegnaj Heleno. Tylko na pewien czas. Lucky Santangelo i ja mamy pewien nie dokończony interes do zrobienia.

Lucky stała pod lodowatym prysznicem i z zadowoleniem stwierdziła, że dziś zimna woda była naprawdę zimna. Poprzedniego dnia była ciepława.

— To początkowe kłopoty, pani Santangelo — wszyscy ją zapewniali. — Proszę się nie martwić, zadbamy o to.

Po tym następował ukłon, szurnięcie butami, podlizywanie się. Jak jej się to podobało! Jak to kochała!

Wyszła spod prysznic w prywatnej łazience, bardzo luksusowej nawet według najwyższych standardów. Na podłodze leżało białe futro z lamy, na ścianach freski przedstawiające dżunglę, alabastrowa armatura i wyposażenie.

Owinęła się we frotowy szlafrok i przeszła do nowoczesnej, prostej sypialni. Jedyne łóżko było luksusowe, pokryte czarną jedwabną pościelą i tygrysimi skórami.

Usiadła na łóżku i zadzwoniła do obsługi.

— Nie łączcie mnie przez godzinę, nie ma znaczenia, kto będzie dzwonił. Później wstała, zdjęła szlafrok, zgasiła światło i wśliznęła się pod czarną

jedwabną pościel.

Jak tylko zamknęła oczy, przypomniała sobie o milionie rzeczy do zrobienia i nie mogła zasnąć.

Myślała o wskazówkach od instruktora yogi. Należy wyłączyć się centymetr po centymetrze. Najpierw palce u nóg, potem stopy, kolana, uda... niewykonalne. Była zbyt podniecona.

Leżała naga pod miłą kołdrą i zastanawiała się, kto będzie z nią dziś w nocy. Właściwie nie miało to znaczenia. Wszyscy byli jednakowi, przystojni ciemnowłosi chłopcy od sprawiania przyjemności. Wymienne ogiery.

Oczywiście z wyjątkiem Marca. Kochany, żonaty Marco. Skurwysyn. Pragnęła go jak zawsze, ale na stałe, tymczasem nie zanosilo się, aby zamierzał porzucić wspaniałą Helenę.

Niech to diabli! Nie mogła zasnąć. Wstała i przeszła do salonu. Wielkie okna ze szlifowanego szkła wychodziły na taras. Otwierały się za naciśnięciem guzika. Wyszła na taras, wciąż naga. Dopiero siódma, powietrze na dworze wydawało się gorące w porównaniu z chłodem klimatyzowanego pokoju.

Miała przed sobą wieczór zwycięstwa, otwarcie wymarzonego hotelu Gina, „Magiriano”. Dzięki niej jest to możliwe.

Wsadziła ręce we włosy, zwinęła je na czubku głowy, potem pozwoliła im opaść swobodnie i westchnęła. Lucky Santangelo. Tak.

Wydawało im się, że

mają do czynienia z dupką. Przekonali się w twardy sposób że trafili na Santangelo.

Costa przyjechał tydzień wcześniej. Nie mógł uwierzyć, że ten dzień naprawdę nadchodzi. Boże! Wydawało się, że problemy z postawieniem tego hotelu są nie do pokonania. Lucky poradziła sobie ze wszystkim. Dogłądanie budowy stało się jej życiem.

Otaczała się najlepszymi ludźmi, był na przykład Marco, który uczył się u samego Gina. Przez dziewięć lat prowadził „Mirage”, bardzo trudne i delikatne zadanie. Był przygotowany na robienie tego samego w nowym hotelu. No i oczywiście miał swoich ludzi, którzy teraz należeli także do Lucky. Wszyscy tworzyli jedną rodzinę. Wszyscy doglądali interesów Gina.

Oprócz tego Lucky miała wpływowego patrona w osobie Enzia Bonnat-tiego, jej ojca chrzestnego, który jej wiele doradził.

Nauczyła się ostrożności. Nie ruszała się z miejsca bez swojego kierowcy Boogie'ego Pattersona. Bardzo niski, wychudzony, z długimi włosami. Zawsze nosił brudne spodnie i starą kurtkę moro. Dwudziestoosmioletni weteran z Wietnamu, wyrzutek.

Lucky lubiła go, ponieważ nigdy się nie odzywał. Wystarczało, że musiała mieć goryla, gadatliwy goryl byłby nie do zniesienia.

Tak, Costa zauważył, że Lucky doskonale wiedziała, co robi. Nie tak jak perwersyjny Dario, jak go nazywał po cichu. Co stanie się z tym chłopakiem? Co się stanie, kiedy dowie się Gino?

Jeśli kiedykolwiek się dowie. Szanse na sprowadzenie go do Ameryki były nikłe. Costa poruszył wszelkie powiązania, jakie miał, spróbował wszystkiego. Ale po wstrząsie w Waszyngtonie, wywołanym aferą Watergate i rezygnacją Nixona, nikt nie czuł się bezpieczny. Używał kruczków prawnych, łapówek, zastraszenia. Rozmawiał z wpływowymi przyjaciółmi Gina, ludźmi, którzy wiele mu zawdzięczali — sędziami, politykami, wysoko postawionymi urzędnikami policji. Nikt nie chciał być wmieszany. Sprawa podatków Gina Santangelo wciąż śmierdziała. Jedyne urząd podatkowy chciałby go zobaczyć, tylko po to, aby go wykończyć.

Cały system był skorumpowany, jednak Costa nie umiał znaleźć wejścia. Próbował przez pełne pięć lat. I będzie próbował dalej, nawet jeśli zajęłoby mu to wieczność. Gino polegał na nim. Musi mu się udać.

Zmiana trybu życia zdenerwowała Daria, jednak nie do tego stopnia, aby coś zrobił. Nadal żył dla przyjemności. Przyjęcia były nieco spokojniejsze, dostęp do narkotyków utrudniony, ale wciąż robił to, co lubił, ignorując kazania Lucky i Costy. Do diabła, co oni sobie myśleli? Nie musiał z nimi rozmawiać.

Pewnego dnia dał się aresztować. To rzeczywiście głupota. Jakiś dzieciak doniósł, że został związany, pobity i zgwałcony przez kilku mężczyzn. Zda-

rzyło się to w mieszkaniu Daria. Niewiele pamiętał. Eryk sprowadził do domu wydelikaczonego szesnastolatka, który przez cały czas jęczał z rozkoszy. Dario nawet się nie przyłączył, w sypialni zajmował się pewnym żonatym facetem, który wyrywał się z domu raz w miesiącu i pałał chęcią wyżycia się.

Cholera! Dać się zamknąć za coś, do czego nie przyłożył ręki! Costa wszystko załatwił. Biały ze złości powiedział:

— Wystarczy. Koniec numerów. Musisz zacząć szanować nazwisko Santangelo.

Potem razem z tą dziwką siostrzyczką zredukowali mu dopływ pieniędzy do wysokości jałmużny i kazali Erykowi wynieść się z miasta.

Dario nie miał o to pretensji. Wyjazd Eryka przyniósł mu pewną ulgę.

Kiedy dostał zaproszenie na otwarcie „Magiriano”, nie mógł się zdecydować, czy pojedzie czy nie.

Costa zadzwonił i poinformował go:

— Musisz być obecny. Tego się od ciebie oczekuje. Ale kto tego oczekiwał? Puszczalska siostra?

— Nie mogę — uciął krótko.

Później, kiedy to przemyślał, doszedł do wniosku, że Lucky prawdopodobnie chodzi właśnie o to, aby nie przyjechał. Zdecydował więc, że pojedzie. Może wymyśli jakiś sposób na popsucie wieczoru. Dlaczego nie? Zasługiwała na to.

Lucky podeszła na brzeg tarasu i wychyliła się. Widok zapierał dech miasto migoczących świateł, neonowy raj. Niedługo będzie musiała się ubrać i zejść witać gości. Przyjechali z wielu stron kraju na otwarcie. Wydarzenie było godne gwiazd, które miały pokazać się w Vegas.

Costa wielokrotnie opowiadał jej o otwarciu „Mirage”.

— Coś wspaniałego. Gino wystąpił niczym król przypominał sobie z błyszczącymi oczami.

Dziś wieczorem ona będzie królową. Założy czarną suknię od Halstona, dobrała do niej biżuterię z brylantów i szmaragdów. Sama je kupiła, nie potrzebowała prezentów od mężczyzn. Nie potrzebowała mężczyzn — kropka. No, może czasami... ze względów fizjologicznych. Uśmiechnęła się delikatnie do siebie i wróciła do pokoju.

Kiedy skończyła skomplikowany makijaż, włożyła suknię. Doskonała, jedwabny dżersej był podniecający, opływał ją jakby erotycznie.

Wyszczotkowała czarne, lśniące włosy i podpięła je hebanowymi grzebieniami.

Miała dwadzieścia pięć lat, władzę, kontrolę, wszystko, o czym marzyła.

Z wyjątkiem Marca.

Pewnego dnia dostanie i jego — i może kiedy to się w końcu stanie, przestanie go pragnąć. Może...

Marco osobiście ucisnął dłoń Enzia Bonnattiego. Starszemu panu towarzyszył jego syn Carlo i tępa blondynka, której nikt nie pokusił

się przedstawić. Gdzieś w tle czekało dwóch goryli.

— Lucky bardzo się cieszy, że przyjechaliście — powiedział pełen szacunku Marco. — Zadzwoń do niej i dam znać, że jesteście.

Enzio skinął głową.

— Dobrze. Chciałbym ją zobaczyć. Chcę pogadać z nią i z tobą. Głos zestarzał się mu podobnie jak ciało i Marco musiał wyęźać słuch, aby go zrozumieć. Pamiętał, jak Gino zabrał go po raz pierwszy do Enzia Bonnattiego. Miał wtedy dopiero siedem lat, ale silne wrażenie pamiętał doskonale.

Odprowadził Enzia i jego towarzystwo do najlepszego stolika na sali. Trzy butelki jego ulubionej szkockiej, kawior, orzeszki pistacjowe i kurczak na zimno stały już przygotowane.

Enzio uśmiechnął się.

— Podaliście moje przysmaki. Czy Lucky o to zadbała?

— Oczywiście — potwierdził Marco. Twarz Enzia rozjaśniła się.

— Ta dziewczyna o niczym nie zapomina, dlatego udaje jej się. Nie tak jak brat, jak mu tam na imię. Dochodzą do mnie plotki. Co o tym myślisz, Marco? Czy chłopak jest nie całkiem normalny? Czy prawdą jest to, co słyszę?

Marco wzruszył ramionami.

— Nie wiem, nigdy go nie widuję.

— Gino porachowałby mu kości. Każdy mężczyzna by to zrobił, gdyby jego syn... — Enzio urwał na widok przechodzącej smukłej blondynki. — Kim jest ta panienka z cyckami? — zapytał ignorując ostre spojrzenie swojej dziewczyny.

Marco roześmiał się. Starszy gość, ale nie przestał się rozglądać.

— Nie wiem. Jeśli chcesz, mogę się dowiedzieć.

— Dowiedz się. Może taki starszy jegomość jak ja wyświadczy jej przysługę albo dwie.

Dario wsiadł na lotnisku w taksówkę. Żaden samochód na niego nie czekał. Niby czemu miałby czekać? Był tylko synem, nic nie znaczył. Wygodnie dla siebie zapomniał, że nikogo nie poinformował o swoim przyjeździe.

— Słyszałem, że ten hotel kosztował więcej niż „Cezar” i „Hilton” razem wzięte. Co o tym sądzisz?
— zapytał taksówkarz.

Dario nie odpowiedział. Gapił się w okno i rozważał swoje położenie. Przyznali mu na utrzymanie dwieście pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. Jego porsche miał już pięć lat. Czyny za mieszkanie i niektóre rachunki płaciło biuro. I to wszystko. To wszystko, do kurwy nędzy.

— Ja osobiście lubię „Cyrk Cyrków” — ciągnął taksówkarz, nie zwracając uwagi na milczenie pasażera. — Można się tam zabawić, zabrać dzieciaki, nikt ci nie przeszkadza.

Dario pomyślał, że to prawda. Nikt mu nie przeszkadzał. Dopóki siedział cicho i nie wtrącał się, mógł żyć tak jak chciał. Od wyjazdu Eryka nie miał nikogo na stałe. Podobały mu się spotkania z nieznanymi, żadnych zobowiązań. Zwykły „uliczny” seks z ciemnowłosymi chłopcami. Po Eryku nie miał ochoty na blondynów. Nie chciał pieprzyć albo być pieprzonym przez własne lustrzane odbicie. Nie wydawał też więcej przyjęć. Nie chciał, aby zabrali mu całą forszę, a właśnie tym grozili Lucky i Costa, gdyby sprawił

więcej kłopotów.

— Chce pan wysiąść tutaj? — zapytał taksówkarz, kiedy dojechali do chodnika przed długim podjazdem. — Jeśli wjadę w ten sznur samochodów, będziemy uwięzieni do jutra.

Dario zapłacił i wysiadł. Wieczorowy garnitur przewiesił przez ramię. Taksówka odjechała, a on stał gapiąc się na oświetlony hotel z pewnej odległości. Rzeczywiście, świecący, biały pałac. Budowa musiała kosztować grube miliony. A on dostawał marne dwieście pięćdziesiąt na tydzień.

To musi się zmienić. Dziś.

Zdecydowanie pomaszerował w kierunku hotelu.

Lucky zwykle nie miewała tremy. Tego wieczora jednak było inaczej. Ubrana i gotowa, trzęsła się jak czternastolatka przed pierwszą randką. Podskoczyła, kiedy usłyszała dzwonek przy drzwiach.

— Kto tam?

— Costa.

Otworzyła drzwi i uścisnęła go.

— Kocham cię — powiedziała podniecona. — Dałeś mi szansę zrobienia czegoś i uwierzyłeś we mnie.

Też ją uścisnął. Pokręciła się po pokoju. Nigdy dotąd nie widział jej tak pięknej i tętniącej życiem.

— Szampan! — Promieniała. — Wiem, że nie pijesz, ale dziś wieczór, dla mnie...

— Bąbelki powodują u mnie niestrawność — zaczął.

— Bzdura — zawyrokowała wręczając mu kieliszek. — Wypijmy za „Magiriano”. Niech kasyno przebije wszystkie w Las Vegas!

Stuknęli się kieliszkami. Potem Costa powiedział:

— Za Gina, który to zaplanował. Odwróciła się od niego, twarz zachmurzyła się.

— Nie psuj mi wieczoru.

— Lucky — mówił cicho Costa — bez twojego ojca nie byłoby to możliwe. Nie możesz zawsze trzymać podniesionej tarczy przeciw niemu.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ pewnego dnia wróci i przejmie interesy. Będziesz musiała nauczyć się akceptować jego i jego pomysły.

— Nigdy nie wróci — powiedziała gorąco. — Upłynęło już tyle czasu. Nigdy go nie wpuszczą.

— Zadbam o to, żeby wpuścili.

Patrzyła na Costę niepewnie, nie wiedziała, jak ma go przekonać, że Gino powinien zostać tam, gdzie był. Dzwonek do drzwi nie pozwolił jej nic powiedzieć.

— Skip — usłyszała zza drzwi. Czy jesteś już gotowa do zejścia na dół? Przybyła masa osobistości, z którymi chciałbym ci zrobić zdjęcia.

Otworzyła drzwi i przyjrzała się swojemu człowiekowi od prasy.

— Powiedziałam ci, że nic chcę rozgłosu wokół siebie. — Wiem, ale myślałem, że dzisiaj, na otwarcie...

— Nie, Skip. Na pewno nie. — Zamknęła mu drzwi przed nosem. Dlaczego zawsze chodziła do łóżka z głupkami? Miał orgazm tak samo

szybko, jak mówił. Odwróciła się do Costy i wyciągnęła rękę.

Chodźmy zobaczyć, czy wieczór trzyma się kupy. Przez cały tydzień śniły mi się koszmary, że cały ten hotel rozpada się na kawałki, a ja siedzę naga pośrodku i słyszę, jak wszyscy krzyczą: ty ofiario, kobieta nigdy tego nie zrobi!

Costa ujął ją za rękę i poprowadził do drzwi.

- Lucky — powiedział poważnie — nikt nigdy nie nazwie cię ofiarą, obiecuję ci to.

Marco przyglądał się, jak weszli. Lucky cudownie wyglądająca w czerni, oczy pełne aroganckiej dzikości, piersi częściowo widoczne przez duży dekolt, Costa dumny, trzymający ją pod ramię w władczy sposób.

Podszedł do nich, kiedy zatrzymali się przy wejściu. Przyjęcie już trwało od pewnego czasu, wyglądało jak imponujący pochód gwiazd, producentów, potentatów finansowych, sportowców, dziwek, naciągaczy i różnego rodzaju wesołków.

Marco cmoknął Lucky cnotliwie w policzek.

— Wyglądasz zupełnie... zwyczajnie — zażartował. Zaśmiała się.

— Gdzie Helena?

— To zabawne, ale nie ma jej.

— Dlaczego?

Spojrzał na nią znacząco.

— Dobrze wiesz, dlaczego.

— Czyżby?

— To specjalny wieczór, prawda?

- Wciąż jesteś żonaty.

Słuchaj — przysunął się blisko, a głos nabrał niskiej barwy. — Myślę, że nadszedł czas abyś zrobiła wyjątek.

Serce biło jej tak mocno, jakby właśnie zrobiła dziesięć okrążeń biegiem wokół Times Square.

— Nigdy nie robię wyjątków — szepnęła ochryple. Ale wiedziała, że dziś w nocy robi.

— Zawsze musi być pierwszy raz, prawda?

Ich oczy spotkały się w porozumiewawczym spojrzeniu.

— Czy Enzo już przyjechał? — zapytał Costa niecierpliwie. Nie podobało mu się to, co widział.

— Tak, parę minut temu. Właśnie miałem zamiar po was zadzwonić.

— Chodźmy, Lucky — powiedział Costa. — Przywitamy go. Uśmiechnęła się.

— Oczywiście. — Delikatnie dotknęła ręki Marca. — Później.

Warris Charters uważnie obserwował wszystko ze swojego miejsca przy barze. Starszy i bardziej cwany Warris Charters. Dokładnie czterdzieści jeden lat. Wyglądał inaczej. Przede wszystkim ufarbował na czarno włosy i brwi. Oprócz tego miał rozpustne wory pod oczami, a niegdyś piękne zęby rozsunęły się, pozostawiając ohydne starcze dziury.

Przez ostatnie dziewięć lat nie wiodło mu się najlepiej. Wyrzucenie na deszcz z willi w Cannes nie wyszło mu na zdrowie. Dostał

ciężkiego zapalenia płuc i znalazł się w miejscowym szpitalu na oddziale dla ubogich. Mało brakowało, a umarłby, nikt się o niego nie zatroszczył.

Kiedy wydobrzeł, starał się skontaktować z Olimpią. Niewykonalne. Jeżeli rodzice bogatej dziewczyny chcą, aby zniknęła, znika i nikt nie jest w stanie jej odnaleźć. Po pewnym czasie zaprzestał prób i wprowadził się do zaprzyjaźnionej dziwki, kończącej właśnie sezon turystyczny. W styczniu przenieśli się do Paryża, dziewczyna jednak zapomniała uprzedzić go, że ma stałego alfonsa. Warris znów znalazł się w szpitalu, tym razem z połamanymi zębami.

W końcu wrócił do Madrytu, gdzie odnalazł starych kumpli: handlarzy narkotyków, ćpunów, lekkoduchów. Zarabiał organizując pokazy seksu na żywo i odłożył pieniądze na nakręcenie filmu porno. Aktor zrezygnował w ostatniej chwili i Warris zajął jego miejsce stąd ufarbowane włosy. Miał pewne skrupuły. Gdzieś mieszkała jego matka. Nie chciał, aby go rozpoznano.

Film odniósł niewielki sukces w Europie, przyniósł mu dość pieniędzy na powrót do Ameryki, gdzie nakręcił więcej podobnych rzeczy w przystosowanym garażu w Pasadenie. Nie miał kłopotów ze znalezieniem aktorów. Dziewczyny napływały do Los Angeles bez przerwy, chciały grać w filmach. Dla niektórych nie miało znaczenia, jakie to filmy. Żył dość wygodnie, prowadził bujne życie seksualne i przez cały czas marzył, aby wrócić do prawdziwej pracy. Zatrzymał scenariusz *Śmiertelnego strzału* — wprawdzie należał

do Pippy, ale teraz był jego. Nikt mu nie dowiedzie, że jest inaczej. Pisarz zmarł siedem lat temu, sprawdził to.

Śmiertelny strzał nadal miał według Warrisa dużą wartość. Oczywiście wymagał pewnych zmian, ale akcja wciągała. Czas tego nie zmienił.

Długo myślał nad tym, jak zrealizować film. Sfinansowanie przedsięwzięcia przypominało przejście tyłem po linie zawieszony nad Wielkim Kanionem Kolorado — nie było łatwe. I oto pewnego dnia coś spłynęło na niego jak złoty deszcz. Znalazł się w Vegas z czarną dziwką i jej chłopakiem karciarzem. Włóczyli się po hotelach i w jednym z nich dziwka wskazała na kogoś kościstym palcem.

Widzicie tamtą dupę? To córka Gina Santangelo. Pojmujecie? Mówią, że ma jaja jak jej stary. Jezu! Bardzo chciałabym je wylizać.

Warris spojrzał. Odwrócił się. Znów spojrzał. Lucky. Niemożliwe. To prawda.

Lucky Saint. Lucky Santangelo.

Pippa musiała wiedzieć. Dlaczego ta głupia cipa mu nie powiedziała?

W tym momencie zaczął sobie układać w głowie fakty. Kiedy Pippa po raz pierwszy dała mu scenariusz, powiedziała, że to prawdziwa historia: życie Gina Santangelo. Kto słyszał wtedy o Ginie Santangelo? Jedyne wiadomości, jakie miał Warris, pochodziły z Variety.

Ale nazwisko powracało przez lata. Podobnie jak Mickey Cohen, Meyer Lansky — było znane, ale tajemnicze.

Zawsze starał się dowiedzieć najwięcej, jak mógł. Kiedy zebrał wystarczającą ilość informacji, zdecydował udać się do Lucky ze scenariuszem i nakłonić ją do przedstawienia go ojcu. Wychodził z

założenia, że Gino będzie chciał film zrobić — wtedy chętnie zapłaci

— albo nie będzie chciał i wtedy chętnie sfinansuje inny film Warrisa przy założeniu, że wszystkie kopie *Śmiertelnego strzału* zostaną zniszczone.

Nie mogło się nie udać. Lucky będzie łącznikiem. Tylko że trzeba to zrobić osobiście, a niełatwo się do niej dostać. W końcu udało mu się kupić zaproszenie na otwarcie hotelu od gwiazdki porno, która sama była zaproszona przez Małego Martino. Zapłacił jej sto dolarów i dorzucił pieprzenie do równego rachunku.

Teraz siedział w barze, gotów do rozpoczęcia gry. Zapowiadała się bardzo ciekawie. W rękawie chował asa. Musiał wygrać w każdym wypadku.

Dario zameldował się w hotelu, wziął prysznic, założył wieczorowy garnitur i zszedł na dół.

Nikogo nie znał, nikt także nie poznawał jego. Poszedł do baru i zamówił szkocką. Jezu! Nie miał na nią ochoty. Chciał tylko porozmawiać z puszczał-ską siostrą i zmyć się.

Rudolf Crown złapał Lucky za ramię, kiedy przechodziła koło jego stolika. Pijany, rzadkie włosy zwisały mu na spocone czoło.

— Udało nam się, maleńka, udało się - wybełkotał. Gwałtownie wyrwała rękę. Nie było miesiąca, żeby Rudolf Crown nie spóźniał się z pieniędzmi. W czasie strajku kolejarzy próbował wycofać się zupełnie i musiała przypomnieć mu o pierwszej groźbie.

Teraz prezentował pijackie, rozpustne uśmiešky i mówił „udało się”.

— Nie możesz usiąść i napić się ze mną i moimi przyjaciółmi? — Ślinił się. — Wszyscy chcą cię poznać. Tyle o tobie słyszeli.

Widzicie tamtą dupę? To córka Gina Santangelo. Pojmujecie? Mówią, że ma jaja jak jej stary. Jezu! Bardzo chciałabym je wylizać.

Warris spojrział. Odwrócił się. Znów spojrział. Lucky. Niemożliwe. To prawda.

Lucky Saint. Lucky Santangelo.

Pippa musiała wiedzieć. Dlaczego ta głupia cipa mu nie powiedziała?

W tym momencie zaczął sobie układać w głowie fakty. Kiedy Pippa po raz pierwszy dała mu scenariusz, powiedziała, że to prawdziwa historia: życie Gina Santangelo. Kto słyszał wtedy o Ginie Santangelo? Jedyne wiadomości, jakie miał Warris, pochodziły z Variety.

Ale nazwisko powracało przez lata. Podobnie jak Mickey Cohen, Meyer Lansky — było znane, ale tajemnicze.

Zawsze starał się dowiedzieć najwięcej, jak mógł. Kiedy zebrał wystarczającą ilość informacji,

zdecydował udać się do Lucky ze scenariuszem i nakłonić ją do przedstawienia go ojcu. Wychodził z założenia, że Gino będzie chciał film zrobić — wtedy chętnie zapłaci

— albo nie będzie chciał i wtedy chętnie sfinansuje inny film Warrisa przy założeniu, że wszystkie kopie *Śmiertelnego strzału* zostaną zniszczone.

Nie mogło się nie udać. Lucky będzie łącznikiem. Tylko że trzeba to zrobić osobiście, a niełatwo się do niej dostać. W końcu udało mu się kupić zaproszenie na otwarcie hotelu od gwiazdki porno, która sama była zaproszona przez Małego Martino. Zapłacił jej sto dolarów i dorzucił pieprzenie do równego rachunku.

Teraz siedział w barze, gotów do rozpoczęcia gry. Zapowiadała się bardzo ciekawie. W rękawie chował asa. Musiał wygrać w każdym wypadku.

Dario zameldował się w hotelu, wziął prysznic, założył wieczorowy garnitur i zszedł na dół.

Nikogo nie znał, nikt także nie poznawał jego. Poszedł do baru i zamówił szkocką. Jezu! Nie miał na nią ochoty. Chciał tylko porozmawiać z puszczałką siostrą i zmyć się.

Rudolf Crown złapał Lucky za ramię, kiedy przechodziła koło jego stolika. Pijany, rzadkie włosy zwisały mu na spocone czoło.

— Udało nam się, maleńka, udało się - wybełkotał. Gwałtownie wyrwała rękę. Nie było miesiąca, żeby Rudolf Crown nie spóźniał się z pieniędzmi. W czasie strajku kolejarzy próbował wycofać się zupełnie i musiała przypomnieć mu o pierwszej groźbie.

Teraz prezentował pijackie, rozpustne uśmiešky i mówił „udało się”.

— Nie możesz usiąść i napić się ze mną i moimi przyjaciółmi? — Ślinił się. — Wszyscy chcą cię poznać. Tyle o tobie słyszeli.

Szybko spojrzała na jego przyjaciół. Faceci wyglądali jak zgraja tanich włóczęgów, nie podobali jej się. Kobiety przy stole przypominały tanie dziwki z bulwaru i to w nie najlepszą noc.

— Przykro mi, teraz nie mogę — powiedziała chłodno. — Bawcie się dobrze. — Przeszła dalej.

— Nie lubię tego człowieka — skomentował Costa.

— Kto go lubi? — zareplikowała. — Ale jego pieniądze są w porządku. Zamachała Małemu Martinowi, który przybył w towarzystwie piętnastoletniej gwiazdki kina i jej matki.

— Odrażające — wycedził Costa.

— Nie, to po prostu życie — zaśmiała się Lucky.

Enzio wstał, aby ich przywitać. Objął ją w szczerym uścisku.

— Gratulacje! — powinszował. — Udało ci się.

— Zrobiłam to, nie? — Oczy Lucky błyszczały.

— Tak, zrobiłaś. Zawsze wiedziałem, że masz w sobie właściwe cechy. — Podniósł szklaneczkę. — Nigdy w ciebie nie wątpiłem, Lucky, ani przez pieprzony moment — wybacź mój język.

Triumfowała przez następne kilka godzin. Niczym królowa, upajała się każdą minutą. Przenosiła się od stolika do stolika, tańczyła, rozmawiała. W pewnym momencie pojawił się Dario. Szczerze ucieszyła się, że przyjechał.

— Dlaczego nie zadzwoniłeś? Dlaczego nie dałeś znać, że tu będziesz? Wydawał się sztywny i nie na luzie.

— Chcę z tobą porozmawiać — powiedział sucho.

— Później sobie usiądziemy — zaproponowała, zanim porwano ją do następnego tańca.

Zginęła gdzieś wśród sław i nieznanych ludzi. Tańczyła, jadła, piła, bawiła się doskonale. O północy osobiście rzuciła pierwszymi kośćmi na hazardowy stół i zainicjowała grę. Wszyscy mogli wejść, a zaproszeni goście zgromadzili się w Białym Salonie i słuchali Ala Kinga, angielskiej gwiazdy rocka i soula. Miał pulsujący, nieco chrapliwy głos, który przyprawiał ją o dreszcze. Biały, ale śpiewał soul we właściwy sposób, tak jak czarni: gorąco, dojrzałe i emocjonalnie.

Później zorganizowano pokaz sztucznych ogni i otworzono basen w kształcie litery M. Co młodszy i niespokojniejszy goście rozebrali się i wskoczyli do wody. Lucky miała ochotę przyłączyć się do nich, ale wiedziała, że nie wypada. Musi panować nad dzikimi zachciankami.

Pracowała na szacunek i zdobyła go, nie wolno jej tego zaprzepaścić. Nie może stać się głupią, łatwą dupą.

Stała przy basenie uśmiechnięta i obserwowała. Wiedziała, że wieczór udał się niesłychanie.

Dario czaił się gdzieś z boku i rozmyślał. Usiądź ze mną, dobre sobie. Dziwka nie posadziła tyłka przez cały wieczór.

Patrzył, jak stała nad basenem, jak błyszczały klejnoty, które musiały kosztować niezłą fortunę. Co ona właściwie myślała? Niczym dzieciak miał ochotę podejść i wepchnąć ją do wody. Postanowił to zrobić. Czemu nie? Była tak pewna siebie, kiedy chodziła po hotelu jak królowa.

Poszedł w jej kierunku, ale kiedy już był blisko, odwróciła się i powiedziała:

— Dario! Tu jesteś. Szukałam cię. Kłamczucha!

— To wprost niemożliwy wieczór. Może zjedlibyśmy razem śniadanie jutro rano?

Przygryzł mocno wargi.

— Nie zamierzam zostać tak długo. Uniosła ironicznie brwi.

— Nie? A jakież to ważne spotkanie każe ci wracać? Dziwka! Dziwka! Dziwka!

— OK, może być śniadanie — wymamrotała. — Mam ci dużo do powiedzenia.

— Świetnie. To miła odmiana. Spotkamy się o dziesiątej w restauracji w patio.

Patrzył na nią oczami gorzkimi i pełnymi zazdrości. Zamierzał powiedzieć jej coś, co ją zrani.

Tę właśnie chwilę wybrał Warris Charters, aby do nich podejść. Wcisnął się pomiędzy nich i zaczął głosem sztucznie słodkim:

— Mała Lucky Saint! Kto by pomyślał! Spojrzała na niego zaskoczona.

— Znamy się?

— A nie? Chyba żartujesz?

Rzuciła szybkie spojrzenie za siebie. Tam stał Boogie, mogła go potrzebować.

— Będziemy się bawić w zgadywanki, czy może raczysz się przedstawić? — zapytała oschle.

Nie zwrócił uwagi na ostrość jej głosu.

— Chcesz powiedzieć, że naprawdę mnie nie pamiętasz? Uczyłem cię prowadzić. Wielu rzeczy cię nauczyłem. Ty, ja, Olimpia — jak trzech muszkieterowie.

Przyjrzała mu się.

— Jezu Chryste! Warris, pieprzony Charters! Spod jakiego kamienia się wyczołgałeś? I co ci się stało? Wyglądasz okropnie!

Dario uważnie obejrzał przedmiot obelg jego siostry. Facet wcale nie wyglądał tak fatalnie. Był raczej przystojny. A worki pod oczami robiły podniecające wrażenie.

— Miło mi stwierdzić, że się nie zmieniłaś — podsumował Warris sucho.

— O, nie zmieniłam się. Tego możesz być pewien — przerwała, po czym dodała po namyśle: — Czego chcesz, Warris?

— Dlaczego miałbym czegoś chcieć?

— Przestań. Nie wciskaj mi kitu, że przyszedłeś się ze mną zobaczyć Czego chcesz?

Rzucił szybkie spojrzenie na Daria.

— Porozmawiajmy na osobności. Wskazała na bawiących się ludzi.

— Nie mam nastroju na osobiste rozmowy. Może innym razem.

— Mam coś, co będziesz chciała zobaczyć przerwał tajemniczo. — Twój ojciec także.

Czy Warris Charters mógł mieć coś, co by zainteresowało ją lub Gina?

— Nie interesuje mnie to.

— Zainteresuje, kiedy dowiesz się, o co chodzi.

— Przestań bawić się w mistrza tajemnic i mów. — Machnęła ręką w kierunku Daria. — On jest w porządku, to mój brat. Możesz gadać.

Warris ponownie spojrzął na jasnowłosego chłopaka. Zauważył go wcześniej, kiedy siedział samotnie przy barze. Zastanawiał się, czy może jest aktorem... a jeśli jest, mógłby chcieć popracować trochę w pornosach. Całe szczęście, że nie zaproponował mu tego!

— Mam scenariusz filmowy. To historia życia twojego ojca. Myślę, że powinien go przeczytać, zanim ruszę z produkcją.

Ziewnęła.

— Więc mu go wyślij, nikt cię nie powstrzyma. — Pomachała Coście. — Dobranoc, Warris, wspaniale cię znów spotkać.

Odeszła w kierunku Costy nie oglądając się za siebie. Zostawiła Daria i Warrisa razem.

— Cholera! — wymamrotał wściekły Warris.

Dario wyczuł, że poprzez tego faceta może osiągnąć Lucky. Nie bardzo jeszcze wiedział jak, ale zamierzał się dowiedzieć. Wyciągnął

rękę.

— Jestem Dario Santangelo — przedstawił się. — Może ja będę w stanie ci pomóc.

Nie rozmawiała z Markiem przez całą noc. Wymieniali przez salę uśmiechy, spojrzenia. Pracował, podobnie jak ona. Należało być miłym dla właściwych ludzi, czarującym, doglądać wszystkiego, co się działo.

Kiedy przedstawiano ją piosenkarzowi Alowi Kingowi, Marco wyrósł przy niej jak spod ziemi i grzecznie skierował ją do stolika Enzia.

Al King miał wyrobioną reputację. Tak samo jak ona. Marco postanowił trzymać ich na odległość.

Pięć minut później Al King znalazł się w otoczeniu trzech bardzo usługowych kobiet. Lucky zauważyła z uśmiechem, że Marco zapewnił

mu brunetkę, rudą i blondynkę, nie ryzykował strzału w próżnię. Niepotrzebnie się martwił. Nie lubiła chodzić do łóżka z gwiazdami, nawet atrakcyjnymi. Robili łaskę, że dzielili się tym świętym organem, za którym wszystkie kobiety szalały. Święty organ wymagał

ostrożnego prowadzenia i wspaniałych recenzji. W rzeczywistości pokaz nigdy nie dorównywał reklamie, szczególnie przy zbliżeniach.

Po jednej stronie Enzia siedziała jego blond dziewczyna, po drugiej młoda kobieta z dużym biustem, na którą zwrócił uwagę wcześniej.

— Jesteś zadowolona? — zapytał ciepło Lucky.

— Nie może być lepiej — promieniała.

— Dobrze. — Pochylił się i szepnął jej na ucho: — Wiesz, kogo ten parszywy gnojek Crown zaprosił na dzisiaj?

Machinalnie odwróciła głowę i spojrzała na stół Rudolpha Crowna w przeciwległym końcu sali. Biesiadnicy upili się już i hałasowali.

— Kogo?

Enzio zrobił dziwną minę.

— Może lepiej nie powiem ci teraz.

— Kogo? dopytywała się.

— Zaprosił bliźniaków Kassari. Zmroziło ją.

— Nie wierzę. Mówił spokojnie:

— Myślisz, że Enzo Bonnatti kłamie?

— Nie, nie to chciałam powiedzieć. Po prostu nie wierzę, żeby mógł zrobić coś takiego.

— A jednak to możliwe. Facet jest pieprzony. Może nie zdaje sobie sprawy. Każę komuś przedstawić mu delikatnie fakty.

Bliźniacy Kassari. Synowie Pinky'ego Banana z pierwszego małżeństwa. Lucky nigdy ich nie spotkała ani nigdy tego nie pragnęła. Ich ojciec zamordował jej matkę. Gino pozbył się Pinky'ego. Wydusiła te wiadomości od Costy. Enzo też jej o tym mówił.

— Jak śmiać wchodzić do mojego hotelu? — Poczerwieniała. — Każę ich wyrzucić, natychmiast.

— Pozwól im zostać. Wieczór dobiega końca, nie psuj go przez takie łajno. Nie martw się, nie wrócą. Załatwię to za ciebie. Zapamiętaj, że nie wolno im tu przychodzić. Cała przyjemność po

mojej stronie.

Pocałowała go w policzek.

— Dziękuję ci, Enzo.

Spojrzała jeszcze raz na stół Rudolpha Crowna. Co za świnią. Zasługiwał na odcięcie kutasa.

Przyjęcie trwało, mimo że na zegarze wybiła czwarta. Lucky czuła, że najwyższy czas się wycofać. Odszukała Costę i szepnęła:

— Idę do łóżka. Udał się nam wieczór, prawda?

— Był wspaniały.

— Dlaczego jeszcze tu siedzisz? Nigdy nie zostajesz tak długo.

— Chcę opowiedzieć twojemu ojcu wszystko o dzisiejszej nocy, od początku do końca. Zostanę, dopóki nie wyjdą ostatni goście.

Gino. Gino. Gino. Cholerny Costa musiał jej stale o nim przypominać.

— Jasne, baw się dobrze — powiedziała chłodno. — Zobaczymy się jutro.

Wsiadła do prywatnej windy, jadącej prosto do jej apartamentów. Boogie towarzyszył jej bez słowa, sprawdził, czy nie miała niepożądanych gości, i wrócił do swojego pokoju. Mieszkał oddzielnie, ale gdyby go potrzebowała, musiała nacisnąć jeden z wielu rozmieszczonych w pokojach guzików i pojawiał się w kilka sekund.

Wirowało jej w głowie. Dlaczego Rudolpho przyprowadził do hotelu braci Kassari? Czego chciał Dario? Czy miała rację zbywając bez namysłu Warrisa Chartersa?

Zrzuciła buty od Charlesa Jourdana i wybrała płytę, której chciała słuchać. *What's Going On* Marvin'a Gaye'a. Ciepłe, zmysłowe dźwięki wypełniły pokój. Odprężyła się.

Kiedy pojawi się Marco? Za pięć minut? Za dziesięć? Na pewno nie później.

Szybkim, wprawnym ruchem rozpięła haftkę i droga suknia spadła na podłogę. Podniosła ją, weszła do sypialni i wygrzebała z szafy najstarszą i najukochańszą koszulę flanelową. Nosila ją od dziesięciu lat. Marco często ją w niej widział, chociaż nie ostatnio.

W łazience bardzo dokładnie zmyła makijaż, zdjęła biżuterię, wyszczotkowała długie, ciemne włosy i związała je w kucyk. Wyglądała na czternaście lat. Przygotowała się na spotkanie człowieka, którego kochała przez tyle lat.

Była gotowa, kiedy zapukał do drzwi.

— Co cię zatrzymało? — zapytała miękko.

— Zostałem tylko piętnaście minut... Boże, jak ty wyglądasz! Co zrobiłaś? Zaśmiała się.

— Cofnęłam czas. Podoba ci się? Widzisz mnie taką, jaka naprawdę jestem.

Wyglądał na zaskoczonego. Nie była tą samą zmysłową pięknoscią, którą widział kilka minut wcześniej. Miał przed sobą małą dziewczynkę, której nie widział od dawna.

— Jezu, wyglądasz jak dziecko.

— Tak mnie zwykle nazywaliście. Ty i Gino. Nie wiedział, jak się zachować.

Podparła się pod boki i spojrzała na niego. Długie, opalone nogi rozstawiła szeroko, przechyliła głowę w bok, niebezpieczny błysk pojawił się w oczach.

— Hej, proszę pana, chce się pan pobawić w doktora? Zaśmiał się.

— Jesteś zwariowana. Przez ciebie czuję się jak nieprzyzwoity staruch.

— Więc chodź. Bądź nieprzyzwoity. Dzisiejsza noc jest wyjątkowa. Jeżeli się nie rozwiedziesz, nie będzie więcej wyjątków.

— Lucky. — Ujął w ręce jej twarz i zaczął całować bardzo, bardzo wolno. Odpowiedziała dziesięcioma latami pożądania, badała językiem jego usta

i zęby. Z zadowoleniem czuła, jak ciało mu sztywnieje.

— Postarajmy się, żeby ta noc była niezapomnianym wyjątkiem — szepnęła.

Całowali się, aż leniwie, bez pośpiechu jego ręce ześliznęły się na jej piersi. Trzymał je przez flanelową koszulę, odkrywał ich zarysy, wyczuł sutki i pieścił je przez znoszony materiał.

— Miłe —- mruzczała — bardzo, bardzo miłe.

— Powtórz to.

— Powtórzę... na pewno!

Powoli rozpiął jej koszulę, ale nie próbował zdjąć, zwisała luźno, a on badał ciało Lucky.

— Doprowadzasz mnie do gorączki! — powiedziała w końcu. Rozbierzmy się i zrobmy to wreszcie.

— Nie jestem dentystą, na miłość boską.

— O Boże, Marco! Nie mogę się doczekać! Czekałam przez dziesięć pieprzonych lat!

Nagle wszystko stało się tak szybko, że nie wiedziała, co się z nią dzieje. Zdjął ubranie, przerzucił ją

sobie przez ramię i rzucił na łóżko.

Był w niej i wpychał się w nią w takim tempie, że zaczęła obawiać się o jego zdrowie.

I nagle przestała myśleć o jego zdrowiu czy o czymkolwiek innym. Doznała tak silnego orgazmu, że mogłaby umrzeć z rozkoszy. On także miał orgazm, co skwitował pomrukiem. Złączeni, skapani w pocie, śmiali się.

— Nigdy więcej mi nie rozkazuj — powiedział. — Sama widzisz, dokąd może cię to zaprowadzić.

— Dokładnie tam, gdzie zawsze chciałam się znaleźć.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na niego. Patrzyła na opalone ciało, pokryte mchem ciemnych włosów. Delikatnie przebiegła palcami po jego torsie.

— Czy wiesz, od jak dawna marzyłam o tej chwili? Czy masz pojęcie? Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

Przysunęła usta do jego piersi i zaczęła okrywać go pocałunkami. Powoli obniżala się, od sutków ku żołądkowi i dalej ku ptakowi, który natychmiast zaczął dawać znaki życia. Przerwała na chwilę, zanim wzięła go w usta.

— A ty, Marco? Od jak dawna mnie pragnąłeś? Czy kiedy byłam dzieckiem, kiedy mnie wozileś, czy wtedy mnie chciałeś? Czy myślałeś o moim dziewczęcym ciele?

— Byłaś najgorszą cholera, z jaką się spotkałem.

Wzięła w usta jego na wpół rozbudzony członek i delikatnie wbiła w niego zęby. Wystraszył się.

— Hej!

— Nie odgryzę go. Dlaczego miałabym zrobić coś tak paskudnego? — zapytała niewinnie.

Usiadł, oplótł ją ramionami i zaczął znów całować. Musiała szczerze przyznać, że nigdy wcześniej nie czerpała prawdziwej przyjemności z całowania. Z nim było inaczej. Koniuszek jego języka to istny stymulator przyjemności. Kiedy zostawił jej usta i zajął

się sutkami, miała wrażenie, że umarła i jest w niebie. Wyznania miłości cisnęły się jej na usta, jednak wiedziała, że musi poczekać. Wciąż był żonaty. Niech to diabli! Dlaczego ciągle był żonaty?

Odepchnęła go i sięgnęła po papierosa, jednocześnie podciągając kołdrę i przykrywając się.

— Wiedziałeś, że przyszli bracia Kassari? — zapytała sucho.

— Tak — odpowiedział ostrożnie. — Nie chciałem psuć ci wieczoru.

— Gdyby ktoś powiedział mi wcześniej, mogłabym kazać ich wyrzucić.

— Jasne. I patrzeć, jak Rudolpho robi awanturę, że jego przyjaciół źle potraktowano. To przypadek. Myślę, że o niczym nie wie.

— Enzo obiecał, że Crown na pewno zostanie poinformowany.

— Doskonale.

Wyjął jej papierosa z ręki i odłożył do popielniczki. Odrzucił kołdrę.

— Chodź tu, dziecino.

Kochali się drugi raz, spokojnie i przejmująco. Stopniowo zaczęli poznawać swoje ciała — które pozycje, dotknięcia i ustawienia sprawiały przyjemność, a które nie.

Patrzyła na niego, tak jak nigdy dotąd na żadnego mężczyznę. Oczy szarozielone i grube, czarne rzęsy. Duże dłonie, twarde ciało —

żadnych miękkich miejsc. Znalazła bliznę na udzie i chciała dowiedzieć się, skąd ją ma. Zaczął mówić o swoim życiu. Po raz pierwszy otwierał się przed nią. Chłoneła każdą chwilę. Usłyszała o tym, co robił, o niepokoju, który czuł, zanim matka nie skierowała go do Gina. Marco wzruszył ramionami.

— Miała rację. Nie widziałem go przez lata, jednak przywitał mnie jak syna. To wspaniały człowiek. Musisz być dumna, że jest twoim ojcem.

Nigdy z nikim nie rozmawiała na temat własnych stosunków z Ginem. To osobista sprawa.

— Uhm — mruknęła. — Powiedz mi o czasach, kiedy byłeś mały. Wiesz, kiedy Gino mieszkał z tobą i twoją matką. Jaki wtedy był? Dlaczego nigdy się nie pobrali?

— Myślałem, że rozmawiamy o mnie. Wskoczyła z łóżka.

— Może przestaniemy w ogóle rozmawiać i weźmiemy prysznic. Zobaczymy, co się stanie.

Westchnął.

— Nic się nie stanie. Mam czterdzieści pięć lat i jestem nieco zużyty. Myślę, że powinienem się stąd wyczołgać i trochę przespać.

Spała z wieloma mężczyznami. Ani razu nie chciała, aby któryś z nich został. Teraz nie wiedziała, co powiedzieć ani jak pokierować sytuacją. Wiedziała jedynie, że nie może pozwolić mu odejść.

— Śpij tutaj, to postawię ci śniadanie — zażartowała. On jednak już wyszedł z łóżka i zbierał ubranie.

O Boże! Co teraz? Co się stanie? Dlaczego sukinsyn nic nie mówił? Nagle, stojąc nago z włosami głupio splecionymi w warkocze, poczuła się bardzo słaba. Zakładał spodnie.

— Chyba w takim razie wezmę prysznic — powiedziała w nadziei, że go zatrzyma.

— Dobry pomysł — ziewnął.

Zrezygnowana weszła pod prysznic. Czy kiedy wyjdzie, jego już nie będzie? Czy jutro jak gdyby nigdy nic będą omawiać interesy?

Jezu! Nigdy w życiu tak się nie czuła. Pragnąć go przez te wszystkie lata to jedno, natomiast mieć to drugie.

Wszedł do łazienki niedbale ubrany.

Zobaczyła butelkę żelu do kąpieli. Udając, że go nie widzi, złapała ją szybko i wycisnęła dość dużo na siebie, potem zaczęła wmasowywać żel w piersi.

— Patrzcie! zawołał. Widziałem kiedyś pornosa, na którym dziewczyna robiła coś takiego.

— Czy twoja żona ma silikonowe cycki? — zapytała słodko. Wybuchnął śmiechem.

— Masujesz sobie piersi i myślisz o Helenie. Czy chcesz mi coś o sobie powiedzieć?

Rozłoszczona wyskoczyła spod prysznic, niemal pośliznęła się przy tym.

Jaki ty jesteś przemądrzały! Podał jej ręcznik.

Czemu o to pytasz?

Ile razy w ciągu nocy robisz to z nią? Kiedy wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że w jej głosie słychać zazdrość, i nienawidziła samej siebie z tego powodu.

— Uspokój się. Przestał się śmiać.

— Gdybym miał takie osiągnięcia jak ty, nie zaczynałbym zadawania tego typu pytań.

Wściekła się.

— Moje osiągnięcia? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Zaliczasz wielu facetów, to mam na myśli.

— Jestem sama. Dlaczego nie miałabym tego robić? Założę się, że nic trzymałeś w nocy ptaszka w klatce, kiedy nie byłeś żonaty.

— Ja to co innego.

— Dlaczego?

— Jestem mężczyzną.

— Jezu! Mówisz jak prawdziwy czterdziestopięciolatek. Czyli facet może puszczać się na lewo i prawo, a dziewczyna nie. To chciałeś powiedzieć?

Spojrzał spode łba.

— Takie są zasady.

— Jakie pieprzone zasady? — zaczęła wrzeszczeć. — Kto je, do cholery, ustanowił? Mężczyźni, oto kto.

— Uspokój się, dziecinko. Nie ma o co się kłócić.

— Ale ja chcę się kłócić. Chcę, żebyś mnie zrozumiał.

— Rozumiem cię.

Zaczęła mówić spokojnie:

— Nie, nie rozumiesz. Ale kiedyś pojdziesz. Lubię przystojnych facetów. Jeżeli nie mam nic lepszego do roboty, idę z nimi do łóżka, bo lubię seks. Nie jestem nimfomanką ani dziwką. Idę do łóżka na własnych zasadach i nie widuję się z nimi później przede wszystkim dlatego, że sama tak chcę. — Zamilkła na chwilę. — Teraz powiedz mi, Marco, z iloma dziewczynami spałeś tylko dla jednorazowej zabawy, bo podobały ci się ich cycki albo tyłki, albo miały długie nogi. Uczciwie, ile ich było?

Wzruszył ramionami.

— Dużo.

— A z iloma widziałeś się po raz drugi? Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— OK, OK, wiem, o co ci chodzi.

Pozwoliła, aby ręcznik spadł na ziemię, podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Dzięki Bogu!

Jego ręce znów zaczęły się poruszać.

— Teraz nie potrzebujesz żadnych innych facetów, masz mnie. Tak mała Lucky? Tak?

— Szczypiesz mnie w tyłek!

— Tak, kochanie?

Poczuła ulgę. Miała go. O Helenę będą się martwić jutro.

— Ściągaj te ciuchy i wracamy do łóżka — mruknęła. Podniósł ją i zaniósł z powrotem pod prysznic.

— Wracając do tego pornosa, który widziałem... Zapomniałem powiedzieć ci, co ona robiła z mydłem... naprawdę fajne. Może powinniśmy spróbować...

— Może powinniśmy — zgodziła się zadowolona. Zdejmował ubranie.

— Może spróbujemy...

— Hej, wydawało mi się, czy mówiłeś, że możesz tylko dwa razy...

— Dziewczyno, przez ciebie stanę się okropnym kłamczuchem!

Rudolpho Crown i jego towarzystwo wysypali się z hotelu o świcie. Wulgarni awanturnicy. W pięciu otoczyli kelnerkę wracającą do domu i zaczęli ją obmacywać, podczas gdy ich dziewczyny wrzeszczały i śmiały się. Zwymyślali parę obcych młodych ludzi. Jedna z kobiet towarzyszących im podwinęła bluzkę i zatrzęsa dużym, nagim biustem przed nosem odźwiernego.

Rudolpho skręcał się ze śmiechu. Nigdy w życiu nie widział czegoś równie zabawnego.

Salvatore Kassari, brzydszy z bliźniaków, trzepnął go w ramię.

Masz tu kopalnię złota. Chcesz sprzedać swoje udziały? Zaprzeczył ruchem głowy. Wieczór wypadł wspaniale. Każdy pieprzony dolar, z którym musiał się rozstać, zwróci się z nawiązką. Ta dziwka Lucky

Santangelo naprawdę zrobiła coś niezłego. Miał udział w najlepszym pierdolonym hotelu, jaki kiedykolwiek widział. Salvatore ponownie go klepnął.

— Chyba mnie nie słyszałeś. Chcesz to sprzedać?

Rudolpho był zbyt zalany, aby dosłyszeć groźbę w jego głosie. Bracia Kassari to świetni goście. Rudolpho bardzo się cieszył, że mógł

ich zabawiać. Na stałe mieszkali w Filadelfii, gdzie ich macki kontrolowały każde najmniejsze przestępstwo. Kilka tygodni wcześniej przyjaciel przyprowadził mu ich do biura. Wyrazili chęć stałego finansowania jednej z jego dobrych inwestycji. Był zachwycony.

— Poczekaj chwilę — powiedział młodszy z braci, Piętro. — Czy nie masz kawałka tego nowego hotelu, który otwierają w Vegas?

Rudolpho chętnie zaprosił ich na otwarcie. Wynajął samolot, bracia Kassari zapewnili dziewczynki i oto byli w Vegas. A jaki wieczór spędzili!

Rudolpho miał pokój w „Magiriano”, ale bracia mieszkali w „Sands”, a skoro usłyszał rozmowę na temat prywatnego przyjęcia, nie chciał stracić okazji.

— Nie chcę sprzedać — powiedział ze śmiechem. Salvatore Kassari silnie kopnął go w nogę.

Rudolpho był tak zaskoczony, że stanął jak wryty z ustami otwartymi jak u ryby.

Salvatore zaśmiał się i uraczył go mocnym sierpowym w brzuch.

— To tylko żarty, bawimy się. Nie masz nic przeciwko temu, co? Pijany czy nie, miał wiele przeciwko temu.

— Przestań — zaczął.

Salvatore walnął go w jaja czymś, jakby stalowym kastetem. Rudolpho jęknął, podskoczył, zgiął się wpół, próbował złapać oddech.

— Chcesz to sprzedać, nie? — pytał spokojnie Salvatore. Rudolpho nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Przeżył dość tej nocy, kiedy Lucky Santangelo pojawiła się u niego w domu i nastraszyła go. Ale to było wręcz śmieszne. Znajdowali się przed jego hotelem, w grupie ludzi, z których jednak nikt nic nie widział. Już dniało, na miłość boską.

Piętro trzymał go za rękę, a Salvatore stał z drugiej strony. Pozostali dwaj faceci poszli po samochody, dziewczyny stały wokół nich i rozmawiały.

— O co, do cholery, idzie?

— O nic, partnerze — powiedział Piętro pokazując w uśmiechu zęby, pociemniałe od papierosów.
— Przejedziemy się trochę i podpiszemy umowę. Nic nie stracisz, oddamy ci wszystko, co włożyłeś.

— Ale ja nie chcę sprzedać.

— Nie? — Piętro wyraźnie drwił. — Może zmienisz zdanie.

— Nie zmienię...

Salvatore złapał go za jądra poprzez spodnie.

— Nie podejmuj pochopnych decyzji — ostrzegł zaciskając dłoń. — Życie jest zabawne. Kto wie, czego będziesz chciał jutro?

Zemdlał, kiedy bracia Kassari wpychali go do samochodu. Rudolpho Crown to tchórz. Sprzeda. W końcu sprzeda.

Lucky poruszyła się przez sen i wyciągnęła rękę. Trafiła na klatkę piersiową Marca. Uśmiechnęła się i obudziła. Nie wiedziała, która godzina, i nie bardzo ją to obchodziło. Wiedziała tylko, że to najszczęśliwszy dzień w jej życiu.

Zaczęła delikatnie bawić się jego sutkami, liżąc końce palców i masując go.

Stęknął. Widziała, jak unosi się kołdra. Leniwie otworzył oczy.

— Kocham cię — wyznała — i chcę, żebyś rozwiódł się z żoną. Boże! Powiedziała wszystko, czego nie chciała mówić, tak po prostu.

— Tak — odpowiedział. — Oczywiście. A ty będziesz się trzymać z dala od innych mężczyzn albo skręć ci ten piękny kark.

Nie była pewna, czy mówił poważnie, czy żartował? Czy mogło pójść tak łatwo?

— Naprawdę rozwiedziesz się z Heleną? — zapytała.

— Słuchaj dziecino. — Usiadł z bardzo poważną miną. — Wiedziałem, że rozwiodę się z Heleną, już w tydzień po ślubie.

— Jak to? — nie mogła uwierzyć.

— Odeszłaś z mojego życia bardzo dawno jako zepsuta dziewczynka. Kiedy wróciłaś, wiedziałem, że pewnego dnia będziemy razem, ty i ja.

Mówiąc to zdał sobie sprawę, że mówił prawdę. Oczy Lucky zwęziły się.

— Naprawdę?

— Tak.

— Więc dlaczego mi nie powiedziałeś, do cholery? Nie dałeś znaku? Nic?

— Dawałem ci masę znaków. Nie chciałaś nic wiedzieć, bo zbyt byłaś zajęta wybieraniem talentów. Poza tym, czy możesz sobie wyobrazić, co zrobiłby Gino, gdybym się tobą zainteresował?

Uklękała na łóżku, włosy miała w nieładzie.

— Czekaj, nie zapominajmy o twojej żonie. Co niby miałam robić? Zignorować ją?

— Ostatniej nocy właśnie to zrobiłaś.

— Ty też.

— Jezu Chryste, Lucky. Straciliśmy tyle czasu...

— Z twojej winy.

— Postaram się to nadrobić. Przytuliła się do niego.

— Oboje się postaramy.

Zaczęli się całować. Odsunął ją ze śmiechem.

— Muszę się odlać.

— Tak? A już myślałam, że mam ogromne szczęście!

— Zostań tam, gdzie jesteś. Nie ruszaj się.

Jakby miała taki zamiar. Chciała się uszczyplić, aby upewnić się, że nie śni.

Kiedy wrócił do łóżka, spojrzał na nią bardzo poważnie.

— Powiem ci coś, co chyba powinnaś wiedzieć. Jeżeli tak tylko gadasz, to trafiłaś na złego faceta. Rozumiesz?

— Tak jest!

— Pomyślałem, że lepiej ci powiem.

— Tak jest!

— Podoba mi się, że okazujesz szacunek. Zanurkowała pod czarną jedwabną pościel.

— Okażę ci szacunek. Okażę ci szacunek wtedy, kiedy naprawdę będzie to ważne.

Pragnęła go. Nie chodziło tylko o seks, chociaż był niewiarygodnie dobry. Chodziło o coś więcej. O troskę o niego, o to, co robił i jak się czuł. Miał należeć do niej, a ona do niego. Właśnie tak być powinno.

Kiedy skończyli się kochać, uśmiechała się niemądrze.

— Kiedy wszystkim powiemy? — zapytała. Przeciągnął się i złożył ręce na karku.

— Najpierw muszę powiedzieć o tym Helenie. Nie układa się między nami najlepiej. Ona jest...

— Durna?

— Nie. Nie wyrażaj się jak dziwka. Po prostu bardziej interesuje się sobą niż czymkolwiek innym. Jest piękna, ale nudna. Umieszczę ją w domu w Los Angeles albo w Nowym Jorku, gdzie będzie chciała. To potrwa miesiąc albo dwa.

Lucky wystraszyła się.

— Miesiąc albo dwa?! Nie mogę tak długo czekać! Zaśmiał się.

— Więc polecę do Los Angeles jeszcze dzisiaj i powiem jej. Czy to ci odpowiada?

— Ty mi odpowiadasz. O Boże! Dajesz mi więcej niż ktokolwiek inny w życiu.

Upłynęła następna godzina, zanim ubrał się i przygotował do wyjścia. Rozmawiali, chichotali, uśmiechali się jak para wariatów. Marco pokręcił głową.

— Nie mogę w to uwierzyć. Wiedziałem, że tak się stanie, ale nie miałem pojęcia, że będzie aż tak.

— Powiesz mi, jak? — zapytała żywo.

— Jak, Jezu, nie wiem. Mam czterdzieści pięć lat, a czuję się tak, jakbym właśnie odkrył coś specjalnego. Przez ciebie czuję się jak pieprzony idiota.

Pocałowała go przeciągając językiem po jego ustach. W końcu delikatnie odsunął ją i powiedział:

— Muszę dziś jeszcze trochę popracować. Na przykład zająć się interesami, pamiętasz o nich?

Uśmiechnęła się.

— Dlaczego więc nie zabierzesz stąd swojego tyłka, kochanku?

Nie była w stanie przestać się uśmiechać nawet po jego wyjściu. Ubrała się szybko w białe dzinsy i miękką jedwabną koszulę. Kolorowe cienie zakryły nieco błyszczące oczy. Jeżeli tak wygląda miłość, ktoś powinien ją butelkować — zrobiłby majątek.

Dario siedział spokojnie w restauracji w patio, bawił się widelcem, przesuwał jajka i bekon po talerzu i myślał o spotkaniu z Warrisem Chartersem. Był jakiś inny, to pewne. Nigdy nie spotkał kogoś takiego.

— O jakim scenariuszu mówiłeś? — zapytał, kiedy już się sobie przedstawili.

Warris wściekły obserwował odchodzącą Lucky.

— Twoja siostra to kurwa, wiesz o tym? Dario uśmiechnął się.

— Miło mi poznać kogoś, kto się ze mną zgadza.

Potem dogadywali się doskonale. Warris zdecydował, że jeśli przez Lucky nie dostanie się do starego, może spróbować przez brata.

Powiedział mu

0 *Śmiertelnym strzale*, o nakręceniu filmu albo też porzuceniu go, co zależało od Gina. Od tego, czy zapłaci.

— Czy możesz się postarać, żeby scenariusz dotarł do twojego starego?

1 dowiedzieć się, w jaki sposób chciałby to rozwiązać?

Dario skinął głową. Nie odrywał oczu od twarzy Warrisa. Widział w nim coś dekadentckiego, seksualnego, a zarazem gorzkiego, twardego... coś, czego pragnął.

Resztę wieczoru spędzili na rozmowie. Im więcej Warris mówił, tym bardziej wydawał się

interesujący. W pewnej chwili dwie dziewczyny wtrąciły się do rozmowy, dwie tanie dziwki o długich włosach i pełnych kształtach. Warris przestał interesować się Dariem, objął niższą z dziewczyn i powiedział:

— Ta jest dla mnie. Pasuje ci to?

Dario poczuł ostre ukłucie zazdrości. Warris nie miał pojęcia, nie wiedział...

— Jasne — odpowiedział od niechcienia. — Kiedy przyniesiesz scenariusz?

— Może jutro w południe? Gdzie cię można złapać?

— W samolocie do Nowego Jorku.

— Tak szybko wyjeżdżasz?

— Nie mam po co tu siedzieć.

Wtedy Warris wyczuł, kim jest Dario i czego chce. Ich oczy spotkały się. Warris zastanawiał się, dlaczego nie zorientował się wcześniej.

Przestał obejmować dziewczynę i rzucił jej:

— Zapomnij o tym, kochanie, nie dziś. Mamy sprawy do załatwienia. Odeszła niezadowolona, zabierając ze sobą przyjaciółkę.

Warris patrzył na Daria.

Mogłeś mi powiedzieć. Dario poczuł, jak wzbiera w nim podniecenie.

Po co?

— Wtedy obaj wiedzielibyśmy, na czym stoimy.

— A teraz wiemy?

Warris powoli potwierdził skinieniem głowy.

Dario uśmiechnął się na myśl o dalszym ciągu. Pobawił się jeszcze chwilę jajkami na talerzu i spojrzał ku wejściu do restauracji. Lucky powiedziała: w patio o dziesiątej na śniadaniu. Już wpół do jedenastej, a nie pokazała się. No oczywiście, umówiła się tylko z nim. Co dla niej znaczył?

Szorstko skinął na kelnerkę. Nie zamierzał czekać dłużej. Nie należał do jej lokajów, nie musiał siedzieć i wyczekiwać. Poza tym Warris powiedział, że nie musi prosić jej o pieniądze. Powiedział, że były inne sposoby dostania tego, co mu się należało.

Kelnerka przyniosła rachunek.

— Życzę panu przyjemnego dnia. — Uśmiechnęła się.

Zamierzał spędzić dzień przyjemnie. Warris zaprosił go na kilka dni do Los Angeles.

— Pomóż mi, a ja ci też, pomogę obiecał. — Razem możemy wyjść z tego, dosłownie śmierdząc pieniędzmi, twoimi pieniędzmi, Dario.

Są w takim samym stopniu twoje jak i jej. Wymyślimy sposób, aby wyrwać parę groszy.

Wybiegł z restauracji. Umówił się z Warrisem na lotnisku o wpół do dwunastej i nie chciał się spóźnić.

Rudolpho Crown leża! wyciągnięty na tylnym siedzeniu mercedesa, jadącego szybko po pustej autostradzie. Zapach świeżej skóry przyprawiał go

o mdłości. Ale nawet rzygać nie mógł, nic nie zostało mu w żołądku.

Błagał o szklankę wody, kawy, czegokolwiek, co usunęłoby smak stęchłej żółci z ust. Usiadł obolały, od kierowcy oddzielała go szyba z zasłonką.

Jęknął cicho. Każda kość w ciele była obita i boląca, ale naprawdę martwił go tępy, pulsujący ból w kroczu. Rudolpho Crown zawsze uważał się za wielkiego supermena. Gdyby coś na stałe zepsuło się w tym rejonie... nie miał odwagi o tym myśleć.

Zamknął oczy i znów jęknął. Kto uwierzyłby, przez co przeszedł? Kto by w to uwierzył?

Bracia Kassari. Tacy mili, tacy grzeczni. Przyszli do biura i wcisnęli mu cały ten kit o pieniądzech, które zamierzają mu powierzyć.

Robili z niego balona. Przyjechali z nim do Vegas. Dostarczyli pięć dupek i pozwolili mu wybierać.

Wybrał, prawda: brunetkę z nogami kończącymi się pod pachami. Tylko że nie miał okazji jej go wsadzić.

Bracia Kassari. W pełni zasługiwali na swoją reputację. Zabrali go na przejażdżkę i pod koniec błagał, aby wzięli od niego jego część

„Magiriano”, błagał, zaklinał, płakał i upokorzył się jak jakieś zwierzę.

Papiery mieli przygotowane, wszystko zapięte i uprawomocnione. Mieli świadków, że podpisał. Świadkowie nigdy nie przyznają, że podpisał pod przymusem. Kiedy wszystko załatwili, wrzucili go do mercedesa i odesłali.

— Kierowca zabierze cię do Los Angeles — nonszalancko powiedział Salvatore. — Możesz tam złapać samolot do Nowego Jorku.

Tylko bez żadnych telefonów. Zadbaliśmy o wszystko. Zadzwoń gdzieś i jesteś martwy.

Za kogo go brali? Za głupca?

Znów jęknął i złapał się za jaja. Pieniądze. Gówno! Lepiej mu się wiodło, kiedy był męską dziwką i żył w ciężarówce.

Enzio Bonnatti i jego towarzystwo stali w wejściu do hotelu, a ich bagaże pakowano do długiego, lśniącego lincolna, Lucky stała przy nich.

— Szkoda, że nie możecie zostać dłużej. Przejechać taki szmat drogi tylko na jeden wieczór, to śmieszne.

— Kiedy człowiek jest w moim wieku, wie, co dla niego dobre. Własne pieprzone łóżko. Wybacz mój język.

— Nie było ci wygodnie w nocy? — zapytała szybko. Zaśmiał się gardłowo.

— Ależ było. Dlaczego miało nie być? Zadbałaś o taką poduszkę, jaką lubię, dostałem dwie butelki mojej ulubionej wody mineralnej do łóżka, czekolada w lodówce. Skąd wiesz o tych wszystkich drobiazgach?

Roześmiała się w odpowiedzi.

— To leży w moim interesie.

Pochylił się i ucałował ją w oba policzki. — Dobra z ciebie dziewczynka. - Nie jestem dziewczynką, Enzo.

— Więc kim jesteś, starym chłopem? Dla mnie jesteś dziewczynką. Ale przede wszystkim jesteś Santangelo, a to się liczy. Kiedy Gino wreszcie przywiezie tu swój tyłek...

— Będę w Nowym Jorku w przyszłym tygodniu — przerwała mu szybko. — Umówimy się na obiad?

Uśmiechnął się.

— Ona pyta, czy się umówimy! Nie musisz o to pytać, Lucky, jesteś częścią rodziny.

— Wiem. — Uścisnęła go gorąco. — Dziękuję, że przyjechałeś. To wiele dla mnie znaczy.

— Musiałem na własne oczy zobaczyć efekty roboty, którą odwaliałaś.

— I jakie wrażenia?

— Postawiłaś cacko. Tamten hotel wygląda jak śmietnik. Wpakował się do lincolna.

Lucky stała i obserwowała oddalający się samochód. Nagle zdała sobie sprawę, że jest po dwunastej. Miała tyle pracy. Jak dotąd nie zrobiła nic, spędziła godzinę z Enziem, zanim wyjechał. Marco wpadł złożyć wyrazy szacunku staremu człowiekowi, a ona na niego patrzyła, pragnęła go i

kochała niemal boleśnie. Dlaczego nie mogła opowiedzieć wszystkim o nich? Dlaczego nie mogła wdrapać się na dach hotelu i ogłosić przez megafon, aby słyszało całe Las Vegas?

Niech to diabli, Marco, powiedz Helenie i będę mogła roztrąbić to na cały pieprzony świat.

Co pomyśli Gino kiedy się dowie? Gdyby wtedy wydał ją za Marca zamiast za Cravena Richmonda...

Marco szczerze pożegnał się z Enziem, potem puścił oko do Lucky i zakomunikował:

— Wpadnę do „Mirage”. Spotkajmy się na obiedzie w patio o drugiej, dobrze?

— Chętnie.

W obecności innych ludzi starała się mówić zwyczajnie, ale sposób, w jaki emanowała szczęściem, musiał ją zdradzać.

Lucky — podszedł do niej Skip wymachując kopertą — pomyślałem, że zechcesz zobaczyć zdjęcia z przyjęcia. Właśnie je wywołano.

-- Chciałabym Skip, ale jestem ze wszystkim spóźniona.

— Aha. — Wyglądał na zawiedzionego. — Miałem nadzieję, że zjemy obiad i opowiem ci o pewnych moich planach. Prasa zareagowała...

— Więc każ napisać sprawozdanie i prześlij mi je na górę razem ze zdjęciami. Spóźniłam się dwie godziny na spotkanie z moim bratem, a prasa to najmniejsze zmartwienie.

Weszła do hallu i rozejrzała się. Kręciło się dużo ludzi. Co ma najpierw zrobić? Znaleźć Daria? Skoro czekał już dwie godziny, nic się nie stanie, jeśli poczeka jeszcze dwadzieścia minut. Musiała natychmiast zobaczyć się z Costą, z masą pracowników chciała zamienić osobiście parę słów, należało odpowiedzieć na kilka pilnych telefonów.

Jedyne, co naprawdę chciała zrobić, to spędzić resztę życia w łóżku z Markiem.

— Pani Santangelo... pani Santangelo — usłyszała wyraźne wezwanie przez głośnik.

Podeszła do głównej recepcji i podniosła słuchawkę.

— Tak?

— Lucky Santangelo?

— Kto mówi?

— Lucky, mówi twój nowy partner w interesach.

— Co?

— To, co słyszałaś.

— Kto mówi?!

— Chciałem cię tylko zawiadomić.

— Co?

Ktoś po drugiej stronie linii rozłączył się. Rzuciła słuchawką i krzyknęła do zaskoczonego recepcjonisty:

— Powiedz centrali, żeby mnie nie łączyli, jeśli sprawa nie jest ważna. I wszystkie rozmowy mają przechodzić najpierw przez biuro.

Recepcjonista przytaknął pełen szacunku.

— Tak, proszę pani.

Głupi telefon. A w centrali siedzi jakiś bałwan.

— Połączcie mnie z Dariem Santangelo.

— Wyjechał, proszę pani.

— Kiedy?

— Jakieś półtorej godziny temu?

— Na pewno?

— Sam posłałem jego rachunek do biura.

— OK. Dziękuję.

Jeżeli Dario nie pofatygował się poczekać, to nie jej problem. Spotka się z nim w Nowym Jorku.

Pomyślała o Marcu, zadrżała i chciała, żeby już była druga, żeby już byli razem.

Bracia Kassari świętowali zalewając się szampanem w towarzystwie dwóch dziewczek, które nie miały nic przeciwko wspólnej zabawie.

Kiedy oddawali się uciechom ciała, ich ludzie pracowali. Udziały Rudolpha Crowna w „Magiriano” nie wystarczały im. Jeszcze kilku członków rady nadzorczej można było nakłonić do odsprzedania puli. Nie dostaną żadnych pieniędzy od razu. Tak jak Rudolpho będą musieli poczekać, aż zwrócą im forszę.

SaWatore Kassari ścisnął pełne pośladki kobiety leżącej w łóżku i mówił:

— Uwielbiasz to, nie? Podoba ci się, kiedy pieprzy cię taki mężczyzna jak ja.

— Tak — odpowiedziała dziwka z obowiązku. — Jesteś wspaniałym facetem.

SaWatore zwrócił się do dziewczyny leżącej pod jego bratem na sąsiednim łóżku.

— A ty? Co z tobą?

— Och taaak, obaj jesteście wspaniałymi seksmenami.

Seksmeni! Rzucił na nią okiem. Mogły to mówić — dwie kurwy, które wystawiały to codziennie za pieniądze. Zwykle nie miał

zwyczaju płacić, ale dziś było inaczej. Dzisiaj kurwy na coś się przydały...

Ktoś zapukał do drzwi.

— Obsługa pokoju — oznajmił głos.

— Wejść — krzyknął.

Lokaj otworzył drzwi własnym kluczem i wprowadził wózek zastawiony jedzeniem. Zatrzymał się nagle, kiedy zauważył, co się dzieje.

SaWatore wyjął banknot dwudziestodolarowy z szafki przy łóżku i zamachał nim.

— W porządku. Nie zwracaj uwagi. Przynies rachunek do podpisania. Kelner przeszkodził już w wielu tego typu scenach w życiu.

Dwadzieścia

lat na tym samym piętrze, dużo widział. Ale czegoś takiego nigdy. Piętro Kassari i przyjaciółka nadal się pieprzyli. Salvatore Kassari był

całkiem nagi, podobnie jak kobieta rozwalona obok niego.

Kelner nie mógł się doczekać, aż zejdzie na dół do kuchni i opowie o tym.

Salvatore podpisał rachunek i dodał napiwek.

— Która godzina, bracie? Kelner spojrzał na zegarek?

— Dziesięć po drugiej, proszę pana.

Lucky zapaliła następnego papierosa i powiedziała:

— To nie w stylu Marca. Spóźnia się. Powiedział o drugiej, a już dwadzieścia po.

Costa upił łyk gorącej, słodkiej herbaty i przyjrzał się jej uważnie.

— Rozmawiałem dziś rano z Ginem — oznajmił. Wydawało się, że go nie słyszy.

— Tak? — Myślami była gdzie indziej.

— Któregoś dnia będziesz musiała pogodzić się z faktem, że to twój ojciec. Że wszystko, co osiągnęłaś, było możliwe tylko dzięki temu, że...

Nie słuchała. Nie chciała słuchać. Dlaczego Costa próbował popsuć jej dzień? Dlaczego zawsze nawijał o Ginie?

W przeciwnym końcu sali zauważyła Boogie'ego w bardzo ożywionej rozmowie z kimś. Patrzyła bezmyślnie, właściwie nie słuchała Costy. Rozmówca wyglądał jak któryś z chłopaków z parkingu. Co taki chłopak robił w restauracji? Musiała się tym zająć.

— W końcu ciągnął Costa Gino wróci i wtedy będziesz musiała...

Boogie skierował się ku niej. Poruszał się jak pantera — pewnie, szybko, cicho. Kiedy się zbliżał, poczuła lekką obawę. Coś było nie tak. Wstała, zanim podszedł.

— Co się dzieje? Był bardzo blady.

— Na zewnątrz była strzelanina.

— Strzelanina? Jak to? Włączył się Costa

— Co się stało? Boogie potrząsnął głową.

— Nie wiem. Zastrzelili kogoś. Chciałbym, żebyś poszła na górę, Lucky, natychmiast. — Już trzymał ją za rękę.

Próbowała się wyswobodzić.

— Nie chcę iść na górę — zaczęła.

— Tak, zabierz ją — nakazał Costa. — Zobaczę, co się dzieje.

— Do diabła! — krzyknęła. — Nie idę na górę. Puść mnie! Boogie spojrzał szybko na Costę, który niezauważalnie skinął głową.

Puścił ją.

Była wściekła. Dla kogo w końcu Boogie pracował?

— Chodźmy zobaczyć, co się stało - powiedziała krótko.

Człowiek leżący na rozgrzanym asfalcie nie mógł wiele widzieć ani słyszeć. Mówią, że kiedy

umierasz, całe życie staje ci przed oczami.

Nieprawda. Wcale nieprawda. Ból zawładnął całym jego ciałem. Oślepiający, nieustający ból, spowodowany trzema kulami, które dostał idąc w kierunku wejścia do hotelu. Ból zabierał go na dziką wycieczkę, krótką wycieczkę, zaraz będzie po wszystkim. Starał się złapać oddech. Ostatni oddech. Usłyszał jej przeraźliwy krzyk,

— M...A...R...C...O! Och, nieee! O BOŻE! nieeee... MARCO!

CZĘŚĆ TRZECIA

Nowy Jork Czwartek, 14 lipca 1977

Wykończona Lucky nareszcie dotarła na ostatni podest betonowych schodów. Wprawdzie była dopiero siódma, ale upał już zaczynał

ogarniać miasto. Czowała się nieświeżo i chciała natychmiast wziąć prysznic.

Schody wiodły do garażu w podziemiach. Skierowała się do swojego samochodu, małego, brązowego mercedesa. Postawiła ogromną torbę na masce i jak zwykle zaczęła szukać kluczy. Grzebała w niej i denerwowała się coraz bardziej. Nie miała tych cholernych kluczy!

W złości odwróciła torbę do góry dnem i wysypała wszystko. Nie znalazła kluczy do samochodu ani do mieszkania.

Przypomniała sobie, jak wywaliła wszystkie rzeczy w windzie, szukając zapalniczki. Idiotka! Pewnie zapomniała włożyć je z powrotem. Na pewno leżały na podłodze.

Tego już za wiele.

— Niech to diabli! Kopnęła samochód.

Steven, który właśnie wszedł do garażu, zatrzymał się zaskoczony.

— Co się stało?

— Zostawiłam kluczyki w windzie. Możesz w to uwierzyć?

— Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego?

— Jak mogłam zrobić coś tak głupiego? — przedrzeźniała go wściekła. — Zrobiłam to specjalnie, żebyś musiał mnie podwieźć.

Zupełnie jakbyśmy nie spędzili wystarczająco dużo czasu razem.

— Daj spokój.

Powrzucała rzeczy z powrotem do torby i poszła za nim do samochodu. Jeździł dwuletnim szewroletem.

Otworzył drzwiczki, a Lucky wsunęła się do środka.

— Włącz klimatyzację zażądała.

Nie zwrócił na to uwagi i zapuścił silnik.

— Włącz klimatyzację — powtórzyła.

— Nie. Ten samochód musi pochodzić co najmniej dziesięć minut, zanim można to zrobić.

— Dlaczego?

— Ponieważ gaśnie — wyjaśnił cierpliwie.

— Czemu nie kupisz nowego samochodu?

— Jakoś lubię ten. Nie masz nic przeciwko temu?

W milczeniu prowadził szewroleta do wyjazdu z podziemnego garażu. Ulice pełne były ludzi, spieszących we wszystkich kierunkach.

— Gdzie mieszkasz? — zapytał uprzejmie. Ziewnęła, nawet nie zasłaniając ust.

— Na rogu 61 ulicy i Park Avenue. Ale nie ma sensu tam jechać. Nie mam kluczy od mieszkania, a sprzątaczką przychodzi dopiero o dziesiątej.

— Portier na pewno ma zapasowy komplet. Zaprzeczyła.

Zacisnął usta. Zaczynał mieć jej dość.

— Więc dokąd jedziemy?

— A gdzie ty mieszkasz?

— Dlaczego pytasz?

Wyjęła papierosa z paczki i rozzłoszczona włączyła samochodową zapalniczkę.

— Chryste! Nie ma znaczenia. Chciałam tylko zapytać, czy mogę u ciebie przesiedzieć do dziesiątej, ale to już nieważne. Nie chcę sprawiać ci kłopotu.

— To żaden kłopot — powiedział zastanawiając się, dlaczego nie prosiła, aby podrzucił ją do jakiejś przyjaciółki albo kogoś z rodziny.

— Dziękuję.

Zapalniczka była gotowa. Przystawiła ją do papierosa i zaciągnęła się głęboko.

Nic nie mówiąc pojechał do siebie. Światła drogowe nie działały, więc bardzo się wlekli.

Myślał o nawale pracy, jaki go czekał. Dochodzenie w sprawie Bonnattiego było bardzo zaawansowane. Przez dwa lata dokładnie sprawdzał życiorys faceta. Enzo Bonnatti, syn ulicy, który z biegiem czasu stał się jednym z najważniejszych gangsterów w kraju.

Prostytucja, pornografia, hazard, narkotyki. Nie wspominając o morderstwach, wymuszeniach i łapówkarstwie.

Nakłanianie ludzi do mówienia nie szło łatwo. Strach ma wielkie oczy. Ale kilku złamało się dzięki Bobby'emu De Waltowi. Kilku koronnych świadków mogło usunąć Bonnattiego na zawsze. Steven trzymał tych świadków w bezpiecznym ukryciu. Teraz należało tylko sporządzić odpowiednie dokumenty oskarżające Bonnattiego i wytoczyć mu proces.

Uważnie zaparkował szewroleta przed budynkiem, w którym mieszkał na rogu 58 ulicy i Lexingtonu. Raz do roku zdarzało się, że znajdował miejsce tuż przed wejściem. Dziś właśnie tak było, dobry znak po zmarnowanej nocy.

Lucky znów ziewnęła.

— W zasadzie jesteśmy sąsiadami — oznajmiła przeciągając się. — Będę mogła pobiec do domu o dziesiątej.

Co będzie z nią robić przez trzy godziny? Dlaczego musiał odgrywać mistrza uprzejmości? Dlaczego nie powie jej, żeby znalazła sobie kogoś innego, u kogo przesiedzi?

Wysiadł z samochodu, ale zanim podszedł do drzwi od jej strony zdążyła wysiąść, przeciągnęła się po raz kolejny i powiedziała:

— Jestem głodna. Ty nie? Masz coś do jedzenia? Nie spodziewała się chyba, że zrobi jej śniadanie?

— Mam jajka, jeśli chcesz sobie zrobić — rzucił szorstko. Weszła za nim na schody.

— Nie umiem gotować.

— Nawet jajek? Wzruszyła ramionami.

— Chyba nie mam kobiecych predyspozycji, jeśli chodzi o kuchnię. Wystarczy, że spojrzę na nie przygotowane jedzenie, a zaraz...

— Nie gadaj.

Dom z piaskowca podzielony był na cztery mieszkania. Steven mieszkał na parterze. Carrie zawsze starała się namówić go, aby jakoś to urządził, ale jemu podobało się, tak jak było: ciemne drewno, skórzane kanapy, wielkie, stare biurko, półki zapchane książkami i jedyna ekstrawagancja, na jaką

sobie pozwolił: kwadrofoniczna wieża hi-fi i imponujący zbiór płyt z soulem i bluesem.

Lucky rozejrzała się. Nie tego się spodziewała. Ale w końcu nie bardzo wiedziała, co myśleć o Stevenie. Niewątpliwie należał do najprzystojniejszych mężczyzn, jakich знаła. Jednak tak atrakcyjni mężczyźni zwykle są zarozumiali i aroganccy. Ten gość był inny.

Chyba naprawdę nie zdawał sobie sprawy ze swojego wyglądu. To oczywiście nie zmieniało faktu, że był okropnie męczący.

Miała wielką ochotę zaciągnąć go do łóżka. Dostać się z nim pod kołdrę i sprawdzić, czy da się go nieco rozgrzać.

Prawie roześmiała się na głos. Jaka odmiana! Zwykle to faceci chcieli iść do łóżka. Wystarczyło, że weszła sama do jakiegoś baru, a mężczyźni otaczali ją ze wszystkich stron. Zupełnie jakby kobiety miały zaraz wyjść z użytku i musieli złapać coś w ostatniej chwili.

Lubiła anonimowość barów dla samotnych. Można tam pójść, znaleźć partnera i nawet nie poznać jego imienia.

Żadnego imienia, żadnego bólu.

— Może usiądziesz — powiedział. — Wstawię wodę na kawę.

— Masz kuchnię elektryczną czy gazową?

— Gazową.

— Szczęściarz.

— Tak.

Wszedł do kuchni.

Usiadła na skórzanej kanapie i marzyła, aby poczuć się lepiej. Tyle miała na głowie, z tyloma sprawami trzeba się uporać...

Zamknęła oczy na moment. Gino miał wrócić... W każdej chwili... Już niedługo...

Nie chcę być znów małą dziewczynką, pomyślała. Proszę cię, tato, nie zabieraj mi tego wszystkiego... proszę...

Gwałtownie otworzyła oczy. Jezu! Co się ze mną dzieje? Nikt, ale to nikt niczego jej nie zabierał.

Steven wrócił do pokju. Zdjął kurtkę i wydawał się bardziej na luzie.

— Wstawiłem czajnik, to potrwa minutkę. Nastawię ci jakąś płytę i wezmę prysznic.

Skinęła głową. Czowała ciężar powiek, które znów chciały się zamknąć, tylko na chwilę, na krótką chwilę...

Przejrzał kilka płyt i wybrał jedną ze swoich ulubionych. Może chociaż miała dobry gust muzyczny. Sprawdzi ją na nieco starszym Marvinie Gaye. *What's Going On* to klasyka. Położył płytę na gramofonie i spiesznie udał się pod wspaniały, orzeźwiający, chłodny prysznic.

Już prawie spała, kiedy muzyka dotarła do jej świadomości. Marvin Gaye *What's Going On*. Jezu! Marco. Noc, kiedy się kochali. Kiedy planowali wspólną przyszłość. Muzyka Marvina Gaye. *What's Going On* ciągle powtarzane. Wspomnienia stanęły jej przed oczami, zanim zdołała je powstrzymać.

Marco. Nigdy nie pozwalała sobie na myśli o nim. Był zamknięty w kącie pamięci, którego nigdy nie otwierała. Nie żył... nie istniał...

Marco... Marco... Marco...

Wciąż słyszała własny krzyk. Miała przed oczami jego ciało, leżące na czarnym asfalcie. Pamiętała, jak krwawił. Jej Marco, jej miłość.

Ludzie zebrali się wokół niego, gapili się i gadali, jakby był jakimś widoczkiem z Las Vegas. Tłuste wiedźmy w głupich letnich sukienkach, rozpuszczone dzieciaki, rumiani mężczyźni w poliestrowych koszulach.

Jeden z nich robił zdjęcia. Wyjął pieprzony aparat i robił zdjęcia.

Rzuciła się ku niemu jak zwierzę, wyrwała mu go ze spoconej ręki, rozbiła o beton i bez przerwy krzyczała:

— Skurwiel... skurwiel... skurwiel...

Boogie odciągnął ją od zaskoczonego turysty, osunęła się na ziemię, uniosła głowę Marca i złożyła sobie na kolanach. I przez cały czas krwawił... powoli... nieodwołalnie.

— Kocham cię... kocham cię... kocham cię!

Wydawało jej się, że jeśli powtórzy to odpowiednią ilość razy, on nie umrze, nie zostawi jej.

— On nie żyje Lucky — powiedział chmurnie Costa. On nie żyje.

— Odpierdol się! — wrzasnęła. Jej twarz wyrażała jedynie straszliwy ból. — Po prostu odpierdolcie się! Wyjdzie z lego... Nic mu nie będzie...

Karetka i policja przybyły w tym samym czasie.

— Musimy przewieźć go do szpitala! wrzeszczała. Błagam! Szybko! Ważna jest każda sekunda!

— On nie żyje, proszę pani — wymamrotał pielęgniarz, kładąc rękę na jej ramieniu.

Odrzuciła go ze złością.

— Skąd, do cholery, możesz to wiedzieć? Nawet nie spróbowałeś go ratować.

Lucky miała przed oczami Marca, jakiego widziała tego ranka. Nie dostrzegła nieruchomego ciała. Nie widziała zmasakrowanej twarzy, miazgi z krwi i kości. Nie widziała wielkiej kałuży krwi wokół siebie.

Pojawił się inspektor policji w towarzystwie kilku glin. Zaczął wydawać rozkazy, wezwał ludzi do rozejścia się, a świadków do pozostania.

— Kim ona jest? zapytał. — Odciągnijcie ją od ofiary i ustalcie, co się właściwie stało.

Młody policjant pospieszył wykonać rozkaz. Kiedy próbował oddzielić ją od ciała, uderzyła go tak mocno, że przewrócił się zaszokowany.

Wtedy wkroczył Boogie. Mimo niepozornego wyglądu, był silny jak stal. Oderwał Lucky od Marca i zaciągnął do wejścia hotelu.

Resztę pamiętała jak przez mgłę. Jakieś twarze, głosy, lekarze i nicość. Umieszczono ją w miejscu, w którym już kiedyś była. W cichym miejscu, gdzie nikt jej nie nachodził. Pamiętała śmierć swojej matki. Wtedy było tak samo.

Obudziła się dwadzieścia cztery godziny później w prywatnej klinice. Otworzyła oczy i powiedziała ostro:

— Co to jest? Dlaczego tu jestem?

Kołysząca się na krześle pielęgniarka aż podskoczyła.

— Ach, pani Santangelo... proszę chwilę poczekać — i wybiegła pędem z pokoju.

Nagle ożywiona, usiadła i zaczęła badać swoje ciało. Wydawało jej się, że brała udział w wypadku. Cofając się w myślach, przypomniała sobie wieczór otwarcia „Magiriano”... pamiętała Enzia, Costę, Marca, Warrisa Chartersa, Daria, salę wypełnioną gwiazdami. Pamiętała doskonale cały ten pieprzony wieczór, ale nic dalej.

Lekarz w białym fartuchu spiesźnie wszedł do pokoju.

— Dlaczego tu jestem? — zapytała. — Czy miałam wypadek?

— Przeżyła pani szok, pani Santangelo. Wytrącono panią z równowagi. Pan Zennocotti już tu jedzie. On chyba najlepiej pani wszystko wyjaśni.

Przyjechał Costa. Wyjaśnił.

Teraz, dwa lata później, Marvin Gaye i *What's Going On...* w końcu odważyła się przypomnieć

sobie prawdę i ból.

Zaczęła płakać, a szloch wstrząsał jej ciałem. Zemsta, jakiej zażądała, nie wystarczyła. Nie było już Marca, do którego mogła zwrócić się po radę. Niebyło Marca, na którym tak bardzo polegała. Prowadziła wiele spraw, ale gładkie, pozbawione kłopotów kierowanie dwoma hotelami udawało się tylko dzięki niemu.

Oczywiście, Enzo Bonnatti okazał się wspaniały. Osobiście wyznac/yl swoich dwóch najlepszych ludzi do poprowadzenia spraw w Vegas, do czasu kiedy opuściła klinikę, znaleźli się na miejscu i kierowali wszystkim **O**dpowiadało jej to. Nie zamierzała pozostać w mieście hazardu. Chciała wrócić do Nowego Jorku. Wylewnie podziękowała Enziowi i poprosiła, aby doglądał przez jakiś czas interesu.

— Nie ma sprawy — powiedział. — Zrób, co musisz zrobić, Lucky. Moi chłopcy wszystkim się zajmą. Dogadamy się.

Oprócz tego, osobiście zlecił swoim ludziom wytropienie zabójców Marca.

Dwa tygodnie po strzeleniu powiadomił ją:

— Mam faceta. Jakiś durny chłystek, prowadzący mały hazardzik. Przeczytasz o nim w jutrzejszych gazetach.

Lucky przeczytała, jak jakiś Mortimer Sauris spłonął w swoim samochodzie — potworny wypadek.

— Kutas umierał powoli — wyjaśnił Enzo. — Wybacz mój język. Enzo był taką podporą. Lucky pomyślała o braciach Kassari i o próbie

przejęcia przez nich „Magiriano” niedługo po śmierci Marca. Enzo obiecał się tym zająć. Kilka tygodni później powiedział jej:

— Wyeliminowałem Rudolpha Crowna, Kassarich i kilku innych próżniaków, którzy się dołożyli. Mam dokumenty dowodzące, że wszystko należy do nas.

Cieszyła się, ale nadal nie chciała wrócić do Vegas. Nie zniósłaby miejsc, które przypominały o Marcu.

Pieniądze z „Mirage” czyściły się jak dawniej. Paru kurierów pobierało torby z gotówką i rozwoziło do różnych miast, gdzie forsa stawała się legalna. W końcu znajdowała się w jednym z biznesów rodziny Santangelo. W taki sam sposób napływały pieniądze z

„Magiriano” aż do dnia, kiedy Enzo wezwał Lucky do swojej rezydencji na Long Island i powiedział:

— Mam dla ciebie niespodziankę. Zaangażowałem się w interes, który może przynieść sporo kasy wszystkim zainteresowanym.

Włączyłem też twoją dolę z „Magiriano”. Zaufaj mi, Lucky.

— Ufam ci — uśmiechnęła się.

Costa sprzeciwił się już w chwili, kiedy o tym usłyszał. Jeśli chodziło o pieniądze, stawał się podejrzliwy w stosunku do wszystkiego i wszystkich. Lucky czasami zachowywała się nieodpowiedzialnie. Gino nigdy nikomu nie zaufałby w sprawach pieniędzy, nawet takim staremu, lojalnemu przyjacielowi jak Enzo. Lucky była zbyt młoda, aby zdawała sobie sprawę z siły i wagi zwykłego dolara.

— Przestań — kłóciła się. — Mówimy o Enziu. Jest dla mnie jak ojciec, na miłość boską. Próbujesz powiedzieć, że chciałby mnie oszukać?

— Pytam tylko, po co zmieniać zasady działania „Mirage”, jeśli sprawdzały się przez ponad dwadzieścia lat.

— To co innego, to inwestycja. Poza tym nie potrzebujemy dochodów natychmiast. Niech Enzo robi, co chce. Weźmiemy, co nam się należy, kiedy będziemy chcieli. Nie widzę problemu.

Marvin Gaye śpiewa, napełnia pokój wspomnieniami, odblokowuje jej umysł.

Boże! Jak bardzo kochała Marca! Dlaczego odmawiała sobie przyjemności wspomnień o nim?

Steven wrócił do pokoju. Założył wytarte dzinsy i starą flanelową koszulę. Czarne, kręcone włosy lśniły od wody, chodził boso.

— Sprawdziłaś, czy woda się zagotowała? — zapytał. Spojrzał na nią uważniej i dodał:

— Dobrze się czujesz?

— Przestała płakać i poczuła się niezwykle spokojna, jakby ogromny ciężar spadł jej z ramion.

— Jasne, wszystko w porządku.

Przetarła oczy, aby usunąć ślady rozmazanego makijażu.

— To muzyka. Ta płyta wzbudziła pewne wspomnienia.

— Przepraszam, nie wiedziałem..

— Cholera! — Zaśmiała się. — Nie mogłeś wiedzieć, nie? Dlaczego zawsze musisz być taki diabelnie uprzejmy?

Za każdym razem, kiedy zaczynał myśleć, że nie jest taka zła, zaskakiwała go czymś niemiłym. Przez chwilę wyglądała jak samotna, mała dziewczynka, ale kiedy otwierała usta, stawała się znów kurwiszonem. Zepsuła nowojorska pannica.

— Myślałem, że przynajmniej wstaniesz i zrobisz kawę — powiedział chłodno.

— Ja tu jestem gościem — przypomniła.

— Nie zaproszonym — nie mógł powstrzymać się, aby się nie odciąć. Urażona poderwała się z kanapy.

— Jeżeli sprawiam ci jakieś kłopoty... — zaczęła.

Zignorował ją i poszedł do kuchni. Woda w czajniku prawie się wygotowała.

— Czarną czy z mlekiem? Słodzisz?

— Czarną. Bez cukru. Mogę skorzystać z łazienki? Nie masz nic przeciwko temu?

Miał.

— Nie, proszę bardzo.

Znalazła łazienkę. Straszny bałagan. Ręczniki rozrzucone po podłodze, włosy w zlewie, maszynka do golenia, dezodorant i odświeżacz oddechu zmieszane z pastą do zębów i szczoteczką. Nie był doskonały w każdym calu.

Zamknęła drzwi, przejrzała zawartość apteczki i postanowiła wziąć kąpiel. Dlaczego nie? Przecież powiedział, że może skorzystać z łazienki, nie?

W kuchni Steven wziął łyk gorącej kawy i podniósł słuchawkę. Za wcześnie na telefon do Carrie i Aileen. Ale w sam raz na telefon do Bobby'ego.

— Człowieku, co się stało? — narzekał Bobby. — Próbowałem dodzwonić się do ciebie przez całą noc.

— Uwierzysz, że utkwilem w windzie w biurze Jerry'ego?

— Wierzę. Całe miasto dostało bzika. Lepiej daj znać Aileen, że nic ci nie jest. Musiałem uspokajać ją prawie co godzinę.

- Wszystko u niej w porządku?

— Tak. Była w domu, kiedy to się stało. Jedyne bezpieczne miejsce. Człowieku, ulice są jak dżungla.

— Prawda. Słuchaj Bobby, dopiero co przyszedłem. Chciałem ci powiedzieć, że zobaczymy się gdzieś o wpół do jedenastej. Wtedy pogadamy.

— Myślisz, że dziś jest odpowiednia chwila? — zapytał niecierpliwie Bobby.

— Mamy duże szanse. Jeśli nie dzisiaj, to jutro.

— Nie mogę się doczekać, kiedy dostaniemy tego skurwiela. Po nocach mi się śni, że dotarło do niego, co się szykuje, i że zwieje z miasta.

Steven spojrział na drzwi.

— Bonnatti nigdy nie ucieknie. Uważa, że jego adwokaci wybronią go, jak to robili przez więcej lat, niż ty chodzisz po ziemi. Mamy go, Bobby, nie martw się.

— Tak, wiem, wiem. Tylko się denerwuję. To wszystko.

— Niepotrzebnie. Spotkamy się o wpół do jedenastej.

Odłożył słuchawkę i dopił kawę. Zaburczało mu w brzuchu — to głód. Raczej umrze z głodu, niż przygotuje Lucky śniadanie.

A w zasadzie, gdzie się podziała? Strasznie długo siedzi w tej łazience. Tyle miał na głowie i jeszcze ona w mieszkaniu. Wyprowadzało go to z równowagi. Rzucił okiem na zegarek. Dopiero siódma trzydzieści. Czas włókł się niesłychanie. Podeszedł do drzwi łazienki i głośno zapukał. Co ty tam robisz? wrzasnął.

Kąpię się - krzyknęła w odpowiedzi. Chcesz wejść i się przyłączyć?

Szybko wycofał się spod drzwi. Jaka przemądrzała! Powinien odpowiedzieć na ten blef i wejść. Ciekawe, co by wtedy zrobiła.

Wiedział, co by zrobiła. Nie należała do dziewczyn, które blefują. Jeśli coś mówiła, miała to na myśli. Przez krótki czas, odkąd się znali, zdążył na tyle ją poznać.

Poszedł do sypialni, włączył przenośne radio i słuchał porannych wiadomości.

„Skutki są przerażające. Prawie trzy tysiące osób zostało zatrzymanych za kradzież. Podpalacze mieli swój dzień. W niektórych częściach miasta pożary były tak częste, że nie dostrzegało się braku elektryczności. Na Manhattanie...”

Wylegając się w letniej wodzie, Lucky uśmiechnęła się do siebie. Czowała się w świetnej formie i tryskała energią. Wspomnienia o Marcu wcale jej nie załamały. W zasadzie, po pierwszych łzach, czowała się dziwnie radosna. Udowodniła sobie, że potrafi kochać, czuć, troszczyć się o drugiego człowieka. Przez dwa lata ograniczała się do jednorazowego seksu z przystojniakami, których nie chciała ponownie widzieć. Seks wchodził w grę, związek nie. Marco chciałby dla niej więcej — teraz to rozumiała.

Układała plany na przyszłość. Skoro Gino miał wrócić, musiała działać szybko. Enzo uprzejmie przejął interesy w Vegas, ale

„Magiriano” należał do niej — nadszedł czas, aby odzyskać kontrolę. Inaczej Wielki Tata wróci...

wszystko przejmie... znów zmieni ją w dziecko. W małą, głupią, kierującą się emocjami kobietkę.

Costa miał rację. Nigdy nie powinna była wypuścić hotelu z ręki. Ale to żaden problem. Enzo zrozumie. Nadszedł czas odebrania należnych pieniędzy. Costa wszystko policzył... ale oczywiście legalne rachunki pokazywały tylko część dochodów. Według oficjalnych obliczeń Costy, Bonnatti wisiał im na ponad milion dolarów, a jeżeli inwestycje, które zrobił w jej imieniu, były choć w połowie tak udane, jak mówił, ten milion można pomnożyć przez dwa. Nieźle jak na siedzenie z założonymi rękami.

Przez te dwa lata cała energia Lucky skoncentrowała się na przekształceniu fabryki kosmetyków w jedną z największych firm w Ameryce. Podobało jej się odgrywanie potentata i naprawdę dokonała cudu w przemyśle kosmetycznym. Już była gotowa na powrót do Vegas.

Woda w wannie stawała się przyjemnie chłodna. Zanurzyła się cała, potem wstała i potrząsnęła mokrymi włosami jak kundel.

Jedyny ręcznik, jaki znalazła, to leżący na podłodze ręcznik Stevena, więc otworzyła drzwi i wystawiła głowę.

— Hej — zawołała — kogo trzeba przelecieć, żeby dostać czysty ręcznik?

Przygotował gorące tosty i jajecznicę na szynce.

Lucky swobodnie i nonszalancko owinięta w ręcznik, pożarła wszystko, jakby od lat nie miała nic w ustach.

— Jesteś świetnym kucharzem — powiedziała z podziwem. Gdybyś kiedyś szukał pracy...

— Jako kto? Pokojówka?

— Proszę! Hardy jesteś. Czy zawsze jesteś taki spięty?

Popatrzyła na niego, zadowolona z tego, co widziała. Zauważyła, że rozmawiała z nim więcej niż z jakimkolwiek innym facetem na jedną noc. Może mogła się z nim związać? Weszłaby w to, gdyby chciał.

Zauważył jej spojrzenie i zajął się jedzeniem.

— Czy ktoś kiedyś powiedział ci — zaczęła. Przerwał jej telefon. 1

Steven odebrał.

— Tak?

Obserwowała go. Rozmawiał chyba ze swoją dziewczyną. Miał cudowną skórę, wspaniały kolor — gładka i czekoladowa, jakby z wakacyjną opalenizną. A jego czarne włosy były ciemniejsze niż jej. Błyszczące loki. Oczy miał jakby lekko wydłużone: kocie, szklanozielone, głębokie i zmysłowe. Zastanawiała się, jakiego był pochodzenia. Z pewnością nie był czystym Murzynem.

Zasłonił ręką słuchawkę.

— Dlaczego się nie ubierasz? — syknął.

Skinęła głową, ale nie ruszyła się. Jeżeli myślał, że nałoży te ohydne ciuchy, mylił się. Kiedy przestanie gadać, poprosi go o jakieś jego rzeczy.

— Nie, to tylko radio — powiedział gapiąc się na Lucky. — Tak, kochanie, oczywiście. Zadzwoń później — trzasnął słuchawką. —

Dziękuję, że pozwoliłaś mi porozmawiać.

Otworzyła szeroko oczy.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Nie myślałem, że trzeba ci mówić.

— I tak nie mogę się ubrać. Moje ciuchy śmierdzą. Może mi coś pożyczysz i wybiegnę z twojego życia. Zawsze mogę posiedzieć na progu mojego domu, wiem, że ci zawadzam.

Łatwo było go przejrzeć. Za każdym razem, kiedy mówiła coś takiego, odpowiadał uprzejmością.

— Powiedziałem, że możesz tu zostać.

— Ale nie chcę ci przeszkadzać. Głośne westchnięcie.

— Wcale mi nie przeszkadzasz.

— To dobrze wstała.

Ręcznik ledwie ją osłaniał. Patrzył na nią, a po chwili odwrócił wzrok.

— Możemy sprawdzić, co masz w szafie? — zapytała niewinnie udając, że nie widziała tego spojrzenia.

— Nie mam nic, co by na ciebie pasowało.

— Nie chcę garnituru, na miłość boską! Jakaś starą koszulę, dzinsy, które podwinę, i pasek, żeby nie spadły. W zasadzie ta koszula, którą masz na sobie, jest w sam raz. — Uśmiechnęła się. Zdieram ci koszulę z karku.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Coś w niej było... Chciał, żeby się ubrała. Nagie ciało pod skąpym ręcznikiem podniecało go. Boże! O

czym myślał? Odkąd zaczął się kochać z Aileen, nie miał innych kobiet. Jeśli jest się w zadowolającym związku z kobietą, nie pragnie się nikogo innego...

Stali w sypialni. Znalazł jej parę dżinsów, które skurczyły się w praniu, i pasek do zawiązania w talii.

Zaciągnięte zasłony nie przepuszczały światła. Gorący i duszny pokój, ciężka atmosfera.

— Daj mi swoją koszulę. Pójdę ubrać się w łazience — powiedziała. Zaczął rozpinąć guziki. Zdawał sobie sprawę, że miał tuzin innych koszul,

które mógł jej pożyczyć. Podeszła blisko, aby ją wziąć, i nie mówiąc ani słowa zaczęli się całować. Najpierw jakby na próbę, potem, kiedy zdali sobie sprawę, że robią to oboje, bardziej zdecydowanie.

Steven zapomniał o Aileen, zapomniał o wszystkim poza silnym pragnieniem tej pięknej, dzikiej kobiety o czarnych oczach. Powoli kierował ją w stronę łóżka.

Czuła się bezwolna i nierealna. Tyle się wydarzyło w tak krótkim czasie. Wspomnienia Marca... teraz to... Wiedziała, że Steven nie będzie jednym z wielu facetów na jedną noc.

Bez sprzeciwu położyła się na łóżku, pozwoliła, aby ręcznik się ześliznął. On walczył z suwakiem lewisów. Wyciągnęła rękę, aby mu pomóc.

Zadzwonił telefon.

Nagle czyjaś obecność wtargnęła do pokoju. Steven zamarł.

— Nie zwracaj uwagi — szepnęła.

— Nie mogę — sięgnął po słuchawkę.

— Kto mówi? — zapytał zdyszczanym głosem.

Aileen, ubrana i gotowa do pójścia do pracy, zapytała:

— Steven? Jesteś zajęty? Pomyślałam, że wpadnę i zrobię ci śniadanie. Musisz umierać z głodu po tym, co przeszedłeś.

Ogarnęło go poczucie winy. Co robił? Szybko wyskoczył z łóżka. — Nie jestem głodny. Mam masę papierów do przejrzenia.

— Wszystko w porządku?

Aileen знаła go bardzo dobrze. Za dobrze.

- Pewnie, jestem tylko zmęczony i przepracowany.

— Przyda ci się solidne śniadanie. Pójdę na rynek i będę u ciebie za pół godziny. — Odłożyła słuchawkę zanim zdążył odpowiedzieć.

Lucky wyczuła, że na dziś koniec. Przekreśliła się na brzuch. — Dziewczyna? — Narzeczona.

— Nie wiedziałam, że ludzie wciąż robią takie rzeczy.

— Jakie?

— Zaręczają się.

Zapiął rozpiorek i podszedł do szafy, z której wyciągnął inną koszulę.

— Przyjdzie tu — powiedział.

— Słyszałam.

— Przykro mi.

— Naprawdę?

Zastanawiała się, czy mówił prawdę, czy tylko chciał być miły. Niech to diabli! Dlaczego ten telefon im przeszkodził? Wstała z łóżka i owinęła się w prześcieradło.

— Chyba ubiorę się i spływam. Nie chciałabym, żebyś miał nieprzyjemności.

— Lucky — podszedł do niej i ujął za ramię, patrząc jej głęboko w oczy — nie wiem, co się dzieje. Coś się wydarzyło. Nie wiem co, ale wiem, że chciałbym się z tobą znów zobaczyć. Mogę?

— Nienawidzę mężczyzn, którzy o coś proszą. Złapała pożyczone ubrania i wpadła do łazienki.

Zmarszczył brwi. Nie potrzebował żadnych kłopotów w życiu osobistym, a jednak czuł, że musi ją znów spotkać. To jakby nie skończony interes, a przez całe życie Steven ani razu nie zostawił niczego nie dokończonego.

Wszedł do kuchni i przygotował dwa kubki kawy. Wyszła z łazienki z uśmiechem na twarzy.

— Podoba ci się? — Tak.

— Myślisz, że mogę zapoczątkować nową modę?

— Dlaczego nie?

— Może wypuszczę to na rynek. Wygląd na Obdartusa.

Obserwował ją poważnie, próbował ją rozszyfrować. Zastanawiał się, co naprawdę czuła pod maską nonszalancji.

— Proszę — podał jej kubek. — Zrobiłem kawę.

— Nie, dziękuję, muszę lecieć. Mam randkę z hamburgerem. Pewnie utylam ze dwa kilo, czekając na

klucze od mieszkania.

Wzięła torbę.

— Może po prostu zostawię tu moje stare ciuchy i zniknę z twojego życia. Było bardzo... ciekawie.

— Daj mi numer telefonu — poprosił nagle.

— Po co?

— Chcę się z tobą jeszcze kiedyś spotkać. Zaśmiała się.

— Chcesz się upewnić, że oddam ci ubranie, tak?

— Chcę twój telefon powtórzyć. Spojrzała na niego figlarnie.

— Mam twój numer, więc ja do ciebie zadzwonię. Jeżeli odbierze kobieta, obiecuję odłożyć słuchawkę.

— Jak się nazywasz?

Żebyś mógł sprad/ić w książce? Zapomnij o tym. Mam zastrzeżony

numer.

Pogłaskała go delikatnie po policzku.

— Ale zadzwonię. Obiecuję.

— Bardzo bym chciał.

Przerwał i spojrzał na nią znacząco.

— Naprawdę chciałbym.

— Wiem — szepnęła cicho. Po tym, co między nami było, nie będziesz mógł mi się oprzeć.

Kiedy w końcu dostała się do mieszkania, usłyszała telefon. Jakieś kłopoty w wytwórni kosmetyków. Wysiadł zapasowy generator prądu i zaczęła się panika. Ledwie zdążyła wziąć prysznic i przebrać się w czyste ubranie, przyjechał po nią jeden z dyrektorów i zawiózł

do fabryki.

Chciała odpocząć, skontaktować się z Enziem, wypać się, ale wróciła do domu koło piątej po południu. Wykończona rzuciła się na łóżko i natychmiast zasnęła. Nie mogła już nic zrobić.

Śnił jej się Marco, bardzo przyjemne, potem Steven, co ją zaskoczyło, a wreszcie Gino — obudziła się z biciem serca. Gino wraca.

Przejmuję wszystko. Boże! Musi szybko wracać do Vegas.

Śpojrzała na zegarek. Dochodziła siódma. Poszła spać w ubraniu. Szybko przebrała się w krótką bawełnianą koszulę, nalała sobie szklankę mrożonej herbaty i zadzwoniła do Enzia.

— Wyszedł — poinformowała ją sekretarka. — Wróci bardzo późno.

Spróbowała dodzwonić się do Costy, ale nikt nic odbierał. Pomyślała o Stevenie, ale postanowiła nie dzwonić do niego. Jeszcze za wcześnie.

Ale na co? Przebiegł ją dreszcz. Steven był inny, niezwykły. Nie chciała tego popsuć.

Usłyszała telefon i poderwała się w nadziei, że to Enzo. Ale nie, dzwonił Boogie Patterson, jej były goryl i kierowca, kochany stary Boogie, który chciał przyjechać z nią do Nowego Jorku, ale odmówiła. Boogie wzbudzał wspomnienia o Las Vegas, — o przelewie krwi. Został w Vegas i prowadził wypożyczalnię limuzyn. Pomogła mu to sfinansować. Rzadko się kontaktowali, ale byli przyjaciółmi.

— Cześć Boog. Jak leci? Co się dzieje?

— Lucky zaczął. Głos zniekształcony przez automat, stukot wpadających monet. — Muszę z tobą porozmawiać.

— Dobrze się składa. Miałam zamiar do ciebie zadzwonić. Przyjadę do Vegas, może jutro. Chciałabym, żebyś po mnie wyszedł na lotnisko?

— Masz zamiar tu przyjechać? — nie wydawał się zadowolony.

— Jasne. Minęło już sporo czasu. Wracam.

— Nie rób tego.

— Co?

— Właśnie jadę na lotnisko. Są rzeczy, o których powinnaś się dowiedzieć. Właśnie coś wykryłem.

Zdenerwowała się.

— Co takiego?

— Lucky... Wiem, że trudno będzie ci w to uwierzyć, ale Enzo Bonnatti nie jest przyjacielem, za jakiego go brałaś.

— Boogie, co ty opowiadasz? Zwariowałaś? Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

— Doskonale — przerwał znacząco. — I ty musisz sobie zdać sprawę. Mortimer Sauris nie zabił Marca, to niemożliwe. Bonnatti wykończył niewłaściwego faceta. To tylko początek.

— Co? — zatkało ją i nagle dreszcze przebiegły jej po szyi.

— Zobaczymy się wkrótce, to nie jest rozmowa na telefon. Otworzyłem puszkę ze śmierdzącym robactwem. Nie mów nikomu o naszej rozmowie, dopóki się nie spotkamy, rozumiesz? Nikomu.

— Rozumiem. Prześlij mi numer lotu. Zgaszona odłożyła słuchawkę.

— Marco... Marco... Kochanie, dostanę ich. Kto by to nie był, osobiście ich dostanę, obiecuję.

Piątek, 15 lipca 1977

Nowy Jork Ranek

Lucky spała kiepsko, co godzina budziła się i sprawdzała czas na zegarku. Zbyła Costę, kiedy zadzwonił zaraz po telefonie Boogie'ego.

Jutro. Nie chcę o niczym dzisiaj słyszeć.

Nie starał się nakłonić jej do rozmowy. To nieodpowiednia chwila na powiadamianie jej o powrocie Gina, poznał po tonie jej głosu.

I tak wstała wcześniej, postanowiła więc pojechać na lotnisko i wyjść Boogie'emu na spotkanie. Podejrzenia doprowadzały ją do szału.

Kazała portierowi zamówić taksówkę, pojechała do garażu, w którym poprzedniej nocy został jej mercedes. Otworzyła go parą zapasowych kluczyków. Za wycieraczką znalazła kartkę następującej treści: Daję ci trzy dni, potem sprawdzę twoje numery i dzwonię.

Steven.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Musiał przyjechać tu specjalnie tylko po to, żeby zostawić jej wiadomość. Zadzwoni do niego... chce tego... ale najpierw dowie się, co Boogie ma jej do powiedzenia.

Gino wstał o szóstej, ubrał się, przed siódmą skończył jeść śniadanie i natychmiast zadzwonił do Costy.

— I co? — zapytał. — O której mam się spotkać z Bonnattim?

— Enzo proponuje pierwszą, w restauracji w Brooklynie. Jest tam ogród, poza tym mówi, że podają tam świetne lody. Powiedział też...

— Dlaczego nie w „Riccardi”?

— Nie wiem odparł nerwowo Costa. — Jeśli chcesz, pomówię z nim i...

— Dobrze. O drugiej w „Riccardi”. Też przyjdź.

Dario starał się przebudzić, ale nie potrafił unieść powiek. Wydawały się takie ciężkie...

Wiedział, że jeszcze wcześniej. Słyszał pracującą gdzieś śmieciarkę, dzieci idące do szkoły. Nie był u siebie... nie wiedział, gdzie się znajduje... powoli znów zapadł w sen.

Na dole w kuchni Sal pocałowała Ruth w policzek i powiedziała:

— Na pewno wiesz, co masz robić?

Ruth skinęła głową i wygładziła górę sukienki.

— Wiem doskonale.

— Dobrze. — Sal skrzyżowała palce na szczęście. — Więc zaczynaj.

Carrie wstała wcześniej od Elliotta — rzecz niezwykła, która jednak zdarzyła się już drugi dzień pod rząd. Tym razem ubrała się w prosty, czarny kostium, nie założyła żadnej biżuterii. Przeczesała włosy i związała je w ciasny kok. O ósmej rano była gotowa do wyjścia.

— Carrie — spytał badawczo Elliott — dokąd się wybierasz?

— Do nowej sali treningowej, wspaniałe miejsce.

— Chciałbym, żebyśmy dzisiaj wyjechali, a ty idziesz do jakiejś nowej sali. Próbowала się uśmiechnąć, ale czuła, że uśmiech przekształca się

w grymas.

— Wrócę przed obiadem.

— Nie pojmuję, co się z tobą ostatnio dzieje — parsknął z niesmakiem. — Od tej awarii prądu...

— Nic się ze mną nie dzieje. Po prostu dbam o zdrowie.

— Zarezerwowałem miejsca na Bahamach. Przygotuj się na wyjazd dziś wieczorem.

Posłusznie skinęła głową. Może. Ale tylko może.

— Jak jedziesz na tę salę? - zapytał, kiedy już stała w drzwiach. Zatrzymała się na chwilę, nie wiedziała, co powiedzieć.

— Idę pieszo — wymyśliła w końcu. — To tylko kilka przecznic stąd.

— Gdzie?

— Niedaleko — odpowiedziała wymijająco, za sekundę zniknęła za drzwiami.

Na ulicy nabrała głęboko powietrza i skierowała się w stronę metra. Napięte nerwy — im szybciej to załatwi, tym lepiej.

Steven zawsze wstawał o wpół do siódmej. Miał swoje przyzwyczajenia i nie odstępował od nich. Lodowaty prysznic, półgodzinna gimnastyka, świeży sok pomarańczowy, otręby pszenne, miód, gorąca kawa i mógł wyjść naprzeciw każdemu i wszystkiemu.

Dziś zmierzy się z Enziem Bonnattim. Nadszedł dzień, w którym papiery były gotowe. Dwa lata drobiazgowej, niewolniczej pracy miały wreszcie dać efekty. Podniecało go to, ale i przerażało.

Podniecało go, ponieważ człowiek pokroju Enzia Bonnattiego zasługiwał

na spędzenie reszty parszywego życia za kratkami. A przerażała go świadomość, że nawet teraz masa rzeczy mogła się nie udać.

Ubrał się i przez moment pomyślał o swoim życiu. Aileen stanowiła ogromną jego część. Taka zaradna, zorganizowana i atrakcyjna.

Doskonale nadawała się na żonę.

Jedyna noc w windzie z zadziorną, przemądrzałą dziewczyną o imieniu Lucky i zdał sobie sprawę, że Aileen nie pasowała do niego. Nie chciał spędzić z nią reszty swego życia i tyle.

Enzio Bonnatti obudził się z ciężkim kacem. W ustach miał smak kurzego łajna, bolała go głowa, ciało miał zeszytywniałe i brudne. Ale wieczór należał do udanych. Dużo dobrego czerwonego wina i wyuzdanych blondynek, gotowych zrobić wszystko, na co miał ochotę.

Kobiety. Wszystkie są kurwami. Wprawdzie to nic odkrywczego, zawsze o tym wiedział, ale w latach siedemdziesiątych jakby się zmieniły. Wydawało się, że pieprzenie, ssanie i te rzeczy naprawdę im się podobają. Pamiętał czasy — i to niedawne — kiedy tylko kurwy zgadzały się na perwersje. Teraz wyglądało na to, że kobiety polubiły seks, naprawdę polubiły. To psuło mu przyjemność z oglądania. Zdecydował że w przyszłości dziewczyny wybierane do zabawiania go muszą być bardziej niewinne. Może dziewice? Ale czy są jeszcze jakies?

Zdjął maseczkę, w której spał, i zaczął kasłać jak co rano. Potem nacisnął guzik przy łóżku i wezwał do siebie Dużego Wiktora, od trzydziestu pięciu lat swojego osobistego goryla.

Miał przed sobą ciężki dzień. Gino Santangelo wrócił, to przysporzy mu masę pracy.

Lucky obserwowała, jak ląduje samolot Hoogic'ego. Czekwała niecierpliwie, kiedy przechodził przez bramki przylotowe.

Nie zmienił się. Wciąż ten sam stary Boog — chudy, długowłosa, w ciasnych dzinsach i starym moro z naszywkami.

Podbiegła i uścisnęła go. Nieco go to zbiło z tropu. Boogie nie lubił okazywać uczuć.

Rozejrzał się uważnie, mrużąc oczy.

— Czy ktoś wie, że przyjechałem?

— Prosiłeś, żeby nic nie mówić, a zresztą Boog, kogo według ciebie mogłoby to interesować? Gadaj, o co właściwie chodzi?

Wziął ją pod rękę, silne palce ścisnęły mocno ramię.

— Im szybciej porozmawiamy, tyri szybciej zmądrzejesz.

— Chodźmy. Mój samochód stoi na zewnątrz. Możemy pogadać po drodze do miasta.

Ja poprowadzę. Kiedy usłyszysz, co mam do powiedzenia, będziesz miała prawo zemdleć. Lucky, potraktowano cię jak głupią cipę.

Dotarło do niej. W oczach pojawił się ciemny, złowrogi błysk, głos nabrał kwaśnej barwy.

— Opowiadaj, Boog, nie mogę się doczekać.

Poranne gazety zawiadomiły o powrocie Gina Santangelo do Ameryki. Wprawdzie nie nagłówki, ledwie trzecia strona New York Timesa.

Gino przeczytał artykuł i wyrzucił gazetę z obrzydzeniem. Pewne jak w piekle, że nie zrobi niespodzianki Lucky ani Dariowi.

Zadzwoił do Costy i kazał mu zorganizować spotkanie z dziećmi na południe. Dzieci. Dobry dowcip. Pedał i pożeraczka kutasów.

Jednak myśl o ponownym spotkaniu z nimi podniecała go bardziej, niż chciał przyznać.

Lucky i Dario. Potomstwo z małżeństwa z Marią. Słodka, piękna Maria. Za każdym razem, kiedy o niej pomyślał, przejmował go ból tak silny i świeży jak w dniu, w którym się to stało. To morderstwo pozostanie w jego myślach aż do dnia, kiedy się z nią połączy. Maria.

Taka delikatna, szlachetna. Dlaczego Lucky nie wdała się w matkę?

Spędził pracowity ranek przy telefonie, odnawiał stare znajomości, dawał znać właściwym ludziom, że wrócił i że zostaje. Słuchał, pytał

o plotki i o prawdę. Do czasu umówionego spotkania z Enziem wiele się dowiedział, więcej, niż potrzebował, aby upewnić się, że Enzo nie ma zamiaru oddać władzy nad Las Vegas bez walki.

Cóż, jeżeli chciał walki, Gino był gotów. Podjął odpowiednie kroki, aby wzmocnić swoją pozycję, a Enzo Bonnatti, jeśli umiał myśleć, złoży broń przed starciem. Gino Santangelo zawsze wygrywa. Życie to udowodniło.

Tym razem Carrie nie zwracała na siebie uwagi. Była czarną w murzyńskiej dzielnicy. Nic drogiego nie przyciągało wzroku, mimo że niepozorne okulary słoneczne, ochraniające jej oczy, kosztowały ponad sto dolarów.

Metro stanowiło duże przeżycie — gorące, brudne, śmierdzące i zatłoczone. Od ilu lat nie jeździła metrem? Dopiero teraz zdała sobie sprawę z różnicy między własnym życiem a życiem zwykłych ludzi. Masz szczęście, Carrie, myślała. Spełniło się twoje marzenie. Masz pieniądze, styl, pozycję. A jednak udajesz, nieprawda? Żyjesz kłamstwem. Twoja historia to kłamstwo.

Dużo czasu do dwunastej. Chciała, aby było już po wszystkim. Lękliwie weszła do kawiarni, usiadła przy barku i zamówiła kawę.

— Będzie dziś upał, kochanie — zauważyła koścista kobieta za ladą, leniwie drapiąc się po łokciu. Większy niż w ustach Muhammada Aliego.

Zaśmiała się głośno z własnego dowcipu.

— Jak ja kocham buziak tego chłopaka!

Carrie uśmiechnęła się niewyraźnie. Jeszcze trzy godziny oczekiwania.

Warris Charters minął się z Lucky na lotnisku Kennedy'ego tylko o pół godziny. Bardzo wcześnie przyleciał do Los Angeles i miał

wyjątkowo dobry humor. Poranne gazety zawiadomiły o powrocie Gina Santangelo do Ameryki, nie mógł wybrać lepszego momentu.

Uśmiechnął się do siebie. Zajęło mu to wiele czasu, ale wreszcie dopiął swego — *Śmiertelny strzał* zostanie nakręcony i to bez pomocy Daria Santangelo. Warris jednak w głębi duszy musiał przyznać, że Dario bardzo mu ułatwił zadanie.

Wspomniał wydarzenia z ostatnich dwóch lat. Dario. Piękny, jasnowłosy chłopak o niesłychanym apetycie seksualnym. Nieprzydatny, jeśli chodzi o przekazanie scenariusza swojemu ojcu. Zazdrosny, niepewny, niestały. Boże! Warris znał wiele kobiet o podobnych cechach. Dario wprowadził się nie zaproszony i odegrał pana i władcę. Warris nie chciał tego typu związku, zwłaszcza że nie widział

żadnych korzyści z niego płynących. Jediną rzeczą, jaką Dario miał z rodziny Santangelo, było nazwisko. Gino i Lucky zmonopolizowali władzę i pieniądze. Szybko się o tym przekonał.

Kiedy zdał sobie sprawę, że Dario niczego nie wniesie do jego życia, wysłał go do pracy. Dario Santangelo stał się Davidem Dirkiem, super gwiazdą pornosów, jakby do tego właśnie został stworzony. Jedyne minus stanowił fakt, że Dario/David nie potrafił podniecić się przy żadnej kobiecie, tylko faceci mogli z nim pracować.

— Niełatwo przydzielać ci role — narzekał Warris. — Tylko filmy heteroseksualne przynoszą dużą forszę.

— Więc napisz coś specjalnie dla mnie — odpowiedział beztrąsko Dario. To niezły pomysł i Warris postanowił go wykorzystać. Film zatytułowany

Wędrowny Kowboj odniósł natychmiastowy sukces w klasie porno. Dario, na ekranie przystojniejszy od Roberta Redforda, rozkochał w sobie wszystkich pedałów Ameryki. Do studia w Pasadenie zaczęły napływać tony listów od wielbicieli. Dario osiągnął sukces, został

królową filmu.

Kariera jednak była krótka. Pewnego ranka dwóch mężczyzn zjawiono się w apartamencie Marina del Rey, który zajmowali Warris i Dario. Faceci należeli do tych, z którymi nie należy się spierać, więc kiedy powiedzieli, że pan Bonnatti chce się z nimi spotkać, nie zaprotestowali. Jak dwa posłuszne

szczeniaki prosto po tresurze, udali się z nieznanymi do Las Vegas, gdzie groźny Enzo Bonnatti przyjął ich w apartamencie na ostatnim piętrze „Magiriano”.

Enzo nie przebierał w słowach.

— Zabieraj swoją pedalską dupę do Nowego Jorku i siedź tam — nakazał Dariowi. — Jeżeli jeszcze kiedyś zobaczę twoją twarz w którymś z tych filmów, możesz się z nią pożegnać. Kapujesz?

Dario kapował. Poleciał do Nowego Jorku bez pożegnania.

Ty rzucił Enzo do Warrisa, kiedy Dario ich opuścił — wiesz, kim jestem?

Panie Bonnatti padła gładka odpowiedź — podziwiam pana przez całe życie.

Enzo skinął głową i odburknął:

— Rozumiem, że nie będziesz, sprawiał żadnych kłopotów, prawda? Warris wyciągnął ręce w geście poddania.

— Panie Bonnatti, niech pan tylko powie, czego pan sobie życzy.

— Siostra złotowłosego pedała siedzi mi na karku i chce film. Więc ja ten film dostanę. Negatyw i wszystkie kopie. I bez żadnych numerów, bo będziesz wachał kwiatki od spodu. Zrozumiano?

Warris przybity skinął głową.

— Oczywiście dostanę zwrot kosztów? Enzo roześmiał się głośno.

— Jasne, jesteś konkretny. Ty reżyserowałeś ten śmieć?

— Ja go napisałem, reżyserowałem i obsadziłem. Ten śmieć robi kasę, jak się pan pewnie zorientował.

— Tak, tak, wiem. — Enzo z namysłem podrapał się po nosie. — Chcę, żebyś napisał film dla mnie. Dużo cycków, dupy i obsadz

blondynki. Wiesz, o co mi chodzi?

Warris wiedział.

— Sfinansuję całość. Ile to będzie kosztowało?

— Nie narzekam na brak sponsorów dla moich filmów, - powiedział łagodnie Warris — szczególnie po sukcesie *Wędrownego Kowboja*.

— Więc czego chcesz? — uciął Enzo. — Nie pieprz mi tu o rzeczach, które mnie nie obchodzą. Gadaj wprost.

Charters rozpromienił się.

— Chcę zrobić uczciwy film. Mam scenariusz pod tytułem *Śmiertelny strzał*. Jestem pewien, że temat pana zainteresuje.

Ta rozmowa miała miejsce cztery miesiące temu. Od tej chwili Warris był tak zajęty jak nigdy dotąd. Enzo Bonnatti zachwycił się pomysłem zrobienia filmu o życiu Gina Santangelo, zażądał tylko wprowadzenia kilku zmian. Drobnych zmian — przyjaciel i mentor Gina stał się superbohaterem, sam Gino zaś zmienił się w nędznego, gwałtownego opryszka.

Warris zgodził się na wszystkie zmiany. Pieprzy Enzia Bonnatti. Kiedy już będzie pracował nad filmem, zrobi go po swojemu. Dziesięć lat czekał na taką okazję.

W tym czasie Bonnatti pokrył wszystkie koszty wstępne i zgodził się na budżet w wysokości czterech milionów dolarów. Warris zebrał

doskonałą ekipę specjalistów oraz dobrał aktorów mających prawdziwy talent. Kością niezgody stała się główna postać kobieca. Warris wiedział, kogo chciał. Bonnatti miał inny pomysł. Wizyta w Nowy Jorku miała przynieść sfinalizowanie umowy, miała też zdecydować, która dziewczyna dostanie rolę. Zdjęcia miały zacząć się za dziesięć dni, nie było czasu na pierdoły.

Gwiżdżąc cicho pod nosem, Warris wsiadł na lotnisku w taksówkę. Pod pachą miał film ze zdjęciami próbnymi swojej kandydatki.

Kiedy Bonnatti ją zobaczy, nie będzie się więcej spierał.

Ruth pospiesznie weszła do supermarketu. Już przyzwyczała się do spojrzeń, jakimi ją obrzucano. Najpierw podziw, ponieważ jest —

raczej była — bardzo atrakcyjna. Potem szok, przerażenie, zakłopotanie. Jedno spojrzenie na zniekształconą część twarzy i czar pryskał.

— Hej, kotku — zaczął facet, potem nagle urywał.

Nie zwracała uwagi. Głupi dupek. Co on wiedział? Przystanęła przy telefonie i nabrała głęboko powietrza. Dario Santangelo spał w jej łóżku snem sprawiedliwego. Sal uważała, że złapały pana Boga za nogi, ale Ruth była dość mądra, by wiedzieć, że tak nie jest. Nie wolno żartować z grubymi rybami, to pierwsza zasada życia w ich mieście. Czasami Sal także zachowywała się jak głupia dupa.

Wygrzebała z portmonetki kilka monet i wykręciła numer.

— Wiktor — szepnęła — mówi Ruthie. Chciałabym, żebyś mi pomógł wybrnąć z pewnej trudnej sytuacji...

W ciągu dnia ulica wydawała się obca. Carrie jednak zdołała znaleźć rynek mięsny i stanęła obok, podskakiwała za każdym razem, kiedy ktoś koło niej przechodził.

Oczy biegały jej z jednej strony na drugą, niespokojnie przyglądała się twarzom, sposobowi poruszania się i mimice. Kto, do cholery, tak ją męczył? Zabije ich. Zdobędzie gdzieś pistolet i zabije.

Nie zwracała uwagi na samochody, więc przeoczyła też białego eldorado, który zatrzymał się przed rynkiem. Za pierwszym razem nie usłyszała nawet swojego imienia. Drugie wołanie dotarło do niej, więc poszła w kierunku samochodu.

Człowiek, który siedział w środku, ukryty był bezpiecznie za przyciemnionymi szybami.

— Kim jesteś? — syknęła. Otworzyły się tylne drzwi.

— Wsiadaj — usłyszała ten sam głos co w słuchawce. — Pospiesz się, proszę.

Boogie mówił bez przerwy przez godzinę. Boogie, który zwykle nie miał ochoty na wypowiedzenie dwóch zdań.

Lucky słuchała nie przerywając, opowiadał monotonnym, spokojnym głosem. Boogie nigdy by jej nie okłamał. Nie miał powodu.

Narastała w niej zimna wściekłość. Nie umiała nad sobą zapanować. Głupia cipa. Boogie powiedział, że za taką ją uważają, miał rację.

Głupia pieprzona cipa.

Siedzieli u niej. Podeszła do zamkniętej szuflady i wyjęła małe, metalowe pudełko. Wprawnie zrobiła skręta, przypaliła, zaciągnęła się głęboko i podała jointa Boogie'emu. Uspokoila się, umysł zaczął normalnie pracować. Trawka już nie przyprawiała jej o chichot, wręcz przeciwnie. Rzadko jej używała, jedynie kiedy chciała być wyjątkowo skupiona i bystra.

Boogie kończył opowiadać. Spojrzał na nią uważnie.

— Musiałem ci powiedzieć, prawda!'

— Oczywiście. Wyciągnął się.

— Tak myślałem.

Zamilkli, dokończyli skręta, każde zajęte swoimi myślami.

— Jak zamierzasz działać? — zapytał.

— Jak pajak czarna wdowa — odpowiedziała chłodno. — Po cichu, ukradkiem, a jeśli ktoś wejdzie mi w drogę, zniszczę go.

Piątek, 15 lipca 1977

Nowy Jork Popołudnie

— Enzo — promieniał Gino — przyjacielu, założę się, że straciłeś nadzieję, że będziemy znów siedzieć razem w „Riccardi”, otoczeni naszymi lojalnymi ludźmi.

— Gino, przyjacielu, myślałem o tym codziennie od twojego wyjazdu.

— Nie wątpię. Czemu nie? Razem wyrosliśmy, razem chwyciliśmy ten świat za jaja, zawsze byliśmy wobec siebie uczciwi. — Podniósł

kieliszek. — Czasami nasze poglądy różniły się, ale jakoś się dogadywaliśmy. Piję za nas, Enzo, za ciebie i za mnie. Dwa stare konie bojowe, które przetrwały z godnością i dobrą wiarą.

Enzo wznosił kieliszek i stuknął się z Ginem. Napili się.

— Powiedz mi — rzucił Gino od niechcienia — w co zainwestowałeś moje pieniądze z „Magiriano”?

— Ach — Enzo oglądał swoje wypielęgnowane paznokcie. — Cieszę się, że o to pytasz. Wróciłeś tak nagle, że sprawiłeś wszystkim niespodziankę. Nie jestem przygotowany. Chcę pokazać ci papiery, wyliczenia... Zrobiłem dla ciebie kawał dobrej roboty.

— Jak dobrej? — zapytał spokojnie Gino.

— Zobaczysz. W końcu tygodnia wszystko przygotuję.

— Świetnie, świetnie.

Bawił się widelcem pełnym spaghetti.

— Doceniam wszystko, co zrobiłeś, Enzo. Zająłeś się Vegas, czuwałeś nad Lucky. Rozumiem, że zastępowałeś jej ojca.

Enzo uśmiechnął się. Miał spróchniałe zęby. Bał się dentystów tak bardzo, że nigdy ich nie odwiedzał.

— Ona jest prawdziwą Santangelo, Gino. Powinieneś być z niej dumny.

— Jestem, Enzo, jestem. Ale nie zapominajmy, że jest kobietą, jest słabsza. Niestety, niektórzy ludzie to wykorzystują.

Enzo mrugnął prawym okiem, zawsze miał laki tik, kiedy zamierzał skłamać.

— Nikt nie śmie wykorzystać Lucky, póki ja tu jestem — zawyrokował. — Nikt.

— Nie, przy tobie przyjacielu nie, ponieważ ty postąpiłbyś tak samo jak ja, gdyby coś takiego się stało. Wdeptałbyś takiego człowieka w ziemię jak robaka, jak glistę. Mam rację?

Enzio nie odpowiedział. Spojrzał na Gina, ten nie odwrócił wzroku.

— Jutro — powiedział wolno Gino — zacznę obsadzać hotele moimi ludźmi.

Podrapał się delikatnie po starej bliźnie na policzku.

— Powiesz swoim, żeby współpracowali. Zróbmy to gładko, nie ma na co czekać. Prawda przyjacielu?

Carrie nie rozpoznała starszej kobiety na tylnym siedzeniu eldorado, ale wsiadła do samochodu. W końcu po to przyjechała do Harlemu, żeby się dowiedzieć.

Klimatyzacja działała na pełnych obrotach, a przyciemniane szyby sprawiały, że wewnątrz wydawało się dziwnie ciemne. Ścianka odgradzała je od kierowcy.

Jak tylko wsiadła, samochód ruszył. Oblała się potem, to nerwy. Czowała wilgoć pod pachami, między udami, na dłoniach.

Kim jesteś? — powtórzyła. — Czego chcesz?

Stara zaśmiała się, brzmiało to dziwnie smutno. Gruba, opatulona w obszerny, biały kaftan, tłuste palce w pierścieniach nerwowo bębniły w kolana. Nie do twarzy było jej w dużych, białych okularach słonecznych. Czarne, farbowane włosy, spięte w hiszpański kok, wulgarna, czerwona szminka na ustach. Pomarszczona, oliwkowa skóra i podbródek zwieszający się fałdami na szyi. Powietrze wypełniał zapach koszmarnie słodkich perfum.

— Nie pamiętasz mnie? zapytała kobieta chrapliwym szeptem.

— Nie znam cię powiedziała zdesperowana Carrie. — Na miłość Boga, powiedz mi, czego chcesz. Nie mam zbyt wiele pieniędzy, ale...

— Ha! Nie masz pieniędzy! Spójrz na siebie, kochanie. Ty śmierdzisz forszą.

Ile chcesz? Głos kobiety złagodniał.

Nie chcę twoich pieniędzy. Mały Steven pewnie wyrósł na przystojnego mężczyznę.

Carrie przeraziła się. Co wiesz, o Stevenie?

Ja go pamiętam, a ty nie pamiętasz mnie. Chrapliwy głos coś jej zaczął przypominać. Carrie myślała szybko. Ten akcent, coś z tym akcentem...

— Kochałam go, był także moim dzieckiem. Kiedy ode mnie uciekłaś, zabrałaś małego.

Kobieta westchnęła smutno.

— Ale nie mam o to pretensji, Carrie. Nie mam pretensji. Tak świetnie sobie poradziłaś, stałaś się naprawdę kimś, ty...

— Suzita? — wyszeptała zaskoczona. Suzita? Stara skrzywiła się w uśmiechu.

— Nieco utylałam, zestarzałam się. Dla ciebie czas się zatrzymał, ja — wzruszyła ramionami — przez całe życie musiałam pracować.

Carrie miała ochotę rozplakać się. Ta paskudna, stara krowa me mogła być Suzitą, młodą, pełną życia Suzitą, o którą mężczyźni chcieli się pozabijać. Los naprawdę jej nie oszczędził.

— Nie sprowadziłam się tu, aby cię szantażować powiedziała szybko Suzita. — Chociaż to chyba tak musiało dla ciebie wyglądać.

Carrie była zakłopotana. Miliony myśli przebiegały jej przez głowę.

— Dlaczego? Po tak długim czasie? Jak mnie znalazłaś?

— Nigdy nie straciłam cię z oczu, kochana — powiedziała Suzita. — Śledziłam twoje życie, odkąd zauważyłam twoje zdjęcie w jakimś piśmie po kilku latach od twojego wyjazdu. Fakt, że wyrwałaś się Bonnattiemu, poprawiał mi samopoczucie. Niewielu udało się od niego uciec, niewielu...

Bonnatti. Brzmienie tego nazwiska przynosiło przykre wspomnienia. Bonnatti traktował ją jak stół, krzesło, kawałek mięsa, jak martwy przedmiot służący do zabawy.

Bonnatti. Pan. Wszystkich traktował jak śmieci.

— Suzita — powiedziała miękko — przeszłam przez ciebie piekło w ciągu ostatnich dni. Stałam przed rynkiem w piątek w nocy.

Czekałam. Nie pojawiłaś się. Obrażono mnie... aresztowano... to koszmar. Proszę, powiedz, czego ode mnie chcesz, i pozwól mi żyć spokojnie.

— Tak, pewnie, wiem. Nie mamy już nic wspólnego. Jesteś damą, a ja kurwą, która prowadzi Bonnattiemu dom. Dlaczego miałabyś spędzać ze mną czas?

— Na Boga! — błagała Carrie. — Powiedz mi, czego chcesz. Suzita bawiła się pierścieniami na grubych palcach.

— Chcę cię ostrzec, to wszystko.

— Ostrzec mnie?

— Tak. Przed śledztwem w sprawie Bonnattiego.

— Jakim śledztwem'?

Suzita uniosła duże okulary słoneczne i gapiała się na Carrie z niedowierzaniem. Oczy wyglądały jak rodzyнки w pomarszczonej skórze.

— Śledztwem, które twój syn prowadzi przeciw Bonnattiemu.

Prąd przebiegł przez Carrie. Śledztwo, które twój syn prowadzi. Wiedziała, że Steven nad czymś pracuje, ale względy bezpieczeństwa nie pozwoliły mu wspominać żadnych nazwisk. Nie zaufałyby nikomu. Nawet Jerry nie wiedział.

— Nie wiedziałaś? — spytała Suzita. Carrie pokręciła głową.

— Cholera! — zawołała Suzita. — Cóż, Bonnatti wie... i nie martwi się.

— Co chcesz powiedzieć?

— Nie tylko ja śledziłam twoje życie. Carrie poczuła, że zbiera się jej na wymioty.

— Bonnatti wie, kim jest Steven. To mu daje przewagę. Kiedy stanie przed sądem, opowie o tobie. Wyobrażasz sobie, co się stanie ze Stevenem? Z taką matką jak ty wyśmieją go w sądzie. Bonnatti tylko na to czeka. Jakby miał to być pokaz, przygotowuje się naprawdę dobrze. Ma na ciebie wszystko: narkotyki, zdjęcia, dane ze szpitali, wszystko. Ma nawet stare zdjęcie Stevena otoczonego dziewczynami, miał wtedy cztery lata. Sympatyczny, mały chłopiec w białym jedwabnym kombinezonie stoi na stole...

Carrie wcisnęła się w fotel.

Lucky siedziała po turecku na łóżku, zamknęła oczy, położyła ręce na skroniach. Enzo Bonnatti. Jej ojciec chrzestny, jej opiekun.

Człowiek, któremu ufała, którego kochała. Człowiek, który w jej uczuciach zajął miejsce Gina.

Enzo Bonnatti. Jadowity wąż ukryty w trawie. Morderca. Zabójca. Zabójca Marca — jeśli nie zrobił tego osobiście, wydał rozkaz.

— Skończcie Marca — tak musiał powiedzieć. — Tylko on wie, co się dzieje. Dziewczyna i Costa są niegroźni. Wycofają się. Nie są na tyle mądrzy, by zostać.

Miał rację! Jak musiał się cieszyć, kiedy podała mu wszystko jak na tacy. On i bracia Kassari! — synowie zabójcy jej matki.

I nigdy niczego nie podejrzewała. Głupia, mała Lucky Santangelo Głupia cipa.

Gdyby nie Boogie, nada) tkwiłaby w błędzie. Boogie wyłowił pewne informacje, kiedy wiozł dziesięć dni temu w swojej limuzynie dwóch bandziorów z Chicago. Usłyszał tylko strzępki rozmowy, kilka nazwisk i dat ale zainteresowało go. Zaczął się zastanawiać nad Enziem Bonnattim i

jego lojalnością wobec Lucky. Pchnęło go to do poszukiwań na własną rękę.

Dowiedział się bardzo wiele. Łatwo. Miał przyjaciela w policji, który sprawdził dokumenty na temat zabójstwa Marca. Organizator nieznany Długi policyjny raport mówił o niektórych podejrzanych. Przesłuchiowano braci Kassari, ale ich niepodważalne alibi.

Przesłuchano ich najemnego zbira, aresztowano, wypuszczono za kaucją. Facet został przejechany przez samochód, zanim zdążył

stawić się w sądzie. Mortimer Sauris to mały hazardzista, me było go w mieście, kiedy zabito Marca. Oszukiwał przy zakładach. Nie zależało mu na sprzątnięciu nikogo, natomiast wielu ludziom zależało na sprzątnięciu jego.

Marco został zamordowany przez braci Kassari na polecenie Enzia Bonnattiego. To nie tajemnica.

Lucky mocniej przycisnęła palce do skroni. Dlaczego nie zauważyła, co się dzieje? Dlaczego niczego nie podejrzewała?

Jezu! Zeskoczyła z łóżka. Wiedziała, co musi zrobić.

Costa oblał się potem, kiedy opuścili „Riccardi”. Przez całe życie kochał spokój. Teraz, gdy Gino wrócił, pokój należał do przeszłości.

— Parszywy skurwysyn — mruknął Gino po wejściu do samochodu. — Brudny, obrzygany, zakłamany skurwiel.

— Co ci się nie podoba? — zapytał niepewnie Costa. — Zgadzał się ze wszystkim, co mówiłeś. Nie spierał się.

— Starzejesz się czy co? To ja wyjechałem, ty tu siedziałeś i niczego nie widzisz?

— Myślisz, że zamierza nas oszukać?

— Obudź się, stary. Zamierza nie tylko oszukać. Planuje atak. Wiem. Czytam to w jego oczach.

Costa był szczerze zaskoczony.

— Myślisz, że Enzo, twój przyjaciel od tylu lat...

Zamknij się, Costa. Jeśli tobie można robić wokół dupy, nie znaczy że wszyscy są ślepi. Muszę pomyśleć. Muszę mieć spokój. I muszę podwoić obstawę. On planuje atak. Wiem to.

— Ale, Gino...

— Co? Co? Uważasz, że takie rzeczy nie mają miejsca?

— Ja tylko...

— Zorganizowałeś mi spotkanie z Lucky i Dariem?

— Próbowałem się z nimi skontaktować.

— Nie próbuj, sprowadź ich do hotelu. Jeżeli Enzo chce się mnie pozbyć, Lucky może być następna. Kto wie? Chcę się z nimi zobaczyć tak szybko, jak to możliwe. Sprowadź ich osobiście.

Costa skinął głową, pot powoli po nim spływał.

Enzo wsiadł do swojego brązowego pontiaka o kuloodpornych szybach i systemie wyciszania, które kosztowały więcej niż cały ten cholerny samochód. Wkurzony wyszukał kawałka na kasecie Toniego Bennetta i przy dźwiękach piosenki *Zostawiłem serce w San Francisco* powiedział do Dużego Wiktora.:

— Już czas. Przygotuj wszystko. I nie spierdol.

— Mam pomysł, szefie — oznajmił Wiktor śliniąc się.

— Jaki?

— Może użyć chłopaka? Tego Daria. Jeśli on to zrobi, nikt nie wskaże na ciebie. Santangelo ma wielu dobrych przyjaciół, którzy nie będą zachwyceni twoim udziałem. Jeśli użyjemy chłopaka, nie będą mogli nic powiedzieć.

— Masz, kurwa, rację! — zawołał Enzo. — Chłopak jest teraz w domu, tak?

— Jak mi kazałeś, szefie. — Wiktor uśmiechnął się głupawo. Przypomniawszy sobie, że należy zająć się Ruthie. Ona jest w porządku. Zrobi, co trzeba, kiedy będzie pora. Zadzwoiła do wuja i poprosiła o radę. Duży Wiktor dostrzegł dobre strony w zatrzymaniu syna Gina Santangelo.

— Nie pokazuj się w domu, moi chłopcy wszystkim się zajmą — powiedział jej. — Dobrze zrobiłaś dzwoniąc do mnie.

— A co z Sal? Nic jej nie zrobią?

I co z tego? — chciał powiedzieć Wiktor. Lepiej wyjdiesz, jeśli pozbędziesz się tej twardej lesby.

— Oczywiście, że nie, kochanie — zapewnił ją. — Idź dziś do domu. Wszystkim się zajmę.

— Kiedy zajedziemy do domu, sprowadź go do mnie zdecydował Enzo. — Wiesz co, Wik? Jeśli dzieciak go załatwi, to będzie najlepsze wyjście.

— Właśnie to powiedziałem, szefie.

— Nie. To ja tak powiedziałem.

Carrie wysiadła z samochodu Suzity na rogu 109 ulicy i wzięła taksówkę do domu. Zwolniła

pokojówkę i zamknęła się w gabinecie Elliotta. Usiadła i lustrowała szklaną szafkę, w której trzymał broń. Co wiedziała o pistoletach? Prawie nic. Jedynie tyle, żeby wziąć jakiś mniejszy, naładować i użyć. Tylko że nie przeciwko Suzicie. Suzita przyjechała ją ostrzec. Bóg wie dlaczego, skoro tyle lat temu Carrie od niej uciekła.

Enzio Bonnatti miał być ofiarą. Enzio Bonnatti, który, według Suzity, mieszkał w dobrze chronionym domu na Long Island, skąd kierował siecią przestępców.

Patrzyła na pistolety i zatrzymała wzrok na kalibrze 38. Wstała bardzo wolno, podeszła do okna i z wazonu wyjęła kluczyk od szafki.

Wybór był prosty. Kariera Stevena za życie Enzia. Nie miała wyboru.

Costa dzwonił do drzwi Lucky jak na alarm. Przez cały rano próbował się do niej dodzwonić, ale nie udało mu się. Podobnie przy próbach skontaktowania się z Dariem. Spróbował jeszcze raz w porze obiadowej. Wszędzie zostawiał wiadomości, ale żadne nie oddzwoniło.

Teraz stał przed drzwiami Lucky i modlił się, aby była w domu. Nadszedł czas, aby spojrzeć prawdzie w oczy. Gino wrócił. Nie ma co do tego wątpliwości.

W końcu usłyszał szczeł zawiasów, drzwi otworzyły się, ale trzymał je łańcuch.

— Costa? padło pytanie.

Zaskoczyło go to. Gdzie pokojówka? Kto urzędował w mieszkaniu Lucky?

— Tak - powiedział krótko.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Boogie Patterson.

— Co tu robisz? — zapytał Costa nieuprzejmie.

— Odwiedził mnie. Mogę mieć gości, prawda? Lucky wyszła z sypialni w krótkiej koszuli.

— Przez cały dzień starałem się cię złapać — powiedział nadęty.

— Nie było mnie, potem wyłączyłam telefon. O co ci chodzi?

— Czytałaś gazety?

— Nie. Bo co? Nabrał powietrza.

— Twój ojciec wrócił — powiedział wchodząc do pokoju — i chce się z tobą widzieć.

Dario był zaskoczony. Co, do cholery, działo się w jego życiu? Siedział w kuchni u Enzia i popijał mocną kawę, dwa bandziory kręciły się wokół niego.

— Chcę iść do domu — powiedział zirytowany. Powiedział to już po raz czwarty.

— Zabierzemy cię do domu — rzucił jeden z nich o imieniu Russo — jak tylko właściwie podziękujesz panu Bonnattiemu.

— Nie wiem, o co, do diabła, chodzi — wymamrotał Dario. Obudził się na tylnym siedzeniu samochodu, obok niego Russo, inny facet prowadził. Ostatnie, co pamiętał, to Sal podającą mu pigułki. Ani Russo, ani ten drugi nie udzielili mu żadnych informacji. Nie odważył się zapytać, co się stało z Sal czy z chłopakiem, którego zasztyletował. Kiedy przyjechali do domu, Russo powiedział:

— To rezydencja pana Bonnattiego. Pomógł ci wygrzebać się z kłopotów. Kiedy powie, że można, zawieziemy cię do domu.

Nie wyciągnął z nich nic więcej.

Jęknął i upił następny łyk gorącej kawy.

— Czy mogę zadzwonić?

— Nie.

Trzeci mężczyzna wszedł do kuchni. Grubas w przepoconym garniturze, poplamionym tłuszczem.

— Dario! — zawołał, jakby byli starymi przyjaciółmi. — Ostatnim razem widziałem cię w Vegas, pamiętasz?

Przyjrzał się. Tak. Grubas był z Enziem Bonnattim, kiedy ten wezwał do siebie jego i Warrisa.

— Wracaj do Nowego Jorku rozkazał Enzo, a grubas osobiście wsadził go do samolotu.

— Słuchaj, co się tu, do cholery, dzieje? zapytał ostro.

— Miałeś parę problemów. Pan Bonnatti dowiedział się o nich, pomyślał, że należysz do rodziny, i zdecydował się ci pomóc. Chodź.

Chce się z tobą zobaczyć.

Enzio Bonnatti siedział w olbrzymim fotelu, pokrytym adamaszkiem, wybierał orzeszki z półmiska.

— Siadaj — polecił, jakby rozmawiał z psem.

Dario usiadł. Wiedział, kiedy nie należy się sprzeczać. Enzo Bonnatti mógł wyglądać na dziadka, ale głos, oczy, sposób, w jaki zaciskał

pięści, kiedy wydawał rozkazy, wskazywały na coś wręcz przeciwnego.

Cisza wypełniła pokój. Dario rozejrzał się. W końcu usłyszał:

— Nie mam czasu do stracenia, nigdy nie miałem. Powiem ci, o co chodzi i czego chcę.

Dario skinął głową.

Enzio wycisnął orzeszka z łupinki i wsadził go do ust.

— Ktoś nasłał tego pedała na ciebie, żeby cię sprzątnąć. Jesteś niegłupi. Pozbyłeś się go, zanim on zdążył pozbyć się ciebie.

Dario zmrużył oczy. Wyglądało na to, że nie mógł zrobić nic, o czym nie dowiedziałyby się pieprzony Bonnatti.

— Wiesz co? Nigdy nie myślałem, że jesteś taki łebski — ciągnął Enzo. — Ale zrobiłeś, co należało.

Zjadł następnego orzeszka i sięgnął po szklankę z wodą mineralną.

— Więc załatwiłeś pedała, zadzwoniłeś do Costy Zennocottiego, który sprowadził Sal, żeby wszystko posprzątała. Tylko co się wtedy stało?

— To właśnie chciałbym wiedzieć — mruknął Dario.

— Sal cię porwała! — oznajmił dramatycznym głosem Enzo. — Osoba przysłana przez Costę, aby ci pomóc, porwała cię!

Dario wyprostował się i pochylił, aby uważniej wysłuchać.

— Dlaczego? — walił Enzo. — Zapytaj sam siebie. Dlaczego? Przerwał na chwilę, popatrzył znacząco, potem ciągnął ściszonego głosem:

— Ponieważ twoja rodzina chce się ciebie pozbyć. Kapujesz? Chcą cię wykluczyć, usunąć ze swej drogi, zagrzebać głęboko pod ziemią.

Gino i Lucky, oboje chcą twojej śmierci. Dario martwy. Rozumiesz chłopcze? Martwy.

Dario nabrał powietrza. A więc to jednak Lucky.

Costa poczuł się o wiele lepiej, kiedy Lucky zgodziła się na spotkanie z ojcem. Wydawała się jakaś nieswoja, ale należało się tego spodziewać.

— Pojedź ze mną natychmiast do hotelu — prosił. — Gino czeka.

— Teraz nie mogę — odpowiedziała chłodno. — Muszę zadzwonić w parę miejsc. Ale przyjdę później, obiecuję.

Costa spojrział na zegarek. Prawie wpół do trzeciej.

O czwartej u „Pierra”? — zapytał niecierpliwie.

Tak. Przyjdę. Nie martw się, przyjdę na pewno. Pocałowała go w policzek. Wyglądał na wykończonego. Wyglądałby jeszcze gorzej, gdyby wiedział to co ona. Costa pospieszył do swojego biura.

— Ach, panie Zennocotti usłyszał od sekretarki — dzwoni Dario Santangelo. Już trzeci raz.

Costa chwycił słuchawkę.

— Dario? Gdzie jesteś? Próbowałem cię złapać. Czy wszystko w porządku?

— Wszystko dobrze. Zasiedziałem się u przyjaciół. Czytałem, że Gino wrócił. Chcę się z nim zobaczyć.

— A on chce zobaczyć się z tobą.

— No pewnie. — Zawahał się przez chwilę. — Czy Lucky też tam będzie?

— Będzie. Dobrze by było, gdybyście teraz, po powrocie ojca, jakoś się dogadali. Myślę, że...

— Później. — Dario odłożył słuchawkę. Enzo, siedzący w olbrzymim fotelu, zapytał:

— I co?

Dario zatrzymał oddech.

— O czwartej u „Pierra”. Będą tam oboje. Enzo skinął głową.

— Zrobisz, co będziesz musiał — powiedział dobrotliwie. — Prawda, Dario?

Gino chodził po pokoju zamyślony. Te kłopoty potrzebne mu były jak piąte koło u wozu. Musiał zdecydować się na pokaz siły. Trzeba pokazać Bonnattiemu na samym początku, że nie ustąpi ani o centymetr. Dwa cholerne hotele w Vegas należały do niego. Jasne, Bonnatti miał kawałek „Mirage”, ale to wszystko, to tylko kawałek.

Niestety, Bonnatti dysponował armią. Jednak działanie w masie nigdy nie było zasadą Gina. Jego styl to wielkie interesy, kontakty z właściwymi ludźmi, powiązania, które mogły przynieść więcej korzyści niż cała armia bandziorów.

Zanim Lucky przyjechała do hotelu, dodzwonił się do paru osób i wiedział o śledztwie. Lada dzień wytoczą mu sprawę. Enzo wykręcił

się już od wielu zarzutów, ale tym razem zanosilo się na coś innego.

Uśmiechnął się szyderczo. Wyeliminowanie Bonnattiego rozwiąże dużo problemów. Lepiej szybko odzyskać forszę...

Costa wprowadził Lucky do pokoju, a sam zniknął w sypialni. Gino patrzył na córkę. Ze zdziwieniem stwierdził, że była jego lustrzanym odbiciem. Przez lata upodabiała się do niego. Mieli identyczne oczy, czarne węgle, błyszczące włosy i układ szczęki, pełne, zmysłowe usta, doskonałe, białe zęby. Jezu! Ale nie była nim. Piękna niczym dzika czarna orchidea.

Natychmiast spostrzegł, że to nie ta zepsuta dziewczynka, którą zostawił. To kobieta, pewna siebie, stanowcza.

Uśmiechnął się i otworzył ramiona:

— Lucky!

Zatrzymała się. Czy on naprawdę spodziewał się, że pójdzie tak gładko? Jeden uścisk i czułe „Lucky”?

Udała, że nie widzi wyciągniętych rąk, i sztucznym głosem powiedziała:

— Cześć, Gino. Witam w domu.

Głupia, głupia, głupia. Dlaczego powiedziała: witam w domu, kiedy nie miała tego na myśli?

Przyjrzał jej się zaskoczony i udał, że chciał tylko wzruszyć ramionami.

— No, no — powiedział. — Spójrzcie tylko. Wydoroślałaś. Zachowała zimną krew.

— Myślałam, że byłam dorosła, kiedy wydałeś mnie za mąż w wieku szesnastu lat.

Zrobił głupią minę.

— Nie wypaliło. Ale uchroniło cię od wielu kłopotów, prawda? Zamierzasz już zawsze prowadzić wojnę?

Zauważyła butelkę szkockiej na stole.

— Nalać ci? — zapytała sztywno.

— Nie piję o tej porze.

Nalała sobie pełną szklanekę i umyślnie pociągnęła duży łyk. Gino nie odrywał od niej oczu.

— Myślę, że musimy porozmawiać — powiedział w końcu. Spojrzenie ojca nie wyprowadziło jej z równowagi:

— Tak — powiedziała wyzywająco. — Dużo się zmieniło pod twoją nieobecność.

— Tak? — Tak.

Próbowała spojrzeć na niego w podobny sposób, ale nie umiała utrzymać wzroku. Podeszła do okna i

wyjrzała.

— Zaangażowałam się, jestem częścią tego.

— Tak słyszałem.

Odwróciła się do niego, jej oczy błyszczały groźnie.

— Powiem ci jedno. Nie wycofam się. Nie ma mowy.

Dario wjeżdżał windą. Poślinił usta, bo wyschły i pękały. Nacisnął stop i spróbował pomyśleć logicznie. Enzo Bonnatti miał rację. Albo on, albo oni. Dlaczego ma pozwolić, aby zmienili jego życie w piekło? Nasyłać ludzi do jego własnego mieszkania, aby go zabili! To szokujące. Jak mógł żyć w ten sposób? Nigdy nie wiedzieć, kogo przyślą, żeby go załatwił. Nie mieć pewności, czy jakiś poderwany facet nagle nie dziabnie go nożem. Nie znać przyszłości.

Enzo Bonnatti miał rację.

A jednak, zabić własnych krewnych, zamordować z zimną krwią...

— Dlaczego ja? zapytał Bonnattiego.

— Bo ty masz wszystko do zyskania, a nic do stracenia — padła odpowiedź. Poza tym, Ciino jest podejrzliwy. Moi chłopcy nie dostaną się do niego. Nie spieprz niczego. Wykonaj robotę dobrze. Kiedy wyjdiesz z hotelu, będzie czekał samochód, dostaniesz bilet do Rio, a na miejscu milion dolarów.

— Skąd mam wiedzieć - zaczął Dario.

— Że możesz mi zaufać? — Enzo zaśmiał się swoim gardłowym śmiechem. — Nie wiesz. Ryzykujesz. Ale to lepsza szansa niż ta, którą dadzą ci siostra lub ojciec. Tego drobnego faktu możesz być pewien.

O czwartej po południu Steven padał z wyczerpania. Cały dzień spędził na ostatecznym łączeniu faktów, czekał na przygotowanie papierów. Chciał być przy aresztowaniu Bonnattiego. Chciał widzieć wyraz jego twarzy, kiedy założą mu kajdanki, przeczytać mu jego prawa i zawlec go na posterunek.

Człowiek taki jak Bonnatti natychmiast będzie się starał o zwolnienie za kaucją. Steven zamierzał mu to uniemożliwić.

Siedział z Bobbym w biurze, pili niesłychane ilości kawy i czekali na telefon, który zapowie, że wszystko gotowe.

— Cholera, człowieku! — zawołał Bobby. — Dwa lata morderczej pracy, ale teraz nie mogę się doczekać, aż zobaczę gębę tego sukinsyna.

Steven zgadzał się z nim.

— Nie musisz mi tego mówić.

— Jasne. Jeszcze jedną? Zaprzeczył ruchem głowy i ziewnął.

— Ile czasu zajmuje sprawdzenie numerów samochodu?

— Jakies pięć minut. Mam znajomego w tym dziale. Jaki to numer?

Steven podał mu numer mercedesa Lucky.

— Chcesz zobaczyć szybką robotę, proszę bardzo — zażartował Bobby podnosząc słuchawkę.

Pięć minut później znał nazwę przedsiębiorstwa, na które samochód był zarejestrowany.

— Kogo szukasz? — zapytał ciekawie.

— Kogoś — mruknął Steven myśląc o Lucky. Bardzo chciał się z nią ponownie zobaczyć.

— Samochód tego kogoś należy do wytwórni kosmetyków. Mam adres, jeśli chcesz kogoś szukać dalej.

— Nie teraz.

— Czy Aileen wie o tym kimś?

— Może się wreszcie zamkniesz, Bobby, i zrobisz jeszcze jedną kawę?

— Rozkaz, szefie, już się robi.

Spotkanie Lucky i Gina nie szło najlepiej. Była zbyt wściekła, żeby mogła chociaż rozważyć możliwość pogodzenia się z ojcem. On zachowywał się po przyjacielsku, ale im więcej mówił, im był miłszy, tym bardziej była pewna, że chciał ją ugłaskać, że się nią bawił.

— Vegas należy do mnie — powiedziała w końcu. — Wracam.

— Na to chyba trochę za późno.

— Co chcesz powiedzieć?

— Daj spokój, Lucky. Chyba jesteś rozsądniejsza. Oddałaś Vegas Bonnat-temu, wręczyłaś mu. Myślisz, że z uśmiechem się wycofa

— Wiem, jak sobie z nim poradzić. Roześmiał się głośno.

— Przyjechałem w samą porę. Nie widzisz, że Bonnatti nie jest już naszym przyjacielem?

Oblała się gorącym rumieńcem. Nawet Gino wiedział... Zanim zdążyła coś powiedzieć, usłyszeli pukanie do drzwi. Lucky poszła otworzyć.

W korytarzu pojawił się Dario. Szczupły blondyn o niewinnym wyglądzie.

— Cześć wszystkim — powiedział. — Fajnie was widzieć.

O drugiej po południu Carrie wynajęła w Hertz samochod. O trzeciej zaparkowała przed rezydencją Enzia Bonnattiego.

Siedziała w samochodzie, torebka z pistoletem leżała na siedzeniu obok. Myślała, że jeśli będzie sterczała tam wystarczająco długo, zbierze się na odwagę i zrobi coś z mieszkającym tu potworem.

Warris Charters zameldował się w hotelu Plaża. Czemu nie? Enzo Bonnatti płacił rachunki.

Poszedł do sauny, na masaż, na manikiur. Dwa razy dzwonił do Bonnattiego, ale Enzo był nieuchwytny. O trzeciej piętnaście zadzwonił

po raz kolejny i tym razem Enzo z nim porozmawiał.

— Mam film, który chciałem panu pokazać — powiedział Warris. Cieszył się, że Enzo wreszcie odebrał telefon. W przemyśle filmowym

nigdy nie można być niczego pewnym.

— Dobrze usłyszał. Chcę to obejrzeć. I mam pomysł na nowe zakończenie. Padniesz.

— Czy mam przyjść teraz? - Masz samochód?

Nie. Chciałem coś wynająć.

Nie kłopotz się. Przyślę po ciebie któregoś z moich chłopców. Russo przyjedzie po ciebie koło szóstej. Bądź gotowy. Warris szczęśliwy rozłączył się.

Lucky nie ucieszyła się z widoku Daria. Kto go zaprosił? To miało być spotkanie w interesach, a zamieniało się w rodzinne pojednanie.

Cholera! Miała tyle roboty. Nie potrzebowała czegoś takiego.

Dario i ona w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Dario starał się udawać, że wszystko w porządku, ale mały pistolet w źle dopasowanej kaburze pod pachą wydawał się ważyć tonę. Na górnej wardze pojawił się pot.

— Zdejmij marynarkę — prosił Gino. - Czuj się swobodnie.

— Za chwilę — odpowiedział Dario.

Za chwilę was rozwalę. Kogo najpierw? Jeżeli zacznę od tej dziwki, mojej siostry, co robi Gino? I odwrotnie?

Boże kochany! Bonnatti po prostu wcisnął mu pistolet i powiedział: zrób to. Ale jak? Kogo najpierw, na rany Chrystusa? Kogo najpierw?

— Muszę już iść — powiedziała ostro Lucky.

Ją najpierw. To ona przysporzyła mu najwięcej kłopotów. Automatycznie sięgnął po broń. Rio. Milion dolarów. Wolność.

— Gino — Costa wyszedł z sypialni — czy mam zamówić coś do pokoju?

A niech to! Costa! Nie zlikwiduje ich wszystkich. Cholera! Dlaczego Bonnatti nie powiedział mu, co zrobić z Costą?

Sytuacja stawała się zbyt skomplikowana. Zrobi to, na pewno, ale innym razem. Jutro. Albo pojutrze. Bonnatti zrozumie. Musi zrozumieć. Rio może poczekać dzień czy dwa. Milion dolarów będzie tam cały czas. Ręka zsunęła się z pistoletu. Gino tak dziwnie mu się przyglądał, jakby wiedział.

Podbiegł do drzwi.

— Muszę lecieć, zapomniałem o czymś — wymamrotał.

Teraz wszyscy się na niego gapili. Mokra od potu ręka ślizgała się na klamce.

— Hej — zaczął Gino. — Co się z tobą dzieje? Chcę z tobą porozmawiać. Chcę...

Wreszcie dobrze uchwycił klamkę i wybiegł z pokoju. Słyszał, jak Gino coś za nim krzyczy, ale nie odwracał się. Dobiegł do schodów ewakuacyjnych, tak jak kazał mu Bonnatti. Leciał na dół przeskakując po dwa stopnie, ciężko oddychał. Ta cholerna kabura wpijała mu się w pachę.

Dlaczego uciekał? Przecież nic nie zrobił.

Stopniowo zwalniał. Na pierwszym piętrze zaczął normalnie oddychać.

Wyszedł spokojnie z hotelu i rozejrzał się. Zauważył Russa po przeciwnej stronie i dał mu znak, że wszystko w porządku.

Russo zrozumiał znak i niemal niezauważalnie skinął głową.

Potem stało się coś, czego Dario nie pojął. Stał przed hotelem, czekając, aż Russo podejdzie do niego i zaprowadzi go do samochodu, gdziekolwiek by go nie zaparkowali, kiedy nagle ktoś uderzył go od tyłu. Jezu! Twarde jak łamacz kości.

Odwrócił się, aby zobaczyć, kto to, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i nagle pojawiła się krew.

Zaskoczenie. Upadał. Ludzie krzyczeli. Umieram, myślał. Zastrzelono mnie. Nie żył, zanim dotknął chodnika.

Steven, pracowicie pochylony nad biurkiem, po raz setny uważnie przeglądał papiery, zeznania, oświadczenia. Robił cokolwiek, by wypełnić czas.

Wszedł Bobby.

— Hej, stary, co ty robisz? Steven spojrzał na niego.

— Tylko przeglądam.

— Nie, chodzi mi o ten samochód, o mercedesa. Wiem już, do kogo należy.

— Do kogo?

— Czy mówi ci coś nazwisko Lucky Santangelo?

— Lucky... Santangelo — powoli wycedził Steven.

— Córka tego Gina Santangelo, który właśnie wrócił do miasta. Przyjaciela i współnika Bonnattiego. Wprawdzie nic na niego nie mamy, nie działa w narkotykach ani w przestępczości, jednak ma powiązania.

Podniecony Bobby przysiadł na skraju biurka.

— No, podziel się.

Na chwilę zapadła cisza.

— Jesteś pewien? — zapytał w końcu.

— Kiedy Bobby de Walt coś mówi, jest tego pewien.

Pomyślał o Lucky i wzdrygnął się. Dlaczego mu nie powiedziała? Ale dlaczego miała mu mówić? On przecież nie opowiadał o sobie.

Jednak musiała wiedzieć, kim był. Musiała wszystko zaaranżować, żeby sprawdzić, ile z niego wyciągnie.

Przygotować awarię prądu w mieście? Chyba ponosiła go wyobraźnia To czysty przypadek.

— Niezła lala — zauważył Bobby. — Mam jej zdjęcie. Bonnatti jest jej ojcem chrzestnym. Brała udział w otwarciu „Magiriano” w Vegas. No, Steven, powiedz, co wiesz.

— Nic.

— Nic?! Więc po co śledzisz jej samochód?

— Boże! Jeśli stwierdzę, że jest partnerką Bonnattiego, to ci powiem — rzucił ostro.

Był bardzo załamany. Jak mógł zaangażować się w coś z córką Gina Santangelo?

Zadzwoniła sekretarka.

— Słucham?

— Jest tu pana matka, panie Berkely. I właśnie przyszła wiadomość, że papiery, na które pan czeka, są gotowe.

— Dziękuję, Sheila. Co moja matka tu robi?

— Nie wiem. Wpuścić ją na górę?

— Tak.

Wyskoczył zza stołu i zrobił gest zwycięstwa.

— Mamy robotę zabierzemy się za to. Bobby aż krzyknął z radości.

Carrie weszła do pokoju, a Steven rzucił się na nią z niedźwiedzim uściskiem.

— Mamo, w pełni doceniam, że wreszcie przyszłaś zobaczyć, gdzie pracuję, ale mam pilną robotę. Wpadnij jutro, pójdziemy na obiad.

— Steven powiedziała ściśniętym głosem — muszę z tobą porozmawiać.

— Nie teraz, moja piękna. Przepraszam, ale właśnie rozpoczynam najgłośniejszą sprawę roku. Mocna dawka S.O.

— Satysfakcja osobista, proszę pani - zaśmiał się Bobby.

— To ważne — powiedziała cicho Carrie. — Nie przyszedłabym tu, gdyby to nie było bardzo ważne.

— Więc wpadnę do ciebie później.

Sięgnął po kurtkę i przerzucił ją przez ramię. Bobby przysunął się do niego.

— Twoja matka nie wygląda najlepiej — szepnął. Steven spojrzał na Carrie. Nie była taka jak zwykle.

— Później — powiedział całując ją delikatnie. — Obiecuję. Idź teraz do domu i odpocznij. Wyglądasz inaczej niż zwykle. Masz samochód?

Skinęła głową.

— Daj mi klucz od swojego mieszkania. Poczekam u ciebie — szepnęła, próbując opanować

dreszcze przebiegające jej ciało.

— Już wiem! — powiedział. — Pokłóciłaś się z Elliotem. Nie odpowiedziała. Nie ufała swojemu głosowi. Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął klucz.

— To mi zajmie parę godzin, rozgość się uprzedził wręczając jej klucz. — Chodź, Bobby, zrobmy to wreszcie.

Patrzyła za wychodzącym synem i zastanawiała się po raz setny, czy podjęła właściwą decyzję. Siedzenie przed domem Enzia Bonnattiego dało jej czas na przemyślenie wszystkiego. Jaki miała plan? Podejść prosto do drzwi, poprosić o widzenie z Bonnattim i zastrzelić go? Tak by się to odbyło na filmie, ale życie różniło się od kina.

Zbyt wiele było „czy”.

Czy mogła liczyć na spotkanie twarzą w twarz z Enziem? Czy mogłaby użyć pistoletu? Czy rzeczywiście mogła zastrzelić człowieka z zimną krwią? Czy udałoby jej się uciec do samochodu i odjechać nie zauważona?

Kiedy tak siedziała zlaną potem w nagrzanym, wynajętym samochodzie, zdała sobie sprawę, jak absurdalny był jej plan. Kiedy to zrozumiała, zastanowiła się nad innymi rozwiązaniami.

Istniało tylko jedno.

Powiedzieć Stevenowi prawdę. Powiedzieć mu wszystko. Kiedy podjęła decyzję, poczuła, że odżyła, odmłodziła. Uruchomiła samochód i pojechała do centrum bez dalszych namysłów.

Steven miał prawo wiedzieć. I co by się nie stało, powie mu.

— Co, do cholery, dzieje się z tym dzieciakiem? — wybuchnął Gino. — Wiesz co? Wyglądał, jakby właśnie sięgał po gnata.

Zauważyłeś to, Costa?

— Nie, nie zauważyłem.

— Ja tak — powiedziała Lucky. — Po Dariu można się wszystkiego spodziewać.

— Nie rozumiem, co jest grane — mówił podniecony Gino. — Mój własny syn wchodzący tu z pukawką. Zawróć go, Costa. Chyba nadszedł czas, żeby przemówić do rozumu naszemu małemu pedałowi.

— Och — skomentowała Lucky — myślę, że nieco za późno na przemawianie mu do rozsądku. Gdybyś poświęcił mu więcej uwagi, kiedy był nastolatkiem...

Gino odwrócił się do niej.

— Jak ci się wydaje, do kogo mówisz?! Zaczerwieniła się, ale nie odwróciła wzroku.

— Do ciebie. Mówię do ciebie. Kiedy Dario i ja byliśmy dziećmi, nie mieliśmy żadnej rodziny. Siedzieliśmy zamknięci w mauzoleum na Bel Air jak para trędowatych. Nie mogliśmy mieć przyjaciół. Nie wolno nam było chodzić do kina jak innym dzieciakom. Kiedy szliśmy na zakupy, jeden z twoich goryli szedł za nami. Nic dziwnego, że Dario jest teraz nieco dziwny.

Patrzył na nią.

— Jakie ciężkie mieliście życie! Piękny dom, wszystko, co można kupić... Podniosła głos podniecona.

— Pieniądze. Kto chce pieniędzy? Chciałam ciebie, kiedy byłam mała. Chciałam, żebyś mnie kochał, żebyś był ze mną. Chciałam, żebyś był prawdziwym ojcem.

Jej słowa uderzyły go jak fala.

— Zawsze robiłem dla was, co mogłem — warknął. — Jak tylko umiałem.

— To za mało — triumfowała.

Z ulicy usłyszeli wycie syren policyjnych. Costa podszedł do okna sprawdzić, co się stało.

— Kurwa, idź wreszcie sprowadź Daria — wrzasnął Gino. Costa wyszedł w pośpiechu.

Lucky westchnęła.

— Idę — oznajmiła. — Ty i ja nic możemy się porozumieć. Nigdy nie mogliśmy.

— Mówisz o prawdziwym ojcu ciągnął. — A czy ty byłaś dobrą córką? Uciekałaś ze szkoły. Pieprzyłaś się z każdymi napotkanymi spodniami. Chodziłaś...

— Nieprawda — przerwała. A nawet jeśli, to co?

— To co?! Ona mówi to co! Smutno potrząsnął głową. — Masz rację, Lucky. Nadajemy na różnych falach. Lepiej idź. Siedem lat i nawet nie przysłałaś marnej pocztówki. Taka z ciebie córka.

— Ty też do mnie nie napisałeś — oskarżyła go ostro. Czuł się bardzo, bardzo zmęczony., Ktoś walił do drzwi.

— Kto tam? warknął.

— Costa. Otwieraj! Szybko!

Lucky wzięła torebkę. Nic wiadomo dlaczego, chciała się rozplakać. Gino otworzył i wpadł Costa, biały i roztrzęsiony.

— Zastrzelono Daria wyszeptał z trudem łapiąc oddech. — Przed hotelem. Nie żyje.

— Jezu Chryste! — krzyknął Gino. - Matko przenajświętsza! Lucky stała jak wryta.

Nagle Gino chwycił się za serce i osunął na kanapę. Jęknął cicho.

— Co ci jest? — zapytała przerażona Lucky. — Co ci jest?!

Znów jęknął, twarz mu poszarzała. Nagle wyglądał na siedemdziesiąt jeden lat.

— Myślę... że to... serce... — szepnął — Lepiej... sprowadźcie... lekarza... szybko...

Piątek, 15 lipca 1977

Nowy Jork Wieczór

Enzio siedział przed telewizorem w sypialni i nerwowo skakał po kanałach. Zatrzymywał się na każdej stacji podającej wiadomości.

— Kochanie — skarżyła się słodka blondynka skacząc po ogromnym łóżku. — Chcę oglądać *Randki*.

— Ubierz się wreszcie, do cholery! — wrzasnęła. Napatrzyłem się na twoje cycki i wystarczy mi na miesiąc.

Zrobiła kwaśną minę.

— Myślałam, że lubisz piersi swojego kotka.

— Ubieraj się, głupia kobyło. Ten facet przyjeżdża specjalnie z Hollywood, żeby cię zobaczyć. Idź coś założyć i zamknij się.

Nadąsana wyczołgała się z łóżka, oceniła swoje odbicie w lustrze i poszła do łazienki.

Enzio zaklął pod nosem i znów przełączył kanał. Cholerna koza, nadaje się tylko do jednego. Ale lubił wchodzić do restauracji z panienką, która wszystkich rzucała na kolana, a ta należała do najlepszych, jakie spotkał. Imogena. Osiemnaście lat. Ostatnia dziewczyna miesiąca. Ponad sto w biuście, nigdy nie widział tak imponujących zderzaków.

Głupia kobyła chciała zostać gwiazdą, więc on jej to umożliwi. Żaden problem.

— Wik! — wydarł się. — Gdzie, do cholery, wiadomości o Ginie i Lucky? Powinni to podać już w tym dzienniku, nie? Powiedzieli o zastrzeleniu Daria.

Duży Wiktor wtoczył się do pokoju.

— Nie mam pojęcia, szefie. Może jeszcze tego nie wykryli.

— Ty chyba myślisz dupą. Są w hotelu. Nie można niepostrzeżenie zastrzelić ludzi w hotelu. Ktoś ich zawsze znajdzie. Pokojówka, wścibska baba z apartamentu obok, zawsze jest ktoś taki.

— Nie mam pojęcia, szefie.

— Psiakrew, czy to wszystko, co masz do powiedzenia? Na pewno robota została wykonana?

— Tak szefie, jestem pewien. Russo dostał znak od Daria, jak było umówione.

— Gdzie jest Russo?

— Zaraz powinien tu być. Pojechał po tego producenta filmowego. Ma go odebrać w hotelu „Plaża”, jak pan kazał.

— Dobrze.

Uwaga Enzia ponownie skoncentrowała się na ekranie. Groźnie wyglądająca dziennikarka opowiadała o strzelaninie przed hotelem

„Pierre”. Nie najgorsza, może nieco za chuda. Zrobił zeza, wyobrażając ją sobie nago.

— Wik, zrób coś dla mnie. Zadzwoń do „Pierre” i każ im sprawdzić apartament Santangelo, potem odłóż słuchawkę. Dzwon z automatu.

— Dobry pomysł, szefie. — Duży Wiktor skinął głową.

— Bo mój. Tylko ja mam w ogóle jakieś pomysły w tym domu.

— Kocham cię, tato — szeptała mu nad głową w karetce. — Nic ci nie będzie, jestem przekonana. Wydobrzejesz, naprawdę.

Nie mógł jej odpowiedzieć, twarz miał zasłoniętą maską tlenową, ale ich oczy spotkały się i powiedział jej spojrzeniem, że wszystko wybaczył.

Została przy nim przez całą drogę do szpitala, trzymała go za rękę. Tyle miała mu do powiedzenia, może jeszcze nie było za późno.

W szpitalu odwieziono go na oddział intensywnej terapii. Zaraz przyjechał Costa. Lucky zauważyła, że płakał. Uścisnęła go.

— Wyjdzie z tego, jestem pewna.

Po jakimś czasie udało jej się porozmawiać z lekarzem opiekującym się Ginem. Wyraz jego pociągłej twarzy nie wróżył nic dobrego.

— Pani ojciec cierpi na poważną chorobę wieńcową.

— Czy wyzdrowieje?

Lekarz zakasłał zasłaniając usta.

— Jeszcze nie mogę nic powiedzieć. Fachowa nazwa tej choroby to arterioskleroza. Polega na stwardnieniu tętnic. Mogą one być tylko zwężone albo zupełnie zatkane. Jeżeli są zatkane...

Nie słuchała dalszych wywodów lekarza. Myślała o Ginie z lat jej dzieciństwa. Podrzucał ją w powietrze, ścisnął ją, całował. Jak bardzo go wtedy kochała, nadal go kocha.

Doktor kończył wykład:

— Więc widzi pani, pani Santangelo, wszystko możliwe. Wielu chorych żyje ze zwężeniem albo z zatkaniami naczyń przez ładnych kilka lat. Dysponujemy doskonałymi środkami opóźniającymi powstawanie zakrzepów, mamy też sprzęt umożliwiający kontrolowanie sytuacji. — Bezwiednie wzruszył ramionami. — W przypadku pani ojca za wcześnie na stwierdzenie, jak daleko zmiany się posunęły.

Jeżeli przetrzyma noc, możemy mieć nadzieję.

Nadzieję. Nadzieję. Co to ma oznaczać?

Patrzyła na lekarza z nienawiścią. Czy w ogóle zależało mu na życiu Gina?

— Dziękuję, doktorze - powiedziała sucho.

— Jego stan na razie jest bez zmian. Mogłaby pani pójść do domu, zawiadomimy panią, gdyby coś się stało...

Zupełnie jakby chciała iść do domu.

— Mogę go zobaczyć? — zapytała cicho.

— Bardzo krótko. Przede wszystkim potrzebny mu jest spokój.

— Dziękuję.

Gino, biały jak kreda, leżał na prostym szpitalnym łóżku. Oczy miał zamknięte, do ręki podłączoną kroplówkę.

Ledwie Lucky zdążyła wejść do pokoju, usłyszała głos postawnej pielęgniarki:

— Nie można go odwiedzać, stan pacjenta jest bardzo ciężki.

— To mój ojciec — wybuchła Lucky — a doktor powiedział, że mogę się z nim zobaczyć. Proszę poczekać na zewnątrz.

Pielęgniarka wydeła policzki, ale nic nie odpowiedziała. Wstała i wymaszerowała z pokoju, swoim zachowaniem dając do zrozumienia, że nie pochwała wizyty.

Lucky usadowiła się przy łóżku. Płakała, mimo że nie zauważała spadających łez. Ujęła Gina za rękę i wyszeptwała:

— Przykro mi, że trzeba było czegoś takiego, abym zdała sobie sprawę, jak bardzo cię kocham. Możemy się porozumieć, jeśli tylko oboje spróbujemy, a ja chcę spróbować. Odwróciłam się od ciebie, ponieważ ty tak postąpiłeś ze mną. Musiałam cię odrzucić pierwsza, żebyś ty nie mógł tego zrobić. Kocham cię. Jesteś moim ojcem. Nigdy w życiu niczego tak nie pragnęłam jak tego, żebyś żył.

Otworzył oczy.

— Zrób coś... dla mnie — wyszeptał. — Oszczędź mi... wzruszeń... do czasu... kiedy... będę mógł sobie... z nimi poradzić.

Mówił bardzo cicho, ale słyszała wszystko, wiedziała, że ją rozumiał, i uśmiechnęła się szeroko.

— Jakies polecenia?

— Tak, jedno, córeczko.

Znów zamknął oczy i na chwilę zapadła cisza. Mocno trzymała go za rękę, miała wrażenie, że czuje miłość i zrozumienie, przepływające między nimi jak fale magnetyczne.

Powiedział coś. Pochyliła się, żeby lepiej słyszeć. Jego głos był cichszy od szeptu.

— Dario... — mamrotał — rodzina... honor... nazwisko Santangelo.

— Tak?

— Zajmij się... tym... Lucky Z trudem łapał oddech. — Zemścij się... za nas... obu. To... Bonnatti... Bonn...

— Pielęgniarka! — krzyknęła Lucky. Pielęgniarka!

Warris Charters wyszykował się do wyjścia. Kalifornijski szyk: cienkie spodnie, marynarka od Giorgia Armaniego, buty od Gucciego, drogie okulary słoneczne. Wreszcie. Wreszcie. Wreszcie. Wszystko się układa, jak trzeba.

Jeszcze raz poprawił włosy przed lustrem i zszedł do hollu hotelu „Plaża”.

Lucky zdecydowanym krokiem wyszła ze szpitala. Już wcześniej wiedziała, co ma zrobić. Ostatnie wydarzenia jedynie utwierdziły ją w podjętej decyzji. Poszła prosto do swojego mieszkania, gdzie czekał na nią Boogie.

— Słuchaj, bardzo mi przykro, że...

— Tak — powiedziała. — To wiele zmienia. Zamierzam zająć się Bonnattim jak najszybciej. Potrzebuję jednak trochę czasu. Może wrócisz do Vegas. Pogadamy za tydzień, zdecydujemy, co zrobić.

Spojrzał na nią.

— Myślałem, że ty raczej działasz, a nie gadasz.

— Ja też tak myślałam. Ale teraz muszę się pozbierać. Jestem taka załamana, Boog. Nie kochaliśmy się z Dariem, ale to mój brat...

— Kto go załatwił?

— Dowiem się.

— Cóż, jeśli nic nie mogę dla ciebie zrobić...

— Możesz — powiedziała od niechcienia. — Chcę się pozbyć braci Kas-sari — przerwała i zapaliła papierosa. — Znajdź fachowca.

Płacę sto tysięcy dolarów za wykonaną robotę, po pięćdziesiąt za każdego. W gotówce. Zorganizujesz to? Zależy mi na czasie.

— Zaufasz mi ze stu tysiącami?

— Powierzyłam ci moje życie, nieprawda?

Bez słowa skinął głową.

— Załatwię to. Co z Bonnattim?

— Z tym chwilę poczekamy.

Zaraz po jego wyjściu przebrała się. Biała jedwabna sukienka, której nigdy wcześniej nie nosiła, wydawała się najodpowiedniejsza.

Zrobiła świeży makijaż i wyszczotkowała włosy. Z szuflady wyjęła ładny złoty łańcuszek z brylantem i rubinową kasetką — prezent od Gina na jej piąte urodziny. Otworzyła kasetkę i przyjrzała się ich wspólnemu zdjęciu. Jacy podobni, już wtedy. Uśmiechnęła się i zamknęła wieczko. Potem wyjęła brylantowe kolczyki, które podarował jej na szesnaste urodziny. Lśniły tak samo jak w dzień, kiedy je dostała, w Vegas, z Ginem i Markiem.

Marco. Dziś wieczór zemści się nie tylko za Gina, ale także za Marca. Za ciebie też, kochanie, za ciebie też.

Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Była gotowa.

Imogena też była gotowa.

Włożyła elastyczne spodenki i coś, co nazywała tubą na, biust.

— Zdejmij to świństwo! — ryknął Enzo. — Wyglądasz, jakby właśnie przeleciała cię cała meksykańska armia.

— Nie wiedziałam, że istniała kiedyś armia meksykańska — nachmurzyła się Imogena.

Duży Wiktor przyglądał się, jak dziewczyna wychodzi z pokoju, i oblizwał wargi. Czasami, kiedy szef miał ich już dosyć...

— Nie rozumiem — wyrzekł Enzo. — Już siódma i nic nie podają w tych cholernych wiadomościach. Dzwoniłeś do hotelu?

Wiktor milcząco potwierdził.

— O dziewiątej na pewno podadzą — zapewnił.

— Lepiej, żeby tak było, albo ktoś tu oberwie.

Warris siedział na tylnym siedzeniu olbrzymiego mercedesa Enzia i dumał, jakie to uczucie być bogatym. Nie chodzi o parę milionów, ale o prawdziwe bogactwo — o dysponowanie nieograniczonymi środkami. Jeeezu! To bajka! Jeśli *Śmiertelny strzał* wypali, marzenie może się spełnić, może przerodzić się w rzeczywistość.

Pochylił się i zapukał w szybę dzielącą go od kierowcy. Szyba natychmiast się otworzyła.

— Kiedy dojedziemy na miejsce? — zapytał.

Poczuł silny zapach palonej trawki, przedostający się do jego kabiny z miejsca dla kierowcy.

— Niedługo — odpowiedział od niechcienia bandzior w czarnym garniturze.

— Zawsze przypalasz, kiedy prowadzisz? — zapytał przyjacielsko Warris w nadziei, że facet poczęstuje go machem. W odpowiedzi matowa szyba zasunęła się.

Rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu i bębnił palcami w kasetę z filmem. Już niedługo... niedługo...

— Tak dobrze, kiciusiu?

Enzio zmrużył oczy i przyjrzał się Imogenie. Przebrała się w czerwoną bluzkę, zawiązaną na supeł pod ogromnymi piersiami, do tego założyła niemodną, czerwoną spódniczkę mini i białe kozaki do kolan.

— Lepiej — rzucił.

W zasadzie nie miało znaczenia, jak wyglądała. Jeśli zechce obsadzić ją w filmie, zrobi to niezależnie od zdania Warrisa Chartersa.

Charters to jedynie pionek, przykrywka dla jego działań. Film będzie taki, jak zdecyduje Enzo, albo nie powstanie wcale.

W drzwiach pojawił się Duży Wiktor.

— Przyjechał — oznajmił. — Gdzie mam go wprowadzić?

Lucky prowadziła małego, brązowego mercedesa, jakby brała udział w wyścigu. Wprawnie przemykała się między samochodami. Z

głośników leciała muzyka Teddy'ego Pendergrassa. Bez przerwy odpalała jednego papierosa od drugiego. Drogę do domu Enzia znała na pamięć. Mogła pojechać z zamkniętymi oczami. Spędziła tam tyle weekendów, spała w pokoju gościnnym, pływała w jego basenie, jadła z nim i jego synami kolacje. Odgrywała rolę córki, której nigdy nie miał. W każdym razie tak twierdził.

Brudny, oślizły kłamca. Ufała mu. Musiał nieźle się uśmieć za jej plecami. Zbliżając się do domu, rozciągnęła usta w sztucznym uśmiechu.

Steven i Bobby siedzieli z tyłu w policyjnym wozie. Wybierali się do rezydencji Enzia Bonnattiego na Long Island.

— Jak się czujesz, stary?

— Cholernie dobrze — odpowiedział Steven — ale poczuję się jeszcze lepiej, kiedy go dostaniemy.

— Dasz coś powąchać swojej kici — prosiła Imogena, wisząc na rękawic wieczorowego garnituru Enzia.

Odrzącił ją.

— Do ciężkiej cholery, jest tu facet, z którym chcę cię poznać.

— Wiem, kochanie. Ale chciałabym wypaść jak najlepiej. Proszę... dla kiciusi?

Skrzywił się. Obecnie młodzi zażywali narkotyków na takiej zasadzie, na jakiej jego pokolenie piło wódkę.

— W moim gabinecie. I tylko jednego. Nie chcę cię widzieć z zaszklonymi oczami.

— Kochanie, po tym będę błyszczeć.

— Twoje cyczuszki dodają ci tyle blasku, ile można. Pospiesz się. Wyszedł z pokoju. Nie czuł się dobrze w tym garniturze. Kosztował

sześćset baksów, ale wyglądał nieco jak marynarka na plażę. Modny. Prosto z Włoch. I kogo to, kurwa, obchodziło?

W bibliotece Warris podziwiał półki zastawione doskonałymi książkami. Był szczerze zaskoczony. Nie spodziewał się, że Enzo może mieć tak bogaty księgozbiór.

— Podać drinka? zapytał Duży Wiktor. — Enzo zaraz przyjdzie.

— Białe wino z łoilem zażyczył sobie Warris, którego widok grubasa napawał wstrętem.

Duży Wiktor otworzył usta ze zdziwienia.

— Co?

-- Białe wino. Czy to coś dziwnego? I trochę lodu do szklanki.

— Tak, wiem, o co panu chodzi. Ale jeśli otworzę butelkę, kto wypije resztę?

Warris nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Więc niech będzie wódka — powiedział i dodał z przekąsem: — Oczywiście, jeśli macie otwartą butelkę.

Duży Wiktor spojrział na niego ze złością. W tym momencie do pokoju wszedł Enzo.

Warris myślał, że pięknie ze śmiechu. Staruch wyglądał bardzo głupio w obszernej, pikowanej, atlasowej marynarce.

— Gdzie pan dostał taką marynarkę? — zapytał natychmiast.

— Podoba ci się?

— Na panu wszystko wygląda dobrze.

Siedząc z tyłu samochodu patrolowego, Steven nieustannie rozmyślał. Aresztowanie Bonnattiego to dopiero początek. Przed nimi bardzo dużo pracy, ale nie mógł się jej doczekać.

Nie wiadomo czemu, Lucky stale wracała mu na myśl. Zastanawiał się, jakby było z dziewczyną w jej stylu.

Musiał przestać o niej myśleć. Musiał o niej zapomnieć.

Lucky Santangelo. Czy jeszcze jedno spotkanie z nią miałoby jakieś znaczenie?

Tak. Miałoby. Zachowywał się jak głupek. Lepiej o niej zapomnieć. Zapomnieć o tych czarnych, opalizujących oczach... o wysokim, smukłym ciele... o szerokich, zmysłowych ustach...

— Stary — przerwał Bobby — już prawie jesteśmy na miejscu.

Lucky minęła strażników przy bramie, machając im ręką. Znała wszystkich, a oni znali ją. Intuicja mówiła jej, że tylko Enzo i najbliżsi współpracownicy mogą wiedzieć o zdradzie.

Zaparkowała przed głównym wejściem i podeszła do drzwi. Zadzwoiła dwa razy i ukazał się Duży Wiktor, ohydne usta rozdziawiły się z zaskoczenia.

— Lucky? — zapytał, jakby nie był pewien, kogo widzi.

— We własnej osobie — odpowiedziała Lucky. — Dlaczego pytasz? Zmieniłam się?

— Nie, tylko nie spodziewaliśmy się ciebie.

— Jadę na przyjęcie w okolicy. Pomyślałam, że wpadnę odwiedzić Enzia. Jest w domu, prawda?

Duży Wiktor głośno przełknął ślinę. Ktoś spieprzył robotę. Enzo nie będzie zachwycony. Weszła do środka.

— Nie jest zajęty, co?

— No, tak... jest zajęty.

— Znam gościa?

Duży Wiktor gapił się jak w obraz. Opanowana jak zawsze, wystrojona. Może wcale nie była w „Pierre”. Może nawet nie wiedziała o Dariu.

— Może poczekaś w głównym salonie. Powiem Enziowi, że przysłaś.

— Jasne. Ale pospiesz się, Wik. Mam przed sobą gorącą noc i nie chcę się spóźnić.

Znów na nią spojrzał, wprowadził do salonu, posadził w fotelu i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

— Gdybyśmy mogli przejrzeć zdjęcia mojej dziewczyny... — zaproponowała Warris. — Niech pan tylko obejrzy.

— Owszem, obejrzę — powiedział Enzo władczo — ale chcę ci pokazać coś, za czym wypatrzysz sobie gały.

— Wspaniale — mruknął grzecznie Warris.

W myślach planował małą rolę dla dziewczyny Enzia, szybko doda to do scenariusza.

— Powiedział pan, że ma pan salę kinową.

— To jest sala kinowa — rzucił triumfująco Enzo. — Widzisz te pieprzone książki? Uważaj.

Nacisnął kilka guzików na ścianie i półki zniknęły, ukazując projektor w jednym końcu pokoju i ekran w drugim.

— Niezłe, co? — pochwalił się.

— Czyli te książki są nieprawdziwe?

— Nie... atrapy. Mądre, nie sądzisz?

Warris potwierdził i podszedł do projektora założyć film.

Duży Wiktor wszedł kołyszącym się krokiem do pokoju i szepnął coś szefowi do ucha.

— W porządku — powiedział głośno Enzo. — Przygotuj wszystko, Warris. Coś mi wypadło, ale zaraz wracam. Przygotuj sprzęt.

— Och! Przestraszyłaś mnie! — pisnęła Imogena, patrząc na Lucky, która cicho weszła do sypialni.

— Kim jesteś?

Lucky uśmiechnęła się. Gust Enzia pogarszał się z każdym dniem. Nigdy przedtem nie widziała tej pokracznej suki. Pewnie jego nowe odkrycie.

— Jestem z Avon — odpowiedziała, wciąż się uśmiechając. Imogena zachichotała.

— Przyjechałaś z tym producentem z Hollywood?

— Oczywiście. Enzo przysłał mnie tu, żebym powąchała trochę koki, którą tak chciwie inhalujesz.

In... co?

Wciągasz nosem, kochana. Masz już dość? Oczy Imogeny rozszerzyły się.

Dlaczego pytasz? Czy Enzo się niecierpliwi?

Powiedział, że jeśli natychmiast nie zniesiesz swojego tłustego tyłka na dół, osobiście się tobą zajmie. Obie wiemy, co to znaczy, prawda?

Imogena pośpiesznie odłożyła złotą łyżeczkę, której używała do narkotyku.

— Reszta dla ciebie — ofiarowała szczerze.

— Jesteś bardzo hojna.

Dziewczyna wybiegła z pokoju, a Lucky bez wahania weszła do prywatnej łazienki Enzia. Otworzyła szafkę, w której trzymał

dwanaście butelek różnego rodzaju odurzających wód po goleniu. Za nimi leżał pistolet. Powiedział jej o tym pewnej niedzieli, dawno temu.

— Jakiś skurwiel przyjdzie się do mnie dobrać, a ja jestem na to przygotowany — przechwalał się.

— Wybacz mój język.

— Cześć — rzuciła Imogena ze sztucznym uśmiechem. — Ty jesteś tym producentem?

Warris przyjrzał się jej. Była większa niż góra. Nigdy czegoś podobnego nie widział.

— Tak — wydusił z siebie. — A ty jesteś...

— Imogena. Zagram w twoim filmie.

— Gdzie ona jest? — ryknął Enzo.

Duży Wiktor rozejrzał się zdumiony po pustym pokoju.

— Nie wiem, szefie. Tu ją zostawiłem. Może wyszła. Mówiła o mocnym bankiecie, na jaki się szykowała.

— I myślisz, że o niczym nie wie? — dopytywał się z niedowierzaniem Enzo.

— Była bardzo opanowana, szefie. Wystrojona. Nie myślała o niczym poza zabawą.

— Jesteś pewien?

— Znam się na ludziach, szefie. Całe życie ich studiuję.

Najważniejsze to dokładnie obliczyć czas. Lucky sprawdziła, czy pistolet jest naładowany, a potem powoli i z rozmysłem podarła przód pięknej sukni od Halstona. Podniosła słuchawkę, wykręciła numer najbliższego posterunku policji i imitując brak tchu wyszeptała:

— Pomocy, przyjeżdżajcie szybko, zaatakowano mnie... Podała jeszcze adres i odłożyła słuchawkę.

Obliczyła wszystko nienagannie. Wiedziała o tym. Adrenalina wydzielala jej się do krwi.

Gino... Marco... nadszedł czas. Podbiegła do schodów i krzyknęła:

— Enzo! Jestem na górze.

Enzo odwrócił się do Dużego Wiktora.

— Co, do diabła, ona robi na górze? Duży Wiktor wzruszył ramionami.

— Nie wiem, szefie. Zna pan Lucky, czuje się tu jak u siebie.

— Czy mogła coś wnieść?

— Nie ma siły. Ma na sobie taką kusą sukienkę... Nie miała nawet torebki. Mówię panu, szefie, ona o niczym nie wie.

— Hmm... Enzo nie był do końca przekonany. — To czego chce?

— Chodźmy sprawdzić.

— Nie — szybko powiedział Enzo.

Nie chciał stracić twarzy. Nie może pozwolić Wiktorowi myśleć, że boi się jakiejś głupiej, małej dupy.

— Sam z nią pogadam. Idź, przypilnuj tego Warrisa. Daj mu drinka i powiedz, że zaraz schodzę.

— Już mu dałem drinka, szefie.

— Więc daj mu jeszcze jednego — uciął niecierpliwie Enzo. — Prohibicja dawno się skończyła, wiesz?

Gino Santangelo przekręcił się na szpitalnym łóżku i otworzył oczy. Już nie czuł bólu. Straszliwy ból, który siedział mu w piersiach, zniknął.

Próbował usiąść, ale coś go trzymało — jakieś urządzenie podłączone do jego ręki.

Kiedy pielęgniarka zauważyła ruch, natychmiast wstała.

— Panie Santangelo, proszę, niech się pan nie rusza.

— Dlaczego nie? — mówił zupełnie wyraźnie.

Nigdy dotąd nie zadano jej takiego pytania. Pacjenci pod jej opieką byli zwykle cisi i posłuszni.

— Sprowadzę doktora — powiedziała autorytatywnie. Obserwował ją z uśmiechem.

— Pani pielęgniarko, czy ktoś ci już powiedział, że masz śliczną dupkę? Wybiegła z pokoju.

Enzo powoli wchodził po schodach. Skoro Lucky była cała i zdrowa, to co z Ginem? Czy ten mały pedalek Dario spieprzył? Gorzej —

czy im powiedział?

— Lucky — zawołał - gdzie jesteś?

— W sypialni rzuciła śpiwnym głosem. — Twoja dziewczyna zaciągnęła mnie tu na macha.

— Pieprzona kurwa wymamrotał.

Imogena miała w sobie dwie niepowtarzalne rzeczy. Wielkie cycki i nowy, specjalny rodzaj głupoty. Wszedł do sypialni.

— Jestem w łazience — zawołała wesoło Lucky. — Chcę ci coś pokazać.

Podszedł do drzwi łazienki i nagle zrozumiał. Zbyt późno. Miała go na muszce.

Zatrzymał się nagle i spojrzał na nią. Jego własna pukawka...

— Możemy porozmawiać zaczął.

— Nigdy nie lekceważ siły kobiety, staruchu powiedziała spokojnie. — To pożegnanie od Gina, Daria i Marca. I oczywiście ode mnie.

Pociągnęła spust i pierwsza kula trafiła go w brzuch. Wnętrznosci rozlały się po złotym dywanie.

Drugą kulę dostał w szyję, kiedy upadał. Trzeciej już nie poczuł.

Z odległości Lucky usłyszała dźwięk policyjnych syren.

— Ok, Marco? — szepnęła. — Ok, kochanie?

Samochód wiozący Stevena, Bobby'ego i dwóch innych inspektorów zbliżał się do rezydencji Bonnattiego. Jeden z inspektorów powiedział:

— Coś się dzieje. Wygląda na to, że ktoś przyjechał tu przed nami. Steven poczuł, jak żołądek wywraca mu się do góry nogami. Widział

światła dwóch samochodów policyjnych.

— Psiakrew! — zaklął.

Intuicja podpowiadała mu, że chwila triumfu nie nastąpi. Umundurowany policjant pełnił straż przy bramie. Podniósł rękę, żeby zatrzymać samochód.

— Co się dzieje? — zapytał podniecony Steven, wychylając się i machając legitymacją.

Policjant wzruszył ramionami.

— Strzelanina. Jakaś dziewczyna zastrzeliła Bonnattiego. Próbował ją zgwałcić.

Żołądek niemal zupełnie odmówił mu posłuszeństwa.

— Czy nie żyje?

— A pan by żył, gdyby miał pan w sobie trzy kule?

— Jezu Chryste!

— Amen — dokończył Bobby.

— Chodźmy do domu — zdecydował Steven.

— Dobra — zgodził się Bobby. — Rzucimy okiem na ciało.

Lucky, otulona w koc, w kuchni odpowiadała na pytania przesłuchującego ją detektywa. Starła się, jak mogła.

— Byłam taka zaskoczona, kiedy się na mnie rzucił — mówiła, oczy wypełniły się łzami. — Proszę mnie zrozumieć, ten człowiek był

dla mnie jak ojciec.

Policjant skinął głową ze zrozumieniem.

— Zachowywał się jak zwierzę. Podarł mi sukienkę, dobierał się do moich piersi. — Zaczęła łkać.
— To straszne, straszne!

— Wiem, że to niemiłe, proszę pani. Ale co stało się potem?

— Wiedziałam, że trzyma w łazience broń. Wiele razy mi ją pokazywał. Pobiełam po pistolet, on za mną, a potem to już nie wiem.

— Ale zastrzeliła go pani?

— W obronie własnej.

— Oczywiście.

Steven rzucił okiem na ciało. Nie gapił się tak jak Bobby, wystarczyło jedno spojrzenie.

— Gdzie ta dziewczyna? — zapytał.

— W kuchni — odpowiedział policyjny fotograf. — Niezła!

Na dole przy schodach stała monstrualna blondynka o głupim wyrazie twarzy, jakiś grubas, bandzior o wąskich oczach i opalony facet w średnim wieku. Ten ostatni wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

Szczałki ze stołu życia Bonnattiego.

— Zabierzemy ich na posterunek, niech złożą zeznania — powiedział jeden z gliniarzy, zaganiając wszystkich w jedno miejsce.

— Chcę adwokata — nalegała blondynka.

— Po co ci adwokat, kochanie? — zapytał glina, gapiąc się na jej bujne wdzięki. — Niczego nie zrobiłaś, prawda?

Steven wkroczył do kuchni. Lucky podniosła oczy. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Przez chwilę

wydawało się, że go powita, ale nie.

Odwróciła wzrok i nic nie powiedziała.

— Czy to podejrzana? — zapytał, nie mogąc ukryć zaskoczenia w głosie.

— Co to jest, lotnisko? — zazgrzytał inspektor. — Kim jesteś?

Steven pokazał legitymację.

— Steven Berkely — przedstawił się tak głośno, aby go słyszała. — Z Prokuratury Generalnej.

Patrzyła na niego, a jej wzrok niczego nie wyrażał, niczego nie odkrywał.

— Szybko się, chłopaki, uwijacie — narzekał inspektor.

— Prowadziłem śledztwo przeciwko Bonnattiemu. Przyjechałem z nakazem aresztowania.

— Cóż, nieco się pan spóźnił.

— Widzę. Możemy chwilę porozmawiać?

Inspektor westchnął i wstał z krzesła. Podeszli do drzwi.

— Co się właściwie stało? — zapytał Steven cicho. Inspektor chrząknął.

— Stary sukinsyn próbował ją zgwałcić. Wygląda na prosty przypadek działania w samoobronie.

— To chciałem wiedzieć.

Steven jeszcze raz spojrzał na Lucky. Patrzyła gdzieś w podłogę.

— Chyba nie mogę wam pomóc, chłopaki.

— Pomóc! — zachnął się inspektor. — Od kiedy macie zwyczaj pomagania komukolwiek?

Wrócił do stołu i zaczął robić notatki.

Nagle Steven poczuł na sobie wzrok Lucky. Odwrócił się do niej. Bardzo powoli i bezgłośnie, jedynie poruszając ustami, wymówiła:

„Cześć, Steven”. Potem, tak samo powoli: „Żegnaj, prokuratorze”. Chciał coś powiedzieć, cokolwiek, ale nie mógł.

Uśmiechnęła się niewyraźnie i w chwili gdy on miał poczuć się tak przybity, jak ona musiała się czuć, mrugnęła do niego. Mrugnęła w typowy, santangelowski sposób.

Psiakrew! Dwa lata pracy poszły na marne, a ona mruga.

Prawie się uśmiechnął.

Tylko prawie.

Epilog

Enzio Bonnatti miał wspaniały pogrzeb. Pochowano go w trumnie z brązu, która kosztowała dziesięć tysięcy dolarów.

Wielu ludzi przyjechało złożyć ostatni hołd. Oczywiście tylko ci, którzy mogli sobie pozwolić na wystąpienie na pogrzebie takiego człowieka jak Bonnatti. Krewni pojawili się w czerni, jego dwaj synowie mieli na sobie te same garnitury, które założyli poprzedniego dnia w Filadelfii, na pogrzebie braci Kassari.

Ciało Enzia przez trzy dni wystawione było w domu na Long Island, krewni bliżsi i dalsi oraz współpracownicy składali przy trumnie wyrazy szacunku.

Nie było wśród nich Gina Santangelo, ale jedynie dlatego, że leżał w szpitalu po ostatnim ataku serca. Przysłał jednak kwiaty —

olbrzymi bukiet chryzantem z wstęgą, na której napisano: „Mojemu przyjacielowi Enziowi. Każdy krok pociąga za sobą następne.

Gino”.

Ojciec Ameratti, który odprawił ostatnią posługę, wygłosił wzruszającą mowę.

— Enzo Bonnatti był dżentelmenem — powiedział — niemal do samego końca.

Steven, mocno wstrząśnięty tym, co zaszło, wrócił do siebie. Zastał tam czekającą Carrie.

— Steven — zaczęła muszę ci coś opowiedzieć. Usiądź i wysłuchaj mnie uważnie.

Kiedy usłyszał, co miała do powiedzenia, poczuł, że jego życie rozlatuje się na tysiąc kawałków. Zawsze był dumny ze swojego pochodzenia, z ojca, którego nigdy nie widział.

Nie oszczędziła mu szczegółów, opowiedziała wszystko od początku do końca.

— Więc kto jest moim ojcem? — dopytywał się. — Kto to jest?

— Nie wiem — padła prosta odpowiedź. — Tej nocy, kiedy zostałeś poczęty, byłam z dwoma mężczyznami. Z jednym z własnej woli, drugi — bezradnie wzruszyła ramionami — zmusił mnie.

Znasz ich nazwiska? — zapytał brutalnie. Nic ci nie da, jeśli je poznasz. Powiedz mi, jak się nazywali.

— Freddy Lester... bawidamek... wiele o nim nie wiem.

— Biały? Potwierdziła.

— A ten drugi?

— Gino Santangelo.

Steven długo nie mógł przyjść do siebie. Porzucił pracę i wyjechał do Europy, gdzie obijał się przez jakieś dwa lata. W końcu poznał

dziewczynę, piękną Murzynkę, która pracowała jako modelka. Nie była to Zizi ani Aileen, przede wszystkim nie była to Lucky.

Wciąż myślał o Lucky.

Czasami.

Carrie rozwiodła się z Elliottem. Porzuciła pieniądze, pozycję i styl i zamieszkała w skromnym domu na Wyspie Ognia. Dom stał w pobliżu miejsca, w którym kiedyś mieszkała z Bernardem.

W 1979 Steven wrócił do Ameryki i odwiedził ją.

— Rozumiem — powiedział. To wystarczyło.

Warris Charters wrócił do Hollywood. Show-biznes wymierzył mu kolejny cios, ale on zawsze ufał w lepsze jutro.

Zabrał ze sobą olbrzymią Imogenę i zrobił z niej gwiazdę.

Żyła z nim, dopóki nie stała się popularna. Potem porzuciła go dla dwudziestodwuletniego czarnego koszykarza.

Zastrzelił ich oboje w motelu w Hollywood i zamknął go do pudła, gdzie wreszcie udało mu się zdobyć upragnioną pozycję.

Costa Zennocotti wycofał się z interesów. Kupił sobie mieszkanie w Miami Beach nad brzegiem oceanu i poszedł za wskazówkami Gina. Mężczyzna potrzebuje seksu. Porzucenie tego to jakby wyrzeczenie się części życia. Spotkał sympatyczną rozwódkę, która dla niego gotowała, i jeszcze sympatyczniejszą dziewczynę, którą odwiedzał co dwa tygodnie.

Nareszcie znalazł optymalne rozwiązanie.

Lucky Santangelo nie miała żadnych kłopotów. Jej sprawa nawet nie trafiła do sądu.

— To jedna z zalet posiadania właściwych przyjaciół wyjaśnił jej Gino.

Ojciec i córka stali się nierozłączni. Odnowili dom na East Hampton i pół roku mieszkali tam, pozostałe pół spędzali w Vegas. Lucky miała mieszkanie na szczycie „Magiriano”, Gino apartament w „Mirage”.

Lucky często myślała o Marcu i o tym, co by było, gdyby...

Czasami wracała we wspomnieniach do Stevena.

Ale była szczęśliwa, miała Gina. Razem mogli zapanować nad całym światem.